PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK LV Tom 220

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD — GRUDZIEŃ

1938

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW"

SPIS RZECZY
NA KOŃCU TOMU

Apoteoza rasy kosztem historii.

(Mit XX wieku). [1])

Odważmy się na przechadzkę po krainie, z której wygnano tkliwość, zapuśćmy się w tajniki czystej myśli nordyckiej. Czyli to Dante, syn germańskich Alighieri, jakkolwiek uwiedziony i zepsuty wpływami etrusko-syryjskiej oraz hiszpano-muzułmańskiej demonologii, podszepnął Rosenbergowi, by „Mit" swój podzielił na trzy części? Faktem jest, iż z piekieł, kędy wiekuiste wartości rasy wydają walkę „bezwartościom", poprzez czyściec sztuki, wznosimy się ku trzykroć błogosławionym regionom państwa przyszłości: Trzeciej Rzeszy.

Napis na bramie piekielnej kładzie kres wszelkiej chrześcijańskiej nadziei:

„Znakiem naszego czasu jest fakt, że odwracamy się od nieograniczonego Absolutu. Odwracamy się od pojęcia jednej jedynej wartości przewyższającej to wszystko, co możemy przeżywać i to wszystko co żyje. Tę wartość transcendentną stworzyło kiedyś samotne „Ja", aby spowodować dobrowolne lub przymusowe powstanie nadludzkiej społeczności, łączącej wszystkie dusze".

Otóż — oświadcza Rosenberg, w krwawym chaosie wojny światowej oraz w brzaskach budzącego się po niej Przedwiośnia pogrzebano tamten ideał, jak również i ideał uczłowieczenia ludzkości... I tak właśnie jest dobrze...

Albowiem, nie ubliżając J. J. Rousseau oraz jego powrotowi do natury, każdy z nas odbywa tę powrotną drogę do źródeł własnego istnienia, do tej pierwotnej epoki, kiedy

[1]) Cfr. *Przegląd Pow.*, wrzesień, art. tegoż autora: Mit XX wieku. Str. 202—212.

to ludzka podświadomość słuchała jedynie nakazów krwi, wykonywując je na jawie ale niejako w stanie półsnu. Miejscem rozgrywki tych najpierwotniejszych dziejów ludzkości była pewna ziemia podbiegunowa, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa owa Atlantyda, której nieszczęśliwego końca domyślali się już Grecy, a która w oczach Dacqu'a oraz Wirtha przedstawia ognisko kultury pochłoniętej przez Ocean. W zgodzie z historykiem sztuki, Strzygowskim, (ale przemilczając jego nazwisko), uważa Rosenberg wszystkie wielkie cywilizacje, tak prehistoryczne jak i historyczne, za wykwity jednej jedynej rasy nordyckiej. Wyemigrowała ona na Południe, szafując skarbami piękna oraz twórczej siły. Złotowłosa i białolica, a oglądająca świat przez błękit źrenic, pomalowanych na błękit nieba, zagarnęła we władanie obydwie półkule, zakorzeniła się w Południowej Ameryce, w Chinach, Afryce Północnej, w Mezopotamii, w Indiach, w Europie i wzięła w niewolę tłumy małych pod-ludzi, brunatnych albo czarnych, brzydkich, złych i nikczemnych.

Nawet w wielkim oddaleniu od swej nowej podbiegunowej ojczyzny, bohaterowie Północy przechowują pamięć o swoim dobroczyńcy, o tym, kto dał im radość, światło — i możliwość przetrwania zimowych mgieł — o Słońcu. Niech bojaźliwi i nikczemni niewolnicy kłaniają się Nocy i Ciemnościom; oni, panowie świata, wyznają Dzień i Światłość, Apolla i olimpijskiego Zeusa. Niestety, przeciwko wspaniałym władcom wszechświata zawiązuje się spisek powstańczy, wybucha bunt słabych i szpetnych homunkulusów. Zapewne, Rzym, jeszcze podówczas nordycki, zniszczył Kartaginę i Grecja również, skażona nieczystymi rasami ulegnie dekadencji Rzymu; ale Rzym zezwoli później na najazd Semitów, Afrykańczyków i Azjatów, ci wszyscy zaś połączą się z włoskimi potomkami etrusko-syryjczyków, aby wywłaszczyć złotowłosą rasę Władców. Chrześcijański sztandar stanie się hasłem jednoczącym wszystkich buntowników.

Prześladowania chrześcijan, opisane w sposób nazbyt krwawy, nie były — tak, jak tego nauczają dzieje Kościoła — ujarzmieniem przekonań, lecz zmierzały ku usunięciu politycznego zjawiska, zagrażającego Państwu.

Italia byłaby przepadła, gdyby nie świeży przypływ krwi germańsko-nordyckiej. Ponowny upadek nastąpił z tego powodu, że ostatni przybysze nie strzegli należycie czystości swej rasy. Duch łaciński ożywia się i odradza, jednakże powtórny okres bezpłodności oddaje władzę w ręce pod-ludzi. Wreszcie z północnej Italii wychodzi faszyzm i usiłuje dokonać odrodzenia starodawnych wartości. Usiłuje...

Nic podobnego nie dzieje się we Francji. W tym nieszczęsnym kraju dobra krew po to tylko przetrwała średniowiecze, aby ulec zagładzie na skutek licznych prześladowań, wszczętych zrazu pod pozorami religijnymi, później zaś w imię antychrześcijańskiego sekciarstwa. Papieże, a obok nich Jakobini, rzucili się na Hugenotów i na arystokrację germańskiego pochodzenia, aby wytępić szlachetnych marzycieli.

Brunatne jakobińskie łajdactwo ciągnęło każdego na szafot, kto tylko miał smukłą postawę i jasne włosy... Od tego czasu człowiek alpejsko-nadśródziemnomorski zajmuje przód sceny. Kupiec korzenny, adwokat i lichwiarz opanowali życie publiczne... Wszystko, co tylko myślało wzniośle i szlachetnie, usunęło się od brudnych spraw politycznych w głąb głuchej prowincji, do dziedzicznych swych zamków, synów zaś posłało do wojska, ażeby służyli wyłącznie ojczyźnie... Tym to siłom Północnej Francji, która zachowała nadal dawną swą moc, musiało spojrzeć twarzą w twarz cesarstwo Niemieckie z roku 1914. Siłom tym przecież już nie przewodziła ta sama czysta krew, lecz na jej miejsce Rotszyldowie i inni wielcy finansiści jednej z nimi rasy. Poza tym rozkazywali już ludzie tego pokroju, co Tallières lub Millerand, albo też marksistowscy przywódcy, bezsilni iście alpejską niemocą... Dookoła paryskiej świątyni Notre-Dame faluje ludność, wśród której proces rozkładu robi coraz większe postępy. Murzyni i mulaci przechadzają się pod rękę z białymi kobietami. Powstaje nowa, czysto żydowska, dzielnica z nowymi synagogami... Dzieje Państwa francuskiego są już dzisiaj zamknięte. Obojętne, kto się zmienia u steru rządu: klerykalny imperializm, czy idiotyczne wolnomyślicielstwo. Zawsze będzie im zbywało na rozpędzie twórczym, Francję zaś będzie unosił instynktowny wstręt rasowy, jako wynik rasowej hańby i wstydu...

To wszystko wyjaśnia tę trwogę, jaką wznieca we Francji myśl o Niemcach, podbitych z udziałem całego świata.

Zatrzymujemy się tu na małą chwilę. Czytelnik nieuprzedzony i nieprzygotowany przez niezawodny instynkt atlantycki, germano-nordycki i władczy, mógł stwierdzić już od dawna, że Rosenberg dowodzi tezy za pomocą tezy, a prawdziwość ostatniej poręcza wyłącznie jego kaprys. Ani północne pochodzenie nordyckiej rasy, ani istnienie Atlantydy, ani aryjski udział w wielkim, powszechnym kapitale cywilizacyjnym, ani wędrówki słonecznych czcicieli na południe, w ogóle żaden z przytoczonych faktów nie posiada za sobą przekonywujących świadectw. Nie darmo teoretycy Trzeciej Rzeszy zaniedbują historię na rzecz prehistorii. Epoki mityczne nadają się lepiej jako myślowy budulec i tworzywo do różnorodnych interpretacyj. Trochę śmiałości a dużo rozgłosu i, za poparciem sfer oficjalnych, najzuchwalsze twierdzenia szybko przemieniają się w pewność. Neogermańskiemu prorokowi nie zbywa na żadnym z wyżej wymienionych warunków. *Sic volo, sic jubeo; stat pro ratione voluntas.*

W życiu współczesnym spostrzegamy pewien drobny fakt, który wysiłkom Rosenberga nadaje zarazem ton wesoły i smutny. Faktem tym jest, że w obecnej chwili i dzięki użyciu identycznych środków już istnieje i już się przyjęła znaczniejsza liczba podobnych *mitów XX wieku*, przy czym każdy z nich wyklucza możliwość uznania pozostałych. Kemal Atatürk raczył przykazać, ażeby kult słońca stanowił własność i właściwość rasy tureckiej, że to ona jakoby przyszła z północy i jest wszechmacierzą wszystkich cywilizacyj. Powyższa doktryna, spowita w osłupiającą teorię językoznawczą, stworzyła dyskusyjny ośrodek na uczonym kongresie, w którym wielu zachodnich erudytów uczestniczyło w stanie najwyższego oszołomienia i zdumienia. W Nipponie obowiązuje trzeci mit; Meksyk zmyślił dla siebie czwarty. Można mieć pewność, że ani faszystowskie Włochy, ani Rosja sowiecka nie pozostaną w tyle za innymi, i dodajmy jeszcze, że małe Węgry mogą domagać się zaszczytu posiadania własnej Legendy Wieków. P. Kaszonyi dowiedzie nam czarno na białym, że rasa turańska była wybranką losu, że w jej łonie dojrzał ideał Władcy, narzucającego swe panowanie ludom niewolniczym. Tymczasem — a herezję tę wy-

powiadamy z drżeniem — czyż pojęcie rasy, wybranej nad wszystkie inne, nie jest przypadkiem „syryjskiego" pochodzenia? A to staranie o czystość rasy?... A ta nienawiść do każdej krwi nieczystej?... Pewien alpejsko-nadśródziemnomorski pod-człowiek uczynił sobie rozrywkę z tego, żeby za pomocą cytatów wyjętych z pism p. Leona Daudeta odtworzyć wizerunek tego świetnego rojalistycznego pisarza. Kompozycja udała się nad podziw i nad podziw pasowała do osoby wodza *Action Française.* Obelgi, którymi Daudet obrzucał swoich przeciwników zdumiewająco odpowiadały właśnie sylwetce tegoż pełnego temperamentu autora. Zastąpmy więc z kolei w *Micie* Rosenberga słowa: „nordycki" przez „południowy" i „germański" przez „semicki" a uczynimy z jego historyczno-przedhistorycznej eskapady podręczną książkę każdego syjonisty. Tyle co do metody. Wzmianka o tej ostatniej nasuwa nam ponownie myśl o Francji Złotego Wieku, tej Francji, do której nasz nadbałtycki prorok odnosi się z równym lekceważeniem jak do Francji współczesnej.

Co powiedzieć na wyżej zacytowany sąd Rosenberga o kraju, w którym ujrzeli światło dzienne: Ronsard i Rodin, Kartezjusz i Pascal, Bossuet i La Fontaine, Corneille i Racine, Molière i La Bruyère, Kondeusz i Turenne, Colbert i Arnauld? Co rzec o werdykcie, który z pod potępiającego, wyroku wyjmuje zaledwie kilku hugenotów, czwartorzędne postaci, szanowne wprawdzie siłą charakteru, lecz bynajmniej nie mogące służyć za przedstawicieli francuskiej cywilizacji, jednej z szeregu tych, które znaczyły pochód rodzaju ludzkiego blaskami szczytowego triumfu.

Obraz Francji z czasów Ludwika XIV „napędzlowany" przez p. Rosenberga jest niemniej prawdziwy jak spostrzeżenia poczynione przez tegoż autora na temat Rewolucji Francuskiej. Nie widzi on ani odrobiny tej wielkości, tego bohaterstwa, których nawet najwięksi wrogowie nigdy nie myśleli odmawiać wojskom Pierwszej Rzeczypospolitej. Z najwyższą pewnością siebie określa Rosenberg rasowy charakter tak katów jakoteż ich ofiar. Otóż jest to prosty przypadek, ale dzięki niemu (i tylko dzięki niemu) znam nieco pachołków Terroru. Mogę upewnić autora niemiec-

kiego *Mitu,* że najwierniejsi stronnicy króla byli to ludzie ogromnie „zachodni", „śródziemnomorscy" albo „alpejscy" mianowicie: Vandea, biali z Prowancji (wśród tych sporo krwi żydowskiej) i w ogóle górale. Natomiast między wodzami Rewolucji niezaprzeczenie przeważali Północni („ponieważ posiadali wrodzony dar rozkazywania" — powie ktoś z tych nieprzekonanych!).

Na koniec ośmielam się zauważyć, że owym mocom francuskim, które w latach 1914—18 powstrzymywały niemiecką nawałę, przewodził i rozkazywał bankowiec nie Rotszyld, lecz południowiec Joffre, przede wszystkim zaś Foch oraz Pétain, obydwaj z rasy bardzo nordyckiej. Zaiste, bili się wcale nieźle owi „alpejscy" i „nadśródziemnomorscy", a wielki przeciwnik Rzeszy nazywał się Clemenceau: ten wschodni mongoloida pomimo wszystko stawił czoło synom Atlantydy!

Przypomnijmy jeszcze z całą skromnością, że „rozkład", „upadek" oraz „rasowy wstyd" Francji stanowiły przed rokiem 1914 przedmiot niejednej niemieckiej rozprawy naukowej. Ufajmy, że p. Rosenberg nie będzie miał powodu do stwierdzenia przy najbliższej sposobności, że te wszystkie wołania Kasandry — to nic więcej, tylko blaga i że ani budujące się synagogi ani zetknięcie się białych ludzi z mulatami, nie zdołają przeszkodzić zamurzynionej Francji w rozwiązaniu doniosłej sprawy własnego położenia wewnętrznego.

Idźmy jednak do Niemiec śladami p. Rosenberga. Znajdziemy tam w odniesieniu do ideału Wolności dwie wrogie sobie i przeciwstawiające się wzajem idee: germańską i czeską. *Freiheit, ein schönes Wort, wers recht verstünde!* Czesi rozumieją to piękne słowo źle, to jest oczywiste: jako zaprzeczenie wszelkiej cywilizacji, jako niszczycielskie barbarzyństwo i nieokiełznany millenaryzm; podczas gdy niemiecka wolność określa się w ten sposób: „wewnętrzna niezależność, możność zjeżdżenia świata i wytworzenia sobie jego obrazu, wreszcie prawdziwa uczuciowość religijna". I właśnie ta germańska wolność budzi się dzisiaj jako „nowa wiara, mit krwi". Krew nordycka jest wcieleniem tej

tajemnicy, która zastąpiła i usunęła w cień dawne sakramenty.

Postawmy na to zarzut, że zupełnie nie rozumiemy ani co, ani jak, ani dlaczego. Wtenczas dadzą nam już gotową, już oczekującą nas odpowiedź:

> Życie rasy jak i życie narodu nie jest filozofią o logicznym rozwoju, ani też ewolucją zgodną z prawami natury. Jest natomiast dopełnieniem (i dokonaniem) duchowej syntezy oraz duchowej działalności, których nie podobna wyjaśnić ani za pomocą sylogizmów ani za pośrednictwem wykładu przyczynowości... Wszelka filozofia, przekraczająca granice czystej, formalnej krytyki rozumu, przedstawia raczej wyznanie aniżeli poznanie.

Ostatecznie, zarówno filozofię jak i sztukę razem z całą nauką mogą zrozumieć wyłącznie jednoplemieńcy. Dowodem rozdźwięk istniejący pomiędzy p. Rosenbergiem, obrońcą filozofii, sztuki i nauki nordyckiej a O. Donatem T. J., profesorem na uniwersytecie innsbruckim, „człowiekiem alpejskim, który najzupełniej utonął w syryjskim szataństwie". Gniew p. Rosenberga niemal dorównuje złości Lutra. Jednakże wybuchy tego oburzenia nie powstrzymają nas w podziwie nad łacińską jasnością i mistrzostwem zwrotów, które cechują niewielką rozprawę na temat intelektu oraz doświadczenia. Rozprawa ta poprzedza inną, niemniej piękną, o biegunowości wszystkich zjawisk życiowych. Wymienione karty zdradzają wielkiego poetę i pierwszorzędnego pisarza, znowu wszakże kończą się zdaniem wielce arbitralnym, wygłoszonym z arogancją, zwyczajną u wodzów pozbawionych poczucia odpowiedzialności. Rosenberg utrzymuje, że ustanawia ścisły związek pomiędzy statycznym pojęciem wszechświata a monizmem z jednej strony oraz dynamicznym i politeistycznym dualizmem z drugiej, przy czym, w zakresie religijnym monizm ma być jakoby równorzędny z monoteizmem. Monoteizm ma być rzekomo materialistyczny, jałowy, suchy, pospolity i przesądny, podczas gdy dualistyczny witalizm ma jakoby leżeć u źródeł wszystkich wielkich dzieł ludzkich.

Myśl ta wcale nie jest nowa. Już Schiller opłakał śmierć bóstw greckich, które musiały zniknąć, aby jeden Jedyny, blady Ukrzyżowany trwał oraz przetrwał w życiu.

Wielu estetów i wielu nadludzi wyśpiewało już swe marzenia mistyczno-pogańskie. Pomimo tego nie zdołali nas przekonać, iżby starożytne niewolnictwo miało równoważyć co do wartości wolność, panującą (albo która panowała do niedawna) w naszym świecie chrześcijańskim. Nie potrafili również zdetronizować średniowiecza ani współczesności na korzyść dziejów starożytnych i prahistorii. Pozostaje jeszcze dowieść, że monizm w religii bynajmniej nie odpowiada monoteizmowi; że właśnie Żydzi byli i są dualistami, podczas gdy grecki politeizm wcale nie zagrodził drogi filozoficznemu monizmowi; że średniowieczny witalizm jest semickiego, judeo-arabskiego pochodzenia i, wreszcie, że liczy on dzisiaj najgłówniejszych obrońców wśród „nieczystych" lub „zażydzonych" z Bergsonem oraz Drieschem na czele, gdy tymczasem monizm głosili nordyści czystej krwi, tacy jak np. w Niemczech Haeckel albo Boelsche.

Rozważania nad ewolucją rodzaju ludzkiego doprowadzają p. Rosenberga do praktycznego wniosku: wszędzie, gdziekolwiek istniała przewaga nordyckiej krwi, narody znajdowały się w harmonii z naturą oraz z życiem, nie potrzebowały uciekać się do magicznych czarów, zachowywały postawę bohaterów i artystów. Hegemonia rasy Władców wzbudzała w każdym z krajów, w którym przychodziła do głosu, rozkwit Złotego Wieku; Wiek Złoty, a raczej Wiek Żelazny, ponieważ kwitnący stan społeczeństwa mierzy się nie bogactwem, lecz odwagą oraz poczuciem honoru.

Honor, to najwyższe dobro ludzi nordyckich, zabezpiecza swoich bojowników przed podłością i zapewnia im wolność; wprost przeciwnie, miłość, zasadniczy czynnik etyki chrześcijańskiej, stwarza podstawy do panowania duchowieństwa. Zwycięska miłość otwiera erę upadku i rozwiązłości — przewaga honoru sprzyja wzlotom ducha, państwa oraz cywilizacji. Osobliwie poniżającą jest miłość pod postaciami pokory, miłosierdzia i ascezy.

Dzisiaj każdy szczery Niemiec jasno zdaje sobie sprawę, że nauka o miłości, obejmującej bez różnicy wszystko stworzenie na świecie, wymierzyła dotkliwy cios duszy nordyckiej Europy.

Sprawa miłosierdzia nasuwa p. Rosenbergowi sposobność do ponownego poruszenia kwestii odpustów. Autor *Mitu* czyni to bez odrobiny wyrozumiałości; zdawać by się mogło, że przeniesiono nas w głąb szesnastego wieku, tak dalece roztrząsania te przypominają polemikę Lutra, Melanchtona i magdeburskich „Centurii"... Zioną one nienawistną wściekłością przeciwko „rzymskiemu papiestwu założonemu przez szatana"...

Tylko, że Rosenberg skorzystał niestety z lekcji encyklopedystów i nawet z terminologii francuskiej szkoły socjologicznej, czyli, mówiąc inaczej, z nauki Żyda, Lévy-Brühla. Przedstawia zatem Najwyższego Pasterza już nie jako sprzymierzeńca szatańskiego (demon etrusko - syryjski) lecz jako guślarza.

Modlitwa tego czarownika sprowadza albo wstrzymuje deszcz; jego przekleństwo zabija; na domiar zawarł on układ z Bogiem (czy z bogami!) a układ ten zmusza Jego (bądź też ich) do uległości lub tylko wpływu na Niego (na nich) za pośrednictwem magicznych rytów.

Dodajmy tu jeszcze pewną sentencję, takie sobie ulotne słóweczko:

Opisywać wysiłki podjęte celem osiągnięcia na polu światowej polityki tryumfu magiczno-szatańskich pojęć o świecie — znaczy to pisać dzieje dogmatów i dzieje Kościoła rzymskiego.

Sam Rosenberg opisuje jednak wspomniane wysiłki; a oto kilka próbek jego opisu. Spuśćmy raczej zasłonę na soczysty obraz „pornokracji" papieskiej z X i XI wieku oraz na przypisek, głoszący jakoby Watykan miał płacić swych urzędników czekami wystawionymi na domy nierządu, Sykstus IX zaś — tolerować miał za pewną ustaloną opłatą miłość przeciwną naturze. Weźmy jednak pod uwagę wyjaśnienie reformy kluniackiej.

Surowy nakaz zachowywania milczenia obowiązywał w niektórych częściach kluniackiego klasztoru; wielka radość czy przyjemność były zakazane, przyjaźń potępiona. — Donosicielstwo ogłoszono za pobożny obowiązek, na winowajców nakładano poniżające kary. Taka postać przeciwnej naturze dyscypliny wewnętrznej wywodzi się najwidoczniej od rasy wschodnio-liguryjskiej, osiadłej na południowym wschodzie Francji, jeszcze przed

przybyciem tam plemion nordyckich. To druzgotanie własnej duszy, ta wewnętrzna „autokastracja", ta mania podporządkowywania się obcym szatanom i potęgom magicznym, wykazuje nam ducha Kościoła rzymskiego, a duch ten stoi w ścisłym i uwarunkowanym, przez fakty natury rasowej, związku ze wszystkim, co jest ze krwi nie-aryjskiej. I nie jest to bynajmniej prosty przypadek, że reforma kluniacka zakorzeniła się natychmiast we wschodnich (z rasowego punktu widzenia) częściach Lotaryngii...

Dowodzenie Rosenberga grzeszy tylko jednym, „maleńkim" błędem historycznym: rzecz leży mianowicie w tym, że omawiana reforma rozprzestrzeniła się właśnie głównie w krajach o ludności nordyckiej, jeżeli weźmiemy pod uwagę jej kulturę oraz, działające na nią w swoim czasie, starodawne wpływy germańskie.

Na drugim miejscu po Kościele wolnomularstwo wraz z rosyjskim humanizmem podtrzymują zgubną ewangelię namiętności oraz współczucia. W ślad za nieżyczliwym rzutem oka w kierunku „synów Wdowy" następuje u p. Rosenberga pełne podziwu wejrzenie ku postaci Wielkiego Fryderyka. Niestety, jaskrawe przeciwieństwo pomiędzy tym wcieleniem istoty germanizmu, jakie przedstawiała osoba wymienionego monarchy, a fałszywymi braćmi z Lóż wolnomularskich, istnieje wyłącznie na kartach „Mitu XX wieku". Naukowe dzieje wieku osiemnastego malują nam Wolterowego przyjaciela i przyjaciela wszystkich filozofów również jako opiekuna i członka wolnomularstwa, poza tym zaś jako potomka długiego szeregu francuskich szlachetków, od których wywodzi go po kądzieli krew bynajmniej nie nordycka, lecz za to bardzo „zachodnia" i „nadśródziemno-morska" w osobie jednej z prababek, Eleonory Desmiers d'Olbreuse.

Rasowemu wreszcie upadkowi narodu rosyjskiego przypisuje Rosenberg winę rozpętania na ziemi moskiewskiej pożogi bolszewizmu. Dostojewscy i Tołstoje utorowali, według niego, drogę komunistom Smerdiakowym.

Otóż, o ile się nie mylimy: ustrój caratu opierał się przede wszystkim na ludziach nordyckich, u których „bezkrwista miłość" nigdy nie stłumiła poczucia honoru. Nie podobna zaliczyć Fredericksów, Plehwów, Rosenkampfów,

Stürmerów wraz ze wszystkimi innymi nadbałtyckimi baronami do alpejskiego albo tatarskiego plebsu! Dynastia Romanowych pochodzi z czysto-nordyckiej krwi Holsteinów-Gottorpów, książąt Oldenburga. Nadto bolszewicką zarazę sprowadził do Rosji w dobrze opancerzonym wagonie, inny jeszcze spośród synów Atlantydy, Ludendorff z imienia. Szczegóły te zresztą nie posiadają znaczenia.

Dusza nordycka poczyna znowu działać od środka, od wewnątrz... urasta z niej poczucie honoru... Nowy okres nastał w dziejach niemieckiej mistyki. Mit krwi wraz z mitem wolnej duszy budzą się do nowego, świadomego życia...

Zaczem Rosenberg stawia nam Mistrza Eckeharta za przykład, uważając go za upostaciowanie najwyższego wyrazu germańskiego odczucia świata *(Weltgefühl)*. Religia Eckeharta, skierowana przeciwko Rzymowi, takaż jego etyka oraz krytyka poznania, dzielą tego mistyka od podstawowych przykazań zarówno Kościoła rzymskiego jak i przyszłej organizacji kościelnej, którą miał stworzyć Luter. Na miejsce judeo-rzymskiej statystyki kładzie on dynamizm duszy zachodnio-nordyckiej; wymaga uznania życiowego dualizmu w miejsce narzuconego monizmu; głosi wyznawanie wolnej duszy i wolnej woli zamiast nauki o poddaniu się i uległości; honorem oraz szlachetnością moralnej osobowości zastępuje uroszczenia Kościoła, przywłaszczającego sobie Boskie namiestnictwo; arystokratyczny zaś i osobowy ideał duszy, dojrzałej samej w sobie i odosobnionej zajmuje u niego miejsce „ekstatycznej miłości wraz z jej pokornym oddaniem". Słowem: „dusza nordycka zawdzięcza Mistrzowi Eckehartowi to, że po raz pierwszy uświadomiła sobie samą siebie". Dusza ta wszakże dąży przede wszystkim do czynu. *Im Anfang war die Tat* — „Na początku był czyn", akt różniący się zasadniczo od *działalności* żydowskiej. Działalność ta bowiem zmierza ku celom ziemskim, materialnym. Czyn natomiast, dla człowieka Zachodu, jest wyrazem wewnętrznej istoty, duchowej ewolucji, pozbawionej ubocznych ziemskich celów. — Między potomkami nordyckich hugenotów z Francji, znaleźliby się zapewne niektórzy, zarażeni miazmatami judeo-bolszewizmu, i ci prawdopodobnie daliby następujące określenie: czyn nordycki — to czyn z łaski.

Otóż właśnie, stawiając nam przed oczami ten drogocenny nordycki czyn z łaski, Rosenberg wznosi się z Piekieł do Czyśćca; otwieramy drugą z kolei księgę „Mitu", noszącą tytuł: „Istota sztuki germańskiej" i ten temat omówimy w oddzielnym artykule.

R. F. Walczyński.

Syntetyczna myśl ustrojowa.

Kapitalizm i komunizm.

W senacie polskim, niespełna przed rokiem, toczyła się ożywiona dyskusja. Jeden z członków tego wysokiego zgromadzenia zionął pesymizmem na państwową politykę gospodarczą. Dowodził, że nie zdoła ona sprostać przepastnym potrzebom kraju. Minister skarbu gorąco ten pesymizm zwalczał. Po pewnym czasie uspokoili się obaj dyskutanci, znalazłszy płaszczyznę, jeśli nie porozumienia, to wzajemnego zrozumienia. Senator pesymizmu się nie wyrzekł, ale zrezygnował z opozycji, skłaniając głowę przed czymś w rodzaju *fatum*. Naturę tej siły wyższej określił słowami: „jeśli nie kapitalizm, to komunizm". Wynikał stąd wniosek praktyczny, że jakkolwiek by się problematycznie przedstawiały widoki podźwignięcia polskiego gospodarstwa przy ustroju kapitalistycznym (a braku kapitałów), to jednak nie da się zrobić nic ponadto, co się już czyni, gdyż wtedy wypadłoby przekroczyć ramy kapitalizmu, tym samym przechylając się do komunizmu. Według tego bowiem poglądu *tertium non datur*.

Minister milcząco aprobował powyższe stanowisko, jako kładące kres opozycji i dyskusja została zamknięta. Wynik na pozór mało efektowny, lecz wielce znamienny dla stanu naszej świadomości w zakresie problemu ustrojowego. Najbardziej uderzającym rysem tego stanu wydaje się niemoc wyobraźni wobec jakichkolwiek zmian, które jeszcze nie nastąpiły, chociaż nastąpić mogą i muszą.

Ongi, przed Wielką Rewolucją, podobna niemoc sprawiła, że nie do pojęcia był dla francuskiej arystokracji ża-

den układ społeczny odmienny od tego, który podówczas istniał, a miał za sobą autorytet odwiecznego trwania. Nieodzowna, głęboka przebudowa tego układu nie tylko budziła nienawiść i opór, lecz przede wszystkim wydawała się najczystszą utopią, ze względu na absolutny brak jakichkolwiek precedensów. Wpływ tego braku na umysłowość warstw rządzących okazał się wtedy katastrofalnym, gdyż utrącono próbę reform Turgot i Neckera, zabarykadowano drogę ewolucji i całą dynamikę zdławionego przez przestarzałe urządzenia rozwoju życia wpędzono na tor żywiołowego, rewolucyjnego wybuchu.

W sto dwadzieścia pięć lat po Wielkiej Rewolucji, z której się zrodził kapitalizm, a w przededniu wielkiej wojny, która pierwsza podważyła jego fundamenty, myśl zachowawcza zajęła wobec tego już utworzonego ustroju stanowisko podobne, jak ongi wobec osiemnastowiecznego *ancien regime'u*. Dla wszystkich ludzi „poważnych i rozsądnych", a przede wszystkim przez kapitalizm bezpośrednio czy pośrednio uprzywilejowanych, jakikolwiek porządek społeczny odeń odmienny stał się wręcz nie do pomyślenia. Wszak on był jedyną rzeczywistością przedwojenną, miał za sobą z górą stulecie nieprzerwanego, a zdobyczami techniki uświetnionego trwania i znów nie miał przeciwko sobie żadnych precedensów zmiany. Ach te precedensy! Czyż można bez nich przedsięwziąć cośkolwiek „poważnie?" Czy to nie byłoby szaleństwem? Czy najbardziej utopijnym spośród szaleństw nie wydawał się wówczas antykapitalistyczny fanatyzm klasowy komuny?

„Szaleństwa" jednak rzeczywiście tworzą częstokroć dzieje; a już w szczególności, tworzą nieodzowne dla działań „poważnych", pierwsze dziejowe „precedensy". Pierwszym „szaleństwem", które zadało cios ustrojowemu „dogmatowi" kapitalizmu okazała się wielka wojna. Jej wynik nie obali wprawdzie kapitalizmu na zwycięskim zachodzie, lecz wzmógł centralizację bogactw po jego stronie, kosztów zaś i zniszczeń po stronie przeciwnej, pogłębiając przez to jeszcze bardziej niż przed wojną, brak równowagi w kapitalistycznej gospodarce światowej. Co więcej, na wschodzie, w Sowietach, wielka wojna powołała do życia nowy porządek

społeczny, wybitnie antykapitalistyczny, pod klasowym sztandarem komuny. Wyznawcy realizmu, ludzie patrzący tak dalece „trzeźwo", że aż upatrujący jedyną możliwość w każdorazowej rzeczywistości, zmuszeni zostali teraz zarejestrować w jej obrębie, jeśli nie wprost realizację utopii, to w każdym razie fakt „bez precedensu": zmiany ustroju kapitalistycznego na biegunowo odwrotny. Sowiecka „dyktatura proletariatu" okazała się wprawdzie barbarzyństwem, ale tym bardziej rzeczywistym i groźnym. Odtąd „dogmat" ustrojowego jedynowładztwa kapitalizmu musiał ulec rewizji. Uzgodnienie „szaleństwa" z rzeczywistością przeprowadziła myśl zachowawcza za pomocą alternatywnej formuły: „jeśli nie kapitalizm, to komunizm".

Burzliwa wszakże rzeczywistość dziejowego przełomu nie chce się żadną miarą ustatkować. Najwidoczniej drwi z konserwatywnej powagi i nie przestaje dopuszczać się coraz nowych szaleństw, wszelkiego precedensu pozbawionych... Dualistyczna formuła „jeśli nie kapitalizm to komunizm", przymierzona do tej rzeczywistości, bardzo szybko okazała się za czarną. Ażeby ją objąć musiałaby się stać co najmniej troistą, przybierając brzmienie: „jeśli nie kapitalizm to komunizm, a jeśli nie komunizm to faszyzm". Ten nowy fakt ustrojowy wkroczył w obręb przełomowej rzeczywistości drogą dla kapitalizmu mniej wprawdzie niż komunizm groźną, bo nie od strony walki klas. Faszyzm postawił sobie za cel zaprząc obie walczące przy kapitalizmie klasy, burżuazję i proletariat, do solidarnej służby narodowemu gospodarstwu, kierowanemu przez totalnie narodowe państwo. Dla osiągnięcia tego celu faszyzm posłużył się formą organizacyjnej korporacji, oraz silnie ograniczył swobodę gospodarki indywidualnej, zwłaszcza od strony dyspozycji kapitałem. Nie wprowadził jednak zmiany zasadniczej w systemie podziału dochodu społecznego między kapitałem a pracą, i nie uruchomił środków techniki pieniężno-finansowej, jedynie zdolnych taką zmianę wcielić w czyn. Stąd faszyzm może uchodzić za pewnego rodzaju połowiczną reformę kapitalizmu, która jego istoty nie przeobraża na tyle, by z tego tytułu zachodziła konieczność potrojenia dualistycznej formuły „jeśli nie kapitalizm to komunizm".

Komunizm różni się od faszyzmu konstrukcyjnie tym, że nie ujarzmia obu walczących przy kapitalizmie klas na rzecz dyktatury nacjonalistycznej, lecz jedną z tych klas, burżuazję niszczy na rzecz dyktatury sprawowanej rzekomo przez klasę drugą, przez zwycięski proletariat. W rzeczywistości niszczy wprawdzie burżuazję, ale jej stan posiadania przejmuje w ręce swe absolutyczne państwo, które z kolei ujarzmia także proletariat.

Zauważyć trzeba, że i komunistyczna próba przebudowy społecznej chociaż pochodziła od walki klas i była pełna antykapitalistycznego fanatyzmu, nie zdołała jednak przekształcić struktury ustrojowo-gospodarczej kapitalizmu w samym jej fundamencie, w wadliwym podziale dochodu społecznego między kapitał a pracę. Sowiecka komuna anektowała kapitał na korzyść bolszewickiego państwa wraz z przywilejem zysku. „Nowego podziału" tego zysku nie przeprowadziła, nie przekazała go na podniesienie stopy życiowej robotników, lecz zagarnęła dla „dyktatury proletariatu".

Można by rzec wobec tego, że w Rosji nastąpiła rewolucja o charakterze bardziej politycznym niż społeczno-gospodarczym. Między stroną polityczną a stroną społeczno-gospodarczą ustroju zachodzi wszakże tak ścisły związek, że całokształt tej dyktatury rzekomo klasowej i proletariackiej, łącznie z sowieckim kapitalizmem państwowym, nie bezpodstawnie uchodzi za antytezę ustrojową liberalnego i burżuazyjnego kapitalizmu zachodniego.

Genealogia nienawiści.

Jego przeciwieństwem jest również faszyzm, ale tutaj punkt ciężkości różnic jeszcze silniej się przesuwa ze sfery społeczno-gospodarczej w polityczną. Dlatego zapewne popularna alternatywa „jeśli nie kapitalizm, to komunizm" postawiona wobec tego trzeciego dokonanego faktu przemian ustrojowych, nie została nań rozszerzona wprost, lecz otrzymała równoległy duplikat polityczny: „jeśli nie liberalizm, to totalizm".

Dawniej, gdy faszyzm uchodził za unikat włoskiej inwencji „nieprzeznaczony na eksport", pokrewną myśl wyrażono słowami „jeśli nie demokracja, to biurokracja", lub jeszcze inaczej „jeśli nie parlamentaryzm, to absolutyzm policyjny". Wszystkie poważne warianty, zarówno dotyczące społeczno-gospodarczej, jak politycznej strony ustroju dają się sprowadzić do wspólnego mianownika, który mógłby otrzymać brzmienie: „jeśli nie indywidualizm, to kolektywizm" polityczny, gospodarczy i społeczny.

W tych popularnych formułach otrzymał swój wyraz przede wszystkim konserwatyzm opinii publicznej wobec coraz to nowych typów ustroju wyłanianych przez rzeczywistość. Opinia skłonna jest zawsze uważać za realne tylko to co się już stało, nigdy to co dopiero nadchodzi, pomimo, że mnożące się fakty przemian powinnyby konserwatyzmu oduczyć. Formuły powyższe są jednak znamienne także i pod innym, jeszcze ważniejszym względem. Oprócz szerokiej opinii, która wobec zagadnień ustrojowych zachowuje postawę raczej bierną, a zmianom, gdy one już nastąpią, niemniej biernie się poddaje, istnieją w społeczeństwie także grupy „elitarne", wybitnie czynne, które nie tylko nie bałwochwalą każdorazowej rzeczywistości, lecz właśnie wprowadzają w jej obręb fakty dokonane zmian.

Opinia podąża w ślad za tymi faktami, gdy formułuje swoje alternatywne „jeśli nie, to itd." Ale w tych alternatywach odbija się nie tylko jej konserwatyzm, lecz ponadto skrajna przeciwstawność faktów, które im dają początek, oraz dążeń, które dają początek faktom. Najbardziej uderzający rys współczesnego przełomu stanowi nie tylko sama dynamika i natężenie zmian, lecz bardziej jeszcze biegunowe przeciwieństwo kierunków w jakich się je przeprowadza. Mniej ostro rysuje się ono między faszystowską a komunistyczną odmianą totalizmu, gdyż dzieli je głównie podmiot społeczny (naród — proletariat) oraz interes międzynarodowy, a więc różnice rzeczowe. Ze szczególną zaś siłą występuje to przeciwieństwo w dziedzinie ustroju politycznego, społecznego i częściowo gospodarczego pomiędzy totalizmem narodowym i klasowym z jednej strony, burżuazyjnym zaś libero-kapitalizmem z drugiej. Tutaj dosięga ono najgłęb-

szych podstaw budowy społecznej, wzajemnego stosunku jednostki i zbiorowości, indywidualizmu i kolektywizmu. Skąd to przeciwieństwo jest rodem?

Nie da się na to pytanie odpowiedzieć inaczej, jak z pewnej perspektywy. Pragnąc ją uzyskać nie mogę się cofać zbyt głęboko w rozwój dziejowy, gdyżby mi to rozsadziło ramy artykułu. Stwierdzę więc tylko, że w rozwoju tym występują oba dziś aktualne typy ustrojowe. Jeden z nich, indywidualistyczny i wolnościowy, daje przewagę jednostce nad zbiorowością, obywatelowi nad państwem; drugi zaś kolektywistyczny (niekoniecznie w sensie marksistowskim) i autorytatywny, daje przewagę zbiorowości nad jednostką, państwu nad obywatelem. Oba te systemy posiadają odmienne właściwości dodatnie i ujemne, które mogą lepiej lub gorzej odpowiadać koniecznościom rozwoju społecznego w danej epoce. Oba więc rywalizowały z sobą w Europie co parę wieków, ustępując sobie nawzajem w charakterze reakcji jednego przeciw drugiemu. Reakcje te następowały przeważnie w postaci gwałtownej, rewolucyj i wojen, im zaś były gwałtowniejsze tym bardziej skrajnie kształtowały ustrój zwycięski w jego zasadniczych cechach swobody lub absolutyzmu.

Ostatnią taką reakcją wolnościową przeciwko absolutyzmowi była Wielka Rewolucja francuska. Zrealizowała ona nowy ustrój konsekwentnie oparty na maksymalnej swobodzie jednostki wobec społeczeństwa zarówno w dziedzinie politycznej jak gospodarczej. Ustrój ten okazał się tak jednostronnym, że bardzo szybko począł wykazywać obok zalet, także ciężkie i niebezpieczne wady. Wprowadzono absolutną demokrację, to znaczy nie tylko równość wszystkich jednostek wobec prawa, ale także bezpośredni stosunek każdej z nich — obywateli do zbiorowego ogromu, bez żadnych ogniw pośredniczących. Zagrażało to zupełnym zdruzgotaniem jednostki przez masę, oraz anarchizację woli zbiorowej, formalnie suwerennej wobec parlamentarnego państwa. W dziedzinie praktycznej anarchię dało się ograniczyć dzięki samorzutnej organizacji pośredniej między jednostką a masą obywateli i państwem, jaką stanowią partie, które zresztą formalnie w skład ustroju nie wchodzą.

W dziedzinie gospodarczej warunki wytworzone przez liberalizm okazały się jeszcze trudniejsze do opanowania i stały się z czasem przyczyną śmiertelnych ustrojowych zwyrodnień. Zasada maksymalnej wolności osobistej jednostek znalazła tu swój wyraz w niczym nieograniczonym prawie własności oraz inicjatywy gospodarczej. Zasada ta nie tylko sankcjonowała nierówność majątkową, lecz otwierała jak najszersze pole dla jej dalszego rozwoju, kontrastując prowokacyjnie z formalną równością wobec prawa. Na tle tej równości i częściowo dzięki niej, nierówność majątkowa i nierówność gospodarczych uzdolnień spowodowały pewnego rodzaju „stan natury", czyli dzikiej, nieokiełznanej walki o byt, grożącej wytępieniem wszystkim, którzy by jej sprostać nie byli zdolni. W tych warunkach wolność stawała się zarazem najsroższą tyranią. Ostoję przeciwko niej znalazła jednostka znów tylko dzięki samorzutnym, pozaustrojowym zrzeszeniom, naprzód po stronie ubóstwa: pracy i spożycia, a później, rzecz znamienna, także po stronie kapitału. Nawet bowiem i dla „organizatorów produkcji" ciężar niczym nieokiełznanej, wolnej konkurencji okazał się z czasem zbyt trudny do zniesienia. W ten sposób w łonie libero-kapitalizmu, który natężeniem walki, nierównością sił i ciężarem niezorganizowanej masy począł jednostkę miażdżyć, powstawała zwolna reakcja antyindywidualistyczna, gromadząca rozproszone siły atomów ludzkich w grupy stanowo-zawodowe.

Była to reakcja organiczna i konstruktywna, zwrócona przeciwko samej istocie ustroju opartego na nieograniczonej swobodzie pojedyńczego obywatela, pozostawionego w zamian wyłącznie własnej trosce w walce o byt. Ta walka jednak wysunęła się na czoło ustroju, jako jego zjawisko dominujące i naczelne. Stąd powstał inny jeszcze rodzaj reakcji niemniej organiczny, lecz mniej konstruktywny, który podporządkował sobie zrzeszenia zawodowe. Cała struktura społeczeństwa kapitalistycznego oparła się na przeciwstawności bogactwa i ubóstwa, montując jeśli nie prawnie to faktycznie ustrój klasowy, złożony z dwu warstw, bogaczy i ubogich, producentów i najemników, burżuazji i proletariatu. Pośrednia drobna własność zajęła w tym systemie

miejsce drugoplanowe i nie zmieniała zasadniczych rysów jego oblicza. Te rysy zaś ukształtowały się monstrualnie. Impulsem czynu ze strony burżuazyjnych „organizatorów produkcji" uczynił kapitalizm wyłącznie chuć zysku i niepohamowaną, bezkresną, niczym nigdy nienasyconą żądzę bogacenia się. Ona się stała bogiem całej do szpiku kości zmaterializowanej epoki. Ale że temu bałwanowi kapitalistycznego świata wydano bezlitośnie na łup wszystko, co było w społeczeństwie ekonomicznie słabsze, więc właśnie z tej strony powstała automatyczna reakcja samoobrony. Jej impuls psychiczny jest odwrotny, lecz równoległy, równie głęboko zmaterializowany, równie namiętny, niepohamowany, bezlitosny i dziki jak burżuazyjny kult złotego cielca. Nienasycona żądza gromadzenia bogactw depcąca prawa ludzkie wyzyskiwanych mas zbudziła w nich, utrwaliła i spotęgowała do monstrualnego napięcia żądzę wydarcia bogactw z ręki burżuazji przemocą, oraz — żądzę zemsty.

To marksizm i walka klas. Nie są one właściwie reakcją przeciwko kapitalizmowi, za jaką uchodzą i jaką miałem na myśli wspominając, iż ruch stanowo-zawodowy nie sam jeden wobec kapitalizmu reaguje. Marksizm i walka klas to czynniki składowe ustroju kapitalistycznego, organicznie zeń wyrastające i odeń nieodłączne. Pozytywom produkcji i gromadzenia bogactw pędzonym żądzą zysku odpowiada negatyw spożycia i podziału bogactw pędzony żądzą odwetu. Nienawiść klasowa wypełnia przepaść psychiczną między tymi dwu członami kapitalizmu. Ta atmosfera duchowa, ten stan chronicznej, beznadziejnej walki klas, grup, jednostek i w ogóle wszystkich ze wszystkimi, stanowią społeczny fundament libero-kapitalizmu, ustroju uważanego dotąd przez wielu za jedynie możliwy i naturalny.

Nieprawdą jest, że „jeśli nie kapitalizm, to komunizm" i że *tertium non datur*. Natomiast prawdą jest, że „g d z i e k a p i t a l i z m, t a m i k o m u n i z m". Jedno rodzi drugie. Wyzysk wlecze za sobą nieuchronną konsekwencję buntu. Marksizm jest rodzonym bratem kapitalizmu. Łączy oba te zjawiska najbliższe pokrewieństwo ducha w jedności materialistycznego światopoglądu i obyczajów. Marksizm przeciw-

stawia się kapitalizmowi, jako reakcja czysto-funkcjonalna,— odwrotnością dążeń i urządzeń w tej samej płaszczyźnie. Skrajnie indywidualistyczna teza ustrojowa kapitalizmu opiera budowę społeczną na pojęciu własności, jako nieograniczonym przywileju jednostki zamożnej, dającym prawo do wyzysku niezamożnych. Wobec niej marksizm wysuwa niemniej skrajną antytezę kolektywistyczną upaństwowienia wszelkiej własności i zakucia jednostek w kajdany zetatyzowanej pańszczyzny. W porządku politycznym konsekwentnie usuwa parlamentaryzm, zastępując go totalnym, klasowo-proletariackim, despotyzmem.

Taka prymitywna, żywiołowa negacja jednego ustroju skrajnego przez ustrój skrajnie odwrotny wypływa bezpośrednio z walki klas i nosi na sobie piętno jej ducha. Demoliberalne państwo kapitalistyczne, nadając jednostce *maximum* praw, lecz odrzucając jakiekolwiek organizacyjne ogniwa pośrednie między nim a nią, rzuca tęż jednostkę w odmęt zanarchizowanej masy i topi ją w niej, jak kroplę w morzu. W wyniku zwycięskiej walki klas morze to z kolei krzepnie w górę lodową, która wszystkie jednostki równa na pozycji proletariatu wobec państwa — kapitalisty, oraz miażdży je jego wszechwładzą.

Tak bywa wszakże nie tylko w wypadku antykapitalistycznej reakcji pionowej, społeczno-klasowej. Również faszyzm wywołuje podobne skutki, aczkolwiek w drodze antykapitalistycznej reakcji poziomej, międzynarodowej. Jak już wspominałem w artykule poprzednim, kapitalizm opiera swoją budowę na fundamencie nierówności i niesprawiedliwości w podziale bogactw nie tylko wewnątrz państw i gospodarstw ale także na nierównym podziale ziem i ich zasobów pomiędzy narodami, w obrębie gospodarki światowej. Ta zewnętrzna właściwość kapitalizmu, wypływa z tego samego, co i właściwości wewnętrzne, źródła psychologicznego, mianowicie z nigdy i niczym nasycić się nie dającej żądzy posiadania, która od tej strony zdołała przeniknąć już całe społeczeństwa zachodnie, bez różnicy klas. Jej główny objaw występuje pod nazwą *imperializmu* kolonialnego mocarstw wielko-przemysłowych.

Faszyzm i hitleryzm powstały przeciw niemu jako reakcja równie spontaniczna, dynamiczna i prostolinijna jak

marksizm w dziedzinie wewnętrznej. Marksizm totalizuje zbiorowość w celu wydobycia z niej, choćby przez zatracenie jednostki, *maximum* wysiłku dla walki klas o podział bogactw w kierunku pionowym, lub, w razie zwycięstwa, dla ich obrony przed kontrrewolucją. Faszyzm zaś totalizuje zbiorowość w celu wydobycia z niej, choćby przez zatracenie jednostki, *maximum* wysiłku w walce ras (narodów) o podział bogactw (ziem) w kierunku poziomym, międzynarodowym. Zgodnie z tymi celami hasła doktrynalne oraz częściowo metody i kierunki działań są u obu totalizmów, klasowego i narodowego, różne, ale socjologiczny charakter zjawiska ten sam. Marksizm bałwochwali proletariat, a nazewnątrz dąży do rewolucji światowej. Rasizm bałwochwali narodowość, a na zewnątrz dąży do zaspokojenia jej potrzeb drogą wojny, choćby i światowej.

Nie tylko marksizm jest więc rodzonym bratem liberokapitalizmu. Bliskie pokrewieństwo duchowe wiąże z nim oraz z komuną również rasizm. Międzynarodowej tezie kapitalizmu o nietykalności „pustych imperiów" kolonialnych przeciwstawia on w tej samej płaszczyźnie antytezę kontrimperializmu zdobywczej ekspansji. Realizuje życie zbiorowe niemniej despotycznie od komunizmu, aczkolwiek nie kolektywizuje go w dziedzinie gospodarczej tak radykalnie. Światopoglądowo wyznaje materializm w postaci łagodniejszej od komunistycznego ateizmu, stwarzając neo-pogański kult krwi i ziemi.

Ale to są odchylenia drugorzędne. Znaczenie rozstrzygające posiada przede wszystkim fakt, że wszystkie trzy naczelne prądy ustrojowe współczesne, zarówno najstarszy i konserwatywny libero-kapitalizm zachodu, jak obie przeciwko niemu skierowane reakcje funkcjonalne, związane są jednością ducha skrajnego, wyuzdanego z wszelkich względów, totalnego *egoismo sacro*. W libero-kapitalizmie jest to w pierwszym rzędzie egoizm indywidualny poszczególnych jednostek, chuć zysku i użycia wyniesiona do roli kierowniczego impulsu życia społecznego. Dopiero w następstwie, siłą naturalnego rozwoju, komasuje się ona w egoizm zbiorowy klas, utrwala chroniczny stan walki między nimi, a zarazem rozszerza się w zbiorową namiętność im-

perialistyczną na zewnątrz. W komunizmie i rasizmie, jako formach reakcji wywołanej przez kapitalizm, egoizm występuje od razu stotalizowany i skolektywizowany na rzecz zbiorowości.

Całe to potrójne „rodzeństwo", ideowo i ustrojowo niewątpliwie stanowi socjologicznie jedną rodzinę. Bezgraniczna, krwiożercza, fanatyczna zaciekłość z jaką się wzajemnie zwalcza z powodu spornych wartości rzeczowych potwierdza tylko najbliższe pokrewieństwo ich wspólnego moralnego typu. W drzewie genealogicznym tej rodziny miejsce protoplasty zajmuje materializm filozoficzny i obyczajowy. On pierwszy skupił wszystkie siły społeczeństw w żądzy nieokiełznanej swobody, rozpasanego użycia i kumulacji bogactw. One z kolei zrodziły potworne potomstwo odwetu klasowego lub międzynarodowego, choćby przez światową rewolucję lub światową wojnę, przeobrażając przyrodzone skłonności natury ludzkiej, miłującej kraj, dążącej do dobrobytu i sprawiedliwości, w ciemne moce zniszczenia.

Przełom od podstaw.

Te trzy dzikie siły panują dotąd prawie niepodzielnie nad rzeczywistością współczesną. Libero-kapitalizm zachodni, chociaż podminowany (zwłaszcza we Francji) przez walkę klas, ale uzbrojony od zewnątrz, wytrwale broni swoich pozycyj przed atakującymi totalizmami. Która z tych sił zwycięży i który z tych ustrojów zdoła na czas dłuższy ukształtować oblicze świata?

Zachodzi najwyższe prawdopodobieństwo, iż żaden nie jest do takiego dzieła zdolny i żaden go nie dokona... Przede wszystkim dlatego, że te trzy potęgi są sobie prawie równe, więc zgodna z ich naturą rozgrywka, w drodze rewolucji lub wojny powszechnej, żadnej decyzji zapewne by nie przyniosła. Natomiast rozpętałaby tak niebywałą destrukcję, że Europa runęłaby w gruzy i zewsteczniła się do poziomu barbarzyństwa. Po wtóre te trzy siły i dlatego jeszcze nie są zdolne wykształtować przyszłego trwałego ustroju, że jedna z nich, libero-kapitalistyczna nie może sprostać nowym koniecznościom życia, a niczego więcej nie pragnie jak tylko konserwować się jak najdłużej. Dwie

zaś pozostałe siły reagują przeciwko pierwszej wprawdzie bardzo gwałtownie, ale zbyt powierzchownie. Nie dosięgają ani materialnych, ani tym bardziej psychicznych źródeł starczego uwiądu kapitalizmu, nie zdają też sobie z nich sprawy, bo same są z kapitalizmem jednego socjologicznego rodu.

Świadomość istoty przeżywanej tragedii bardzo w świecie dotąd szwankuje. Jak pijak zatacza się ona od ściany do ściany pomiędzy anarchią a despotią, wszędzie uderzając głową o mur. Pisałem wprawdzie przed chwilą, że ustrój wolnościowy i autorytatywny, w postaciach raczej skrajnych występują nieraz na przemian w rozwoju dziejowym. Ale nie zawsze tak bywało. Dziś absolutnie tak być nie może, bo natura obecnego przełomu nie da się ograniczyć do samego tylko zagadnienia: czy koncentrować energię społeczną przez totalizm, lub też przeciwnie wyładowywać ją w indywidualistycznym rozstrzeleniu ustrojów wolnościowych.

Wewnętrzna niemoc kapitalizmu wobec nowych konieczności życia, chroniczna anarchia, którą nawroty wielkiego kryzysu wzmagają w stosunkach między kapitałem a pracą, wytwórczością a spożyciem, sięga niewątpliwie najgłębszych podstaw społecznego współżycia, a więc prawa własności. Naprzeciw siebie stają tutaj dwie odwrotne zasady: kapitalistyczna zasada własności nieograniczonej oraz komunistyczna, która własność prywatną zupełnie znosi. Jedna i druga są błędne, jedna i druga prowadzą do zwyrodnień, bo jedna i druga przeczą naturze ludzkiej. Własność nie jest urządzeniem przeznaczonym na to, ażeby służyć wyłącznie interesom jednostki, jak chce kapitalizm, i nie jest przeznaczona na to, ażeby stanowić wyłączny przywilej zbiorowości i tylko za pośrednictwem jej służyć jednostce. Właściwy charakter i cel prawa własności trafnie określiło jedynie chrześcijaństwo, stwierdzając z wyżyn Stolicy Apostolskiej, iż charakter ten jest dwoisty, zarazem indywidualny i społeczny. W myśl tej zasady własność ma służyć zarówno dobru właściciela, jak społeczeństwa do którego on wraz ze swą własnością należy. W chrześcijaństwie jest to zasada równie stara, jak ono samo, ale najzupełniej obca koncepcji ustrojowej tak kapitalistycznej jak komunistycznej.

Kapitalizm zaprzecza stronę społeczną własności, pozostawiając ją poza podatkiem państwowym, całkowicie do prywatnego uznania właściciela. Komunizm przeciwnie zaprzecza całkowicie indywidualną stronę własności. Pierwszy prowadzi do klęsk, gdyż dopuszcza do skrajnego rozpasania egoizmu jednostek. Drugi prowadzi również do klęsk, gdyż zakuwa jednostki w niewolę.

Ustrój zrównoważony i harmonijny nie może być osiągnięty inaczej, jak przez wprowadzenie w czyn tej zasady dwoistego charakteru własności. To znaczy, że z jednej strony musi zabezpieczyć właścicielowi dostateczną swobodę ruchów dla prowadzenia gospodarki indywidualnej, z drugiej zaś strony musi wyznaczyć normy prawne społecznego obowiązku tejże własności, oraz włączyć ją w organizację nadrzędną, powołaną do przestrzegania tych norm. Źródła norm prawnych w tym wypadku stanowić będzie przede wszystkim zasada ogólno-społecznej celowości gospodarczej, w pierwszym rzędzie zatem konieczność równomiernego rozwoju produkcji i spożycia. Usunie ona niesprawiedliwość społeczną, upośledzającą pracę i konsumcję na rzecz kapitału i wytwórczości. Ograniczy zysk producenta o tyle, że mu narzuci ustawowe *minimum* płacy za pracę i czasu tej pracy, a także *maximum* cen przystosowane do siły nabywczej rynku. W tych granicach producent będzie musiał osiągnąć rentowność przedsiębiorstwa i ewentualną kapitalizację. Będzie zaś mógł ją osiągnąć jedynie przy odpowiedniej objętości kapitału, względnie kredytu obrotowego, co się wiąże z wielką reformą finansowo-monetarną, jako dźwignią społecznej przebudowy [1]). Rozmiar produkcji oraz swoboda inwestycji kapitału zaoszczędzonego ulegną również ograniczeniu zależnie od wskazań planu gospodarczego, tak ogólnopaństwowego, jak danej gałęzi wytwórczej.

Elementy przebudowy.

Reforma prawa własności i wcielenie w czyn jej dwoistego charakteru to pierwsza zasadnicza podstawa, na któ-

[1]) Patrz odnośniki w artykule wrześniowym.

rej oprzeć się musi nowy ustrój, równie daleko odbiegający od kapitalizmu jak od komunizmu. Druga podstawowa zasada dotyczy zmontowania aparatury wykonawczej, co się ściśle wiąże ze sprawą ustrojowo-polityczną. Planowego kierownictwa gospodarstwem narodowym według norm prawnych ustalających dwoisty charakter prawa własności, nie może prowadzić wiecowo-parlamentarna demokracja, po pierwsze dlatego, że jest jednostronną dyktaturą mas, czyli pracy i konsumcji. Im więcej były one dotąd upośledzone przez produkcję i kapitał, tym mniej byłyby zdolne do surowego wobec nich obiektywizmu, bez którego nie może być mowy o harmonii procesów wytwórczych i spożywczych, czyli o prawidłowości gospodarki planowej. Po wtóre najistotniejszą treść parlamentarnej demokracji stanowiła dotąd nieustająca walka klas i partyj, powodująca zanik władzy państwowej, zdolnej do trwałego i konsekwentnego działania. Z drugiej strony jednak równie mało zdolna jest do planowego kierownictwa gospodarstwem narodowym na podstawie dwoistego charakteru własności dyktatura totalistyczna, zwłaszcza klasowa „dyktatura proletariatu", oparta na skrajnym etatyzmie. Celem nowego ustroju nie jest przejęcie na rzecz państwa gospodarczej funkcji kapitału, lecz jedynie nowy ład społeczny, uzgadniający wytwórczość ze spożyciem, kapitał z pracą, a także stosunki konkurencji między przedsiębiorstwami danej gałęzi i działalność tejże gałęzi z koniecznościami całokształtu życia gospodarczego. Z samej natury tych zadań wynika, że roli wykonawczej w ich zakresie podjąć się może najskuteczniej samorządna grupa producentów i pracowników każdego poszczególnego zawodu.

Grupa taka jest zjawiskiem społecznym ogromnej doniosłości, już wyłonionym przez rozwój życia nawet przy kapitalizmie, jak o tym była wyżej mowa. Doniosłość tego zjawiska polega na jego charakterze, t r w a ł e g o p o ś r e d n i e g o o g n i w a pomiędzy jednostką pracowniczą czy producencką, a wielką całością organizmu gospodarczego i państwowego. W nowym ustroju korporacja zawodowa powołana jest do tego, ażeby stać się podstawową komórką organizacyjną zarówno w gospodarstwie, jak w stosunku społe-

czeństwa do państwa. Od niej więc ustrój ten bierze swą nazwę. Jako instytucja naczelna zarówno gospodarcza i państwowa występuje w nim centralna rada korporacyj oraz rząd. Zgodnie z charakterem korporacyj jako komórek podstawowych, nie mogą one być parlamentarne, gdyż nie mogą się opierać na powszechnym głosowaniu, lecz tylko na elekcji korporacyjnej. Nie mogą też być totalistyczne, gdyż zadania są w najwyższym stopniu obiektywne, celowe i służyć mają dobru publicznemu w atmosferze możliwie wolnej od żywiołowego fanatyzmu. Muszą natomiast te instytucje naczelne być umiarkowanie autorytatywne, gdyż obiektywnie pojęte dobro publiczne wymaga realizacji ścisłej i konsekwentnej, nie może więc zależeć od swobodnego uznania tej lub owej grupy. W razie oporu winny też być stosowane sankcje skuteczniejsze niźli te, jakimi rozporządza rząd parlamentarny.

Oparte na korporacjach państwo stanowe wyraża syntetyczną myśl ustrojową, która pozwala wyminąć rafy zarówno skrajnego indywidualizmu, jak kolektywizmu. Jedynie ta myśl zdolna jest rozwiązać pozytywnie współczesny przełom dziejowy wszelako pod warunkiem realizacji nie „fasadowej", jaką już tu i ówdzie podjęto, lecz pełnej i całkowitej. Wymaga ona wprowadzenia w czyn wszystkich elementów tak pojętej przebudowy społecznej, a więc: 1^0 zasady prawnej dwoistego charakteru własności, z której wypływa wniosek, iż gospodarstwo indywidualne nie jest tylko „prywatnym interesem", lecz także odpowiedzialną służbą publiczną; 2^0 korporacji zawodowej, jako podstawowej formy organizacyjnej narodowego gospodarstwa, a w pewnej mierze i państwa; 3^0 reformy systemu pieniężno-kredytowego jako technicznego środka, któryby umożliwił 4^0 nowy podział dochodu społecznego między kapitałem a pracą, zdolny zapewnić równowagę produkcji i konsumcji, tym samym zaś opanować bezrobocie i urzeczywistnić sprawiedliwość społeczną; 5^0 gospodarki planowej, kierowanej przez rząd autorytatywny po uzgodnieniu planu z centralną radą korporacyj; oraz wreszcie 6^0 przełomu moralnego w psychice zbiorowej i duszach jednostek, który jest nieodzowny na to, ażeby ustrój oparty na walce klas, ras, grup i osobników

zastąpić ustrojem opartym na współdziałaniu stanów w społecznym obowiązku zapewnienia każdemu obywatelowi pracy i chleba.

Tak pojęte państwo stanowe nie tylko wymija rafy indywidualizmu i kolektywizmu, nie tylko odbiega daleko od kapitalizmu i od komunizmu, lecz w ogóle jest najzupełniej obce całej tej socjologicznej rodzinie prądów, które rozdzierają obecnie między sobą współczesny świat. One od materializmu pochodzą, materializmem są przeniknięte do szpiku i w płaszczyźnie materializmu usiłują się nawzajem zdruzgotać za pomocą ślepych żywiołowych wzajemnych negacyj. Korporacjonizm różni się od nich zasadniczo nie tylko tym, że ich metody wymija, lecz, że rozrywa błędne koło sfanatyzowanych namiętności kapitalistycznej, klasowej i rasowej, że własne dążenia i metody skierowuje w zupełnie inną płaszczyznę, sięga głębiej do węzłów zła, znajduje wyżej dla nich rozwiązania. W dwu punktach zwłaszcza wkracza w sferę szczególnie niedostępną dla prądów materialistycznych: w punkcie reformy pieniężnej godzi w kapitalistyczny „dogmat" złota, oraz w punkcie przełomu duchowego, uderza w totalistyczne „dogmaty" nienawiści klasowej i rasowej.

To wyniesienie ponad poziom panujących pojęć i namiętności, to przesunięcie problemu ustrojowego w wyższą, ponadmaterialistyczną płaszczyznę obyczajową i światopoglądową, jest zasadniczą siłą i aktualną słabością korporacjonizmu. Siłą obyczajową i światopoglądową, ponieważ na tej tylko drodze można ocalić ginący świat. Słabością zaś — ponieważ wkroczyć na nią trudniej niźli bronić libero-kapitalizmu, lub zwalczać go totalizmami. Nie można korporacjonizmu rozwijać według szablonowych, utartych pojęć, nie można zagarniać dlań pod żagle wichru podżeganych demagogią, popularnych żądz. Szlak takiej łatwej, na panujących prądach wypływającej dynamizacji jest dla korporacjonizmu zamknięty. Jego łódź bierze kurs portu zbawienia, ale dlatego właśnie płynąć musi przeciwko fali. Jej ideowi żeglarze muszą z trudem szerzyć nowe, nieznane lub zapomniane pojęcia, nie mogą jątrzyć ani wyzyskiwać namiętności, lecz muszą apostołować za ich poskromieniem. Muszą budzić uśpione,

zmartwiałe, lub obłąkane materializmem dusze i wciągać je na wyżyny nowej chrześcijańskiej postawy wobec życia.

Dlatego korporacjonizm nie wkroczył jeszcze w pełni zwycięskiej siły twórczej na widownię dziejów, opanowaną przez moce zniszczenia, lecz staje dopiero na jej progu. Wprowadza go nań odwieczny zwiastun dobrej nowiny, Kościół Rzymski.

In hoc signo vinces...

St. Szczutowski.

Ku dalszym rozwiązaniom w Sowietach.

Rozlegają się głosy, iż Rosja sowiecka staje coraz wyraźniej w przededniu przełomu. Niewielu proroków odważa się mówić, iż marksistowski ustrój jest w niej zagrożony, wielu jednak obserwatorom postronnym wydaje się rzeczą pewną, a przynajmniej wysoce prawdopodobną, iż marksistowską Rosję czekają i to już w niedalekiej przyszłości, dosyć gruntowne przemiany.

Przepowiednie te nie precyzują obrazu tych przemian, może dlatego, iż strona zjawiskowa wymyka się zazwyczaj z dziedziny trafnych horoskopów. Pozostaje jednak ogólna linia rozwoju wypadków, a kierunek jej nie jest przecież tak trudno określić.

Ku czemu więc zmierzają sowieckie wypadki? Czy istotnie zapowiadają jeżeli nie pewność to przynajmniej prawdopodobieństwo głębszych ustrojowych przemian?

Punktem wyjścia jest długi, wstrząsający swą grozą szereg procesów politycznych, które alarmują od czasu do czasu opinię całego świata. Otóż wydaje się rzeczą pewną, że procesy te, kończące się prawie z reguły karą śmierci za różne przestępstwa jak trockizm i bucharinizm, sabotaże i szkodnictwo, szpiegostwo i „zdradę ludu", muszą żłobić nie tylko trwałe ślady w psychice rządzącej elity marksowskiej i szerokich mas ludu, ale przygotowują nadto przyszłe wstrząsy i przemiany, podobnie jak rządy carskie przygotowały grunt pod panowanie dynamicznego marksizmu.

W tego rodzaju rozumowaniach łatwo o błąd zasadniczy polegający na tym, iż wypadki oraz mentalność rosyj-

ską mierzy się i ocenia zbyt pochopnie pojęciami świata zachodnio - europejskiego. Diagnoza więc mogłaby być trafną, gdyby chodziło o jakikolwiek kraj na Zachodzie, poczyna jednak gruntownie szwankować, gdy chodzi o ocenę stosunków sowieckich.

I tak jawi się przede wszystkim zasadnicze pytanie: skąd mogłyby wyjść w Rosji reformy czy przemiany obecnego systemu oraz reżimu?

Na czoło możliwości wysuwa się oczywiście trockizm, uchodzący dziś w Sowietach za najgroźniejszego wroga stalinizmu. Ale zapomina się przy tym zbyt łatwo o niewątpliwym, a jakże doniosłym fakcie, iż pomimo całej nienawiści jaka dziś dzieli obu wodzów komunizmu, Trocki należy ideowo i psychicznie do tego samego obozu co Stalin. Mogą istnieć i istnieją drobne odchylenia, dotyczące metodyki rewolucyjnej, ale światopogląd wodza dzisiejszej Rosji i zdetronizowanego zbiega z sowieckiego raju jest w zasadzie identyczny. Trocki uchodzi dziś wprawdzie za Judasza leninowego następcy: Stalina; heretycką swą działalnością i swymi wynurzeniami paraliżuje on i zniesławia dynamiczny marksizm; mimo to nie stwarza on ani nowego poglądu na świat, ani nowej dynamiki, opartej na nowej ideologii, jest tylko po prostu ambitnym rokoszaninem, krnąbrnym dysydentem wielkiego marksistowskiego, rewolucyjnego ruchu. Można powiedzieć, bez żadnej przesady, iż siejąc zamęt i prowadząc zaciekłą walkę ze Stalinem, Trocki jest równocześnie pasożytem tego samego systemu, z niego czerpie ideowe soki, a generalnej linii Stalina przeciwstawia się z żydowskim fanatyzmem właściwie tylko dlatego, że nie on nią kieruje, lecz znienawidzony Stalin.

Trocki jest niewątpliwie wyznawcą marksizmu, wspartego na materializmie, a zdynamizowanego heglowską dialektyką. Z tego właśnie marksizmu wyciągnął skrajne wnioski. Wszak Trocki, a nie Stalin, domagał się pierwszy kolektywizacji rolnictwa, a jeśli obecnie występuje przeciw panującym w Sowietach stosunkom, to dlatego, że jego tam nie ma w areopagu rządzących, że to nie on „naciska", ale sam uległ naciskowi, stąd bluzga jadem i paraliżuje do pewnego stopnia stalinowskie dyrektywy, których jest ideowym współ-

twórcą. Z drugiej zaś strony pomimo swej opozycji, będąc ożywionym tą samą dynamiką marksizmu, nawet wbrew swym zamiarom ideowo podtrzymuje reżim i z nim faktycznie współdziała. Bo żeby poderwać reżim trzeba by podciąć jego ideologię, a Trocki do tego właśnie jest zasadniczo, bo filozoficznie oraz społecznie niezdolny.

Wszak nawet od marksizmu statycznego, czyli od współczesnego socjalizmu, dzieli go cała otchłań ideologii i taktyki. Trocki gardzi socjalizmem nie w mniejszym stopniu, choć z nieco innych powodów, niż Stalin, który pomimo wprzęgania socjalistycznych frontów ludowych w rydwan komunistycznej rewolucji, nie nazywa socjalistów inaczej jak tylko „pachołkami kapitalizmu".

Otóż Trocki żywi dla marksizmu statycznego tę samą, zatem jak najgłębszą pogardę. Jakkolwiek przez uprzejmość nie nazywa ich wprost „psami stalinowskimi", to jednak dowodzi w swych pismach, że są oni jego właśnie pachołkami.

Uzyskawszy prawo azylu w r. 1935 w rządzonej właśnie przez socjalistów, choć pod panowaniem króla jegomości, Norwegii, z największym trudem ukrywa swą pogardę dla ministrów socjalistycznych oraz ich rządów.

„Przy pierwszym zetknięciu z przywódcami partii — pisze Trocki — wionęło na mnie zatęchłym konserwatyzmem... aczkolwiek centralny organ partii *Arbeiterbladet* nie powołuje się na Biblię ani na Lutra, lecz na Marksa i Lenina, pomimo to jednak przesiąknięty jest na wskróś tym filisterskim ograniczeniem, do którego Marks i Lenin odczuwali odrazę nie do zniesienia. „Socjalistyczny rząd" przejawiał swoją główną ambicję w tym, aby jak najmniej odróżniać się od swych reakcyjnych poprzedników... Przekonałem się, że... burżuazyjni urzędnicy odznaczają się o wiele szerszym horyzontem i bardziej rozwiniętym poczuciem godności własnej, niż panowie „socjalistyczni" ministrowie... Nie mogę nie powiedzieć, że dotychczas z żadnej strony, w ciągu całego mego życia, nie spotykało mnie tyle cynizmu i natrząsania się ze mnie jak właśnie od „socjalistycznego" rządu Norwegii. Pod pozorem demokratycznej łaskawości — panowie ci trzymali mnie za gardło..."

Wiemy, iż trzymali go tylko pod ścisłym aresztem domowym.

Na żądanie bowiem Stalina, Trocki był odcięty od świata i strzeżony przez policjantów norweskich, których na-

zywa „faszystami", potem odmówiono mu prawa azylu i odstawiono go do socjalistycznego Meksyku. Trocki udawadnia — i nie może tego darować socjalistom, iż współpracowali rzekomo z stalinowskimi agentami G. P. U., usiłującymi wykraść jego papiery w Paryżu; te same usiłowania miały się powtórzyć w Norwegii, zresztą bez powodzenia. Jednym słowem w umyśle Trockiego stalinizm, socjalizm i faszyzm to jedna i ta sama „kontrrewolucyjna banda".

„Panowie faszyści — pisze bez zająknienia Trocki — i tak zwani „komuniści" (mając oczywiście na myśli tylko stalinowców) czerpią swe oskarżenia z jednych źródeł: G. P. U... Tożsamość ich metod rodzi solidarność zainteresowań". Razem zaś z „faszystami" i „komunistami stalinowskimi" idą na ich pasku socjaliści. A teraz porównajmy te oskarżenia z frazeologią Stalina. Otóż stosunkowo jeszcze nie dawno, w okresie, w którym Stalin pośrednio posługiwał się socjalistami na zachodzie, równocześnie i bez żadnych omówień twierdził, iż „socjaldemokracja i faszyzm to bliźniaki, a nie antypody". W subiektywnym jego rozumowaniu faszyzm, trockizm i wszystkie zbrodnie świata, dybiące na dobro ludzkości to jedno. Daje on temu niedwuznaczny wyraz głosząc:

„Trockizm to cyniczna banda szkodników, dywersantów, szpiegów, morderców, działających według instrukcji szpiegowskich biur obcych państw".

Zaś jego herold, prokurator Wyszyński, podczas rozpraw sądowych w marcu 1938 r., ustalił niewątpliwy rzekomo związek pomiędzy trockistami, mieńszewikami, burżuazyjnymi nacjonalistami, który łączył wszystkich tych szpiegów, szkodników, dywersantów i morderców. Ustalił on również, że „blok prawicowo - trockistowski... jest awangardą faszyzmu narodowego".

Pomimo więc odmiennych frazesów, płynących z subiektywnego urazu, dla Stalina równie jak dla Trockiego treścią dobra społecznego jest „rewolucja", treścią zła „kontrrewolucja". Stalin na każdym kroku pomawia Trockiego i trockistów, o przymierze z „faszystami", o kontrrewolucję i nie bez słuszności z jego subiektywnego punktu widzenia, gdyż Trocki i jego zwolennicy dążą do wywrócenia istniejącego

rządu w Sowietach, reprezentującego „właściwą rewolucję". Trocki na odwrót nazywa bez obsłonek Stalina i cały jego system kontrrewolucyjnym. „Można — głosi on stanowczo — twierdzić bez najmniejszej przesady, że termidoriański system rządów Stalina stał się najbardziej zakłamanym ustrojem w historii świata".

Z drugiej jednak strony tak Stalin jak i Trocki są wyznawcami tego samego poglądu na świat. Trocki, pomimo całej nienawiści do Stalina i jego systemu, w swej marksistowskiej ideologii nie wnosi ani nic nowego, ani też nie wskazuje na jakieś nowe sposoby, których należałoby użyć dla zaprowadzenia tego właściwego i rzekomo autentycznego marksizmu. Nie protestuje przecież ani przeciw kolektywizacji rolnictwa, ani przeciw gnębieniu wszelkiej własności prywatnej, czy rozsadzaniu rodziny, czy przeciw walce z religią, gdyż sam jest bezbożnikiem, wyzutym z wszelkiej etyki. Przeciwnie, po dziś dzień Trockiemu imponuje fakt, że „Rosja przeszła największy w historii socjalny przewrót", chociaż „do uzyskania nowej wewnętrznej równowagi jeszcze daleko", bo „stosunki społeczne, jak również ideały są jeszcze w stanie burzliwej fermentacji". Tak więc właściwie wszystko dobrze by się kształtowało, gdyby Trocki, a nie Stalin, decydował o losach marksizmu w Sowietach.

Wprawdzie Trocki wysuwa pewne wnioski i plany, jak należałoby działać w myśl właściwych celów marksizmu, lecz rad jego i wniosków nie można traktować na serio, gdyż w założeniu swoim są jeszcze mniej logiczne, a bardziej radykalne, niż praktyczne dyrektywy, stosowane przez Stalina. Wskazówek tych zresztą nie można brać również dlatego na serio, że Trocki nie stosował ich przecież wówczas, gdy znajdował się przy władzy.

I tak Trocki upatruje zło w fakcie, że komunistyczna biurokracja, rządząc bezwzględnie, uciska cały naród. Marksizm przez skoncentrowanie wszelkich bogactw i produkcji w rękach państwa, siłą rzeczy stwarzać musi olbrzymie przerosty administracji państwowej. Ale przecież nie Stalin ponosi w tym winę, lecz sama ideologia marksizmu. Fakt, że biurokracja stalinowska rządzi terrorem i „naciska" na wielkie rzesze ludzkie, jest niewątpliwie jej ujemną stroną. Jakżeż

jednak przeprowadzić reformę i usunąć nacisk narodu przez biurokrację marksistowską? Trzeba by znieść chyba sam ustrój marksistowski z jego brakiem opartej na obiektywnych przesłankach moralności, zastąpionej wszelkiego rodzaju przybudówkami ideologicznymi, jak: kult nienawiści oraz wojujące bezbożnictwo. Na takie jednak postawienie sprawy nie zgodzi się ani Trocki, ani też żaden dynamiczny marksista, gdyż to uchybia jego wierze, czy poglądowi na świat.

Wynurzenia zatem Trockiego, idące w kierunku wykazywania, że „społeczeństwo marksowskie nie potrzebuje nacisku państwa" są zupełnie gołosłowną i nieszczerą frazeologią, obliczoną jedynie na taktyczną dywersję. Bo czyż wprowadzenie marksizmu w Rosji dałoby się zrealizować już nie tylko bez „nacisku", lecz wprost bez terroru? A kolektywizacja rolnictwa, a wprowadzenie kultu bezbożnictwa?

Wszak sam Trocki napisał w r. 1919 książkę „W obronie terroryzmu", dając w niej odprawę nie tylko światu „burżuazyjnemu", lecz i socjalistom oraz wszystkim tym, którym terror dynamicznego marksizmu się nie podobał, dowodząc jasno konieczności stosowania terroru. Wprawdzie obecnie twierdzi, iż miał wówczas na myśli jedynie terror jako wynik „rewolucyjnego działania mas", a nie terror stosowany „indywidualnie". Ale czyż to subtelne odróżnienie nie zrodziło się li tylko z faktu, że ten drugi rodzaj terroru skrupił się na jego własnej osobie, podczas gdy pierwszym on sam dyrygował „w imieniu mas", jak dzisiaj właśnie czyni Stalin. Odróżnienie tych typów terroru wymyślone dziś *pro domo sua* przez Trockiego, nie przekona ani nie uwiedzie nikogo, kto posługuje się kategoriami obiektywnymi. Sam zresztą Trocki przyznaje, w swej świeżo wydanej książce: *Zbrodnie Stalina*, że „nie cofnąłby się przed propagowaniem terroru indywidualnego i przed zastosowaniem go, gdyby uwierzył" (w co wierzy widocznie Stalin), „że tą drogą posunie naprzód dzieło uwolnienia ludzkości".

W pierwszych pięciu latach panowania marksizmu w Rosji (za dalsze 15 lat statystyki urzędowe nie są ogłaszane), bolszewicy uśmiercili 1,900,000 ludzi, a w tym 192 tysiące robotników i 815 tysięcy chłopów. A przecież wówczas sam Trocki kierował tym „terrorem mas"! Blisko

2 miliony ludzi uśmiercono w imię „masy", którą kierował Trocki. Jak słaba to pociecha dla pomordowanych, że ginęli nie pod atakiem terroru „indywidualnego", ale pod obuchem „rewolucyjnego działania mas!"

Ponieważ marksizm dynamiczny wraz z wojującym bezbożnictwem są ideokierunkiem, skłóconym istotnie z naturą człowieka, dlatego wprowadzanie tego systemu w życie połączone być musi z silnym „naciskaniem", czyli z terrorem. Również do utrzymania tego stanu rzeczy potrzebnym jest terror zarówno „indywidualny" jak i „masowy". I wszelkie rozróżnienia Trockiego są tylko pustym, w dodatku obłudnym frazesem.

Ponieważ dalej marksizm nie posiada ustalonych metod działania, ani żadnej określonej moralności, o metodach tych decydują dzierżący władzę w swych rękach. Zatem Stalina i Trockiego jako dynamicznych marksistów można równocześnie nazwać ideologicznymi wrogami w tym tylko znaczeniu, że Stalin wszelkie zło, a mianowicie kontrrewolucję, faszyzm, szkodnictwo, bandytyzm i zdradę ludu łączy z osobą Trockiego, zaś Trocki te same ujemne wartości łączy ze Stalinem. Każdy zaś przyzna, że to za wąska podstawa, by na niej opierać horoskopy głębszych, ideowych, czy ustrojowych zmian w sowieckiej Rosji. Trocki i trockiści mogą obalić Stalina, ale nie zmienią systemu, nie odstąpią od ideologii dynamicznego, rewolucyjnego marksizmu.

Któż zatem inny może wchodzić w grę i na jakim innym czynniku można opierać przepowiednie o przewrocie w Rosji?

Trocki wierzy w interwencję „międzynarodowego proletariatu". Proletariat ten, po objęciu władzy w rozmaitych krajach, będzie dopiero mógł oswobodzić proletariat sowiecki spod Stalinowskiej dyktatury. Jest to oczywiście koncepcja nawskróś nierzeczowa i naiwna. Jeśli bowiem pragnie się mówić o wpływach w marksistowskim świecie proletariatu, to niewątpliwie Stalin i jego propagandowy aparat kierują tymi rzeczami, a nie marksistowskie doły. Nie statyczny marksista Blum wpływa na Stalina i na rozwój wypadków wśród mas francuskiego proletariatu, ale Komintern dyktował Blumowi warunki współpracy i mobilizował tłumy. Jeśli w pewnym momencie francuski rząd Frontu Ludo-

wego decydował się na zbrojną interwencję w Hiszpanii na korzyść czerwonych, to na decyzję tę wpływał nie narodowy interes, ale misterna robota agentów Stalina. Tak dzieje się obecnie we wszystkich czerwonych międzynarodówkach świata. Nie marksizm statyczny socjalizmu przetwarza komunizm, ale dynamizm komunistyczny rozsadza szeregi socjalizmu, zagarniając z niego pod swe skrzydła to wszystko, co w nim jest najżywotniejsze i najbardziej bojowe. Marzenia Lwa Trockiego o krucjacie proletariatu świata przeciw dyktaturze, czy tyranii Stalina i jego kliki, są tylko marzeniem zdetronizowanego potentata, tęskniącego dziś w bezsile za zemstą.

Jeśli już ktoś koniecznie pragnie marzyć o interwencji w sowieckiej Rosji i na interwencji takiej opiera horoskopy przemiany komunistycznego ustroju, to chyba z większym prawdopodobieństwem mógłby liczyć na niemiecki totalizm, czy japońską soldateskę... Ale i te horoskopy nie są realne, przynajmniej gdy idzie o najbliższą przyszłość. Polityka tych państw, by już nie wspominać o wielkich demokracjach świata, na inne dziś nastawiona problemy i na łatwiejsze zdobycze.

Pozostaje zatem jedynie możliwość ruchu od wewnątrz, czyli reakcja społeczeństwa sowieckiego. Jeżeli pod tym kątem widzenia zechcemy rozpatrywać możliwości dalszych przemian w państwie dynamicznego marksizmu, to przede wszystkim trzeba rozróżnić dwa elementy społeczne w tym państwie. Czynnik główny stanowi komunistyczna partia, wyłoniona z niej biurokracja, czerwona armia, czyli cały tak zwany „aktyw", zatem część społeczeństwa sowieckiego, która w mniejszym lub większym zakresie sprawuje rządy, podtrzymuje ustrój i jest przepojona dynamiką marksizmu. Drugi czynnik stanowią szare masy społeczeństwa, którymi się rządzi i na których eksperymentują rządzący.

Otóż milionowe te masy, jakkolwiek nie są przepojone światopoglądowo marksizmem, mimo wszystko ulegają mu biernie, wchłaniają jego toksyny, przyjmują przynajmniej zewnętrznie zarządzenia władz, które rozproszkowują umiejętnie wszystkie stany, tępią bezlitośnie wszelkie niezależne organizacje, rozsadzają węzły rodzinne, wsączają w dusze jad

bezbożnictwa i amoralizmu. Dwadzieścia lat trwa ta systematyczna robota, wspierana w potrzebie terrorem i dlatego rozkład społeczeństwa rosyjskiego posunął się bardzo daleko.

Rewolucja francuska z końca XVIII w. nie zdołała zniszczyć francuskiej rodziny, nie zdemoralizowała wielkich mas narodu, to też przewrót termidoriański spotkał się nie tylko z uznaniem, ale i z poparciem całego niemal społeczeństwa, zmęczonego i zniechęconego terrorem. Geniusz Napoleona zsyntetyzował i utrwalił dodatnie wyniki W. Rewolucji, odrzucając bezwzględnie jej demagogię i niszczycielskie przerosty. Narodził się nowy Francuz, a po przebyciu tej burzy nastąpiła słoneczna pogoda.

Czy podobny cud może nastąpić i w sowieckim państwie?

By na to pytanie dać obiektywną odpowiedź, trzeba najpierw zdać sobie sprawę z doniosłego faktu, iż masy sowieckiego ludu wychowuje i kształtuje od lat 20 dynamiczny marksizm, oparty na materializmie, związany światopoglądowo z bezbożnictwem i amoralizmem. Marksizm ten stworzył swą własną „moralność", opartą nie na obiektywnych i niewzruszalnych zasadach, ale na ustawach, czerpiących swą moc z subiektywnej myśli jednostki ludzkiej.

Subiektywizm ten w ujmowaniu nawet najistotniejszych zagadnień, wyraził jasno największy swego czasu teoretyk dynamicznego marksizmu Bucharin, mówiąc, że osnową myśli odkrywczej powinno być: „nie wynajdywanie tej prawidłowości, która istnieje obiektywnie, lecz stwarzanie prawidłowości ludzkim rozumem". Jest to więc niejako odbicie w filozofii państwa sowieckiego słynnego powiedzenia Lenina: „jeżeli rzeczywistość jest przeciw nam, tym gorzej dla niej, zmienimy ją".

Praw rządzących wszechświatem, jak i żyjącym w nim człowiekiem, istota ludzka nie jest zdolna zmienić, może ona natomiast posługiwać się nimi świadomie i wówczas osiąga cel do którego zmierza, lub nieświadomie i wówczas zamiast możności świadomego osiągnięcia celu, staje się poniewolną igraszką ich działania. Przy dążności jednak „nie wynajdywania tej prawidłowości, która istnieje obiektywnie", ale „stwarzaniu na jej miejsce ludzkim rozumem prawidło-

wości innej i nowej" wpada się nieuchronnie w despotyczny subiektywizm. A ponieważ subiektywizm jest tą siłą w życiu, która zamiast jednoczyć rozprasza i chaotyzuje, dlatego to myśl sowiecka w górnych swych filozoficznych wiązaniach potrafi usprawiedliwić wszelkie na subiektywizmie oparte poczynania silnych i rozkazujących innym. Tu tkwi geneza apoteozy Lenina, Stalina, czy jego następców.

Otóż tłum sowiecki jest wychowywany w tym właśnie subiektywizmie, w „permanentnej" zmienności, w odrywaniu od wszystkiego tego co mogłoby stanowić podstawę do jakiejś stałości; wszędzie istnieje płynność, tak zwana *tiekucześt'*. Dwudziestoletnie stanie „frontem do subiektywizmu" oddziałuje na psychikę tłumu sowieckiego, silniej aniżeli przypuszcza się na zachodzie. I dlatego to sam Trocki nie widzi w Rosji siły, która by mogła dokonać przewrotu. Ale właśnie w całym tym problemie, występuje nowy aspekt. Bo oto temu tłumowi, a od paru lat łącznie z rządzącą nim marksowską elitą jest źle, a elicie nawet coraz gorzej. Minęły bowiem te czasy, kiedy przynajmniej ułamek procentu ludności, to jest komunistyczna elita, czuła się w Sowietach dobrze i swobodnie. Polip subiektywizmu rozszerzył swe macki i opętał wszystkich.

Krwawe procesy, obracają się coraz częściej i coraz tłumniej, przeciwko czołowym osobistościom społeczeństwa marksowskiego, siejąc popłoch wszędzie. Dawniej drobniejsze rybki rządowe państwa proletariackiego, schlebiając i wysługując się wyższym dygnitarzom komunizmu czuły się nie można powiedzieć pewne, ale przynajmniej nie stały w obliczu ciągle zaglądającej w oczy śmierci. Obecnie jest to ogólnym zjawiskiem, a zjawisko takie jest niesłychanie przykre, zwłaszcza dla tych, którzy w szczęściu doczesnym widzą jedyną rzeczywistość oraz sens swego istnienia.

Dziś wszystkim bez wyjątku „obywatelom" państwa sowieckiego śmierć stale, zagląda w oczy, nie wyłączając samego „wodza proletariatu światowego", który z tego powodu jest strzeżony, jak żaden monarcha na świecie.

Stalin „naciska" naród sowiecki, dawniej czynił to na spółkę z Lwem Trockim i z całą plejadą innych, obecnie czyni to samo bardziej niepodzielnie, mając do pomocy

ogromny aparat, którego zresztą „dla dobra proletariatu i rewolucji światowej", nie oszczędza i który poddaje gruntownym „czystkom".

Ten „nacisk", połączony z człowieczoburczą ideą nienawiści i bezbożnictwa, wywołuje ogromną falę reakcji u jego poddanych, ale reakcję... panicznego strachu oraz dziwnie biernej nienawiści, płynącej ku „towarzyszowi i wodzowi", a którą on odczuwa pomimo najkorniejszych i najbardziej entuzjastycznych zapewnień o miłości i lojalności. Tłum i elita boją się panicznie swego wodza, tak samo zresztą jak Stalin boi się swych poddanych, bo i jemu śmierć co dnia zagląda w oczy.

Ale Stalin jest do pewnego stopnia jedynie symbolem; niezliczona bowiem ilość „stalinów" żyje i działa w narodzie wychowywanym przez doktrynę Marksa. Stalin żyje dynamicznie w milionach serc swych poddanych. Każdy komunistyczny kacyk rządzącej hierarchii, duży czy mały, odczuwa paniczny lęk nie tylko przed „górą", lecz i przed „dołem". Działanie pomniejszych „stalinków" wzorowane jest na głównym wzorze, na tym, który symbolizuje system. Zdaje sobie z tego sprawę nawet Trocki gdy twierdzi, że sama „likwidacja" Stalina nic nie zmieni w systemie. Dla zaprowadzenia efektywnych zmian trzeba by zlikwidować całą biurokrację „stalinków". A któż tego dzieła dokonać w Sowietach potrafi?

I znowu wieściciele rychłych przemian w państwie czerwonego caratu zwracają uparcie oczy na społeczeństwo sowieckie i zagrożoną w swym bycie komunistyczną elitę. Ale to tylko sugestia, wywołana krwawymi procesami ostatniego dwulecia; sugestia zbyt zachodnia, zbyt europejska!

Wszak od samego początku za panowania marksizmu w Rosji, mordowano ludzi setkami i tysiącami, „sądząc" ich uprzednio lub likwidując bez sądu. Mordowani należeli jednak na ogół do „społecznych dołów". Świat burżuazyjny Zachodu przyjmował te krwawe orgie jako nieuchronny wynik zapanowania innego systemu rządzenia, z którym wszedł zresztą w gospodarczy kontakt. Przedostające się poza granice Rosji fragmentaryczne wieści o mordach, poprzedzanych i nie poprzedzanych sądami, uznawał zresztą za mocno

przesadzone. Świat zaś marksizmu usprawiedliwiał wszystkie nieprawości systemu koniecznością zwalczania przez rząd proletariatu „kontrrewolucji".

Obecnie mord sądowy dotknął jednak i dotyka nie tylko całej hierarchii rządzącej, ale i jednostek stojących przez długie lata na samym świeczniku państwa sowieckiego. Otóż inaczej reaguje człowiek na morderstwo dokonane na jednostce przez niego nieznanej, inaczej zaś gdy chodzi o osoby, które bywały przecież na zachodzie, które przez długie lata przywykł uznawać jako promotorów życia państwowego. Że jakiś chłop - kołchoźnik na wsi, lub robotnik w zapadłej mieścinie skazany został za szpiegostwo lub knowania „kontrrewolucyjne" nikogo to nie wzruszało. Świat obecny jest tak mało chrześcijański. Wówczas jednak, gdy na arenę „sądową" wstępują jednostki takie jak marszałek czerwonej armii Tuchaczewski, który w rozkazie swym z 2 lipca 1920 r. groźnie obwieszczał: „na Zachodzie zdecydują się losy rewolucji światowej; poprzez trupa białej Polski prowadzi droga do wszechświatowego pożaru; na bagnetach zanieśmy szczęście i pokój pracującej ludzkości" — wówczas nie tylko „burżuje" lecz i część marksistów nie mogą pojąć tajników reżimu sowieckiego raju.

Mord sądowy dotyka obecnie sowieckich dyplomatów, wybitnych pionierów marksizmu, czerwonych generałów, którym państwa sprzymierzone z państwem proletariackim powierzyły nieopatrznie swoje tajemnice wojskowe, ludzi w wielu wypadkach osobiście znanych na zachodzie, lub znanych przynajmniej poprzez wysokie stanowiska, które piastowali w komunistycznej Rosji. Ludzie ci okazują się obecnie notorycznymi szpiegami, szkodnikami i zdrajcami społeczności, której tak długo przewodniczyli. Budzi to refleksje u człowieka Zachodu, który dopatruje się w tych mordach jakiegoś potwornego krwawego oszustwa. Kultura jego zachodnia, wyrosła bądź co bądź z chrześcijaństwa, nawet w wypadku gdy on sam jest ateuszem, oburza się głęboko na tę niesamowitą tragedię. Nic więc dziwnego, że ludzie Zachodu przypuszczają, iż taki sam odzew psychiczny budzi się i w masach sowieckich. Stąd płyną pośpiesznie wyciągane wnioski o perspektywach rychłego przewrotu.

Tymczasem rozumowanie to nie jest słuszne. Wielka masa poddanych sowieckich jest przyzwyczajona od 20 lat do takiego właśnie traktowania i nic nie wskazuje na to, aby dzisiaj, gdy sama mniej je odczuwa, przejmowała się skazywaniem na śmierć dygnitarzy sowieckich i opłakiwała ich tragiczny zgon. Dawniej „Czeka", później G. P. U. były tymi instytucjami, które setkami tysięcy uśmiercały ludzi, a miliony więziły w obozach koncentracyjnych. Obie te instytucje, różne co do nazwy, w istocie rozwijają jedną i tę samą działalność, doprowadzając do perfekcji męczenie ludzi różnymi sposobami i zmuszanie upatrzonych ofiar do przyznawania się do popełnionych i niepopełnionych win, oraz wyrażania skruchy. Szefem tych instytucji przez długie lata był komunista Jagoda. Czyż są w państwie sowieckim ludzie, którzy by opłakiwali jego zgon?

Prokurator Wyszyński, podczas przewodu sądowego, nazwał Jagodę „gangsterem Al Capone, który chcąc zmusić polityków do uległości, porywał ich żony i dzieci". Jeżeli porównamy ilość zła dokonaną w życiu przez Jagodę i przez Al Capone, ten ostatni nie wytrzyma konkurencji pierwszego. Nie ma się nad kim litować!

A Bucharin, ów największy filozof marksizmu sowieckiego i czołowy bezbożnik, nazwany przez prokuratora Wyszyńskiego „przeklętym płodem byka i świni", czyż znajdzie sympatyków opłakujących jego śmierć? A może krwawy Zinowiew, ponury Kamieniew, Piatakow, Rykow czy Rakowski? Wszak nawet żony podsądnych wypierały się swych mężów. Za mowę pogrzebową wystarczyć muszą tym wszystkim skazańcom słowa prokuratora Wyszyńskiego: „Należy ich rozstrzelać jak wściekłe psy, rozdeptać jak gady, niech mogiły ich porosną chwastem".

Mimo to jednak wydaje się rzeczą niewątpliwą, iż procesy polityczne przygotowują jakieś dalsze rozwiązania, nie dlatego, jakoby były czymś nowym, lecz, że dotyczą klasy ludzi posiadających większe możliwości działania, aniżeli dół społeczeństwa. Nie chodzi oczywiście o jakieś względy natury ideologicznej, lecz o pozbycie się warunków życia, w których śmierć codziennie zagląda im w oczy. Wytwarza się więc w górnych sferach społeczeństwa marksowskiego

ferment graniczący z jednej strony z psychozą strachu i donosicielstwa, a z drugiej z żywiołową chęcią uchronienia się od śmierci i pozbycia się tych nieznośnych dla życia stosunków.

Zwierzęcy strach doprowadzić może do szału, a w związku z tym do czynów nieprzygotowanych i nieprzemyślanych. Naciskowi z góry odpowiada nacisk idący od dołu, tego dołu bezpośrednio znajdującego się pod samym szczytem i mającego mimo wszystko dość znaczne możliwości działania. Jeżeli więc coś zagraża bezpośrednio obecnemu reżimowi i jego władcy, to chyba tylko odruchy pochodzące z górnych komunistycznych sfer. „Kramoła" idzie od „bojarstwa komunistycznego", a nie od „ludu", któremu może jest dzisiaj nawet nieco lepiej pod rządami stalinowskimi, aniżeli w poprzednich okresach.

Rząd sowiecki w szeregu procesów politycznych lat ostatnich przeprowadza tezę, że w imperium proletariackim istnieje szeroko rozgałęziony, jednolity w swym działaniu, spisek trockistowsko-faszystowski. W przewodzie sądowym w sprawie Bucharina i towarzyszy, w marcu 1938 r., prokurator Wyszyński stwierdził, że „proces ustalił związek pomiędzy trockistami, mieńszewikami, burżuazyjnymi nacjonalistami, połączył szpiegów, szkodników, dywersantów i morderców". Rzekomo jednolici w swych dążeniach i aspiracjach spiskowcy, stanowią „blok prawicowo-trockistowski", który jest „awangardą faszyzmu międzynarodowego".

Rząd stalinowski stwarza w ten sposób nową, całym swym impetem rzekomo w niego godzącą, fikcję. W rzeczywistości jednolitego, ideowego spisku przeciwko rządowi stalinowskiemu w Sowietach w dobie obecnej nie ma, natomiast w górnych komunistycznych sferach stwarza się spiskowa psychoza ani jednolita, ani ideowa, lecz oparta jedynie na poczuciu niebezpieczeństwa własnego i chęci uderzenia, aby ubiec grożące stale uderzenie. Jest to brutalny prototyp już nie walki o byt, lecz walki o życie. Zabić, lub dać się zabić!

Nie może więc być mowy o groźnym „sądzie ludu" nad złym władcą. Pojęcie „sądu" pociąga za sobą konieczność istnienia poczucia sprawiedliwości, wymiaru kary, na-

prawienia krzywd oraz wprowadzenia nowego światopoglądu, mającego na przyszłość normować życie w sprawiedliwszy sposób. Tych elementów nie posiada burząca się przeciw krwawym represjom Stalina, komunistyczna góra, czy raczej sporadyczne jej odpryski.

Wymykający się właściwym sądom świat przestępczy, urządza czasami sądy w gronie własnym. Sąd taki zwie się „dintojrą". Po takim sądzie i ukaraniu winnego, życie w środowisku przestępczym biegnie dalej tym samym „normalnym" torem. O właściwym sądzie w Sowietach na razie mowy być nie może, można natomiast przewidywać „dintojrę". Czy dojdzie do niej, czy staje się ona już dziś bezpośrednią koniecznością dziejową — oto pytanie na które można by dopiero odpowiedzieć po uprzednim zbadaniu całego splotu zagadnień, po wejrzeniu za kulisy tworzącej się opozycji strachu oraz nienawiści.

Ale pamiętać należy o przestrodze Lwa Trockiego, znawcy sowieckich stosunków, że śmierć Stalina nie zmieni reżimu!

Dlatego nie wierzymy w proroctwa, że Sowiety znajdują się w przededniu ustrojowego przełomu.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Reorganizacja partii komunistycznej w Polsce.

Stalin likwiduje rewolucjonistów!

Twierdzenie takie brzmi na pozór paradoksalnie, odpowiada jednak jak najściślej rzeczywistości. Nie chodzi nam przy tym o rewolucjonistów przeszłości, którzy walczyli z caratem i których dyktatura stalinowska niemiłosiernie, krwawo likwiduje. W rozprawach wewnętrznych na terenie ZSRR można się dopatrywać walki z elementami już zużytymi i zdegenerowanymi, czy widzieć zwykłą przy systemie dyktatury klikowej rozgrywkę o władzę, o wyłączność władzy. Nam chodzi w tej chwili o rewolucjonistów w dosłownym i aktualnym tego słowa znaczeniu, o ludzi, którzy z dumą o sobie mówią, że są zawodowymi rewolucjonistami, którzy w teraźniejszości za cel swego życia obrali sobie rzemiosło rewolucyjne i którzy kunszt rewolucyjny istotnie uprawiali gdzie i jak mogli. Otóż przeciw takim to rewolucjonistom ruszył Stalin do „boju", likwidując ich niemniej niemiłosiernie i krwawo jak swoich „domowych" opozycjonistów czy „niełaskawców".

Dla tych, którzy nie śledzą stale rozwoju ruchu komunistycznego mogła się wydać gromem z jasnego nieba wiadomość o rozwiązaniu Komunistycznej Partii Polski zwykłą uchwałą sekretariatu politycznego Kominternu. Przyznać trzeba, że i dla ludzi jako tako zorientowanych w labiryncie polityki bolszewickiej i śledzących uważnie zdarzenia w świecie komunistycznym, forma i przebieg tego, niewątpliwie historycznego zdarzenia, stanowiły dużą niespodziankę. Myśmy

co prawda sygnalizowali kilkakrotnie na tym miejscu fakt, że „komunizm zmienia... swoje formy organizacyjne i swoich przywódców“ [1]), pisaliśmy o „stalinowskim systemie rozprawiania się z nieposłusznymi wobec Moskwy działaczami komunistycznymi“, charakteryzując zlikwidowane obecnie kierownictwo KPP jako ludzi, którzy pogodzili się z nowym kursem „demokratycznym“ Moskwy „jedynie ze względów dyscypliny kominternowskiej, bez wiary w słuszność tego zwrotu“ i określając kierujące koła KPP jako „przesiąknięte ortodoksyjnym antydemokratyzmem“. W marcowym zaś zeszycie br. wyraźnie pisaliśmy już, na podstawie ścisłych informacyj, którym Komintern i KPP wówczas jeszcze zaprzeczały: „W chwili obecnej, mniej więcej od pół roku, komunizm w Polsce przechodzi znowu okres silnego wewnętrznego przesilenia, z powodu ociągania się i ujawnionej nieumiejętności kierownictwa partyjnego Komunistycznej Partii Polski w przeprowadzeniu nakazanej przez Moskwę taktyki kursu demokratycznego i z powodu wewnętrznych rozrachunków w bolszewickiej klice, wszak Stalin rozgromił znaczną część Komitetu Centralnego KPP“ (str. 367). Na koniec w kwietniu br., pisząc o zeszłorocznym strajku chłopskim, zaznaczyliśmy między innymi, iż „Nie zawsze komuniści znajdą się w takim impasie, w jakim znaleźli się w sierpniu zeszłego roku, gdy to dzięki szaleństwu podejrzliwego Stalina większość przywódców KPP przebywała w Moskwie i musiała się tłumaczyć z różnych przestępstw prawdziwych czy urojonych, lub nawet pokutować za nie w lochach więziennych“ (str. 63).

Mimo to, sposób stalinowskiej rozprawy, teraz już w znacznej części ujawnionej przez samych komunistów, przechodzi najśmielsze oczekiwania. Musimy się sprawą stanu ruchu komunistycznego zająć, gdyż od tego zależą, w znacznym stopniu, potrzeby, formy i metody walki antykomunistycznej w zupełnie nowych warunkach, jakie wyłoniły się na tym froncie.

Oficjalne fakty są, mimo zdecydowania się Moskwy na ujawnienie kryzysu ruchu komunistycznego w Polsce, bar-

[1]) Cfr *Prz. Powsz.* ze stycznia br., str. 5.

dzo skąpe. Dopiero w sierpniu br. — prawie w rok po aresztowaniu w Moskwie przywódców KPP z Leńskim na czele — wydali komuniści w Warszawie komunikat Nr I, wstydliwie i mętnie podpisany przez nieistniejących „Robotników, chłopów i inteligencję pracującą w Polsce, solidaryzujących się z uchwałą Międzynarodówki Komunistycznej w sprawie rozwiązania KPP". Podpis ten ma w wyobrażeniu naiwnych autorów wprowadzić w błąd polską opinię publiczną i władze bezpieczeństwa, że już nie ma w Polsce żadnych władz partyjnych moskiewskiej agentury. Komunikat ten, zredagowany zupełnie w stylu oficjalnych komunikatów sowieckiej agencji prasowej (TASS) oświadcza, iż:

„Wreszcie ostatnio dzięki wzmożonej czujności rewolucyjnej mas członkowskich i kierownictwu III Międzynarodówki został przecięty ten łańcuch ohydnych zdrad. Uchwałą Komunistycznej Międzynarodówki rozwiązano Komunistyczną Partię Polski, aby w ten sposób oczyścić ruch rewolucyjny, zabagniony przez defensywę jej agentów na różnych instancjach".

Jako powody tej chirurgicznej operacji komunikat podaje najpierw — „prowokację", w żargonie komunistycznym oznacza to, iż tzw. „defensywa", czyli polskie władze bezpieczeństwa, miały w KPP, a szczególnie w kierownictwie partyjnym, swoich agentów. Argument ten brzmi w oficjalnym dokumencie następująco:

„Pragnąc rozbić szybko postępujący naprzód ruch rewolucyjny od wewnątrz, posyłała („reakcja czy defensywa polska") do szeregów KPP, swoich agentów, którzy w krótkim(!) czasie wysuwali się na czołowe stanowiska, skąd z łatwością(!) udawało im się skierowywać działalność organizacji na manowce".

Jako „pozostających od lat w kontakcie z defensywą polską i międzynarodowym faszyzmem" komunikat wymienia nazwiska: Jerzego Sochackiego, Tadeusza Żarskiego [1]), Leńskiego [2]), Bronkowskiego [3]), Henrykowskiego [4]), oraz Rwala [5]).

---

[1]) Obaj byli PPS'owcy i byli posłowie na Sejm, rozstrzelani przez GPU jeszcze w roku 1934.

[2]) Julian Leszczyński, faktyczny i formalny wódz KPP od 1924 roku, mianowany na to stanowisko osobiście przez Stalina, stary bolszewik, przebywał w Polsce odrodzonej tylko rok, z tego koło 11 miesięcy w więzieniu, skąd uciekł przy pomocy posła sowieckiego Wojkowa.

Fałszywość wytoczonego przez komunikat zarzutu jest dla znających stosunki polskie zupełnie oczywista. Gdyby bowiem istotnie ci czołowi przywódcy KPP byli na usługach naszych władz bezpieczeństwa, walka z wewnętrznym komunizmem byłaby może wcale niepotrzebna, a przynajmniej bardzo łatwa; wątpliwe, czy w ogóle istniałby wówczas w Polsce ruch komunistyczny. Zakłamanie stalinowców doszło do tak potwornych rozmiarów, że przestali się już w ogóle liczyć z prawdopodobieństwem swoich łgarstw. Ale mniejsza o kłamliwość tej argumentacji, ostatecznie wymienieni przywódcy warci byli tak sromotnego końca za swoją wierną służbę leninowsko-stalinowskiemu bolszewizmowi.

Jako powód drugi podaje komunikat „trockizm", który jakoby bezkarnie rozpowszechniał się w szeregach KPP. Komunikat Nr I przytacza jedyny konkretny przejaw działalności zwolenników Trockiego w KPP, mianowicie: „Rozsadzenie partii przez sianie niewiary w słuszne i sprawiedliwe wyroki Trybunałów Sowieckich, wydane na zdrajców ludu" oraz „nieufność do ZSSR". W stosunku do wodzów KPP, zarzut ten jest niemniej kłamliwy, aniżeli zarzut „prowokacji", byli to bowiem bez wyjątku ludzie dobierani pod kątem widzenia wierności Stalinowi i zwalczali Trockiego oraz nielicznych jego w Polsce zwolenników z furią i zaciętością, godną stalinowskich agentów. Szczypta jednak prawdy kryje się w przytoczonym zarzucie rzekomego trockizmu. Istotnie większość członków KPP coraz bardziej zaczęła ujawniać niewiarę w sowiecką sprawiedliwość i odnosić się nieufnie do Związku Sowieckiego. Da się to powiedzieć w większym stopniu o polskich członkach KPP, niż o żydowskich, chociaż Komintern rozpowszechnia wersję, że te nastroje trockistowskie opanowały prawie wyłącznie ży-

---

[3]) Bronisław Bortnowski, wyższy oficer sowieckiego wywiadu wojskowego, który został odkomenderowany do KPP w 1930 roku, w Polsce w ogóle nie przebywał.

[4]) Saul Amsterdam, były przywódca żydowskiej partii socjalistycznej „Poale-Sjon", który w roku 1921 przeszedł do Kominternu.

[5]) Gustaw Reicher, teoretyk i redaktor komunistyczny, do niedawna polityczny kierownik „polskich ochotników" walczących po stronie „czerwonych" w Hiszpanii.

dowskich komunistów. (Czyżby przez rasową sympatię do Bronsteina - Trockiego?)

Z pewnych sformułowań powyższego komunikatu jasno wynika, że Komintern po rozwiązaniu KPP wcale nie rezygnuje z utworzenia nowej swej, bezpośredniej agentury w Polsce. Czytamy między innymi taką zapowiedź:

„...na przyszłość szeregi partii będą całkowicie oczyszczone z wszelkiego rodzaju szpiegów i agentów defensywy",

oraz znamienne:

„oświadczamy, w myśl uchwały Kominternu, że każdy kto będzie prowadził jakąkolwiek robotę w ramach dawnej organizacji, będzie uważany za prowokatora, agenta defensywy".

O metodach działania nowych kierowników bolszewickiej agentury w Polsce świadczyć może takie oto zakończenie komunikatu:

„Cały lud polski wiąże się dzisiaj z imionami wielkich demokratów polskich i bojowników o Wolność Waszą i Naszą.— Imiona Mickiewicza, Kościuszki, Pułaskiego, Jarosława Dąbrowskiego i Wróblewskiego [1]) to dumne sztandary, pod którymi dziś walczą najlepsi synowie ludu polskiego o wolność ludu hiszpańskiego, o wolność naszego ludu".

Doza fałszywego patriotyzmu zostaje więc wzmocniona, jak również doza „wielkiej demokracji". Nawiasem mówiąc, ci „najlepsi synowie polskiego ludu" byli do niedawna pod bezpośrednim kierownictwem byłych działaczy centrali KPP— Rwala - Reichera, Skulskiego - Martensa i Bogena - Gerszona Dua. Nawet nie wiedzieliśmy w Polsce jakich to mamy „najlepszych synów ludu..."

Za objaśnienie do powyższego komunikatu służyć może odezwa tzw. „bolszewików - leninistów", czyli zwolenników Trockiego, którą otrzymaliśmy również w sierpniu br. Z tej odezwy wynika, że trockiści, jak również żydowski „Bund", próbują wyzyskać rozgardiasz komunistyczny dla przyciągnięcia do swoich szeregów osieroconych „polskich" komunistów. Biorą się do tego trockiści pod następującym hasłem:

„Stalinizm jest śmiertelnym wrogiem komunizmu i rewolucji. Trzeba stanąć do nieubłaganej walki ze stalinowską kontrrewolucją. Do walki o Czwartą Międzynarodówkę! Do walki o roz-

[1]) Ci dwaj ostatni — to bohaterowie Komuny Paryskiej 1871 roku.

budowę Partii Bolszewickiej w Polsce, partii o ideologii Marksa, Lenina i Trockiego!"

Nie ulega wątpliwości, iż trockistom uda się zwerbować w znacznej przynajmniej części byłych stalinowców, zwłaszcza wśród żydowskich komunistów, stanowiących większość (jakie 60 do 70%) byłych członków KPP. Trockistowska odezwa informuje, iż losowi KPP uległy również komunistyczne partie Węgier (Bela Kuhn!), Jugosławii i Palestyny, które zostały przez Komintern rozwiązane z podobnych powodów. Przyjmując za pewnik, że wśród organizacji KPP trockiści mieli swoich zwolenników, można bez trudności zrozumieć sens poleceń komunistycznej odezwy. Czytamy tam:

„Ostatnie „nastawienie" (instrukcje) dane członkom KPP nakazuje im pozrywać natychmiast kontakty organizacyjne, zaprzestać wszelkiej roboty politycznej w imieniu partii i jak najszerzej rozgłaszać fakt rozwiązania. Poza tym pozostawiono byłym partyjnikom zawarty w 3 punktach „testament polityczny". Brzmi on: 1) Walczyć przeciw obecnej polityce Polski. 2) Walczyć o nową ordynację wyborczą i 3) Zaostrzyć walkę z trockizmem".

Trockiści widzą przyczynę rozwiązania KPP w tym, że reżim stalinowski, który według nich, wyrzekł się rewolucji międzynarodowej, a prowadzi politykę ugody z burżuazją, wymaga od swych sekcyj-partii komunistycznych, aby zawierały bloki i sojusze z demokratycznymi, pacyfistycznymi i prosowieckimi odłamami burżuazji i że KPP nie była zdolna do spełnienia tego kardynalnego warunku, gdyż jej „nielegalne poparcie jest równie iluzoryczne jak jej opozycja". „Dla walki o pakt wschodni, czy o nowe wybory, nielegalność i tradycje rewolucyjne są kompromitującą przeszkodą" — piszą trockiści nie bez pewnej słuszności. Informują również, iż „celem, jaki biurokracja sowiecka wyznaczyła obecnie komunistycznej partii w Polsce jest — współpraca z burżuazją, w nieszczęśliwej koalicji z PPS, z Stronnictwem Ludowym i jeśli się uda z Frontem Morges".

Dla nieźle poinformowanych trockistów nie ulega też wątpliwości, iż stworzona zostanie na miejsce dotychczasowej KPP, nowa organizacja komunistyczna, o której twierdzą:

„W nowej partii, a raczej w karykaturze partii, będzie obowiązywał niepisany „paragraf aryjski" (!). Prawdopodobnie Stalin będzie szukał dla swych celów ludzi „czystej rasy", których nie można utrącić zarzutem żydo-komuny. Będzie kładł główny

nacisk na głoszenie orientacji prosowieckiej w polityce zagranicznej i nie na samodzielną działalność organizacyjną, lecz na przenikanie do stronnictwa demokratycznego, ludowców, pepesowców... Równolegle rozbuduje się zapewne terrorystyczny oddział GPU w Polsce. Służyć on będzie między innymi do zaostrzenia walki z trockizmem".

Co do rzekomo planowego „paragrafu aryjskiego" w odnowionej organizacji komunistycznej może to być prawdopodobne w stosunku do dołów organizacyjnych, gdzie już stara KPP mocno goniła za członkami „czystej rasy", to znaczy za rdzennymi Polakami, tylko bowiem z ich pomocą można w Polsce czegoś poważnego dokonać... Kierownictwo jednak zostanie bez wątpienia w rękach elementów żydo-moskiewskich, choćby z tego względu, iż obecna polityka bolszewicka (pacyfizm prowokujący wojnę, demokracja obrządku masońskiego, antyfaszyzm itp.) jest w najzupełniejszej zgodzie z polityką żydowską, a Sowiety ubiegają się o współpracę z międzynarodowym żydostwem, jako dość jeszcze wpływowym we Francji, w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych Am. Półn. i gdzieindziej. Ponadto nie zapominają bolszewicy, że rdzenni Polacy, nawet komuniści, skłonni będą do potraktowania modnego obecnie patriotyzmu w zgoła nacjonalistyczny sposób, co wcale nie jest na rękę fałszywym patriotom internacjonalistycznego pokroju...

Według naszych przewidywań, opartych częściowo na informacjach pewnych, częściowo jednak na nie dość jeszcze skontrolowanych i potwierdzonych wiadomościach, działalność kominternowskiej agentury rozwinie się w Polsce według mniej więcej następującego planu. Byli członkowie KPP, którzy pozostali wierni Stalinowi, zostają w masie swej skierowani do legalnych, przede wszystkim klasowych, organizacyj zawodowych i politycznych. Tam mają uprawiać działalność w następujących kierunkach: 1) propagować i przeprowadzać postulaty „pokoju", czyli protestować przeciw obecnej polskiej polityce zagranicznej, by ją zepchnąć na tory antyniemieckie i prosowieckie; 2) popierać i inicjować walkę o powrót Polski do parlamentarnej demokracji; 3) jątrzyć stosunki wewnętrzne za pomocą propagowania

i inicjowania ruchawek mas na tle społecznym czy politycznym oraz 4) dążyć wszelkimi siłami do utworzenia demokratycznego frontu ludowego, a niedopuścić do zjednoczenia i scementowania się polskiego frontu narodowego. Przy tych ostatnich usiłowaniach, za nowy argument służyć ma rzekomy fakt, że wobec zaniku niebezpieczeństwa żydokomuny, znikła jedna z dotychczasowych przeszkód utworzenia frontu ludowego w Polsce. Tym da się tłumaczyć nakaz jak najszerszego rozgłaszania uchwały o rozwiązaniu KPP.

Znaczna część policyjnie skompromitowanych aktywnych działaczy partyjnych skierowana została czy zostanie w krótkim czasie na emigrację i zarazem na przeszkolenie do Czechosłowacji, Francji, Belgii, a przede wszystkim do Hiszpanii, gdzie agenci zostają włączeni do armii republikańskiej, za paszportami — oczywiście sfałszowanymi — obywateli hiszpańskich.

Prawie wszyscy pozostali przy życiu kierownicy KPP, którzy mimo stalinowskiego pogromu partii nie zerwali z bolszewizmem, wysyłani zostają do ZSSR i tam odpowiednio badani, czy to przypadkiem nie „agenci defensywy", innymi słowy, czy można ich jeszcze używać do jakichś zadań kominternowskich, czy też wygodniej będzie i bezpieczniej dla kremlowskich możnowładców postawić ich pod ściankę...

Rozbudowa nowej organizacji komunistycznej w Polsce pójdzie po dwóch równoległych torach. W najbliższym okresie punkt ciężkości położony będzie na działalność jak najstaranniej zamaskowanych agentów komunistycznych w legalnych organizacjach politycznych, zawodowych, kulturalnych itd. o charakterze demokratycznym, względnie w takich, co do których istnieje nadzieja, iż można je wciągnąć do walki z faszyzmem (głównie hitleryzmem), polskim nacjonalizmem, o demokratyczno-parlamentarne rządy itp. Werbunek tych agentów odbywa się głównie pośród starszych członków tych organizacyj, które ujawniły swe sowietofilskie nastawienie, ale nie są dotychczas podejrzane o komunizm. W znacznym stopniu zadania komunistyczne spełnią ludzie, których trockiści charakteryzują jako „częściowo

nawet uczciwych półgłówków, jakich nigdy nie brak — wpadających w zachwyt na wspomnienie Magnitogorska czy Dnieprostroju", którzy organizacyjnie i przekonaniowo nie są i nie muszą być komunistami. Świadomi i niezupełnie świadomi swej roli agenci Kominternu kierowani będą przez ściśle zakonspirowany, liczbowo bardzo wąski, sztab moskiewskich emisariuszy systemem organizacji agenturowo-szpiegowskiej, to znaczy, że agenci wzajemnie o swej roli wiedzieć nie będą, zadaniem ich wszakże będzie popieranie na terenie danej organizacji wystąpień idących po myśli dążeń Moskwy. Agenci ci będą urabiać propagandowo i wiązać z sobą w luźne koła tych członków organizacji, którzy idą na lep komunistycznych podszeptów. Walka z antysemityzmem, sympatie proczeskie i profrancuskie (w stosunku do francuskiego frontu ludowego), orientacja prosowiecka, trzymanie strony czerwonych w Hiszpanii, antyfaszyzm, przywiązanie do „Wielkiej Demokracji" — oto najważniejsze cechy według których agenci Kominternu rozpoznawać mają możliwych swoich zwolenników, a już obecnie sojuszników *de facto*.

W swej działalności w organizacjach legalnych, mają komuniści zaniechać na dłuższy okres czasu otwartej propagandy haseł skrajnego komunizmu, jak: dyktaturę proletariatu, rewolucję socjalistyczną, system sowiecki dla Polski, rozbiór Polski itp. Natomiast koncentrując się przy walce o nową ordynację wyborczą i o demokratyczne, według klucza partyjnego, wybory do Izb Ustawodawczych, mają być inicjatorami zamieszek i ruchawek o demokratyczno-ludowym podłożu, a w odpowiednio rozognionej atmosferze mają rzucić hasło rewolucji ludowej, choćby nawet pod przykrywką „obrony niepodległości Polski", zagrożonej przez hitleryzm czy jego agentów w Polsce, do których Kominternu zalicza zarówno min. Becka, cały OZoN, jak i Romana Dmowskiego z całym Obozem Narodowym.

Ta sieć agentów i kół zakonspirowanych w legalnych organizacjach masowych, stanowić będzie główny tor działalności komunistycznej. Oznaki tej działalności odczujemy niewątpliwie w najbliższej już przyszłości, zarówno w legalnej, z pozoru dość różnorodnej, prasie, jak i w życiu orga-

nizacyjnym demokratycznych ugrupowań, wchodzimy przecież w okres akcji wyborczej do samorządów.

Drugim torem działalności komunistycznej pozostającym na razie w cieniu, będzie nowa k a d r o w a organizacja komunistyczna, która w części tylko będzie organizacją terrorystyczną, o której wspominają trockiści w przytoczonej odezwie. Nowa ta organizacja już się montuje, na razie przede wszystkim wśród wychodztwa polskiego we Francji, Belgii i Czechosłowacji oraz w ZSSR i pozostaje w bezpośredniej dyspozycji Kominternu i sowieckich władz bezpieczeństwa (N. K. W. D. i wywiadu wojskowego). Celem tej organizacji (nie wiadomo jeszcze czy nosić ona będzie nadal nazwę partii) będzie spełnienie zadań, które dotychczasowa KPP pełniła, tylko niezbyt umiejętnie, a mianowicie: dostarczanie Sowietom wywiadowczych informacyj politycznych, społeczno-gospodarczych i częściowo wojskowych; przygotowanie ściślejszych kadr kierowniczych dla wywołania i pokierowania wojną domową lub dywersją zbrojną na wypadek wojny z Sowietami, względnie sojusznikami ZSSR; uprawianie czynnego terroru osobistego i grupowego przeciwko zbyt czynnym i groźnym przeciwnikom bolszewizmu; prowokowanie zajść z policją i innymi organami państwowymi; marksowsko-leninowsko-stalinowskie uświadomienie swych członków i wychowanie ich w ślepym posłuszeństwie do Stalina i rządzącej kliki bolszewickiej itp.

Wodzami tej nowej organizacji są i będą ludzie zupełnie prawie w kraju nieznani, cieszący się jednak pełnym zaufaniem kliki Stalina — Kaganowicza — Jeżowa, mało lub zupełnie nie związani z dotychczasowym ruchem komunistycznym w Polsce, albo przynajmniej nie skompromitowani jakąkolwiek opozycją w stosunku do bolszewików.

Nie trzeba dodawać, że walka z tą dwutorową działalnością komunistyczną — której plany nakreśliliśmy szkicowo, ale w sposób odpowiadający rzeczywistym poczynaniom i zamiarom Kominternu — będzie w pierwszym okresie działalności tej misternej organizacji bardzo utrudnioną, zarówno dla naszych władz bezpieczeństwa, które zmuszone będą zerwać z dotychczasową rutyną i odpowiednio przestawić cały swój aparat walki, jak i dla społeczeń-

stwa oraz naszych społecznych antykomunistycznych organizacyj.

Trudno też już teraz pokusić się o szczegółowsze wskazania metod walki społecznej z nową postacią ruchu komunistycznego w Polsce. Pewnikiem jest, że chociaż ruch ten mocno i boleśnie ucierpiał od stalinowskiego pogromu i przechodzi obecnie silną chorobę pooperacyjną, to niebezpieczeństwo komunistyczne, acz bezpośrednio mniejsze w tej chwili, aniżeli było rok czy dwa lata temu, nie przestało Polsce zagrażać, gdyż nadal działają przyczyny, które niebezpieczeństwo to wywołują i utrzymują [1]).

Będzie może na czasie przypomnieć kilka myśli z poprzednich naszych artykułów, poświęconych walce z komunizmem, które są aktualne i dzisiaj:

„KPP gotowa iść na wszelkie kompromisy zewnętrzno-organizacyjne, by nie skompromitować w oczach opinii publicznej i władz policyjno-sądowych swoich sojuszników, byleby tylko w rzeczywistości istniała wspólna akcja o wspólne, doraźne cele". (Zeszyt z lutego 1937 r., str. 149).

„Trzeba mieć na oku niewątpliwy fakt, że judeo-moskiewski komunizm chce przedrzeć się do Polski poprzez demokratyczno-liberalne drzwi, że zatem tych drzwi trzeba dobrze strzec i dobrze badać, kto i w jakim celu przez nie wchodzi na arenę publicznego życia w Polsce". (Zeszyt styczniowy br., str. 14).

Tak jak komuniści koncentrują się teraz na odcinku organizacyj legalnych i demokratycznych, tak samo antykomunistyczne społeczeństwo polskie musi na tym odcinku walkę przyjąć, zaostrzając swoją czujność i nie dając się sprowadzić na pseudo-demokratyczne manowce. Główną przyczyną przegrania i zupełnego fiasca dotychczasowych form organizacyjnych ruchu komunistycznego w Polsce szukać należy nie w samowoli Stalina, lecz w bezkompromisowej wrogiej postawie szerokich polskich rzesz ludowych, coraz bardziej narodowo i religijnie uświadomionych. Właśnie z powodu tej antykomunistycznej postawy Polaków dotychczasowe plany komunistyczne bankrutowały jeden po dru-

---

[1]) ZSSR i bolszewizm hołdujący nadal zasadzie rewolucji światowej, masy żydowskie chcące przez rewolucję ratować się przed zagładą, grożącą im w Polsce, trwające rozbicie polityczne narodu itp.

gim. Stalin i jego klika rządząca Kominternem byli zmuszeni do rozwiązania czy raczej zawieszenia dotychczasowej organizacji KPP i gruntownej reorganizacji swej agentury, gdyż agentura ta okazała się nieprzydatną do wykonania nowych, trudnych zadań, postawionych jej do spełnienia przez moskiewskie centrum. Ma się rozumieć, że działały przy decyzji rozwiązania KPP i inne istotne przyczyny, prócz wyżej wymienionej.

Stalin, jak wiadomo, obrał drogę do rewolucji światowej bardzo krętą i zawiłą, zmuszony zresztą do tego okolicznościami niezależnymi od woli bolszewików. ZSSR i państwowość sowiecką uważa Stalin za ośrodek i bodziec przyszłej rewolucji, ale jako realny polityk zdaje sobie sprawę, że dwie stare drogi, mianowicie: niesienie rewolucji na bagnetach sowieckiej armii czerwonej i dokonanie rewolucji siłami własnymi krajowych partyj komunistycznych, w zupełności zawiodły i absolutnie nie nadają się do realizacji w obecnej chwili. W tej sprawie góruje Stalin nad Trockim, który dogmatycznie wierzy jeszcze w skuteczność starych dróg. Nowe drogi mające doprowadzić do rewolucji światowej obrane przez Stalina, sprowadzają się przede wszystkim do wykorzystania prądów demokratycznych, ściślej biorąc słabości ustrojów demokratycznych, które umożliwiają bez większych przeszkód rozwój idei komunistycznych i nie stawiają też poważniejszych trudności przygotowaniom do zbrojnego przewrotu. Chodzi też równocześnie o sprowokowanie wojny między państwami, o wzajemne ich przez to osłabienie i wyzyskanie ich osłabienia w odpowiedniej chwili dla dokonania zamachu stanu, czy najazdu uzbrojonych hord czerwonych. Tak wyglądają mniej więcej stalinowskie plany światowej rewolucji. Tym celom służy cała obecna polityka ZSSR, a agentury kominternowskie muszą właśnie te cele realizować. KPP z jej starymi przywódcami była absolutnie niezdolna do zrealizowania tej stalinowskiej polityki. Stąd też zdekretowano jej zagładę.

Nie brakło zresztą kierownikom KPP grzeszków, które doprowadziły mściwego Stalina do tak haniebnej dla nich likwidacji. Przywódcy KPP, nie mając męstwa przyznawać się do swoich ciągłych porażek na terenie Polski i chcąc

usprawiedliwić żądane i otrzymywane przez nich wysokie sumy na wydatki partyjne, okłamywali najbezczelniej moskiewskich możnowładców co do swoich rzekomych sukcesów w masach robotniczych i chłopskich. Ponadto część przywódców, z Leńskim na czele, była osobiście związana z grupkami i kliczkami bolszewickimi, które Stalin ostatnio likwidował w ZSSR.

Puszczona raz w ruch maszyna wewnętrznego terroru musiała z konieczności uderzyć i w te ogniwa KPP, które były związane, jakimikolwiek węzłami z organizacjami ogłoszonymi przez reżim stalinowski za „wrogów ludu". To, że węzły te sprowadzały się nieraz jedynie do wzajemnej, osobistej przyjaźni starych rewolucjonistów, czy tylko do wspólnych pijatyk i orgij — to mogło podejrzliwego Stalina jeszcze tylko bardziej rozjuszyć. Że się dyktator bolszewicki szaleńczo boi zamachów na swe życie, to nie ulega żadnej wątpliwości. Wiadomo zaś, że plany zamachów terrorystycznych rodzą się i kwitną najlepiej w atmosferze urażonych ambicyj osobistych usuniętych w cień dygnitarzy i do tego jeszcze oddających się grupowej rozpuście. Mieliśmy przecież coś podobnego z grupą Röhma w hitlerowskich Niemczech. Ani na chwilę nie podejrzywamy byłych kierowników KPP, iżby oni żywili jakieś wrogie wobec Stalina zamiary czy nawet tylko nastroje, za bardzo to byli ulegli sługusi bolszewików, ale ich osobiste i grupowe kontakty z Gamarnikiem, Jagodą, Unszlichtem, Lubczenką, Gołodiedem i innymi zlikwidowanymi „wrogami ludu" wystarczyły, żeby dyktator jak najszybciej ich się pozbył. Nie chcemy i nie możemy przesadzać — jak to czynią bolszewicy — w wychwalaniu zasług polskich władz bezpieczeństwa w rozsadzaniu ruchu komunistycznego od wewnątrz. Nie ulega wszakże wątpliwości, że w niemałym stopniu zasługą naszych władz bezpieczeństwa jest obecny stan zupełnej dekompozycji, który zapanował w polskim światku komunistycznym. Już sam fakt możliwości wysunięcia przez Komintern argumentu, że polska „defensywa" posiadała w swoim ręku tak wysoko postawionych w hierarchii komunistycznej wodzów, ba nawet całe kierownictwo KPP, to wielka pochwała dla naszej policji. W istocie faktem jest, że władze

nasze były i są na ogół nieźle poinformowane o tym co się dzieje w Kominternie, a szczególnie w jego polskiej agenturze. Nigdy też władze nasze nie szczędziły źródłowych i pewnych informacyj odpowiednim publicystom, dziennikarzom i działaczom.

Przechwałki nowych kierowników moskiewskiej agentury w Polsce, że już teraz, po rozwiązaniu starej organizacji będą „czyści od agentów defensywy", wydają nam się równie prawdziwymi, jak przechwałki bolszewików po każdym wielkim procesie moskiewskim, że „najważniejsza hydra kontrrewolucyjnych szpiegów, bandytów etc. została ostatecznie wytępiona". Zawsze po jakimś czasie okazuje się, że tej hydrze odrosły nowe głowy. Bolszewizm i jego polska odmiana jest już zbyt daleko posunięty w swym moralnym rozkładzie, by mógł zachować czystość ideową w swych szeregach. Nasze zaś władze mają dość dobre doświadczenie i orientację polityczną, by wytropić i zniszczyć w zarodku tę prawdziwą hydrę, jaką stanowi moskiewski bolszewizm na polskim gruncie.

Na zakończenie warto pokusić się o odpowiedź na pytanie, czemu Stalin ucieka się do tak potwornych metod likwidowania niewygodnych sobie agentów-rewolucjonistów? Ograniczymy się oczywiście do kilku zasadniczych rzutów myślowych.

Ujemne cechy osobiste charakteru Stalina, jak mściwość, pół-inteligencja, niczym nie poskramiana żądza władzy nad innymi, podejrzliwość, chytrość itd., odgrywają tu niewątpliwie wybitną rolę.

Atoli nie tylko w osobistym charakterze dyktatora sowieckiego szukać należy głównej przyczyny krwawych i haniebnych rozpraw z wczorajszymi i dzisiejszymi rewolucjonistami. Przyczynę tę widzimy — w marksistowskim poglądzie na świat. Kto hołduje bezdusznemu materializmowi i uznaje gwałt jako nieuniknioną i pożyteczną funkcję w życiu społeczno-politycznym ludzkości, musi dojść do stalinowskich konsekwencyj, choćby miał charakter osobisty po stokroć łagodniejszy od ponurego Dżugaszwili-Stalina. Nam, katolikom, wiadomo, że jeden grzech pociąga za sobą grzech drugi, o ile zło pierwszego grzechu nie zo-

stało w porę rozpoznane, obżałowane, naprawione przez zadośćuczynienie. Bez głębokiej wiary i bez łaski Bożej nie może się człowiek wyrwać ze zgubnego łańcucha grzechów. Marksiści jako najbardziej konsekwentni bezbożnicy, nie tylko w Boga nie wierzą, ani — rzecz jasna — w grzechów odpuszczenie, ale ponadto w ogóle nie uznają norm absolutnego dobra i absolutnego zła, bezwzględnych cnót i bezwzględnych grzechów człowieka. Maksymą „etyczną" Marksa i Lenina stanowi twierdzenie: „wszystko co służy rewolucji jest dobre" i „cel uświęca wszelkie środki". Rewolucji, w pojęciu marksistowskim, dokonać można tylko za pomocą krwi przelewu, zbrojnego przewrotu i fizycznego wytępienia tak zwanych klas eksploatujących. Po dokonaniu rewolucji — utrzymanie władzy i rozbudowa dyktatury proletariatu, jest w marksizmie ideą przewodnią. Każdy więc, kto w najmniejszym choćby stopniu, zagraża w czymkolwiek tej dyktaturze, uosobionej w partii komunistycznej, a ściślej w kierownictwie tej partii i jej wodzu, musi być wytępiony i zgładzony z oblicza ziemi — bo to „służy rewolucji". W mentalności bolszewickiej nawet omyłki przy określeniu tych „zagrażających dyktaturze" są z góry usprawiedliwione najróżnorodniejszymi powiedzonkami i teoryjkami czy „kanonem" nieomylności Stalina. Trzeba zaś przy tym uwzględnić, że w marksizmie jednostka ludzka, człowiek, odgrywa zupełnie poślednią rolę, ważny jest tylko kolektyw i to kolektyw mityczny: „proletariat międzynarodowy", „naród sowiecki", a nie konkretny naród rosyjski, gruziński itd. Wymordowanie za sankcją sądu czy bez tej sankcji, jak np. w wypadku wodzów KPP — kilku setek, tysięcy i nawet miliona ludzi, to sprawa drugorzędna i konieczna, o ile to służy „dobru" mitycznego kolektywu, a „dobro" to określa każdorazowy wódz czy grupa wodzów, w istocie przez nikogo nie wybranych, lecz narzucających się swoją rewolucyjną umiejętnością lub zwykłą polityczną przebiegłością.

Przypuszczam, że takie akcesoria przy mordowaniu niewygodnych ludzi jak: oskarżenia najczęściej zupełnie kłamliwe o szpiegostwo, zdradę, wytrucie robotników itp. i co najpotworniejsze „przyznawanie się" oskarżonych, nawet wobec tajnych trybunałów policyjno-partyjnych — to już

tylko swoista domieszka żydo-moskiewskiego bolszewizmu, nie wynikająca z samej idei marksizmu, ale też nie będąca z nią w zasadniczej sprzeczności. Sama pogarda dla człowieka i ludzi wynika z istotnej treści teorii marksistowskiej a rzezie bolszewickie są tylko konsekwencją marksistowskiego światopoglądu. To co wczoraj było „dobre" w stosunku do przedstawicieli burżuazji, dziś jest „dobre" w stosunku do wczorajszych sojuszników, socjalistów i ludowców, a jutro będzie „dobre" w stosunku do niewygodnych już z jakichkolwiek względów współtowarzyszy partii i współobywateli „szczęśliwego" państwa sowieckiego. Skoro zaś partie komunistyczne są słusznie traktowane przez bolszewików jako podległe sobie agentury — to rzecz jasna, że „karząca ręka Jeżowa" ma „prawo", ba nawet obowiązek i do tych partyj sięgnąć.

Swoista dialektyka rozwoju bolszewizmu doprowadza do tego, że to co przywódcy jego czynią dla wzmocnienia, względnie „oczyszczenia" swego ruchu, kończy się coraz bardziej przeciwieństwem, mianowicie osłabieniem i zdegenerowaniem ruchu komunistycznego. Tak — zdaje się — rzecz się ma i ze stalinowską „reorganizacją" KPP. Kompromitacji ruchu komunistycznego w Polsce, którą Stalin tym krokiem niewątpliwie spowodował, nie da się tak łatwo odrobić, tak samo, jak dotąd nie udało się w opinii europejskiej odrobić „likwidacji" Zinowiewa, Piatakowa, Bucharina, Tuchaczewskiego i innych. Stalin występując przeciwko rewolucjonistom w intencji służenia rewolucji, której pozostał wierny, zadał zarazem — wbrew swej woli — bolesny, choć jeszcze nie śmiertelny, cios samej idei rewolucji komunistycznej. I za ten, przez niego oczywiście niezamierzony, rezultat, należy Stalina pochwalić.

Społeczeństwo polskie, a przede wszystkim jego część świadoma swych zadań i celów narodowych i religijnych, pozostanie niewątpliwie nieugięta w swej bezwzględnej negatywnej wobec sowieckiego bolszewizmu postawie.

Postawa taka obowiązuje oczywiście również w stosunku do trockistowskiej odmiany ruchu komunistycznego, która próbuje dźwignąć się na ruinach rozwiązanej organizacji KPP i która, w jeszcze większym stopniu aniżeli stali-

nowska agentura, czerpie swe soki z zatrutego środowiska ghetta żydowskiego.

Wobec zachodzących zmian w ruchu komunistycznym c z u j n o ś ć akcji antykomunistycznej powinna być w Polsce zdwojona.

J. Skaliński.

Więcej powietrza i słońca!

Refleksje posezonowe.

Minął sezon letni i jesień zbliża się ku schyłkowi. Trzeba przyznać, że tego roku lato dopisało na ogół nieźle. Młodzi na wakacjach i starsi na urlopach, zdrowi szukający wypoczynku i słabi, bawiący na kuracji, mogli użyć powietrza, wody i słońca.

Słońca zwłaszcza nie brakowało i ono cieszyło się największym wzięciem. Tysiące i tysiące zwracały się w jego stronę, by poddać się działaniu jego promieni. Czy dla zdrowia? Właściwie wypadałoby powiedzieć, że tak; lecz faktycznie motyw ten zszedł dziś na plan drugi. Najczęściej chodzi tylko o „opalenie się". Ambicją kobiet i mężczyzn, zwłaszcza tamtych, jest zdobycie cery ciemnej, brązowej. Prawda, że nie zawsze się to udaje. Nie każda skóra chce się poddać drakońskim nawet zabiegom opalania i przybrać żądane barwy. Nic jej to jednak nie pomoże; jeśli jej właścicielka zechce koniecznie być „malajką", to złamie opór i dopnie swego. Trochę tylko wydatków, związanych z wizytą w składzie artykułów kosmetycznych, a za parę dni koleżanki zazdrościć jej będą złocisto-brązowej cery.

Opalanie się stało się dziś modą obowiązującą. Na letnisku, czy po powrocie z niego, pierwsze słowa powitania zaczynają się urzędowo od wyrażenia zachwytu: „Ach, jak pani jest cudnie opalona! Jaki pan opalony!" O ile zaś słowa te nie mogą, nawet z grzeczności, znaleźć zastosowania w danym wypadku, interpelant stara się zatuszować przykre wrażenie, względnie wszczyna delikatny wywiad i śpieszy z radami. Chodzi przecież o rzecz pierwszorzędnej

wagi! Można było nie zrobić tego lub owego szczytu, nie zwiedzić pewnych osobliwości, nie polepszyć nawet stanu zdrowia, ale nie opalić się jest przestępstwem, które rzuca cień na nieszczęsnego delikwenta.

Czy jest to uzasadnione, rozumne? — O to nikt nie pyta. Taka jest moda, a moda jest panią i o racje się nie troszczy; w sobie samej znajduje dostateczne uzasadnienie i rządzi podług upodobania. Posłuch zaś ma zapewniony. Z uległością stosują się do niej nawet mężczyźni, a przede wszystkim kobiety, które z heroicznym poddaniem i zaparciem siebie potrafią znosić kaprysy mody, zdolne do największych dla niej poświęceń.

Poświęcenie to może każdy sprawdzić na plaży, publicznej czy improwizowanej. Bądź co bądź opalanie się nie należy do przyjemności i kosztuje dużo. Trzeba odmówić sobie niejednej rozrywki i mimo urlopu wyrzec się swobody rozporządzania czasem, bo tu słońce jest panem i dyktuje godziny ordynacji. Nie jest też miło leżeć długimi godzinami w pozycji nie zawsze wygodnej, na prażącym słońcu, które poza pożądanymi skutkami wywołuje czasem inne, mniej miłe następstwa. Kto nie przeprowadzał sam tego zabiegu, nie docenia również, ile to wymaga zachodu, żeby „opalenie" było równomierne; inaczej niedyskretny przechodzień zauważy zaraz jaśniejsze i ciemniejsze pręgi, lub różnobarwne nawarstwienia, płynące z niedopatrzenia albo braku wprawy w tej sztuce.

Co więcej, dla mody poświęca się niekiedy nawet ten cenny skarb, jakim jest zdrowie. Brzmi to wprawdzie paradoksalnie, bo przecież nasłonecznianie ma właśnie służyć zdrowiu, a jednak jest prawdą. Przestrzegają o tym lekarze i zamieszczają coraz częściej pouczenia w prasie. Lecz na razie uwagi te podzielają los przysłowiowego rzucania grochem o ścianę. Jeden i drugi posłucha, ale stu innych przejdzie nad nimi do porządku dziennego. Wszyscy tak robią! — odpowiedzą. Zbyteczne przestrogi, nie słychać przecież, by ktoś z opalania rozchorował się lub umarł, a w każdym razie są to jedynie wyjątki! Tymi i podobnymi słowami, popartymi lekceważącym wzruszeniem ramion, dodają sobie ludzie otuchy i opalają się dalej. Zapominają, że poważne nawet na-

stępstwa nie zawsze występują od razu, że ciężkie rany, wynikłe z oparzenia promieniami Roentgena, zjawiają się dopiero po pewnym czasie, a śmiertelne zakażenia przeciągają się niekiedy długimi miesiącami, nim doprowadzą do ostatecznego kresu.

Prawda, że w obecnym wypadku sytuacja jest skomplikowana i stąd niełatwa. Moda idzie tu bowiem w parze z prądem, który sam w sobie jest zdrowy i zasługuje na poparcie. „Bez słońca nie ma życia" dla tych istot, które światła jego potrzebują. Wystarczy przenieść doniczki z kwiatami do piwnicy, lub spojrzeć na cerę ludzi, zamkniętych w ciemnych mieszkaniach. Słońce oddziaływa bezsprzecznie zbawiennie na człowieka, zarówno na jego organizm, jak na psychikę. Pod jego wpływem rozwija się i wzmacnia ciało, leczą się choroby, budzi się uśmiech i radość życia.

Toteż hasło „więcej powietrza i słońca!" rzucone w imię podniesienia ogólnego stanu zdrowia, spotkało się z uznaniem, a ponieważ równocześnie otwierało drogę do szerszej swobody na łonie natury, zdobyło bez trudności zwolenników wśród przedstawicieli każdego wieku i wszystkich klas społecznych. Obok praktykowanych od niepamiętnych czasów kąpieli rzecznych i morskich, powstały więc kąpiele słoneczne i powietrzne, a plażowanie rozwinęło się na niebywałą skalę nie tylko nad brzegami wód, lecz także wśród pól i lasów.

Rozpoczął się istny wyścig w pogoni za powietrzem i słońcem. Do czego jednak doprowadził? — Ażeby móc odpowiedzieć na to pytanie, musimy zatrzymać się choć krótko nad zagadnieniem działania promieni słonecznych na organizm ludzki. Sprawa nie jest jeszcze wszechstronnie wyjaśniona, niemniej badania, poczynione na podstawie obfitego materiału doświadczalnego, zwłaszcza kilkunastu lat ostatnich, wystarczają w zupełności dla celów praktycznych.

Obok promieni, widzialnych dla naszego oka, posiada widmo słoneczne jeszcze dwa inne rodzaje promieni niewidocznych: ultrafioletowe (pozafioletowe), o szczególnie małej długości fali, ale wielkiej częstości drgań, oraz ultraczerwone, zwane także infraczerwone (podczerwone). Każdy z tych rodzajów promieni ma odrębny sposób działania.

Ultrafioletowe działają przede wszystkim chemicznie i fizjologicznie i przenikają skórę mniej więcej na 1 mm. Ultraczerwone promienie działają natomiast głównie jako cieplne, przy czym zakres ich wpływu sięga około 3 cm w głąb organizmu. Siła działania promieni zależy od położenia słońca i od grubości i czystości atmosfery. W górach, gdzie powietrze jest rzadsze i czystsze, natężenie tej energii jest większe; w dolinach natomiast słabnie z powodu zanieczyszczenia atmosfery przez pył, parę wodną i różne gazy.

Że działanie promieni słonecznych na ustrój człowieka musi być silne, wynika zarówno stąd, że płyną one z olbrzymiego źródła energii, jak i z samej natury promieni niewidzialnych, zwłaszcza (zdaje się) ultrafioletowych. O ile naświetlanie nimi jest umiarkowane, wywiera wpływ dodatni, pobudzający; przyczynia się do żywszego przebiegu procesów organicznych, usuwania szkodliwych wydzielin, powstawania pewnych substancyj witaminowych i odpornościowych. Tym tłumaczy się jego wpływ leczniczy, znany szeroko w wypadkach gruźlicy kostnej i krzywicy.

Sytuacja zmienia się jednak z chwilą, gdy dawka promieni przekroczy dopuszczalną miarę. Oczywiście miara ta będzie różna dla poszczególnych osób; zależy to od ich przyzwyczajenia do słońca, od organizmu i od stanu zdrowia, zarówno ogólnego jak chwilowego. W każdym jednak razie nasłonecznianie po przekroczeniu tej miary uważać należy za czynnik ujemny, a w razie dłuższego i intensywnego trwania za wprost szkodliwy.

Następstwa ujemne odbijają się naturalnie naprzód na skórze, jako wystawionej na pierwszy ogień. Jednym z najpospolitszych jest silne zaczerwienienie skóry, połączone ze swędzeniem, w silniejszych zaś wypadkach z obrzękami i przykrym bólem, któremu towarzyszy gorączka i który trwa do kilku dni, a kończy się złuszczeniem skóry. Ten, lekceważony zwyczajnie stan, jest jednak prawdziwą chorobą: zapaleniem skóry, choć stanowi najłagodniejszą jeszcze formę szkodliwych skutków przesadnych kąpieli słonecznych.

Do poważnych zasłabnięć, na szczęście u nas rzadkich, należy udar czyli porażenie słoneczne. Zdarza się on u tych,

którzy godzinami używają kąpieli słonecznych z odkrytą głową. Następuje wówczas przejściowe podrażnienie mózgowia, którego objawami są: bóle głowy, gorączka, nudności, wymioty. Nie poruszamy tu bliżej wypadków udaru cieplnego, ten bowiem zdarza się także niezależnie od kąpieli słonecznych, u ludzi pracujących ciężko lub odbywających uciążliwe marsze w dni upalne.

Zbyt długie i silne naświetlanie promieniami słonecznymi może się odbić również ujemnie na systemie nerwowym, wątrobie i przewodzie pokarmowym. Następstwem jego bywają bóle głowy, bicie serca, pobudliwość nerwowa, brak apetytu, bezsenność, oraz biegunki, których przebieg u dorosłych bywa lżejszy, ale u niemowląt kończy się czasem zejściem śmiertelnym.

W pewnych wreszcie stanach chorobowych są kąpiele słoneczne w ogóle niebezpieczne i stąd wzbronione. Należą tu osoby chore na gruźlicę, na serce, silnie nerwowe, skłonne do epilepsji i do bólu głowy.

Wszystkie te wypadki i możliwości świadczą wymownie, że promienie słoneczne nie są ani tak niewinne i obojętne, jak sądzą jedni, ani tylko zdrowotne, jak myślą drudzy. W naszym więc klimacie, który zmusza do chodzenia miesiącami w ciepłym ubraniu, nie można w sezonie letnim używać od razu dłuższych kąpieli słonecznych, ale trzeba to czynić stopniowo, by przyzwyczaić skórę. Zaczynać należy od dziesięciu lub kilkunastu minut i codzień dodawać po kilka minut. Nadto kąpiel słoneczna w ogóle nie powinna trwać długo, zwłaszcza przy intensywnym działaniu promieni. Jako przeciętny czas wyznaczają lekarze 30 — 45 minut, najwyżej godzinę; niektórzy tylko pozwalają $1^1/_2$ — 2 godzin. Jasne jest więc, że popełnia prawdziwą lekkomyślność i naraża zdrowie, kto godzinami plażuje na słońcu.

Że organizm ludzki sam przeczuwa możliwość niebezpieczeństwa i broni się przed nim, dowodem jest właśnie „opalenie". Pochodzi ono stąd, że skóra nasza, broniąc ciało przed wtargnięciem promieni w głębsze jego warstwy, wytwarza w wierzchnich swych pokładach ciemny barwik, który staje się jakby wałem ochronnym, zatrzymującym działanie promieni. Ciemna barwa, jaką przybiera wtedy skóra, nie

jest więc w ścisłym znaczeniu ani „świadectwem zdrowia", ani dowodem, że kąpiel słoneczna do niego się przysłużyła, tylko jest znakiem, że organizm broni się i to właśnie przed słońcem. Opalenie się jest więc o tyle objawem dodatnim, że zabezpiecza ciało i świadczy o jego zdolności obronnej; ale nie mówi bynajmniej, że ten człowiek jest zupełnie zdrowy, bo jest silnie opalony, tamten jest słabszy, bo jest mniej opalony, a trzeciemu brak zdrowia, bo nie jest opalony. Mamy ludzi jasnej cery, a zdrowych i długo żyjących, i mamy innych z cerą malajską, a suchotników.

Korzystanie z powietrza i słońca należy więc podtrzymywać w dalszym ciągu i udostępniać je najszerszym warstwom, tym zwłaszcza, którzy większą część roku muszą spędzać w ciemnych, pozbawionych słońca mieszkaniach miejskich. Ale bezmyślny i szkodliwy dla zdrowia dzisiejszy zwyczaj wielogodzinnego plażowania w słońcu powinno się tępić. Kąpiel słoneczna niedługa i w stosownych warunkach zewnętrznych, a poza tym lekkie, higieniczne ubranie w porze gorącej — oto jest najlepszy sposób wykorzystania u zdrowych hasła „więcej powietrza i słońca!"

Tam zaś, gdzie naświetlanie promieniami słonecznymi ma mieć charakter leczniczy, wskazana jest jeszcze większa ostrożność. Należy bowiem pamiętać o ogólnej zasadzie, że najlepsze lekarstwo staje się szkodliwe, gdy jest stosowane nadmiernie. Nadto kąpiele słoneczne nie są lekarstwem na wszystkie choroby, owszem w pewnych wypadkach mogą tylko pogorszyć stan chorego, lub w innych wywołać chorobę, która bez działania słońca pozostałaby w stanie utajonym. Dlatego należy je stosować indywidualnie i podług wskazówek lekarza.

Te zdrowe zasady korzystania z kąpieli słonecznych, rozpowszechniane wśród starszych i młodzieży, wykorzeniłyby niezawodnie błędną opinię, jakoby „opalenie się" było warunkiem i nieomylnym znakiem zdrowia. Na nieszczęście w sprawę tę wmieszała się moda. Opalanie stało się modą, modą co najmniej dziwną, bo dlaczegoż cera rasy obcej, malajska czy cygańska, ma być lepsza od rodzimej? Moda to szkodliwa, bo prowadzi do niebezpiecznej przesady i do zwyrodnienia ruchu zbliżenia do natury, wypacza jego cele, zamiast służyć zdrowiu szkodzi mu tylko.

Nie łudzimy się naturalnie, by same poważne słowa przestrogi odniosły tu pożądany skutek. Artykuły lekarskie na temat kąpieli słonecznych pojawiają się w naszej prasie codziennej już od przeszło dziesięciu lat, a tymczasem zwyczaj bezkrytycznego plażowania rośnie, bo moda nie ogląda się na racje rozumowe. Dlatego zdaje nam się, że obok konieczności rozwijania w dalszym ciągu planowej propagandy i uświadamiania ogółu o należytym uprawianiu kąpieli słonecznych, jedynym skutecznym środkiem byłoby: zmienić modę. Gdy opalanie się zostanie ośmieszone i stanie się niemodne, można być pewnym, że skończy się zaraz. A wtedy otworzy się droga do szerzenia rozumnej kultury ciała przez używanie powietrza i słońca w tych rozmiarach, w których mogą służyć rzeczywiście zdrowiu i pięknu.

Ten nowy i przybierający na sile prąd szukania powietrza i słońca nie mógł jednak zamknąć się w granicach czysto zdrowotnych zainteresowań, ale pociągnął za sobą pewien przewrót w tradycyjnych pojęciach i zwyczajach. Plażowanie, już nie tylko nad brzegiem wody, i „opalanie się" dały kostiumowi kąpielowemu prawo obywatelstwa także poza obrębem rzek i morza. Masowy zaś charakter tego ruchu skupia dziś jego zwolenników na niewielkiej najczęściej przestrzeni, a ponieważ są to na ogół ludzie zupełnie lub względnie zdrowi i przebywają tu długimi godzinami i dniami, przeto zbiorowe ich pożycie, przekształca się stopniowo w nowe formy życia towarzyskiego. Zamiast starannych, eleganckich toalet, salonów i foteli, mamy leżaki, a na nich mniej lub więcej nieubrane i w różnych pozycjach spoczywające, postacie starszych i młodszych mężczyzn i kobiet.

Że ta swoboda, stanowiąca żywy kontrast z panującymi niedawno jeszcze stosunkami, nie mogła przejść bez głębszego echa w poglądach i obyczajach, to chyba rzecz oczywista. Nie mamy zamiaru poruszać moralnej strony tego zagadnienia, gdyż uczyniliśmy to dawniej przy różnych okazjach i nie potrzebujemy nic odwoływać. Obecnie pragniemy tylko wskazać, że kwestia ta wiąże się również z ogólną kulturą społeczeństwa, nie tylko wewnętrzną, ale obejmującą także

zespół tych zwyczajów i zewnętrznych warunków życiowych, które w pojęciu Zachodu wymagane są u każdego, kto chce uchodzić za „człowieka kulturalnego".

I nie stawiamy tu pytania: czy hasło „więcej powietrza i słońca!" da się pogodzić z prawdziwą kulturą? Dyskusję na tym punkcie uważamy za zbyteczną. Hasło powyższe jest samo w sobie zdrowe i zgodne z naturą, chodzi jedynie o to, by w praktyce zostało przeprowadzone w sposób odpowiedni, jak wymaga ta wysoka kultura, którą zdobyliśmy pracą wieków, którą się słusznie szczycimy i na której dalszym pogłębieniu winno nam zależeć. Aktualne dla nas jest dlatego pytanie: czy zbliżenie się do przyrody w tej formie, w jakiej dziś jest u nas wykonywane, odpowiada prawdziwej kulturze i czy wywarło wpływ zbawienny?

Niestety lata ostatnie, wraz z minionym świeżo sezonem, każą nam na to pytanie dać odpowiedź przeczącą.

Czy było przedtem do pomyślenia, by dobrze wychowany mężczyzna odważył się w obecności kobiety zdjąć marynarkę? Nie rozpinał jej nawet, bo to już uchodziło za objaw ujemny i robiło złe wrażenie. Przepis ten pozostał też do dziś dnia; nie należy bynajmniej do przeżytków, nie wyciągnęliśmy go z teki starodawnych zwyczajów. Ale jak wygląda w praktyce?

Po letniskach i miejscach kąpielowych mężczyzna towarzyszy dziś nieraz damom nie w zapiętej na wszystkie guziki marynarce, ale pół- lub raczej w $^{9}/_{10}$ -nagi. I nie mówię tu o plaży, gdzie ta rzecz mogłaby ostatecznie być wytłumaczona. Ale tak chodzi się tam również po uczęszczanych ulicach, a polami i lasami także na dalsze przechadzki, bez względu na niepodzielającą takich zwyczajów pozostałą publiczność, nie licząc się zupełnie z miejscową ludnością, często mocno niezadowoloną z tego przykładu dla ich dzieci. W takim „kostiumie" jeździ się dorożkami, co więcej zasiada przy stolikach kiosków i kawiarni. Są wprawdzie pewne schroniska, które zdobywają się na odwagę ogłoszenia, że „wstęp do restauracji w strojach kąpielowych jest wzbroniony"; ale takich jest niewiele; gdzie indziej interes bierze górę nad wszystkim, a „moda" służy za wygodny parawan.

Że ta rzecz jest przykra dla gości, którzy nie zdążyli jeszcze zejść do tego poziomu, o to się nie dba. Muszą się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy. Od czasu do czasu ktoś próbuje głośno reagować, ale najczęściej wstrzymuje się od tego kroku, bo przeczuwa, że najprawdopodobniej znajdzie się osamotniony. Część obecnych gości podzieli wprawdzie jego stanowisko, ale nie zdobędzie się na odwagę protestu, pozostali zaś, zwłaszcza osobiście interesowani, nie staną po jego stronie. Sytuacja jest trudna, bo na ludzi, którym brak jest poczucia: co wypada, a co nie wypada, nie ma lekarstwa, chyba przymus, a i ten wystarczy im tylko do czasu; niech dziś ustanie, a jutro wrócą do zakazanych praktyk.

Tego poczucia, które jest jedną z cech prawdziwej kultury, brakuje dziś niestety sporej części naszego społeczeństwa i to inteligentnego, względnie mającego do tego pretensje. U niektórych brak ten stał się wprost rażący.

Że na letnisku musi panować duża swoboda, jest rzeczą samą przez się zrozumiałą. Na to przyjeżdża się tam, by odetchnąć po skrępowaniu, jakie pociąga za sobą zwłaszcza pobyt w mieście. Po miesiącach ciężkiej pracy i przesiadywania w atmosferze dymu i pyłu chce się zaczerpnąć świeżego powietrza, użyć wody i słońca. Ubiera się więc lekko i swobodnie, urządza tryb życia możliwie sielankowo. Lecz swoboda ta musi utrzymać się jednak w pewnych ramach, a zbliżenie do natury nie może być powrotem do stanu człowieka pierwotnego. Człowiek kulturalny pozostanie nim zawsze i wszędzie, nawet jeśli będzie sam, a cóż dopiero gdy znajdzie się między innymi. Nie wszystkie letniska są zapadłą wsią; niektóre z nich przypominają raczej miasto i roją się od gości. Kto tu mieszka, zwłaszcza przy szlakach bardziej uczęszczanych, musi się z tym liczyć i praktykować swobodę w sposób odpowiedni. Może przebywać w stroju kąpielowym, plażować i opalać się, ale — wszystko na swoim miejscu i w swoim czasie!

Niestety, ten delikatny zmysł rozróżniania tego: co i gdzie można i wypada — zatraca się zbyt łatwo u wielu naszych letników i kuracjuszów. W ślad zaś za tym idzie stopniowy zanik form towarzyskich, a niekiedy najprostszych

nawet przepisów dobrego wychowania. Wystarczy się przejść wśród will i pensjonatów, zaglądnąć do parków, restauracyj i kawiarni, zapuścić się w najbliższą okolicę. Obok jednostek i towarzystw, które pozostawią nam najbardziej dodatnie wrażenie, zastaniemy tam niemało innych, które zarówno swą powierzchownością jak zachowaniem budzą tylko niesmak i rzucają cień na poziom kulturalny naszych letnisk i uzdrowisk.

Ci ostatni mają przy tym swój tupet; nie krępują się bynajmniej, nie wstydzą, oburzają się na „ciasnotę przekonań" drugich. Zdaniem ich, na świeżym powietrzu ustają wszelkie przepisy i wszystko uchodzi; nie potrzeba oglądać się na nikogo, ani na sąsiadów, ani na ludność miejscową. W rozumowaniu ich tkwi coś z człowieka pierwotnego, który nie zrósł się duchowo z kulturą, uważa wymagania jej za ciężar narzucony i dlatego czuje się szczęśliwy, gdy pod jakimkolwiek pozorem może go zrzucić, choćby na krótki czas, ale zupełnie. Że przy takich gościach wygórowana swoboda lub, ściślej mówiąc, zaniedbanie, święcić musi triumfy, trudno się dziwić. Lecz szkoda!

Chłopiejemy, trzeba powiedzieć na ten widok! Chłopiejemy w ujemnym tego słowa znaczeniu, a nie w etymologicznym, jakobyśmy tym sposobem zbliżali się do ludu. Nie! Lud nasz, mimo twardych warunków bytu i przy całej prostocie obyczajów, ma jednak lepsze odczucie tego: co wypada, a co nie wypada.

Co myślą cudzoziemy, zwiedzający coraz liczniej Polskę, o tych obrazkach z naszego życia, trudno się dowiedzieć. Kiedy w licznej grupie „łódek" góralskich płynęliśmy tego roku malowniczą wstęgą Dunajca, wijącą się u stóp Pienin, znalazłem się w towarzystwie dwóch panów z Poznańskiego, Belgijczyka z Brukseli i rodowitej Amerykanki wraz z towarzyszącą jej Polką. Byli ubrani lekko, bo dzień był upalny, ale poprawnie, z pewną nawet elegancją. Lecz już w następnej łodzi za nami, zajętej przez rodzinę polską (z inteligencji), kilkunastoletnie córki nie tylko jechały rozebrane, ale nie uważały za stosowne, by na przystankach, gdzie wstępowano do kiosków, zarzucić coś więcej na siebie. Jakie wrażenie zrobiło to na naszych gościach zagra-

nicznych, nie wiem; sądząc jednak z ich milczenia i zachowania się, tylko niepochlebne.

Kogoż wszakże mamy zaliczyć u nas do tych wrogów „skrępowania" i pionierów powrotu do stosunków pierwotnych? Bo i takie pytanie stawia się czasem.

Niektórzy lubią zwalać całą winę na Żydów. Czy jednak słusznie i czy nas tym obronią? Prawda, że swoboda w dziedzinie obyczajowej jest właściwością rasy żydowskiej; zwracają na to uwagę wybitni seksuolodzy. W naszych szkołach średnich słyszy się też nieraz skargi na demoralizujący wpływ młodzieży żydowskiej. Lecz po pierwsze, nie tylko Żydzi pozwalają sobie na zbytnią swobodę w miejscach wypoczynkowych; dotrzymuje im tu miejsca również wielu Polaków i to, co smutne, z inteligencji. Po wtóre zdaje się, że przypisywanie w tym wypadku głównej winy Żydom byłoby raczej naszą własną kompromitacją. Świadczyłoby bowiem, że nie mamy ani samodzielnego sądu, ani poczucia, ani siły woli i dlatego dajemy się pociągnąć złemu przykładowi. Tymczasem gdyby wszyscy Polacy byli inni, Żydzi bez wątpienia musieliby zastosować się i zastosowaliby się do nich i nie pozwalaliby sobie na niedopuszczalny liberalizm w zachowaniu się na miejscach publicznych. Składanie więc winy na nich uznać wypada za krok nieszczery i chybiony. Brak kultury w sposobie noszenia się i zachowania jest naszą własną winą!

Błędem jest również przypisywanie całej winy światu kobiecemu, jakkolwiek trzeba stwierdzić, że kobiety przyczyniły się w wielkim stopniu, owszem w większym od mężczyzn, do dzisiejszego stanu rzeczy. Poszanowanie kobiety było przedtem tym głównym czynnikiem, który kazał mężczyźnie być w każdym calu poprawnym w swym zachowaniu się. Ale poszanowanie takie zdobyła kobieta niemniejszą troską o te zalety, które łączą się z jej powołaniem naturalnym, lub które, jak skromność, tradycja wieków w szczególniejszy sposób związała z jej imieniem. Dziś jednak tak wielka liczba kobiet zlekceważyła te cnoty, że mężczyzna poczuł się wolny od dawniejszych zobowiązań. Widząc, że ona się nie szanuje, zachowuje się podobnie.

Lecz fakt ten, jakkolwiek prawdziwy, nie rozgrzesza mężczyzny i wina jego jest również znaczna. Współzależność płci jest obustronna i wpływ mężczyzny na kobietę jest zawsze wielki, a tymczasem tu nie umiał i dotąd nie umie go wyzyskać. Brak mu odwagi, by swe przekonania wypowiedzieć jasno i żądać tego, co być powinno, a co w obecnym wypadku jest nadto uzasadnione interesem ogółu i samej kobiety. Jest tchórzem, który milczy i nieudolność swą pokrywa uśmiechem pobłażliwości lub mniemanym zachowaniem przepisów dobrego wychowania. Ta wyrozumiałość, przyjęta dziś w naszym życiu towarzyskim, jest jednak objawem ujemnym, który świadczy tylko o płytkości poglądów i o słabości jednej i drugiej strony. U mężczyzny zaś jest ona niewłaściwą tolerancją, która i mało ma wspólnego z prawdziwym dżentelmeństwem i dziwnie nie harmonizuje z niewygasłymi jeszcze pretensjami „pana świata".

Wina jest więc zbiorowa i zaczyna się mścić na nas. Mówiono i pisano dużo o konieczności podniesienia kultury szerokich mas w Polsce i zrobiono też niemało w tej mierze. Należało jednak pamiętać, by podciągając niższe warstwy ku górze, nie obniżyć własnego poziomu. Tymczasem dopuszczono do tego. I dziś turysta, pnący się na szczyty, czy też zwiedzający urocze zakątki naszej ziemi, ma co pewien czas takie niespodzianki: spotyka po drodze różne towarzystwa i dopiero z dolatujących go słów rozmowy dowiaduje się ze zdumieniem, że tam jest i „pan profesor" i „pani doktor"; bo z wyglądu nigdy by się tego nie domyślił.

To zacieranie różnic, przez zatracanie cech wyższej kultury, nie może oczywiście być pożądane i nie leży w niczyim interesie. Owszem staje się ono groźne z innego jeszcze względu; nie kończy się bowiem z okresem urlopu i nie poprzestaje na letniskach, ale szerzy się dalej i pozostawia trwałe ślady. Ludziom, którzy przez miesiąc zażyli nieograniczonej swobody i nie krępowali się nikim, trudno wytłumaczyć, że z chwilą powrotu do miasta muszą z tą wolnością zerwać i wejść znowu w jarzmo. W następstwie tego widzimy na wielkomiejskich ulicach i w parkach mężczyzn w porozpinanych koszulach i kobiety w strojach i pozycjach

niewiele lepszych od tych, jakimi popisywały się na letniskach.

W tych warunkach nie ma nic dziwnego, że od szeregu lat trudno jest przechodniowi rozróżnić nieraz w mieście, czy ma przed sobą młodego urzędnika czy czeladnika, akademiczkę czy ekspedientkę sklepową? Czasem ci drudzy nawet lepiej się przedstawiają. Podobnie niejedna służąca lepiej sobie zdaje sprawę od swej pani, że do kulturalnego wyglądu należy w mieście noszenie pończoch.

Chłopiejemy, trzeba powtórzyć z żalem, lecz nie dlatego, że szukamy powietrza i słońca, tylko dlatego, że nie umiemy zachować właściwej miary. Okazujemy się tu, podobnie jak w tylu innych sprawach, chronicznie skłonni do krańcowości: albo pałac, albo chałupa! Tymczasem stara filozoficzna zasada „złotego środka" (unikania obu ostateczności) nie straciła dotychczas nic ze swej siły i ma wszędzie zastosowanie. Żadna krańcowość nie jest dobra i każdą przesadę należy zwalczać, z którejkolwiek strony by pochodziła. Byłoby błędem zwalczać hasło „więcej powietrza i słońca!" zwłaszcza w imię mniemanych zasad moralnych; ale nie można też pozwolić na niezdrowy przerost w jego realizowaniu. Trzeba zachować należyty umiar, a wtedy i zdrowie ogółu na tym zyska i wymaganiom kultury stanie się zadość.

Wszystko w odpowiednim czasie i w odpowiedniej mierze, wszystko na swoim miejscu — ta prosta zasada, wprowadzona w czyn, odmieniłaby i podniosła wygląd naszych letnisk i miejsc kuracyjnych. Dzisiejszy stan rzeczy przypomina bigos z tych jadłodajni, gdzie w skład jego wchodzą także wszystkie resztki, niedojedzone przez gości. Jest to chaos, w którym poglądy zdrowe i skrajne, prądy kulturalne i pierwotne mieszają się i kłócą wzajemnie. W tych warunkach trudno się dziwić, że ludzie, nie posiadający głębszej i wyrobionej kultury, popadają w dezorientację, w której najprymitywniejsze wymagania uchodzą ich uwagi, a fałszywe pociągnięcia przestają razić.

Ta dezorientacja i osłabianie poczucia tego, co wypada, a co nie wypada, są niebezpieczne, bo szerzą się z roku na rok po naszych letniskach, obniżają poziom kultu-

ralny ogółu i prowadzą na błędne tory tych, którzy szukają dopiero drogi. Proces ten obserwujemy już od dłuższego czasu, a fakt, że w tej kwestii prawie nie zabiera się głosu, jest rzeczywiście niepokojący.

Głos powinni tu zabrać ludzie nauki i zarazem głębokiej kultury. Hasło „więcej powietrza i słońca!" powtarzamy raz jeszcze, jest zdrowe i należy je szerzyć, ale w wykonywaniu go trzeba zachować miarę złotego środka, by mogło służyć i ciału i duchowi. Praca w tym kierunku, uświadamiająca i wychowawcza, musi jednak, o ile ma być skuteczna, iść w parze z tępieniem pewnych rażących niewłaściwości po naszych miejscowościach wypoczynkowych i leczniczych. Życzyć by należało, by do niej przystąpiono rychło, gdyż od jej powodzenia zależeć będzie w niemałej mierze zarówno racjonalna troska o zdrowie, jak kulturalny poziom naszego społeczeństwa.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Czy Stanisław Wyspiański cierpiał biedę w Paryżu? [1])

Wieloletni pobyt młodego poety w domu wujostwa Stankiewiczów, przy ul. Zacisze w Krakowie, stanowi okres w jego życiu najszczęśliwszy. Otoczony miłością i pieczołowitością obojga wujostwa pędzi życie beztroskie. Wśród dobrobytu, a przede wszystkim wśród niepowszedniej kultury ich domu rozwija serce i ducha w atmosferze przepojonej najwyższym pojęciem dobra, uwielbieniem sztuki, nauki i jej piękna. Wysoka dla zasług patriotycznych *ad personam* pensja wuja Stankiewicza, jako naczelnika jednego z oddziałów Kasy Oszczędności Miasta Krakowa i prywatna jego znaczna gotówka wystarczają na wszystko. Nie potrzebuje młody Staś Wyspiański udzielać lekcji studenckich. Nie potrzebuje myśleć o studiach i egzaminach dla otrzymania czym prędzej jakiejś posady. Może zamarzyć o karierze artystycznej, o kształceniu się za granicą — ba! nawet o kilku-

[1]) Na podstawie osobistych wspomnień oraz nieznanych listów poety do wujostwa.

Por. Wincenty Trojanowski: „Wyspiański — artysta — człowiek — życie" (Warszawa, 1928, str. 31).

Julia Krzymuska — Kisielewska (Oksza): „Z młodzieńczych lat St. Wyspiańskiego" (Przegląd Narodowy — Warszawa, 1909, tom III, str. 333, wiersz 7 od dołu).

Tadeusz Zuk - Skarszewski: „Stanisław Wyspiański" (Album dzieł malarskich St. Wyspiańskiego. Warszawa, Inst. Wyd. Bibl. Pol. 1925, str. 53.

Leon Płoszewski: „Pierwsza klęska Wyspiańskiego" (Dod. Il. Kur. Codz. 29/XI, 1937, Nr 49, str. IV, kolumna 2, wiersz 20 od dołu).

miesięcznej podróży po szeregu miast zagranicznych w celu zapoznania się z dziełami sztuki, architektury, z kulturą Zachodu. Jako jeden z najzdolniejszych uczniów Szkoły Sztuk Piękn. w Krakowie, uzyskuje roczne stypendium im. Matejki na rok szkolny 1889/90 w kwocie 500 złotych reńskich [1]), a pobrawszy je nie jest zmuszony pieniędzy tych używać na potrzeby życia codziennego, jak również pieniędzy otrzymanych za prace około polichromii prezbiterium kościoła mariackiego w Krakowie pod kier. Matejki, lecz może z całą swobodą, nawet bez pomocy wujostwa, już w dniu 2 marca 1890 r., wyjechać za granicę.

Po siedmiomiesięcznej, nieprzerwanej podróży powraca z końcem września do Krakowa. Ale wraca zmuszony nie brakiem funduszów, wraca — wezwany terminem stawienia się do wojska.

I w roku 1891 szczęśliwie układa mu się życie. I wtedy otrzymawszy znowu stypendium na rok szkolny 1890/91 im. Matejki w kwocie 500 złotych reńskich [2]) wyjeżdża z Krakowa, tym razem już do Paryża na studia.

Stanąwszy w połowie maja [3]) na miejscu, nie zaznaje żadnych trosk, żadnych kłopotów złączonych z poszukiwa-

---

[1]) Akta archiwum Wydziału Kraj. we Lwowie, z dn. 27/X 1889 r. L. 46854.

[2]) Akta arch. Wydz. Kraj. we Lwowie L. 44537 z dn. 20/X 1890 r.

[3]) Twierdzenie Wincentego Trojanowskiego w książce pt. „Wyspiański — artysta — człowiek — życie" (Warszawa, 1928, str. 31 i 32), jakoby St. Wyspiański wyjechał do Paryża w styczniu 1891 r. jest błędne. Według nieopublikowanych korespondentek i listów jego pisanych wówczas do wujostwa (oryginały w posiadaniu P. Włodzimierzowej Żuławskiej) wyjechał z Krakowa w maju 1891 r.

„Salzburg — (stamp. poczt. 14/V 91. Bahnhof)... Byłem we Wiedniu u Mehofferów... Ale jeszcze tego samego dnia wieczorem podjąłem znów całonocną podróż do Salzburga, gdziem zajechał na 8-mą rano...

Innsbruck 15 Maja 1891 rp... Po całodziennej jeździe wśród przepięknej okolicy górskiej dostałem się ze Salzburga do Innsbrucka...

Zürich 18/V 1891 Filiale I (stamp. poczt.)... jestem w Zürichu i oto już na wyjezdnem... za dwa dni będę już we Francyi a zatem i w Paryżu niedługo...

Paris R, des halles 26/V 1891 (stamp. poczt.)... Już od trzech dni w Paryżu..."

niem mieszkania. Zamieszkuje wspólnie z Mehofferem, który przybywszy nieco wcześniej do Paryża na studia, tam go już oczekuje.

29 maja donosi wujostwu:

„...Mieszkanko bardzo milutkie, chociaż w samym środku miasta, jednak dalekie od wszelkiego hałasu... Wszędzie, gdzie nam wypada iść, bliziutko, tak że tylko chyba na Wawel daleko..."

8 czerwca pisze:

„...Tymczasem chodzimy często z Jankiem do Comedyi Francuskiej..."

Zdala w Krakowie myślą o nim ci, co go nad życie kochają — wujostwo Stankiewiczowie. Licznymi, ciągle pisywanymi korespondentkami i listami dziękuje im Stanisław Wyspiański za przysyłane pakunki, np. korespondentką z 17/6 1891.

„...Odebrałem dzisiaj kufer i rozpakowawszy go w domu napawałem się jego zawartością. Dziękuję zatem bardzo za wszystkie kłopoty, opakowanie i przesyłanie...".

Gdy troszczą się i niepokoją o niego, uspokaja ich, pociesza.

I tak 9 sierpnia 1891 r.:

„...U nas tutaj zupełnie dobrze słychać. Niczego mi nie brakuje..."

A 21 sierpnia:

„...U nas zupełnie dobrze wszystko idzie... Niczego mi nie potrzeba posełać chyba „Pana Tadeusza..."

Zaś 31 sierpnia:

„...Wczoraj widziałem „Tartuffa" w Komedyi francuskiej... Obydwaj jesteśmy zdrowi i nic nam nie brakuje..."

7 września donosi wujostwu:

„...Zresztą nawał naszych zajęć naturalnie malarskich już się przewalił..."

„Nawał zajęć malarskich" — to wykonywanie kartonów do witraża kościoła mariackiego w Krakowie, ponad chórem. Obydwaj młodzi adepci sztuki w Paryżu, Wyspiański i Mehoffer oczekują na pobranie za nie należnej zapłaty,

zapłaty wysokiej, bo po 200 złotych reńskich [1]) otrzyma za nie każdy z nich. Zanim jednakowoż Wyspiański pieniądze te odbierze, wujostwo przesyłają mu 50 florenów [2]) pocztą. O kwotę tę prosił ich osobnym listem, którego brak w zbiorach — jak to dalsze jego listy dowodzą, a mianowicie:

„Paris 25 Sept. 91. (stamp. poczt.):

„...Odebrałem dzisiaj pieniądze [3]) a kartę przedwczoraj. Zresztą już i tak niedługo będę wybawiony na jakiś czas z kłopotów pieniężnych, bo nam należne pieniądze [4]) nadeślą wkrótce..."

A 8 października:

„...Dziękuję bardzo za wiadomości odnoszące się do mego stypendium... chciałbym więc wiedzieć w jaki sposób mam to zrobić, do kogo się zwrócić [5]). Tymczasem za parę dni odeszlę ten dług jaki zaciągnąłem u Wujostwa, pieniądze bowiem obiecane [6]) wkrótce dostaniemy, co nam na czas jakiś wystarczy..."

Rzeczywiście wkrótce otrzymuje obiecane należne 200 złotych reńskich za kartony do szyb okna mariackiego w Krakowie i już ma owe 50 florenów wujostwu odsyłać, bo 13 października pisze:

„...Wysłałem list niedawno, który zapewne już otrzymaliście. Pieniądze zaś wyślę jutro..."

Gdy tymczasem nadchodzi od wujostwa 19 października karta, na którą w tym samym dniu odpisuje:

„...Dostałem dzisiaj rano kartę... bardzo chętnie mi przychodzi pisać, aby módz podziękować za owe 50 fl., które sądziłem długiem i już miałem odesłać. Tymczasem dziękuję za ten podarunek, nie trapcie się, jestem zdrów aż nadto..."

Tak oto wyglądały jego długi, zaciągane w Paryżu u wujostwa — długi, o których wspomina w listach do ko-

---

[1]) Akta arch. miej. w Krakowie.

[2]) Floren, gulden, złoty reński — określenie tej samej jednostki monetarnej.

[3]) Owe 50 (pięćdziesiąt) florenów od wujostwa.

[4]) 200 (dwieście) złr. za kartony do szyb okna mariackiego w Krakowie. (Akta Archiwum Miejskiego w Krakowie).

[5]) W sprawie stypendium.

[6]) Pieniądze obiecane za kartony do szyb okna mariackiego w Krakowie.

legów, o których jednak zapomina im nadmienić, gdy po pewnym czasie bywają mu przez wujostwo darowywane. Że młody Wyspiański wszelkie prośby zwracane do wujostwa o pomoc pieniężną nazywa „długami" — „pożyczkami", dziwić się temu nie można. Brzmiało to piękniej, przyjemniej. Dla nich zaś było niejako rękojmią, że młody ich siostrzeniec w Paryżu więcej z pieniędzmi liczyć się będzie. Nie sprzeciwiali się więc, ba! nawet ciotka Stankiewiczowa sama poniekąd zwyczaj ten wprowadziła w mniemaniu, że tylko w ten sposób przyzwyczai młodego Stasia do oszczędności w Paryżu. Nigdy jednak wujostwo Stankiewiczowie pomocy pieniężnej mu nie odmawiali, nigdy jej za „dług", za „pożyczkę" naprawdę nie uważali. Zresztą z czegóżby on, nie mający prócz stypendium żadnych dochodów, mógł wujostwu owe długi oddawać? Wszystko, co tylko posiadał, pochodziło od nich.

Listy jego pisane do nich z Paryża są tego najsilniejszym dowodem. Widzimy z nich, że nie zaznawał tam niedostatku ni biedy. Niestety! przeważająca ilość tych listów została zniszczona przez niego samego. Własnoręcznie w oczach ciotki Stankiewiczowej i w moich oczach całą paczkę ich spalił. Z trudem obydwie zdołałyśmy uratować małą zaledwie cząsteczkę, owe kilkadziesiąt listów pozostałych. Listów tych nie drukowano dotąd nigdy zbiorowo; opublikowano natomiast w znacznej części listy jego do kolegów i one nasuwać mogły w ciągu lat biografom St. Wyspiańskiego mniemanie i przypuszczenie, jakoby nie posiadał on podczas pobytu w Paryżu dostatecznych zasobów pieniężnych, jakoby wujostwo mu w ogóle nic nie pomagali — czy nie mieli na to — czy jakoby nie chcieli — a pieniędzy udzielali mu tylko jako pożyczek. Jako ich siostrzenica, przebywałam wiele w owych czasach w ich domu, to też wiem, że pomagali mu całym sercem, a udzielanie mu przez nich pieniędzy jako „pożyczek", było tylko formą. Nigdy się o nie nie upominali. Żadnych też pieniędzy nigdy on im nie zwracał.

A młody poeta w Paryżu wydawał wiele. Oto co sam pisał do Maszkowskiego 20 lipca 1891 r.:

„... Byliśmy w Comédie française na Britannicusie Racine'a..."

Zaś 11 września:

„...Wczoraj widziałem w Odeonie „Cyrulika sewilskiego..." Przedwczoraj zaś Hernaniego w Komedyi francuskiej..."

A 30 września:

„...My się wcale źle nie mamy, kto Ci to mówił, mówił Ci niepotrzebnie..."

8 października:

„...Byłem wczoraj w „Odeonie" i zachwycony jestem sztuką, którą tam widziałem (La mer) dzieje się nad morzem..."

21 listopada donosi wujostwu:

„...Wczoraj byłem w operze na „Fauście"...

Równocześnie w tym samym dniu pisze do Opieńskiego:

„...Wczoraj byłem wysłuchać „Fausta" w Operze Wielkiej... ...Przed paru dniami słyszałem „Carmen" w Opera Comique... ...W „Opera Comique" słyszałem także „Manon" Masseneta... w Komedyi Francuskiej grają dzisiaj „Poskromioną Sekutnicę"... właśnie zbieram się w tej chwili do pójścia do teatru..."

30 listopada:

„...Popołudniu idę do Comedyi Francuskiej zobaczyć nareszcie „Cinna" Corneilla..."

W tym samym mniej więcej czasie wujostwo Stankiewiczowie starają się o stypendium dla poety. Chodziło o dalsze stypendium im. Matejki w kwocie 500 złotych reńskich rocznie na rok 1891/92. Wyspiański dowiedziawszy się od nich, że jest nadzieja, że je otrzyma [1]), pisze:

14 grudnia 1891 r.:

„...Przedewszystkiem postanowiłem mieszkać osobno w miejscu bardzo bezpiecznem i znanem mi dobrze szukam sobie mieszkania niedaleko atelier do którego chodzę... Nie trapcie się nic, że to robię na zimę, że może nie mam funduszów na wszystko — nie trapcie się, już ja sobie to obrachowałem wszystko — rozliczyłem się z funduszami a widząc że to mogę zrobić zdecydowałem się... To mieszkanie o które się wypytywałem, będzie kosztowało 140 fr. rocznie, a więc nie dużo, czyli 35 franków za

[1]) Akta arch. Wydz. Kraj. we Lwowie L. 4201 z dn. 14/I 1802.

kwartał a zatem tylko o 5 franków więcej niż płacę obecnie (razem we dwóch płacimy 60 na kwartał).

Co się tyczy opału, zainstalowania się, jużem sobie wszystko obliczył, że ze sprawieniem nowych gratów potrzebnych, jak miednica, putnia, konewka itd., w danym razie piec itd. nie będzie razem więcej kosztowało jak 50 franków (opał do kwietnia naturalnie). Jakże się cieszę na nowe mieszkanko — gdzie będę miał spokój, spokój kompletny... Teraz przechodzę do strony praktycznej. Otóż mianowicie wspominała mi Ciocia w jednym z listów, że stypendium już mi przyznano, że tylko czeka się na papier ze Lwowa, czy coś podobnego. Proszę zatem Kochanych Wujostwa o przysłanie mi a conto stypendium 200 złr., abym mógł mieć długi czas zapewniony. — Zdaje mi się, że Wuj będzie mógł już owe 200 złr. podnieść i wziąć z kasy Dyrekcyi Szkoły sztuk Pięknych — a jeśli jeszcze, nie to możeby Wujostwo mogli przysłać mi naprzód a potem sobie Wuj odbierze ze Szkoły od... (nieczytelne), gdyż mi teraz potrzeba będzie".

Brak jest listów od 14/XII do 30/I 1892 r. Treść jednak ocalonych od zniszczenia dalszych listów wskazuje jasno, że wujostwo przysłali poecie owe 200 złotych reńskich do Paryża.

30 stycznia 1892 r. pisze do nich [1]):

„...Jeszcze się na nowe mieszkanko nie przeniosłem, ale byłem je obejrzeć przed paru dniami... Tak moje ostatnie dnie spędzam na starej rezydencyi..."

---

[1]) Błędną jest data listu St. Wyspiańskiego, pisanego z Paryża do wujostwa, podana w książce p. Wincentego Trojanowskiego pt.: „Wyspiański — artysta — człowiek — życie" (str. 32, wiersz 5 od góry):

„...Uradowany pisze do wuja (30 stycznia 1891 r.)..."

Jest to zapewne pomyłka, wynikła z powodu niewyraźnie w oryginale listu napisanej d w ó j k i, którą przy przepisywaniu uważano za j e d y n k ę. Data ta musi opiewać w oryginale 30 stycznia 1892 r. — St. Wyspiański bowiem przybył do Paryża dopiero w drugiej połowie maja 1891 r. Dowodem — jego kartki korespondencyjne pisane do wujostwa, a powyżej przytoczone: Salzburg 14/V 1891 — Innsbruck 15/V 1891 — Zürich 18/V 1891 — Paris R. des halles 26/V 1891.

Odnośnie zaś do słów jego z listu z 30 stycznia pod rzekomą datą 1891 r. (str. 32): „...Jeszcze się na nowe mieszkanko nie przeniosłem..." zaznaczam, że w liście z dnia 14 grudnia 1891 r. (oryginał nieopublikowany, a którego wyjątki są przytoczone w niniejszym artykule przeze mnie) pisze poeta z Paryża do wujostwa: „...Jutro mają mi odpowiedzieć o mieszkanku nowem, czy będzie wolne dla mnie czy nie..." Więc jak z treści listu z 14/XII 1891 r. wynika, rzekoma data listu z 30/I 1891 musi w rzeczywistości być datą z 30/I 1892 r.

Bez troski więc o byt codzienny upływają Wyspiańskiemu dni pobytu w Paryżu w 1891 i 1892 roku. Może mieć osobne dla siebie mieszkanko, a w nim ciszę i spokój. Może bywać w galeriach, w muzeach, w teatrach, na operach — a obracając się ustawicznie w ośrodkach najwyższej kultury, rozwijać talent, kształcić się wszechstronnie.

Praca ta jednak, aczkolwiek umiłowana i każdą chwilę życia mu wypełniająca, nie zdoła zagłuszyć budzącej się i ogarniającej go coraz silniej od jesieni 1891 r. tęsknoty, tęsknoty za krajem, za rodziną, za kolegami. Już w dniu 13 października pisze do wujostwa:

„...Jakże się Wujostwo właściwie miewają? czy się co w pokojach nie zmieniło? — Chwilami zdaje mi się, że idąc tymi uliczkami Paryża, które już znam dobrze, mógłbym zajść na Zacisze..."

Za parę dni potem, bo 19 października:

„...Nie trapcie się, bo jestem zdrów aż nadto, prawie że jestem zdrowszy na ciele niż na umyśle... Piszcie tylko do mnie dużo, to mi już niczego nie będzie brakowało. Nieraz mi tak żywo przed oczyma stają wspomnienia z Krakowa..."

2 listopada:

„...Dzisiaj są to właśnie dnie zaduszne. Pamiętam je doskonale innych lat spędzonych w Krakowie..."

15 listopada:

„...W tych czasach przypominam sobie w roku zeszłym mój pobyt we wojsku, bardzo żywo staje mi wszystko w pamięci... Czas w wielu razach upływa mi tutaj dosyć nudno... Zawsze mi kogoś brakuje. Niedostaje. Tak się przyzwyczaiłem mieć ich koło siebie wszystkich, że chciałbym aby tak było ciągle..."

A do Opieńskiego 3 marca 1892 r.:

„...Często jestem nieskończenie smutny i to wpływa na moje lenistwo..."

6 marca:

„...Jakbym ja pragnął, żebyś Ty mógł być obecnie w moim pokoiku... Tak tu cichutko, ogień na kominku syczy... Nie mogę się doczekać chwili, kiedy nareszcie będę mógł wrócić do „swoich"...

25 marca:

„...A propos — to nie byłby zły temat dla muzyki — „nudy na śmierć" — gdzieby muzyka wyrażała usposobienie kogoś co umiera z nudów..."

Oto okres tworzenia „Fantastów".

2 lipca pisze do Opieńskiego:

„...Żyję sam jak pustelnik... Raduję się na samą myśl, żeby którego z Was zobaczyć..."

Wujostwo Stankiewiczowie widzą to, czują, postanawiają więc sprowadzić go do Krakowa, wyrwać ze stanu przygnębienia i osamotnienia. — Młody poeta pisze jednak do Opalińskiego:

„...O moim przyjeździe do Krakowa nie ma mowy. — Musiałbym być w ostatniej nędzy, gdybym teraz przyjechał, w każdym innym razie zostaję tu gdzie jestem. Na przyszły rok chcę być we Włoszech, ale jeszcze o powrocie nie myślę... Tęsknię bardzo, ale kto idzie do swojego celu, trudno, aby wszystkie wygody miał zawsze..."

Wujostwo jednak czynią wbrew jego woli wszystko, aby powrócił do Krakowa, — nawet, celem wywarcia presji, nie przesyłają mu na dalszy pobyt w Paryżu pieniędzy.

Więc 17 lipca 1892 r. pisze poeta znowu do Opieńskiego:

„...Wujostwo chcieli, abym teraz w Sierpniu przyjechał do Krakowa, ale ja nie zrobię tego prawdopodobnie. Oczywiście nie mając funduszów musiałbym natychmiast wrócić..."

A 22 września zawiadamia Opieńskiego:

„...Będę kolosalnie dużo z Tobą gadał, bo przyjadę do Krakowa za trzy lub cztery tygodnie... W operze grają „Proroka" i dyabli mię biorą, że nie mam pieniędzy, aby iść..."

Wypocząwszy w Krakowie, uspokojony, wzmocniony, pojedzie znowu wczesną wiosną 1893 r. do Paryża.

Posiadając odpowiednie zasoby pieniężne, bo otrzymał dalsze stypendium roczne 500 złr. na rok szkolny 1892/3 [1]) — nie powinien zaznawać tam biedy. Wiadomość zaś podana w książce Wincentego Trojanowskiego [2]):

---

[1]) Akta arch. Wydz. Kraj. we Lwowie z dn. 2/XI 1892 r. 52716.

[2]) „Wyspiański — artysta — człowiek — życie" (Warszawa 1928, str. 31).

„...Zostało mu przyznane stypendium im. Matejki w kwocie 500 złr. rocznie z prawem wyjazdu na dwa lata za granicę. Niewielka to była suma, nie mogła wystarczyć na najskromniejsze nawet utrzymanie, oddawała stypendystę na ciężką walkę z niedostatkiem..."

nie zgadza się z istotnym stanem rzeczy. Wszak 300 złotych reńskich rocznie nie było wcale w owe czasy przed 50 prawie laty tak znikomą sumą. Była to kwota, która stanowiła wówczas roczną pensję etatowego nauczyciela ludowego w Galicji — kwota, której siła kupna odpowiadała dzisiejszej sile kupna 2000 złotych. Stanisław Wyspiański zaś mając wujostwo Stankiewiczów w Krakowie, posiadał nie tylko w domu ich oparcie, byt zapewniony, wygody, dostatek, nie tylko każdej chwili mógł do nich wrócić z Paryża (jak sam 17/VII 1892 r. w liście do Opieńskiego wspominał) — ale i w Paryżu mógł każdej chwili liczyć na pomoc ich materialną. Jeśli zaś w jego listach z Paryża do kolegów odezwie się od czasu do czasu nuta skargi na brak pieniędzy, jeżeli mu tam ich nie dostaje, nie jest to jeszcze dowodem, jakoby fundusze przeznaczone dla niego na studia w Paryżu były za szczupłe, nie wystarczające. Przyczyną narzekań jest jego wybujała natura, która nie mogła przyzwyczaić się do oszczędności od pierwszych chwil wejścia w dom wujostwa Stankiewiczów.

„...Niesłychanie niepraktyczny, zawsze w kolizji z pieniędzmi" — pisze ciotka Stankiewiczowa w swoim pamiętniku [1]) — „bo nie potrafił sobie odmówić żadnej zachcianki, bądź to kwiatów, bądź jakiejkolwiek niepotrzebnej fraszki, która kształtem, formą lub pomysłem zwróciła jego uwagę, a którą potem porzucił, chłonęła dużo pieniędzy. Ale mój zacny mąż rozumiał go zupełnie, że to jest inny zupełnie człowiek, inny ma ustrój nerwowy, inne też ma potrzeby i każdy fundusz przeznaczał dla niego..."

Nie umiejąc zaś w domu wujostwa oszczędzać i odmawiać sobie niczego, nie potrafi tego młody poeta i w Paryżu. A wtedy zdarza się, że nie ma chwilowo na przybory malarskie, że dłużny zostaje za mieszkanie, za obiady w restauracji itd. (listy jego do wujostwa, do kolegów). Lecz

---

[1]) Druk. w *Przeglądzie Powsz.* 1932 czerwiec Nr 582, str. 356.

czyż taki sporadyczny brak pieniędzy, gdy wydał je na coś innego, nie zawsze może potrzebnego, — można nazwać nędzą i biedą jego w Paryżu?

Kto żyje w nędzy, w biedzie, ten nie będzie zajmował osobnego dla siebie pokoju przez rok cały w centrum Paryża, nie będzie uczęszczał stale na przedstawienia do teatrów i oper francuskich — a nie czując, że posiada kogoś bliskiego, dobrze sytuowanego w Krakowie, co może mu w każdej chwili dopomóc pieniężnie, nie będzie się do niego o to udawał. Stanisław Wyspiański wie o tym dobrze, że wujostwo Stankiewiczowie mają pieniądze i mogą mu ich każdej chwili udzielić. Pisze więc do nich o nie z Paryża. Pisząc, zarzuca w końcu tę dawną, konwencjonalną formę prośby o „pożyczkę". Nie oddał im nic przecie z pieniędzy, pod mianem „pożyczek" od nich pobranych, forma ta nie ma więc już w 1893 r. racji bytu. Pisze tedy po prostu:

13 października 1893 r.:

„...Dobrzeby było żeby mi Wujostwo mogli nadesłać jakie 20 florenów... Oczekuję przesyłki 20 zł reńskich i wiadomości..."

A (bez daty) prawdopodobnie w październiku 1893 r.:

„...Nadzwyczajnie dziękuję za przesyłkę pieniędzy i jestem oczarowany, że tak prędko nadeszła..."

26 listopada 1893 r.:

„...Już przygotowaną mam drugą wystawę i obrazy pokończone do dziś dnia. Potrzeba mi tylko na ich oprawę... możebyście mi co nadesłali na tę oprawę... zaraz moglibyście mi przysłać jakie parenaście pieniędzy [1]) na oprawienie dalszych..."

14 grudnia 1893 r.:

„...niedługo wyślę nową wystawę, skoro tylko nieco pieniędzy mi przyślecie..."

Tęsknota jednak i w tym roku 1893 zaczyna go dręczyć czas jakiś.

6 września pisze do wujostwa:

---

[1]) List ten do wujostwa z dn. 26 listopada 1893 r. cytowany w „Maskach" (1918 r. zeszyt 34): „...zaraz moglibyście mi przysłać jakie grosze na oprawienie dalszych..." — brzmi w oryginale: „...zaraz moglibyście mi przysłać parenaście pieniędzy na oprawienie dalszych..."

„...Jakże żałuję nieraz, że tu nikogo z Was niema, aby mię widział w moim atelier i w mojem mieszkaniu — tylko obcy i sami obcy..."

Dopiero, gdy w ciągu października przybywa do Paryża p. Antoni Szybalski, artysta-malarz, przyjaciel wujostwa, a proszony przez nich o opiekę nad młodocianym ich siostrzeńcem, zamieszkuje w tym samym domu, Stanisław Wyspiański nie czuje się już tak osamotnionym. Lecz pomimo, że zapewnia o tym wujostwo, pisząc:

„...Obecny rok weselszy niż poprzedni, bo w miłem towarzystwie i nie jestem już tak odosobniony jak roku zeszłego i dawniej..."

oni obawiają się, ażeby nie popadł znowu w ten sam stan przygnębienia i nostalgii co w roku ubiegłym, sprowadzają go więc do Krakowa na okres zimowy. Twierdzenie zaś p. Julii Krzymuskiej — Kisielewskiej [1]) (J. Oksza):

„...Konieczność zdobycia środków na dalszy pobyt w Paryżu dla dokończenia „okna lwowskiego" zmusiła Wyspiańskiego ponownie do wyjazdu; przybył tedy do Krakowa w końcu 1893 roku i zabawił parę miesięcy..." (str. 334): „...gdy Wyspiański uzyskawszy fundusze wracał do Paryża, aby kończyć witraż..."

jest mylne. Wyspiański przybył w końcu 1893 roku do Krakowa nie dla zdobycia środków na dalszy pobyt w Paryżu, lecz przybył na życzenie wujostwa. Z wiosną 1894 r. wyrusza poeta znowu do Paryża. Nie otrzymawszy jednak już dalszego stypendium na rok 1893/4, przybywa tam tylko za fundusze wujostwa.

Szkoda, że z jego listów, pisanych z Paryża do nich, zachowała się tylko nieznaczna cząsteczka. Luki w korespondencji jego z wujostwem, jakie wskutek tego powstały, dają pole biografom poety do rozwinięcia na ten temat przeróżnych fantazji. Pozwalają im na podstawie zaczerpniętych z listów poety do kolegów, błahych przesłanek wysnuwać przedwczesne wnioski, jakoby Stanisław Wyspiański pozostawał nieraz z wujostwem na stopie nieporozumień, konfliktów, jakoby nie był przez nich rozumianym. Tak nie było. Stosunek jego do wujostwa Stankiewiczów, jak i wu-

[1]) W artykule pt. „Z młodzieńczych lat St. Wyspiańskiego" (*Przegląd Narodowy* 1909, III, str. 333).

jostwa do niego, był zawsze jak najserdeczniejszym. Mały, przejściowy epizod, który miał miejsce w 1890 r. na początku jego wielkiej podróży zagranicznej spowodowany był okolicznościami leżącymi poza obrębem jego stosunku do wujostwa. Korespondencja z nimi wówczas przerwana została niebawem ponownie nawiązana. Niestety, ona również wraz z innymi jego listami uległa zniszczeniu dokonanemu przez niego samego.

Mając zdawać maturę w czerwcu r. 1894, mieszkałam stale od marca u wujostwa. Prawie więc każdy list od Wyspiańskiego z Paryża czytałam lub słyszałam czytany. Patrzałam na ciągłą troskę wujostwa o niego. Bywało — że sama, wyręczając ciotkę, chodziłam na pocztę nadawać pieniądze do Paryża dla niego. To też, gdy niespodziewanie w dniu 28 kwietnia 1894 r., donosi im młody poeta z Paryża:

„...Kredyta moje są w najlepszym rozwoju..."

ciotka Stankiewiczowa przerażona załatwia tę sprawę gruntownie i natychmiast. Z listu jego z 6 czerwca 1894 r. przekonywuje się, że prośba jej odniosła skutek:

„...Pan Szybalski zawsze bardzo mi przyjazny, ale według mnie popsuł się bardzo, bo mię zanadto nudzi naukami o oszczędności (jakbym miał z czego oszczędzać) i ciągle mi tylko gada o pieniądzach — wiadomo, że to nie jest droga do mnie, a szkoda bo był bardzo miły, podejrzywam, że go Ciocia zepsuła listem, który Ciocia zechciała raz do niego napisać, od tego czasu czuje się zobowiązanym do opieki i przyjaźni, podczas kiedy dawniej robił to samo z własnej a nieprzymuszonej woli — bardzo żałuję".

Stanisław Wyspiański.

O niewielkich rachunkach Stanisława Wyspiańskiego, jakie pozostały w Paryżu po powrocie jego do Krakowa, wujostwo nie wiedzieli.

Stanisław Wyspiański w raptularzu swoim z roku 1895 na ostatniej wolnej karcie ręką już ciężką zapisał te słowa:

„Rachunki w Paryżu wszystkie zapłacone już dawno".

Zapisek ten nie został ogłoszony w zbiorowym wydaniu dzieł St. Wyspiańskiego (Inst. Wyd. Bibl. Pol., Warszawa, t. VIII, str. 423) w opracowaniu p. L. Płoszewskiego.

Dlaczego?

Maria Waśkowska-Kreinerowa.

Przegląd piśmiennictwa.

Orzeszkowa Eliza: Listy. Staraniem Komitetu wydawniczego Towarzystwa im. Elizy Orzeszkowej w składzie: Prof. Aureli Drogoszewski, J. Holenderska, Ludwik B. Świderski, Prof. Józef Ujejski. Tom I. Dwugłosy (J. I. Kraszewski, T. T. Jeż (Z. Miłkowski), M. Bałucki, M. Konopnicka, St. Krzemiński, H. Skirmuntt, Wł. St. Reymont). Pod kierunkiem prof. Józefa Ujejskiego opracował Ludwik Brunon Świderski. Warszawa—Grodno 1937, str. IX, 537, ilustr. 7.— Tom II. Część I. Do literatów i ludzi nauki (Jan Karłowicz, Franciszek Gawroński, Henryk Nusbaum, Tadeusz Garbowski). Pod kierunkiem prof. Józefa Ujejskiego opracował Ludwik Brunon Świderski. Warszawa — Grodno 1838, str. 345, ilustr. 7.

Wydanie listów Orzeszkowej doszło do skutku dzięki staraniom Towarzystwa imienia Elizy Orzeszkowej, Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska" i zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Największą bowiem zasługę ma Towarzystwo im. Orzeszkowej, istniejące od r. 1920, którego założycielką i przewodniczącą jest Jadwiga z Nusbaumów Holenderska, córka zaprzyjaźnionego z Orzeszkową d-ra Henryka Nusbauma. Towarzystwo zdołało zgromadzić imponującą liczbę przeszło 10 tysięcy listów, pisanych do Orzeszkowej i rękopisy z górą dwustu utworów, wszystko depozyt jej sekretarki śp. Zofii Gorzkowskiej. Zwracając się do osób, z którymi Orzeszkowa była w korespondencji, oraz do całego społeczeństwa, Towarzystwo zdołało zgromadzić wielką część jej listów w oryginałach lub w kopiach, co po uzupełnieniu ich materiałem, znajdującym się w różnych bibliotekach stworzyło podstawę wydawnictwa. Zresztą nie wszystko zgromadzono od razu. I tak np. obszerną korespondencję z Karłowiczem odnaleziono w Ossolineum dopiero po złożeniu drugiego tomu, co spowodowało opóźnienie wydawnictwa i rozbicie tego tomu na dwie części. Poważną przeszkodę stanowi dla wydawnictwa również śmierć śp. prof. Ujejskiego, który wypracował zasady wydawnictwa i był jego głównym kierownikiem i doradcą. Tom następny ma ukazać się już bez jego wytrawnej pomocy.

Wydawnictwu przyświecały podwójne cele: z jednej strony popularyzacja twórczości autorki, chęć zbliżenia jej do dzisiej-

szego społeczeństwa, przedstawienie jej poglądów, życia i uczuć, jako wzoru, z drugiej pewien wzgląd na dobro nauki. Ten drugi wzgląd zaważył na wierności w zachowaniu autentycznego tekstu, na wprowadzeniu dodatku krytycznego i zachowaniu oryginalnej pisowni tam, gdzie oddaje ona fonetyczne właściwości wymowy autorki. Wzgląd pierwszy zaważył przede wszystkim na wyborze i układzie materiału. Z ogromnej ilości listów Orzeszkowej dokonano wyboru, drukując tylko to, co wydawcy uznali za godne druku. Zasada wyboru jest w takich razach zawsze niebezpieczna: grozi wprowadzeniem pierwiastka subiektywnego w pracy wydawniczej. Niebezpieczeństwo to wydawcy „Listów" Orzeszkowej starali się zmniejszyć przez dokładne przemyślenie kryteriów wyboru, które według ich informacji wyglądają jak następuje:

„Przede wszystkim zatem wzgląd biograficzny: dać w wyborze wszystko, co dotyczy życia osobistego wielkiej pisarki. Następnie wzgląd filozoficzny: zaznaczyć etapy rozwoju myśli autorki *Ad astra*. Trzeci wzgląd — historyczno-literacki: zawrzeć sądy Orzeszkowej o współczesnym jej życiu społecznym i literackim. Dalej wzgląd patriotyczno-społeczny: ukazać społeczeństwu cichego bojownika o wolność ojczyzny, gorliwą pracownicę dla jutrzejszego dnia. Wreszcie wzgląd piąty — estetyczny: wyłowić starannie listy odznaczające się piękną „formą". (Tom I, str. 405). Nie mając w ręku materiału, pominiętego w wydawnictwie, trudno osądzić trafność wyboru w szczegółach. Ogólnie odnosi się wrażenie, że wszystkie wyżej wymienione zasady zostały w wyborze uwzględnione. Wydawnictwo zostało skomponowane w sposób twórczy. Na poszczególne tomy rozłożono poszczególne zagadnienia, zależne do pewnego stopnia od kategorii korespondentów, do których listy są skierowane. Inaczej bowiem, niż to się dzieje w większości wydawnictw tego typu, układ listów nie jest bezdusznie chronologiczny z przemieszaniem adresatów, ale listy zostały ułożone w grupy, z których każda obejmuje korespondencję z jednym tylko adresatem. Adresatów tych podzielono również na grupy: literaci i ludzie nauki, redaktorowie i wydawcy, krewni i przyjaciele. Układ taki pozwolił na stworzenie w pierwszym tomie grupy *Dwugłosów*, tj. pomieszczenie nie tylko listów Orzeszkowej, ale i odpowiedzi jej najwybitniejszych korespondentów. Tom ten jest przez to nie tylko nadzwyczaj cennym dla nauki, ale i wydarzeniem literackim. Czyta się go z niesłabnącym zainteresowaniem. Takie kontrasty, jak Jeż i Orzeszkowa z jednej strony, Konopnicka i Orzeszkowa z drugiej, takie ciekawe rzeczy, jak zawarte w sądach Reymonta o współczesnej literaturze, jak obraz pięknej duszy Henryka Skirmuntta, wszystko to stanowi lekturę niemal pasjonującą. Staje przed nami całe półwiecze psychiki polskiej i nurtujących ją kierunków, ale stają też, jak żywi wybitni tej psychiki przedstawiciele.

Najsilniej może wybija się w obydwóch wydanych tomach „religijnym“ i „filozoficznym“ — pozytywizm. Orzeszkowa staje przed nami jako bojująca pozytywistka i wolnomyślicielka, przyjmująca gorącym swym sercem panujące wówczas prądy bez zastrzeżeń i bezkrytycznie. Dziś uśmiechamy się, czytając te — przebrzmiałe już — naiwności; patrzymy na nie, jak na spłowiały obrazek pewnej epoki ducha ludzkiego, pewnych lat młodocianych nowoczesnej duszy polskiej. Wskrzeszenie ich dziś, jako popularnego wzoru (bo jednak przecież o Orzeszkową, jako „wzór“ szło w zamierzeniu wydawniczym) może być tylko szkodliwe i pożądana byłaby dalsza selekcja listów z tego punktu widzenia. W każdym razie z wielkim uznaniem podkreślić należy t a k t, z jakim na czoło tomu pierwszego w *Przedsłowiu,* został wysunięty przepiękny list powieściopisarki do Tadeusza Bochwica, zawierający jej wyznanie wiary z lat późniejszych i potępiający jej pozytywistyczne wolnomyślicielstwo dawniejsze. Nie jest to *credo* wielkiej pisarki bynajmniej wyznaniem wiary katolickiej. Nie uznaje ona Kościoła, jako jedynego dzierżyciela prawdy; daleka jest od praktyk religijnych. Ale jest to jej *credo* głębokim hołdem dla piękna moralnego chrześcijaństwa, świadczy w porywających słowach o tym, że dusza tak szlachetna, jak jej dusza, nie może obywać się bez wiary w Boga osobowego, nieśmiertelność duszy i prawdy moralne. Ten piękny gest wydawnictwa na czele pierwszego tomu, ulega jednak niestety zatarciu w komentarzu do tomu drugiego, gdzie zarówno w zbytecznym może obszernym przywiedzeniu odpowiedzi Karłowicza na pierwsze wątpliwości Orzeszkowej co do słuszności głoszenia zasad wolnomyślicielskich, jak i w samym sformułowaniu niektórych objaśnień, dają się wyczuć pewne sympatie, raczej dla tez Karłowicza. Nie chcielibyśmy widzieć w tym jakiejś propagandy, która byłaby tu bardzo niewłaściwa. Trzeba mieć nadzieję, że komentator zdoła w dalszym ciągu zachować naprawdę najściślejszy obiektywizm. Czytelnik krytyczny nie zapomni, że idzie tu o fazę przejściową w rozwoju ducha autorki, czytelnik jednak bezkrytyczny może poddać się głoszonym hasłom. Słusznie zapewne domyśla się wydawca, choć formułuje to niezręcznie, że odwrócenie się od wolnomyślicielstwa, jakiś przełom religijny, był główną przyczyną przerwania korespondencji z Karłowiczem. — Istotnie w późniejszych listach odczuwa się powiew innego klimatu duchowego. W tym samym czasie przypada początek długoletniej przyjaźni z Tadeuszem Garbowskim (współtwórcą *Ad astra*), z którym korespondencja stanowi najpiękniejszą ozdobę tomu drugiego.

Niesposób tu wchodzić w szczegóły, niesposób podkreślić i wydobyć całe bogactwo myśli, uczuć i obrazów, zawarte w wydanych dotychczas listach Orzeszkowej. Korespondencję uważała ona za część swej misji narodowej i wkładała w nią całą duszę.

Szerokość zainteresowań, zdolność do przyjaźni, bardzo niezwykła, i to przyjaźni z ludźmi, pochodzącymi z najrozmaitszych środowisk społecznych, narodowych, rasowych, religijnych, żywy kontakt z bieżącymi prądami politycznymi, społecznymi, naukowymi i literackimi, sprawiają, że listy te — łącznie z komentarzem, pracowitym, choć nierównym, nie zawsze wystarczającym, nie zawsze bezstronnym, — że listy te dają naprawdę obraz epoki, a raczej kilku kolejnych epok naszego życia. Znajomość zaś przyjaciół powieściopisarki, którą z nich czerpiemy, oświetla wymownie wpływy, jakim ulegała i tłumaczy wiele w jej twórczości.

Poprzez zaś te rozliczne zainteresowania, z poza świetnego ideału miłości ojczyzny, płonącego w każdym słowie znakomitej mistrzyni słowa, wynurza się nam ukrywana w cieniu, usuwana na plan najdalszy smutna twarz kobiety słabej, mimo niezwykłej energii, nieszczęśliwej, mimo głośnych sukcesów pisarskich, błądzącej mimo potęgi umysłu, samotnej, mimo tylu uwielbień i przywiązań, mimo władztwa, jakie dzierżyła nad duszami paru pokoleń, szukającej prostego ludzkiego współczucia. Twarz wymowna uśmiechem... rezygnacji. I choć ideał prawdy przyświecał wydawnictwu, choć poznaliśmy przez nie Orzeszkową żywą, nie zawsze „wzór", ale błądzącego i walczącego człowieka — ogarnia jakby lekki żal za tą Orzeszkową naszych lat dziecinnych, Orzeszkową - legendą.

Oprawa *Listów* pełna pietyzmu. Druk, papier, ilustracje, stawiające nam przed oczy tych, których myśli równocześnie czytamy, — bez zarzutu.

Dr Zofia K. Ciechanowska.

Juliusz Znaniecki: Ziarno z głębiny — poezje, str. 61. — Warszawa, 1938, nakładem autora, skład główny: Bibl. Polska.

Niewielki tomik zawiera kilkanaście utworów o morzu, dzielących się myślowo na kilka grup. Pierwszej, zajmującej połowę objętości książki, nie dał Autor żadnego tytułu. Bo też trudno spiąć ją klamrą jakiegoś wspólnego miana. Kreśli tu Autor obraz morza bielejący żaglem, śpiewa epos o pancernym okręcie od narodzin jego w stoczni aż do grobu na dnie wód, tęskni, chodzi po chatach rybaków - żeglarzy, jest świadkiem burz morskich, bawi się flirtem na plażach, robi wyprawy na morze, zwiedza port i dzieli się swymi spostrzeżeniami. — Gdynia! — to druga część. Nasz port od chwili powstania, dzisiaj i — proroctwo na przyszłość nieznaną, ale waleczną aż do zgonu pod falami. O uniknięcie tej ostateczności modli się do Boga, nieco panteistycznego — lecz to się zwykło wybaczać poetom. — Po *Balladzie o korsarzu* śpiewa *Rapsod* o wielkiej, może pierwszej wyprawie młodego żeglarza na dalekie morza, o sławie i kończy szczerą modlitwą do Królowej Żeglarzy. — Oto treść utworów.

Ziarno z głębiny — to poezja morza. Ono jest bohaterem utworów, zeń czerpie poeta porównania i przenośnie, ono jest — natchnieniem. Przez wszystkie wiersze snuje się nić miłości Ojczyzny, pokrywającej się często z morzem. — Forma wierszy dzisiejsza: prosta, jędrna, to kołysząca monotonem spokojnego morza, to gwałtowna, rwąca — jak sztorm. Rytm współczesny, równie kapryśny, jak morze. Asonanse w rymach wykańczają onomatopeję.

Ale — czytając uważniej utwory, wydobędzie się z tej „głębiny" nieco innej prawdy. Dużo, może za wiele śmiałych, często za śmiałych nawet, figur poetyckich tworzy pewną napuszystość. Wiersz staje się niezrozumiały w swej poetyckiej nielogice. Tu i ówdzie niemiły zgrzyt zbytniej codzienności budzi niesmak. Często myśl niedokończona, przerywane zdania — ale to wszystko d u c h c z a s u i powszedni grzech większości współczesnych poetów.

Liryzm utworów P. Znanieckiego jest zbyt nabrzmiały pesymizmem. Pogody, jasnych barw, tężyzny ducha, wiary w swe siły zbyt mało. Wieczna ucieczka, lęk przed wiecznością zmagań, ociężałość. O jakichkolwiek podejściach psychologicznych nie ma mowy. Tylko chwytanie na gorąco faktów, a raczej tego, co nas konturami swymi uderza i odtwarzanie zmiennych nastrojów w niedomówieniach. Ale i to można zaliczyć na rachunek ducha czasu.

W sumie jednak poezje p. Znanieckiego zasługują na uznanie, jako „ziarna" niezłej sorty w naszym nikłym dorobku literatury morskiej. Ale to jeszcze ziarno. Czekajmy na plon.

Ks. J. Nowak T. J.

Ks. Dr Franciszek de Hovre i Ks. Dr Paweł Tochowicz: P o d s t a w y w s p ó ł c z e s n e j p e d a g o g i k i. Włocławek, 1938. Str. 249. Cena 3,75 zł. Do nabycia: Ks. Paweł Tochowicz. Kielce. Seminarium Duchowne.

Książka bardzo pożyteczna dla wszystkich wychowawców. Orientuje znakomicie we współczesnych prądach pedagogicznych. Omawia ich powstawanie i rozwój historyczny jako ilustrację do tezy: systemy pedagogiczne zależą od systemów filozoficznych. Zapoznajemy się więc z filozofią i pedagogiką naturalizmu Herberta Spencera, którą przyprawia o bankructwo antynaturalistyczna filozofia i pedagogika Boutroux i Euchena, dopełnione przez Bergsona i Jamesa. Filozofię i pedagogikę socjologizmu Natorpa i Durkheima, przedstawioną w formie radykalnej przez Deweya i Herschensteinera, zwalczają umiarkowani pedagogowie społeczni: Pestalozzi, Willmann, Paulsen, Beniamin Kidd. Nacjonalizmowi i politycyzmowi w wychowaniu, których głównym źródłem Fichte i cała „kultura" niemiecka, przeciwstawiają się mocno

J. Langbehn i W. Förster, bardzo bliscy filozofii i pedagogice katolickiej. O poglądy tej ostatniej potrąca autor przy zbijaniu naturalizmu, socjologizmu, nacjonalizmu w wychowaniu, nie przedstawia jej jednak pozytywnie i systematycznie, co tym więcej zadziwia, że i autor belgijsko-flamandzki i tłumacz polski są księżmi. Jest to wielki brak tej poważnej książki, który powinien być koniecznie uzupełniony w najbliższym wydaniu, mianowicie rozwinięciem myśli pedagogicznej dekalogu, ewangelii, św. Augustyna, św. Tomasza z Akwinu, Piusa XI encykliki o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Bogusław Miedziński: W c z o r a j — d z i ś — j u t r o. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1938 r. Str. 181.

Książka *Wczoraj — dziś — jutro* Bogusława Miedzińskiego jest zbiorem jego artykułów drukowanych w ostatnim półtoraroczu. Jeżeli pominiemy stronę dokumentalną jego książki, którą niezawodnie ona posiada, gdyż jest napisaną przez jednego z najbardziej czołowych publicystów obozu rządowego, a jak autor jej w przedmowie powiada: „publicysta polityczny stwarza automatycznie dokumentację swej działalności: dokumentację ścisłą, trwałą, zaopatrzoną w daty", to, artykuły jego co do wartości, wypadnie podzielić na dwie części. Pierwsze przygodne, w różnych kwestiach, drugie związane są z montowaniem O. Z. N.

Do pierwszych zaliczyć należy przede wszystkim artykuły „Co odrzucamy i ku czemu idziemy?" oraz „Listopadowe skrzyżowanie". W nich Miedziński góruje, zdobywa się na bardzo jasną argumentację, pisze zajmująco i płynnie. W artykułach ściślej związanych z pracami O. Z. N. jest już o wiele mniej wyrazistym i zajmującym, co wynika zapewne z samego faktu „programowości", która zawiera cały szereg truizmów, na które tylu i z prawa i z lewa się godzi, a mimo to nie są zgodni, gdyż istota rzeczy znajduje się na innej płaszczyźnie. Cała więc akcja trąci biurokratyzmem i akcją papierową, co stwarza w rezultacie brak dynamizmu, bez którego nie można ruszyć z miejsca na większą skalę.

Głęboką, ale zarazem w konsekwencjach często tragiczną w życiu polskim jest następująca uwaga: Autor na str. 124 pisze: „Józef Piłsudski... wiedział... że największa trudność działania w Polsce polega na przejściu od koncepcji do realizacji... To też poszedł przede wszystkim drogą stworzenia zastępów ludzi, gotowych do stawiania czynu wprost za myślą. Wychowywał ich w lekceważeniu przeszkód, przełamywał w nich specyficznie polską skłonność do przeceniania trudności"...

Powyższe twierdzenie nie jest pozbawione słuszności. Polak jest pochopniejszy w myśli, aniżeli w jej realizacji, wymagającej

dużego napięcia woli. Każda jednak koncepcja, nawet zupełnie słuszna, może być zniekształconą w realizacji. Wszelkie działanie wymaga oprócz wiary w jego pożytek, względnie nawet w naglącą potrzebę, czegoś więcej, jak wysiłku woli, pracy i trudu dla osiągnięcia celu, a mianowicie również i umiejętności, jeżeli bowiem tej braknie, to przy najbardziej nawet entuzjastycznym działaniu pracuje się nawspak, oddalając się od właściwego celu, chociaż wszelkie pozory planowej realizacji są zachowane.

Ze wszech miar słusznym jest dążenie do podniesienia stanu dróg w Polsce, lecz ustawa „o funduszu drogowym", pogorszyła stan dróg w kraju i „zdemotoryzowała" Polskę. Przy całym entuzjazmie działania dla osiągnięcia upragnionego celu, potrzebne jest odpowiednie przemyślanie zagadnień do rozwiązania, a ono właśnie przy kulcie „ludzi czynu" bardzo w Polsce szwankuje. A już przede wszystkim we wszelkich sprawach, związanych z funkcją rządzenia potrzebne jest gruntowne przemyślanie zarządzeń, które mają być wykonane.

Przy tendencji usuwania z placu ludzi umiejących samodzielnie myśleć, a więc i widzących przeszkody stojące na drodze do realizacji celu, otrzymuje się często katastrofalne wyniki. Wprawdzie „robota wre", wyników jednak pożądanych nie daje. Jeżeli Polak, jak to zupełnie słusznie stwierdził Marszałek, ma dużą trudność w przechodzeniu „od koncepcji do realizacji", to przy nieodpowiednim nastawieniu umysłowym w pewnych „czynnych sferach" obecnie sama „koncepcja" zaczyna w Polsce zbyt często szwankować.

H. J. Korybut - Woroniecki.

Konstanty Symonolewicz: Moi Chińczycy (18 lat w Chinach). — „Biblioteka Polska". Warszawa, 1938. Str. 220 — 8⁰.

Przypuszczam, iż nie dlatego tylko Autor w tytule swych reportaży użył słowa „*Moi* Chińczycy", że opisuje naprawdę „swoich" ludzi, wchodzących w skład służby, lub tworzących najbliższe, względnie bliskie jego otoczenie, w ciągu długich 18 lat. W zaimku tym tkwi ponadto twierdzenie o stopniu psychicznego kontaktu z opisywanym światem, o zasięgu i wielkości zrozumienia, a nawet o dużej sympatii. Trudno zdecydować, czy jest to sympatia, jaką odczuwa człowiek do ludzi, którzy mu się podobają. Z całą pewnością jest to jednak sympatia zamiłowanego artysty - obserwatora, do przedmiotu szczególnie interesującego. Przypuszczenia tego bynajmniej nie osłabi przeglądanie coraz dalszych kart, lecz wręcz przeciwnie je potęguje. Świat chiński jest dla Autora naprawdę bardzo bliski. Dlatego też jego opisy są tak rzeczowo wnikliwe i tak pięknie proste. Nad wszystkim zaś góruje uśmiech czasem dowcipnie złośliwy, czasem pobłażliwy, a zawsze ogromnie pogodny. Nadto prosta rzeczowość p. Sy-

monolewicza okraszona uśmiechem ma przede wszystkim ten cenny przymiot, iż nie zakłada czytelnikowi na oczy żadnych barwnych szkieł, jak zwykle dzieje się w „egzotycznych" książkach. Wytwarza natomiast podobne jak u Autora, jeśli to możliwe, wrażenie bliskości świata chińskiego. Ponieważ zaś w *Moich Chińczykach* znajdziemy sylwetki wszystkich stanów, od służących do generałów, od boy'ów aż do „małych", a nawet „wielkich polityków" i to na przestrzeni od rewolucji 1911 r. mniej więcej aż do czasów powojennych, książka ta pozwoli nam zrozumieć nieco ostatnie wypadki w Państwie Środka i czytanym komunikatom z Dalekiego Wschodu doda rumieńców życia. — Książkę p. Symonolewicza warto mieć w swej bibliotece, a przynajmniej warto ją obejrzeć, choćby tylko ze względu na jej szatę zewnętrzną, utrzymaną w dobrym guście egzotyki. Treść z całą pewnością nie rozczaruje.

Ks. Jan Piwiński T. J.

Grzegorz Turowski: Warunki i drogi rozwoju gospodarczego wsi polskiej. Nakładem „Gospodarki Narodowej". Skład główny: księgarnia Mariana Gintera. Warszawa, 1938 r. Str. 133.

Autor książki „Warunki i drogi rozwoju gospodarczego wsi polskiej" przedstawia nam szereg danych dotyczących rolnictwa w Polsce. Z podanych oficjalnych cyfr wynika, że za czasów polskich, to jest w okresie 1919 — 1936 (danych z roku 1937 autor jeszcze nie uwzględnia) rozparcelowano ogółem 2,423 tys. ha, z której to sumy 66% przypada na parcelację prywatną, reszta na rządową z tytułu reformy rolnej.

Większa własność, do której zalicza się wszystkie obszary uprawne ponad 50 ha, przy ludności liczącej 63 tysiące osób i przy zatrudnieniu 1.939 tys. ludności najemnej, rozporządza powierzchnią użytkową 4.619 tys. ha, stanowiących 19,1% ogółu ziemi uprawnej pozostającej w rękach prywatnych. Mniejsza własność (obszary poniżej 50 ha) przy ludności liczącej 15.644 tys., zatrudnia 793 tys. ludności najemnej, a rozporządza obszarem 19.505 tys. ha, stanowiących 80,9% ziemi uprawnej. Tempo parcelacji prywatnej i rządowej wraz z Bankiem Rolnym wykazuje za ostatnie 19-lecie (obliczenie nasze) 133.5 tys. ha rocznie, to znaczy, że przy tempie parcelacyjnym ubiegłego okresu, uznanego przez wielu za zbyt powolne, zapas ziemi większej własności (ponad 50 ha) znikłby zupełnie w ciągu 28 — 29 lat.

Z cyfr tych wynika, że nasz, topniejący z roku na rok, zapas ziemi jest już bardzo nikły. Autor, jako zwolennik szybszego tempa parcelacyjnego, przeprowadza szereg rozważań i porównań co do wydajności większych i małych gospodarstw rolnych i to z różnych punktów widzenia. Z wywodami jego można zgodzić

się lub nie, gdyż w rzeczywistości obok argumentów rzeczowych, nie brak zapatrywań jednostronnych i nie obejmujących całokształtu zagadnienia, związanego z dziejowym nieodpartym procesem upowszechnienia własności rolnej.

W sumie jednak praca Grzegorza Turowicza przeprowadzona jest w tonie spokojnym, można w niej znaleźć szereg ciekawych przyczynków, dotyczących całokształtu rolnictwa polskiego. Jedna jest rzecz niewątpliwa i przejmująca grozą, to przeludnienie wsi polskiej. Rozdrabnianie własności rolnej jest jednym ze sposobów przeciwdziałania temu przeludnieniu, a więc i szerzącej się nędzy na wsi, lecz środek ten jest absolutnie nie wystarczający i kto nim szermuje jako niezawodnym środkiem na wszystkie dolegliwości masy chłopskiej, pchany jest albo przez demagogię, albo też nie orientuje się w istocie sytuacji.

Na koniec powstaje pytanie, jakie należy stwarzać drobne gospodarstwa rolne: karłowate, aby zadość uczynić opacznie pojętej „sprawiedliwości społecznej", średnie i samowystarczalne, czy też wreszcie wielkie gospodarstwa chłopskie? — Autor słusznie w średnich i samowystarczalnych, mogących być warsztatem pracy dla całej rodziny, bez pomocy pracy najemnej, widzi odpowiednią i najkorzystniejszą normę.

H. J. Korybut - Woroniecki.

Sergiusz S. Masłow: Kolektywy rolne w Sowietach. Warszawa, 1938 r. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska". Str. 399.

Książka S. Masłowa „Kolektywy rolne w Sowietach" zasługuje na uwagę tych wszystkich, którzy pragną poznać współczesną rzeczywistość rosyjską. Autor jej Rosjanin, emigrant polityczny, obrazuje w niej wszystkie sprawy związane z kolektywizacją rolnictwa w Sowietach, opierając się częściowo na źródłach bolszewickich, częściowo na informacjach zbiegów z „raju socjalistycznego", który według powszechnego określenia chłopów rosyjskich jest „okropniejszym od samej okropności".

Ponieważ danych liczbowych poza urzędowymi bolszewickimi nie ma, wszystko co dotyczy statystyki opiera się na źródłach sowieckich, co bynajmniej nie obniża ani pracy Masłowa, ani też nie przyczynia się do umniejszenia grozy sytuacji w której znajduje się obecnie blisko 20 milionów rodzin chłopskich w Rosji, przedstawiających razem 120 milionów ludności.

Praca Masłowa jest źródłowa i dość obiektywna, nie sili się bynajmniej na tanie efekty, widać z niej objęcie przez autora całokształtu przedmiotu, toteż wybór Tadeusza Teslara uznać należy za trafny.

Kolektywizacja rolnictwa została rozpoczęta przez Lenina w 1918 r., a jeżeli w okresie „wojującego komunizmu" (1918 —

1921 r.) dała tak znikome rezultaty, iż prawie się o nich nie wspomina, to pierwszą tę klęskę socjalizmu na wsi zawdzięczyć należy faktowi, że wówczas chłop posiadał do swej dyspozycji dużo broni, która pozostała w jego rękach z czasów Wielkiej Wojny, zaś ogólny stan gospodarki państwa sowieckiego był tak opłakanym, że trzeba się było cofnąć na całej linii nie tylko na „froncie wiejskim" lecz i gospodarczo-handlowym. Nastąpiła tak zwana „pieredyszka", i na widownię wystąpił Nep. Stało się więc to czego później sam Lenin, z punktu widzenia ogólnej komunistycznej polityki, nie mógł inaczej określić, jak tylko jako dotkliwą klęskę.

Rola wielkiego reformatora wsi, państwa kierowanego przez „rząd robotników i chłopów", przypadła dopiero w 1929 r. Stalinowi, który postanowił, wyrażając się językiem Karola Marksa, zakończyć z „idiotyzmem życia wiejskiego", oraz „świństwem własności prywatnej" i zmusić „antykolektywne czerepy ograniczonych kmiotków" do wejścia na drogę socjalizacji gospodarki wiejskiej. Rozpatrując rzecz z punktu widzenia marksizmu, Stalin miał zupełną słuszność, gdyż Lenin już w 1919 r. głosił, że „dopóki żyjemy w kraju o strukturze drobnowłościańskiej, dopóty w Rosji istnieje mocniejsza podstawa ekonomiczna dla kapitalizmu, niż dla komunizmu".

Historia wielkiego „ataku socjalistycznego" na wieś proletariackiego imperium oraz skutki tego ataku stały się tragedią wsi rosyjskiej. Autor przejrzyście odzwierciedla poszczególne fazy kolektywizmu, wskazuje na metody, których używano dla osiągnięcia celu oraz rezultaty dla wsi rosyjskiej, które im przyniosła kolektywizacja. Czyni to beznamiętnie i z dużym umiarem. Mimo tego jednak, ponieważ sytuacja wsi rosyjskiej jest w istocie tragiczna, a chłop w wysokim stopniu odczuwa swoją krzywdę, gdyż kolektywizacja w swym rezultacie końcowym stała się pompą wysysającą owoce jego pracy na rzecz partii komunistycznej i gigantycznych jej zachcianek — autor nie może powstrzymać się od powiedzenia: „Gwałtem i przymusem przeprowadzając kolektywizację gospodarki wiejskiej i w sposób bestialski traktując włościaństwo, władza komunistyczna doprowadziła również chłopa do stanu dzikiej bestii. Błyskawice i pioruny drzemią w cichych wsiach rosyjskich".

Twierdzenie to nie jest gołosłowne. „Setki obserwatorów — pisze Masłow — świadczą, że wieś pragnie wojny... chłopi nie myślą nigdy o wrogu zewnętrznym i obronie ojczystej... jest dla nich pewnikiem, że trzeba pozbyć się władzy komunistycznej za wszelką cenę... wierzą jak... Dostojewski, że wojna nie zawsze jest biczem, lecz czasem bywa ratunkiem"... Gdy w 1935 r. władza sowiecka zarządziła na południu Rosji próbną mobilizację, ukrywając jej próbny charakter, „nie było wcale rozpaczy — pisze Masłow — raczej zapanowała radość — u mężczyzn skryta,

jawna u kobiet". Słyszano takie oto wyrażenia: „Chwała Tobie Królowo niebios! Doczekaliśmy się — oto i wojna". A przestrogi dla mężów, synów i braci brzmiały: „Siebie nie pożałujcie, ale i władzę wymordujcie". Można zgodzić się z autorem, że kiedyś, nie wiadomo kiedy, do tego krwawego epilogu dojść musi.

H. J. Korybut - Woroniecki.

Tadeusz Lechnicki: O jasny program i zwarte działanie. I. Rolnictwo. (Szkic dyskusyjny) Nakładem Autora. Warszawa 1937. str. 144.

Były wiceminister Skarbu, zwiedziwszy północne kraje bałtyckie: Finlandię, Estonię i Łotwę, poczynione tam spostrzeżenia i wysnute z nich wnioski podaje nam w powyższej pracy. Wychodzi ze stwierdzenia faktu poprawy gospodarczej. Nie bada wszelakoż źródeł tej poprawy, ale cały punkt ciężkości przenosi na konsekwentną realizację programu przyszłości. Autor ograniczył się wyłącznie do studium nad rolnictwem dla trzech zasadniczych powodów: 1) W dziedzinie rolnictwa jest w tej chwili najwięcej zaniedbań i rewizja polityki rolniczej jest pilną koniecznością. 2) „Bez rozwijającego się opłacalnie i intensywnie produkującego rolnictwa, wszelka polityka uprzemysłowienia, polityka planów inwestycyjnych, byłaby kosztowną fikcją bez przyszłości, a więc warunkiem wstępnym i wyjściowym jest unormowanie i ustabilizowanie warunków gospodarczych produkcji rolniczej". 3) „Zagadnienie rolnictwa nie budzi żadnych zasadniczych wątpliwości. Każdy obywatel kraju pragnie, żeby na wsi było lepiej, nikt właściwie nie chce upaństwowienia warsztatów rolnych".

Autor idąc w tym względzie po linii gospodarczej państw bałtyckich rzuca hasło: „taniej i więcej pracować", w myśl jasnego programu i zwartego działania. Na to zwarte działanie położył szczególniejszy nacisk. Bo w Polsce w ostatnich latach „bez przesady można by powiedzieć, że każdy premier, nieomal każdy minister miał własną ocenę metod działania gospodarczego, i to nie w szczegółach bieżących prac, lecz w ocenie państwowych zasad... Mógłbym powiedzieć, że nie znam jednego działu gospodarstwa narodowego, gdzieby można było stwierdzić, że w ciągu lat dziesięciu była realizowana jasna w swych założeniach linia postępowania... Założenia słuszne nie były dostatecznie konsekwentnie wykonywane przez czas dłuższy i w porę" (str. 22). „Społeczeństwo ma prawo domagać się od rządzących wyraźnej, na lata obliczonej, konsekwentnej polityki gospodarczej, nie zmienianej z każdym odruchem opinii, z każdą zmianą personalną".

Ujemne cechy gospodarki polskiej streszcza autor w następujących punktach: Ceny za wysokie — odsetki za wygóro-

wane i brak kredytu — biurokracja — brak konsekwencji. Te rzeczy musimy naprawić w przyszłości. Program na przyszłość rzuca autor na niewielu stronach (94 — 107), gdzie daje szczegółowe, konkretne wskazania. Podaje wiele praktycznych myśli, rzec można, nawet nie trudnych do zrealizowania, ale wymagających konsekwentnego czynu.

Wywody Autora podane jasno i przystępnie, a ilustrowane dobrymi wykresami zasługują na poważne rozpatrzenie.

Ks. Jan Mokrzycki T. J.

Ks. Dr Antoni Korcik: Teoria konwersji zdań asertorycznych u Arystotelesa w świetle teorii dedukcji. Studium historyczno - krytyczne. W Wilnie, Wydawnictwo Studiów Teologicznych. 1937, str. 35.

Coraz więcej i głośniej mówi się o tzw. logistyce, czyli logice formalnej albo jak chcą zwolennicy tej logiki — po prostu logice. Słyszy się o niej najprzeróżniejsze sądy — począwszy od zachwytów i zapowiedzi niezwykłych przewrotów w nauce za przyczyną logistyki, aż po bezwzględne słowa potępienia. Ks. dr Korcik nie wypowiada sądu o logice formalnej. Tym niemniej spełnia wymowną misję jako jeden z czynnych jej zwolenników. Jego spokojny i rzeczowy wykład powinien być wzorem, jak należy rozstrzygać spory o za i przeciw logistyce, a więc nie słowami, lecz wykazaniem do czego ona służy i co wnosi nowego. Otóż dzięki zastosowaniu teorii dedukcji do sylogistyki Arystotelesa w zakresie zdań asertorycznych — uważanej dotychczas za kres wszystkiego, co można na ten temat powiedzieć, — okazuje się, że dowody na konwersję tych zdań można przeprowadzić daleko ściślej i bez obawy o błędne koło w dowodzeniu. Prawdziwe, rzadkie dzisiaj przeżywa się zadowolenie naukowe przy czytaniu wywodów ks. Korcika. Taka tam jasność, zwięzłość, precyzja słów i sądów. Osobom zainteresowanym, zwłaszcza nieżyczliwie usposobionym do logiki formalnej radzimy szczerze przeczytać tę rozprawkę. Uczynić to można bez żadnych specjalnych studiów przygotowawczych, gdyż teoria konwersji ks. Korcika jest jednocześnie wprowadzeniem do teorii dedukcji, a więc i do logiki formalnej.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Hans Mortensen und Gertruda Mortensen: Die Besiedlnug des nordöstlichen Ostpreussen bis zum Beginn des 17 Jahrhunderts. Verlag von S. Hirzel in Leipzig, 1938 r. Tom I, str. 212. Tom II, str. 254.

W powyższym dużym, dwutomowym dziele, autorzy na podstawie długich archiwalnych i historycznych studiów starają się odtworzyć stan ludnościowy północno - wschodniego skrawka ziemi

obecnych Prus Wschodnich. Za punkt wyjścia obierają rok 1400, a ściślej mówiąc nawet rok 1410, to znaczy rok bitwy pod Grunwaldem, czyli okres największej potęgi Zakonu krzyżackiego, której pamiętna bitwa położyła kres.

Dzieło Hansa i Gertrudy Mortensenów obfituje w mnóstwo szczegółów. Autorzy zapoznali się nie tylko z całym historycznym drukowanym materiałem dotyczącym przedmiotu, nie ograniczając się do autorów niemieckich, lecz również studiując polskich współczesnych pisarzy jak: Henryka Łowmiańskiego, Stanisława Zajączkowskiego, J. Jakubowskiego i dawnych jak: Długosza oraz litewskich, przewertowali ponadto ogromną ilość materiałów archiwalnych, wśród których bardzo poważną rolę odgrywają tzw. *Zinsbuch'y* (księgi czynszowe Zakonu krzyżackiego). Tak więc stworzyli wielkie dzieło na temat drobnego stosunkowo zagadnienia.

I tak, na podstawie długich studiów dochodzą np. do wniosku (tom I, str. 133), że około 1400 roku, studiowany przez nich skrawek ziemi wschodnio-pruskiej był zamieszkały przez około 6500 autochtonicznych Prusów i 4200 kolonistów Niemców. Dalej na Wschód, ku Litwie, znajdowały się, ich zdaniem, w tym czasie, obszary nie zamieszkałe, dzikie puszcze (*Wildnis*). Jest jeden punkt sporny, a raczej t e z a autorów, że Zakon krzyżacki, wprowadzając chrześcijaństwo, „nie wytępił" ludności tubylczej, składającej się z Prusów, Kurów i szeregu innych plemion, lecz, że wschodnie kresy Prus Wschodnich były pustynnymi i nie zamieszkałymi p r z e d osiedleniem się Zakonu.

Dzieło Mortensenów jest bardzo silnie udokumentowane w tym znaczeniu, że pełno w nim cytat, a odnośników z powołaniem się na źródła jest aż 1712 w obu tomach, czyli obejmują one ogromny materiał źródłowy. Autorzy dokonali wielkiej pracy i starają się być obiektywnymi i sumiennymi, tym niemniej teza ich „oczyszczająca" niejako Zakon z zarzutu wytępienia plemion tubylczych nie jest zbytnio przekonywującą. Według autorów wyludnienie północno-wschodniej części Prus Wschodnich nastąpiło z kilku przyczyn, z których dwie nie mają nic wspólnego z przybyciem na teren Zakonu.

Plemiona tubylcze, jak np. Kurów w zamierzchłych czasach osiągnęły pewien nawet znaczny poziom kultury. Z czasem i przed zjawieniem się Zakonu na terenie, nastąpiła zmiana klimatu, a mianowicie nadmiar wilgoci, który się pojawił w X stuleciu, zubożył kraj, a zubożała jego ludność, trudniąca się rolnictwem, zaczęła całymi masami przeć na północny-wschód, opuszczając swoje dotychczasowe siedziby, a przenosząc się na terytoria obecnie litewskie i łotewskie. Ludność osiadła zamieniła się w rozbójniczo plądrującą.

Teorię Frenzla o zmianie w tych czasach klimatu w tych stronach popierają autorzy cytatami historycznymi, a mianowicie

Żyda (!) podróżnika z X wieku Ibrahima ibn Jaqub'a, który zjeździł środkową i wschodnią Europę, i który pisze: „Głód pochodzi we wszystkich północnych krajach nie wskutek braku deszczu i posuchy, lecz z powodu nadmiaru deszczu i trwającej wilgoci". Tak więc, gdy przybyli na ten teren Krzyżacy zastali już tylko resztki zdziczałej ludności. (Tom II, str. 134 — 136).

Drugą przyczyną wyludniającą tę połać kraju, był rozbójniczy tryb życia, zubożałych przez zmianę klimatu plemion, zwalczających się wzajemnie.

Autorzy podają również przyczyny wyludniające kraj w związku z przybyciem Zakonu na teren i jego akcją kolonizacyjno-cywilizacyjną oraz nawracaniem ludności na chrześcijaństwo. Pobita i zgłaszająca swoją uległość ludność, „musiała być przenoszoną" przez Zakon bardziej na zachód. Rycerze bowiem krzyżowi nie mogli zapewnić tej ludności jako już chrześcijańskiej bezpieczeństwa, na dalekich wschodnich kresach, przed najazdami i zemstą pogaństwa i nie uległych plemion, które pobite emigrowały dalej na wschód, aby następnie, po pewnym czasie, wracać do swych dawnych siedlisk, rugując z nich ludność podwładną Zakonowi. Autorzy twierdzą, że Zakon znajdował się w przymusowej sytuacji (*Zwangslage)* i musiał przesiedlać nawróconą ludność bardziej na zachód.

Rozumowanie to posiada pewne cechy prawdopodobieństwa, tym niemniej nie może „oczyścić" Zakonu z zarzutu wyniszczenia bez reszty plemion tubylczych. Wprawdzie nie było może nakazów „opuszczenia terenów" przez tych, którzy nie przyjęli chrześcijaństwa i „wypędzania" ich z siedlisk rodzinnych, lecz czyniła to sama wojna, podjęta przez Krzyżaków w imię „zaprowadzenia chrześcijaństwa". Rezultat więc pozostawał ten sam. Podbici musieli emigrować na zachód, gdzie pod bacznym okiem i opieką Zakonu, na bardziej obcym dla nich gruncie, z czasem znikli, zaś opierający się „misji" uciekali na wschód w głąb terytoriów litewskich, gdzie z czasem przyjęli chrześcijaństwo z rąk Polski, a nie Zakonu. Między Litwą a posiadłościami Zakonu, powstawały w między czasie nie zaludnione puszcze i pustynia.

Rebus sic transibus zdania takie jak (str. 133, Tom I): *Von einer Ausrottung der Preussen, wie sie dem Deutschen Orden gelegentlich unterstellt wird, kann also keine Rede sein,* albo (str. 93, Tom II): *Dass er (der Orden) selbst später glaubte, er habe die Sudauer aussgerottet und die Wildnis geschaffen, endert daran nichts,* wydają się być mocno przesadzone.

Wszystkich plemion, które zamieszkiwały północno-wschodnie terytoria dawnych Prus Wschodnich już nie ma, nikt więc się za nimi nie ujmie. Czy sprawa niemczyzny wygra cośkolwiek na tym, że autorzy objętościowo, wielkiego historycznego dzieła „dowiodą", że Zakon ich „nie wytępił?" Niewątpliwym za to jest fakt, że we współczesnym wschodnim Prusaku jest silny procent krwi

znikłych z powierzchni historii, a zamieszkałych tam dawniej plemion, zwłaszcza Prusów; zaś kraj ich stał się ideową i organizacyjną kolebką Prus, następnie Drugiej Rzeszy, a Rzesza Trzecia, jakkolwiek budowana przez ludzi przeważnie zachodu i południa, ideowo bardzo dużo czerpie z tradycji Zakonu i duszy wschodnich Prusaków.

H. J. Korybut - Woroniecki.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie, 1938:

Walentyna Horoszkiewiczówna: Etyka Towiańskiegó. Jej źródła i promieniowanie. Cz. I. Towiański jako moralista, str. 128.
Barbara Krysiniel: Die Technik des plautinischen Miles Gloriosus, str. 41.
Dr Daniel Fajnsztejn: Potwory fantastyczne w wierzeniach i mitach, str. 127.
Maria Dunajówna: Budowa ramowa opowiadań i powieści Józefa Korzeniowskiego, str. 68.
Prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Wydział nauk matematycznych i przyrodniczych. Wilno, 1937, str. 402.
Ateneum Wileńskie. Rocznik XIII. Zeszyt I.

Nakładem Instytutu Śląskiego, Katowice, 1938:

Mieczysław Tobiasz: Na froncie walki narodowej w opolskim. Bronisław Koraszewski. 1888 — 1922, str. 149.
Franciszek Szymiczek: Walka o Śląsk Cieszyński w latach 1914 — 1920, str. 212.

Nakładem M. Arcta w Warszawie, 1938:

Bolesław Olszewicz: Obraz Polski dzisiejszej. Fakty, cyfry, tablice, str. 255.
Inż. J. Ginsbert: Drogi żelazne Rzeczypospolitej. Str. 168.

Nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, 1938:

Juliusz Znaniecki: Michał. Powieść, str. 500.
Zofia Bohdanowiczowa: Droga do Daugiel. Powieść. Str. 297.

Nakładem Książnicy Atlas, Lwów — Warszawa, 1938:

Prof. dr Edward Loth: Człowiek przeszłości. Z 455 rycinami, str. 346.
Jan Harabaszewski: Jędrzej Śniadecki. Nauczyciel chemii i pisarz rzeczy chemicznych. Str. 95.

Nakładem Księgarni Katolickiej w Katowicach, 1938:

Fr. W. Foerster: Światło wiekuiste a ziemskie ciemności. Nasza współczesność z punktu widzenia wieczności. Przełożyła Zofia Starowieyska - Morstinowa. Str. 162.
Tenże: Stare i nowe wychowanie. Przełożył Joachim Brachman. Str. 207.

Nakładem Wydawnictwa Obozu Zjednoczenia Narodowego:

Zagadnienie likwidacji analfabetyzmu w Polsce. Materiały i prace — zeszyt 2. Warszawa, 1938. Str. 56.

Inż. Julian Piasecki: O gospodarce planowej. Warszawa, 1938. Str. 18.

Nakładem „Roju", Warszawa, 1938:

Jerzy Andrzejewski: Ład serca. Powieść, str. 344.

Elżbieta Szemplińska-Sobolewska: Potrójny ślad. Powieść, str. 290.

Nakładem różnych:

Stanisław Łoś: Helladа na przełomie. Skład główny: Gebethner i Wolff, Warszawa, 1938. Str. 172.

Ks. Szczepan Szydelski: Eschatologia irańska a biblijna. Nakładem T-wa Naukowego we Lwowie. 1938. Str. 125.

Pamiętnik Lubelski. Tom III za lata 1935 — 1937. Pod redakcją Z. Kukulskiego. Z zasiłku Fund. Kultury narod. J. P. i lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej. Lublin, 1938. Str. 603. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha.

F. Antoni Ossendowski: Biesy. Powieść. Biblioteka Autorów Polskich. Wydawnictwo Polskie (R. Wegner). Poznań, 1938. Str. 256.

Ignacy Schreiber: Praca domowa ucznia. Nakładem Księgarni „Nauka i sztuka". Kraków, 1938. Str. 176.

L'abbé Herbert Bednorz: Le concordat de Pologne de 1925. Nomination aux Sièges Episcopaux et Paroisses. Commentaire avec comparaison aux autre concordats d'après - guerre. Les Editions Domat-Montchrestien. F. Laviton & C. Paris, 1938. Str. 212.

Sprawozdanie z działalności Wołyńskiego Towarzystwa Nauk za lata 1935 — 1937. Nakładem tegoż Towarzystwa. Łuck, 1938. Str. 61.

Zespół „Polityki": Polska idea imperialna. Nakładem „Polityki", Warszawa, 1938. Str. 86.

Stanisław Krasicki: Polityka wojewody Józefskiego na Wołyniu w świetle cyfr i faktów. Nakładem własnym. Stratyn. 1937. Str. 126.

Zenon Poray - Pełeński: Polityka UNDO w świetle autonomicznej deklaracji Centralnego Komitetu UNDO z dnia 7 maja 1938 r. Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Nasze Słowo". Lwów, 1938. Str. 112.

Antoni Madej: Drzewo figowe. (Wiersze). Biblioteka „Zet". Warszawa, 1938. Str. 61.

Dola i niedola naszych dzieci. Nakładem Komitetu Ogólnopolskiego Kongresu Dziecka. Warszawa, 1938.

A. Litwin, K. Greb. T, Banach: Czasopisma dziecięce Związku Nauczycielstwa Polskiego w szkole powszechnej. Uwagi metodyczne dla nauczycieli. Warszawa, 1938. Nakładem Spółki „Nasza Księgarnia".

Nowy Testament w przekładzie W. O. Jakuba Wujka. Wydanie nowe, przejrzane i objaśnione. Nakładem Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy. Kraków, 1938. Str. 758.

Ludwik Łakomy: Orlę z hetmańskiego gniazda. Kadet Karol Chodkiewicz. Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo - Oświatowego. Warszawa, 1938. Str. 134.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Uroczystości kieleckie. — Dwa jubileusze. — Dokoła uchwał Plenarnego Synodu. — Przed wyborami.

Ubiegły miesiąc zapisał się szeregiem doniosłych pozycyj w bilansie spraw Kościoła w Polsce.

I tak najpierw diecezja kielecka otrzymała nowego pasterza w osobie ordynariusza Ks. Bpa Dra Czesława Kaczmarka. W dniu 3 września odbył Ks. Biskup swój uroczysty ingres w katedrze kieleckiej, jako czwarty z rzędu pasterz tej diecezji. W dniu następnym otrzymał z rąk J. E. Ks. Nuncjusza F. Cortesi'ego sakrę biskupią. Kielce zgotowały swemu nowemu pasterzowi wspaniałe przyjęcie; wzięły w nim udział wszystkie warstwy społeczne, nie brakło przedstawicieli władz centralnych i lokalnych, wystąpiła też w swych delegatach i armia. Przebieg uroczystości był imponujący, a nastrój niezwykle serdeczny, tak iż wszystko zdaje się zapowiadać, iż w tej diecezji, którą w ubiegłych latach rozdzierały bolesne konflikty, nastąpi nie tylko pełne uspokojenie, ale zrodzi się nowe ognisko katolickiego dynamizmu. J. E. Ks. Bp. Kaczmarek, syn ziemi płockiej, dał się już od szeregu lat poznać jako pełen gorliwości kapłan, a przy tym jako wysoce utalentowany organizator oraz niestrudzony działacz. Fachowe studia społeczne, znajomość kwestii robotniczej i szkolnej, entuzjazm dla Katolickiej Akcji, przy wielkich zaletach umysłu i serca, predestynują nowego Pasterza do odegrania wybitnej roli w dziejach nie tylko diecezji kieleckiej, ale i katolicyzmu w Polsce. Czynny, a tak znamienny udział w uroczystościach kieleckich J. E. Ks. Nuncjusza F. Cortesi'ego, niemniej jak obecność p. Ministra W. R. i O. P. prof. Świętosławskiego są niewątpliwym świadectwem nadziei, jaką najwyższe autorytety Koś-

cioła i Państwa przywiązują do osoby nowego Pasterza i jego przyszłej działalności.

J. E. Ks. Nuncjusz podkreślił dobitnie tę atmosferę harmonii, jaka zapanowała w tych pamiętnych dla diecezji dniach. „W świetnej obecności p. Ministra Wyznań i Oświecenia Publicznego" stwierdził „z radością cenny dowód, iż p. Prezydent Rzeczypospolitej i Jego Rząd przywiązują wielką wagę do dobroczynnego dzieła Kościoła katolickiego i do utrzymania serdecznej a skutecznej współpracy między władzami duchownymi i świeckimi".

To też mógł zapewnić Ks. Ordynariusza, który w swym ingresowym kazaniu nie taił obaw przed ogromem pracy i odpowiedzialności, iż

wsparty szacunkiem i sympatią władz państwowych, modlitwami i serdecznymi życzeniami kleru i katolickiego ludu, wzmocniony błogosławieństwem Ojca chrześcijaństwa, rozpocznie w pomyślnych warunkach swą pasterską pracę dla największego dobra wiary i ojczyzny.

Niemniej serdeczne życzenia złożył w swym przemówieniu p. Minister Świętosławski zapewniając nowego Pasterza, że Rząd polski „cieszyć się będzie razem z Ks. Biskupem z każdego osiągnięcia i z każdego powodzenia w jego pracy".

Przy tej okazji z ust p. Ministra padły słowa o zasięgu znacznie szerszym:

Duchowieństwo — mówił p. Minister — a zwłaszcza Dostojnicy Kościoła katolickiego mają wyraźnie wytknięte wzniosłe cele swej pracy, której zasięg i treść istotna wybiegają znacznie za krąg działania tych, których zadaniem i troską dnia codziennego jest regulowanie życia społeczeństwa ludzkiego, zorganizowanego w państwie. Jednakże powinniśmy sobie zdawać sprawę, że praca duchowieństwa, w swych podstawowych elementach, zbiega się z poczynaniami, które za cel swój mają utrwalanie fundamentów pod normalny byt i najlepszy rozwój Państwa.

Wszak cała praca nad religijnym wychowaniem narodu, nad wszczepianiem zasad etyki chrześcijańskiej, pogłębianiem moralności i podniesieniem wewnętrznej wartości człowieka, przynosi wielkie korzyści Państwu, jak wszystko, co podnosi na wyższy poziom oblicze duchowe jednostki.

Pracując nad pogłębieniem życia rodzinnego, nad moralnym obliczem trwałych, pogodą owianych ognisk rodzinnych, Kościół dopomaga Państwu, które opiera swój ład i porządek społeczny na rodzinie, jako podstawowym elemencie życia zbiorowego narodu...

Warto zapamiętać te słowa, które w ramach doniosłej uroczystości kościelnej padły z ust oficjalnego przedstawiciela polskiego Rządu. Są one znakomitą odpowiedzią na liczne inwektywy i napaści polskiego radykalizmu, dla którego antyklerykalizm, walka z hierarchią kościelną i jej apostolską pracą jest sztandarowym hasłem społecznej agitacji. Jeśli bowiem według miarodajnej opinii p. Ministra W. R. i O. P. praca duchowieństwa jest w swych podstawowych elementach utrwalaniem fundamentów pod normalny byt i najlepszy rozwój polskiego Państwa, to utrudnianie tej pracy jest akcją na wskróś antypaństwową!

Takich antypaństwowców mamy niestety w Polsce spory zastęp; nie brak ich nawet w szeregach administracji państwowej, nie brak wśród oficjalnych czynników, postawionych nieraz na wysokich szczeblach hierarchii, nie brak wśród nauczycielstwa, w którego rękach spoczywa w znacznej mierze wychowanie młodego pokolenia. Czy popieranie radykalizmu wiejskiego o zdecydowanie antyklerykalnym obliczu, kopanie przepaści między plebanią a wsią, wychowywanie młodych radykałów w uniwersytetach ludowych typu Gać Przeworska — da się pogodzić z programem p. Ministra? Czy działalność zarządów Związku Nauczycielstwa polskiego i jego emisariuszów, konspirujących nawet w gmachu przy Alei Szucha, nie krzyżuje pracy „nad religijnym wychowaniem narodu?" Czy skandaliczne deptanie nierozerwalności sakramentu małżeństwa przez różnego typu antykatolickie konsystorze można nazwać „wszczepianiem zasad etyki chrześcijańskiej i pogłębianiem moralności?" Czy po linii tego „pogłębiania życia trwałych ognisk rodzinnych" idzie z jednej strony tolerowanie tak na wysokich i odpowiedzialnych stanowiskach, jak zwłaszcza w szkolnictwie, ludzi sabotujących swym życiem tę „trwałość" — z drugiej zaś przygotowywanie w cichej konspiracji projektu praw, które tę trwałość ognisk rodzinnych mają podminować legalnie?

Oto szereg doniosłych pytań — problemów, nad których rozwiązaniem z swego urzędu i powołania pracować powinno w pierwszym rzędzie Ministerstwo W. R. i O. P.

Nie tylko duchowieństwo i dostojnicy Kościoła katolickiego, ale i wszyscy katolicy poprą wysiłki p. Ministra, by tak zwięźle, a równocześnie tak zasadniczo ujęty program mógł się doczekać pełnej realizacji. Gorące oklaski licznych słuchaczy były odpowiedzią na przemówienie p. Ministra w Kielcach, ale cała katolicka Polska jeszcze goręcej przyklaśnie pełnej realizacji tego na wskróś pozytywnego programu.

Nie od dzisiaj wyrażamy na łamach tego pisma nasze najgłębsze przekonanie, że właśnie tylko w ramach takiego

programu pełnej i rzetelnej współpracy władz duchownych i cywilnych, może się urzeczywistnić w Polsce prawdziwe zjednoczenie wszystkich elementów, dla których wzniosłe hasło wiary spontanicznie przyzywa wizję potężnej ojczyzny. Na miarę symbolu urasta okrzyk nowego Pasterza, skierowany do przedstawiciela armii: „Do dzielnej, kochanej armii zawsze frontem stanę, Panie Generale!"

Tak więc z Kielc poszły w tym dniu na całą Polskę mocne hasła, przepojone twórczym optymizmem, a kto patrzył na olbrzymie rzesze wiernych, na las sztandarów wszelkich organizacyj, ze Strzelcem włącznie, zebranych przed pałacem biskupim (pamięta on i inne sceny), nie mógł wątpić ani na chwilę, że hasła te mogą i powinny się stać twórczym czynem.

Obok uroczystości ingresowych nowego Biskupa obchodziła w tym miesiącu Polska katolicka dwa jubileusze wybitnie dla katolicyzmu zasłużonych Pasterzy, jubileusz srebrny dwudziestopięciolecia sakry J. E. Ks. Kardynała Kakowskiego (12 — 14. IX) oraz złoty jubileusz pięćdziesięciolecia kapłaństwa J. E. Ks. Bpa Szelążka (9 — 12. IX). Jeśli stanowisko biskupa jest nieodłącznie związane z ogromem pracy i wielkiej odpowiedzialności za losy tysięcy i milionów dusz, jeśli obfituje niejednokrotnie w dni ciężkie, bolesne i zaprawione goryczą Golgoty, to dni uroczystości jubileuszowych były opromienione dla obu Dostojnych Jubilatów blaskami Taboru. Świadomość spełnionych godnie obowiązków, widok obfitych owoców długoletniej pracy na Pańskim zagonie, serdeczna wdzięczność oraz szczere przywiązanie rzesz wiernego ludu, ojcowskie wyrazy uznania i podzięki Ojca chrześcijaństwa... — oto momenty, które głęboką radością musiały przepełniać serca Jubilatów. Udział w uroczystościach władz cywilnych i armii obok licznych przedstawicieli wszystkich stanów, świadczy wymownie, że dokoła swych Pasterzy skupia się solidarnie całe katolickie społeczeństwo, że na nich spogląda z ufnością i niedwuznacznie ku nim kieruje życzenie, by dynamizujący się polski katolicyzm prowadzili odważnie drogą maksymalnych żądań tak w dziedzinie życia wewnętrznego, jak i w zakresie zewnętrznych osiągnięć apostolstwa i akcji.

Takie bowiem właśnie żądania padły nie sporadycznie lecz zbiorowo w ramach katolickiego Studium (5 — 10. IX), które pod kierunkiem wybitnych prelegentów zebrało z całej Polski elitę teoretyków i działaczy Katolickiej Akcji.

W tym samym kierunku zdążała wspaniała manifestacja katolickiej młodzieży w czasie jej zlotu na Jasnej Górze (24 — 25. IX). Ślubowanie stotysięcznej rzeszy polskiej mło-

dzieży miejskiej, wiejskiej i robotniczej, iż budować będzie Polskę Chrystusową, iż trzymając w jednej ręce krzyż zasad św. wiary, gotowa jest każdej chwili uchwycić w drugą dłoń miecz dla obrony ojczyzny, — były potężnym wyrazem tej nieustraszonej odwagi i zdecydowanej woli, jaka znamionuje młode pokolenie w dążeniu do religijnego i narodowego odrodzenia.

Uchwały ogólno-polskiego Synodu (1936), które w tej chwili obowiązują na terenie całego kraju, wytyczyły jasno naczelne linie dalszego rozwoju katolicyzmu w Polsce. Obecnie na terenie wszystkich diecezyj rozpocznie się solidarna praca, by ogół wiernych zapoznał się szczegółowo z postanowieniami synodu oraz by wprowadził je w życie. Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, iż pełne zrealizowanie religijnych i społecznych postanowień Synodu wymagać będzie wielkiej aktywności nie tylko ze strony duchowieństwa, lecz także ze strony jak najszerszych warstw katolickiego społeczeństwa. Ale dla wszystkich pobudką do wytężonej pracy może i powinna być świadomość, iż zabiegając o pełne realizacje postanowień Synodu, pracują nie tylko nad ugruntowaniem wiary, ale i nad umocnieniem potęgi polskiego Państwa.

Wszak taki a nie inny sens mają uchwały o walce z organizacjami jawnymi i tajnymi, które są wrogie Kościołowi i porządkowi społecznemu jak: masoneria, marksizm, komunizm (uchw. 55. § 3 i 4); nie inny cel mają uchwały stające na straży moralności indywidualnej, rodzinnej i społecznej (uchw. 58, 62, 74); nie do czego innego zdążają uchwały, powzięte w kwestii szkolnej (uchw. 122).

Bardzo aktualną, na tle ostatnich wypadków, staje się uchwała 81:

> Synod Plenarny nakazuje, aby we wszystkich diecezjach szerzono prawdziwe zrozumienie istoty i celów Akcji unijnej i aby zarówno duchowieństwo jak i wierni modlitwą i czynem popierali sprawę zjednoczenia Kościołów.

Hasło to, które wypływa z istoty apostolskości i powszechności Kościoła, podjęte z całym naciskiem przez obecnego Papieża Piusa XI, nie znalazło dotychczas silniejszego echa w Polsce. Liczne na ten smutny objaw złożyły się przyczyny. Nie pora je tutaj analizować. Za to faktem niewątpliwym stało się dzisiaj całkowite bankructwo polityki prowadzonej z uporem przez 12 lat przez dyrektora departamentu Wyznań, p. Franciszka Potockiego. Bankructwo to przypieczętowała świeża dymisja tego urzędnika, który systematycznie, choć zapewne w najlepszej wierze, przez długie lata zwalczał akcję unijną, którą tak zdecydowanie po-

leca Plenarny Synod. Pokazało się naocznie, że osłonięte rzekomą racją stanu, troską o całość Rzeczypospolitej, forytowanie polskiego prawosławia, było w gruncie rzeczy fatalną pomyłką. Dwanaście lat pracy departamentu Wyznań poszło w tym zakresie zupełnie na marne. Nadzieja spolonizowania prawosławnej cerkwi okazała się złudzeniem, którego nie potrafiły rozwiać najbardziej bezstronne i obywatelską troską dyktowane zabiegi. Nadziei tej zadało dopiero śmiertelny cios samo życie. Dziś na gruzach polityki p. Potockiego, przekreślonej krańcowo zarządzeniami p. Premiera, rozrósł się z jednej strony bezbożniczy komunizm tych, którzy zerwali z nawracanym na polskość prawosławiem, z drugiej zaś stanęła scalona w swej nienawiści do katolicyzmu i do polskości reszta prawosławia.

Można i trzeba cieszyć się z nawróceń zrusyfikowanych niegdyś wsi i gromad, wracających po latach na łono Kościoła i ojczyzny, ale jak protegowanie schizmy nie rozwiązało problemu prawosławia w Polsce, tak nie rozwiążą go również „rewindykacje", a tym mniej zamykanie, czy burzenie cerkwi. Zbankrutował p. Potocki, zbankrutuje każdy jego następca, który by zechciał kroczyć błędnie wytyczoną drogą i przekreślać swą polityką uchwałę Plenarnego Synodu, która w sumieniu wiąże polskich katolików.

•• Niespodziewane rozwiązanie dekretem p. Prezydenta Senatu i Sejmu i to przed przeprowadzeniem wyborów samorządowych, zaskoczyło opinię całego kraju. Pisząc przed rokiem [1]) o zmianie ordynacji wyborczej, przewidzieliśmy tę ewentualność:

...Konstytucja nasza daje p. Prezydentowi prawo rozwiązania parlamentu, przy czym, wedle art. 32, winien on wskazać narodowi powód rozwiązania. Powodem tym mogłoby być stwierdzenie niezdolności Sejmu do uchwalenia koniecznej w interesie Państwa zmiany ordynacji wyborczej. Wybory zaś przeprowadzone pod tym właśnie hasłem dałyby może, nawet bez wysiłku administracji, zespół nowych posłów, którzy by zechcieli tego zadania dokonać.

Trudno dziś określić, jakie były istotne powody decyzji p. Prezydenta; różne na ten temat domysły snuła prasa codzienna, a sekundowała jej z mniejszym skrępowaniem, bo nie podległa cenzurze, stołeczna plotka. Dekret jednak p. Prezydenta wysunął na czoło dwa tylko motywy, mianowicie zmiany, które się dokonały w układzie politycznym szerokich warstw społeczeństwa oraz konieczność wypracowa-

[1]) Listopad, 1937. Str. 246 — 257.

nia przez przyszłe izby nowej ordynacji wyborczej. Doniosłość i zasięg zmian, jakie zdaniem p. Prezydenta dokonały się w układzie politycznym naszego kraju, a których wyrazem i wykładnikiem jest zapewne OZoN, można oceniać sceptycznie. Co zaś dotyczy nie kwestionowanej przez nikogo konieczności zmiany ordynacji wyborczej, to podkreślaliśmy z naciskiem [1]), iż tylko drogę uchwalenia tej zmiany przez obecny (w tej chwili już rozwiązany) Sejm uważamy za jedynie odpowiednią. Przewidywaliśmy bowiem, iż przy interwencji dekretu p. Prezydenta nie obejdzie się bez niepożądanych wstrząsów.

Otóż tym właśnie zasadniczym wstrząsem, którego pragnęliśmy uniknąć, będzie bojkot rozpisanych już wyborów przez opozycję całą, a przynajmniej przez znaczną jej większość. Jeśli zaś opozycja do urny wyborczej nie pójdzie, to otrzymamy Sejm kadłubowy, monopartyjny, z tą prawie jedyną różnicą, iż zamiast BBWR gmach przy ul. Wiejskiej opanuje OZoN, przy silnym udziale Naprawy. Jak zaś będzie wyglądać ordynacja wyborcza przeprowadzona przez Sejm nowy, trudno dziś przewidzieć.

Nie do nas należy analizowanie powodów, które skłoniły czy skłonią opozycję do bojkotu zbliżających się wyborów. Przyśpieszenie rozwiązania Sejmu, przed przeprowadzeniem wyborów samorządowych, zaogniło niewątpliwie sytuację, redukując do minimum wyborcze perspektywy opozycyjnych stronnictw, pomimo zapowiedzi p. Premiera, iż wybory będą „czyste".

Ale poza ramami partyjnej dyscypliny, poza kulisami politycznej gry stronnictw, przed poszczególnymi katolikami staje doniosłe pytanie, jakie obowiązki nakłada na nich katolicka etyka w kwestii wyborów? Nakaz bowiem posłuchu dla partii nie może znieść obowiązków wiążących w sumieniu! Integralność katolicyzmu wyklucza przetargi sumienia.

To też wstrzymując się całkowicie od oceny zajętego przez opozycję stanowiska, możemy i musimy przypomnieć katolickim wyborcom obowiązujące ich zasady etyki.

Nie ukazało się dotychczas w sprawie zbliżających się wyborów żadne orędzie polskiego Episkopatu. Możemy zatem jedynie przypomnieć fakt, iż dn. 21 kwietnia r. 1931, Episkopat polski, w swym liście, skierowanym do marszałków Senatu i Sejmu, oraz prezesów politycznych stronnictw poruszył doniosłą sprawę ordynacji wyborczej. Ujmując zagadnienie z najszerszego punktu widzenia i wychodząc z założenia, że udział w wyborach do ciał ustawodawczych jest

[1]) Loc. cit. str. 257.

dla katolików kwestią sumienia, wskazali Księża Biskupi na fakt, że przy systemie głosowania na numery list, a nie na osoby kandydatów, wyborcy katolicy mogą stanąć w konflikcie z sumieniem, jeśli choćby jeden z kandydatów umieszczonych na liście nie daje gwarancji, że w swej pracy parlamentarnej będzie zgodnym z zasadami wiary i etyki Kościoła katolickiego. Z tych samych powodów wypowiedział się Episkopat przeciw listom państwowym; chcąc zaś ułatwić stworzenie większości parlamentarnej wyraził swą wątpliwość co do stosunkowego prawa wyborczego.

Otóż twórcy obowiązującej obecnie ordynacji uwzględnili wszystkie uwagi i zastrzeżenia polskiego Episkopatu: nie ma więc głosowania na numery list, nie ma list państwowych, nie ma proporcjonalności. Równocześnie jednak ordynacja wyborcza, oczywiście bez jakiejkolwiek aprobaty ze strony Episkopatu, oddała faktycznie całkowity wpływ na dobór kandydatów, a poniekąd i na sam wynik wyborów w ręce administracji. Minister spraw wewnętrznych, w większym od niego stopniu wojewoda, a w największym starosta decydują dzisiaj o składzie zgromadzenia okręgowego, które ustala kandydatury i oni przez swoje wpływy rozstrzygają właściwie o rezultacie głosowania. Opierając się na analizie tego faktu, który podrywa właściwy sens i cel wyborów i uniemożliwia większości obywateli wpływ na ukształtowanie izb ustawodawczych, wielu sądzi, iż obecna ordynacja wyborcza, jakkolwiek uwzględniła postulaty Episkopatu, nie jest zgodna z wymaganiami etyki, nie nakłada więc tym samym na katolickich wyborców tych zobowiązań, które głoszą katoliccy moraliści w odniesieniu do wyborów.

Według bowiem nauki katolickich moralistów wstrzymanie się bez słusznego powodu od wyborów do ciał ustawodawczych jest co najmniej grzechem powszednim, jeżeli obok odpowiedniego kandydata ubiega się o mandat poselski czy senatorski kandydat inny, wrogo usposobiony dla katolicyzmu. Owszem, wstrzymanie się od wyborów może stać się nawet g r z e c h e m c i ę ż k i m, jeżeli zachodzi u z a s a d n i o n a obawa, że wskutek wstrzymania się pewnych osób od głosowania, przejdzie w wyborach kandydat dla wiary i katolicyzmu szkodliwy.

Już zaś zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, iż na listach wyborczych znajdzie się obecnie pewna ilość kandydatów, z katolicyzmem skłóconych lub nawet dla katolicyzmu wrogich. Obok tych kandydatów w tych samych okręgach nie braknie zapewne ludzi uczciwych, zdecydowanych i praktykujących katolików. Czyż zatem w tych wypadkach wstrzymanie się od wyborów, na polecenie władz partyjnych, nie

stanie w kolizji z sumieniem? Czy odpowiedzialność za przejście kandydatów nieodpowiednich nie spadnie na tych, którzy swym wstrzymaniem się od poparcia kandydata uczciwego, spowodują pośrednio wybór jego przeciwnika?

Istotnie jest się nad czym zastanowić, byśmy po niewczasie nie musieli narzekać na lewicowy czy radykalny skład naszego parlamentu. Wprawdzie bowiem przyszły Sejm i Senat mają mieć za główne zadanie przeprowadzenie reformy obecnej ordynacji wyborczej, ale nie można zaręczyć, iż do tej jedynie sprawy ograniczą się ich ustawodawcze funkcje. Wszak nie wolno nam zapomnieć o fakcie, iż cały szereg spraw pierwszorzędnej doniosłości dla katolicyzmu w Polsce czeka jeszcze na ustawodawcze uregulowanie, że wspomnimy choćby o prawie małżeńskim, o szkole wyznaniowej, o masonerii czy kwestii żydowskiej. Nie obojętną też dla katolicyzmu jest kwestia wyboru głowy państwa, a nikt nie może dziś zaręczyć, czy wyboru tego nie dokonają właśnie nowy Sejm i Senat.

Z drugiej jednak strony nie można zamknąć oczu na fakt, iż przy obecnej ordynacji wyborczej i opartym na niej systemie „robienia" wyborów odpowiedzialność poszczególnych wyborców znacznie maleje. Nie braknie więc katolików, którzy nawet w tych skrajnych wypadkach, jakie przedstawiliśmy wyżej uważać się będą za zwolnionych w sumieniu od wyborczego przymusu a całą odpowiedzialność za skład przyszłego sejmu przerzucą na zgromadzenia okręgowe, na administrację oraz na członków OZoNu, wychodząc z założenia, iż wstrzymanie się od wyborów jest jedyną możliwością zaprotestowania przeciw narzuconej przez pewną grupę społeczeństwu a, według ich zdania, niezgodnej z etyką ordynacji wyborczej.

Zdaje się nam, iż w tej sytuacji nawet najbardziej ostrożny moralista nie zawaha się przed zastosowaniem znanej i uznanej przez Kościół zasady: *in dubiis libertas,* bo trudno zaprzeczyć, iż *dubia* te faktycznie istnieją.

Oczywiście ustępstwa te w dziedzinie moralnego obowiązku nie są żadnym ideałem! Zjawiskiem bowiem normalnym w każdym praworządnym państwie jest solidarny udział wszystkich obywateli w akcie wyborczym a potem udział przez swych delegatów w rządach kraju. Jeśli u nas w Polsce tak nie jest, to smutny ten fakt świadczy jedynie o tragicznym rozbiciu wewnętrznym, które się lęgnie na trzęsawiskach samolubstwa i prywaty, osłanianej zbyt często liczmanami szumnych frazesów. Zaciekłość i nieustępliwość partyjna urasta na miarę bożyszcza, któremu poświęca się wszystko często nawet i sumienie. Każda z politycznych partyj widzi tylko w sobie zbawcę ojczyzny i każda fanatycznie

zaleca swą tylko receptę naprawy stosunków. Że przy takim postawieniu sprawy nie może być mowy o zjednoczeniu się całego narodu w pozytywnej twórczej pracy, to chyba zbyt jasne. Brak stosowania etyki katolickiej w życiu zbiorowym, w politycznych rozgrywkach partyj mści się boleśnie na losach całego państwa a równocześnie kompromituje coraz głębiej sam demokratyczny ustrój, którego rzekomo wszyscy bronić pragną.

W naprężonej i niepewnej sytuacji odbędą się więc najbliższe wybory. Wynik ich trudno dziś przewidzieć. Wstępne jednak przygotowania odsłoniły raz jeszcze bolesne, krwawiące rany wewnętrznego skłócenia i partyjnego rozbicia, które stanowi od wieków najgłębszą tragedię Polski.

To też stawiając z konieczności zasadę *in dubiis libertas*, wolelibyśmy ją poprawić czy nawet przekreślić inną, twórczą, bo prawdziwie Chrystusową zasadą *in omnibus caritas*.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Sierpień 1914 i wrzesień 1938. — Rozwój czeskiego zatargu. — Paraliż Wielkiej Ententy. — Ruina Wersalu. — Cieszyn, Słowaczyzna i manewry wołyńskie.

Od bardzo już dawna historia dyplomatyczna nie notowała miesiąca tak przeładowanego goniącymi jeden za drugim, a wstrząsającymi faktami, jak ubiegły okres sprawozdawczy. Analogii poszukiwać by można wiosną roku 1919, gdy zawierano traktat wersalski, jesienią 1918 roku, gdy realizowano zwycięstwo mocarstw zachodnich nad centralnymi, ale najpełniej można tę analogię odnaleźć w miesiącu sierpniu 1914 roku. Wstrząsy bowiem doby obecnej mogą bezpośrednio doprowadzić do wybuchu drugiej z kolei wojny o światowym zasięgu. Jakimiż drogami rozwijały się te historyczne wypadki?

Sprawozdanie ostatnie przerwaliśmy w chwili, gdy Europa w niepokoju oczekiwała przemówień Hitlera na dorocznym zjeździe partyjnym w Norymberdze. Wiadomo już było, że Henlein odrzucił trzeci plan czeski, proponujący przebudowę Czechosłowacji na państwo związkowe na wzór Szwajcarii, złożone z 24 żup, czyli kantonów autonomicznych. Henlein odrzucił ten projekt dlatego, że zmierzał on do podziału obszaru sudecko-niemieckiego na kilka kantonów. Punkty zaś karlsbadzkie zawierały żądanie uznania Niemców czeskich za podmiot prawno-państwowy, bez którego zgody państwo nic przedsięwziąć nie może, obdarzony

autonomią jednolitą na przyznanym im obszarze. Konstytucyjnie zagwarantowany miał być przy tym udział Niemców w rządzie centralnym praskim i w sztabie generalnym armii. Zmusiłoby to Czechosłowację także do podporządkowania polityki zagranicznej życzeniom Sudetczyków i Berlina, a więc do zerwania przymierza z Rosją Sowiecką. Te postulaty trzeci projekt czeski odrzucił.

Wygłoszona wkrótce potem pierwsza norymberska mowa Hitlera wysławiała militarne i gospodarcze pogotowie wojenne Niemiec, podkreślając nieco przesadnie ich zasobność w żywność i surowce na wypadek angielskiej blokady. O Sudetach nie powiedział wtedy Hitler ani słowa, zajmując postawę wyczekującą. Opinia mocarstw zachodnich tłumaczyła sobie te wojownicze przechwałki oraz rezerwę w sprawie konkretnej jako urabianie gruntu dla dalszych układów i kompromisu. Optymistyczna ta ocena może nie była bezzasadna, obrócił ją wszakże w niwecz nowy a doniosły fakt, jaki zaszedł w międzyczasie.

Roosevelt wraz ze swym sekretarzem stanu Hullem niejednokrotnie popierali w latach ostatnich demokracje zachodnioeuropejskie w ich walce z rzymsko-berlińską osią faszyzmów. Nie odmawiali też deklaracyj w sprawie swej cennej solidarności z Anglią i Francją ani podczas pierwszego wojennego kryzysu z powodu Czech w maju br. ani nawet w początkach obecnego drugiego kryzysu. Wtem, nagle, z jasnego amerykańskiego nieba padł grom. Roosevelt ostro oświadczył w mowie publicznej, że bezpodstawne są wszelkie pogłoski jakoby Ameryka interesowała się europejskim zatargiem z powodu Czech i zamierzała w nim popierać demokratyczną ententę finansowo, czy nawet orężnie... Taką deklarację Roosevelt uznał za konieczną podobno ze względów wewnętrzno-politycznych, wyborczych, ponieważ opinia amerykańska zaniepokoiła się wojowniczymi rzekomo zamiarami prezydenta... Opinia ta, typowa dla kapitalistycznych demokracyj, pragnie pokoju przede wszystkim dla siebie, przeto nie zważając na wielokrotne ostrzeżenia Roosevelta, że pokój amerykański nie da się odłączyć od pokoju światowego, zmusiła głowę państwa do tej deklaracji, tak niesłychanie groźnej dla pokoju w Europie.

Burząc najważniejszą podstawę dotychczasowej przewagi demokracyj nad faszyzmami, musiała ta deklaracja pociągnąć następstwa tym bardziej nieobliczalne, że ją rzucono na szalę polityki światowej w najkrytyczniejszej chwili wahania między pokojem a wojną. Ciężar ciasnego demokratyzmu amerykańskiej demokracji przeważył szalę natychmiast na niekorzyść światowego pokoju. Pierwsza norymberska mowa Hitlera pomyślana była jeszcze w duchu: *para bellum si vis pacem,* i nastawiona na twardy targ o taki wymiar kompromisu, który by zapewne dał się osiągnąć drogą pokojową. Gdy jednak w Berlinie usłyszano tego rodzaju amerykański „głos z za sceny", natychmiast podbito i tak już

wysoko wylicytowany kurs. Wojowniczo agresywną przygrywkę wygłosił Goering, wkrótce zaś potem sam Hitler w drugiej mowie wyłożył nowe karty na stół. Mowa zawierała ostrą napaść przeciwko Czechosłowacji, zapewniała uroczyście Francję o wyrzeczeniu się przez Niemcy na jej korzyść Alzacji i Lotaryngii; równocześnie zaś także, choć mniej wyraźnie, głosiła, iż granice Niemiec są ustalone i niezmienne także od strony Polski.

Wystawiwszy takie osłony dyplomatyczne (obok fortyfikacyjnych i mobilizacyjnych) od zachodu i od wschodu, Hitler z odpowiednim patosem zapowiedział, że tym razem już się nie powtórzy jego majowa rejterada przed Wielką Brytanią, że nie opuści już „uciśnionych" Niemców sudeckich, których dążeniom gwarantuje poparcie całej potęgi Trzeciej Rzeszy. Wreszcie dawał do zrozumienia, że choć nie zamyka jeszcze przed rządem praskim pokojowej drogi układów, jednakże stawia przed nim alternatywę: albo punkty karlsbadzkie w całej ich rozciągłości, albo — plebiscyt.

Prawie równocześnie z tą mową wodza Niemiec w Pradze ogłoszono czeski „plan czwarty" zaznaczając, iż stanowi on ostateczną granicę ustępstw, do jakiej posunąć się może rząd czeskosłowacki. Plan zapewniał Niemcom sudeckim jednolitą narodowo-polityczną autonomię, zastrzegając jednak dla Pragi głos decydujący w sprawach polityki zagranicznej (przymierze z Rosją) oraz kierownictwo armią. Pozostawiał otworem ważne zagadnienie egzekutywy policyjnej na obszarze sudeckim, od którego głównie zależało, czy tamtejszy hitlerowski rząd autonomiczny będzie musiał szanować prawa konstytucyjne znacznej, nie hitlerowskiej (socjalistycznej i katolickiej) mniejszości niemieckiej lub też przeciwnie otrzyma swobodę sterroryzowania tej mniejszości na sposób dyktatury hitlerowskiej w Niemczech i w Gdańsku.

Ten „czwarty plan" znacznie jeszcze nie dociągał do miary aspiracyj, którą jako minimalną określił Hitler w drugiej mowie norymberskiej. Być może jednak, że ta rozpiętość nie przeszkodziłaby dalszym sudecko-czeskim układom, na podstawie „czwartego planu", gdyby nie nietakt policji czeskiej, która w tej krytycznej chwili wpadła na niefortunny pomysł poszukiwania ukrytej broni u Niemców sudeckich. Na tym tle wynikły w Sudetach zaburzenia i walki, które zamiast likwidacji sprowokowały wybuch powstania. Opanowano je wprawdzie szybko, lecz tylko dlatego, że Hitler zakwalifikował je jako przedwczesne i polecił je przerwać. Jednak partia Niemców sudeckich oświadczyła, że odrzuca plan czwarty i zrywa układy z rządem czeskim, po czym rozwiązała się, zamknęła wydawnictwa i w osobach przywódców wyemigrowała do Niemiec, równocześnie nawołując rodaków do ucieczki oraz wstępowania do sudeckiego legionu powstańczego. Legion ten formowany za kordonem wzrósł wkrótce do kilkudziesięciu tysięcy zbrojnego ludu.

Powstała więc nowa sytuacja. Jeżeli Hitler nie dopuścił, by się ona natychmiast wyładowała w zbrojnej powstańczej „akcji bezpośredniej" to głównie dlatego, że otrzymał wiadomość, iż premier Wielkiej Brytanii zamierza z nim podjąć rokowania osobiste. Jakoż istotnie Chamberlain przyleciał do Berchtesgaden i zaofiarował Hitlerowi swoją i francuską zgodę na plebiscytowy postulat drugiej mowy norymberskiej. Zgoda na plebiscyt ze strony mocarstw zachodnich była równoznaczna ze zgodą na oderwanie Sudetów od Czechosłowacji, a więc z opuszczeniem jej przez sojuszników. Mimo to w nowej sytuacji lokalnej jaka się wytworzyła w Czechach, Hitler uznał nawet plebiscyt za procedurę zbyt powolną, zażądał więc od Chamberlaina formalnej i szybkiej cesji obszaru sudeckiego.

Powróciwszy z takim wynikiem do Londynu premier zwołał naradę gabinetową, na której postanowiono, iż w położeniu międzynarodowym jakie się wytworzyło Wielka Brytania w żadnym razie nie może podejmować wojny z Niemcami z powodu Czech. Tę decyzję zakomunikowano przybyłym do Londynu Daladierowi i Bonnetowi, dodając, że jeśliby Francja wystąpiła zbrojnie przeciwko Niemcom, to na pomoc angielską może liczyć jedynie w wypadku bezpośredniego zagrożenia jej terytorium przez wojska niemieckie. Rząd francuski zdecydował ze swej strony, że Francja nie jest obecnie zdolna o własnych tylko siłach wystąpić przeciw Niemcom, ponieważ ma lotnictwo w przebudowie, a przy tym zagrożoną granicę włoską i hiszpańską. Poczem oba rządy, angielski i francuski, wysłały do Pragi notę żądającą odstąpienia Sudetów Niemcom, z 24 godzinnym terminem odpowiedzi.

W Pradze wybuchnął płacz i zgrzytanie zębów. Po dramatycznych całonocnych naradach prezydenta Benesza i rządu Hodży, zgodzono się jednak na żądania berlińsko-londyńsko-paryskie. Wbrew jednak nadziejom mocarstw zachodnich, kapitulacja Pragi nie zapewniła jeszcze pokojowego wyjścia z zatargu. Powstały nowe komplikacje.

Nie tylko Roosevelt lecz i Mussolini przyczynił się bardzo do tego paraliżu Wielkiej Ententy zachodniej w sprawie czeskiej, który prawie już zdruzgotał cały gmach wersalskiej równowagi politycznej w Europie. W tych krytycznych dniach wykazała nadto całą swoją niszczącą moc długoletnia samobójcza rozterka Ententy z Italią.

Anglia okazała się niezdolną do wojny z Niemcami, po części z powodu cofnięcia się Ameryki, po części także dlatego, że zaostrzenie stosunku do Włoch musiało spotęgować niebezpieczeństwo hiszpańskie. Jednak rozstrzygający wpływ na postawę Anglii wywarł przede wszystkim Bliski Wschód. Usilnie przez Włochy podżegana wojna Arabów z Żydami w Palestynie poczęła

się ostatnio rozwijać w otwarte powstanie arabskie także przeciwko Wielkiej Brytanii. Nie dość na tym. Korzystając ze swej nowej a potężnej pozycji nad Morzem Czerwonym, po podboju Abisynii, Italia nawiązała bliskie stosunki z największą potęgą świata arabskiego, królem Hedżasu i Nedżdu Ibn Saudem. Ów władca trzech ćwierci półwyspu Arabskiego, a bezpośredni sąsiad hołdującej Anglikom Transjordanii, na krótko przed niemieckim zjazdem w Norymberdze, zwołał do świętej muzułmańskiej Mekki sejm walny wszystkich szeików plemion owego królestwa i oświadczył im, że jego monarsze serce ścierpieć nie może niedoli Arabów palestyńskich, postanowił zatem przyjść im z pomocą. Niech więc szeikowie śpiesznie przygotują swe plemiona do wyprawy wojennej, która nastąpi może już wkrótce, gdy tylko król Saud dojdzie do porozumienia z władcą Iraku.

Była to wiadomość pierwszorzędnej wagi dla polityki angielskiej. Gdyby okoliczności temu sprzyjały, najzupełniej realnie da się pomyśleć wspólne uderzenie na Palestynę wszystkich królestw arabskich pod wodzą Ibn Sauda. To uderzenie z pewnością nie oszczędziłoby również francuskiej Syrii. Powstałby zatem wielki blok panarabski, do którego przyłączyłby się również Egipt, mocno manifestujący swoje sympatie dla Arabów palestyńskich. Wtedy stanowisko Wielkiej Brytanii nad Kanałem Suezkim stałoby się nie do utrzymania.

Perspektywą powyższą zainteresowała się nawet Turcja, która świeżo pozyskana została przez Anglię za pomocą poważnego kredytu wojskowego. Turcja niewątpliwie nie życzyłaby sobie oddać w ręce ewentualnej federacji panarabskiej obu sąsiadujących od południa krajów, a więc francuskiej Syrii, oraz północnego Iraku aż po Bagdad. W okresie przeto wzmagającej się przewagi Niemiec nad Czechami i Zachodem, zaproszono do Angory na konferencję niemieckiego ministra gospodarki. Nie jest to wprawdzie jeszcze równoznaczne z projektowaną po zaborze Austrii przez Niemcy ambasadą von Papena w Turcji. Tym razem inicjatywa wyszła z Angory i dotyczy zapewne kredytów w materiale wojennym. Jednakże politycznie jest bardzo znamienna.

W razie wojny Niemiec i Włoch z Anglią i Francją z powodu Czech, Mussolini rozporządza więc świetnie przygotowanym i bardzo dla obu przeciwników groźnym planem ofensywnym na Bliskim Wschodzie. Obok zawodu ze strony Ameryki, te perspektywy włosko-śródziemnomorskie bardzo poważnie musiano wziąć pod uwagę w Londynie i Paryżu przy decyzji o wojnie i pokoju w stosunku do Niemiec i Czech. Dlatego właśnie decyzja ta wypadła negatywnie. Dalszy rozwój czeskiego dramatu nie dał się jednak zamknąć pacyfistyczną kapitulacją Londynu, Paryża i Pragi na obszarze sudeckim. Zadecydowała o tym znów postawa Italii, tym razem wobec samej sprawy czeskiej,

oraz postawa solidarna innych stron zainteresowanych, Polski i Węgier.

Przez rozterkę z Anglią i Francją, Mussolini przykuty został do rydwanu Hitlera i musi mu posługiwać, pomimo, a po części i dlatego, że Niemcy usadowione w Austrii zawisły nad Italią, jak miecz Damoklesa. Musi posługiwać także przy zaborze Czech, pomimo, iż ten zabór jeszcze by podniósł ciężar austriackiego Damoklesowego miecza. Dodatnią dla Włoch stronę tej operacji stanowi wprawdzie rozbicie Małej Ententy, oraz wyrugowanie francuskiej z Włochami rywalizacji nad Dunajem. Jednak wprowadzając tam na miejsce Francji Niemcy, dyktator Italii stara się to czynić jak najprędzej i z możliwą przeciwwagą lokalną. Dlatego popierał naprzód w swej prasie, następnie w mowie triesteńskiej oddanie Sudetów Niemcom, ale zalecał równocześnie, ażeby ono nastąpiło w drodze pokojowej, która by nie dopuszczała do natychmiastowej aneksji Czechosłowacji przez Niemcy. I zachęcał również ażeby Cieszyn odstąpić Polsce, a południową Słowaczyznę Węgrom, gdyż w ten sposób zostałby zrównoważony zabór Sudetów. W razie zaś późniejszej likwidacji państwa czesko-słowackiego, wzmogłyby się widoki, iż tylko Czechy i Morawy dostaną się Niemcom, Słowaczyzna zaś Węgrom.

Ta dążność włoska była celową z punktu obrony równowagi europejskiej przed przewagą Niemiec w takim przynajmniej zakresie, jaki jeszcze wydaje się osiągalnym. Dążność ta całkowicie harmonizowała z racją stanu Polski i Węgier. Została też przez nie podjęta i wprowadzona w czyn. Pan min. Beck wystosował do Pragi notę żądającą odstąpienia Cieszyna w razie jeśliby Sudety odstąpiono Niemcom. W tymże czasie nasz ambasador w Berlinie pojechał do Berchtesgaden, dokąd już wcześniej udali się węgierski premier Imredy i min. spr. zagr. Kanya. Oba państwa, Polska i Węgry, przy poparciu Włoch, wymogły na Hitlerze, żeby na drugiej konferencji z Chamberlainem wysunął nie tylko aneksję Sudetów przez Niemcy, lecz także Cieszyna przez Polskę, oraz południowej Słowaczyzny przez Węgry. Hitler się na to zgodził i przedstawił warunki premierowi Wielkiej Brytanii podczas drugiej konferencji w Godesberg nad Renem, dodając na dobro Niemiec żądanie protektoratu nad całą pozostałą Czechosłowacją.

Konferencja w Godesberg spełzła na niczym. Takiej propozycji mocarstwa zachodnie nie mogły już zalecać Czechom do przyjęcia. Chamberlain ograniczył się do przesłania odnośnego niemieckiego memoriału do Pragi. Memoriał wyznaczał stosunkowo długi, całotygodniowy termin na odpowiedź, zapewne w tym celu ażeby wykończyć niemieckie przygotowania do akcji zbrojnej.

Jeszcze zanim memoriał nadszedł do Pragi, na samą wiadomość o równoległych z niemieckimi rewindykacjach Polski

i Węgier, w Czechach wzburzenie doszło do szczytu. Już przedtem, na skutek zgody na odstąpienie Sudetów, musiał ustąpić rząd Hodży i nowy gabinet utworzył naczelny wódz armii gen. Syrowy, który też po konferencji w Godesberg, zarządził powszechną mobilizację. Równocześnie poczęły jaskrawiej występować zawsze w Czechach potężne żywioły komunistyczne, pomimo, iż Moskwa wojny w obronie Czech odmówiła, zasłaniając się postawą Francji. Nowy rząd praski nie odpowiedział jeszcze, w chwili gdy piszę na memoriał niemiecki urzędownie, lecz półurzędownie powiadomił Paryż i Londyn, że ten memoriał odrzuci.

Co będzie dalej? Losy pokoju lub wojny, nawet powszechnej, zawisły przede wszystkim od siły oporu militarnego, do jakiej Czechosłowacja okaże się zdolną. W tym względzie istnieją z natury rzeczy duże możliwości, z których każda pociąga rozległy korowód następstw. Opór Czech może być słaby i krótkotrwały, albo też rozpaczliwie silny, względnie długotrwały. W pierwszym wypadku jego załamanie przyjdzie Niemcom łatwo i tanio. W drugim kosztować będzie Niemcy ciężkie straty i może mimo wszystko sprowokować jeszcze interwencję zbrojną Zachodu, gdyż lewica tamtejsza jest do tego skłonna. W takim razie wojna objęłaby pół Europy, bo anglo-francuską ententę i oś rzymsko-berlińską.

Wschód, w szczególności Polska, po odzyskaniu Cieszyna, mógłby na razie zająć postawę wyczekującą zwłaszcza, iż przy interwencji zbrojnej Zachodu również opór Czech mógłby się przedłużyć. Taki rozwój wypadków byłby niewątpliwie nie po myśli Niemiec. Hitler miał nadzieję, że uda mu się uzależnić lub nawet anektować Czechy równie tanim, albo nie wiele droższym kosztem niż zabór Austrii i Nadrenii. Wojna zaś z Czechami, a zwłaszcza Zachodem, musiałaby Niemcy w każdym razie na dłuższy czas osłabić. Wersja druga domniemanego rozwoju wypadków, w razie słabego oporu Czech, przedstawia się mniej groźnie dla Niemiec, ale groźniej dla ich sąsiadów. Po łatwym obsadzeniu Sudetów przez wojska niemieckie, w Pradze najprawdopodobniej wybuchnąłby przewrót komunistyczny tego samego typu, co za Beli Kuhna na Węgrzech w obliczu trianońskiego rozbioru. Niemcy musiałyby wówczas zająć Pragę „w celach pacyfikacyjnych". Zająwszy stolicę, już by jej więcej z rąk nie wypuściły.

Do najdonioślejszych politycznie pytań w obu wypadkach, silnego i słabego oporu Czech, należą losy Słowaczyzny. W razie oporu słabego największe szanse jej opanowania mają Niemcy. Możliwość ta groziłaby gruntownym uzależnieniem Polski i Węgier od Niemiec. Kontrakcja przedstawia poważne trudności nie tylko ze względu na Niemcy, lecz na niepewne stanowisko Rumunii i Rosji. Militarnie zająć Słowaczyznę mogłaby nie tylko Polska lecz nawet Węgry. Ale w razie słabego oporu Czech

przeciwstawiłyby się temu Niemcy, w razie zaś silnego oporu mogłaby to uniemożliwić Węgrom — Rumunia, Polsce — Rosja. Wszak pomimo, że odmówiła pomocy Czechom przeciwko Trzeciej Rzeszy, jednak Polsce zapowiedziała, że gdybyśmy zajęli choćby tylko Cieszyn, to wypowie nam pakt nieagresji z r. 1932.

Stanowisko Rumunii jest niepewne dlatego, że po ewentualnym przyłączeniu Słowaczyzny do Węgier, mogłaby ona powziąć obawę o Siedmiogród, którym Berlin, panujący nad Austrią i Czechami, mógłby skusić Węgry. Wszak bezpośrednio przed wielką ofensywą przeciwczeską Niemiec nadeszły wieści o separatystycznych dążeniach w Siedmiogrodzie rozwiązanej partii chłopskiej Maniu. Chodzi tu zapewne o próbę ruchu analogiczną z autonomicznymi dążeniami Słowaków, która może być przez Berlin wyzyskana, ażeby Rumunię odwieść od obrony Czech i Słowaczyzny przeciwko Niemcom. Czy także przeciwko Węgrom?

Jest to możliwe, ale powinnoby zostać wyperswadowane przez Polskę i Węgry w Bukareszcie; przy czym jako poważny argument można by wysunąć rzeczywistą dobrą wolę Węgier do wzięcia udziału we froncie obronnym przeciwko przewadze Niemiec i hitleryzmu. Wtedy, za zgodą i współdziałaniem Rumunii, mogłyby Węgry łatwiej zaryzykować we właściwym momencie nawet wojskową okupację Słowaczyzny, bo nawet przeciw Niemcom miałyby oparcie w Rumunii i w Polsce.

Wtedy również łatwiej mogłaby Polska stawić czoło ewentualnemu naciskowi ze strony Moskwy, gdyż polskie przymierze z Rumunią nie powinnoby sprawić zawodu. Zdaje się, iż pod adresem Moskwy nie powinna także być całkowicie wyłączona droga perswazji. Linia rosyjskiej racji stanu w sprawie czesko-słowackiej rysuje się dosyć niejasno. Jeśliby się Niemcom powiodło opanować korytarz słowacki, to następnym etapem ich działalności byłby prawdopodobnie nacisk na Polskę, w kierunku autonomii dla Małopolski Wschodniej; poczem staranoby się ją „przeniknąć pokojowo" ze strony Niemiec tak gruntownie, by przedłużyła korytarz słowacki aż do samej upragnionej Ukrainy. To niebezpieczeństwo mogłoby wywołać ze strony Moskwy skłonność do prewencyjnego zamachu na Lwów. Jednak w razie — teorytycznie przypuszczalnego — powodzenia wprowadziłoby to jedynie Moskwę w bezpośrednią styczność z Niemcami, a osłabiając Polskę przybliżyłoby moment tak niebezpieczny dla Moskwy zbrojnej rozgrywki z Hitlerem.

Wielkich Węgier w połączeniu ze Słowaczyzną mogłaby się znów Moskwa obawiać dlatego, żeby wraz z Polską i Rumunią nie podporządkowały się przewadze Niemiec i nie dały im się użyć za awangardę w zbiorowej ofensywie przeciwrosyjskiej. Tu właśnie można by w Moskwie kontrargumentować, że jest to dla

niej niebezpieczeństwo, dalsze i drugoplanowe, w pierwszym bowiem rzędzie blok polsko-węgiersko-rumuński, wraz z Jugosławią i Włochami umiałby sobie postawić za cel utrzymanie równowagi z Trzecią Rzeszą, może nawet nie bez pewnego poparcia Moskwy.

Na razie, w chwili naszej ofensywy na Cieszyn wysunęliśmy przeciwko Moskwie piękny i wymowny argument z kategorii *ultima ratio* — wielkie manewry wołyńskie. Rozmiarami przekroczyły one wszystkie tego rodzaju „próby generalne" akcji wojennej, jakie armia polska przeprowadziła. Ścisłe w tym względzie dane stanowią tajemnicę wojskową, wolno jednak zanotować pogłoskę, jakoby ogólna liczebność wojsk, które w tych manewrach wzięły udział sięgała kilkuset tysięcy żołnierza. Jeżeli ta pogłoska jest bliska prawdy, to byłaby już poniekąd dostosowana do powszechnej mobilizacji czeskiej i mobilizacji niemieckiej. Mamy tu w każdym razie do czynienia z bardzo pocieszającym objawem poważnej zdolności obronnej naszego państwa, na wypadek wojny, nawet z wielkim mocarstwem.

Miejmy jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Najlepszą w tym względzie gwarancję stanowiłaby aktywizacja naszego przymierza z Rumunią. Jak już wspomniałem należałoby w tym celu uzyskać zgodę Bukaresztu na ewentualne przyłączenie Słowaczyzny do Węgrów. Punktem wyjścia trwałej politycznej zgody rumuńsko-węgierskiej stać by się mogła ostatnia konferencja nieboszczki Małej Ententy w Bled, która przyznała Węgrom swobodę zbrojeń. Uwieńczyć by tę zgodę mogła, a zarazem wzmocnić jej orientację odporną wobec Niemiec, restytucja monarchii na Węgrzech. Niezależnie od tego czy wybuchnie tylko krótka i łatwa wojna lokalna czesko - niemiecka, lub też przeciwnie pożoga się rozszerzy i ogarnie całą środkową, zachodnią, lub nawet i wschodnią Europę, jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości, że runął wersalski system równowagi międzynarodowej, na którym opierał się ostatni dwudziestoletni okres pokoju światowego. Trzeszczą i pękają najważniejsze jego wiązania, jak zdolność bojowa Wielkiej Ententy zachodniej, przymierze polsko-francuskie, oraz naddunajska Mała Ententa. Te same przeszkody, które uniemożliwiły Francji wypełnienie zobowiązań sojuszniczych wobec Czechosłowacji, uniemożliwiłyby zapewne również wypełnienie analogicznych zobowiązań wobec Polski. Tym bardziej, gdy Niemcy owładną wyżyną czeską i wraz z Austrią pomnożą swoją potęgę o $^1/_3$ część.

Ruina Wersalu jest może opłakanym, ale nieuniknionym następstwem długoletniej, zajadłej rozterki pomiędzy zwycięzcami poprzedniej wielkiej wojny, Anglią i Francją z jednej, Italią zaś z drugiej strony. Obrona „pustych imperiów" kolonialnych przed ustępstwami na rzecz Włoch prowadzona była przez mocarstwa

zachodnie „za wszelką cenę". Tą ceną okazała się w końcu generalna likwidacja wyników zwycięstwa z przed 20 lat. Inaczej być nie mogło. Obronę „pustych imperiów" przeciwko Włochom sprzymierzonym z Niemcami można było prowadzić bez katastrofy europejskiej tylko przez Wielką Ententę opartą o Amerykę. Gdy Ameryka się cofnęła to z rozterki między zwycięzcami mogły wyjść jako *tertius gaudens* jedynie Niemcy. Tak się też stało.

Nad Europą zawisły dwa ponure widma. Jedno to nowa wojna powszechna, drugie to — *pax germanica*. Nie wiadomo, które jest groźniejsze. Chyba jednak widmo pokoju, ponieważ ono pozostawiłoby potęgę Niemiec nienaruszoną wraz z jej kolonialnym przyrostem. Pośpiesznie użyłyby jej one dla nacisku na środkowy wschód w celu budowy nowej *Mittel Europy*, otwartej dla ich „pokojowego przenikania". Dlatego Hitler postępuje powściągliwie i dokłada wszelkich usiłowań, ażeby zagarnąć Czechy możliwie najmniejszym kosztem, a więc krótką lokalną wojną. Gdyby mu się to powiodło w całej pełni tj. wraz ze słowackim korytarzem, wówczas przed Polską rozwinęłaby się tu perspektywa „pokojowa", którą scharakteryzowałem w poprzednim sprawozdaniu. Jeżeli się to Hitlerowi nie powiedzie, w całej pełni, jeśli więc nie opanuje Słowaczyzny, wówczas będzie jeszcze można podjąć walkę przeciwko *pax germanica*. Ażeby ją wygrać należałoby na ruinach Wersalu wznieść nowy solidniejszy system równowagi.

Jako jego fundamenty nadają się dwa wielkie bloki, których w okresie wersalskim zmontować nie umiano: blok środkowowschodni od Bałtyku po Morze Egejskie, oraz blok romański na zachodzie złożony z Włoch, Francji i Hiszpanii.

Rozbicie Małej Ententy, tego oblężniczego pierścienia wokół Węgier, oraz ich połączenie ze Słowaczyzną znacznie ułatwiłoby montaż bloku środkowo-wschodniego, gdyż wymagałby tylko wyrównania stosunku Węgier do Rumunii. Tenże sam zwrot może uprościć dotychczasowy skomplikowany stosunek państw środkowo-wschodnich do współzawodniczących na tym obszarze wpływów Francji i Włoch, niwecząc bowiem wpływ Francji, a wprowadzając natomiast potężny i bezpośredni nacisk Niemiec, powinien się stać bodźcem solidarności włosko-francuskiej z blokiem środkowo-wschodnim.

Większe trudności piętrzą się przed ewentualnym zachodnim blokiem romańskim. Ich główne ognisko mieści się we Francji, w jej opłakanym prawico-lewicowym rozdarciu wewnętrznym, które jej nie pozwala poprzeć równolegle z Włochami powstańców hiszpańskich i zrobić z nich sobie wspólnych z Włochami przyjaciół. Przeszkadza tu niemniej także egoizm francuskiej demokracji, który ze ślepą zawziętością bronił dotąd nietykalności francuskiego „pustego imperium", choćby za cenę —

Wersalu. Ale gdy Wersal minął, gdy w Czechach może już lada tydzień powtórzyć się Sadowa, po której już raz nastąpił Sedan, to może jednak nareszcie Francja się opamięta. Trwałe porozumienie z Hiszpanią kosztować by ją mogło wprawdzie wysoką cenę Marokka, ale cena ta niezbyt wygórowana, jeśli w zamian można nie tylko utrzymać pozostałe imperium afrykańskie, lecz — co najważniejsze — ocalić Francję i Europę przed *pax germanica*. Mussolini w mowie padeńskiej zarzucił Francji wręcz głupotę. Czyżby ona miała być nieuleczalną?

Te możliwości, zwłaszcza zachodnie, nie są jednak jeszcze aktualne w chwili obecnej. Na pierwszy plan wysuwa się pytanie: wojna lokalna czy powszechna? Odpowiedź dadzą Czesi. W przeszłości dwukrotnie już wstrząsali w posadach Europą, raz w wojnach husyckich, opłakanie skojarzonych z herezją, drugi raz dając początek wojnie trzydziestoletniej. W obu wypadkach przyprawili Niemcy o najcięższe klęski, choć z wojny trzydziestoletniej sami wyszli prawie bez życia.

Ich los jest głęboko tragiczny, lecz jego winę ponoszą Czesi sami. Kraj w ich położeniu samotnie niepodległym być nie może. Maximum niepodległości osiągnąć mogli tylko w razie powojennej rekonstrukcji „małych" Austro-Węgier, w unii zatem z Austrią i Węgrami pod Habsburgiem. Kosztowałoby ich to niewiele, bo tylko cesję Rusi Przykarpackiej na rzecz Budapesztu. Gdyby byli przyjęli tę koncepcję, zamiast ją zawzięcie zwalczać, gdyby w obrębie tej misji weszli w ścisły związek sojuszniczy z Polską Rumunią i Jugosławią, zamiast tyranizować Cieszyn, uparcie ciążyć do Moskwy i wieszać się całym ciężarem na Wersalu, oraz Lidze genewskiej — byliby ocaleni. Dziś na to już jest zapóźno. Od siły oporu Czechów zależeć mogą losy Europy, ale los Czech zdaje się być przesądzony.

A los pokoju powszechnego? Ten mogłaby jeszcze ocalić kapitulacja czeska przed Hitlerem, odstąpienie Sudetów, Cieszyna i południowej Słowaczyzny. Mógłby go również ocalić słaby opór czeski, a więc wojna zlokalizowana. Jeżeli jednak stanie się inaczej, jeżeli właśnie wrzesień roku 1938 okaże się sierpniem roku 1914, to nowa wielka wojna toczyłaby się w warunkach znacznie odmiennych od wojny poprzedniej, jako też w innych niźli przez Wersal wyznaczone szrankach. Wersal przewidywał wspólne i równoczesne działania wojenne Francji, Polski i Czechosłowacji przeciwko Niemcom. Gdyby się tak stało to pierwsze i główne uderzenie całej potęgi Niemiec skierowałoby się przeciwko nam. Chwalić Boga należy, że się obecnie na to nie zanosi, lecz raczej na wojnę osi rzymsko-berlińskiej z Wielką Ententą. Jest to obrót rzeczy stanowczo dla nas korzystniejszy.

Andrzej Prawdzic.

Warszawa, 28. IX. 38.

Ze świata filmu.

Nowy sezon filmowy. — Weneckie *Biennale*. — Kulisy nagrody Mussoliniego. — Interesy polskie i interesy niepolskie. — Produkcja amerykańska 1938/9. — Kinematografia francuska i niemiecka. — Pawilon filmowy we Lwowie. — Programy wrześniowe. — Co warto zobaczyć.

Doroczny sezon filmowy, rozpoczynający się w kinach we wrześniu, inauguruje weneckie *Biennale* — międzynarodowy pokaz i konkurs, w którym puchar Mussoliniego stanowi najwyższą nagrodę, poza tym zaś jury złożone z delegatów państw, biorących udział w konkursie, przyznaje specjalne odznaczenia wyróżniającym się filmom. Na *Biennale* więc mamy już wstępną rewię tego, co podczas sezonu przewinie się przez ekrany. Nagrody i odznaczenia weneckie wysuwając pewne filmy na czoło produkcji pozwalają także zorientować się w jakości nowych obrazów, jakie świeżo wielkie wytwórnie wypuściły na rynek, a długi szereg filmów wyświetlanych przed komisją sędziowską, stanowi przegląd „elity" materiału, jaki złoży się na otwierany właśnie sezon filmowy.

Biennale ostatnie odbyło się w sierpniu br., dzieląc najwyższe odznaczenie między film Leni Riefenstahl pt. *Olimpiada*, będący dokumentarnym filmem niemieckim z Olimpiady berlińskiej z 1936 r., i film włoski *Luziano Serra, pilot*. Wynik, nagradzający zresztą filmy naprawdę oryginalne, nie był wolny od wpływu obecnej atmosfery politycznej — wiadomo dobrze, że na wszystkich międzynarodowych kongresach, wystawach, zawodach, gospodarze i przyjaciele gospodarzy mają z góry zapewnione pewne plusy i że np. we Włoszech dość trudno byłoby wyobrazić sobie przyznanie pucharu Mussoliniego filmowi francuskiemu, czy angielskiemu. Za kulisami jury działają czynniki polityczne i rezultat międzynarodowych głosowań jest zazwyczaj wynikiem kompromisu względów artystycznych i względów koniunkturalnych. Po prostu — idzie tylko o to, ażeby ci, którym pragnie się przyznać nagrodę, mogli przedstawić rzecz, równorzędną z innymi dziełami, ubiegającymi się o wyróżnienie. W Wenecji nadarzyła się właśnie taka sposobność. — *Olimpiada* wywołała zachwyt piękną fotografią, pociągnęła oryginalnością tematu, nic więc dziwnego, że zbieg tych czynników z sympatiami politycznymi Włochów pchnął puchar w ręce niemieckie.

Łatwo się domyśleć, że przeciw przyznaniu nagród filmowi niemieckiemu i włoskiemu agitowali bardzo silnie delegaci, którzy tylko z imienia reprezentowali pewne państwa, w istocie zaś, będąc z pochodzenia żydami, odgrywali rolę wyrazicieli i obrońców tendencji żydowskich. Grożono nawet, że przedstawiciele Francji i Anglii demonstracyjnie opuszczą *Biennale*, skończyło się jednak na groźbach.

Na tle tych zakulisowych wydarzeń *Biennale* interesujące jest, jak zachował się w Wenecji delegat polski, jaką politykę popierał i jak starał się o uzyskanie odznaczeń dla polskiej produkcji.

A więc przede wszystkim podstawowe pytanie: kto był tym delegatem, komu nasze M. S. Z. powierzyło zaszczyt reprezentowania rządu polskiego? Odpowiedź z góry wiadoma dla każdego, wtajemniczonego coś niecoś w kulisy naszych stosunków filmowych. Oto bowiem od lat bodaj, że już sześciu, na *Biennale* jeździ reżyser teatralny i filmowy, pan Ryszard Ordyński, vel Blumenfeld, piastujący zarazem godność polskiego delegata do genewskiej międzynarodowej komisji filmowej, mającej wybrać scenariusz filmu o Lidze Narodów.

Zdawałoby się, że linia postępowania w Wenecji była prosta i oczywista. Skoro było wiadome, że na przyznanie nagrody mają pewien wpływ względy zakulisowe, należało się starać, aby film zgłoszony przez Polskę, został starannie obejrzany, zwłaszcza przez delegatów tych państw, którzy będą mieć ważki głos przy ostatecznym rozstrzygnięciu. Dalej — należało im dostarczyć odpowiednich objaśnień, jeżeli już nie piśmiennie, to chociażby ustnie, należało kontakty i rozmowy towarzyskie wyzyskać dla poinformowania Niemców i Włochów o Solskim i o eksperymentalnym założeniu filmu Gantkowskiego, który był właśnie owym polskim obrazem, ubiegającym się o nagrodę.

Tymczasem pan Ordyński-Blumenfeld całą energię poświęcał akcji przeciw nagrodzie dla Niemiec i Włoch. Rychło za kulisami *Biennale* stało się jasne, że delegat polski stara się utrącić *Olimpiadę* Leni Riefenstahl, w stosunku zaś do filmu włoskiego lansuje zdanie, iż jest to film, wprawdzie poruszający temat, który porywa Włochów (walka lotnictwa włoskiego w Abisynii); wskutek tego uchodzący w oczach włoskich za dzieło godne nagrody, lecz w istocie rzeczy słaby pod względem artystycznym i jako taki, pozbawiony szans na otrzymanie pucharu Mussoliniego. Doszło do tego, że wyrażono zdziwienie z powodu akcji polskiego przedstawiciela. Zachowanie Ordyńskiego było dla Włochów wprost niepojęte, ponieważ przy szczypcie sprytu można się było spostrzec, że szanse polskiego filmu na *Biennale* maleją proporcjonalnie do wzrostu antyniemieckich i antywłoskich wystąpień pana Blumenfelda. Ordyński wyobraził sobie, iż jest przedstawicielem interesów jakiejś abstrakcyjnej demokracji, co nakłada na niego obowiązek walczenia przeciw filmowi produkcji „faszystowskiej". W tych warunkach reklama filmu polskiego była wyraźnie zaniedbana — nie postarano się nawet o rozdanie we właściwym czasie broszur objaśniających, specjalnie w tym celu wydanych. A oczywiste jest, że cudzoziemiec nie mając informacji o szczególnej treści *Geniusza sceny*, będzie na tym filmie siedział jak na chińskim kazaniu.

Postawmy sprawę jasno: pan Ordyński otrzymał z M. S. Z. misję wyjazdu do Wenecji poto, aby tam bronić polskich interesów. W Wenecji, pan Ordyński nie bacząc na szkodę wyrządzoną w danych warukach filmowi polskiemu agitowaniem przeciw nagrodzie dla Niemców i Włochów, prowadził własną politykę w obronie urojonych interesów demokracji, a mówiąc bez osłonek — na rękę tendencjom żydowskim, wbrew zaś oficjalnej polityce polskiej, podkreślającej sympatie włoskie i poprawne stosunki z Niemcami. Nie idzie tu o zmuszanie p. Ordyńskiego do głosowania za nagrodą dla *Olimpiady* — jeżeli nie zgadza się to z jego sumieniem artystycznym, niechaj oddaje głos za filmem, który uważa za lepszy, lecz — niechże, w imię obowiązku przyjętego wraz z przyjęciem godności delegata, powstrzyma się od akcji sympatycznej może dla żydowskiej branży filmowej zagranicą i w Polsce, a szkodliwych dla prawdziwie polskiego filmu.

Jak, po *Biennale,* zapowiadają się nowe filmy zagraniczne? Niewątpliwie ważne miejsce zajmie *Maria Antonina,* odgrywając podobną rolę w repertuarach kin, jak film o Napoleonie i Pani Walewskiej w sezonie ub. W Wenecji, *Maria Antonina* kandydowała do pucharu Mussoliniego — podkreślano zwłaszcza świetną kreację Normy Shaerer (cudowna Julia z szekspirowskiej tragedii). Jako drugą ponętną obietnicę warto wymienić *Marię Curie-Skłodowską,* realizowaną przez wytwórnię Metro-Goldwyn z Gretą Garbo w roli tytułowej. Wejdzie też wreszcie na ekrany głośny film *Marco Polo,* stanowiący wizję wypraw żeglarskich, z Gary Cooperem, jako śmiałym odkrywcą i nową artystką skandynawską, podobno niezwykłej urody, Sigrid Gurie. Do wielkiej produkcji należy też obraz, nakręcony przez słynnego Cecil B. de Mille'a *Pacyfik* i obraz reżyserowany przez H. Kinga *Chicago,* (odznaczenie na wystawie filmowej we Lwowie), gdzie główną atrakcją będą zdjęcia wielkiego pożaru, jakiego pastwą niegdyś padło Chicago. Na razie bodajże jeszcze tylko film lotniczy *Brawura,* (Clark Gable, Myrna Loy) wybija się ponad przeciętność i film historyczny o budowie Kanału Sueskiego pt. *Lesseps* z udziałem Annabelli i Loretty Young.

Pozostałe filmy amerykańskie to dwie kolorowe wersje popularnych powieści: *Przygody Roobin Hooda* i *Przygody Tomka Sawyera* oraz długa lista dramatów i komedii, przeważnie jednak komedii, z udziałem popularnych gwiazd. Tak więc Claudette Colbert zobaczymy w filmach *Czy mężczyźni są potrzebni* i *Dama z Tabarinu,* Joan Crawford w *Modelce,* Irenę Dunne w *Nagiej prawdzie,* Bette Davies w *Jesebel,* Sylvię Sydney w filmie Fritza Langa *Za cenę życia,* Danielle Darrieux w *Paryżance,* i *Rio de Janeiro,* Deanę Durbin w *Podlotku,* Franciszkę Gaal w *Miodowym miesiącu panny Franciszki,* Jeanette Mac Donald w *Złotowłosej* wespół z Nelsonem Eddy. Ginger Rogers w *Zamkach na lodzie,* (z Fred Astairem), Shirley Temple w *Słowiczku* i *Heidi,* Sonię

Henie w *Białym motylu* i *Mężu z obłoków*. Gary Cooper wystąpił w *Pocałunku w słońcu*, Herbert Marshall z Barbarą Stanvyck w dramacie *Żegnaj na zawsze*, Paweł Muni w *Załodze*, Wallace Beery zagra w *Porcie siedmiu mórz*, a Charles Boyer nakręca z Sigrid Gurie amerykańską wersję „Pepé le Moko" pt. *Algier*. Osobno trzeba wymienić zapowiadany film znakomitego reżysera francuskiego, Julien Duviviera, (twórca *Karnetu balowego*) pt. *Wielki walc* z Luizą Rainer (świetna artystka z *Błogosławionej ziemi*) i Fernandem Gravet. Treścią filmu jest życie Jana Straussa.

Obok filmów amerykańskich drugie miejsce zajmie u nas kinematografia francuska, zwycięsko wypierająca wszelką produkcję importowaną z za oceanu specyficzną europejskością swych filmów, czyli po prostu oryginalnością tematu, subtelnością roboty reżyserskiej i pogłębieniem psychologicznym postaci. Tu, na czele kilkudziesięciu obrazów, jest kilka poważniejszych pozycji, jak np. *Krzysztof Kolumb*, reżyserii Abla Gance'a, jak Harry Baur w roli cara Pawła I w filmie Tourneura *Patriota*, jak Danielle Darrieux w filmie *Katia*, albo Conrad Veidt w *Graczu w szachy*, czy *Księżna Tarakanowa*, reżyserii Fedora Ozepa twórcy zeszłorocznej *Damy Pikowej*.

Film niemiecki ma zapewnione miejsce na naszym rynku dzięki polsko-niemieckiej umowie filmowej. Zobaczymy więc komedie muzyczne z Erną Sack, Mariką Rökk, Imperio Argentina, filmy rozrywkowe z Anną Ondra, z Lilian Harvey i Hansem Albersem. Filmem reprezentacyjnym tegorocznej produkcji jest obraz *Wędrowny naród*, z życia ludzi cyrku, nagrodzony na pokazie filmowym na Targach Wschodnich we Lwowie, reżyserii Jacques Feydera, twórcy filmu *La Kérmesse Héroique* (*Kobiety zwyciężyły*). Zarah Leander, znana pieśniarka, gra w *Marnotrawnej córce*, w *Romansach Czajkowskiego* i w komedii *Nowoczesny Casanova*. Pola Negri ma swój film — *Pobożne kłamstwo*.

Czym dla produkcji światowej jest wenecka Biennale, tym dla produkcji polskiej może się stać doroczna wystawa filmowa, zainicjowana we wrześniu rb. w postaci pawilonu filmowego na Targach Wschodnich we Lwowie. Przyznajemy, że pierwsza próba nie wypadła zbyt pomyślnie — wytwórnie zagraniczne nie obesłały starannie pawilonu, organizatorzy zaniedbali stronę handlowo-targową, nie dano też żadnego interesującego przeglądu historii filmu. Mimo to, pawilon zwiedziło około 80.000 osób — dowód, że warto podtrzymać inicjatywę tegoroczną, przenosząc ją może tylko do Warszawy i zamieniając w samodzielną wystawę.

Podczas Targów Wschodnich obradowało we Lwowie jury pawilonu, przyznając znaczną ilość nagród polskim filmom. Oczy-

wiście w praktyce równało się to nagrodzeniu filmów produkcji i reżyserii żydowskiej. Trudno o lepszą lekcję konieczności spolszczenia filmu, jak szczegółowy przegląd przyznanych nagród.

Nagrodę min. spraw wojskowych otrzymują *Płomienne serca* (produkcja polska — reż. Gantkowski), ale już z nagrodą ministra komunikacji powstaje trudność — okazuje się, iż nie mamy filmu krajoznawczego, nie mamy ani jednego obrazu, wyzyskującego naturalne, wspaniałe efekty polskiego krajobrazu. Wyjście znaleziono w nagrodzeniu *Halki* (Prod. Rex-Film czyli Rosen), że to niby Tatry itp. Nagrodę min. przemysłu i handlu ofiarowano *Ułanowi księcia Józefa*, ponieważ jury starało się wyróżnić także i jedną przynajmniej komedię. Wybór był tylko spośród żydowskich. Wybrano tę, która chociaż z tytułu ma pozór polskości. Nagroda min. spraw zagr. przypadła *Kościuszce pod Racławicami* (reż. Lejtes), nagroda prezydenta m. Lwowa — *Dziewczęta z Nowolipek* (reż. Lejtes), nagroda Izby przem. handl. we Lwowie *Znachorowi* (reż. Waszyński), nagroda Rady Nacz. Przem. Film. otrzymał obraz *Piętro wyżej* (reż. Bodo). Gdyby zsumować wyniki, okazałoby się, że konkurs lwowski był triumfem Lejtesa, wieńczonego kolejno przez różne ministerstwa i dygnitarstwa.

I co gorsze, nie wiele w tym ulega zmianie. Zapowiedzi nowych filmów krajowych obciążone są przygniatającą produkcją żydowską. Wobec wycofania się produkcji Polskiej Spółki Filmowej, pozostaje jako jedyna, a zarazem młoda i początkująca placówka, Biuro Filmowe PAT'a, kierowane przez T. Katelbacha. W obecnym sezonie ukaże się pierwszy, wyprodukowany przez Biuro, film długo metrażowy *Geniusz sceny*, wspominany już kilkakrotnie w *Przeglądzie Powszechnym*. Na sezon następny Biuro Filmowe przygotowuje film monumentalny o świętym Andrzeju Boboli, powierzając reżyserię Romualdowi Gantkowskiemu.

Na tym koniec. Filmy pozostałe będą zrealizowane przez kapitał niepolski, a dobór tematów i nazwiska reżyserów gwarantują utrzymanie ich w ramie dotychczasowego banału i mętnej atmosferze moralnej. Będziemy więc mieć i nową Mniszkównę — *Gehenna*, dalszy ciąg *Znachora* pt. *Profesor Wilczur*, przeróbkę *Ostatniej brygady* T. Dołęgi-Mostowicza pt. *Prawo do szczęścia*, oraz jeszcze dwa filmy „mostowiczowskie": *Trzy serca* i *Biały murzyn*. Ponadto seria przeróbek powieści sensacyjnych i bulwarowych: *Akta sprawy 777* (wedł. M. Romańskiego), *Moi rodzice rozwodzą się* (wedł. Kamila Nordena), *Macierzyństwo* (wedł. Marczyńskiego), *Dzień upragniony* (wedł. Kiedrzyńskiego), *Strachy* (wedł. Ukniewskiej). Dalej tzw. dramat obyczajowy *Druga młodość*, nowa wersja *O czym się nie mówi* wedł. Zapolskiej, film sensacyjny *Człowiek widmo* i *Sygnały* — film Lejtesa, podobno o tendencji społecznej. Jakiej? — łatwo się domyśleć.

Zaledwie trzy filmy wesołe — dziwne, że wszyscy rzucili się na banalne melodramaty i że łatwiej wyciskać łzy, niż rozśmieszyć najnaiwniejszą nawet kumoszkę — zatem *Paweł i Gaweł* (reż. M. Krawicz), *Trampy Lwowa, Zapomniana melodia*. Niepocieszającą listę uzupełnia film Gabryelskiego *Czarne diamenty* nakręcony dla ciężkiego przemysłu i *Granica* według Nałkowskiej, zrealizowana przez Lejtesa.

Michał Waszyński reżyseruje aż 9 filmów — ten fakt mówi sam za siebie. Film krajowy nie może zdobyć się ani na oryginalny scenariusz, ani na przyzwoitą reżyserię. Wciąż ten sam banał, ta sama ordynarność i trywialność, ci sami aktorzy, te same niby wspaniałości z dykty, klecone w atelier, i nieodzowne motywy: łóżko i trumna. Łóżko do zdrady małżeńskiej, trumna — dla zwłok samobójcy, czy samobójczyni. Że nie są to czcze słowa, służy za dowód zeszłoroczny *Wrzos* i dwie już tegoroczne żydowskie jaskółki: *Druga miłość i Prawo do szczęścia*. Czyli krótko: albo się siedzi w bagnie, albo krąży nad bagnem. Film rzekomo polski kompromituje polską kulturę. Nie jestem zwolennikiem ingerencji państwa w dziedzinie sztuki, ale tam gdzie zaczyna się kompromitacja polskiego imienia — państwo powinno wkroczyć. Od tego właśnie jest. Trzeba tylko zerwać z bajeczką o drugorzędności filmu, jako czynnika artystycznego i społecznego, oraz wyrzucić kompleks niższości, który wyraża się biadoleniem, że „nie ma środków", „nie ma ludzi" itp. Ludzie się znajdą (na co u licha mamy żywą i interesującą młodą literaturę, na co mamy Państw. Inst. Sztuki Teatralnej!), co zaś się tyczy środków, wystarczy pójść na film Poli Negri *Pobożne kłamstwo*. Realizacja była napewno tania (parę łatwych plenerów na torze wyścigowym i szosie, reszta — atelier), a jednak powstał film bądź co bądź poprawny, ciekawy i propagujący zdrową zasadę wychowawczą w stosunku do młodzieży.

Programy wrześniowe w kinach warszawskich pokazały już kilka z najważniejszych przebojów nowego sezonu. Zobaczyliśmy więc dwie barwne (film kolorowy), pełne sentymentu bądź brawury i humoru, opowieści o Robin Hoodzie i Tomku Sawyerze. *Przygody Robin Hooda* z Errolem Flynnem w roli granej dawniej przez Douglasa Fairbanksa, przypominają najlepsze filmy nieme, a *Przygody Tomka Sawyera*, według popularnej powieści Twaina, są jakby nieco spatynowaną, pokrytą sepią, wdzięczną ilustracją z książki dla młodzieży. Obydwa filmy doskonale reżyserowane i grane.

Z filmów francuskich zasługuje na uwagę film Marcela Carnet *Ludzie za mgłą (Quai des brumes)* z Janem Gabain i Michelle Morgan. Świetne dzieło formy filmowej, w frapujący sposób prezentujące treść — niestety — nihilistyczną. Głośny film niemiecki *Olimpiada* wyświetlało we wrześniu kino „Roma", co wywołało

pewne zdziwienie, wobec ostatnich przemówień Ojca Św. potępiających doktrynę hitlerowską i antykościelne tendencje wybujałych nacjonalizmów. Jak wiadomo, film z olimpiady berlińskiej apoteozuje czynnik siły fizycznej, stara się wytworzyć kult ciała w sposób wybitnie materialistyczny, zupełnie różny od chrześcijańskiego ujęcia, widzącego w ciele człowieka dzieło Stwórcy i „mieszkanie", które musi być godne czasowego przebywania w nim nieśmiertelnej duszy. Na koniec *Olimpiada* akcentuje pogański typ radości życia, wprowadza symboliczne motywy znicza i posługuje się dla nazwania dwóch części filmu określeniami: *Święto narodów i Święto piękna,* podczas gdy Kościół pojęcie „święta" wiąże tylko z uroczystościami religijnymi. Bezsprzecznie *Olimpiada* jest filmem zasługującym na obejrzenie, jako jedyny w swoim rodzaju obraz dokumentarny o efektownej kompozycji plastycznej i świetnych zdjęciach, doskonale jednak mogło posłużyć do tego celu kino „Studio", prowadzone w Warszawie przez filię niemieckiego Tobisu.

Z pozostałych premier pierwszej połowy września większość przypada na mniej lub bardziej udane komedie, jak *Paryżanka* (Danielle Darrieux), *Naga prawda* (Irena Dunne), *Modelka* (Joan Crawford), w stosunku do których trudno powstrzymać się bez uwagi, że w Ameryce znikłaby komedia, gdyby zakazano rozwodów. Mania rozwodowa zmieniła tradycyjną w komedii parę narzeczonych w rozwodzącą się parę narzeczonych. Do obrazów zupełnie nieudanych należy *Obawa przed skandalem* — farsa z Fernandem Gravet i Carole Lombard. Wśród dramatów — znośny jest jeden: *Listy z placu bitwy.* Doskonała gra, dobra reżyseria, ale absurdalna teza małżeństwa z dość chytrej litości, liczącej na śmierć niekochanego męża na froncie. Gdyby się ktoś spytał, który z wymienionych filmów zobaczyć, odpowiedź brzmiałaby: t r z e b a: *Olimpiada*, w a r t o: *Przygody Robin Hooda, Przygody Tomka Sawyera,* m o ż n a: *Paryżanka, Pobożne kłamstwo, Modelka, Naga prawda, Listy z pola bitwy,* n i e w a r t o: *Druga młodość, Prawo do szczęścia, Obawa przed skandalem.* I p o s t s c r i p t u m: kto posiada krytyczny, samodzielny stosunek wobec tendencji, ukrywanej przez film i odporność na neurasteniczne nastroje, może obejrzeć *Ludzi za mgłą* jako wzór świetnej formy filmowej.

Zdzisław Broncel.

IV Studium Katolickie w Katowicach.

Jednym z istotnych znamion katolickiej orientacji życiowej jest budowanie wszystkich wartości na mocnej podwalinie zasad i przekonań rozumowych. Wiara katolicka w myśl pawłowego *ra-*

tionabile obsequium wspiera się na racjonalnej strukturze ludzkiego poznania i z tym podłożem nigdy nie zrywa. Katolik wierzy dlatego, że wiarę tę w swych przesłankach (*praeambula fidei*) nakazuje mu jego własny ludzki rozum.

I z tego punktu widzenia trzeba patrzyć na pracę, wysiłki i plony takich przedsięwzięć katolickich, jakim jest od lat czterech Studium Katolickie w Polsce. Inaczej bowiem można od tych studiów za dużo żądać, można być sceptykiem przez nieporozumienie, lub przeciwnie można żywić nieuzasadnione pretensje i nadzieje radykalnej przemiany całego społecznego życia... w 24 godziny po zamknięciu ostatnich obrad. Tymczasem Studium Katolickie, w zamiarach jego inicjatorów i kierowników, ma być tylko kuźnią katolickiej myśli, ma porządkować pogląd na świat, sprawdzać życiową siłę chrześcijańskich zasad i budować pomosty między wiarą a życiem. Dalej Studium nie sięga, ale każdy, kto choć trochę orientuje się w mechanizmie społecznych nastrojów i przemian, wie, co znaczy możność urabiania tak jednostkowej jak i zbiorowej opinii.

Tegoroczne Studium, obradujące w stolicy prastarej ziemi śląskiej, zwróciło na się szczególniejszą uwagę Episkopatu polskiego, czego dowodem była obecność ks. Kardynała Prymasa oraz szeregu innych księży Biskupów. Bo też nie było to Studium zwyczajne, podobne do innych. Podjęło się bowiem trudnego i odpowiedzialnego zadania zmobilizowania katolickiej opinii w obliczu doniosłych uchwał I-go Polskiego Synodu Plenarnego. Dzięki temu stało się niejako przedłużeniem częstochowskiego synodu, którego duch patronował wszystkim jego obradom, decyzjom i modlitwom. W Katowicach w dniach od 5 do 10 września obradował Kościół słuchający, Kościół wiernych, idących za głosem swych duchownych przewodników. I tym namaszczeniem szczególniejszego posłannictwa, otrzymanego z wysokości biskupich stolic i synodalnego orędzia, IV Studium Katolickie zapisze się w historii katolickiego Kościoła w Polsce głoskami, wyróżniającymi je spośród wszystkich dotychczasowych i wielu przyszłych katolickich imprez tego rodzaju.

Nie sposób w krótkim stosunkowo sprawozdaniu wyczerpać treść poruszonych zagadnień, tak bogata i wszechstronna była skala zainteresowań, a znowu powtarzać tego, co podawała prasa codzienna, nie chcemy. Jak zaznaczyliśmy rozpiętość tematów była bardzo wielka, a wynikała z programowych założeń organizatorów Studium, którzy jego uczestnikom chcieli dać możność przemyślenia wszystkich nieomal wskazań, zawartych w uchwałach Synodu Plenarnego. I rzeczywiście Studium przeorało myślowo wszystkie dziedziny jednostkowej i społecznej moralności, dotknęło wszystkich główniejszych bolączek polskiego katolicyzmu i wskazało jasne drogi poprawy w myśl synodalnych

uchwał. I jeżeli Studium w Katowicach z historycznego punktu widzenia nazwaliśmy przedłużeniem synodu częstochowskiego, synodem katolików-laików, to znaczenie jego w dziedzinie duchowej można by określić jako gruntowne rekolekcje polskiego katolicyzmu. W tym też świetle zamierzamy rozwinąć dalsze swoje uwagi.

Zasadniczym nerwem referatów, przemówień i dyskusyj stało się hasło rzucone na wstępie Studium przez J. Em. Kardynała Prymasa Hlonda, który doskonale przeczuł linię, jaką miały się potoczyć obrady: hasło przetworzenia katolicyzmu biernego na czynny. Być może, że hasło to formułuje się i tworzy gdzieś w głębi biologicznych nawarstwień, w podświadomości współczesnego człowieka, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że jego interesy zbiegają się z interesami i zadaniami Kościoła Chrystusowego. Wytworzona przez dziewiętnastowieczny liberalizm pustka i zniekształcenie człowieczej doli przez wytrzebienie Boga z ludzkich stosunków, domaga się gwałtownie zapełnienia życia odrodzoną treścią, nowym porywem i czynem, przewyższającym swą dynamiką i napięciem średniowieczne tęsknoty za Bogiem. Jednomyślnie i mocno wołało IV Katolickie Studium o czyn katolicki, o zwrot całego życia ku nieprzemijającym wartościom. I tutaj dopatrujemy się drugiego charakterystycznego rysu współczesnej umysłowości, którego ślady dały się niewątpliwie stwierdzić podczas katowickich obrad, mianowicie dążność do przepojenia wyznawanymi zasadami całości ludzkich stosunków. I o tyle musimy przyznać słuszność zwolennikom tzw. katolickiego totalizmu. Nie możemy bowiem zaprzeczyć, że psychiczna struktura współczesnego pokolenia z trudem znosi sztuczny podział życia na zupełnie obce sobie dziedziny. Ale tak pojęty totalizm jest czymś zasadniczo różnym od totalizmu jako społeczno-politycznego prądu, dążącego do podporządkowania sobie wszystkich wartości z religią i osobową wolnością włącznie. W tym historycznym, pejoratywnym znaczeniu nie można mówić o „katolickim totalizmie" bez popadnięcia w grube sprzeczności. Przyznajemy natomiast, że wyrażenia „totalizm" (kwestia czysto terminologiczna) można użyć bez sprzeczności na określenie nie zewnętrzno-prawnego ustroju Kościoła, lecz dynamiki katolickiego ruchu jako ruchu moralnego, który z natury rzeczy dąży i powinien dążyć do przeniknięcia wszystkich bez wyjątku dziedzin.

W takim też znaczeniu mówił ks. Prymas o konieczności przepojenia całego polskiego życia czynnym katolicyzmem.

Echem tych samych skłonności współczesnej duszy jest postulat uspołecznienia człowieka. W łonie katolicyzmu przejawia się to w postaci renesansu organicznej koncepcji Kościoła, zarysowanej klasycznie przez św. Pawła w nauce

o mistycznym ciele Chrystusowym. „Pod wpływem wzrastającego zrozumienia tej wspólnoty — stwierdzał ks. biskup Gawlina w swym inauguracyjnym referacie — usunięto z katechizmów zeszłowieczne, pozytywizmem zalatujące definicje, jak np. Kościół jest zgromadzeniem lub zebraniem, a zastąpiono je wyrazem: społeczność". „Każdy z nas — słowa tegoż samego prelegenta — połączony jest z Bogiem w Chrystusie i tym samym jesteśmy w Chrystusie między sobą połączeni. Jesteśmy jednym organizmem, jedną społecznością... Z organiczno-społecznego charakteru, ze struktury katolickiego Kościoła wynika z logiczną koniecznością hierarchia, dogmat, prawo i wspólność kultu". Otóż naczelną zasadą takiego ustroju jest prawo życia. Wobec tego nadrzędna rola kapłańskiej hierarchii jako naczelnej i życiodajnej funkcji w mistycznym Ciele Chrystusowym staje się naturalnym wnioskiem a mocne określenie znaczenia hierarchii w Kościele, podane przez O. Jana Rostworowskiego — „hierarchia jest wszystkim" — nabiera w świetle tej organicznej koncepcji właściwego i pełnego wyrazu. Przemiana dokonana w pojęciach tłumaczy nam obecne dążności do odbudowania diecezjalnego i parafialnego życia, jakie nurtują w polskim katolicyzmie zasilane filo-społecznymi nastrojami.

Liczy się z tym duchowieństwo katolickie i mobilizuje swe siły, by podołać czekającym je zadaniom w nowym ustroju społecznym. Wyrazem tego było troskliwe omówienie wzniosłości, odpowiedzialności i praktycznych zadań katolickiego kapłana w myśl szczegółowych, owianych duchem najżywszej troski uchwał Synodu. W ścisłym związku z ogólną przemianą kulturalną jako pierwszoplanowe zagadnienie wysunęła się sprawa unowocześnienia metod duszpasterskiej pracy.

Ten stan rzeczy należy uważać za pomyślny. O ile potrwa on dłużej — a na razie nie mamy powodów o tym wątpić — można się spodziewać nadejścia czasów podobnych owym niedoścignionym czasom pierwszej gorliwości chrześcijańskiej i średniowiecznego teocentryzmu. Czekamy na wspaniały renesans religijny, na który po pierwszym, choć częściowym, załamaniu się dynamiki chrześcijaństwa dotychczas napróżno czekała historia.

Żywić takie nadzieje wśród szczęku oręża uzbrojonej po zęby Europy, wśród wojennnych państw-obozów, dymiących pychą i dyszących nienawiścią ku chrześcijaństwu, czy to nie złudzenie? Bóg jeden wie. Ale to co raz po raz z oparów ludzkiego buntu wyłania się w imię Boga i chrześcijaństwa, to każe żywić nadzieję przeciw nadziei. Jedno zwłaszcza mogło cieszyć każdego myślącego Polaka, uczestnika katowickiego Studium, mianowicie: sięganie w głąb. Sięganie do samych podstaw wszelkiej ludzkiej kultury i cywilizacji, chwytanie za same trzewia zagadnień, śmiałe spoglądanie prawdzie w oczy. Niejeden sceptyk zarzuci nam: tak, sięganie w głąb, ta polska ucieczka przed nie-

uchronnością praktycznych zarządzeń i decyzyj, polskie słowa, słowa, słowa bez poczucia odpowiedzialności za nie. Odpowiemy: pewnie, samo omówienie zagadnienia nie jest jeszcze jego rozwiązaniem. Ale sposób omawiania i sposób patrzenia na rzeczy jest bardzo ważnym wskaźnikiem wartości słów i gwarancji wprowadzenia ich w czyn. Otóż musimy stwierdzić, że większość prelegentów i znaczna część dyskutujących wykazała, że rozumie, gdzie tkwi istotne źródło naszych bolączek, gdzie należy szukać środków odrodzenia polskiego katolicyzmu i wyprowadzenia go na płaszczyznę życiowych, rzeczywistych współczynników polskiej kultury. Tym dogłębnym ujęciem rzeczy uczestnicy Studium dali do zrozumienia, że współczesny ruch odrodzeniowy w katolicyzmie nie chce być zjawiskiem przejściowym, przypadkowym, lecz dogłębnym nurtem zbawiennej reformy.

Dwa zwłaszcza postulaty wysunęły się na czoło jako wyraz tego zasadniczego ujmowania sprawy: postulat przebudowy polskiej psychiki, postawiony już zresztą na zeszłorocznym Studium w Warszawie jako warunek reformy stosunków społecznych, oraz postulat osobistej świętości.

Odnośnie do pierwszego postulatu już Stanisław Brzozowski w *Legendzie Młodej Polski* — dotychczas zresztą bodaj najdobitniej — uwydatniał konstrukcyjne wady polskiej psychiki. Umysł polski jest lotny i zdolny, ale brak mu przenośni i dźwigni, wprawiających w ruch pozostałe władze duszy. Szlachetne, a nierzadko i najgenialniejsze pomysły grzęzną na mieliźnie małostkowych zamiłowań i nałogów oraz drobiazgowych porachunków, dla lenistwa i wygody rezygnuje się często z najwspanialszych możliwości rozwojowych tak osobistych jak zbiorowych. W ten sposób rodzi się fałszywe przekonanie, że rozum w ogóle nie jest twórczą siłą, że konstrukcje myślowe zawodzą wobec życia, budzi się nieomal mistyczny kult tego tzw. realnego życia jako jakiejś nieubłaganej, niezależnej od woli człowieka konieczności, rozgrzesza się w ten sposób lenistwo i lęk przed długotrwałym wysiłkiem, praca przeciętnego Polaka staje się dłubaniną, rzemiosłem odziedziczonym automatycznie po poprzednikach, przysłowiowym od pewnego czasu przykładaniem plastrów na zwichnięty kręgosłup. Brak konstrukcji myślowej i planowości oraz brak konsekwencji odbija się fatalnie na skuteczności wysiłków. Polska robota staje się nieobliczalna, zależna od natchnienia, zawodna w terminie. Brzozowski, jak większość zresztą naszych narodowych myślicieli — szuka źródeł tych niedostatków w narodowej przeszłości.

...Polski indywidualizm to tylko polskie odosobnienie — pisze w *Legendzie Młodej Polski* — to tylko polska wbrew wszystkiemu, co wygodę chwili zamąca, uparta samowola. Siedząc na tłustym połciu ziemi, szlachcic ufał swej szabli, pyskatości swej i sprytowi. Rozum, jako konstrukcja władających przyrodą urządzeń, był mu niepotrzebny. Nie wcho-

dził w rachubę. Był przyjmowany jako rękodajny, o ile się podobał. Nie ma narodu tak mało poszanowania mającego dla indywidualności twórczej, twardą pracą wykuwającej sobie rozumienie świata, władzę nad nim jak my właśnie... Kultura była zamorską nowinką, czymś, czym można w razie potrzeby sobie i innym oczy ćmić: nie była własnym tu stwarzanym dziełem... Stąd ten zdrowy śmiech, ten szczeropolski złoty humor. Cały świat tam się biedzi, gdzieś się rwie, a ja to siedzę sobie na uboczu i myślę, że można tak, można inaczej. Po co się przejmować, nauka, kościół, postęp, zacofanie, wszystko to dobre, o ile się przyda, o ile zdołam dla siebie, dla swoich, dla rodziny, coś z tego wysnuć. Wszystko kocham — o nic nie dbam. Z rodu kurki czubate. Niczemu się nie oddam w niewolę, żadnej idei, dogmatowi: wszystko jest dobre, o ile na dobre wychodzi. Gdziekolwiek gniazdko można uwić, ścielę je: na kominie fabrycznym, wieży kościelnej, na strażnicy ideowej: wszystko jedno. To tylko jest właściwie: rodzina posiadająca coś, mniej lub więcej wygodna wegetacja [1])...

Umyślnie sięgnęliśmy do Brzozowskiego, gdyż nie potrafilibyśmy lepiej i dosadniej, choć i gorzko, scharakteryzować stanowiska zajętego przez Studium wobec potrzeb polskiej kultury i polskiego katolicyzmu. Tak zasadniczo i tak dogłębnie pojął problem polskiej kultury p. redaktor Kisielewski z Poznania, kiedy w odpowiedzi na wszystkie „praktyczne" propozycje przebudowy polskiego katolicyzmu, podkreślił z naciskiem konieczność radykalnej przemiany polskiej umysłowości, zwłaszcza w szeregach inteligencji. Sprawa ta staje się problemem najaktualniejszym, palącym. Jedno przynajmniej pokolenie Polaków musi nakazać sobie dobrowolną ascezę i surowe życie, zdobywające się na heroiczne ofiary. Inaczej wiecznie będzie wśród nas pokutował typ katolika podwójnej moralności: teoretyczno-tradycyjnej z jednej strony i odmiennej zupełnie moralności praktycznej i wiecznie będziemy się spotykać z notorycznym faktem godzenia ze sobą pojęcia „uczciwości" i „katolickości" z kompletną ignorancją w zakresie religii u naszych inteligentów.

Kopalnią nieprzeciętnych myśli, osnutych na tej samej kanwie, był odczyt p. Kossak-Szczuckiej jak i odczyty prof. Heitzmana z Krakowa, oraz d-ra Bilika z Katowic. Niemniej zasadniczo i głęboko, a z sarkazmem godnym Brzozowskiego, nakreślił ks. dr Walery Jasiński zadania polskiego szkolnictwa na tle ogólnej tezy, że szkoła nie jest wynikiem takiego lub owego okólnika ministerialnego, ale owocem panujących prądów we filozofii, której myśl polska dotąd nie stworzyła, zadowalając się okruchami najsprzeczniejszych kierunków filozofii zachodniej oraz zawodną na dłuższą metę pedagogią praktycyzmu i zdrowego rozsądku rodzimego pochodzenia.

Drugi postulat niemniej zasadniczy to postulat osobistej świętości. Tym dobitniej wystąpił on na czoło rozwa-

[1]) Legenda Młodej Polski, 1910, str. 88 i 48.

żań o potrzebach katolicyzmu, że najsilniej zaakcentował go dr Świeżawski, człowiek świecki, co należy uważać za bardzo dodatnie zjawisko na tle przebudowy dotychczasowego życia religijnego w Polsce.

Postulat ten zbiega się najzupełniej z postulatem pierwszym, wiąże się najściślej z obowiązkiem nadania osobistym przekonaniom mocy obowiązującej i życiowej konsekwencji. Pełnia katolicyzmu żąda nastawienia całej życiowej orientacji na Boga, której zaprzeczeniem jest naturalizm, tak głęboko zanalizowany przez d-ra Świeżawskiego. Katolik powinien zawsze sobie dobrze zdawać sprawę, że katolicyzm to nie stowarzyszenie, czy jakiś ruch społeczny, ale to życie łaską, czyli świętość.

Jak widzimy ujęcie bardzo zasadnicze. I to właśnie pozwala nam żywić nadzieję, że katolicy polscy przez poważną pracę myślową i dogłębną kulturę stworzą wreszcie atmosferę duchową, jakiej wymaga do należytego swego rozwoju pełne chrześcijaństwo, atmosferę powagi, zrozumienia życiowych zadań i odpowiedzialności za własne przekonania. Oddadzą przez to również nieocenione usługi kulturze polskiej, którą będą leczyć u samych źródeł zachorzeń. I przyczynią się do tego stanu rzeczy — w myśl gorących życzeń szeregu głosów na Studium, — że odtąd pojęcie polskości nierozerwalnie zrośnie się z pojęciem katolickości, tak, by zbyteczne były wszelkie kluby, stronnictwa i krytyki pod osobną wywieszką katolickości.

Spośród zagadnień bardziej praktycznych sprawa małżeńska i szkolna, jakkolwiek niezmiernie doniosła, nie przedstawia większych trudności teoretycznych. Pod tym względem katolicka opinia może się już wykazać zadowalającym stopniem uświadomienia i zgodności, uchwały zaś Synodu omawiają je troskliwie i szczegółowo, tak, że nie wiele pozostaje już punktów do dyskusji. Cały ciężar przenosi się teraz na teren praktycznych posunięć, zwłaszcza w dziedzinie ustawodawstwa małżeńskiego oraz szkolnictwa, w którym wytworzyła się paradoksalna sytuacja: nieznośny rozdział między teorią i wolą rządu RP a szkolną praktyką (odczyt ks. biskupa Adamskiego). Czeka tu jeszcze katolicyzm polski ciernista droga. Należy więc już teraz zacząć od dynamizowania w duchu katolicyzmu czynnego ośrodków ustawodawczych, jeśli chodzi o unormalizowanie sprawy małżeńskiej, a nauczycieli — zwłaszcza przez popularyzowanie idei rekolekcyj zamkniętych — w zakresie reformy stosunków szkolnych.

Bardziej natomiast otwartym, choć niemniej ważnym zagadnieniem, są dalsze trzy problemy polskiego katolicyzmu, mianowicie dość drażliwa sprawa stosunków laików do hierarchii kościelnej, dalej nierozwiązana dotychczas sprawa wciągnięcia i zdynamizowania katolickiej inteligencji jako grupy społecznej, oraz związany z nią problem katolickiej twórczości kulturalnej.

Jeśli chodzi o zagadnienie stosunku laików do hierarchii kościelnej, to jak słusznie zauważył w dyskusji jeden z księży uczestników, sprawa ta w pewnym znaczeniu, była zawsze aktualna, a dziś nabiera jeszcze szczególniejszej aktualności. Należy się bowiem liczyć z następstwami zdynamizowania mas przez coraz bardziej rozwijającą się Akcję Katolicką, które może doprowadzić do głębokich zatargów i nieporozumień w łonie samego Kościoła. Na razie co prawda nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale przecież stoimy w obliczu gromadzących się energij społecznych, które bardzo łatwo mogą się wyładować w nieodpowiednim kierunku. Najfałszywszym oczywiście krokiem byłoby dążenie do zduszenia ich w zarodku. Najfałszywszym i zupełnie sprzecznym z wolą Ojca św. i Episkopatu polskiego, jak i ze zdaniem wszystkich zdrowo myślących katolików. Akcja bowiem Katolicka w zamiarach jej twórcy Ojca św. Piusa XI jest ruchem ludzi świeckich. Ma ona dokonać aktywizacji współczesnego katolicyzmu. Rzesze wierzących mają się poczuć Kościołem Chrystusowym, mają zrozumieć, że bez ich czynnego udziału w życiu Kościoła życie to będzie ułamkowe i niedorozwinięte. I oto stajemy w obliczu możliwości antyklerykalizmu w łonie samego Kościoła, przed zagadnieniem zawiłym i trudnym. Zazwyczaj bowiem, gdy się używa wyrażenia „klerykalizm", rozumie się jednostronnie jakiś najazd, okupację życia społecznego przez kler. Tymczasem zjawisko klerykalizmu bywa dwustronne. Nienormalnie oczywiście rozwijają się społeczne stosunki tam, gdzie jakieś stanowisko, które z powodzeniem może zajmować odpowiednio wyszkolony laik, zajmuje ksiądz. Jest wtedy niedobrze, bo wierni laicy, uwolnieni od potrzeby troszczenia się o sprawy religijne, zepchnięci do roli biernych pionków w życiu Kościoła, do roli słuchaczy Kościoła, ulegają religijnemu zobojętnieniu, zaniedbują swe religijne wykształcenie, wypadają z czynnej roli pionierów katolickiej kultury codziennego życia, z wielką szkodą swoją i Kościoła. Jeżeli są to skutki rzeczywistego przerostu wpływów duchowieństwa wbrew dążnościom społeczeństwa, winę za taki stan rzeczy ponosi duchowieństwo. Najbardziej może znaną z historii formą przerostu wpływów duchowieństwa, utrudniającego normalny rozwój zbiorowego życia, jest wytworzenie się osobnej kasty duchownych, dążących do własnego interesu i narzucających życiu nieznośne ciężary i obowiązki w imię religii. Taką kastą, paraliżującą swobodę naturalnego rozwoju stosunków, była sekta faryzeuszy, współczesnych Chrystusowi Panu. A pierwszym chrześcijańskim „antyklerykałem" był sam Chrystus Pan.

Ale popatrzmy teraz na drugą stronę medalu. Oto często zachowanie się samego społeczeństwa, jego stosunek do religii, może wywołać te same objawy klerykalizmu bez winy, a nawet wbrew zamiarom duchowieństwa. Dzieje się to wtedy, gdy obojętność ludzi świeckich w sprawach religijnych, brak religijnie

wykształconych jednostek zmusza duchowieństwo do rozszerzenia swoich wpływów na pokrewne religii dziedziny życia, często z zaniedbaniem właściwych obowiązków duszpasterskich. Im więcej wycofują się wierni z czynnego udziału w życiu Kościoła i w życiu religijnym na codzień, tym bardziej — automatycznie, z konieczności — rosną wpływy księży. Dochodzi do tego, że Kościół i ksiądz to jedno, dla wiernych nie ma już miejsca. Taki klerykalizm jest jakby wklęsłym odbiciem klerykalizmu właściwego i należałoby się dobrze zastanowić, czy w Polsce nie mamy do czynienia z tym odwróconym klerykalizmem. Czy nie cierpimy raczej na brak czynnego udziału ludzi świeckich w publicznym życiu religijno-umysłowym, na niedorozwinięcie tego życia, niż na przerost wpływów duchownych? Czy zatem nie tylko nie powinniśmy się obawiać, ale owszem, popierać wszelkimi siłami ten zdrowy ruch „antyklerykalny" jakim są czynne rzesze wierzących katolików, Akcja Katolicka?

Odpowiedź, jakie dało Studium, nie pozostawia żadnych wątpliwości pod tym względem: jak długo nie zostanie rozwiązany problem udziału inteligencji w życiu Kościoła, klerykalizm w Polsce, jeżeli będzie, to będzie tego drugiego rodzaju tzn. duchowni z braku odpowiednio przygotowanych i chętnych ludzi świeckich, będą musieli z konieczności zajmować się tym, co by raczej należało powierzyć wyszkolonym laikom. Otóż ten problem udziału inteligencji w życiu religijnym nie może być rozwiązany na drodze radykalnych posunięć. Zakładanie kulturalnych instytucji stwarza dopiero podatną glebę pod pielęgnację nowego typu inteligenta-katolika. Ale właściwa praca, jak to mieliśmy sposobność omówić wyżej, dokona się w duszy polskiej inteligencji, w duszy polskiego urzędnika, artysty i uczonego. Tylko w ten sposób będzie można pozyskać polską inteligencję jako grupę społeczną dla pracy w duchu apostolskiego posłannictwa Kościoła. Współczesne odrodzenie religijne w szeregach młodej inteligencji polskiej, niewątpliwe, choć może nieco za głośne w stosunku do swej głębi, oraz wszczęta działalność nowopowstałych i nowopowstających ośrodków wyższej kultury religijnej z Uniwersytetem Lubelskim na czele daje gwarancję, że niezbędna ta praca dokona się w przyśpieszonym, choć nie gwałtownym tempie. To też nic dziwnego, że Synod Plenarny, a za nim i Studium katowickie poświęciło bardzo życzliwą uwagę tym kulturalnym placówkom, zwłaszcza katolickiemu Uniwersytetowi w Lublinie, którego istnienie i losy zależą wyłącznie od ofiarności polskiego społeczeństwa.

Jesteśmy u kresu tych duchowych rekolekcyj. I tu stało się coś, czego zdaje się nie przewidywała znaczna większość uczestników Studium: odczyt p. Zofii Kossak-Szczuckiej. Nie sam fakt wygłoszenia, bo ten był zapowiedziany w programie Studium, ale jego treść. Treść nieoczekiwana, zaskakująca, a w niektórych akcentach wstrząsająca. P. Kossak-Szczucka użyła swego talentu

na przekonanie audytorium o chrześcijańskim posłannictwie Polski, w duchu polskiej przeszłości, której echa gubią się dzisiaj w rozgwarze obcych nam haseł. Wspaniale, urzekająco mówiła nam o duchu unii, o duchu zgody i miłości, o polskiej „zaborczości", która nie gniecie i nie łamie, lecz pociąga i wchłania, która zwycięża nie orężem, lecz mocą ducha. Wskazywała nam wymownie rozległe ziemie wschodnie, na których Opatrzność Boża palcem historii wypisała misję Polski. A wskazywała tym wymowniej, że użyła najbardziej zniewalającego argumentu: przyznaniem się do własnej winy i spowiedzią publiczną. Surowo, może za surowo potępiła swoje dotychczasowe stanowisko wobec sprawy unijnej. Niemniej jednak wspaniałą rozwinęła motywację tej decyzji: Polska kultura wspiera się na poszanowaniu ludzkiej osobowości i osobistej wolności, co obecnie, w dobie powszechnego deptania praw jednostki, wyrasta do godności naczelnego posłannictwa Polski.

Jak widzimy prelegentka przedstawiła to posłannictwo niedwuznacznie i jasno jako misję unijną, opartą na najgłębszych właściwościach polskiej kultury. To też dość dziwnie uderza nas przemilczenie, czy też osłabienie naczelnych wywodów Kossak-Szczuckiej przez niektóre odłamy codziennej prasy polskiej z krakowskim IKC na czele, który sprawie unii poświęcił dosłownie dwa wyrazy i to nader ogólnikowe, za to nieprawdziwie, bo za szeroko w stosunku do sprawy unijnej (w odczycie ten stosunek był odwrotny), rozpisał się o wrogim usposobieniu autorki do ustrojów totalnych.[1]) Czyżby publicysta z IKC lękał się przykrej i niewygodnej dla niego konkluzji o konieczności prowadzenia akcji nawróceniowej w obydwu obrządkach? A jednak jeżeli ludność miejscowa tego zażąda, jeżeli to będzie jedyna droga unijna, jedyna droga pozyskania prawosławia dla katolicyzmu, a więc i jedynie trwałe zbliżenie ludów wschodnich do polskości, to jak wtedy mamy postąpić? A może ci panowie drżą przed ewentualną koniecznością uznania Ukraińców za równorzędny nam naród, osadzenia Ukraińca nawet na Zamku Królewskim w Warszawie? A jednak, a jednak zew naszej wielkiej, mocarstwowej historii, która wprowadzała, gdy trzeba było, dzikiego, obcego Polakom Litwina na tron piastowski, zbyt jest potężny i wymowny, by go nie słyszeć i nie rozumieć. Tak, odpowiedź historii jest jasna. Chyba, że raz jeszcze — teraz już zupełnie świadomie — zechcemy sprzeniewierzyć się swojemu posłannictwu i prawdziwemu interesowi narodowemu, raz jeszcze powtórzymy niekonsekwencje unii brzeskiej, przed czym tak wymownie przestrzegała i zaklinała swych rodaków p. Kossak-Szczucka. Rzecz inna, z czym się zgodzi każdy Polak, że nasza misja narodowa nie kończy się na naszej wschodniej granicy, ale sięga dalej.

[1]) Zob. *Ilustrowany Kurier Codzienny* z 14 września br., str. 3.

Ten nieoczekiwany na ogół finał może najlepiej uwidocznił podkreślony przez nas rekolekcyjny charakter Studium. Bo dzięki niemu, jak każde solidne rekolekcje, Studium zakończyło się potężnym żądaniem reformy i poprawy dotychczasowych poglądów i dotychczasowego postępowania i to znowu w oparciu się o najgłębsze wartości polskiej kultury.

Jaki bilans ogólny osiągnięć Studium?

Z góry można było przewidzieć, że tak szeroko zakrojona praca, jakim było katowickie Studium, nie wyda żadnych konkretnych uchwał czy postanowień. Stworzyła tylko umysłowy ferment, który oby zwycięsko i szybko dotarł do świadomości jak najszerszych mas katolików w Polsce. Bo od tego zależy, czy katolicyzm ruszy z miejsca jako najważniejszy i najpotężniejszy czynnik przebudowy całego polskiego życia, czy też pozostanie nadal w stadium dyskusji.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 1 października 1938 r.

Katolicyzm integralny a religijność indukcyjna.

Na marginesie rozprawy K. L. Konińskiego.[1])

Na łamach *Marchołta* ukazała się rozprawa Karola Ludwika Konińskiego, poruszająca problematy tak kapitalnego znaczenia dla obozu katolickiego, że nie podobna pominąć milczeniem tych wywodów, które wywołać mogą niejedno zastrzeżenie, ale tym samym pobudzić muszą do tak bardzo potrzebnej, zasadniczej dyskusji. Przede wszystkim nikt zaprzeczyć nie może, że wywody p. Konińskiego podyktowane zostały głęboką troską o powodzenie wielkiej „chrześcijańskiej odbudowy świata" i że zawierają ogromne bogactwo myśli a także z głębi osobistych przeżyć zaczerpniętych obrazów, nieraz uderzająco trafnych.

I. Przyczyny i rodzaje bezbożnictwa.

Autor nawiązuje do rzuconego na Międzynarodowym Kongresie Chrystusa Króla w Poznaniu, wezwania J. E. ks. Prymasa, by „bez ogródek" i „nie bawiąc się w komplementy" zabrać się do wyświetlenia przyczyn bezbożnictwa.

Koniński niewątpliwie słusznie przeciwstawia się tanim sposobom rozwiązywania problematu bezbożnictwa przez wyprowadzania go w całości z propagandy, uprawianej przez złych ludzi. Jakie są jednak rzeczywiste źródła tego ruchu, który ze stanowiska zdrowego rozsądku wydać się musi jakimś niepojętym obłędem, gdyż trudno inaczej

[1]) Karol Ludwik Koniński w sprawie CH. O. Ś. *Marchołt* 1938, nr 3 i 4.

nazwać świadome i uporczywe nie tylko odrzucanie ale i znieważanie najwyższej, tym bardziej groźnej, że nieznanej Potęgi, której istnienie jest jedynym kluczem do zrozumienia sensu świata a której nieegzystencję można by udowodnić jedynie po realnym zbadaniu całego widzialnego i niewidzialnego wszechświata, łącznie z wszystkimi możliwymi „wymiarami". Logicznie możliwe jest jedynie negatywne stanowisko poznawcze, wyrażone w formule *ignoramus et ignorabimus*. Jest to wprawdzie najbardziej tragiczna rezygnacja, wobec której życie traci wszelki sens, ale nie kryje ona przynajmniej w sobie oczywistego absurdu. Problemat bezbożnictwa polega niewątpliwie głównie na tym, by wytłumaczyć, jak jest możliwe, że tego rodzaju straszliwy, demoniczny obłęd może ogarniać całe narody i wytwarzać niewątpliwie dynamiczny ruch społeczny, dla którego z pewnością wielu ludzi ponosi także i nie opłacone przez żaden Komintern ofiary.

Autor próbuje nam dać odpowiedź na pytanie o przyczynę zasadniczą bezbożnictwa. Otóż zdaniem jego jest ono jedną z możliwych reakcyj na fakt, że świat jest straszny. Drugą możliwą reakcją na ten sam fakt czy stwierdzenie jest szukanie ocalenia przez ucieczkę pod skrzydła opiekuńcze najwyższej Potęgi zaświatowej. Religia i bezbożnictwo są więc, jakby z tego wynikało, niby dwiema stronami tej samej karty, nierozerwalnie z sobą związanymi, gdyż ilekroć świat staje się straszniejszy, tyle razy rośnie zarówno religijność jak i bezbożnictwo.

Zgodzić by się można na taką transkrypcję tej tezy, że bezbożnictwo jest błędnym rozwiązaniem tego samego problematu, który leży u podstaw wszelkiego pesymizmu,[1]) mianowicie kwestii zgodności miłosierdzia Bożego z wszechmocą; jest to po prostu problemat zła i cierpienia.

Czy jest to jednak najistotniejsze źródło niewiary? I czy na odwrót wiara w Boga jest tylko „nadzieją, która gęstnieje we wiarę", która dopiero Boga doświadcza? Rozwiązanie tak zawiłych problematów wymagałoby szerokich

---

[1]) Na temat ten patrz: M. Zdziechowski „Pessymizm, romantyczne podstawy chrześcijaństwa". 2 tomy. Kraków 1915.

studiów. Napisano już w tej kwestii dużo. Zdaje nam się jednak, że ostateczne rozwiązanie jest niemożliwe, bo trzeba by tu zbadać niedostępną dla naszej sondy głębinę sumień ludzkich. Możemy natomiast próbować na ten temat pewnych ostrożnych hipotez, opartych na tych przesłankach, którymi dysponujemy.

Tezie o równoległości bezbożnictwa i wiary w Boga przeczą niewątpliwie fakty historyczne. Bezbożnictwo jest mimo wszystko zjawiskiem historycznie stosunkowo rzadkim, przynajmniej w zestawieniu z powszechnością wiary w Boga, którą spotykamy już na najniższych poziomach kulturalnego rozwoju, co niewątpliwie jest potwierdzeniem naszej tezy katolickiej o istnieniu praobjawienia, danego pierwszym rodzicom, i o naturalnej wierze człowieka w istnienie Boga. Oczywiście jednym z czynników decydujących, które wchodzą w skład naturalnej tęsknoty człowieka za Bogiem, jest szukanie opieki. Czy jednak niemniej naturalną, choć z pewnością mniej rozpowszechnioną nie jest franciszkańska wdzięczność dla Stwórcy? Pesymizm nie jest w każdym razie jedyną postawą duchową człowieka. Przede wszystkim bowiem u podstaw wiary w Boga znajdziemy naturalną potrzebę interpretacji pochodzenia tej cudownej a tak uderzającej celowości urządzeń świata. Wszak widząc placek ulepiony z gliny człowiek wnioskuje, że zrobiło go jakieś dziecko a fantastyczna konstrukcja machiny wszechświata miałaby powstać sama z siebie?

Również tęsknota za sprawiedliwością ostateczną stwarza w duszy ludzkiej przemożne wołanie za istnieniem najwyższego Sędziego. Tam jednak, gdzie człowiek żyje wbrew własnemu sumieniu, tam tęsknota ta zamienia się w obawę. A wiadomą jest rzeczą, że myśli nasze układają się na ogół po linii pragnień. Kto woli, by Boga nie było, ten nieraz chwyci się nawet najbardziej błahych pozorów argumentu, by swoje negatywne nadzieje uzasadnić i w szaty jakiejś teorii ubrać. Dopóki jednak tych argumentów nie było pod ręką, tak długo zwykle tego rodzaju na świadomych czy podświadomych pragnieniach oparty ateizm nie wychodził poza granice wewnętrznego zwątpienia, do którego się człowiek

rzadko jawnie przyznawał. Wszak słowo „bezbożnik" było w starożytności (a jest i w kręgu naszej cywilizacji chrześcijańskiej do dziś) obelgą, której sens leży w tym założeniu, że w Boga wątpić może jedynie albo ten, który pragnie, by Boga nie było, albo człowiek słabego rozumu, w myśl słów mędrca Starego Zakonu: „Rzekł głupi w sercu swoim: nie ma Boga". Dopiero nasza epoka przyniosła zorganizowany na wielką skalę ruch bezbożniczy, występujący jawnie pod sztandarem walki z Bogiem. Czy nie leży u podstaw tego zjawiska ta sama obawa przed istnieniem Boga, wynikająca z faktu, że dany ruch dla osiągnięcia celów ziemskich — w tym wypadku polityczno-społecznych — świadomie odrzucił naukę objawioną? A może dołączają się tu i inne wpływy? Nie chcemy wpadać w owo dziś tak modne *cherchez le juif,* ale zdaje się jednak, że między sceną przed trybunałem Piłata a faktem, że ten niegdyś wybrany na obrońcę monoteizmu naród dziś i od wieków macza swe palce w każdej prawie rozkładowej robocie, a szczególnie też w propagandzie bezbożnictwa, istnieje jakiś związek przyczynowy. Ze strony realno-politycznej trzeba też stwierdzić, że dla pewnych doktryn i ruchów wiara w Boga jest zasadniczą przeszkodą. Komunizm w swej obecnej szacie nie da się żadną miarą pogodzić z teizmem, bo założeniem jego jest negacja wartości transcendentnych i miłości bliźniego, która, jak powiedział Łunaczarskij, „hamuje energię rewolucyjną proletariatu". Mamy tu więc po prostu wybór wartości doczesnych, który nawet dałby się pogodzić ze świadomością istnienia Boga. Można bowiem Boga uznać, ale przeciwko Jego woli się zbuntować. Na tym przecież polegał, w myśl Starego Testamentu, ów prakosmiczny bunt aniołów, który zrodził zło. Lucyfer wiedział przecież doskonale o istnieniu Boga, a mimo to zgrzeszył pychą, podnosząc bunt rozumu przeciw objawieniu. Czyżby więc ludzkie zwątpienia w istnienie Boga miały zawsze mieć tylko swe źródło w szczerym pesymizmie? Niewątpliwie mamy typy szczerych ateuszy, których autor odróżnia od bezbożników, mianowicie takich, którzy chcieliby wierzyć w Boga, ale nie mogą tej wiary pogodzić z istnieniem tak dziś szczególnie dominującego zła i bezsensu. Warto np. przypomnieć

taki szlachetny typ ateusza jak Edward Abramowski. Lecz tego rodzaju ludzie intelektualnie zbłąkani ale lojalnie szukający prawdy, zawsze chyba w końcu znajdą swą drogę do Boga, o ile tylko nie staną w połowie swoich wysiłków. Kto się jednak zetknie nieco bliżej z dzisiejszym bezbożnictwem, obejrzy np. tak potworne aberacje, jakimi były wystawione swego czasu w Rzymie czy w Brukseli, z okazji zjazdu pisarzy i dziennikarzy katolickich, afisze bezbożnicze, wyszydzające Eucharystię w sposób plugawy zarówno pod względem treści jak i formy, ten nie będzie mógł tego zjawiska uważać jedynie za zbłąkanie intelektu. Jesteśmy o tym głęboko przeświadczeni, że rozum nie ma takiej niezależności od woli — nawet u typów skrajnie intelektualistycznych, — by mógł schodzić na tego rodzaju bezdroża bez wpływu jakiegoś zboczenia woli, jakiegoś buntu przeciw siłom wyższym lub moralnego upadku. Zgodzić się możemy z Autorem, że od tego najgorszego ateizmu, od nawet najbardziej czynnej nienawiści do Boga, niebezpieczniejszym jest w pewnym sensie stan o b o j ę t n o ś c i r e l i g i j n e j. „Bodaj byś był zimny lub gorący"... czytamy w objawieniu św. Jana. Szaweł może się zawsze w Pawła zamienić. Im większą była zaciekłość, tym gorętsza może być skrucha. Może, ale oczywiście nie musi. Jest to zresztą problemat trudny do rozstrzygnięcia, czy można jeszcze liczyć na powrót tych, którzy już p r z e c i w s t a w i l i s i ę B o g u z p e ł n i ą ś w i a d o m o ś c i, idąc za własną pychą czy inną namiętnością, której poświęcili swą wieczność. Istnieje pewien s t o p i e ń ś w i a d o m o ś c i zła, z którego już prawie że nie ma odwrotu. Oczywiście dopóki człowiek żyje, nigdy nie jest jeszcze sprawa ostatecznie straconą. Ale zdaje nam się, że można już zabrnąć tak daleko, że odwrót jest praktycznie prawie niemożliwy. W duszy ludzkiej bywają otchłanie, których widoku nie łatwo byłoby przetrzymać. Czyżby więc nie mogły istnieć i c a ł e i d e o l o g i e w tych otchłaniach zrodzone? Czy bezbożnictwo nie jest może takim właśnie echem jakiegoś wielkiego i nieodwołalnego b u n t u? Nie są to w każdym razie rzeczy tak proste, jak stosunkowo prostym wydawać się może zwątpienie w sens świata i miłosierdzie Boskie. Ateizm jednak nie jest jedyną formą

tego „wielkiego buntu". Zgodzić się bowiem możemy z p. Konińskim, że oparty na biologicznym materializmie neopoganizm, nadużywający imienia Boskiego dla pokrycia najbardziej egoistycznych i sprzecznych z wszelką etyką imperializmów, jest o tyle nawet niebezpieczniejszy, że nie ma on już tych jaskrawych cech szaleństwa, które ciążą na bezbożnictwie. Jest on istotnie jakoby estetycznie znośniejszy.

Nie możemy się więc w konkluzji zgodzić z Autorem, że bezbożnictwo da się pokonać jedynie w „najtwardszym zmogu metafizycznym". Jego bowiem najgłębsze przyczyny leżą, jak sądzimy, w dziedzinie woli, i dlatego nawet najbardziej rzeczowe dyskusje będą wyłącznie a przynajmniej w głównej mierze refleksem ścierających się postaw wolnej ludzkiej woli. Wiadomą jest rzeczą, że nawet najbardziej logiką swą miażdżące dowody istnienia Boga dadzą się logicznie zakwestionować, jeśli ktoś wymaga pewności matematycznej. Można nawet dodać, że i ci, którzy szczerze szukają, jeśli się ich zechce gwałtem nawracać, będą raczej utrwalać się w swych błędach. Człowiek najbardziej dorosły pragnie, podobnie jak dziecko, sam sobie podawać do ust swe potrawy duchowe. Istotna walka toczy się więc w innej płaszczyźnie, niż na serio pojęte dyskusje filozoficzno-teologiczne.

II. Indukcja i dedukcja w religii.

Założenie intelektualistyczne (mimo woluntarystycznych tendencyj), leżące u podstaw interpretacji przyczyn bezbożnictwa, stanowiącej punkt wyjścia rozprawy Konińskiego, przejawia się również w jego pojmowaniu wiary. Dla Konińskiego wiara, w której wszystko jest ruchome, tak, iż „nawet i Ojciec św. pewno nie wierzy dziś jak wczoraj i jutro", jest przede wszystkim przeżyciem poczucia pewności niektórych prawd.

Oczywiście i u Ojca św. zmieniać się może tok przeżyć intelektualnej wizji poszczególnych prawd, ale nie zmienia się to, co jest istotą wiary, to jest akt uznania za prawdziwe tego, co do wierzenia podaje Kościół, jako uprawniony interpretator nauki objawionej przez Syna Bo-

żego oraz jego natchnionych, bezpośrednio przez Niego powołanych apostołów (ze św. Pawłem włącznie). Wiara jest także i to w wysokim stopniu, aktem woli, leżącym u podstaw tego uznania. Oczywiście nie jest to akt ślepej woli, lecz woli świadomej dobrze powodów, skłaniających do wiary. Ujmując zagadnienie z psychologicznego punktu widzenia, chodzi tu o to, by nie odrzucać prawdy dlatego, że ona nakłada nam pewne obowiązki, przeciwne naszej skłonnej do złego naturze. Nie jest więc rzeczą wyłącznie ważną, czy za tym aktem nie kryje się przypadkiem jakaś reszta nieświadomości, czy może nawet pozornej sprzeczności z własnymi, rozumowymi poglądami. Wiara wymaga bowiem pokory, która każe uznać, że są wyższe prawdy, dla naszego intelektu pozytywnie niedostępne, a w razie kolizji, należy uznać, że nie Objawienie, nie Kościół się myli, ale nasz słaby rozum.

Wiara więc nie jest wyłącznie przeżywaniem prawdziwości różnych dogmatów, lecz raczej przyjęciem pewnych ogólnych prawd, z których wszystko inne wynika w formie wniosków. Kto uzna fakty, podane przez Ewangelię, ten musi, o ile będzie rozumować konsekwentnie, uznać Kościół i jego nieomylność, opartą na założeniu, że Chrystus musiał pozostawić po sobie tym, którzy chcą pełnej prawdy, jakąś normę nieomylną, inaczej musiałoby nastąpić rychłe spaczenie Jego nauki przez ułomność ludzką, zawsze skłonną do kompromisów ze złem.

Istnieją, jak wiadomo, dwa najogólniejsze, zasadnicze sposoby poznawania prawdy: dedukcyjny, wychodzący od zasad i zmierzający ku konkretnym ich zastosowaniom, oraz indukcyjny, oparty na uogólnianiu poszczególnych faktów i dążeniu do zrozumienia zasady ogólnej.[1]) Otóż podział ten zaznacza się i na terenie religijnym. Każda religia oparta na objawieniu, musi mieć charakter dedukcyjny, bo prawdy zasadnicze zostały jej raz dane i pozostaje jedynie ich systematyzacja, interpretacja i zastosowanie. Oczy-

[1]) Nie wchodzimy tu oczywiście w zawiłe problematy logiczne i rodzaje indukcji analitycznej i syntetycznej, przyczynowej i logicznej itp. ani w kwestię współdziałania obu zasadniczych systemów w naukach empirycznych.

wiście, że doświadczenia osobiste mogą tu również pewną rolę odgrywać ale tylko jako czynnik dodatkowy, nieistotny. Dodatnią stroną tego systemu jest to, że przyjmując samą zasadę naczelną, względnie uznając prawdziwość objawienia, musi się tym samym przyjąć i cały system. Chroni to przed jednostronnością i błędami indywidualnego rozumowania i daje możność ustosunkowania się pozytywnego do całokształtu systemu, który w szczegółach wierzącemu może być, a często i bywa, nieznany. Od katolika wymaga się jako minimum znajomości zasadniczych prawd wiary, w które ma obowiązek wierzyć. Starczy w takich wypadkach zupełnie, jeśli się przyjmie prawdy podstawowe, bo wszystko inne z nich już wynika. Oczywiście, im wyższy poziom intelektualny jednostki i im większe zainteresowania dla religii, tym szerszym będzie ten zakres prawd, które poszczególny wierny musi poznać. Jednak nawet fachowym teologom nie będzie łatwo ich zakres wyczerpać. Nie jest to zresztą konieczne, bo uznawszy system, przyjęło się *implicite* wszystkie jego zastosowania. Zasada autorytetu jest logicznym warunkiem istnienia tego rodzaju systemu dedukcyjnego, bo musi być jakaś najwyższa instancja interpretująca. Tego rodzaju system stwarza w wyniku nienaruszalną, niezłomną jednolitość obozu, na której straży stanąć musi jakaś instancja, orzekająca o prawowierności.

Stosunek jednostki-wyznawcy do dedukcyjnego systemu religijnego może być albo oparty na świadomym akcie wiary, tj. na przyjęciu założeń i wynikających z nich wniosków oraz podporządkowaniu swej woli i swego intelektu pod karność organizacyjną i autorytet, albo też pozytywne ustosunkowanie się może wynikać z różnego typu nawyknień myślowych, np. z tradycji, wychowania, wpływów środowiska [1]) czy naśladowania innych. Byłoby za wiele mówić o bezmyślności, ale faktem jest, że często bywa ona podstawą takiej „statycznej" religijności. Powiedziano, że wie-

[1]) Pod środowiskiem rozumiemy tu nie tylko styczności bezpośrednie ale i pośrednie (styczność z autorem czytanej książki, z kierownictwem masowej organizacji poprzez jej organy itp.).

dza połowiczna wiedzie do szatana, a wiedza pełna prowadzi do Boga. Jest to o tyle słuszne, że konsekwentne przemyślenie faktów i założeń podstawowych prowadzi do katolicyzmu, jak nam pokazuje ciągnący się przez stulecia i nie zmniejszający się nigdy szereg wielkich konwertytów. Połowiczna refleksja wiedzie zawsze do buntu i jednostronnych zboczeń z drogi prawdy. To też wielu woli nie wchodzić w ogóle na drogę niebezpieczną; trwają więc w biernym tradycjonalizmie, z którym łączy się może tym silniejsza skłonność do wojowniczych odruchów w „obronie wiary", im mniejsza jest ochota do szukania nowych dróg i samodzielnego myślenia. Od tej postawy obronnej, wynikającej z niechęci do zmian, trzeba odróżnić świadomą bronionych wartości postawę rycerską, jakby ją dla odróżnienia nazwać można, gotową do ofiar i poświęcenia życia dla ratowania najwyższych wartości. W rzeczywistości historycznej oczywiście splatają się te dwie z gruntu odmienne choć nieraz w objawach swych podobne postawy tak nierozerwalnie, że tylko sztuczna analiza może je odróżnić. Rozróżnienie to jest jednak bardzo ważne, bo daje nam ono klucz do zrozumienia wielu zjawisk, skądinąd do rozwiązania trudnych.

Nim jednak posuniemy się dalej, musimy się jeszcze przyjrzeć tej drugiej postawie, którą nazwaliśmy indukcyjną. Przejawia się ona w dziedzinie życia religijnego opieraniem stosunku do Boga na własnych przeżyciach. Jest rzeczą psychologicznie oczywistą, że to, co się samemu przeszło, ma zupełnie inną dynamikę, niż prawdy przejęte. Tę siłę przeżycia mają ci, którzy po długich, samodzielnych poszukiwaniach znaleźli Boga i Kościół. Dynamika ta występuje z niemniejszą siłą u różnych heretyków i sekciarzy. Entuzjazm dla jakiejś tezy nie stoi bynajmniej w prostym stosunku do jej prawdziwości, lecz zależy on od napięcia osobistego ustosunkowania się do danej idei. Im więcej trudów i ofiar poświęciło się dla jakiejś idei, im bardziej jest to nasza „własna" idea, tym większe będzie nasze do niej przywiązanie. Jest to pewne prawo psychologiczne, które tłumaczy nam fakt, że konwertyci górują entuzjazmem nad wyznawcami

„z dziada pradziada", a sekciarze i odstępcy zawstydzają często prawowiernych wyznawców ofiarnością, konsekwencją i entuzjazmem.

Stroną ujemną tych przeżyć religijnych jest ich subiektywizm. To, co w nich jest najcenniejsze, nie da się nikomu przekazać. Stąd każdy musi budować swoją własną kapliczkę. Rezultatem zaś może być jedynie anarchia. Oczywiście trudno sobie wyobrazić, by ktoś na drodze indukcyjnej obserwacji faktów i wyciągania wniosków, miał dojść do tego całokształtu prawd, które nam dało Objawienie. Wprawdzie samo poznanie Boga jest dostępne dla każdego szczerego intelektu, który nie utonie w subtelnościach sceptycyzmu filozoficznego różnych autoramentów, ale są inne prawdy, dla nas zasadnicze, które nam jedynie Bóg sam mógł objawić. Oczywiście w praktyce mamy najczęściej do czynienia z taką połowiczną, można by powiedzieć eklektyczną indukcją, która sobie sama wybiera z prawd objawionych to co jej odpowiada. Jest to jednak stanięcie w połowie między prawdą a błędem.

Nie jest niewątpliwie przypadkiem, że przejście od epoki organicznej średniowiecza do okresu dezyntegracji naszej kultury wiązało się z przejściem do myślenia indukcyjnego jako zasady centralnej całej epoki. W dziedzinie naukowej jest to droga właściwa, wiodąca do poznania danej nam rzeczywistości empirycznej. Na terenie światopoglądu musiała ona jednak zrodzić protestantyzm i sekciarstwo, w dalszej zaś perspektywie agnostycyzm i bezbożnictwo jako ruch ideowy, jako wyraz dążeń tych, którzy doszli do kresu, do totalnej negacji. Kto wie, czy dzisiejsza rehabilitacja logiczna dedukcji, jaką obserwujemy w związku z rozkwitem logistyki, nie przygotowuje gruntu pod nowy nawrót do epoki organicznej, opartej z konieczności na dedukcyjnej, a więc na objawieniu opartej religijności, gdyż ona jedna może zaspokoić budzącą się coraz silniej tęsknotę za obiektywizmem i pewnością poznania rzeczy wiecznych. Pewność taką dać nam może jedynie objawiona religia dedukcyjna. Może niejeden z bardzo dalekich od chrześcijaństwa pionierów logistyki nie zdaje sobie sprawy z tego, że pracuje dla zwycięstwa myśli chrześcijańskiej...

III. Ci, którzy stoją w pośrodku...

Wyłania się teraz pytanie, jakim ma być stosunek odradzającego się, „pełnego" czyli „integralnego" chrześcijaństwa do tych wszystkich, którzy tęsknią do jedności z Kościołem, szukają szczerze Boga i prawdy, ale nie mogą jeszcze przezwyciężyć różnych wątpliwości czy też remanentów różnorodnych wpływów, którym w ciągu życia podlegali i które stanowią echa mijającej już epoki? Koniński przemawia właśnie w imię tych ludzi i wyciąga do nas rękę, równocześnie formułując pewne swe warunki, od których, jak sądzi, zależy możność pozyskania tych wszystkich, którzy chcieliby podejść do Kościoła tą własną drogą indukcyjną. Sądzi on, że nawet sami katolicy nie orientują się w tym, jak wielu ludzi ogląda się dziś za Kościołem. Właśnie dlatego, że świat stał się o tyle gorszy, że mamy dziś świadome zło i orgie bezsensu, przejawiające się choćby w niszczeniu dóbr, gdy miliony głodem przymierają, dołącza się groza standaryzacji typu, zabijającej indywidualność człowieka, prze zwycięsko pochód niewoli totalistycznej, a nade wszystko przeraża jawna, potworna w swej brutalności walka z religią a nawet samym Bogiem. Z odmętu tych dni wznosi się ku niebu wśród znękanej ludzkości coraz gorętsze pragnienie, by „ponad tym wszystkim światłem białym zajaśniało jakieś miejsce wysokie, łagodne, ciche — ciche ale głośne głosem najbardziej bezstronnej i najbardziej bezinteresownej sprawiedliwości"... „Ludziom Kościoła jawi się zadanie ponad zadania, aby tego pożaru, cichego i ciemnego jeszcze, nie oddać na łup gasicielom"... Istotnie. Chodzi tu o rzecz wielką: o sposób najlepszego przyjęcia tej powracającej fali, by nie spłynęła na bezdroża i nie wyszła z koryta...

Jest rzeczą niewątpliwą, że przeżywamy teraz okres polaryzacji ideologicznej, tj. tworzenia się przeciwstawnych kierunków. Dziś najbardziej uwagę zaprzątająca biegunowość faszyzmu, wzgl. narodowego socjalizmu i komunistycznej międzynarodówki, jest jeszcze podziałem nieistotnym. Jedno i drugie to kierunki kolektywistyczne, a o ile chodzi o narodowy socjalizm, równie wrogi religii objawionej, wyrosłej wprawdzie z dedukcji, ale wysnutej

z fałszywych przesłanek. Najgłębsza przeciwstawność, która się tworzy coraz wyraźniej, to podział na tych, którzy przejęli „dobrą nowinę" i tych, którzy ją odrzucili. Przyjęcie bowiem Ewangelii prowadzi prędzej czy później do uznania wniosków, które z tego założenia wynikają, prowadzi to do „katolicyzmu integralnego" tj. przyjmującego świadomie wszelkie konsekwencje z uznanych raz zasad i prawd. Temu zaś integralizmowi wiary przeciwstawiać się będzie również coraz bardziej świadoma negacja, „integralny" ateizm czy raczej, w myśl rozróżnień p. Konińskiego, bezbożnictwo. Oczywiście jest to dopiero kierunek rozwoju, a nie jakiś już osiągnięty stan rzeczy. Inna rzecz, że wszelki rozwój w naszej epoce radiolotniczej odbywa się szybko, bo zwiększa się intensywność życia umysłowego i zagęszczają się coraz bardziej styczności między-ludzkie. Ten proces polaryzacji nie może jednak postępować zbyt gwałtownie i nie należy go sztucznie przyśpieszać. Trzeba tylko wyzyskać tę tendencję, by jak najwięcej dusz zagarnąć w sieć Piotrową i nie odepchnąć nikogo z tych, którzy mają dobrą wolę. Niewątpliwie nikt nie będzie odpędzał tych, którzy weszli na razie tylko na podwórze kościelne, i nie chcą posunąć się dalej. Nikt też nie będzie ich wciągał przemocą. Katolicyzm jak jądro zagęszczone komety ciągnie za sobą różne, coraz bardziej się rozrzedzające gazy.

Sprawy te nie są jednak tak proste. Wyłania się bowiem doniosłe pytanie taktyczne, czy czasem tacy ochotnicy, tworzący własne, nie podporządkowane ogólnej komendzie oddziały nie staną się dla dowództwa większą przeszkodą niżeli pomocą? Zdaje się, że sugestia, wynikająca z tego porównania byłaby błędna. Toć nie chodzi tu o działalność wojskową, która musi być skoordynowana, lecz o ruch, mniej lub więcej spontaniczny, któremu jedynie pewne ogólne dyrektywy nadać można, nie zaś rozkazy z konkretnymi zadaniami. Będzie to możliwe tylko tam, gdzie działają już zwarte organizacje. W takich warunkach każdy, kto przyczynia się do umocnienia jakiejś pozycji czy podcięcia jakiegoś wrogiego ruchu, jest pożądanym sprzymierzeńcem. Trzeba tu oczywiście odróżnić sprzymierzeńców, którzy działają w imię istniejącej wspól-

ności dążeń i sprzymierzeńców mimowolnych, którzy jak ten szatan Goethego, zła pragną a dobro tworzą... Takim sprzymierzeńcem jest dla nas np. Stalin, który dokonał olbrzymiego dzieła, bo skompromitował i kompromituje jednego z najgroźniejszych naszych wrogów, jakim jest komunizm. Mimo jednak tych rzeczywiście olbrzymich „zasług" Stalina dla obozu katolickiego nie uznamy go przecież za sprzymierzeńca. I przeciwnie każdy, kto zwalcza świadomie materializm i przyczynia się do zwycięstwa światopoglądu spirytualistycznego, już może być dla nas sprzymierzeńcem, oczywiście pod warunkiem, że nie jest w innej płaszczyźnie zdecydowanym przeciwnikiem, jak np. hitleryzm, który zwalczając materializm marksistów, wprowadza inną, biologiczną jego odmianę. Im większy napór wspólnych wrogów, tym większą będzie na ogół skłonność do szukania sprzymierzeńców. Kościół sam jednak tej potrzeby nie odczuwa, bo dla niego każde prześladowanie jest mimo wszystko ogniową próbą, z której zawsze wychodzi oczyszczony i wzmocniony. Czy znaczy to jednak, że „silny jest wtedy najsilniejszym, gdy jest sam"? Wniosek taki byłby błędny, bo choć wiara nasza pomocy ludzkich sprzymierzeńców nie wymaga, to jednak mamy ścisły obowiązek przyjąć każdą uczciwą pomoc w tej straszliwej walce o rządy duchowe nad światem. Chodzi tu przecież o nieśmiertelne dusze ludzkie, czyli wartość najwyższą, okupioną krwią Syna Bożego! Odepchnięcie więc choć jednego z tych, którzy się do obozu chrześcijańskiego garną, byłoby wielką przewiną!

IV. Czy jest możliwym „przeakcentowanie?"

Dochodzimy teraz do najistotniejszych postulatów p. Konińskiego: do żądanych przez niego gwarancyj wolności myślenia, utrzymanych oczywiście w pewnych granicach. A chodzi tu p. Konińskiemu nie tylko o rezygnację ze wskrzeszania inkwizycji, ale o to, by się ludzie mogli w kwestiach religijnych wypowiadać swobodnie, bez obawy, że się ich będzie ogłaszać za heretyków i sumienia ich grzechem obciążać. Nie żąda on wolności propagandy rzeczy wątpliwych i rozumie, że „niemożliwym jest chyba akt uzna-

nia wolności myślenia, nawet błędnego, — ale chce „przytłumić żarliwość zbyt intensywną dusz i duszyczek inkwizytorskich", których dziś widocznie przybywa, skoro znajdują się już nawet tacy, którzy żałują, że inkwizycja nie była dosyć surową. Istnieje więc pewne niebezpieczeństwo, że te typy „czerezwyczajskie", jak je autor nazwał, mogłyby dostać się w pierwsze szeregi odrodzenia katolickiego i stać się w opinii jego przedstawicielami, co oczywiście musiałoby od razu tych wszystkich powoli podchodzących zapędzić z powrotem w szeregi wolnomyślicielskie.

Trudno się jednak obronić przed wrażeniem, że Autorowi chodzi o coś więcej, niż o poskromienie tych zapędów. Domaga się on bowiem gruntownego „przeakcentowania z intelektu na wolę, z teologii na obyczaj, z teorii na działanie..." Myśl jest bardzo ważnym środkiem dla prawdziwszego niż myśl życia uczuciowego i woluntarnego, ale tylko środkiem.

Co do pierwszego postulatu nie widzimy żadnej absolutnie trudności. Autor stanowczo nie docenia olbrzymiej ewolucji pojęć, która się dokonała od czasu spalenia Giordana Bruno i od czasu pokoju westfalskiego oraz jego zasady *cuius regio, eius religio.* Inkwizycja była zjawiskiem historycznym, którego tu analizować nie zamierzamy. Dziś niewątpliwie odczuwa się ją na ogół i w obozie katolickim nie tylko jako błąd taktyczny, który wynikał z nieznajomości praw życia duchowego, ale i jako rzecz niezgodną z duchem Ewangelii, choć poczętą w dużej mierze z najlepszych pobudek poczucia odpowiedzialności za dusze ludzkie, nie tylko tych, których błędna nauka mogłaby sprowadzić na manowce, ale i samych heretyków, których chciano przymusić do ratowania swej duszy. Dziś jednak zrozumieliśmy, że nawet sam Pan Bóg nie może człowieka zmusić do tego, by swą duszę zbawił, gdyż dał on mu wolną wolę i człowiek może największą nawet łaskę odrzucić. Zrozumieliśmy też, że zakazany owoc ma dla pewnych typów psychicznych najlepszy smak. Kościół musi nieraz potępiać błędne nauki, ale czyni to dopiero z konieczności. Również indeksem operuje się dziś ostrożnie, nie nadając mu specjalnego rozgłosu, by nie robić mimowolnej propagandy książce zakazanej. In-

deks nie jest dzisiaj instrukcją dla bibliotekarzy i niszczycieli książek, ale jest wskazaniem dla tych, którzy już zrozumieli potrzebę organizacyjnej karności umysłowej i chcą się dobrowolnie wyrzec prawa do zażywania trucizny. Kościół, który zawsze przeciwstawia się skrajnym dążeniom epoki i wobec tego musi stale pod prąd płynąć, obecnie staje się *de facto* widomym obrońcą zagrożonej wolności, skoro nawet ci, którzy swe siły duchowe czerpali z wspomnień o Giordanie Bruno, czy Jakubie Molay i do niedawna wołali pod adresem Kościoła: *ecrasez l'infâme,* dziś chcieliby szukać ratunku pod jego skrzydłami.[1]) Dążności „czerezwyczajskie" wnoszą dziś raczej od zewnątrz do katolicyzmu różni kontrahenci spod znaku skrajnego nacjonalizmu, którzy pragną wprząc religię w służbę swoich czysto ziemskich celów. Są też, oczywiście i takie małe „duszyczki", które brak pracy nad sobą i własnym pogłębieniem chcą kompensować nadmierną gorliwością w pilnowaniu innych. Lecz ci z pewnością nie należą do awangardy „katolicyzmu integralnego" czy dynamicznego. Inkwizycję stosują dziś nasi przeciwnicy i to tym straszniejszą, że w imię fałszu! Obóz, który chce służyć prawdzie i dobru, nie szuka już policyjnej ochrony. Nie tu więc leżą trudności...

Inaczej zatem przedstawia się kwestia tego „przeakcentowania". Autor nie wymaga wprawdzie, by teologia zamilkła w obawie przed zrażeniem inaczej myślących. Rozumie on wyśmienicie, że ze stanowiska dedukcyjnej teologii nie można nigdy więcej niż jedną tylko drogę uznać za dobrą,[2]) a z drugiej strony stawia on i tej stronie drugiej słuszny postulat, żeby nie myślała, że wracając do religii robi jakiś zaszczyt Panu Bogu. Chodzi jednak o to, by do tych różnic w przekonaniach przywiązywać jak najmniejszą wagę. Kościół według Autora winien się stać organizacją praktyki tj. obyczaju, a nie

[1]) Chodzi nam tu oczywiście o masonerię, która niedawno chciała się zbliżyć do Kościoła wobec grozy hitleryzmu, a nie o tych stojących wpośrodku, w imię których autor przemawia.

[2]) Byłoby tu lepiej mówić o zasadach nie o drogach, bo „wiele dróg wiedzie do Rzymu" i do prawdy można dotrzeć bardzo rozmaitymi drogami, tylko sama prawda jest jedna.

myślenia. Oznacza to żądanie, by zejść z drogi „kokietowania tłumów" za pomocą masowych efektów przy równoczesnej rezygnacji z tego „wielkiego na serio" przejawiającego się w wysokich wymaganiach etycznych. Autor rozumie wprawdzie konieczność pewnych kompromisów, gdyż nie można od razu zrealizować najwyższych ideałów, ale domaga się przesunięcia punktu ciężkości na realizację.

Sam postulat „wielkiego na serio" jest niewątpliwie zaczerpnięty z ducha katolicyzmu dynamicznego, który właśnie na tym polega, żeby całość życia uzgodnić z wyznawanymi zasadami i spoganiały świat podbić znowu dla Chrystusa. Podbój ten można pojmować bardziej zewnętrznie, przez masowe manifestacje, wywieszanie krzyżów w salach, walkę o katolickie ustawodawstwo, likwidowanie antyreligijnych lub niemoralnych wydawnictw czy widowisk, albo też głębiej, przez pracę nad podniesieniem moralności i rozbudzeniem życia wewnętrznego oraz apostolstwo dobrego przykładu, trudne, mało efektowne, ale naprawdę jedynie skuteczne. Te zewnętrzne poczynania nie są jednak bynajmniej sprzeczne z idącymi w głąb. Walka o zewnętrzny podbój świata dla Chrystusa może przygotować atmosferę dla głębszej orki. Ruchy społeczne zaczynają zwykle od rzeczy zewnętrznych, które są łatwiejsze i bardziej ponętne. Chodzi tylko o to, by się na tym nie skończyło, by zrozumiano, że organizowanie mas i urządzanie manifestacyj, to dopiero zwożenie materiału na budowę, ale jeszcze nawet nie jej prawdziwe rozpoczęcie.

Jest rzeczą niewątpliwą, że manifestacje zewnętrzne raczej odstraszą intelektualistów niż przyciągną; ludzie tego typu nie lubią tłumów i reagują krytycznie na zbyt wzniosłe hasła [1]), którym nie odpowiada ekwiwalent treści realnej. Jedynie pełne godności, skupienia i siły wewnętrznej wielkie

[1]) Znamy taki wypadek, gdy pewien znany z krytycyzmu uczony, który dotąd odnosił się negatywnie do Kościoła, zmienił swoje zdanie pod wpływem obserwacji, poczynionej w czasie choroby, że zakonnice w swej klauzurze bynajmniej sobie nie dogadzały. Tego, czego nie dokonały tomy literatury apologetycznej, dokonał mały i drobny przykład konsekwencji. (Oczywiście podłoże musiało być dobrze przygotowane).

manifestacje jak kongresy eucharystyczne mogą pociągnąć potęgą nastroju. Istotna płaszczyzna walki leży jednak gdzie indziej: ludzie krytyczni patrzą przede wszystkim na to, w jakim stopniu głosiciele wielkich zasad żyją zgodnie z tymi zasadami.

Aż dotąd jesteśmy więc w zgodzie z Autorem. Czy można jednak iść aż tak daleko, by wymagać zmiany całego ideowego nastawienia Kościoła, dla którego zawsze herezja była gorszym złem niż ten lub inny występek? Założeniem takiego stawiania sprawy było przeświadczenie, że grzech wprawdzie pozbawia łaski, gorszy innych zwłaszcza „maluczkich", ale nie podważa zasad, nie daje błędnych wskazań, bo kto grzeszy, wie, że robi źle i wiedzą to też ci, którzy go w tym naśladują; gdy przeciwnie, kto przyjmuje zasady błędne, ten gubi drogę do zbawienia, traci miarę dobra i zła, odcina się trwale od społeczności Chrystusowej. Nie wchodzimy w to, czy rozumowanie takie jest zupełnie słuszne. Należy ono do historii, bo dziś właśnie dobro wysuwa się na plan pierwszy. Zaczynamy coraz lepiej rozumieć słowa genialnego myśliciela i kanonisty polskiego, Pawła Włodkowica, który na soborze konstancejskim pół tysiąclecia temu wygłosił pamiętne zdanie, że herezja przeciw Miłości jest gorsza, niż herezja przeciw Prawdzie. Ten, kto wiele miłował, temu będzie dużo przebaczone, ale Prawda bez uczynków jest martwa i obciąża jedynie tym bardziej sumienie tych, którzy postępują wbrew własnej świadomości. O tyle też godzimy się z tendencją, że na plan pierwszy należy dziś wysunąć czyn katolicki, realizowanie zasad wiary, bo to jest jej najlepsza obrona i propaganda. Realizowanie zasad Ewangelii stworzy też najwłaściwszy podział na dwa obozy. Wyznawca — a tym bardziej — przewodnik naszej grupy, który żyje wbrew swym zasadom i nie stara się na serio realizować, w miarę swych sił, uznawanych przez siebie prawd, pracuje w istocie rzeczy na korzyść obozu przeciwnego. Na niedostrzeganiu różnicy między zewnętrzną przynależnością do obozu a przynależnością wewnętrzną, polegało to straszliwe historyczne nieporozumienie, które narosło dookoła augustiańskiej koncepcji Państwa Bożego i jego

potwornej parodii w zakonach rycerskich, szczególnie w zakonie krzyżackim. Nauka o duszy Kościoła wyjaśnia nasze w tej sprawie stanowisko. Ludzie, nie znający pełnej prawdy, ale żyjący zgodnie ze swym sumieniem należą do duszy Kościoła, i choć nie mogą oni korzystać w pełni ze skarbca łask, którymi Kościół dysponuje, to jednak mogą uzyskać zbawienie i tylko poza tak pojętym Kościołem nie ma zbawienia.

Czy znaczy to jednak, że wolno nam walki o pełne zwycięstwo prawdy zaniechać i uznać prawdę za nieistotną w stosunku do dobra? Dobro nie może być ślepe. Można wprawdzie uniknąć najcięższych błędów, kierując się głosem sumienia, ale właśnie idea postępu wymaga, by coraz większą była świadomość, by coraz więcej przybywało takich, którzy rozumieją, dlaczego i komu wierzą i pojmują, w granicach nam oczywiście dostępnych, sens najgłębszy życia. Pewno, że im mniejsza ilość prawd obowiązujących, tym większą można dla nich znaleźć ilość wyznawców. A jednak jest faktem, że mimo największej ostrożności Kościoła w formułowaniu nowych dogmatów, ilość tych prawd uznanych za dogmatyczny pewnik stale się zwiększa jako naturalny wynik dojrzewania i wzrostu oraz konieczności mierzenia miarą ewangeliczną różnych po sobie następujących zjawisk historycznych. I faktem jest również, że wierni przyjmują każde nowe ogłoszenie jakiegoś dogmatu nie jako nowe obciążenie sumień, ale jako nową zdobycz, która musi uprzednio nie tylko istnieć *implicite* w depozycie objawienia, ale nadto musi zaistnieć jako postulat i przeświadczenie milionów, nim zostanie potwierdzona autorytetem Namiestnika Chrystusa.

Przesunięcie punktu ciężkości wysiłku na realizację Ewangelii nie może więc oznaczać żadną miarą zaniedbania płaszczyzny intelektualnej. Pewno, że decydującą jest postawa wolicjonalna i kto nie chce prawdy uznać, tego żaden, nawet logicznie najpotężniejszy argument nie przekona. Walki jednak zaniechać nie można i tutaj; chodzi tylko o to, by się nie łudzić na temat możliwości, istniejących w tej dziedzinie. Praca intelektualna teologów jest konieczna nie tylko dla doskonalenia samego systemu i jego

obrony oraz uzgadniania z postępem nauki w tej dziedzinie, gdzie się empiria krzyżuje z zagadnieniami transcendentnymi, które są właściwym przedmiotem zainteresowań teologii. Pozyskiwać można na tej drodze tylko tych, którzy już są wewnętrznie pozyskani. Kto jednak raz swą wolę nakłonił, tego już można i trzeba pogłębiać i umacniać. Ten, kto szedł drogą indukcyjną będzie dla nas nabytkiem najcenniejszym, gdyż będzie on przejęty głęboko zdobytymi prawdami, ale i on nie może zrezygnować z dedukcji. Ideałem więc naszym musi być jakoby pewien ruch koncentryczny, który tych stojących w pośrodku i na peryferiach wciąga do obozu prawowiernych i konsekwentnych wyznawców. Odnosić się z miłością trzeba nawet do pogan, jak już Włodkowic głosił wbrew poglądom swej epoki, a więc tym bardziej do tych, którzy mają dobrą wolę. Narzucać im rzeczy, których jeszcze nie chcą, byłoby bezcelowe i szkodliwe, bo opóźnia to zawsze ich dobrowolne posunięcie się po tej linii wiodącej do centrum, martwe zaś, nie przyswojone prawdy nie pobudzają do czynu. Szukać więc należy najpierw tego co łączy i znajdywać płaszczyzny wspólne. Nie znaczy to jednak, że należy lub można zacierać różnice między Kościołem a jego przedsionkami. Chodzi tylko o to, by u tych, którzy się już w obrębie zewnętrznego ogrodzenia znaleźli, rozbudzać tęsknotę za wejściem do samego środka przez przyjęcie całego systemu. Pogodzenie ducha tolerancji z pełnią dogmatycznego uświadomienia, a troski o zbawienie dusz z roztropnym umiarem, oto jeden z warunków rozwiązania problematu religijności indukcyjnej i uratowania jej przed modernizmem.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Społeczne cechy katolickiego dogmatu.

„Do niedawna „trudność wierzenia" wyrastała w znacznej części, jak się zdaje, z filozofii agnostycznej, oraz wątpliwości tyczących się Biblii i początków chrystianizmu. Egzegeza i historia nie przestały i dzisiaj być źródłem zaniepokojenia, lecz niewątpliwie problemy z dziedziny społecznej i duchowej narzucają się dziś z gwałtowniejszą natarczywością i być może dotykają głębiej istoty rzeczy. Sam zaś problem filozoficzny przeważnie już się nie ukazuje jako sprawa czystej wiedzy. Mniej więc zadaje się dziś pytań o historyczne fakty czy rozumowe ewolucje, przez które chrystianizm dotarł do dni naszych, niż o samą istotę chrystianizmu, i wielu takich, którym by nie przeszło przez myśl zaprzeczać mu jego tytułów przeszłości czy krytykować w oderwaniu jego podstawy metafizyczne, zaczyna wątpić o jego trwałej wartości. Jakżeż — zapytują w szczególności — czyż religia, która pozornie nie troszczy się ni o przyszłość ziemską, ni o ludzką solidarność, może przedstawiać jeszcze ideał zdolny do tego, by porwać ludzi współczesnych?"

W powyższych słowach odsłania ks. H. de Lubac T. J., w swej niezwykle sugestywnej i głębokiej książce, [1]) wierne oblicze epoki, która nadchodzi, która już się urzeczywistnia. Przecież dwa lata temu pisał Jan Giono:

„Radość Jezusa może być osobista. Może ona stać się własnością jednego człowieka, i ten zostaje zbawiony. Trwa on w pokoju, trwa w radości teraz i na zawsze, lecz sam jeden. Ta samotność w radości nie niepokoi go, przeciwnie: jest on wybrańcem... Moja natomiast radość nie przetrwa, chyba że będzie ona radością wszystkich."

[1]) Henri de Lubac S. I.: *Catholicisme.* Les aspects sociaux du dogme. Paris 1938. Les éditions du Cerf. in 8⁰. XIV + 373. (W zbiorze „Unam Sanctam").

Również dzisiejsi obrońcy laicystycznej szkoły ciągle się powołują na to, że celem wychowania nie powinno być skierowanie jednostki w ciasny krąg samolubnej troski o indywidualne zbawienie i odwrócenie jej od życia w społeczeństwie i dla społeczeństwa. Zresztą nawet tak nieskłonny do polemicznych uniesień filozof Hamelin zgadza się z tym poglądem, kiedy twierdzi, że Chrystus, przyrzekłszy zbawienie nie społecznościom lecz jednostkom, popycha swych wyznawców logiką wiary do zaniedbania sprawiedliwości.

„Nie podobna bowiem być sprawiedliwym bez zainteresowania się obecnym położeniem i przyszłością grupy społecznej, której jest się częścią. Sprawiedliwość odrzuca więc ścisły i czysty indywidualizm w odróżnieniu od doktryn walki o życie..."

Czyż zresztą i Renan nie określał chrystianizmu dwu pierwszych wieków jako „religii założonej dla wewnętrznej pociechy maleńkiej liczby wybranych"?

Przeciwko tym i podobnym oskarżeniom umysłów niewątpliwie bystrych, ale zapoznających całkowicie istotę katolicyzmu, słusznie ks. H. de Lubac stawia w pełnym świetle zamazaną zbyt często w pamięci samychże niestety katolików prawdę, że chrystianizm jest ze swej natury n a w s k r ó ś s p o ł e c z n y. Pod wpływem filozofii Kanta weszło w modę sprowadzać całe zagadnienie religijne do etyki, w dodatku etyki okaleczonej, bo zaprzeczającej dogmatom jakąkolwiek rolę w wypełnieniu nakazów moralności. Tymczasem doświadczenie wieków dowodzi, iż każde przyćmienie prawd wiary pociąga za sobą niezwłocznie obniżenie się poziomu etyki. Otóż w myśl wywodów ks. Lubac katolicyzm jest zjawiskiem społecznym nie tylko dzięki zastosowaniom moralnym, które z niego płyną, lecz nade wszystko sam w sobie, tj. w swych największych tajemnicach, w wewnętrznej treści swej dogmatyki, do tego stopnia, że wyrażenie „katolicyzm społeczny" musi się zawsze wydać pleonazmem. Nie zwracając uwagi na bezpośrednie oddźwięki społeczne chrystianizmu w sferze czysto doczesnej i ziemskiej, pominąwszy milczeniem reformy życia zbiorowego, jakie obecnie należałoby przeprowadzić w duchu chrześcijańskim, winniśmy sobie żywo uświadomić ich uprzednią, zaziemską i wieczną zasadę, która, niby nić złota, przewija się przez nasze katolickie *Credo.*

Jakkolwiek wszystkie dogmaty pozostają ze sobą w ścisłym związku, to jednak niektórym z nich oddajemy pierwszeństwo przed innymi czy to z powodu ich wewnętrznej natury, czy to przez wzgląd na nasze poznanie religijne rzeczy objawionych, które, jak każde poznanie, ujęte być musi w karby ścisłej metody. Nie ulega wątpliwości, że w katolickim systemie dogmatycznym najjaśniejsze światło rzuca na wszystko „tajemnica, w której się streszcza całe objawienie", tajemnica, którą Bóg dał nam poznać według swego łaskawego planu, jaki od wieków ułożył, ażeby go ziścić, gdy nadejdzie pełność czasów; chodzi mianowicie o tajemnicę zjednoczenia wszystkiego w Jezusie Chrystusie. Każdy chrześcijanin wierzy, iż w Chrystusie zbiega się wszelka władza na niebie i na ziemi, iż dane mu imię ponad wszelkie imię, każdy członek rzymskiego Kościoła wyznaje w adoracji fakt, że Jezus jest Bogiem. A jednak niejeden katolik zbyt pośpiesznie przechodzi nad tą prostą zdałoby się prawdą katechizmową, iż Słowo stało się ciałem. A przecież religijne wniknięcie w tajemnicę Wcielenia jest kamieniem probierczym katolickości światopoglądu.

Ponieważ bowiem Słowo stało się ciałem, ciałem indywidualnym, ponieważ Chrystus był człowiekiem pojedynczym, jak każdy z nas, łatwo stąd zapomnieć o przedziwnych węzłach, jakie go łączą z całą ludzkością. Równocześnie mimo swej jednostkowej natury człowieczej, Chrystus jest wszechludzki, gdyż dla całej ludzkości zstąpił na ziemię, wszechludzki, gdyż w sobie całą ludzkość dźwignął i naprawił.

Jeśli są prawdy, których nie można ująć inaczej, jak tylko jednym spojrzeniem, to jest nią właśnie tajemnica, w której wieczność wdziera się w czas, siewca dziejów staje się sam kłosem ziemskiej historii, przedwieczny Logos przywdziewa na się stan pielgrzymstwa ludzkiego. Czasy nowożytne odsłoniły nam bezmiar przestrzeni, który przerażeniem ogarniał takiego Pascala; za dni naszych otwarła się nieskończoność i płodność trwania, która z konieczności przeobrazić nam musi wizję wszechświata. Chrystus jednak — powtarzają pokolenia — ten sam wczoraj i dziś! Czyż znaczy to, że Galilejczyk zmartwiał nam, jak zwiędłe wspomnienie odległej przeszłości, iż jego zbawczy pierścień zmalał wobec

ogromu światów i wieków? Nie, albowiem ten sam Bóg, który „proch gwiazd w klepsydrze przesypuje złotej", ten sam Stwórca, który wić się każe barwnej wstędze ludzkich poczynań, stać się raczył naszym Zbawicielem. Katolik nie potrzebuje więc pomniejszać wielkości pierwszego, by uwielbić niewypowiedziany cud drugiego. Nasze tylko zrozumienie Chrystusa wzbogaca się i rozszerza. To, co było chlebem powszednim Ojców Kościoła, naszych ojców we wierze, co przeżywał Kościół od samego zarania, zanim jeszcze myśl teologiczna zdążyła jego wiarę wyrazić w dogmatycznych formułach, to staje się nam dziś jakby na nowo odkryte: Chrystus przybrał całą naturę ludzką, Chrystus zespolił rozbity grzechem na atomy świat człowieczy. Według Ojców Kościoła Bóg stworzył od razu całą ludzkość, była ona jedna w Adamie, zrzeszona w jedno, jak „winnica rodzaju ludzkiego". Kiedy zaś Ojcowie Kościoła rozważają tragedię grzechu, to obok śmierci indywidualnej każdej duszy wnet i powszechnie dostrzegają śmierć zadaną współżyciu i obcowaniu dusz z sobą. Chrystus przeto całą ludzkość w sobie musiał ożywić i na powrót wskrzesić w niej pierwotne poczucie jedności zbiorowej.

Współczesna teologia katolicka, która tak mocny nacisk kładzie na naukę o Ciele mistycznym, jest tylko echem przekazanej wiary patrystycznej, która z kolei odzwierciedla doniosłe idee św. Jana i św. Pawła o Chrystusie całym, Chrystusie pełnym. W ten sposób ów rzekomy „platonizm" czy „stoicyzm" chrześcijańskiej tradycji uwydatnia w pierwszym rzędzie tajemniczą jedność katolicyzmu z Chrystusem. Nie będziemy stąd wyciągać wniosku, że widzialność nakrywa się z niewidzialnością, że ustępuje granica między jednostkowością i zbiorowością, nie wznowimy w nauce o Kościele monofizytyzmu, potępionego w nauce o Chrystusie, lecz oświeceni smutnym doświadczeniem protestantyzmu strzec się będziemy zbyt ostrych, a tym samym nieprawdziwych przeciwstawień różnych stron tej samej tajemnicy. Katolicki dogmat Wcielenia, unikając docetyzmu przez niezachwiane głoszenie prawdziwości pierwiastka ludzkiego w Synu Człowieczym, powściąga równocześnie umysł przed wręcz przeciwnym błędem „kenozy", wedle której Słowo posunęło się

w swym wyniszczeniu aż do utraty Bóstwa. Jeśli Kościół słusznie uważamy za przedłużenie Chrystusa, to i jego naturę rozpatrywać winniśmy w świetle chrystologii, wyzwalając się zarówno z ubóstwiania widzialności, jak i z frenetycznego zapędzania się w teorię kenozy.

„Jeżeli Chrystus jest sakramentem Boga, to Kościół jest dla nas sakramentem Chrystusa, on go przedstawia w dawnym pełnym brzmieniu tego słowa: on go nam uobecnia w prawdzie."

Nie podobna podążać krok w krok za pięknymi rozmyślaniami ks. de Lubac nad praktycznie dziś zepchniętym na dalszy plan obliczem społecznym sakramentów świętych. Atoli po powyższych uwagach rozumiemy łatwo, że

„sakramenty jako środki zbawienia wypada pojmować jako narzędzia jedności. Urzeczywistniając, odnawiając lub wzmacniając jedność człowieka z Chrystusem, urzeczywistniają one, odnawiają lub wzmacniają tym samym jedność z chrześcijańską społecznością."

Nie zdziwi nas nawet twierdzenie, iż na skutek ścisłej łączności między stroną indywidualną i społeczną sakramentu „można, co więcej, w pewnych razach trzeba raczej powiedzieć, że chrześcijanin przez swe właśnie zjednoczenie się ze społecznością jednoczy się z Chrystusem".

Prawo wcielenia jest tedy rysem naczelnym katolicyzmu: wywodzi się ono ze samego Słowa Wcielonego, przewija się przez Ciało Mistyczne, odtwarza się w Kościele, stanowi istotę sakramentów. Na mocy tego prawa, które ks. de Lubac pięknie i jędrnie nazywa także „sakramentalizmem" katolickim, zasięg chrystianizmu nie napotyka na żadne granice ni lądów ni wieków, a w dogmacie naszym obok jego charakteru wybitnie społecznego zaznacza się równocześnie jego charakter historyczny.

„Jeśli w samej rzeczy zbawienie, które nam Bóg ofiaruje, jest zbawieniem rodzaju ludzkiego, to, ponieważ ten rodzaj ludzki żyje i rozwija się w czasie, wykład tego zbawienia przybierze samorzutnie formę historii: będzie to historia przesiąknięcia ludzkości Chrystusem".

Tajemnica Chrystusa i jego Kościoła, fakt duchowy wcielający się w element zmysłowy, potrzebujący czasu dla

swego dopełnienia, wzrastający bez uszczerbku dla swej transcendentnej wewnętrzności społecznie i historycznie, jest wydarzeniem w dziejach religijnych ludzkości absolutnie nowym, jedynym i nieporównanym. Nawykli do pogańskich trybów myślenia tacy filozofowie, jak Celsus, Porfyriusz, Symmach, gorszyli się tym, że chrystianizm podający się za religię wszechludzką tak późno w czasie się pojawił. Świadczy to wymownie, iż nie pojęli oni nowości jego nauki o czasie, o znaczeniu chwili obecnej, o wartości wspólnego oczekiwania, o cenie trwania w zbiorowości. Wystarczy zestawić chrystianizm z odmiennymi prądami duchowymi antycznego świata, ażeby się przekonać, iż dzieli je zasadnicza różnica w poglądzie na czas i na pogrążoną w czasie społeczność. Według poglądów najlepszych przedstawicieli starożytności zbawienie polega na indywidualistycznej ucieczce ze świata, który nie ma żadnego jednolitego kierunku, na odosobnionym wzniesieniu się ponad ludzkość, która jest bez historii. Zupełnie odmiennie od katolickiego świętego, mędrzec grecki jest samotny, jak samotną jest jego kontemplacja. Platon upatruje ideał duszy w wymknięciu się ze świata, który jest dla niej więzieniem; Ptotyn podejmie znaną formułę ucieczki „samotnego do Samotnego" *(monos pros monon)*, a Porfyriusz rozprawiać będzie o wyswobodzeniu i „wycofaniu się duszy". Te same kierunki myśli odnajdziemy w religijnych filozofiach Indyj. Zarówno adepci starego bramanizmu, jak i przeróżne sekty buddyzmu, — te, które przyjmują wielość niezniszczalną dusz wyzwolonych, jak i te, które usiłują przezwyciężyć iluzję kosmiczną przez rozpłynięcie się w jedni Bytu; — te, które dają się wzruszyć litości i praktykują miłość niekiedy wzniosłą, jak i te, które zamykają się w zimnej dumie wybranych, — wszystkie one głoszą konieczność ucieczki, odosobnienia, wyrwania się z upadłej gromady ludzkiej. Nie łatwo obronić się przed ich gorzką melancholią, przed przygniatającym pesymizmem wobec cyklicznych powrotów rzeczy, w których „nic się nie staje, gdyż nic nie pozostaje". Jest to wiecznie powtarzający się ruch bez trwałego podłoża prawdziwego bytu, puste stawanie się bez substancji, monotonne pasmo powracających luźnych momentów czasu.

„W tym powszechnym chórze jedynie chrystianizm afirmuje równocześnie transcendentne przeznaczenie człowieka i wspólne przeznaczenie ludzkości. Cała historia świata jest przygotowaniem tego przeznaczenia. Od początków stworzenia aż do ostatecznego wypełnienia się rzeczy poprzez opór materii i poważniejszy jeszcze opór stworzonej wolności, przechodząc przez szereg etapów, z których pierwszorzędny zaznaczony jest Wcieleniem, ten sam plan Boży się urzeczywistnia."

Dlatego według katolickiego poglądu stawanie się wszechrzeczy jest wstępowaniem na coraz to wyższe szczeble wartości, gdyż opływa je pełnia Bytu, gdyż tętni w nim Transcendencja, gdyż przenika je przedziwna Obecność. Stąd też sfera zjawisk podnosi się do wysokości historii, przelotne czyny ludzkie mają wyciśnięte na sobie piętno wieczności. Jeśli zatem katolicyzm zaleca ucieczkę od świata, to nie potępia on przez to spraw ziemskich i doczesnych, ale tylko obwieszcza wyzwolenie z tyranii czasu i skończoności; jego klątwa spada jedynie na zatracenie się w czasie, na nadużywanie rzeczy skończonych, których istotą jest nawoływać właśnie do przezwyciężenia i do przewyższenia doczesności i skończoności. Paradoks chrześcijański występuje w posługiwaniu się czasem dla uzyskania wieczności, ponieważ Słowo odziało się czasem, ażeby nas okryć wiecznością.

„Za przykładem Chrystusa... każdy chrześcijanin winien przyjąć swój stan zależności od czasu, stan czyniący go solidarnym z całą historią, tak iż jego stosunek do wieczności wiąże się ze stosunkiem do przeszłości, której bezmiar sobie uświadamia, i do przyszłości, której trwanie przed nim zakryte."

Tu potrącamy o najbardziej bolesną strunę zbiorowej samowiedzy ludzkiej. Chodzi bowiem o rozstrzygnięcie tak często poruszanych kwestyj, czy nieprzeliczone pokolenia, rozrzucone na falach wieków przed przyjściem Chrystusa mają stanowić tylko ponure tło *massae damnatae*, na którym by wzejść mogła tym jaśniej nie do osiągnięcia dla nich gwiazda zbawienia, czy i dziś istnieje nadzieja tegoż zbawienia dla tych, do których nie dotarła wcale, lub wystarczająco, Dobra Nowina?

Szerokie spojrzenie autora na ten problem wszechludzki przynosi na szczęście rozwiązanie, jak mi się zdaje,

zadawalniające, szczerze katolickie. Ponieważ — rozumuje ks. de Lubac — wszelki byt stworzony podlega na tym świecie prawu stawania się, spod którego nie jest wyjęta ludzkość w żadnej dziedzinie, więc

„ażeby objawienie Chrystusa mogło być kiedyś przez ludzi przyjęte i by boskie podobieństwo mogło błyszczeć całym swym blaskiem w oczach świętych, potrzeba było tysiącletnich przygotowań: nie tylko ze strony Objawienia żydowskiego, tej niezrównanej smugi światła i zagadek ciągnącej się od Abrahama do Jezusa, lecz także tych wszystkich innych przygotowań, bardziej szarych, bardziej zewnętrznych, które je poprzedziły lub mu towarzyszyły na łonie pogaństwa, i całego powolnego podniesienia się materialnego, społecznego i intelektualnego upadłego człowieka. Otóż tego przedziwnego widowiska bożych „ekonomij" nie podobna przedstawić schematem prostolinijnym."

By pojąć nieskażoną transcendencję Słowa Wcielonego, które stało się źródłem najgłębszego w dziejach ludzkich przewrotu, nie musimy bynajmniej sobie wyobrażać, jakoby cały świat pogański był jednym wielkim zepsuciem i zgnilizną. Taki obraz duszy pogańskiej nakreślili wprawdzie Tacjan, Marcjon, janseniści itp., jednakże pawłowa idea „pełności czasów", „ekonomii" zbawienia winna raczej podsunąć wizję świata, który poprzez wielorakie formy religij i cywilizacyj, poprzez upadki i wzloty przedziera się z trudem, lecz niepowstrzymalnie, ku rodzącemu się chrystianizmowi, ażeby mu dostarczyć ciała.

W świetle tych rozważań znika rzekoma sprzeczność między dogmatem wezwania wszystkich ludzi do zbawienia a dogmatem konieczności tegoż zbawienia przez Kościół katolicki. Potępione zostało ciasne rozwiązanie Saint-Cyrana, iż „na pogan nie pada ani kropelka łaski", nie możemy uciekać się do cudów, gdyż ich prawem jest rzadkość, trudno zaiste zgodzić się na przyrodzone zbawienie większości ludzi przez zamykanie ich w bladej otchłani.

„Mimo różnic w wyjaśnianiu szczegółów... panuje dziś zgodne przekonanie, oparte na... wskazówkach Ojców i na zasadach św. Tomasza z Akwinu, iż łaska Chrystusa jest powszechna i że skutecznego środka zbawienia się — w pełnym znaczeniu tego słowa — nie brak żadnej duszy dobrej woli. Nie ma żadnego człowieka, żadnego „niewiernego", którego by nadprzyrodzone

nawrócenie się do Boga nie było możliwe u samego progu jego życia rozumnego."

„Niewierni" przez to, że wiąże ich z pewnością niewidzialna nić z wiernymi, że są członkami jednego Ciała — Ludzkości, które dzięki Wcieleniu i Odkupieniu na pewno będzie zbawione, mogą zostać zbawieni. Z tego oczywiście nie należy wnosić, iż niedobór i niewystarczalność niechrześcijańskich religij są tylko pozorne. Jeśli bowiem owym opuszczonym duszom „niewystarczające wystarcza", to płynie to stąd, że uzupełnia je skrycie, lecz rzeczywiście to, co ze swej natury w obecnej ekonomii Bożej wystarcza mianowicie Kościół katolicki.

„Tak samo jak ci Żydzi czy poganie, którzy żyli przed widzialnym przyjściem Chrystusa, byli jednakowoż zbawiani przez Chrystusa, a nie tylko przez Słowo, tak też ci, którym przychodzi żywota dokonać przed przyjściem widzialnego Kościoła do nich, bywają zbawieni nie przez przynależność czysto duchową i pozaczasową do „duszy" Kościoła, lecz na skutek rzeczywistego, aczkolwiek pośredniego i najczęściej ukrytego, związku z jego ciałem."

Podstawowe prawo Wcielenia, jakie spaja cały chrystianizm, pozwala nam łatwiej zrozumieć narzędną przyczynowość sprawczą w dziele zbawienia tej cząstki materii widzialnej i tego momentu historii, które Słowo przeniknęło w zjednoczeniu najściślejszym, osobowym, oraz tej instytucji doczesnej, która się z dumą zwie Oblubienicą Chrystusa, Matką naszą, tj. rzymskiego Kościoła.

Jeśli ks. de Lubac tak mocno uwypukla stronę wszechludzką, a więc społeczno-historyczną, katolicyzmu, to mimo to nie spuszcza wcale z oka niemniej istotnej katolicyzmowi prawdy o niezniszczalnej wartości jednostki, o transcendentnej godności osoby ludzkiej. Zdaniem — jakże słusznym — Autora katolicyzm był zawsze, a dziś jest bardziej niż kiedykolwiek, najważniejszą, owszem jedyną ostoją prawdziwego personalizmu. Powierzchownie rzecz ujmując łatwo stawiać dylemat: albo jednostka i jej osobiste przeznaczenie, albo społeczność i jej zbiorowe cele. Gdy się natomiast wzniesie ponad bezpośredni ogląd przestrzenny, to już się nie dostrzega rzekomej rozbieżności między katolicyzmem i perso-

nalizmem. Przeciwieństwo takie ukazuje się tylko tym, którzy albo się zamykają w perspektywie wyobraźni dochodzącej do monadyzmu, albo też zatrzymują się w rozmiarach czysto abstrakcyjnej logiki, pochłaniającej wszystko w jedni oderwanego pojęcia. Sprzeczności tej unika katolicyzm, gdyż ogarnia on naraz w jedni żywej intuicji tajemną spójnię między osobowością i społecznością, tak jak w jedni intuicji wiary obejmuje najbardziej niesprawdzalną wielość Osób Boskich w najściślejszej jedności tej samej wspólnej Natury. Według katolickiego dogmatu Królestwo niebieskie ewangelij synoptycznych, Ciało społeczne św. Pawła, Winnica mistyczna św. Jana nie tylko nie przytłumiają najbardziej podmiotowych zrywów duszy ludzkiej, lecz przeciwnie potęgują je swym niemal nieskończonym horyzontem, stają się ich głównym źródłem. Chrystus synoptyków właśnie przyznał cenę nieograniczoną duszy, której szkody nie zdoła okupić nawet pozyskanie całego świata, a Duch Chrystusa, który prze do przepowiadania ewangelii wszystkim narodom, przeobraża najpierw w skrytości serca apostołów. Niemniej w Listach św. Pawła dźwięczy tak bardzo osobista nuta: „Umiłował mnie i wydał samego siebie za mnie". Nie możemy także zapomnieć ni nawoływań „O naśladowaniu Chrystusa" do milczenia i skupienia, ni metody „Ćwiczeń" św. Ignacego zalecającej poddanie się bezpośredniemu działaniu Stwórcy, ni tak im pokrewnego *God and myself* Newmana. W katolickim ujęciu życia wewnętrznego nie zachodzi zgoła konieczność wyboru między tendencją „ezoteryczną" a tendencją „społeczną", gdyż oba kierunki mogą obok siebie współistnieć, na siebie wzajem oddziaływać i razem się uzupełniać. Ta sama świadomość mogła nakarmić wątek „Wyznań" i przemyśleć „Państwo Boże" i właśnie nie kto inny, lecz św. Augustyn, wzorem św. Pawła, nierozerwalnie jednoczy łańcuchem oddźwięków syntezę historyczną i analizę refleksyjną, o ile wszelki wysiłek pogłębienia wewnętrznego ma swój odpowiednik w rozszerzeniu się spojrzenia na wszechświat.

Człowiek nowy, będąc człowiekiem powszechnym, jest zarazem człowiekiem wewnętrznym: *ho eso.*

Ks. St. J. Góra T. J.

Zasięg Mitu XX wieku.

Nie ma dziedziny życia Trzeciej Rzeszy, której by nie przenikał *Mit XX wieku.* Nic więc dziwnego, że sięgnął także w przybytki sztuki germańskiej, określając jej istotę.[1])

Narodowo-socjalistyczna teoria estetyki głosi tożsamość piękna z wielkością i szlachetnością. Przez to samo zbliża się do tej szkoły, która stapiała w jedno piękno z dobrem. Zwłaszcza „nadludzie", schyłkowcy minionego stulecia, a zarazem adepci Nietzschego, łączyli w swym przekonaniu pojęcie cnoty z pojęciem siły. (Tenże sam Machiavel, którego rasowe pochodzenie Rosenberg tak bardzo gani, głosił przed czterema z górą wiekami analogiczne pojęcie siły, *virtu).* Od najdawniejszych czasów — tak zapewnia nas Rosenbergowy „Mit" — fizyczny ideał rasy Panów przedstawiał typ smukły, złotowłosy i modrooki, o jasnej cerze, wąskich ustach, kształtnych rękach i nogach. Takich, a nie innych, bohaterów opisują nam greckie poezje. Tak też będą wyglądały europejskie pierwowzory rzeźby i malarstwa wszystkich epok. Oczywiście, że ten kanon fizycznego piękna obowiązuje wyłącznie w świecie aryjskim. „Sąd w kwestii gustu opiera się jedynie na ideale rasowo-narodowym i posiada wartość tylko dla tych, którzy noszą w sercach ten sam ideał piękna". Jak tedy pogodzić powyższy relatywizm z faktem, że jednym i tym samym dziełem sztuki rozkoszują się ludzie należący do najróżnorodniejszych ras? i że sztuka mu-

[1]) Cfr. *Przegląa Pow.,* art. tegoż autora, wrzesień: „Mit XX wieku", str. 202—212, październik: „Apoteoza rasy kosztem historii", str. 3—15.

rzyńska potrafiła wzbudzić zapał wśród Anglo-sasów, którzy chcieliby wszakże móc zignorować jej artystycznych twórców? i że Wagner wprawia w szał Żydów i alpinoidów? że na koniec malarstwo chińskie oraz japońskie śpiewa na chwałę nie tylko bardzo nordyckich braci Goncourtów, ale także i dobrych Niemców?

Raczej jesteśmy skłonni podążyć za Rosenbergiem drogą jego wysoce subtelnej i wnikliwej analizy, określającej rolę woli oraz instynktu jako czynników artystycznej twórczości, dalej zaś omawiającej wewnętrzną wartość sztuki, przede wszystkim budowniczej, a obok tego styl jako wyrazy duszy jednostkowej lub zbiorowej. Wiele spośród rozumnych uwag naszego autora stanowi po prostu ostateczne wyciągnięcie wniosków, podsuniętych już uprzednio, jednakże bez dokładnego sformułowania, przez dzieła takich znakomitych historyków sztuki jak Wölfflin albo Strzygowski. Inne natomiast prawdy przedstawiają nam się jako wkład, zaksięgowany już oddawna w bilansie naszych wiadomości. Czyż sławna buffonowska zasada nie streszcza w jednym zdaniu ośrodkowego punktu estetyki Rosenberga? Cała ta część książki łącznie z krytyką Schopenhauera jest doskonała. Antysemityzm rasistowskiego myśliciela rozporządza w tej dziedzinie bezcennym materiałem do nasycenia swych uczuć pogardy dla Żydów. Istotnie, brak wielkiej twórczości syryjskiej w zakresie literatury i sztuki nie tylko nie da się zaprzeczyć, ale został tu jaskrawo wytknięty przez najzręczniejszego i najzawziętszego z polemistów. Słuszność wszakże faktów przytoczonych przez Rosenberga natychmiast słabnie, skoro tylko autor ten powraca do ogólników. Niezdolność do zrozumienia innej postawy bohaterstwa jak tylko jego formy czynnej lub zgoła napastliwej i brutalnej, nie pozwala piewcy „Mitu" na najmniejszą wrażliwość, czy to w stosunku do sztuki chrześcijańskiej, czy też do innych twórczości natchnionych uczuciami miłości i litosnego współczucia.

Prorok wielości w świecie, nasz filozof niemiecki okazuje się ogromnym zwolennikiem monizmu, a nawet monomanem, skoro zacieśnia swój artystyczny ideał, ogniskując go dookoła programowego przeżycia: *Fronterlebnis*. Kult Nie-

znanego Żołnierza zasługuje na szacunek jako jedna z najszlachetniejszych postaci patriotyzmu oraz ofiarnego ducha. Ale czynić zeń jedyną ideę przewodnią nowej wiary i wszelkich artystycznych wysiłków znaczy tyle samo, co zaprzeczyć ludzkości jej rozwojowego pochodu w ciągu trzydziestu stuleci; tyle samo, co powrócić do epoki, kiedy to mityczni bohaterzy wrogich sobie plemion urastali do godności bóstw, a tym samym pokrywali kosztem własnej swej osoby, fizycznej i duchowej, całkowitą wydajność oraz zasięg dążeń pierwotnego malarstwa i rzeźby.

Ale czyż ten powrót do natury i do mitycznych pradziejów nie stanowi właśnie samej istoty posłannictwa Rosenberga? Mówiąc o Państwie Przyszłości w trzeciej części swego dzieła, nawraca on ustawicznie do okresu dzieciństwa ludzkości. „Przyjdzie czas, kiedy narody otoczą czcią wielkich marzycieli... których tęsknoty przemieniają się w obrazy i których sama wizja staje się życiowym celem". Ten okres marzycieli już nadszedł, oświadcza nam Rosenberg. Czy należy wszakże szukać w mitycznej przeszłości najwyższego ukoronowania przyszłości? W tym pytaniu tkwi zagadnienie nad zagadnieniami.

„Mit XX wieku" nie zakazuje tak drogiej Nietzschemu teorii Wieczystego Powrotu, ani też doktryny Spenglera o pewnego rodzaju okrężnym ruchu myśli oraz ideałów. Niemniej przeto żąda od nas ponownego skierowania naszych kroków ku początkowemu, wyjściowemu punktowi. Ani postępu, ani ewolucji, albowiem narodowo-socjalistyczna rewolucja wymaga retro-ewolucji. A więc: „stwarzać typ, przeżywając mit?" Ależ to właśnie zdziałały epoki przedhistoryczne, świadkiem nieboszczyk Lamprecht i tylu innych obok niego.

Nie zamierzamy trzymać się kurczowo książkowej dyskusji. Byłoby to wręcz śmieszne w obliczu ruchu o dziejowej doniosłości i wobec twórczej potęgi narodowego socjalizmu. Nie mamy też po co badać, o ile słusznym było zastosowanie w życiu zasad niewątpliwie podlegających dyskusji, które to zasady jednakże wykazały, iż są zdolne do rozbudzenia i ożywienia sił narodowych, jako też do pokie-

rowania tymi siłami. Chcielibyśmy jedynie zakwestionować Rosenbergowi konieczność ewolucji, do której zresztą sam walnie się przyłożył, zarówno do jej początku jak do zwycięskiego końca. Rosenberg utrzymuje, że to, co się stało w Niemczech, musiało się tam stać. Istotnie widzimy, że się stało. Ale wobec germańskiego obrońcy wolności, prawdziwej wolności niemieckiej, stajemy my w obronie idei wielości dla idei wolności i w obronie idei wolności dla wielości możliwych ewolucyj...

„Prawdziwa organiczna wolność jest możliwa wyłącznie w ramach jednego i tego samego typu. Wolność duszy i wolność osobowa mają zawsze jedną postać, jeden kształt *(Gestalt)*. Ta postać (czy też kształt) posiada zawsze określone, plastyczne granice, uwarunkowane czynnikami rasowymi. Rasa jest zewnętrznym warunkiem danej duszy". „Przeżywać typ jakiś znaczy sprawić, aby ujawniła się znajomość mitu całej naszej historii: narodziny rasowej duszy nordyckiej oraz wewnętrzne uznanie jej najwyższych wartości winny służyć za gwiazdy przewodnie całemu naszemu istnieniu". Powiedzenie piękne i, nawet być może, dość dobre, choć nie bez pewnych zastrzeżeń. Pomimo tego nie przestaje ono być jedynie „twierdzeniem oraz wyznaniem", nieobowiązującym nie tylko dla ludzi innej rasy lub innego typu, ale także i dla tych, co bardzo aryjscy i bardzo nordyccy, bardzo germańscy i bardzo niemieccy, odkrywają wszakże inny sens, odmienne znaczenie w przeszłości swojego narodu i swojej rasy.

Narodowo - socjalistyczne państwo posiada zupełną swobodę orzeczenia, zgodnie z p. Rosenbergiem, iż „jest to powinnością i zadaniem każdej jednostki służyć ze czcią nowym zadaniom narodu". Państwo to może również oprzeć wychowanie, etykę i politykę na podstawach dogmatu, głoszącego, że „idea honoru narodowego będzie stanowić alfę i omegę naszych postępków". Żadne wszakże państwo ani żaden wódz, żaden myśliciel ani żadna książka, nie zdołają przekonać chrześcijan ani ludzi, którzy zdołali ocalić w sobie choćby szczyptę krytycyzmu, że na podobnym posłuszeństwie honorowi narodowemu „polega naprawdę wieczne

zbawienie lub, oddając wierniej niemieckie wyrażenie: *die ewige Seligkeit*, — wiekuista szczęśliwość.

Wielki wróg bezwzględności grzeszy przede wszystkim przez to, że jako bezwzględne prawo dla rasistowskiej społeczności i jako wiekuistą dla niej prawdę podaje częstokroć to, co stanowi zaledwie jeden z kilku możliwych (przynajmniej praktycznie, jeżeli nie logicznie) wyników, wypływających z jakiejś przesłanki, która zawiera w sobie nie jedną, ale kilka odrębnych ewentualności. Naziści wyznają kult wielkości, szerokich przestrzeni i rozległych widnokręgów. Jest to jedna z ich niezaprzeczonych zalet i zarazem zasadniczych omyłek. Germańskie *kolossal*, wygnane drzwiami z dziedziny estetyki powraca znowu inną furtką (unikamy tu słowa „okno", aby nie razić uszu czytelnika nazbyt syryjskim brzmieniem). Nazistowski ustrój przetrwa 10 tysięcy lat! (banzai! banzai! tego samego życzą swoim cesarzom Japończycy!) Historia kilku wieków znaczy zaledwie coś nie coś. Aby wywołać wrażenie, cofnijmy się raczej o kilka tysiącleci, ku pierwszym brzaskom rasy nordyckiej. Spoglądajmy górnie, wielkimi oczami, mówmy wielkim głosem! Tupet i pewność siebie zawsze nakazują szacunek. (Bez cienia ironii uznajemy to w polityce i niektórym rządom życzylibyśmy nieco więcej tych zalet!) Ale nauka, ale historia, ale filozofia, zwłaszcza zaś religia i wiara wymykają się z magicznego kręgu wpływów obydwu wymienionych czynników. I tu proszę o wybaczenie, że w związku z osobą antyguślarza p. Rosenberga, mówię pomimo wszystko o magii, ale pewien normandzki i nordycki arystokrata, hr. Robert d'Harcourt, opisał całą nazistowską propagandę mniej więcej w ten sam sposób, z tego samego — magicznego — punktu widzenia i w podobnym oświetleniu jak to w zastosowaniu do rzymskiego Kościoła uczynił nasz autor.

„Trzeba znieść Stary Testament" woła p. Rosenberg. „Życie Jezusa, a nie Jego śmierć w cierpieniach obchodzi nordyckiego człowieka". „Kult żołnierza walczącego za honor swojego narodu, oto poczucie życiowe *(Lebensgefühl)* w nowej epoce". I na koniec: „nowy Mit oraz siła, stwarzająca typy, żadnymi zarzutami zbić się nie dadzą... utorują sobie drogę i stworzą fakty". Nie będziemy też ich zbijać.

Wystarczy, gdy „Mit" opatrzony kilkoma krytycznymi komentarzami przedstawimy publiczności, nie związanej moralnym kodeksem Trzeciej Rzeszy, poczem przyjrzymy się faktom, które „Mit" wspomniany zdołał stworzyć.

Myśl Rosenberga nie nadaje się po temu, aby dyskutować nad nią z wysokości katedr uniwersyteckich, ani też żeby czynić z niej przedmiot uczonych polemik. Chce ona być i stała się istotnie jedną z tych moralno-politycznych sił, które sama wysławia jako wyraz wewnętrznego rozpędu nordyckiej rasy. W wewnętrznej polityce Rzeszy „Mit" zaważył przede wszystkim na wychowaniu. Pogarda miłosierdzia i słabości, drapieżna i dzika duma rasowa, kult fizycznego piękna i fizycznej siły ożywiają dzisiaj niemiecką młodzież obojga płci. Dziewczęta poddają się z radością wywodom, zakazującym im działalności politycznej; młodzieńcy nie tracą czasu na wystąpienia ani rozprawy przeciwko żelaznej dyscyplinie. Kształcenie charakteru dało w pewnej mierze bardzo cenne wyniki; na nieszczęście przyczynia się ono również do zupełnego wykorzenienia i zatarcia wszelkich śladów etyki chrześcijańskiej.

Nietzsche stworzył pokolenie „nad-ludzi", którzy zaludniali biura oraz salony, nosili wielce fantastyczne krawaty, okulary i długie spodnie, ale w chwilach stanowczych chwytali się tradycyjnej etyki. Prócz tego „Zarathustra" nie wyszedł poza intelektualne ośrodki klas posiadających, „Mit XX wieku" natomiast, rozszedł się w przeszło 600 tysiącach egzemplarzy: czytają go, studiują i przyklaskują mu wszystkie warstwy niemieckiego społeczeństwa. Ci młodzieńcy z 1938 roku, w szortach, o twardym spojrzeniu skierowanym na wroga, ci bywalcy gór i wiejskich pól, będą żyć tymi ideami, które dzisiaj wyznają. „Mit" stał się prawdą, jeśli nie wiekuistą ani bezwzględną, to w każdym razie prawdą odpowiadającą naszej epoce w zakresie niemieckiej rzeczywistości.

Każda karta prawodawstwa Trzeciej Rzeszy odbija na sobie ducha Rosenbergowego. Upośledzenie nie-aryjczyków, ochrona krwi aryjskiej, groźby wymierzone przeciwko wrogom niemieckiego honoru, całe prawo karne, przywilej

włościaństwa znajdują dla siebie odpowiedniki razem z usprawiedliwieniem w podręcznym dziele nordyzmu, w „Micie XX wieku". To samo tyczy się postawy Rzeszy wobec piśmiennictwa i sztuki, a niestety także i jej stosunków z Kościołem. Jedynie względy praktycznej natury wstrzymują Niemców od zbyt ścisłego wykonywania nakazów p. Rosenberga. W gruncie rzeczy on to właśnie jest logiczny. „Idea honoru narodowego" — w pojęciu doktora narodowego socjalizmu — „nie znosi obok siebie żadnego innego ośrodka siły, obojętne, czyby to była chrześcijańska miłość, masoński humanitaryzm, czy rzymska filozofia". Wysunięcie i podkreślenie z naciskiem powyższego zasadniczego twierdzenia, które chcielibyśmy poruczyć szczególniejszej uwadze niektórych katolików, nawet bardzo wysoko postawionych, — jak również porównanie teorii p. Rosenberga oraz innych pisarzy Trzeciej Rzeszy z praktyką w zakresie kościelnej polityki niemieckiej, winnyby stać się przedmiotem osobnych studiów.

Pozostaje nam do poruszenia ostatni punkt, polityka zagraniczna Rzeszy. P. Rosenberg stosuje swoje teorie nawet i w tym zakresie, najmniej odpowiednim dla idei powziętych z góry. Wychodząc ze swoich nordyckich założeń oraz z nordyckiego ideału, zaleca on ścisłą współpracę państw germańskich, jako to: W. Brytanii, Niemiec, krajów skandynawskich, a nawet Stanów Zjednoczonych, — z faszystowską Italią oraz potęgami Dalekiego Wschodu, Japonią i Chinami. Ten polityczny związek miałby przed sobą do zwalczenia Francję wraz z U. R. S. S. jako ośrodki rasowego upadku i rozkładu, w dalszym zaś ciągu wchodzi w grę przyszłe przebudzenie się rasy czarnej. Nie rozwodźmy się nad odrazą nadbałtyckiego barona do Sowietów; jest ona aż nadto zrozumiałą nawet tam, gdzie przeciąga on nieco struny. Ale jakże można nie oburzyć się na tę ślepą nienawiść, jaką pała do Francji, kraju znanego mu zresztą z dłuższego pobytu i który winienby przedstawiać dlań coś więcej nad samego tylko sojusznika Rosji i nad raj dla Żydów, mulatów oraz „pod-ludzi" — alpinoidów...

Oto przepowiednia Rosenberga dla Francji: „Rozsądni Francuzi mogliby sami przedsięwziąć uzdrowienie własnego kraju, nie na podstawie swych dawnych tradycyj nordyckich, lecz w oparciu o charakter zachodnio - alpejski. Winniby zatem wyrzec się myśli o hegemonii Europy i ugiąć się przed biologiczną koniecznością, zezwalając przy tym na upadek Polski, Czechosłowacji oraz innych państw Małej Ententy. Dalej musieliby się odłączyć od Żydów oraz murzynów i zadowolnić się granicami odpowiadającymi w tych nowych warunkach ludności francuskiej. Taka Francja mogłaby istnieć dla rozwoju swej kultury bez żadnych przeszkód ze strony Niemiec i jeszcze pomimo wszystko pozostałaby wtenczas ważnym czynnikiem w polityce europejskiej. W przeciwnym zaś razie musi powstać koalicja wielkich wyżej wymienionych potęg, Anglo - Sasów, Niemców oraz Włochów, przeciwko murzyńsko - alpejsko - żydowskiemu Wschodowi.

Czyżby jedno jeszcze marzenie, pieszczone przez Germanów i ich proroka, p. Rosenberga? Ach nie, to tylko pełny obraz współczesnej dyplomacji światowej. Przeciwnicy Rzeszy w żadnym razie nie mogą wymawiać się nieświadomością w sprawie niemieckich zamysłów. Germania bowiem głosi je otwarcie i szczerze, tak jak to jej przystoi zgodnie ze wskazaniami zaczerpniętymi z kodeksu nordyckiej etyki. Tu właśnie leży ujście, przez które wyłomem Belfortu i Lotaryńsko - Luksemburską bramą — dobywa się, uchodzi ku „krainom zgrzybiałego Zachodu „Mit XX wieku“— już jako przerażająca prawda i rzeczywistość. Świeży rozbiór Czechosłowacji stanowi dalszy tylko etap.

Nie, już teraz przestały nas otaczać święte tajemnice i misteria. Nie stoimy już przed widownią, na której miała się rozegrać walka bogów i olbrzymów. Ren płynie nie tylko przez kraj wagnerowskiej legendy, zrasza także linię Maginota i niderlandzką równinę. Zarozumiała i napastliwa ewangelia siły, katechizm etyki władców, epopeja rasy nordyckiej opuszczają dziedziny piśmiennictwa i filozofii, ogarniając za to newralgiczny pas Europy. I oto nagle znikają ciemności a czyni się światłość, potężna mocą swych promieni i... objawień.

F. Walczyński.

Rasa i narodowość.

Wiadomo, że Gobineau, Vacher de Lapouge, Ammon, Chamberlain (*Grundlagen des XIX Jahrhunderts),* Woltmann, oraz cały szereg niemieckich uczonych narodowo-socjalistycznych głoszą zawsze wyższość tzw. długogłowych *(dolychocephali)* nad krótkogłowymi *(brachycephali)* i że te cechy uważa się za stałe i poniekąd niezmienne. Jednak Rzymianie starożytności nie byli długogłowymi, a Dante, Leibniz, Goethe, Beethoven, Michel Angelo Buonarotti i Rafael, byli mieszańcami krótkogłowych z długogłowymi, co nie uwłaczało ich geniuszowi. Madison Grant i Lothrop Stoddard twierdzą, że współcześni Niemcy nie pochodzą od dawnych długogłowych, których właśnie w Niemczech mocno przetrzebiła 30-letnia wojna. Jeżeli więc Niemcy dali i później dowody geniuszu w różnych kierunkach, to dalszy dowód, że geniusz nie jest bynajmniej monopolem długogłowych. Kretschmer podkreśla imponujące znaczenie pomieszania rasy nordyckiej z alpejską (południowo-niemiecką) dla nowej kultury europejskiej. Ratzel, Luschan, Andrian, Hettner, Vierkandt przeczą istnieniu koniecznego związku między różnicami fizycznymi, a cechami umysłowymi i moralnymi. Według Luschana różnice umysłowe i moralne między członkami tej samej rasy mogą być większe, aniżeli między członkami różnych ras. Wielu innych uczonych, podzielających te poglądy wymienia Hertz, m. in. znakomitych etnologów tudzież filozofów jak Wundta, Jodla, Münsterberga, socjologa Maxa Webera, historyka Edwarda Meyera.

Dawno przed nowoczesnym sformułowaniem poglądów rasistowskich indyjskie księgi Manu i Yajnavalkya (wym.

lädschnavalkja) dzieliły społeczeństwo indyjskie na kasty, uznając, że w kastach nie ma możności przejścia między białym kolorem skóry Aryów a czarnym niewolników (äryo varnah i däso varnah) ani też między Aryami i Südrami. Przyjmowanie a nawet dotknięcie pokarmów, sporządzonych przez człowieka niższej kasty, a tym bardziej wspólne ich pożywanie lub jedzenie tego, co członkowie kast Dhanaków i Cukrasów pozostawili, było surowo wzbronione. Tylko pokarm sporządzony przez bramina wolno spożywać Hindusowi innych kast (z małymi wyjątkami). Dotknięcie a nawet sam widok ludzi, należących do kast, będących w szczególnej pogardzie, uważało się za zanieczyszczenie. Za nieposłuszeństwo w tym względzie groziło jako najwyższa kara wydalenie z kasty, połączone z niemożnością przyjęcia do kasty innej. Ukarany w ten sposób tracił po prostu możność egzystencji, o ile nie opuścił kraju, lub nie wstąpił do klasztoru. Wiara indyjska w kasty łączyła się z wiarą w preegzystencję w poprzednich żywotach, w wędrówkę dusz, w przeznaczenie nieodwracalne i nieodmienne. Był to fatalizm, wykluczający działanie woli ludzkiej i chylący czoła przed miażdżącym wozem Dżaggernauta.

Ksenofobia u innych narodów starożytności objawiała się w formach o wiele mniej jaskrawych. [1])

U starożytnych Rzymian niewolnicy — zazwyczaj różni rasowo a w każdym razie narodowo — byli odrębnym stanem, z którym nie wolno było wchodzić w *connubium* ani *commercium*. Podobne postanowienie znajdujemy w *Lex Romana Visigothorum: Inter servos et liberos matrimonium contrahi non potest.* [2]) Była jednak uznana zasada indywidualizacji, możność ewolucji w dopuszczeniu wyzwolenia, stanowiącego pierwszy krok do obywatelskiego równouprawnienia, nie zawsze zresztą stosowana odpowiednio, tak że ustawy specjalne musiały zakazywać wyzwalania byłych zbrodniarzy i wrogów narodu rzymskiego. [3])

---

[1]) Por. Pischel — Lüders, Kasten, Hdw. d. Staatswisenschaften w III wyd. V. 798 i n.

[2]) Wyd. Haenela 1849, str. 368 cyt. u Günthera *Herkunft und Rassengeschichte der Germanen*. München 1935.

[3]) Por. lex Aelia Sentia i lex Fufia Caninia.

Do bezwzględnego poglądu indyjskiego, który jest nie tylko ekskluzywnie nacjonalistyczny ale wprost beznadziejnie (dla innych) fatalistyczny, powraca dziś narodowy socjalizm neopogański w szacie niemieckiej.

Kościół katolicki stoi natomiast na stanowisku uniwersalistycznym i ewolucyjnym. Św. Paweł opowiadał Ateńczykom w Areopagu, że istnieje jeden Bóg, który uczynił „wszystek rodzaj ludzki aby mieszkali na całej ziemi„ (Dzieje Apost. 17. 26), a w liście do Galatów (3. 26. 28) pisał: „Wszyscy bowiem jesteście synami Bożymi przez wiarę w Chrystusie Jezusie", a w liście do Rzymian (10. 12): „Nie ma Żyda ani Greka, nie ma niewolnika ani wolnego, nie ma mężczyzny ani niewiasty, bo wszyscy wy jedno jesteście w Chrystusie Jezusie". Nie były te powiedzenia, rozumie się zaprzeczeniem różnic rasowych, tak jak nie były zaprzeczeniem różnic między płciami, ale jeno stwierdzeniem wyższej łączności ogółu ludzi we wspólnej wierze, jako też możności ewolucji wszystkich, możności podnoszenia się na wyższy poziom, od której żaden człowiek wyłączony nie jest. Tak samo słowa w Ew. św. Mat. (10. 35) o opuszczeniu związków rodzinnych dla miłości Bożej, nie oznaczały rozbicia czy potępienia ich, co zjadliwa antychrześcijańska interpretacja narodowo-socjalistyczna usiłuje w nich wyczytać, ale oznaczały jedynie pierwszeństwo nadprzyrodzonego związku z Bogiem.

Nikt nie zapoznaje głębokich różnic między rasami tak pod względem uzdolnień fizycznych i umysłowych jak i pod względem predyspozycji do pewnych szczególnych zalet i wad charakteru. Idzie tylko o to, czy owe cechy w ciągu wieków mogą ulec dziedzicznym modyfikacjom, czy też nie: czy może to w danym razie nastąpić tylko wskutek dopływu innej krwi, czy też także wskutek odmiennego wychowania, wpływów nowego środowiska itp.?

Lamarck i Haeckel głosili swego czasu, że wszelkie cechy tak odziedziczone jak i w ciągu życia nabyte, mogą być dziedziczne. Weisman twierdził, że przedmiotem dziedziczności mogą być tylko cechy odziedziczone lub występujące w formie spontanicznej odmienności. Bystroń [1]) twier-

[1]) *Socjologia*, 1936, str. 44.

dzi, że wprawdzie sportowiec, który sam wyrobił sobie umiejętnymi ćwiczeniami dużą sprawność fizyczną, nie może przekazać jej potomstwu. Ale w każdym razie mogą zdarzyć się w jednostce mutacje, które powodują powstanie nowych cech dziedzicznych.

Nie znamy mechanizmu tych zmian i nie możemy ich sztucznie wywoływać; możemy jedynie ułatwiać czy też utrudniać rozmnażanie się jednostki, u której mutacja nastąpiła.

Szanse przekazywania nowych cech potomstwu określa poza panowaniem eugeniki, jako bardzo niewielkie.

Konkluzje gospodarcze z tych poglądów mogą mieć doniosłość pierwszorzędną.

Anglicy byli pierwotnie narodem rolniczym i nic nie zapowiadało ich przyszłej wielkości ani intelektualnej, ani gospodarczej. Najazd Normanów stał się dla nich błogosławieństwem. Dzięki pomieszaniu krwi z Wikingami podbili piątą część świata, wydali Rogera Bacona, Shakespeare'a i Newtona. Pomieszanie krwi hiszpańskiej z saraceńską, a po części semicką, nie wydało tak świetnych rezultatów.

Niemcy XVIII i początku XIX wieku, naród „poetów i myślicieli" *(der Dichter und Denker),* naród odznaczający się wyjątkową tolerancją narodową, który wydał Goethego i Wielanda, entuzjastów Napoleona — rozdarty waśniami religijnymi i nieustannymi walkami udzielnych książąt między sobą — zapatrzony w kontynuację uniwersalnego cesarstwa rzymskiego — stał się dziś ogniskiem hypernacjonalizmu a nawet rozpoczął walkę z chrześcijaństwem, którą kiedyś sam „wódz" w programowym swym dziele: *Mein Kampf* uznał za politycznie niewskazaną. Czy i tu nastąpił dopływ krwi innej? Chyba nie. A jednak przewrót jest gruntowniejszy i pełniejszy, aniżeli poprzednie.

Bystroń twierdzi, że należy odróżnić rasę od populacji, która jest jedynie zespołem ludnościowym, wykrzyżowanym w ciągu pokoleń wskutek historycznego współżycia, w którym drogą analizy naukowej możemy wyróżniać pewne składniki rasowe. [1]) Na tej zasadzie twierdzi, że nie ma rasy ani polskiej ani żydowskiej (str. 37, 38), zaliczając

[1]) *Socjologia,* Warszawa 1936, str. 37.

do składników rasowych narodu polskiego nordyjski, alpejski itd., do składników narodu żydowskiego semicki, śródziemnomorski, przednioazjatycki itd.

Mimo to w dalszym ciągu rozważać będziemy nasz problem tak, jak gdybyśmy mieli do czynienia z czystymi a nie pomieszanymi rasami. Sprawa bowiem dziedziczności cech dodatnich czy ujemnych oraz zmiany tych cech pod nieznanymi nam przeważnie wpływami, należy do najsporniejszych i najciemniejszych problemów biologicznych.

W ostatnich stu latach Żydzi z narodu ledwie tolerowanego, prawie że pogardzanego, wznieśli się w znacznym procencie i to wszędzie wśród narodów cywilizowanych na szczebel elity panującej. Naprzód zagarnęli największe w Europie bogactwa. „Dynastia" Rothschildów dyktowała długie lata w Europie pokój czy wojnę. Pomoc Austrii dla powstania polskiego w 1863 r. nie mogła przyjść do skutku, ponieważ wiedeński Rothschild nie chciał dostarczyć na nią funduszów. Bismarck posługiwał się w swych wszelkich operacjach finansowych pośrednictwem wielkiego domu bankowego Mendelssohna w Berlinie i frankfurckiego Rothschilda. Wojnę Krymską i pogotowie floty angielskiej dla zabrania Cypru bez wystrzału w czasie konferencji berlińskiej 1878 finansował na żądanie ministra Disraeliego londyński Rothschild. Potężną flotę handlową Niemiec: Hamburg-Amerika-Linie dzierżył w swym ręku inny żyd: Ballin, pono przyjaciel Wilhelma II. Jeżeli mimo kompromitujących klęsk rosyjskich w czasie wojny japońskiej 1904/5 rubel utrzymał się na wyżynie dawnego kursu, to było to wynikiem akcji berlińskiego domu bankowego Mendelssohna. Baron Hirsch wyciągał rękę po Turcję, budując wielką kolej bałkańską i po Argentynę, zakładając tam — zresztą z małym powodzeniem — kolonie rolnicze dla swych współwyznawców. Nie było w Europie przez długie lata niemal żadnych wielkich banków, w których by nie rządzili Żydzi a przez nie wielką polityką światową. Po wojnie światowej Oustric, Kutisker, Sklarkowie, Barmatowie, Bosel, Petschkowie, Loewenstein, Castiglioni, Strauss, Goldschmidt, Marta Hanau, Sascha Stawisky trzęśli giełdami europejskimi.

A teorię tych arcylukratywnych czynności wypracował im Dawid Ricardo, szczęśliwy spekulant giełdowy, stwarzając racjonalistyczną ekonomikę liberalną, opartą na skrajnym egoizmie i żądzy zysku, niepohamowanej skrupułami etycznymi, jako czynnikami poza ekonomicznymi.

Równocześnie zabezpieczyli się Żydzi i z drugiej strony. Stali się twórcami, rzecznikami, finansistami i niejednokrotnie także wykonawcami najskrajniejszych ruchów socjalistycznych i komunistycznych. Karol Marx uznał w stworzonej przez siebie teorii materializmu dziejowego, za właściwy fundament wszystkiego, co się dzieje na świecie: interes materialny. Podporządkował mu, podobnie zresztą jak czyniła to cała ekonomika liberalna w praktyce, choć tego wyraźnie nie mówiła, wszelkie nauki, całą historię ludzkości.

Niezwykła kariera Bronsteina-Trockiego olśniła jego szwagra, multimilionera Wahrburga, współwłaściciela wielkiego domu bankowego Jakuba Schiffa (istniejącego w Nowym Yorku pod firmą Loeb, Kuhn i Ska), który naprzód dostarczył funduszów na obalenie caratu a gdy się to udało, spodziewał się ujrzeć niebawem szwagra swego jako samowładnego dyktatora rozgromionej Rosji carskiej, w której tak niedawno odbywały się pogromy żydowskie. Widział w dokonanym przewrocie Nemezys historii i do jej zwycięstwa chciał się przyczynić. Finansował więc i dotąd finansuje wszystkie zabiegi Trockiego i jego licznych zwolenników, pokrył całą Europę siecią tajnych ajentów, dotarł do najwyższych dygnitarzy rosyjskich i przy ich współpracy podminował olbrzymie państwo.

I oto nagle załamuje się to wszystko. Materialistyczna ekonomika, tak liberalna jak i komunistyczna zachwiały się w swych najgłębszych podstawach. Wieczne prawdy chrześcijaństwa rozpoczęły w encyklikach papieskich zwycięski pochód po całej kuli ziemskiej. Milionerzy żydowscy w Niemczech złamani, w Stanach Zjednoczonych dzięki Rooseveltowi, a we Włoszech dzięki Mussoliniemu mocno ukróceni w dotychczasowej samowoli; nawet panowanie b. premiera Bluma i jego adherentów w masońskiej zdawało się i utraconej dla chrześcijaństwa Francji, utrącone.

A jednocześnie szczupła na razie garstka żydowskich idealistów — niewątpliwie nie skutkiem dopływu krwi aryjskiej, ale skutkiem wielkiego wstrząsu, doznanego w następstwie nieustannych najcięższych oskarżeń — odbudowuje w naszych oczach żydowskie rolnictwo w Palestynie, przywracając w zmaterializowanym doszczętnie narodzie cześć dla bezinteresowności i honoru.

A przy tym czy nie nawiązują te jednostki do wielkich tradycyj przeszłości, do nieśmiertelnych postaci prawodawcy narodu, Mojżesza, do wielkich i nieskazitelnych proroków, jak Jeremiasz, Izajasz, Eliasz i tylu innych, o których namiętnym ukochaniu sprawiedliwości społecznej opowiada nam Pismo święte!?

W wyższym stopniu, niż ktokolwiek zdajemy sobie sprawę z ciężkich przewinień Żydów. Podnosiliśmy je w dwóch pracach o kwestii żydowskiej i o lichwie, wydanych w r. 1893, a więc w czasie, gdy w Polsce nikt prócz Merunowicza i Jeske Choińskiego, w Austrii nikt prócz Luegera i jego przyjaciół czynić tego nie śmiał, a większość ludzi kłaniała się w Europie tchórzliwie i bezmyślnie złotemu cielcowi, potakując nagonce na śmiałków, podnoszących głos krytyki przeciw Żydom.

Ale tu nie idzie o obronę ani o oskarżenie. Idzie wyłącznie o problem rasy. I tu nie znaczy nic, że prorocy *Starego Testamentu,* czy dwunastu apostołów, którzy również wszyscy byli Semitami, żyli tak dawno temu. Rzeczą ważną jest natomiast, że ich wydała rasa semicka, że więc z d o l n a ich była wydać. A gdyby na to odpowiedziano, że od tego czasu, Żydzi beznadziejnie „się popsuli", może wolno będzie powołać się na kilka nazwisk znanych i szanowanych powszechnie w Polsce nie tylko za wiedzę i uczucia patriotyczne, ale i za charakter bezinteresowny i prawy. Mam na myśli Juliana Klaczkę, Ludwika Finkla, Władysława Natansona, Szymona Askenazego, Henryka Nusbauma, Aleksandra Kraushara i Szymona Dicksteina, którzy wszyscy należeli do rasy semickiej. A służyć Polsce w epoce rozbiorów nie było chyba dowodem „zmysłu praktycznego".

Szwajcarskie czasopismo *Wandlung,* redagowane przez znanego i w Polsce Hansa Zbindena zestawia cały szereg

nazwisk ludzi, rasowych semitów, a odznaczających się wybitnie twórczym umysłem. [1])

Nie przeceniamy bynajmniej siły dowodu opartego na takim właśnie zestawieniu; pragniemy jedynie stwierdzić niewątpliwy fakt, że o ile lichwiarze i giełdziarze żydowscy, arendarze i handlarze dziewcząt oraz im podobni słuszny budzą wstręt u wszystkich ludzi uczciwych — a jest tych pierwszych niestety tak wielu, że ogół widząc ich liczbę, wyrobił sobie opinię, że takim jest cały ogół — są jednak w tej masie ludzie nie tylko wybitni i znakomici, ale i ludzie o wyjątkowym harcie ducha, bo musieli zwalczyć zrozumiałe uprzedzenia i okazać całym życiem, że na nie nie zasługują.

Chamberlain nie przeczy temu, że byli między Żydami ludzie wybitni i twórczy, ale tłumaczy to pochodzeniem ich od „jasnowłosych aryjskich Amorytów", z którymi Żydzi od dawna pomieszali się rasowo. [2]) Ale to dowodziłoby je-

[1]) Wśród ludzi nauki: astronomowie sir Wiliam Herschel, sir John Herschel, fizycy: Henryk Hertz, Niels Bohr i James Franck, chemicy: Fritz Haber, Adolf Bayer, Wiktor Mayer, Willy Marckwald, Henryk Caro, Ryszard Willstätter i Otto Wallach, matematycy: Karol Gustav Jacobi, Jerzy Cantor, Paweł Appel, Jaques Hadamard i Fedengo Enriquez, odkrywcy i geografowie: Emin Pascha, Herman Vambéry, lekarze i anatomowie: Fryderyk Gustaw Henle, Juliusz Cohnheim, Antoni Weichselbaum, Ferdynand Hebra, Paweł Ehrlich, Emil Kraepelin, Albert Neisser, Adam Politzer, Markus Hayek, Adolf Baginsky, Teodor Billroth, Oskar Liebreich, August Wasserman, Edward Hitzig, Karol Landsteiner, Zygmunt Freud, Cesare Lombroso, biologowie i fizjologowie: Antoni Leeuwenhoek, Juliusz Sachs, Edward Strassburger, Jaques Loeb, Józef Goldberger, Eliasz Metschnikow, Ryszard Semon, geolog Edward Suess, antropologowie: Franciszek Boas i F. V. Luschan, wynalazcy: Otto Lilienthal, bracia Wright, Dawid Schwarz, Filip Reiss, Gustaw Eiifel, Zygfryd Markus i Robert Lieben, filozofowie: Montaigne, Baruch Spinoza, Henryk Bergson i Edm. Husserl, archeolodzy: Salomon Reinach i Melchior de Voguë — oprócz szeregu znakomitych pisarzy, muzyków, kompozytorów, malarzy, rzeźbiarzy i mężów stanu. Między wymienionymi 8-miu otrzymało nagrodę Nobla (Franck, Haber, Bayer, Willstätter, Wallach, Hedin, Ehrlich, Landsteiner). A n a u k a b y ł a z a w s z e z ł y m i n t e r e s e m. Nie wymieniono tu Einsteina i wielu innych. Szczegółowe ich zasługi naukowe, a po części także wiadomości o ich charakterze i bezinteresowności podaje *Wandlung*.

[2]) Ks. prof. Pastuszka — Filoz. i społ. idee Hitlera, Lublin 1938, str. 8.

dynie że: 1) małżeństwa mieszane wśród Żydów były faktem dodatnim wbrew poglądom narodowego socjalizmu, 2) Żydzi nie są członkami rasy czysto semickiej, ale tak samo mieszańcami jak i inne narody, 3) wydali także wielkich ludzi, którzy upamiętnili się w dziejach ludzkości, jak i inne narody.

Poza tym jak wytłumaczyć to wszystko, nie uznając zasady ewolucji i indywidualizacji, to jest tej zgodnej z pocieszającym postulatem filozofii dziejów zasady o postępie ludzkości ku dobremu, zasady zgodnej z wieczną prawdą Ewangelii?

Wiarę w ten postęp ludzkości wzmacnia ponadto jeden jeszcze moment. Wspomnieliśmy już o nim mówiąc o zastrzyku krwi normandzkiej w narodzie angielskim. Mamy na myśli krzyżowanie ras. Gdyby nawet wszystkie twierdzenia o wyższości jednych ras nad drugimi były w zupełności i bez zastrzeżeń prawdziwe, — czego jak się zdaje nauka dotąd w sposób niewątpliwy nie rozstrzygnęła, — pozostałaby otwartą kwestia, czy i gdzie istnieją dziś w Europie rasy czyste i nie pomieszane z innymi?

Utrzymała się dotąd odrębność Katalończyków i Basków w Hiszpanii, odrębność Celtów w Irlandii, a polskich chłopów na Górnym Śląsku, dzięki której Irlandia uzyskała w cudowny sposób niepodległość, a Ślązacy po 600 latach niewoli powrócili do macierzy, utrzymała się jedność rasowa Niemców w dwóch państwach, która umożliwiła im połączenie się w naszych oczach. Ale co do Polski ta czystość rasowa jest wątpliwa. Dzieła wydane przez niemieckich antysemitów *Semigotha* (Kyffhäuserverlag München 1913) i *Aristokratisch-jüdische Allianten* (tamże 1914) wymieniają tysiące rodzin arystokratycznych w Europie, między nimi bardzo wiele polskich, spowinowaconych z Żydami. Ale może te daty nie są ścisłe. Wiadomo jednak, że statut litewski z r. 1588 nadawał szlachectwo każdemu Żydowi i każdej Żydówce za samo przyjęcie chrztu. Można sobie wyobrazić, że wzbogaceni na handlu i lichwie Żydzi skwapliwie korzystali z prawa, które podobno przyszło do skutku nie bez ich zabiegów, uzyskując w ten sposób za jednym zamachem w szlacheckiej Polsce pełnię praw obywatelskich

i łącząc się w związkach małżeńskich z Aryjczykami. Ale w herbarzach naszych trudno doszukać się nazwisk potomków tych uszlachconych Semitów. A tym trudniej dowiedzieć się, czy w nowym środowisku stali się innymi ludźmi, czy też na odwrót ochrzcili się między innymi także i dlatego, że nie czuli żadnej łączności między sobą a dotychczasowymi współwyznawcami. Po wtóre, co najważniejsze ze względu na problem czystości aryjskiej w Polsce może nie tak trudne do ustalenia: jak wielka była liczba tak pozyskanych katolików i szlachciców?

W wieku XVIII tzw. Frankiści w liczbie kilkuset Żydów, przybyłych z Turcji otrzymali w Polsce chrzest, a od Sejmu prawa szlacheckie. I tu panuje w gronie naszych historyków zawodowych dziwna wstrzemięźliwość. Brak zupełny prac heraldycznych i genealogicznych z uczciwym wymienieniem wszystkich nazwisk i ich potomstwa. Praca Kraushara wymienia w przypisku zaledwie parę nazwisk z dodatkiem „itd". Znany pisarz Teodor Jeske-Choiński wydał kiedyś bardzo pracowitą książkę na podstawie metryk warszawskich pt. Neofici Polscy, z wymienieniem tysięcy nazwisk. O licznych powinowactwach osób współczesnych z Żydami mówi się powszechnie. Granica w ustawodawstwie rasowym niemieckim utworzona do trzeciego pokolenia albo do r. 1800 wstecz jest oczywiście dowolna, gdyż albo wpływ krwi, o ile nawet był ujemny, został wskutek wpływu wychowania i środowiska dawno usunięty, albo nie da się w ogóle usunąć nawet po całym szeregu pokoleń.

Nasuwają się przeto następujące kwestie: Jakie rozmiary przybrało w Polsce to spowinowacenie z Żydami? W jakich sferach pozostała rasa czy to śródziemno-morska, czy nordyjska (obok przygodnych krzyżowań z Tatarami i Turkami, nie mówiąc o licznych krzyżowaniach z Niemcami, Czechami, Szwedami, Węgrami i Rumunami jako nie Semitami) względnie czysta?

Czy może skrzyżowanie ras w przeszłości tak znaczne przybrało w Polsce rozmiary, że dziś ustawowe przeciwdziałanie pozostałoby mało skuteczne?

Pozostaje dalszy jeszcze do rozważenia moment, który bardzo silnie podkreślił już Hipolit Taine.

Notorycznym jest mianowicie, że życie w pewnym środowisku przy wspólnej religii i wychowaniu wytwarza daleko idącą zgodność poglądów i obyczajów, a nawet upodobnienie się uczuć i namiętności. Entuzjazm Janiczarów, potomków Słowian bałkańskich dla religii muzułmańskiej jest znany. Jakżeby inaczej wytłumaczyć można gorący patriotyzm Lelewela, potomka Niemców, członka Rządu Narodowego 1830 i Franciszka Smolki, Słowaka z pochodzenia, skazanego na śmierć za udział w spisku antyaustriackim, Wincentego Pola (a właściwie Pohla) autora „Pieśni o Ziemi Naszej", potomka Niemców Fryderyka Chopina, syna Francuza, Jana Matejki, syna Słowaka, Ottona Hausnera, syna Niemca, bankiera w Brodach, Juliana Klaczki, syna starowierców żydowskich, nie mówiąc o licznych przykładach wśród innych narodów, jeśli nie tym cudownym wpływem wychowania i środowiska!? „Fakt ten cudownej przemiany dusz przemilczają dyskretnie biografowie owych wielkich patriotów obcego pochodzenia lub mimochodem tylko o nim wspominają — a jednak jest on najpiękniejszym świadectwem atrakcyjnej siły kultury polskiej, piękności i podniosłości dziejów i obyczaju polskiego".[1])

Zbliżona do kwestii rasy jest kwestia n a r o d o w o ś c i. Różnica zasadnicza między tymi pojęciami polega na tym,

---

[1]) Cytuję te słowa z mojej rozprawy: Istota narodowości. *Ateneum Kapłańskie,* 1912 czerwiec.

Z literatury podaję:

1) Houston Stewart *Chamberlain,* Die Grundlagen des 19 Jahrhunderts 1898;

2) Eugen *Fischer,* Rasse und Rassenentstehung beim Menschen, 1927;

3) Richard *Müller-Freienfels,* Allg. Sozial und Kulturpsychologie, 1930;

4) Hans *Günther,* Rassenkunde des deutschen Volkes, 1922;

5) Friedrich *Hertz,* Rasse und Kultur, 1925, 3 wyd.;

6) Felix von *Luschan,* Völker, Rassen, Sprachen, 1922;

7) Eugène *Pittard,* Les races et l'histoire, 1924;

8) Vacher de *Lapouge,* Race et milieu social, 1909;

9) Ludwig *Woltmann,* Politische Anthropologie, 1903.

Dalsza literatura podana u Bystronia (jak w tekście) i u Hertza w art. Rasse (Hdw. der Sociologie 1931, str. 458 in.) tudzież w artykułach: Anthropologie, u. Sklaverei (Hdw. der Staatswissenschaften III i IV wyd.).

że o przynależności do rasy nie może rozstrzygać wola jednostek, ale wyłącznie fakt urodzenia. O należeniu do narodowości natomiast stanowi wprawdzie zasadniczo także fakt urodzenia, ale ostatecznie rozstrzyga o nim świadomość narodowa i dyktowany nią wybór, dokonany przez jednostkę.

Opinia ogółu utożsamia bardzo często, choć nie zawsze, problem jeden i drugi. Ale czyni to błędnie. Tatar polski czy Karaita może być uważany za obcego rasowo, ale za Polaka. Co do Niemca lub Żyda polskiego opinia jest powściągliwsza. Rozstrzyga więc w istocie nie odrębność pochodzenia, ale stopień zaufania. Naród francuski pochodzi od Rzymian, Celtów i Germanów, naród włoski od dawnych Rzymian, Ostrogotów i Wizygotów z przymieszką Longobardów na północy, Saracenów, Normandów i Hiszpanów na południu. Czy walijscy Celtowie nie są dobrymi patriotami brytyjskimi?

Bogumił *Fichte,* ten pierwszy filozof niemieckiego nacjonalizmu, który w czasie wojny o niepodległość przeciw Napoleonowi budził patriotyzm niemiecki przeciw zaborcy, uważał, że każdy naród odrodzić się może tak przez potomstwo jak i duchowo, ale zawsze stanowi dla siebie całość, podlegającą odrębnym prawom Bożym. Wielbiciel omnipotencji państwa, Hegel, określił naród jako organiczne ciało wspólnego życia. Kant sądził, że wspólne pochodzenie jest dla członków nieodzowne.

Nowsi pisarze kładą nacisk to na wspólność losów dziejowych, klimatu, języka, religii, państwa, to znowu na poczucie przynależności do pewnej grupy, to wreszcie na cel wspólny, uzyskanie wspólnych granic państwowych lub wywalczenie wspólnej państwowej lub gospodarczej niepodległości. Na właściwości klimatu wskazują Edm. Demolins i Henri de Tourville, w szczególności na sąsiedztwo gór i mórz, intensywność promieni słonecznych, czas trwania i rodzaj pory zimowej lub dżdżystej, dalej rodzaj fauny i flory. Te momenty wpływają bowiem na ustrój fizyczny, kształtują nastawienie duchowe członków narodu, w sumie zaś dają to, co pospolicie nazywamy charakterem narodowym. Dzikie fiordy Norwegii zgoła inni zamieszkują ludzie niż rozległe, żyzne polskie równiny. Tam nieustanna walka

z przyrodą wytworzyła twarde, energiczne i solidarne plemię. Tu naturalne bogactwo urodzajnej ziemi usposobiło sfery zamożne do większej łagodności obyczajów, ale i do rozmiłowania w przesadnym indywidualizmie.

Czy istnieje naród szwajcarski? Można by o tym wątpić, skoro na ziemi szwajcarskiej mówi się po niemiecku, francusku, włosku i romańsku. Dążności centryfugalne istnieją w całej Szwajcarii i objawiały się podczas wojny światowej odmiennymi sympatiami dla państw walczących. Ale były zbyt słabe, aby rozsadzić państwo.

Jednak choć w Hiszpanii mówi się nie tylko po hiszpańsku (kastylijsku), ale i po katalońsku i po baskijsku, a we Francji także po prowansalsku i bretońsku, można niewątpliwie mówić o narodzie hiszpańskim i francuskim. Może dlatego, że narody mniejsze stoją na niższym szczeblu rozwoju kulturalnego lub materialnego i same nie wierzą w możność wywalczenia niepodległości. A jednak Katalonia dotąd walczy o byt odrębny, a Baskijczycy walczyli o nią do niedawna do upadłego.

W Belgii dwa języki: francuski na północy i flamandzki na południu cieszą się równouprawnieniem. Istnieje odrębne państwo belgijskie. Ale czy istnieje naród belgijski?

Kilkojęzyczne Węgry rozpadły się w naszych oczach: Kroacja i Slawonia oraz część południowa samych Węgier przypadła Jugosławii, Siedmiogród Rumunii, Burgenland Austrii. Czy przez to poprawiły się stosunki? Na Bukowinie dziś rumuńskiej żyją dalej Rusini, w Siedmiogrodzie obok Rumunów Węgrzy i Niemcy, w Besarabii Rosjanie. W Czechosłowacji większość obywateli to bądź Słowacy, bądź Niemcy, bądź Węgrzy i Polacy — w każdym razie nie Czesi.[1]) Istnieje jednak we wszystkich tych państwach tendencja do rozluźnienia węzłów między członkami tego samego państwa, używającymi różnych języków. Z drugiej strony oderwanie się Stanów Zjednoczonych od Anglii, a narodów środkowo- i południowo-amerykańskich od Hiszpanii, od macierzy (względnie Brazylii od Portugalii), dowodzi, że różnice ustrojowe, gospodarcze czy religijne, mogą

[1]) Pisałem te słowa w maju 1938.

być odczuwane jako silniejsze, niż wspólność językowa. Wnosić stąd wolno, że język stanowi duży, choć jak widzimy na przykładzie Szwajcarii i Francji, nie nieodzowny składnik pojęcia narodu.

Różnice religijne w czasie, gdy miały dla ogółu ludzi większe znaczenie, więcej też ich rozdzielały. Hugonoci opuścili Francję a Arianie Polskę, gdy niechęci religijne napotykały na duży opór ludności. Niemcy w wojnie 30-letniej walczyli zaciekle ze sobą, sprowadzając na własną ojczyznę nieprzyjaciół zewnętrznych. Łączność religijna była silniejsza. W Polsce odrębność religijna wobec protestanckich Prus i prawosławnej Rosji wzmogła poczucie odrębności, a wzmocniła świadomość narodową. Dziś i część katolików i większość protestantów niemieckich zbliżyła się do siebie we wspólnej obojętności dla chrześcijaństwa i krzyża wobec potęgi narodowego socjalizmu i jego swastyki.

Że wspólność państwa nie jest rozstrzygająca, że członkowie tego samego narodu mogą dążyć do połączenia się mimo odrębnych granic państwowych i poprzez te granice, tego klasycznym przykładem było nie tylko zmartwychwstanie Polski, ale przedtem jeszcze żywe poczucie wspólnej kultury w twórczości artystycznej, literackiej i naukowej polskiej, a w historycznej chwili wspólna walka o ten sam cel, pozornie nieosiągalny i zgoła nierealny. A dążenia Niemców austriackich, duńskich i czeskich do połączenia się we wspólnym państwie niemieckim z całym narodem, to dalszy przykład.

Jeśli ze swej strony troszczymy się o położenie Polaków w Prusach Wschodnich, na Śląsku Opolskim i do niedawna na skrawku czeskim, nawet w krajach zamorskich, to prze nas do tego troska o członków naszego narodu, choć oddzielonych od nas granicami odrębnego państwa i obowiązkami wymaganej od nich lojalności państwowej.

Wreszcie przywiązanie do ziemi. Kochamy ją jako członkowie narodu, nie dlatego, że ma najlepszy klimat, że jest najurodzajniejszą, że kwitną na niej najpiękniejsze kwiaty, rosną najwspanialsze drzewa, a żyją na niej najpiękniejsze konie, najsilniejsze woły, najwierniejsze psy, że najpiękniej śpiewają na niej słowiki, że najwięcej w jej knie-

jach żyje łownej zwierzyny, a w jej rzekach i stawach najwięcej ryb dostarcza nam pożywienia. Ale kochamy ją, choćby tego wszystkiego nie miała, choćby była zimna i nieurodzajna, pozbawiona była warzyw, owoców i zwierząt, kochamy ją po prostu dlatego, że jest nasza, tak samo jak kochalibyśmy ślepego ojca, czy głuchą matkę, kochamy po prostu dlatego, bo nie możemy jej nie kochać, kochamy w tym stopniu, że z dala od tej ziemi za nią tęsknimy, a z tęsknoty chorujemy.

Obchodzi nas przeszłość narodu naszego, krzywdy przezeń ze strony innych narodów doznane. Polak nigdy nie zapomni nie tylko rozbiorów, ale w szczególności nikczemności Katarzyny II, despotyzmu Mikołaja I i Aleksandra III, obłudy i okrucieństwa rosyjskich mężów stanu i generałów, męczarni katorgi w Sybirze, wymierzanych przeciw najlepszym. Może i winien odpuścić winy, ale zapomnieć mu nie wolno. Sto z górą lat męczeństwa naszego narodu, w ciągu których właśnie najszlachetniejsi ginęli, to szereg czynów tak strasznych, że pamięć o nich jest nieodzowną częścią składową polskiego patriotyzmu. Patriotyzm to także pamięć o przeszłości, z którą czujemy się złączeni. Więc czcimy Stefana Batorego, Karola Żółkiewskiego, króla Jana III, Tadeusza Kościuszkę, Tadeusza Rejtana, Józefa Piłsudskiego. Pamięć tych wielkich zmarłych żyje w nas, oni rozstrzygają o naszych postępkach w chwili obecnej. W tym znaczeniu prawdą jest, że zmarli rządzą żywymi, oczywiście tylko tymi, którzy czczą ich pamięć i czują się z nimi złączeni tym samym uczuciem patriotyzmu.

Ale patriotyzm ten to nie ksenofobia, nienawiść czy lekceważenie innych narodów, lub kultur, głoszone przez przesadny nacjonalizm.

Kościół stoi na stanowisku miłości bliźniego, wyrażonej przez Chrystusa Pana w przypowieści o Samarytaninie, nie może więc udzielać swego poparcia przesadnemu wysuwaniu narodowości nad wszystko inne, tym mniej czynić ją celem najwyższym, poniżając siebie, naukę i sztukę do roli środków, jak to głosi wyraźnie narodowy socjalizm. [1])

[1]) Por. moją rozprawę: „Przewrót gospodarczy w III Rzeszy" (tom IX, Biblioteka Pol. Tow. Ekonomicznego we Lwowie, 1938).

Natomiast wspólność rasowa do pojęcia narodu nie jest nieodzowna. Michels wymienia wybitnych ludzi obcych narodowości, którzy dokonywali na innym terenie wielkich patriotycznych czynów. Wymienia tu Włochów: Napoleona i Mazarina, Żydów: Gambettę i Disraelego, Francuza ks. Eugeniusza Sabaudzkiego — działających na korzyść Francji, Anglii i Austrii. Mówi nawet o istnieniu „prawa" przewagi żywiołów obcych *(legge della singolarità)*, głoszonego przez nie wymienionego włoskiego autora. Oczywiście takiego prawa nie ma. Grała tu decydującą rolę w przeważnej części wypadków ambicja, a nie miłość ojczyzny. Poza tym ojczyzna Napoleona, Korsyka, która 1284 — 1768 istotnie należała do republiki genueńskiej, była acz od niedawna częścią składową Francji, wpływy wychowania i otoczenia na Napoleona były więc w danym wypadku rozstrzygające. Mazarin był wprawdzie Włochem, ale w jego epoce nie istniało jeszcze pojęcie narodowości w jego dzisiejszym ekskluzywnym znaczeniu; Mazarin wszedł w służbę kardynała Richelieu'go, który był Francuzem, ale równocześnie księciem Kościoła rzymskiego, podobnie jak później Mazarin. Ks. Eugeniusz Sabaudzki miał wybitne zdolności wojskowe, których nie chciała uznać Francja, w czym zbłądziła. Ale tylko okoliczność, że w jego epoce nie było patriotyzmu, a istniała tylko służba królewska, chroni go przed zarzutem zdrady ojczyzny. Co się tyczy Disraelego, to choć przyjął chrześcijaństwo (został anglikaninem), czuł się jednak rasowo Żydem i sam to daje do poznania w jednej ze swych powieści. Doznawał z początku niepowodzeń w parlamencie właśnie z powodu swego pochodzenia. A że był człowiekiem niepospolitej ambicji i wielkich zdolności, właśnie te początkowe niepowodzenia podnieciły go do największych wysiłków. Zapewne z Gambettą było tak samo. Poza tym Michels zaznacza słusznie, że rozstrzygająca jest wola jednostki, mogąca zastąpić brak innych czynników. Wola ta powstaje w jednostce pod wpływem wychowania i otoczenia. Buduje się w ten sposób narodowość z wyboru, której przykłady okazuje nam emigracja osadnicza, czasem głosowanie podczas plebiscytów w krajach niedawno przyłączonych do innego państwa, utrzymanie się narodowości szwaj-

carskiej mimo braku łącznika językowego, religijnego czy szczepowego itd. W tych wszystkich wypadkach mamy do czynienia z decyzją z pobudek racjonalistycznych, nie emocjonalnych — podczas gdy do pojęcia narodowości przywykliśmy przywiązywać znaczenie drugie. Jeżeli jednak idzie o skutki państwowe, czy gospodarcze, następstwa nacjonalizmu z wyboru niczym oczywiście nie różnią się od objawów uczuć patriotycznych, płynących z wspólności krwi. Dowodzi tego świetna bądź co bądź działalność osobistości wyżej wymienionych. Zresztą i pobudki emocjonalne jako rezultat wychowania i otoczenia nie są tu bynajmniej wykluczone.

Obok wymienionych czynników skupiają i wzmacniają naród wielkie idee i wielkie hasła. Fałszywą jest hipoteza Marxa, jakoby wszelka ideologia była tylko odblaskiem i nadbudową stosunków ekonomicznych. Przyznać też trzeba, że hasło (nie wykonanie) dyktatury proletariatu musiało pociągnąć i entuzjazmować sto pięćdziesiąt milionów ludzi, jeszcze ćwierć wieku temu gnębionych, pogardzanych i pozbawionych wszelkich praw i to właśnie w wyższym stopniu w Rosji, niż w jakimkolwiek innym narodzie na kuli ziemskiej. Hasło powrotu do wielkiej tradycji dawnego światowładczego imperium Rzymskiego musiało rozpłomienić całą Italię. Szereg bolesnych rozczarowań i hasło odwetu po dyktacie wersalskim oraz wspomnienie wielkiej przeszłości i poczucie ogromnej siły fizycznej i intelektualnej, inspirowało naród niemiecki do stworzenia dzieła zjednoczenia, solidarności wszystkich warstw, usunięcia wszystkich obcych i powrotu do tradycji Nibelungów, bohaterów Eddy, do marzeń o bitnej i bohaterskiej Germanii.

Dla Polski podobną ideą, podniecającą do coraz większej solidarności i osłabienia, a z czasem zaniku zaciekłych walk partyjnych przeszłości staje się konieczność skupienia wszystkich sił dla obrony naszej ojczyzny od wschodu i zachodu, a wobec wielkości grożących z obu stron olbrzymich potęg, konieczność utworzenia ze swej strony skupienia frontu państw bałtyckich, zachodnio-słowiańskich, Węgier i państw bałkańskich, nie pod przewodnictwem, ale przy równoprawnym udziale Polski, z pełnym uszanowaniem dla

praw suwerennych każdego z współuczestniczących narodów. A po wtóre idea uzyskania pełnych praw gospodarczych na własnej ziemi, zaprzepaszczonych z winy niedbalstwa i nieudolności przeszłych pokoleń, a odzyskać się mających w całej pełni i w możliwie krótkim czasie, jednak bez gwałtu i krzywdy czyjejkolwiek jako sprzecznych z ideałem katolickim, do którego przywiązanie jest jedną z głównych cech naszej odrębności narodowej.

Czym więc jest naród? Określiłem go kiedyś jako większy zastęp ludzi, złączonych mową, obyczajem i tradycją, najczęściej także wiarą, ziemią i prawem, przedstawiających bądź wskutek wspólności pochodzenia, bądź też dzięki chęci i możności przystosowania się pewną sumę odrębnych właściwości, dających się określić jako charakter narodowy. [1]) Definicję tę mogę podpisać i dziś z tą wszakże poprawką, iż chciałbym podkreślić wspólność pochodzenia jako regułę i zjawisko normalne a wpływ otoczenia i wychowania, który zresztą w całej pełni uznaję, dopiero wówczas uznałbym jako objaw równorzędny, gdy będzie wzmocniony wspólnością religii, obyczajów, dążeń, rodziny, a nade wszystko czynami.

---

[1]) „Istota narodowości" *Ateneum Kapłańskie,* czerwiec 1912.

Literatura: Fichte, *Reden an die deutsche Nation.* 1808. Hegel, *Werke I.* 1832. Kant, *Anthropologie.* 1798. Cathrein, *Moralphilosophie,* t. II. 3 wyd. 1899. Wundt, *Völkerpsychologie,* Mitscherlich, art. „Volk u. Nation" w *Hdwb. d. Soziologie* 1931 i powołana tam literatura. Meinecke, *Weltbürgertum u. Nationalbewusstsein* 1908. Michels, *Der Patriotismus* 1929. Spann, Imperialismus (*Hdwb. d. Staatsw.* 4 wyd.) Friedjung, *Das Zeitalter des Imperialismus* 1919—1922. Nearing and Fredeman, *Dollardiplomatie* 1927. Seipel, *Nation und Staat,* 1916. Johannet, *Le principe des nationalités* 1918.

Prof. Leopold Caro.

W sprawie żydowskiej.

Myśli, jakimi pragnę się podzielić, nasunął mi artykuł pt. „Konwertyta w sprawie żydowskiej", zamieszczony w *Przeglądzie Powszechnym* (lipiec — sierpień, 1938 r.). Autor, wychodzący ze środowiska żydowskiego, zna dokładnie duchowe nastroje żydostwa. Wypowiada wiele cennych uwag, zwłaszcza dotyczących religijności Żydów, oraz ich stosunku do państwa polskiego. Uważam, że jego poglądy na te sprawy posiadają wartość pierwszorzędną Z licznych głosów, jakie w dobie obecnej w Polsce słyszymy o kwestii żydowskiej, jego sąd posiada znaczenie zasadnicze.

Najprzód, co dotyczy religijności Żydów. Nie tylko w naszym społeczeństwie, ale i wśród innych narodów chrześcijańskich spotykamy się z podobnym przekonaniem; istnieje mianowicie przeświadczenie o głębokiej religijności przynajmniej tych mas żydowskich, które zachowują przepisy, regulujące święcenie soboty, jak i inne praktyki religijne. Podziwiamy Żydów, z jaką powagą kroczą w każdą sobotę do synagogi, niosąc w aksamitnych torbach swe modlitewniki, z jakim skupieniem kiwając się, zwyczajem ludzi wschodnich, modlą się i nie zważają na to, co się dookoła nich dzieje. Budującym wydaje się dla każdego wierzącego przykład, gdy widzi w czasie podróży, naprz. podczas jazdy koleją, jak Żyd okrywa się *talesem* (chustą modlitewną), nakłada swoje *tefilin* na rękę i czoło i przez długi czas odmawia przepisane na każdy dzień modlitwy. Świadkami wielkiego przywiązania Żydów do różnych przepisów religijnych jesteśmy zwłaszcza w dzień sabatu, kiedy odmawiają sobie dal-

szych spacerów, aby nie przekroczyć w chodzeniu normy, jaka na ten dzień została ustalona, wstrzymują się od palenia papierosów itp.

Mogłoby się więc wydawać, że są głęboko religijnymi, w rzeczywistości jednak jest całkiem inaczej. Życie religijne Żydów jest płytkie — tak bardzo płytkie, że czegoś podobnego nie spotykamy w innych, oczywiście rozwiniętych religiach. Jeśli patrzymy np. na mahometanina, ślęczącego nad koranem i odczytującego głośno choćby jedne i te same wersety, nie mamy powodu do powątpiewania, że do jego duszy przenikają jakieś myśli wznioślejsze, że w życiu praktycznym pragnie stosować to, co mu poddaje ów nastrój modlitewny. Gdy widzimy, jak chrześcijanin modli się kornie w świątyni, również nie mamy prawa podejrzewać go o obłudę; jesteśmy przekonani, że w jego sercu rosną szlachetne porywy, że jego dusza się ulepsza, umoralnia i zbliża do Boga.

Niestety, nie możemy tego na ogół powiedzieć o Żydach. Gdybyśmy się znaleźli w synagodze, nawet w najbardziej uroczystej chwili, jaką jest np. Sądny Dzień *(Jom Kipvur),* uderzyłby nas dziwny brak zrozumienia tego, co się nazywa duchem modlitwy. Odprawiane w tym dniu modły robią wrażenie jakiegoś zewnętrznego nakazu, jakiegoś wyzbycia się obowiązku, to znaczy, że tyle a tyle należy odczytać modłów, aby być w zgodzie z tradycją i nakazem. Nie spotkamy tam żadnego skupienia, żadnego przejęcia się duchem religijności. Ze wszystkiego przebija się czcza, formalistyczna, pusta praktyka, nie przemawiająca do duszy człowieka. Ta dusza po uroczystym wyznaniu *Kol nidre* wcale nie staje się lepszą, pozostaje bez żadnej poprawy duchowej. Formalności staje się zadość, modlący się wychodzi z bóżnicy zadowolony, że zadość uczynił przepisom, odczytał nakazaną liczbę modlitw i wraca szczęśliwy do domu, aby ze spokojem sumienia zająć się dalej swoimi sprawami, choćby one nie były w zgodzie z etyką naturalną.

Przykro jest zajmować się krytyką religii, jakąby ona nie była, zwłaszcza gdy chodzi o moralne oddziaływanie tej religii na duszę człowieka. Jednakże z religią judaistyczną — nazywamy ją tak celowo, dla odróżnienia od religii mojżeszowej — jest coś w nieporządku. Przeżarł ją aż do

szpiku kości formalizm i nie ma w niej dziś nic więcej poza formalizmem. Wszak w Starym Zakonie duch religijny jest całkiem inny, wcale niepodobny do formalizmu, jakim na wskróś jest przesiąknięta religia judaistyczna.

Gdy chodzi o źródło umoralnienia, to jest podniesienia duszy człowieka do większej wartości w znaczeniu etycznym, jakież ono w Starym Testamencie jest wzniosłe, jakie porywające i bogate w wartości moralne. Ileż to razy w pouczeniach Mojżesza rozbrzmiewają słowa Boże: „Świętymi będziecie, bom ja świętym jest! Ja, Pan i Bóg wasz, którym was wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli" itd.

We współczesnym natomiast judaizmie, na terenie życia religijnego i moralnego tych słów nie usłyszymy. Dlaczego? Oto dlatego, że judaizm zachował tylko formy Starego Testamentu, ale jego ducha zupełnie w sobie zatracił. Źródłem dzisiejszego judaizmu jest Talmud, a Talmud zerwał z wzniosłą nauką Mojżesza i proroków. Jeżeli współcześni Żydzi w swym życiu religijnym odwołują się do Starego Testamentu i używają form modlitewnych, które spotykamy na kartach ksiąg świętych, nie zmienia to wcale istoty rzeczy, ponieważ Stary Testament jest wykładany w świetle Talmudu. Patrząc przez szkiełka Talmudu na swoje dawne księgi święte i natchnione, nie mogą zrozumieć ani ich ducha, ani też ducha prawdziwej pobożności. Talmud tak bardzo ceniony przez większość społeczeństwa żydowskiego, jest naprawdę księgą osobliwą. Jest on głównie źródłem nienawiści względem obcych, a przede wszystkim w stosunku do chrześcijan, których nazwy w Talmudzie *goj, akum*, czy inne, zyskały znaczenie obelżywe.

Biorąc to pod uwagę, nie trudno zrozumieć, że istotą religii judaistycznej, nie jest duch pobożności, lecz formalizm. Swoje życie religijne Żydzi zamykają w ciasnych ramach przepisów i liczb. Jeżeli się odmówi określoną liczbę modlitw, lub spełni przekazaną przez tradycję talmudową ilość nakazów, albo zakazów, podówczas uczyniło się zadość obowiązkom religijnym, a życie takiego Żyda, który spełnia owe nakazy, czy zakazy, musi być Bogu przyjemne. Wiara, opierająca się na takich źródłach, jest słaba i musi wywoływać smutne skutki w życiu człowieka. Niedawno

rozmawiałem z Żydem, który właśnie w ten sposób pojmuje swą religię. Uchodzi za prawowiernego: spełnia przepisy religijne, świętuje gorliwie w sabat itp.; pojmuje jednak życie religijne w stosunku do Boga, jakby rodzaj jakiegoś kontraktu, na podstawie zasady *do ut des*, uważa więc, że Bóg jest zmuszony oddać to, na co człowiek w swoim przekonaniu zasłużył. Rozważając na temat stosunku człowieka do Boga, doszedł mój rozmówca do wniosków przerażających, które moim zdaniem, świadczą o płytkiej religijności nawet wśród Żydów, uchodzących za ortodoksów. Oto pod wpływem niepowodzeń, jakich od kilku lat doznaje żydostwo na całym świecie, postawił taki dylemat: „Bóg jest, albo Go nie ma. Modlimy się wszyscy o odwrócenie tych strasznych ciosów, cierpimy ponad miarę. Bóg przecież, widzi to wszystko. Jeszcze nasza wiara się nie załamała. Jeśli jednak potrwa to dłużej, to czy można wierzyć, że Bóg istnieje!" A nie jest to bynajmniej odosobniony pogląd zrozpaczonej jednostki. Tak rozumują dzisiaj tysiące Żydów.

Zupełna anarchia w pojęciach religijnych. Nieraz zastanawiałem się nad tym, dlaczego Żydzi, pomimo swej pozornej pobożności tak urabiają swoją naturę duchową, że ona zawsze wywołuje zatargi z innymi narodami? Jeżeli się rzuci okiem na minione dzieje, to bez żadnej przesady, czy uprzedzenia do Żydów, można stwierdzić, że przyczyną tych wszystkich konfliktów byli zawsze sami Żydzi. Dlaczego w diasporze, po tylu smutnych doświadczeniach i po tylu wiekach, nie mogli wynaleźć owego złotego środka zgodnego współżycia z innymi? Żydzi są rozproszeni prawie wyłącznie wśród narodów chrześcijańskich. Posiadają więc wraz z nimi wspólne dwa wielkie przykazania, na których się wspiera religia starotestamentarna, zarówno jak i wzniosła nauka Pana Jezusa, mianowicie przykazania miłości Boga i bliźniego. A więc religia, wspierająca się na tych przykazaniach, nie może sama z siebie stwarzać konfliktów. Wspomnieliśmy jednak wyżej, że Stary Zakon jest pojmowany niestety w świetle Talmudu. To jest prawda. Ale, uwzględniając ten fakt, można postawić dalsze pytanie, dlaczego Talmud, w którym żydostwo widzi wcielenie swej myśli i swego geniuszu, czyni ich nieszczęśliwymi?

W dziejach żydowskich, poczynając od śmierci Chrystusa na krzyżu, tkwi misterium tragedii, którego Żydzi nie mogą dojrzeć, a ujrzeliby i poznaliby, gdyby chcieli zrozumieć Ewangelie, napisane w ich środowisku i przez ludzi, którzy z ich grona wyszli. Dla wyjaśnienia tej tragedii, powszechnie przytacza się tekst, ilustrujący zachowanie się Żydów na wzgórzu kalwaryjskim: „Krew Jego na nas i na syny nasze". Jest to wyrok, o jaki sami prosili. Ale jest to również wyrok wypowiedziany przez Pana Jezusa. Oto u św. Mateusza (r. 10 w. 11—15) czytamy: „A do któregokolwiek miasta, albo miasteczka wnijdziecie, pytajcie się, kto w nim jest godzien, i tam mieszkajcie, póki nie wynijdziecie. A wchodząc w dom, pozdrawiajcie go, mówiąc: Pokój temu domowi. A jeśliby był on dom godny, przyjdzie nań pokój wasz; a jeśliby nie był godny, pokój wasz wróci się do was. I ktobykolwiek was nie przyjął, ani słuchał mów waszych, wychodząc precz z domu albo z miasta, strząśnijcie proch z nóg waszych. Zaprawdę powiadam wam: lżej będzie ziemi sodomskiej i gomorejskiej w dzień sądny, niźli miastu onemu". W pierwszej mierze słowa te odnoszą się do miast, miasteczek i domów żydowskich. Żydzi byli więcej odpowiedzialni, aniżeli poganie, za odrzucenie nauki Chrystusowej, ponieważ właśnie między nimi ziściła się tajemnica Odkupienia. Odrzuciwszy Chrystusa nie mogli zachować Chrystusowego pokoju.

Biorąc pod uwagę duchowe podłoże współczesnej religii żydowskiej, należy się liczyć z bardzo wielkimi trudnościami, gdy chodzi o nawrócenia wśród Żydów. Pod tym względem moje poglądy zupełnie się zgadzają z poglądami p. Konwertyty. Byłoby jednak niesprawiedliwością, gdybyśmy w ogóle ustosunkowali się ujemnie do zagadnienia żydowskich nawróceń. Łaska Boża przenika do serc, wprawdzie nielicznych jednostek, bo grunt jest nieprzygotowany, to też zdarzają się nawrócenia prawdziwe. Wchodzą do Kościoła Chrystusowego nawróceni z przekonania i dla prawdy. Łuska zaślepienia i talmudyzmu spada im z oczu i widzą prawdę w świetle właściwym. Takich całym sercem do siebie przygarniamy. Niestety, trzeba wyznać ze smutkiem, że są to rzadkie wyjątki. Po większej części nawrócenia są nie-

szczere, dla kariery. Tacy konwertyci nie przynoszą zaszczytu ani sobie, ani społeczeństwu polskiemu; owszem temu ostatniemu wyrządzają wielkie szkody, bo mają możność wciskania się we wszystkie środowiska naszego życia, a nie wyzbywszy się mentalności talmudowej, prowadzą dalej robotę wywrotową. Takie nawrócenia są niepożądane i winniśmy się odnosić do nich ujemnie.

Dla tych samych powodów nie może być mowy o nawróceniach zbiorowych. Obecnie więź talmudowa jest zbyt silna, aby światło Ewangelii mogło przeniknąć do zbiorowości żydowskiej. Dusza żydowska jest ową skałą z przypowieści ewangelicznej. Gdy na nią padnie ziarno, nie może nawet zakiełkować, ponieważ niema żadnych podstaw, ani warunków do wzrostu.

We wszystkich swoich publikacjach o Żydach odnosiłem się z pełną sympatią do ruchu sjonistycznego. Widzę w nim dążność choćby do częściowej likwidacji diaspory, a szukania starego osiedla. Jest to niegodnym dla narodu być przez całe tysiąclecia tułaczem. Żydzi powinni dążyć do utworzenia własnej państwowości. Złagodziliby kwestię żydowską w świecie, uwolniliby narody chrześcijańskie od ciężaru. Mniejsza gdzie ta państwowość powstanie, w Palestynie, czy na innym terytorium. Dzisiaj stać Żydów na to, aby się o własną państwowość pokusili. Trzeba tylko chęci i trochę dobrej woli [1]). Syjonizm jeszcze i dlatego może wśród nas budzić sympatię — choć dla uszu żydowskich może to być bardzo nieprzyjemne — że wyzbywa się więzi talmudowej, owych nakazów i zakazów, owej usankcjonowanej nienawiści do innych narodów i do innych religij, a zwłaszcza religii katolickiej. Wyzbywa się religijnego judaizmu, który *sit venia verbo,* znieprawia duszę żydowską. Syjoniści wolni są od religijnego fanatyzmu. Gdy więc założą swe państwo,

[1]) Nie poruszam na tym miejscu sprawy Palestyny. Moim zdaniem Żydzi posiadają nie mniejsze prawa do Palestyny, aniżeli Arabowie. Poczynając od r. 1917 około 300,000 Arabów przybyło z obcych krajów i osiedliło się w Palestynie. Arabowie zostali pociągnięci zyskami, jakie ciągną z zagospodarowania się żydowskiego. Żydzi uczynili dla Arabów z Palestyny złote jabłko, dlatego tak zawzięcie bronią oni tego kraju. Przede wszystkim więc powinni być usunięci wszyscy przybysze arabscy.

gdy staną się narodem niepodległym, może się wytworzyć wśród nich teren odpowiedni do ewangelizacji. Łatwiejszy jest dostęp do ludzi regijnie obojętnych, aniżeli do tych, co przesiąknięci fanatyzmem, pałają nienawiścią do wszystkiego co nie jest żydowskie. Pod tym względem poglądy i myśli p. Konwertyty zupełnie się pokrywają z moimi. Skoro jednak nieprzezwyciężone trudności piętrzą się w Palestynie, może to jest znakiem, że w wyrokach Opatrzności Bożej jeszcze nie nadszedł czas nawrócenia się Żydów, a może mają szukać innych terenów w celu osiedlenia się, a nie Palestyny.

* * *

Kilka tylko słów poświęcę sprawie ustosunkowania się Żydów do innych narodów. Tyle już na ten temat powiedziano i napisano, że byłoby zbytecznym oświetlać sprawę, która jest dla wszystkich całkowicie jasna. Nie ma pracy poświęconej sprawie żydowskiej, w której by nie poruszano zagadnienia związanego z ustosunkowaniem się Żydów do narodów obcych.

Oświetlając tę sprawę, musimy otwierać może najczarniejszą kartę w dziejach żydostwa. Żydzi są usposobieni nieprzychylnie do wszystkich narodów, a zwłaszcza do narodów chrześcijańskich. Nasze określenie byłoby zbyt słabe, gdybyśmy powiedzieli, że są usposobieni nieprzychylnie. Ich stosunek bowiem jest na wskróś w r o g i. Nie zaniedbują też żadnego wysiłku, żadna zmowa, czy spisek nie będzie im obcy, gdy idzie o rozwijanie działalności skierowanej na niekorzyść znienawidzonych gojów. Jeżeli kiedykolwiek i gdziekolwiek w państwach chrześcijańskich, posiadających u siebie Żydów, rozwijały się ruchy odśrodkowe, Żydzi zawsze brali w nich udział, popierając wszelkie zaburzenia, przewroty itd. Widzimy, jak nieszlachetną odgrywali rolę w Hiszpanii podczas najścia Maurów. We Francji popierają ruchy Albigensów, w Niemczech sprzyjają protestantyzmowi w w. XVI itp. Nawet ich własny historyk, Graetz, tak przychylny dla żydostwa, nie może ukryć faktów oświetlających ich działalność na korzyść protestantyzmu. Z myśli żydowskiej bierze swój początek socjalizm, na równi jak komunizm. Twórca

socjalizmu, Karol Marx, nie kryje się z myślą, że pragnie przez organizacje i związki rozbijać chrześcijaństwo i niby silnym taranem uderzać w Kościół katolicki... Żydzi są entuzjastami teoryj socjalistycznych i komunistycznych, widzimy ich też na głównych stanowiskach w partii socjalistycznej, zarówno jak w komunizmie. Popierają następnie różne związki tajne, masonerii itp. Rola Żydów w tej ostatniej organizacji, tak zawzięcie walczącej z Kościołem katolickim, jest bardzo wybitna. Na wrześniowym zjeździe partyjnym w Norymberdze w pierwszej swojej mowie nazwał Hitler Żydów mikrobem świata. Jest to oskarżenie niezwykle surowe, ale musimy przyznać, że jest prawdziwe.

Moglibyśmy przytoczyć mnóstwo dowodów, stwierdzających wrogie ustosunkowanie się Żydów do narodów obcych, a przede wszystkim do chrześcijańskich. Nie chcemy jednak powiększać i pomnażać win, które by można zestawiać bez końca. Wracamy do omówienia stosunku żydostwa do Polski. W moich broszurach, poświęconych sprawie żydowskiej w Polsce, przytoczyłem wiele danych, które zawierają oskarżenie rzucone przeciwko Żydom za ich wrogie ustosunkowanie się do kraju i narodu, od którego przecież w ciągu wieków tyle dobra otrzymali. Nie jest to żadną przesadą, ani samochwalstwem, jeżeli powiemy, że w żadnym z krajów rozproszeni Żydzi nie znaleźli tak korzystnych warunków do rozwoju, jak w Polsce. Najoczywistszym dowodem, stwierdzającym tę prawdę, jest największe skupienie Żydów na ziemiach Polski. Pomimo to jednak widzimy, że Żydzi się nie zadawalniają owymi korzyściami, ale ich ustosunkowanie się do państwowości polskiej, zarówno jak do naszej kultury chrześcijańskiej jest na wskróś wrogie.

Biorąc więc pod uwagę to usposobienie żydostwa nie można mówić o szczerej asymilacji. Z asymilacją rzecz się przedstawia mniej więcej tak samo, jak z nawróceniem. Tylko bardzo nieliczne jednostki są szczerze oddane naszej kulturze, natomiast wszyscy inni, bez względu na to, czy przyjęli chrzest, czy nie, nie wyzbyli się swej mentalności żydowskiej i są elementem rozkładowym, oddziałującym ujemnie na naszą psychikę. Asymilacja może być tylko wtedy dodatnia, kiedy Żyd zerwie

z kategoriami talmudowego myślenia, czyli — kiedy przestanie być członkiem żydowskiego społeczeństwa. Dopóki tkwi duchowo w żydostwie, chociażby był nawrócony i zasymilowany, będzie to tylko asymilacja pozorna.

Owszem dopóki Żyd pozostaje w chałacie, dopóki mu jest obcą nasza kultura, jest daleko mniej niebezpiecznym, aniżeli pozornie zasymilowany i wywierający wpływ na nasze życie umysłowe. Jeśli Żyd rozwija pracę na terenie handlu, czy przemysłu, łatwiej podlega kontroli społeczeństwa. Nie tylko wyzysk, czy nieuczciwość w tej pracy, ale nawet sama jej ekspansja musi wywoływać reakcję społeczeństwa. Dzisiaj np. patrzymy na piękny objaw odradzającego się kupiectwa polskiego. Dali ku temu powód sami Żydzi swą niepohamowaną zachłannością i wydziedziczaniem ludności polskiej z jej dóbr narodowych. Ujrzeliśmy grozę niebezpieczeństwa i dlatego rozpoczęliśmy walkę na polu ekonomicznym. Możemy żywić nadzieję, że w miarę wzrastania uświadomienia, walka będzie się potęgować i musi się na naszą korzyść rozegrać zwycięstwem.

Daleko trudniej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o obronę dóbr duchowych. Żyd przedzierający się na teren twórczości literackiej, czy to przez ogłaszanie książek, pisanie artykułów, redagowanie gazety — Żyd w teatrze, muzyce, kinię, w odczytach (radio) stwarza największe niebezpieczeństwo. Przede wszystkim winna być zwrócona uwaga na wszystkie stopnie szkolnictwa. Infiltracja myśli żydowskiej przenika silnie, tym silniej, że jest prowadzona celowo i zatruwa naszego ducha. Zaciera w nas wielkie wartości kultury chrześcijańskiej, powiedzmy wyraźnie: zabija w nas sposób myślenia aryjskiego, odsuwając naród od drogi ideałów, po której winien kroczyć, zmierzając ku swej chwale i wielkości. Nie mówiąc już o Niemczech, Rumunii, Węgrzech, gdzie odsetek Żydów jest dość wysoki, zrozumieli to niebezpieczeństwo nawet Włosi, mając u siebie, w porównaniu z nami, tylko znikomą garstkę Żydów. Dekretem Mussoliniego zostali w tym roku usunięci ze szkolnictwa wszyscy Żydzi. Zamknięto również przed nimi drogę do zawodu dziennikarskiego. Niestety, u nas się jeszcze tego niebezpieczeństwa nie docenia. W szkolnictwie polskim pracują całe

setki Żydów, dziennikarstwo jest silnie zażydzone, a tłumacze i autorowie żydowscy, jakby naigrawając się z naszego języka i kultury, zalewają rynek księgarski corocznie setkami różnych powieścideł, przeważnie przepojonych pornografią i duchem bezbożnictwa. Na rynek księgarski płyną szerokim korytem brudy i odbywa się zaśmiecanie naszego piśmiennictwa. Czyż wobec tego mamy być obojętnymi? Kto nie widzi z tej strony zagrażającego niebezpieczeństwa i zarażania naszego ducha jadem mentalności żydowskiej, sam musi być nim przeżarty i zatruty. Doprawdy — *difficile est satiram non scribere.* Chciałoby się wymienić wiele osób, których winy, w ułatwianiu przesiąkania myśli żydowskiej do naszego ducha, są nie do przebaczenia, ale to nie leży w ramach niniejszego artykułu.

* * *

Przechodzimy do ostatniej kwestii, niezwykle dzisiaj żywotnej — do antysemityzmu. Przejawów antysemityzmu nie brak w ciągu wieków, ale nasilenie tego ideowego prądu jawi się głównie w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku, gdy w różnych państwach Europy wystąpił na widownię ruch nacjonalistyczny. Aż do ostatnich jednak czasów, ściśle do r. 1933, ruch antysemicki rozwijał się w formie samoobrony. Pojmowany w tym świetle jest on nakazem narodowego sumienia. Dążenia żydowskie zawsze były skierowane przeciw tym prądom, które dzisiaj nazywamy narodowymi. Z chwilą więc gdy te ostatnie rozwinęły się żywiołowo, musiała się zrodzić reakcja przeciwko żydostwu. Siła napięcia w prądach antysemickich, które właściwie powinny się nazywać antyjudaistycznymi, została spotęgowana ubocznie przez wiek liberalizmu, kiedy to Żydzi doszli do supremacji w życiu ekonomicznym.

Żydzi nigdy nie umieli zachować złotego środka umiaru, gdy chodzi o stosunki z innymi narodami. Ich polityka zawsze chodziła zygzakami. Gdy w ubiegłym wieku, dorobiwszy się wielkich majątków, poczuli w sobie siłę, zbyt jaskrawo ujawnili plany działania. Jest rzeczą powszechnie znaną, że Żydzi są złymi politykami. Jeżeli rzucimy okiem na dzieje ubiegłe, zauważymy, iż najbardziej sprzyjające im oko-

liczności obracali przeciwko sobie. Były takie sploty wypadków, że Żydzi pełną garścią czerpali dla siebie korzyści. Nie potrafili jednakże zapanować nad bujnym i nieokiełznanym temperamentem. Gdy tylko im na to pozwalały okoliczności, zawsze podkreślali swoją przewagę nad innymi. Znane są zuchwalstwa, arogancja i buta żydowska. Jakieś dziwne zaślepienie opanowywało ich podówczas, kiedy najbardziej powinni być trzeźwymi. Jest tragizm w psychice żydowskiej. Zamiast zapewnić dla siebie warunki pokoju, kręcili bicz na własną skórę.

Tej samej taktyki trzymali się w wieku liberalizmu. Zebrawszy olbrzymie majętności, wyobrażali sobie, że są panami nad innymi i że tej supremacji żadna siła wydrzeć im nie zdoła. Jak zrozumieć takie zuchwałe wołanie (mamy na myśli nasze stosunki): my jesteśmy panami miast, nasze są domy i place, a wasze kościoły i ulice! Zawsze i wszędzie trzymali się możnych, nie zwracając uwagi na sprawiedliwość społeczną, na uczucia religijne i narodowe. Haniebnie zdradzali swoich możnych opiekunów, gdy tylko nadarzyła się ku temu sposobność. Ciągle niespokojni, za czymś węszący, pochopni do wszelakich intryg, duszą oddani różnym tajnym konspiracjom, z zapałem popierający każdą pracę wywrotową, aby tylko mącić, burzyć i podważać podstawy wszelkiego ładu, porządku społecznego, zarówno jak etyki i moralności chrześcijańskiej. Obłędna polityka zbyt dokładnie odkryła plany podstępnej strategii, dzięki temu musiał antysemityzm zyskać na sile.

Nie można się tedy dziwić, że antysemityzm przybiera na sile i staje się ruchem *par excellence* bezkompromisowym. Traktowany jako samoobrona, staje się konieczności dziejową. Zwłaszcza w naszych, specyficznie trudnych warunkach, staje się taki antysemityzm postulatem życia, warunkiem narodowego bytu. Raczej należałoby uważać za niezmiernie smutne zjawisko, gdyby samoobrony nie było.

Do tej pory w samoobronie naszej nie wykroczyliśmy poza ramy sprawiedliwości społecznej. Pomijam oczywiście różne sporadyczne incydenty, które są zjawiskiem nie dającym się prawie uniknąć tam, gdzie się prowadzi walkę o odżydzenie naszego życia na terenie eko-

nomicznym, jak i kulturalnym. Gdzie wre bój, muszą być wypadki i ofiary. Nie te jednak wypadki mam na myśli, lecz samą ideę walki — ideę samoobrony.

Poza granicami atoli naszej ojczyzny antysemityzm przybiera rozmiary potworne, niegodne nie tylko kulturalnego człowieka, ale uwłaczające nawet barbarzyńcy. Z Żydami należy walczyć jako z oszustami, demoralizatorami, członkami międzynarodówek, a nie jako z ludźmi. Nie godzi się obniżać natury człowieka. Rasizm nie tylko pochwala zoologiczną nienawiść, ale nie waha się swojej nieludzkiej tezy okrywać szatą nauki, gdy głosi: „Rasy ludzkie przez swą wrodzoną i nieodmienną naturę tak dalece różnią się między sobą, że najniższą z ras ludzkich większy dzieli przedział od rasy wyższej, niż różnica z wyższym gatunkiem zwierząt".

Koncepcja takiej teorii nie może być inaczej nazwana, jak zwyrodniałą. Rasizm niemiecki, rozwijając na tej płaszczyźnie walkę, podnosi oręż nie tylko przeciwko żydostwu, lecz w równej mierze przeciwko chrystianizmowi. Nie wątpię, że twórcy i propagatorowie rasizmu tak ustawili szyki bojowe, aby ich zatrute groty raniły najświętsze uczucia chrześcijańskie i podrywały wiarę w miłionach serc wierzących. Nadużywając wzniosłych haseł nacjonalizmu, porywa za sobą tłumy, a przede wszystkim szeregi młodzieży. Pociągając je za sobą, przeprowadza dechrystianizację. Kościół katolicki może nie miał w swoich dziejach wroga większego nad rasizm współczesny. Broń nas Boże od takiego nacjonalizmu.

Przelewając niniejsze myśli na papier, doznałem wielkiego uspokojenia, gdym w naczelnym organie Stronnictwa Narodowego, w *Warszawskim Dzienniku Narodowym*, przeczytał artykuł programowy, napisany z okazji ostatniego listu pasterskiego J. Em. Ks. Kard. Kakowskiego, w którym to artykule Redakcja w ten sposób określa stanowisko partii wobec Kościoła:

> Nacjonalizm polski, przez nas reprezentowany, rozumie to także bez zastrzeżeń, że misją Kościoła katolickiego jest moralne gromadzenie pod swoimi skrzydłami wszystkich narodów i państw, aby była... jedna owczarnia i jeden Pasterz...

Rozumiejąc istotę i misję Kościoła katolickiego, określamy swój stosunek do tego zagadnienia w sposób następujący: Kościół katolicki, jako stróż nauki Chrystusowej i jako organizacja tej nauki, nie zmieści się w żadnym nacjonalizmie, natomiast nacjonalizm polski, jako wykładnik ideowy katolickiego narodu, zmieścić się może i rzeczywiście się mieści w Kościele katolickim, znajdując w nim — ze wszystkimi konsekwencjami — najwyższy autorytet religijny, który towarzyszył i towarzyszy dziejom Narodu Polskiego od samej kolebki.

Istotnie, patriotyzm w Polsce zawsze był uważany jako część służby Bożej. Rycerz ozdobiony ryngrafem Matki Najświętszej szedł walczyć na rubieżach Rzeczypospolitej nie dlatego, aby deptać prawa innych, lub siebie uważać za nadczłowieka, dla którego żadna własność cudza nie istnieje, ale dlatego, aby spełnić święty obowiązek bronienia ojczyzny ziemskiej, o ile była w swym bycie zagrożona. O ile właśnie traktował swój obowiązek jako służbę Bożą, zawsze odnosił zwycięstwo, wartości bowiem moralne mają przewagę nad rasowymi.

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna —
Ile razy wrogów złamana potęgą
Skończy zwycięstwem.

Niebezpieczeństwo żydowskie w naszym życiu współczesnym przedstawia się groźnie, niewątpliwie groźniej, aniżeli w jakimkolwiek innym kraju. Nie znając duszy żydostwa, zbytniośmy mu zaufali, nie mogąc zrozumieć, aby Żyd, wobec pełnych swobód obywatelskich, nie przemienił się w obywatela wartościowego. Nasze rachuby na całej linii zawiodły. Dzisiaj nie możemy się już łudzić, że Żydzi, choćby się zasymilowali tak, jak to uczynili we Francji, Anglii, czy w Niemczech, pozostaną dla nas zawsze elementem duchowo obcym. Religia judaizmu, która tak daleko odbiega od ducha Starego Testamentu, odbiła na nich piętno niezatarte. Posiadamy w żydostwie nie tylko element całkiem obcy, ale na domiar tego element wprowadzający zawsze w nasze życie pierwiastki destruktywne. Musimy tedy bezwzględnie dążyć do odżydzenia naszego państwa, o tym dwóch zdań być nie może. Metody jednak naszej walki z żydostwem nie powinny mieć nic wspólnego z rasizmem. Nie zachwycajmy się

efektownymi zdobyczami rasizmu. Naród, który zatracił w sobie ducha, a ideał wielkości widzi tylko w materii, wchodzi na pochyłą równię i staczać się będzie ku własnej zagładzie. Ile razy przygotowaliśmy się do wielkich czynów, zawsze czerpaliśmy moc z ideałów wiary i ducha, jak to pięknie wypowiedział Słowacki w następującym wierszu:

Z pokorą padam teraz na kolana,
Abym wstał silnym Boga pracownikiem,
Gdy wstanę, głos mój będzie głosem Pana;
Mój krzyk — Ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — aniołem, co wszystko przemoże,
Tak mi dopomóż Chryste, Panie Boże!

Do tego czasu nasz polski nacjonalizm, aczkolwiek były mu obce wszelkie zasady rasistyczne, dokonał wielkich przeobrażeń w umysłowości całego społeczeństwa. Wierzymy, że i na przyszłość jego praca wydawać będzie piękne wyniki, pomimo olbrzymich trudności piętrzących się na jego drogach.

Ks. J. Kruszyński
Prof. K. Uniw. Lub.

Wielka Brytania, kraj ładu i swobody.

Jeden to z nielicznych krajów, gdzie prestiż parlamentu zachował się w stanie nienaruszonym. Obydwie Izby, Lordów i Gmin, posiadają w ręku władzę nie tylko faktyczną, ale i najwyższą, czuwają przy tym zazdrośnie nad całością swoich przywilejów. Nikt zresztą nie myśli poważnie zaprzeczać tej przewagi, która w okresie siedmiu stuleci wytrzymała chwalebnie dziejową próbę. Długowieczność angielskich instytucyj parlamentarnych budzi dla nich szacunek i zarazem stanowi o ich sile i powadze w kraju, który gorąco kocha własne tradycje, jakkolwiek niemniej głęboko ceni swoje swobody. Istotnie, jedna tylko Szwajcaria mogłaby się pochlubić równie trwałym, choć przerywanym istnieniem przedstawicielstwa narodowego. Skandynawia, Niderlandy, Belgia oraz Węgry, wprost przeciwnie, przeżyły długie okresy absolutyzmu albo obcego panowania. Brytyjska demokracja przedstawia się naszym oczom jako twór, powstały w ramach porządku, związanego logicznie z kolejnością przyrodzonych przemian. Nie przyszła ona do Anglii z zewnątrz, nie narzuciła jej Anglikom hałaśliwa, demagogiczna propaganda. Tkwi ona swymi korzeniami w sercu każdego obywatela. Demokracja ta zresztą, jak to zdołali wykazać przenikliwsi z obserwatorów, — nosi wyraźne cechy arystokratyzmu (w najlepszym znaczeniu słowa) i lubi nadawać sobie w doniosłych chwilach zewnętrzne pozory monarchii. Szczęśliwy to amalgamat metod, schodzących do poziomu czynników drugorzędnych. Na tym poziomie pozostaną one tak długo, jak długo nie zbraknie w Anglii odpowiednich ludzi: *right men in the right place.*

Ani ustrój Anglii, ani jej polityka nie opierają się na ustawach pisanych. Wszystko jest owocem zdobytego doświadczenia. Słynny angielski „zdrowy sens" tylko wówczas ucieka się do starożytnych tekstów, gdy ostatnie mają stanowić podstawę prawną dla decyzyj podyktowanych aktualnym splotem okoliczności. Obyczaje, wymagania chwili obecnej, na koniec umiejętność postępowania u odpowiedzialnych sterników łodzi państwowej — oto czynniki, kierujące olbrzymim aparatem, w którym zazębiają się nawzajem poszczególne koła, a więc: rząd, parlament, administracja, społeczeństwo.

Czy ogół ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że Anglia, ten kraj wzorowo konstytucyjny, nie posiada innej prawnej gwarancji własnego ustroju jak Magna Charta z r. 1214, przyznana baronom angielskim przez Jana Bez Ziemi? Że król rozporządza pełnią absolutnych praw, z wyjątkiem wypadków przewidzianych w tzw. „billach", prawach, które uchwalono w dobie nieporozumień, różniących Koronę z Izbami? Monarcha mógłby, o ile by chciał, przejść do porządku dziennego nad jakąkolwiek ustawą, przyjętą jednogłośnie przez Lordów i Gminy, a wystarczyłoby w tym razie wypowiedzenie sakramentalnych słów: „Król to rozstrzygnie". Jednakże w ciągu przeszło dwu wieków żaden z monarchów nie zrobił użytku z powyższego swego przywileju.

Czy jest powszechnie wiadomym, że rząd J. K. Mości stanowi z prawnego punktu widzenia jedynie komitet większościowy obydwu Izb? Że tylko ci ministrowie, którzy wchodzą w skład *Privy Council,* są upoważnieni do udzielania rad królowi? Że król mógłby w każdej chwili dać dymisję temu czy innemu ze swoich „sług", którego chciałby się pozbyć? Że na koniec mógłby mianować na stanowisko Pierwszego Ministra, gdyby takie było jego monarsze życzenie, kogokolwiek bądź: stajennego chłopaka, kobietę albo cudzoziemca? Tylko, że żaden z królów dokonywując wyboru człowieka na naczelnika swego rządu, nie pominie przy tym nigdy osoby parlamentarnego przywódcy, przedstawionego mu z ramienia premiera, obranego przez decydującą większość Izby Gmin i cieszącego się tejże Izby poparciem.

W ten sposób cały ustrój opiera się na zaufaniu, na przeświadczeniu lojalności składowych czynników państwa. W łonie innych demokracyj, zrodzonych z papieru i z teorii, występuje jako główna przeważająca cecha wstrętna nieufność, nieznana w Anglii. W znaczniejszej mierze, aniżeli król wraz ze swoim gabinetem ministrów, rządzą Parlamentem oraz wyborcami duch sportu, *fair-play* i *the common sense*. Podobny nastrój mógłby nawet przy sprzyjających okolicznościach spowodować odstąpienie od zasad, uchodzących dotychczas za nienaruszalne. Nie jest wykluczonym, że absolutne rządy królewskie, dyktatura lub jaki bądź inny ustrój państwowy mógłby zastąpić istniejący w Anglii parlamentaryzm, gdyby tylko Anglicy uznali to za rzecz korzystną i za najrozsądniejsze wyjście z trudnego położenia.

Takie to właśnie pobudki kierowały postępowaniem Edwarda VIII i jego przyjaciół, gdy w grudniu 1936 roku usiłowali wspólnie dokonać zamachu stanu. Usiłowania te opinia publiczna zdegradowała do rzędu wybryków, naoczni świadkowie nie odrazu zdołali rozpoznać istotną ich doniosłość. Ambitni i pełni złudzeń faszyści Sir Oswalda Mosley'a zwątpili o parlamentaryzmie angielskim i w ciągu kilku lat sądzili, że niezadługo wybije ich godzina, że będą mogli zapoczątkować w Anglii coś w rodzaju totalistycznej dyktatury. Obydwie te możliwości byłyby posiadały pewne dane powodzenia, gdyby 1^0 harmonizowały z ogółem narodowych dążeń angielskich i 2^0 gdyby aktualnie odpowiadał im faktyczny układ sił, sprzyjający całkowitemu przewrotowi politycznemu. Jednakże bieg wypadków wykazał, że naród solidaryzuje się zawsze z ustrojem parlamentarnym na podziw sprężystym i dającym się przekuwać na najrozmaitsze kształty; równocześnie ujawniło się, że kierownicy tegoż parlamentarnego ustroju ześrodkowali w swych rękach niewzruszoną potęgę władzy. Inaczej mówiąc: nie potrzebują obawiać się niczego, ani ze strony faszystów czy innych skrajnych ugrupowań prawicy, ani ze strony zwolenników osobistych rządów królewskich, ani ze strony rewolucyjnej lewicy, komunistów i innych.

Któż zatem steruje losami tego najpotężniejszego z mocarstw światowych? Angielska konstytucja, raczej zaś kompleks obyczajowo-prawno-konwenansowy, na którym spoczywają podwaliny brytyjskiego parlamentu, wskażą na króla, posługującego się pośrednictwem Rady, na rząd oraz obydwie Izby, z zastrzeżeniem wszelako wzajemnych granic w działaniu, zakreślonych w odnośnych dziedzinach przez prawo oraz historię. Wykazaliśmy jednak, że podział rzeczywistej władzy zależy wyłącznie od zmiennych okoliczności. Każdy z wyżej wymienionych czynników otrzymuje tyle wpływów, ile sam zdoła ich sobie zapewnić. Taką drogą za rządów królowej Wiktorii korona angielska zyskała powoli na znaczeniu i powadze. Edward VII potrafił utrzymać ten stan rzeczy, wyzyskując go jednakże wyłącznie w polityce zagranicznej. Jerzy V uczynił z królewskości tylko symbol; monarcha ten umiał zachować wzorową rezerwę, pozostawiając całkowitą swobodę swym premierom. Pamiętamy próby, podjęte przez Edwarda VIII, celem osiągnięcia dla siebie skutecznego udziału w kierowaniu sprawami państwowymi. Obecny król angielski, Jerzy VI, kroczy śladami ojca.

Niedawno dopiero formalne prawo uświęciło rozstrzygającą rolę premierów w polityce zagranicznej i wewnętrznej. Byli oni jednak już dawniej prawdziwymi władcami kraju oraz jego niewyczerpalnych zasobów, a dzisiaj nie przestają zajmować takiego stanowiska w dalszym ciągu. Ta wszechwładza, której kres okaże się kiedyś nieuniknionym, dałaby się porównać z pełnomocnictwami prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przewaga, jakiej Pierwszy Lord Skarbu zażywa w stosunku do swoich współkolegów w gabinecie angielskim, nie posiada odpowiednika w żadnym z rządów kontynentalnych. Mamy tu na myśli nie tylko wybitne i silne osobistości, jak Lloyd George, ale również i mniej świetnych polityków, do których zaliczymy Baldwina. Wszyscy oni cieszyli się i wciąż cieszą się władzą, nie znającą ograniczeń, o ile tylko stoją na czele zdecydowanej i jednolitej większości parlamentarnej i posiadają szczere zaufanie swych stronników. Brak autorytetu u takiego np. Mac Donalda tłumaczy się dwoma faktami: po pierwsze, większość, którą

rozporządzał ani stała, ani karna, była na domiar jeszcze mało liczebna, po drugie: stronnicy Mac Donalda nie zawsze szli ręka w rękę ze swym wodzem.

Ani Baldwin, ani Neville Chamberlain nie odznaczają się błyskotliwą inteligencją, nie imponują płynnością wymowy, nie umieją szermować językiem w sposób błyskawiczny a nieoczekiwany. Jednakże ci dwaj czołowi konserwatyści uosabiają zdrowy sens angielski i angielską lojalność i będąc w rzeczywistości realistami, powodują się przecież wysokimi pojęciami moralnymi. Nabyli niezwykłej zręczności w postępowaniu; ich prostota w połączeniu z wielkim poczuciem godności zdobyły im niemal ślepe zaufanie u tłumów, a szacunek u przeciwników politycznych. Oto dlaczego stronnictwo, któremu przewodzą, zdołało utrzymać przy sobie głosy wyborcze pomimo najrozmaitszych trudności oraz niezaprzeczonego niepowodzenia w polityce zagranicznej. Oto także dlaczego stary Stanley Baldwin, przygłuchy i nieco małomówny, potrafił w mgnieniu oka odsunąć oszałamiającego i wymownego Edwarda VIII; *dear old Chamberlain* zaś, prawdziwy brytyjczyk średniej klasy, w wiecznie niemodnych kurtkach, z arcyangielską głową i z wąsami wciśniętymi w sztywny kołnierzyk, na wzór komicznego artysty, w towarzystwie szanownej i sympatycznej swej „lady" oraz nieodłącznego swego „pépin", — umie utrzymać w karbach cały naród, który na pewno odmówiłby podobnych pełnomocnictw fantaście Lloyd George'owi, tak samo jak i wytrącającemu ludzi ze stanu równowagi Winstonowi Churchillowi oraz posępnej wyroczni elegantów, Edenowi.

Neville Chamberlain jest wnukiem szewca, a synem słynnego Joego Chamberlaina, który kolejno był wielkim człowiekiem w Birminghamie, w Anglii a pod koniec życia w Imperium Brytyjskim, będąc zarazem po Disraelim jednym z jego twórców współcześnie i wspólnie z Cecilem Rhodes'em. Neville Chamberlain odziedziczył po znakomitym swoim ojcu, obok dostępu do poselskich stanowisk, zdrowy i głęboki rozum. Z drugiej strony, w tym dżentelmenie, o wyglądzie dość zaniedbanym i silnie znamionującym przynależność do bardzo średniej warstwy społecznej,

z trudem jedynie można rozpoznać potomka świetnego eleganta Joego, zawsze ubranego bez zarzutu, z monoklem w oku i świeżymi storczykami w butonierce. Za przedstawiciela rodowego dandysmu można uważać raczej starszego Chamberlainowego brata, nieżyjącego Sir Austena. Skromny natomiast Neville doszedł właśnie do tego stanowiska, o które jego ojciec wraz z bratem tak usilnie lecz na próżno zabiegali. Premier Anglii jest przede wszystkim człowiekiem finansów, co — wbrew słowom lafontenowskiej bajki — bynajmniej nie spędza mu snu z oczu. Po wtóre jest „behaviourystą" tj. politykiem odrzucającym wszelką ideologię, na rzecz działania dostosowanego do potrzeb chwili. Stwierdzono fakt, najzupełniej harmonizujący z niniejszym wizerunkiem, iż ten mąż stanu nic sobie nie robi z protokołu dyplomatycznego, ani z żadnych światowych próżnostek. Na koniec jest to człowiek umiejący brać na siebie odpowiedzialność za swoje czyny, nie gardzi wszakże przy tym dobrą radą.

Rad tych, oczywiście, szuka premier przede wszystkim u swoich współpracowników. Jeżeli kompetencja angielskiego gabinetu jest złudzeniem, to za to wpływy niektórych ministrów stanowią dotykalną rzeczywistość. Oto imiona tych, którzy mają cośkolwiek do powiedzenia w obecnym zespole: Lord Halifax, Sir John Simon i Sir Samuel Hoare (wraz z Chamberlainem tworzą oni Wielką Czwórkę Przywódców, „Big Four"); Sir Thomas Inskip, Sir Kingsley Wood, na koniec pp. Hore Belisha i Malcolm Mac Donald.

Czasopisma rozniosły po całym świecie wizerunek Lorda Halifax'a, jego rysy i postać o liniach tak bardzo anglo-saksońskich. Jego ojciec był człowiekiem znanym z długich lat życia, wzorowej pobożności oraz usiłowań, które czynił w sprawie zjednoczenia Kościołów, a dalej jeszcze z rozległej kultury umysłowej i na koniec z oryginalności. Syn przedstawia uosobienie pięknego typu brytyjskiego. Zamiłowany myśliwy, specjalista w dziedzinie wiedzy tajemnej, gawędziarz, twórca *ghost stories,* dawniejszy wice-król Indyj, wybitny erudyta i pisarz utalentowany, to angielski Peer średniej klasy, podobnie jak p. Neville Chamberlain uosabia przeciętny typ Anglika średniej sfery

Postać Lorda Halifaxa wszakże wyrasta daleko poza poziom zwykłej przeciętności. Subtelny, przenikliwy, rozumiejący śmiałe przedsięwzięcia, giętki, a przecież w razie potrzeby nieugięty, dowiódł od chwili objęcia stanowiska sekretarza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, że nie tylko umie nad podziw dostosowywać się do okoliczności ale i odwrotnie także dostosowuje okoliczności do siebie. Na forum opinii publicznej ogłoszono go za germanofila. Pamiętamy, że zanim jeszcze ujął w swe ręce ster dyplomacji angielskiej, uprzedził Chamberlaina w Obersalzbergu. Zgódźmy się raczej, że jest on przeciwnikiem politycznych bloków oraz krucjat ideologicznych. Nie zapominajmy także, że jest synem wielkiego przyjaciela kard. Mercier, synem wielce szanującym pamięć ojca i podzielającym jego poglądy. Lord Halifax nie lubi Sowietów, chciałby natomiast przywrócić dobre stosunki z Italią; razem z Chamberlainem marzy o układzie z Niemcami, rozumie jednakże konieczność obrony Francji przed możliwą napaścią ze strony sąsiadów.

Sir John Simon, znakomity prawnik wyszedł z szeregów dawnej partii liberalnej. Był leader'em tzw. odłamu narodowego, podczas gdy Lloyd George wraz z grupą Sir Archibalda trwali w opozycji. Jako kanclerz prowadził w dalszym ciągu zapoczątkowane przez Chamberlaina dzieło uzdrowienia finansów. Obydwaj ci politycy, poprzednik oraz jego następca rozumieją się doskonale, przy czym prawnik tej miary, co Sir John, posiada wszelkie dane i wszelkie tytuły po temu, aby od czasu do czasu przypomnieć swemu współkoledze pewne prawne teksty oraz formuły, których pominąć nie zdołałby pomimo wszystko szef rządu nawet najbardziej realistycznie usposobiony. Samuel Hoare przydał blasku urzędowi Home Office, którego znaczenie polega wyłącznie na osobistych zaletach jednostek piastujących tę godność. Były minister spraw zagranicznych uchodzi, podobnie jak Lord Halifax, za umiarkowanego germanofila i tak samo jak on, jest zwolennikiem ogólno-europejskiego odprężenia.

Odcień frankofilski reprezentują w rządzie ministrowie obrony narodowej, głównie zaś p. Hore Belisha. Być może,

że żydowskie pochodzenie tego energicznego piastuna teki w ministerstwie wojny, stanowi źródło jego notorycznej niechęci do Trzeciej Rzeszy. W każdym razie pozostaje niezaprzeczonym faktem, że zarówno p. Belisha, syn maltańskiego izraelity, jak i jego ministerialni koledzy z marynarki, lotnictwa oraz zbrojeń, wykonywują swój zawód oraz pełnią swoje obowiązki, przyśpieszając ustawicznie i mnożąc przygotowania, które przysłowiową drogą mają zapewnić światu pokój.

W rządowym stronnictwie konserwatywnym znajdują się inni jeszcze frankofile, jeszcze bardziej wojowniczy od poprzednich, ale nie wchodzą oni w skład gabinetu rządowego. Pp. Winston Churchill i p. Antony Eden, są to najwięcej poważani bojownicy wspomnianego kierunku politycznego. Żaden z nich nie potrzebuje osobnej prezentacji. Churchill jest potomkiem ks. de Malborough, tego towarzysza broni Eugeniusza z Sabaudii i zarazem groźnego wroga armii francuskiej. Świeżo właśnie ukończył wspaniały życiorys swojego prapradziada i nic a nic się nie zmienił od r. 1914, kiedy to śpiesznie przybywał do Antwerpii, ani od r. 1915 tj. chwili, kiedy uczestniczył w nieszczęsnej wyprawie gallipolijskiej. Zawsze gotów narazić własną osobę i rozmiłowany w przygodach, jest niemniej waleczny i niespokojny, jak za czasów swej młodości spędzonej w Południowej Afryce. Wszyscy Churchill'owie mają rodzinną żyłkę do poszukiwania nadzwyczajności obok skłonności do radykalnych rozstrzygnięć: jeden z synów Winstona popisuje się wielką skrajnością przekonań, córka zaś wyszła za przedsiębiorcę kinowego, austriackiego Żyda, wystawiwszy uprzednio na widok publiczny swe talenty dancingowej girls'y, bardzo zresztą oklaskiwane. Ojciec nie obawia się wykonywać taniec śmierci na politycznej arenie, wspólnotą sprawy solidaryzuje się z pewnymi wojownikami semickiego pochodzenia przeciwko Trzeciej Rzeszy i pomimo swego konserwatyzmu zbiera pochwały muszkieterów. Nie inaczej ma się rzecz z p. A. Edenem, uczonym sanskrytystą oraz iranistą, bohaterem W. Wojny, człowiekiem o delikatnych uczuciach i żarliwej wierze w zbiorowe bezpieczeństwo. Obydwaj ci panowie sprawiają niemało kłopotu konserwatywnym czyn-

nikom kierowniczym, pomimo tego wszakże nie przestają być cennymi współpracownikami, szczególniej w przypuszczeniu takich możliwości sytuacyjnych, kiedy to ani jeden wyższy umysł nie będzie ponad miarę zbytecznym; owszem, z każdym, mogącym nastąpić momentem jakiegoś niebezpiecznego przełomu, są oni powołani do udzielenia odnośnym kołom swej wielce wartościowej rady.

Nakreśliliśmy wizerunki przywódców konserwatywnej większości, tak najznakomitszych członków rządu, jak i główniejszych *out-sider*'ów. Z kolei winniśmy teraz omówić opozycję, która zgodnie z prawidłami gry politycznej domaga się dla siebie udziału w odpowiedzialności, osobliwie w zakresie spraw międzynarodowych. Liberali nie mają właściwego przywódcy, jeżeli nie liczyć sędziwego gallijskiego lwa, Lloyd George'a. Ale ten trybun, dzisiaj człowiek przeszło 70-letni, umie już tylko pomrukiwać i porykiwać, utracił jednak zdolność używania kłów oraz pazurów. Zasiada w Parlamencie jako przeżytek minionej chwały oraz epoki. Najpierw obiecał powiesić Kaizera, potem zaś stał się rzecznikiem zbliżenia anglo-germańskiego. Pospołu z Churchillem uczestniczył w zamachu stanu, dokonanym przez Edwarda VIII, obecnie natomiast krytykuje równie gwałtownie jak bezsilnie politykę chamberlainowską.

Cóż należy powiedzieć o członkach Labour Party? Utracili oni najzdolniejszego ze swych ludzi, mianowicie Mac Donalda syna, ministra Dominiów, który przewyższał znacznie swego ojca, nieżyjącego już premiera, jakkolwiek jemu zawdzięczał własną karierę polityczną. Na czele stronnictwa Pracy stoi teraz czcigodny major Attlee, realista o poglądach umiarkowanych, w głębi serca pochwalający wszelkie czyny i posunięcia p. Chamberlaina. Należy on stanowczo do rasy ludzi takich, jak Baldwin i Chamberlain. Gdyby kiedyś jakiś zwrot w życiu wyborczym przywiódł go do władzy, nie czyniłby nic innego poza przedłużaniem wytycznej linii postępowania obu wymienionych mężów stanu. Staruszek Lansbury, usunięty od kierownictwa Labour Party wodzi po Europie pełnym ułudy spojrzeniem szlachetnego marzyciela, nosi magiczne słowo „pokój" zatknięte w klapę

marynarki i pacyfizm swój głosi Hitlerom oraz Mussolinim, Polakom i Jugosłowianom, po czym powraca do Anglii większym jeszcze optymistą aniżeli był przedtem. Poza tym dwoma wodzami, z których jeden pełni służbę czynną, drugi częściowo wycofał się z życia, żadna inna wybitna osobistość nie narzuca się stronnictwu pracy. Taki brak czołowych przedstawicieli w partii, gdzie nie wystarcza sama nominacja na stanowisko wodza, tłumaczy po części długotrwałe rządy konserwatystów. Wyjaśnia również i tę okoliczność, że wszechwładza N. Chamberlaina opiera się nie tylko na grupie osobistych jego stronników, ale także na „*quasi* — jedności" parlamentarnej.

Można by z drugiej strony przytoczyć przykłady wpływów poza — parlamentarnych, o wiele donioślejszych, aniżeli kazałoby przypuszczać na pierwszy rzut oka, nasilenie oficjalnej legalności. Kościół anglikański, a mówiąc ściślej, jego głowa, arcybiskup Canterbury, Jego Łaskawość Cosmo Lang, jeden ze sprawców upadku Edwarda VIII, posiada nad polityką państwową formalne prawo nadzoru: cały episkopat państwowego Kościoła w Anglii zasiada w Izbie Lordów; obok tego istnieje zwyczaj zasięgania rady prymasa przed powzięciem każdej bardziej zasadniczej decyzji. Dworskie natomiast koła oraz wielki przemysł zawdzięczają swe obecne stanowisko wyłącznie konstelacjom faktów realnych. Pomimo narodowego wstrętu brytyjskiego do osobistych rządów królewskich, monarcha rozporządza najprzeróżniejszymi środkami, które pozwalają mu w razie potrzeby przeprowadzić własny punkt widzenia. Niekiedy nawet król odgrywa rolę pośrednika dla członków swojej rodziny oraz swojego otoczenia, taką bowiem drogą wymienione osoby wpływają ubocznie na bieg wypadków. Ogólnie wiadomo, że królowa Mary oraz Elżbieta cieszą się wielkim posłuchem u króla Jerzego VI i że monarcha ten nie gardzi również zdaniem przyjaciół czy przybocznej świty.

Teraz na koniec zagadnienie wielkiej finansjery. Nie są to bynajmniej potęgi ukryte, przeciwnie, jawne, a nawet sprawdzone. Wielcy przemysłowcy, jak Lord Nuffield, dalej bankierzy, nade wszystko zaś „Lordowie prasy", znaczą

więcej aniżeli większość ministrów i prawie wszyscy posłowie. Walka rozgrywająca się pomiędzy obozami franko- i germanofilskim wykazuje wyższy stopień zażartości i napięcia na terenie londyńskiej City oraz świata dziennikarskiego, aniżeli na polu partyjno-parlamentarnym. Z jednej strony *Times* i czasopisma Lorda Rothermera, z drugiej — *Daily Herald, Manchester Guardian, Yorkshire Observer.* W walce tej uczestniczą dwutygodniki: *Sunday Referee, Observer* i inne; wtrącają do niej swe głosy miesięczniki i przeglądy. Wobec tego wszystkiego nagle spostrzegamy, że opinia publiczna w Anglii nie jest wcale wytworem wyobraźni. Widzimy, że za ministrami oraz Izbami, za przemysłowcami i dziennikarzami, stoją i działają duchowo-umysłowe moce, idee; te same idee, które możemy studiować na uniwersytetach i które odnajdujemy w osobliwie bogatym angielskim piśmiennictwie politycznym, jako też w owych literackich „fikcjach", jakimi są wszędzie, a więc i w Anglii, teatr oraz poezja.

W tych to najbardziej pierwotnych źródłach znajdziemy najczystszy, najtreściwszy, ostateczny wyraz Wieczystej Anglii: umiłowanie porządku i swobody, rozum, który ani wierze, ani uczuciu się nie sprzeciwia, siłę charakteru oraz woli, umacniające i utrwalające istnienie krajowych instytucyj parlamentarnych. Za ideami zaś stoją ludzie, wspaniała rasa ludzi czynu. Jak długo ludzie ci potrafią być naprawdę sobą, tak długo wielkość i wolność Anglii, całego Imperium Brytyjskiego, nie poniosą szkody. *Rule Britannia, rule the waves, Britfons never shall be slaves!*

Dr Otto Forst Battaglia.

Przegląd piśmiennictwa.

Juliusz Znaniecki: Michał (wyd. ks. św. Wojciecha). — Zofia Bogdanowiczowa: Droga do Daugiel (wyd. ks. św. Wojciecha). — Jan Waśniewski: Podniówce (wyd. Rój). — Maria Rodziewiczówna: Róże panny Róży (wyd. R. Wegner). — Sigurd Elkjaer: Między morzem a fiordem, tłum. Stanisław Sawicki (wyd. Książnica — Atlas). — Knut Hamsun: A życie toczy się dalej, tłum. Czesław Kędzierski (wyd. R. Wegner). — Joseph Conrad: Opowieści zasłyszane, tłum. Teresa ks. Sapieżyna i Stanisław Wyrzykowski (wyd. Biblioteka Polska). — Joseph Conrad: Sześć opowieści (wyd. Biblioteka Polska).

Przed paru miesiącami rozstrzygnięty został konkurs księgarni św. Wojciecha na powieść o ideologii katolickiej. Jury konkursu przyznało dwie równorzędne pierwsze nagrody, z których jedną otrzymała powieść Juliusza Znanieckiego — *Michał*. Przy ocenie książki, nagrodzonej na konkursie specjalnym, konkursie o obliczu ideowym, oprócz normalnie nasuwających się spostrzeżeń, dotyczących jej wartości czysto literackich, ze specjalną siłą narzuca się zagadnienie, czy i o ile odpowiada ona założeniom konkursu. Można by pomyśleć, że decyzja jury sprawę tę raz na zawsze przesądza. Jednakże krytyk omawiający *Michała* musi do tej sprawy powrócić, gdyż jest ona dla struktury i charakteru książki bardzo zasadnicza. *Michała* można by przez analogię do „powieści o cierpliwym piechurze" nazwać „powieścią o nowoczesnym człowieku", nowoczesnym przez swój egoizm, brak uczuć i ideałów, chęć użycia, kult pracy i pieniądza (pracy — jako drogi do pieniędzy), okrucieństwo i zmysłowość. Michał dąży do swoich celów bez względu na przeszkody, jest typem konkwistadora, zwycięzcy, — ponosi jednak wielką klęskę życiową: przeżywa nieodwzajemnioną miłość. Zrozpaczony i pijany omal nie traci życia w katastrofie samochodowej, w której następstwie zagrożony jest utratą wzroku, *happy end* jednak majaczy na końcu książki: pod wpływem cierpienia Michał przeobraża się wewnętrznie i zdobywa wreszcie miłość Ireny. To przeobrażenie zresztą pozostawione jest niemal całkowicie domysłom czytelnika. Autor nam go nie ukazuje, paru słowami zaledwie o nim

napomyka. W pięćsetstronicowej książce tylko czterdzieści ostatnich stron poświęconych jest Michałowi w chorobie, a i te wstydliwie omijają jego przeżycia wewnętrzne. Jeśli więc chodzi o głównego bohatera, to dzieje jego urywają się właśnie w tym momencie, kiedy wkracza w nie poprzez cierpienie element walki ze sobą, niosąc załamanie dawnych egoistycznych zasad życiowych i problem nowego ustosunkowania się do świata. Ale te motywy nie zostały już przez autora wyzyskane, choć sądzę, że dopiero ich rozwinięcie mogłoby przekształcić *Michała* w powieść katolicką, tj. powieść o katolickiej problematyce. Tak jak został nam przez autora dany, jest powieścią o nowoczesnym, bardzo przyziemnym mimo pozorów kultury, człowieku, historią jego zabiegów, zmierzających do zdobycia przedmiotu pożądania zmysłowego, — tym bowiem jedynie, bez domieszki uczucia, jest jego rzekoma miłość do Ireny. Tematyka więc, ani fabuła nie mają w *Michale* oblicza ideowego. Co więcej sposób widzenia rzeczywistości przez autora jest bardzo specjalny i również nasuwający zastrzeżenia. Ujmuje on mianowicie świat, ludzi i zdarzenia przede wszystkim w kategoriach piękna i brzydoty. Kalectwo np. niszczy bezapelacyjnie miłość (historia ciotki Teresy), brzydka matka Michała skazana jest na utratę uczucia męża, zakochanego w pięknej, niedostępnej kobiecie, związek piękna z brzydotą musi być nietrwały i zakończony tragicznie (Gustaw i Ewa), — uczucia wszystkich występujących osób, te nawet, które prawdopodobnie mają stanowić kontrast z uczuciami Michała, to przede wszystkim podziw dla piękna fizycznego i jego pożądanie. To nastawienie psychiczne autora przepaja całą książkę, znajdując swój wyraz także w stylu i w doborze szczegółów przy opisach. Epitet „zmysłowy" powtarza się w książce nieskończoną ilość razy, na określenie najróżnorodniejszych rzeczy. Gdy Michał po raz pierwszy wchodzi do pokoju Ireny, opis jej mieszkania zaczyna się od zdania: „Niesłychanie c i e l e s n y nastrój panował w tym pokoju z m y s ł o w o pachnącym jabłkami" (podkreślenia moje). *Con amore* opisywane są kropelki soku jabłecznego, osiadające na wargach Ireny i pianka, pozostająca po wypiciu kawy na puszku nad jej ustami. Gdy Michał je z apetytem śniadanie „wargi jego zdają się pęcznieć". Itd. itd. Jednostronne skupienie uwagi na szczegółach tego rodzaju jest cechą charakterystyczną tej książki. Dlaczego więc pomimo bezideowej fabuły i tematyki, pomimo przesiąknięcia zmysłowością, pomimo kultu fizycznego tylko piękna, — powieść pretenduje do miana katolickiej? Oto dlatego zapewne, że niezależnie od wyliczonych właściwości biegnie przez nią nić refleksyj, bądź wprost przez autora wypowiadanych, bądź włożonych w usta, czy stanowiących myśli niektórych postaci, — refleksyj o charakterze odmiennym, przynoszących zadumę nad światem i inną, niż michałowa, ocenę jego spraw. Ten element powieści można uważać za ideowy, jest on jednakże zbyt słaby,

aby wyryć wyraźne piętno na całości książki. Prym w niej dzierżą omówione wyżej elementy: kult piękna fizycznego i zmysłowość, a dysproporcja między nimi a nurtem tamtych refleksyj jest bardzo widoczna.

Michał posiada duże zalety narracji, dobrą kompozycję, ładny, choć miejscami nieco zbyt metaforyczny styl, — czyta się go lekko i z zainteresowaniem. Godne podkreślenia jest subtelne operowanie motywem dziecięcych wspomnień Michała, — ów dręczący go przez całe życie obraz zamęczonego kota. Jest to dobrze napisana powieść, trudno jednak pomimo konkursowego wyróżnienia uznać ją za powieść o wyraźnym obliczu ideowym.

Druga powieść nagrodzona na konkursie księgarni św. Wojciecha, *Droga do Daugiel* Zofii Bohdanowiczowej przedstawia problem odwrotny do *Michała:* niepodejrzana jest jej ideologia, słabsze natomiast wartości literackie. W tym krótkim, może raczej na miano noweli zasługującym opowiadaniu, życie nadgranicznych zaścianków polsko-litewskich wypadło dość blado. Oklepana fabuła, schematyczny rysunek postaci, dążność do krańcowych efektów grozy, to znów ckliwości (postać pana Michała), pewna nieporadność kompozycyjna, niezharmonizowanie różnych motywów, które autorka pragnie wciągnąć w swą powieść, — to jej braki. Problem ideologiczny: skruszenie pysznego, o twardym sercu katolika Jana Szołny, potraktowany został również powierzchownie, szkicowo. Dekoracyjna symbolika zakończenia: porąbanie figury św. Jana, a potem wyrzucanie kamieni z serca Jana, zdradza raz jeszcze niebezpieczną skłonność autorki do nadużywania mocnych efektów. Bezsprzeczną wartością książki jest jednak jej piękny język i bardzo ładne, pełne prostoty i malowniczości, opisy przyrody. Porównanie z opisami przyrody w *Michale,* po literacku przestylizowanymi, pozwala ocenić w całej pełni świeżość odczucia, z jaką Bohdanowiczowa podchodzi do opisywania natury. Sympatyczna jest tendencja pojednawczo-braterska w traktowaniu problemu narodowościowego. Koloryt lokalny został dobrze podbarwiony przez umiejętne użycie gwary. Można tylko żałować, że zbytnia szkicowość, brak pogłębienia nie pozwoliły całości osiągnąć tych walorów, które posiadają poszczególne fragmenty książki.

Po dniówce Jana Waśniewskiego jest to tom opowiadań z życia górników, napisany w gwarze olkuskiej. Celem autora — jak to wyznaje we wstępie — było właśnie utrwalenie tej zanikającej gwary, temu celowi językowemu podporządkować musiał inne elementy swej twórczości, ten moment wyznaczył więc niejako i tematykę i strukturę opowiadań. Z początku czytanie opowieści pisanych czystą gwarą, męczy. Chcąc zauważyć i ocenić walory językowe tak zupełnie różne od tych, które wskutek

wprawy w codziennym obcowaniu odkrywamy od razu w naszym „miejsko-inteligenckim narzeczu", pozostawiamy na peryferiach naszego pola świadomości wrażenia dostarczane przez inne składniki utworu. Dopiero po oswojeniu się ze stroną językową opowiadań, po nabyciu pewnej wprawy w pokonywaniu transkrypcji fonetycznej (choć i tak ze względów graficznych nie pedantycznie ścisłej), możemy rozsmakować się całkowicie w tej książce. Sprawdza się na niej raz jeszcze stara zasada głosząca, że tajemnicą piękna w literaturze, jak w każdej sztuce, jest harmonia elementów składowych, a efekty płynące z umyślnych dysharmonij pozostaną zawsze tylko eksperymentami, ciekawostkami. Uwarunkowana ubóstwem języka prostota w budowie opowieści, niezłożoność psychologiczna występujących postaci, są w tej książce tak zupełnie właściwe i zrozumiałe, że stają się jej wartością, a nie wadą. I niepotrzebnie tłumaczy się z nich autor we wstępie z pewnym zakłopotaniem. Czytelnik odczułby finezje psychologiczne w opowiadaniu starego stróża nocnego, Banasika, jako fałsz artystyczny. Tak zaś jak przedstawił nam autor tę pyszną postać głównego narratora tomu, posiada ona całkowitą prawdziwość i plastyczność. Szereg opowiadań, a właściwie gawęd, składających się na tę książkę, łączy jedność miejsca i występujących osób. Po dniówce schodzą się górnicy w izbie zbornej, w „cajchorzu" i wypoczywając słuchają wzajemnie swoich opowiadań, w których prym trzyma ów stary stróż Banasik. Doskonały obiektywizm autora pozwala nam oglądać oczami starszego i młodszego pokolenia, — bo i młodsi czasem głos zabierają w gawędzie, — nie tylko rozmaite wypadki z prywatnego życia górników, ale i refleksy, które na cichą wodę ich spokojnego życia rzuciła fala wielkich wypadków dziejowych 1914 — 18 roku. Mądrość życiowa ludzi pracy, ich rozwaga, ich nieco materialistyczny punkt widzenia, z którego oceniają świat otaczający, oddane zostały w tych gawędach doskonale. A sentyment autora dla dawnych czasów, dla ginącego już, czy może przetwarzającego się tylko typu „hyrnego" górnika-gospodarza, zabarwia zwłaszcza zakończenie zbiorku ciepłą, serdeczną nutą.

Zbiór opowiadań Marii Rodziewiczówny, zatytułowany: *Róże panny Róży* ukazał się jako 34-ty tom jej pism w Wydawnictwie Polskim R. Wegnera. Cyfra 34 i długa litania tytułów wcześniejszych powieści każą nam z szacunkiem schylić głowę przed trudem pisarskim popularnej autorki. Jak w każdej produkcji literackiej, a zwłaszcza tak obfitej, w jej dorobku znajdują się rzeczy lepsze i gorsze, poziom artystyczny jej prac nie jest równy. Tym jednak, co stanowi ich wspólne, charakterystyczne piętno, co jak nić czerwona przebiega przez najrozmaitsze wątki i fabuły, jest gorący patriotyzm autorki, głębokie umiłowanie polskości, ziemi i ludzi, prawdziwy duch obywatelski,

bijący z kart jej książek. To właśnie sprawiło, że jej twórczość była istotnie „strawą duchową" w epoce przedwojennej, to nadaje jej powieściom i dziś jeszcze niezaprzeczoną wartość wychowawczą. Przyzwyczajeni do jej głębokiej wiary w umiłowaną, wytęsknioną, trudem i ofiarami życia tylu pokoleń zdobytą Polskę, do ufności w człowieka, w istotną, choć nieraz późną sprawiedliwość dziejów, jednym słowem do tego zasadniczego, chrześcijańskiego, a wcale nietaniego optymizmu, który w czarnych latach zwątpienia i niewoli krzepił jej czytelników, z niezmierną przykrością i lękiem odkrywamy pod różanym tytułem ostatniego zbioru opowiadań przejmujące nuty zniechęcenia i goryczy w obliczu polskiej współczesnej rzeczywistości. Te nuty są tak bolesne, tak głęboko zapadają czytelnikowi w serce, że przesłaniają stronę czysto literacką tych zresztą zupełnie bezpretensjonalnych urywków i zmuszają do traktowania całości przede wszystkim jako dokumentu walki, tej walki o Polskę i polskość, która bynajmniej nie została zakończona z odzyskaniem niepodległości, a ze szczególnym nasileniem toczy się na terytoriach etnicznie mieszanych. Na takim właśnie pogranicznym poleskim bastionie upływa życie Rodziewiczówny i fakty, które opisuje w swojej ostatniej książce są osobiście przeżytymi lub zaobserwowanymi fragmentami tej nieustającej walki. Akcenty pesymistyczne zawdzięczają zaś te opowiadania faktowi, że dziś walka o Polskę nie toczy się z obcym napastnikiem, lecz z własnymi rodakami, z tymi, którym byt narodu jest obojętny, którzy interesy klasowe stawiają ponad potrzebami państwa, albo karmią siebie i innych niebezpiecznymi mrzonkami, nie licząc się z realnymi warunkami kraju i czasu, w których żyją. Krzywdy jakie żywioł polski ponosił i ponosi wciąż na kresach nie od obcych, ale od swoich, były już wielokrotnie omawiane w prasie i w różnych publikacjach. Jest to jednak sprawa tak smutna i bolesna, że każdy dokument tej niesławnej walki przeżywa się na nowo pełnią oburzenia, żalu i goryczy, niestety bezsilnych. Tak też ciężko i gorzko przeżywa się proste opowiadania Rodziewiczówny, a tam, gdzie łatwo w nich domyśleć się momentów autobiograficznych, dołącza się do tych uczuć jeszcze uczucie wstydu, — że oto w ten sposób odpłaca się czasem wyzwolona ojczyzna swoim najzasłużeńszym bojownikom.

Powieści skandynawskie zajmują w literaturze światowej miejsce poczesne, a wśród czytelników wszystkich krajów Europy mają ustaloną dobrą markę. Zgodnie przychylna opinia krytyki i publiczności jest w tym wypadku najzupełniej zasłużona. Niezależnie od indywidualnych walorów tych książek, od oblicza poszczególnych twórców, posiadają one pewne cechy wspólne, pozwalające mówić zbiorowo o literaturze skandynawskiej, jako o pewnym typie odrębnym, i tym właśnie cechom charaktery-

stycznym zawdzięczają swoją popularność. Znajduje się w nich bowiem niespotykane gdzie indziej połączenie melancholii i siły, prostota w odmalowaniu uczuć, głębokie przywiązanie do ziemi i żywiołowa miłość morza, surowa atmosfera pracy, wysiłków i walk o najistotniejsze wartości życia. A pozorna monotonia codziennego bytowania wśród ciężkich warunków północnej przyrody jest tłem, na którym tym plastyczniej występują odwiecznie ludzkie konflikty i problemy, zmagania ze sobą i z otaczającym światem. Powieść Duńczyka Sigurda Elkjaera *Między morzem a fiordem* jest taką właśnie typową powieścią północną. Spokojny jej tok odtwarza ubogie życie kilkunastu rodzin wieśniaczych, zamieszkujących małą wysepkę, położoną między morzem, a fiordem oddzielającym ją od stałego lądu. Ciężka praca w domu, na roli i na morzu stanowi istotę tego życia, nieliczne wydarzenia rodzinne z rzadka tylko urozmaicają jego bieg. W subtelnym odmalowaniu tego życia, w umiejętnym opisie drobiazgów, z których ono się składa, w oddaniu jego rytmu zgodnego z rytmem przyrody leży wielki urok tej książki. Ale pod tym nurtem zwykłej codzienności kryją się wielkie uczucia, płomienne namiętności. Ich wspomnieniem żyją ludzie, dla których są one już przeszłością, ich oczekiwaniem płoną serca młodzieży. Przeszłość i przyszłość splatają się przedziwnie, stare sprawy rzucają cień swój na losy młodego pokolenia, w którym odżywają uczucia rodziców. Bohaterką powieści jest młoda dziewczyna o gorącej krwi, zmuszona wybierać między spokojnym, pełnym „domowych" zalet człowiekiem osiadłym, a gwałtownym, żywiołowo namiętnym marynarzem. Budzące się uczucia Cilli, — takie jest jej imię, — jej bezradność wobec nieznanych, nieprzeczuwanych nawet własnych porywów i pragnień, niemożność zdania sobie sprawy z drogi właściwej, cały proces dojrzewania serca i zmysłów wpleciony jest i zespolony z powolnym rytmem życia osady i rozwija się w całkowitej z nim harmonii. Zakwestionować można by co najwyżej wprowadzenie przy końcu książki motywu miłości między bratem i siostrą. Motyw ten, zawierający sam w sobie wiele tragizmu, nie potęguje tutaj siły dramatu, — narzuca raczej mechanistyczne rozwiązanie, każe Cilli wyrzec się miłości marynarza Jörgena, nad którą teraz zawisłoby przekleństwo kazirodztwa. Wolelibyśmy, aby wybór dokonany został przez bohaterkę nie pod naciskiem tego faktu, aby rozwiązanie problemu psychologicznego odbyło się całkowicie i wyłącznie na płaszczyźnie psychologicznej. Przeciwstawienie żywiołu morza, uosobionego w niespokojnym, porywającym Jörgenie i spokojnej stałości pracy na ziemi, której wyrazicielem jest Ras, zawierało już dosyć elementów dramatycznych i to dodatkowe powikłanie sprawy trudnościami zupełnie innego rzędu krzywi nieco linię rozwijającego się konfliktu, chociaż tym mocniej uwypukla w tragicznym zakończeniu potężną, niszczącą siłę zmysłów. Powieść Elkjaera brała

udział w Międzynarodowym Konkursie Literackim w Londynie w 1936 r. jako najlepsza współczesna powieść duńska. Chociaż nie uzyskała pierwszej nagrody, którą przyznano wówczas Jolan Földes za *Ulicę Kota Rybołówcy,* reprezentuje godnie dobrą tradycję powieści skandynawskiej.

Książka Knuta Hamsuna *A życie toczy się dalej* sprawia pewne rozczarowanie wielbicielom tego powieściopisarza. Nie dosięga ona poziomu innych jego dzieł, choć jest bezwzględnie książką „dobrze napisaną". Życie toczące się dalej, poprzez i ponad cierpieniami i przeżyciami, szczęściem i niedolą ludzi zamieszkujących małą mieścinę na północy Norwegii, życie płynące wciąż mimo śmierci, raz po raz sięgającej do tego zbiorowiska ludzi, by wybrać zeń swoją daninę, — jest w tej książce żywiołem wypełniającym ją bez reszty. Nie ma w niej żadnego spojrzenia wgłąb tych życiowych przemian. Jednostajne, drobne zdarzenia wysnuwają się jedne z drugich, zachaczają o siebie, tworzą nieprzerwany łańcuch dni powszednich, prawdziwy, lecz niezwykle monotonny. W ciepłej szarzyźnie tych dni roztapiają się zdarzenia ważniejsze, które mogłyby wyżłobić jakiś ślad trwalszy w duszach bohaterów, przemijają bez echa, tworząc bezbarwne egzystencje o zatartych granicach wartości rzeczy. Hamsun, który w *Błogosławieństwie ziemi* np. potrafił z taką siłą ukazać w nurcie dni powszednich jego głębokie, chciałoby się powiedzieć: mistyczne oblicze, który na ogół umie w swoich książkach przepoić ten nurt tchnieniem ukrytej wielkości, patosem spełnionych w trudzie obowiązków i głębokich choć milczących uczuć, tutaj nie wydobył nic z surowej miazgi życia, zadowalając się ukazaniem jej powierzchni tylko. Z obszernej galerii postaci zaludniających karty książki, żadna, nie wyłączając największą uwagą autora otoczonego Augusta, nie przemawia do nas ze specjalną siłą, żadna nie skierowuje naszego żywszego zainteresowania na siebie i swoje losy. Monotonia tej książki, tego życia, które nie toczy się, lecz sypie drobnym piaskiem nudy, jest dla wrażenia estetycznego zabójcza i przynosi nam dobitne pouczenie o tym, że tak ceniony w powieściach skandynawskich realizm „szarego życia" traci całą swą poetyczność i swoisty urok z chwilą, gdy nie dostrzegamy już pod nim ożywiającego tchnienia spraw i przeżyć, wykraczających poza ramy codziennego kołowrotka, a które jedynie zdolne są nadać mu blask i barwę.

Nakładem Biblioteki Polskiej ukazały się nowe wydania dwóch tomów nowel Josepha Conrada: *Opowieści zasłyszane* i *Sześć opowieści.* Chociaż nie są to nowości, gdyż przetłumaczone i wydane po raz pierwszy były już dawniej, zasługują na uwagę wszystkich miłośników dobrej literatury, są to bowiem książki z gatunku tych, które czytać i odczytywać można wielo-

krotnie, smakując ich niezwykłe piękności i odkrywając wciąż nowe. Talent narracyjny Conrada nowelisty błyszczy w nich świetnym blaskiem, dyskretny patos, subtelny humor lub delikatna ironia zabarwiają te małe arcydzieła precyzji i oszczędności słowa. W powodzi małowartościowych „nowości", drukujących się co roku, te powtórne wydania książek o wysokim poziomie artystycznym stanowią pozycję wybitnie dodatnią.

Mgr Hanna Wierzbicka.

Jan Dobraczyński: Bernanos powieściopisarz. Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej, Lublin — Uniwersytet. Str. 81.

Nie można się dziwić temu, że ogół polskich czytelników nie rozumie, dlaczego nazwisko Bernanosa rozbrzmiewa dzisiaj po dwóch stronach barykady, dlaczego stało się ono zbyt uproszczonym symbolem pewnych, przeciwnych sobie ideologij. Autor *Sous le soleil du satan* był u nas pisarzem raczej modnym aniżeli znanym, mniej znanym od Maritain'a i Mauriac'a i bardziej zagadkowym. Otoczony nimbem tajemniczości pojawiał się we wszystkich recenzjach i krytykach literackich, w których była mowa czy to o pisarzach katolickich Francji, czy o dłoni komunistów wyciągniętej pojednawczo do braci chrześcijan. W ten sposób wszedł do żelaznego repertuaru nazwisk, łączonych automatycznie ze wszystkimi sprawami kultury duchowej — rzecz oczywiście bardzo wygodna dla publicystów. Tak, tylko czasem po *Journal d'un curé de campagne* przychodzą *Les grands cimetières sous la lune* i przed źle poinformowanymi czytelnikami staje zagadka. Jeżeli więc społeczeństwo polskie jest zmuszone przez prasę do zainteresowania się osobą p. Bernanosa, to słusznie należy mu się, by wiedziało dokładnie, z kim ostatecznie ma do czynienia i jakie korzyści może odnieść z akademickich sporów o ideologię obcego pisarza.

Studium p. Dobraczyńskiego ma na celu zapoznanie czytelników z duchowymi wartościami twórczości Bernanosa i jako takie może oddać wielkie usługi, przynajmniej przez danie okazji do zrewidowania tej twórczości i ustalenia, w jakiej mierze autor *Radości życia* może uchodzić za pisarza katolickiego — co jest właściwie najważniejszym zagadnieniem.

Zaraz na wstępie trzeba zaznaczyć, że p. Dobraczyński, gorący zwolennik Bernanosa, pisał swoje studium o nim przed ukazaniem się *Les grands cimetières sous la lune.*

Przede wszystkim zajął się problemem definicji pisarza katolickiego. Każdy zgodzi się z Autorem, że w pojęciu pisarza katolickiego dwie rzeczy trzeba koniecznie uwzględnić: dzieło i człowieka. Na ten temat były już dyskusje w prasie i dlatego niech nam będzie wolno teraz do wszystkich podanych definicyj pisarza katolickiego dorzucić jedną tylko poprawkę. Może się

bowiem zdarzyć, że dzieło o wysokiej wartości moralnej, pisane przez człowieka, który żyje według zasad katolickich, będzie w danej chwili szkodliwe dla społeczeństwa — dosłownie szkodliwe. I cóż wtedy powiemy o pisarzu i jego dziele? Powiemy, że przestał w nim działać ten zmysł katolickości — *sensus catholicus* — którym się odczuwa wszystkie potrzeby wielkiej rodziny chrześcijańskiej, który łączy duszę piszącego z duszą społeczeństwa silniej aniżeli czynią to więzy socjalne. Wchodzimy tutaj na teren łaski i w dziedzinę pojęcia o ciele mistycznym. Stąd płyną obowiązki i odpowiedzialność pisarza nie tylko w stosunku do Boga lecz i wobec tych, dla których w tej chwili tworzy. I zdaje się nam, że w świetle tej prawdy nie żąda się zbyt wiele od pisarza katolickiego, gdy się mu czasem każe zrezygnować z uzewnętrznienia najświętszych i najszczerszych, ale czysto osobistych uczuć, ze względu na dobro ogólne. Gdyby na przykład w okresie ogólnego zobojętnienia w wierze wśród społeczeństwa, kiedy szuka się pretekstów, by usprawiedliwić swą niewiarę, gdyby wtedy pisarz katolicki zaczął się spowiadać publicznie ze swych zwątpień, ze swych dręczących go pytań, na które jeszcze odpowiedzi nie znalazł, czy byłby to pozytywny wkład pisarza do ogólnego rozwoju myśli katolickiej w tej właśnie chwili? Może wtedy powstać dzieło sztuki, może nawet kiedyś stać się chlubą literatury religijnej, ale dzisiaj przyczyni się do nasilenia pesymizmu. To samo trzeba powiedzieć o rewizjonizmie przeniesionym na teren historii Kościoła. Pisarz katolicki powinien nauczyć się milczeć — nawet słowa prawdy muszą być wypowiedziane we właściwym czasie. Może to ktoś nazwać zabijaniem wolnej twórczości; byłby to jednak zarzut dość dziwny dzisiaj, kiedy we wszystkich dziedzinach wymaga się od jednostki pewnej rezygnacji ze swych praw.

Czym są dzieła Bernanosa dla katolików francuskich, a pośrednio dla ogółu katolików? Dla jednych obrazem gwałtownych wichrów łaski pędzących duszę w ramiona oczekującego Boga, dla drugich sprawozdaniem z bolesnych zmagań się serca ludzkiego z łaską, dla innych wreszcie będzie to uzmysłowienie strasznych i zbyt częstych sam na sam duszy z szatanem. I prawdopodobnie to ostatnie wrażenie będzie silniejsze i bardziej ogólne. Satanizm Bernanosa rozrósł się do takich rozmiarów, że kilkakrotnie przewyższył potrzebę uświadomienia katolików o roli szatana w historii dusz i ich dążenia do świętości. Ograniczenie jednak tej świętości do nieustannej walki z szatanem do wyzwalania się spod jego władzy wydaje się nam zbyt jednostronne; a takie sceny jak na przykład mocowanie się księdza Donissana z diabłem zakrawają, łagodnie mówiąc, na groteskę.

Przyczyniła się do tego moda, jaka panuje w literaturze francuskiej — moda wprowadzania w rozgrywki ludzkie zła absolutnego, leżącego poza granicami woli człowieka. Nie byłoby

w tym nic złego, gdyby nie skłonność do przerzucania całego ciężaru winy osobistej poza linię odpowiedzialności i traktowanie własnych upadków jako krzywdę wyrządzoną przez potężnego przeciwnika. Trzeba pamiętać, że ton francuskiej literaturze katolickiej nadają przede wszystkim nawrócency, a więc ci, którzy przeszli przez burze wewnętrzne, którzy musieli walczyć i drogo okupić stan łaski. Jeżeli więc z taką nieufnością patrzą na przeciętnych katolików, idących spokojnie i powoli drogą uświęcania się, to tylko dlatego, że patrzą na nich przez pryzmat swych własnych przeżyć. A to zwykle zniekształca obraz. Zdają się nie rozumieć (a zwłaszcza nie rozumie tego Mauriac), że spokojne przeżycia religijne praktykującego katolika mogą być i są często głębsze i trwalsze od gwałtownych; a na pewno więcej w nich jest harmonijnej współpracy rozumu i serca. Stąd też u nich trochę lekceważące traktowanie ludzi, którzy nie poznali i nie zaznali całej nędzy grzechu i upadku.

U Bernanosa nie występuje to zbyt jaskrawo. Jest za to inna rzecz, która może słusznie zaniepokoić czytelnika. Chodzi tutaj o świętych, których autor zwykle obdarza pewnymi rysami patologicznymi. Że proboszcz z *Journal d'un curé de campagne* może nawet obciążony dziedzicznie alkoholizmem stać się świętym, o tym nikt nie wątpi, ale trudno wymagać od krytyków, a zwłaszcza krytyków akatolickich, żeby o tej dziedziczności zapomnieli przy omawianiu zjawisk nie mieszczących się w ramach pojęcia człowieka normalnego. Zresztą sam p. Bernanos daje im broń do ręki, opisując, w jaki to sposób jego bohater leczy się winem i tylko winem. To samo spotykamy przy ekstazach Chantal z *Radości życia* — autor musi zaraz dodać, że babka Chantal była wariatką. Jeszcze raz powtarzamy, że z tego tytułu nie można jeszcze autora oskarżać o przyczynowe łączenie cech świętości ze stanami anormalnymi — chodzi tutaj o to tylko, że autor nie przewidział, a może przewidzieć nie chciał, że jednak taki wniosek wyciągnie znaczna część czytelników. A z nimi właśnie autor się nie liczy.

Nie liczy się z nimi tak, jak się nie liczył z E. Hello, którego sąd o przeciętnym człowieku przekształcił i przystosował do swych pojęć. Ale to już jest inna sprawa. Nas obchodzi tutaj raczej ustosunkowanie się Bernanosa do społeczeństwa aniżeli błędy jego systemu. Tymi prawdopodobnie zajmie się jeszcze kiedyś sam p. Dobraczyński w obszernej monografii o autorze *Les grands cimetières sous la lune*. Taka monografia, pisana przez znawcę kierunków literackich we Francji, za jakiego uchodzi p. Dobraczyński, byłaby bardzo pożądana. Wykazałaby, że w twórczości Bernanosa *Les grands cimetières* nie stanowią zagadki — że jest to tylko logiczny rozwój jego myśli. Przecież jego przesadny liberalizm i niechęć do hierarchii kościelnej datuje się nie od dzisiaj. Pod odezwami wzywającymi do wzajemnego szanowania

poglądów, jakiekolwiek by one były, podpisywał się razem z Aragon'em, Jules Romains'em, Maritain'em, Mauriac'iem i to mu zapewniało reklamę pewnych kół.

Prawdopodobnie Bernanosem zajmą się jeszcze u nas jego przeciwnicy, będzie przedmiotem brutalnych nawet ataków. Może to jednak w Polsce jest konieczne; przecież kiedyś społeczeństwo nasze musi dojść do przekonania, że nie każdy pisarz obcy ma prawo urabiać naszą myśl kulturalną i religijną, nie każdy pisarz obcy, nawet katolicki, powinien być przyjmowany po królewsku — wystarczy, gdy będzie traktowany jako gość, czasem nawet jako gość uciążliwy.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Janusz Bednarski: W i e r s z e i p r o z a. Wydał i wstępem zaopatrzył Dr J. Ujejski. Wydanie drugie. Wydawnictwo OO. Dominikanów, Lwów. Str. 343.

Nie wiemy, w jakim stopniu i w jakim kierunku rozwinąłby się talent przedwcześnie zmarłego Janusza (1891 — 1908), ponieważ z pierwszych prób jego twórczości, wydanych obecnie po raz drugi, możemy tylko określić wpływy, którym ulegał. *Wiersze i proza* to plac spotkań, ludzi wielkich, a przynajmniej uważanych za takich na przełomie dwudziestego wieku. Świadczy to o nadzwyczajnej zdolności wchłaniania i o orientowaniu się w panujących kierunkach literackich. Czy młodociany pisarz potrafiłby się kiedyś otrząsnąć z ciężaru przytłaczających go myśli i form obcych? O tym wyrokować nie wolno — przypuścić tylko można, że prawdopodobnie nie chodziłby zawsze cudzymi drogami; uratowałaby go od tego szczerość. Czytelnik bowiem odkryje w *Wierszach i prozie* oprócz naśladownictwa, oprócz nagromadzenia motywów wyraźnie zapożyczonych szczerość autora, konieczność wypowiedzenia się, a przede wszystkim uderzy go pewien niepokój, niepokój serca, które szuka. I to daje gwarancję, że chociażby J. Bednarski nie stał się może wielkim pisarzem, nie przeszkodziłoby mu to być szlachetnym człowiekiem, człowiekiem w pełni tego słowa znaczeniu. Dzisiaj może być wzorem dla młodzieży.

Książka pożyteczna. Odtworzyć z niej można sylwetkę duchową młodzieńca z przed trzydziestu lat, a równocześnie przeprowadzić porównawcze studium psychologiczne. Jak wypadłaby w nim sylwetka duchowa dzisiejszego ucznia gimnazjalnego? Zagadnienie bardzo interesujące — nic więc dziwnego, że książka ta została zalecona przez min. W. R. i O. P. dla bibliotek nauczycielskich.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Dr Ludwik Posadzy: Poglądy pedagogiczne Adama Mickiewicza. Poznań, 1938, Księgarnia Św. Wojciecha. Str. 385.

Do licznych monografij i rozpraw o Mickiewiczu przybywa jeszcze jedna.

Jak gdyby na udokumentowanie, że przypisywany naszemu Poecie tytuł „wychowawcy narodu", „nauczyciela" i „wodza" nie jest gołosłowny, ukazuje się dzieło dra Posadzego. Jest to gruntowna i sumienna praca naukowa, oparta na poważnych i krytycznych źródłach, głębokie studium psychologiczno - historyczne.

Posadzy wychodzi od wyjaśnienia podstawowych Mickiewiczowskich pojęć: wychowanie, oświecanie, nauczanie i kształcenie.

Wyjaśnienie konieczne, bo Poeta — romantyk różni się od utartych pojęć współczesnych, odbiega daleko od kryteriów późniejszych, wypracowanych na swój sposób przez oświecenie, racjonalizm, pozytywizm i naturalizm.

Każde rzetelne nauczanie winno być równocześnie wychowywaniem. „Oświecony" to wcale nie człowiek wiele wiedzący. „Wiedza osiada w głowie jakby na komornym, oświata zaś jest wynikiem pracy moralnej człowieka, powstaje w sumieniu, pomnaża się przez ofiary i poświęcenia". Wynikiem tego światła ma być mędrzec w życiu, człowiek doskonale świadomy swych obowiązków rodzinnych i obywatelskich, które wypełnia z poświęceniem. Głównym zaś celem poglądów pedagogicznych Mickiewicza jest człowiek dzielny — synteza równomiernie i harmonijnie rozwiniętych władz duchowych, wprzągniętych w rydwan pracy społecznej i obywatelskiej.

System (jeśliby się można na to z Autorem zgodzić!) pedagogiki Mickiewicza wspiera się na podwalinach życia rodzinnego; z domu rodzicielskiego „wzięła początek wysoka kultura uczuć Poety, tu narodził się i doskonalił takt pedagogiczny w formowaniu serc ludzkich, tu rozwinęła się zdolność do poświęceń, która jest głównym sekretem sztuki wychowawczej, stąd wreszcie począł się ów niezrównany dar nauczycielski udzielania siebie drugim, owa umiejętność zestrzelania myśli... w jedno ognisko duchów". Z cnót domowych rodzą się cnoty obywatelskie i ogólnoludzkie. Ale takie wyniki może dać jedynie dom stojący na wysokim poziomie życia religijnego, oparty na wewnętrznej kulturze małżonków. Niewątpliwie ten ton religijny poglądów M., przechodzący czasami w mistyczną głębię, jest wynikiem silnych wpływów Towiańskiego.

„Psychologia wychowania obraca się u Mickiewicza około czterech głównych pojęć, to jest: ducha, sumienia, uczucia i woli". W nauce i poezji walczy on zawsze o prawa serca. Serce w człowieku więcej znaczy niż rozum. Rozum idący samopas bezsilnie nieraz miota się w dążeniu do poznawania prawd wyższych:

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokrymi
I spadasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!

Wstręt Mickiewicza do przeracjonalizowania wychowania jest zrozumiały. Komentarzem do tego stosunku jest romantyzm i jego duch. Trochę jednak można się dziwić Posadzemu, który pogląd ten nie tylko zda się w zupełności podzielać, ale jako zapalony wyznawca Poety idzie dalej, jest poniekąd *plus catholique que le pape*... Nie znaczy, jakobym był zwolennikiem racjonalistycznego wychowywania. Ale doświadczenie poucza, że pewna doza racjonalizmu wsączona umiejętnie w psychikę polską, jest nie tylko zalecona ale i konieczna. Pod tym względem daleko wyższym ideałem wychowawcy może być Bolesław Prus, który we wszystkich swych utworach późniejszych wskazywał typ Polaka stanowiącego syntezę romantyzmu z pozytywizmem — innymi słowy s e r c a z r o z u m e m. To akcentowanie romantycznego zapatrywania Mickiewicza, jednostronnego i nieuzasadnionego, nie spotka się zapewne z uznaniem współczesnych pedagogów.

Do najciekawszych rozdziałów w książce Posadzego należy rozdział czwarty o poglądach Mickiewicza na cztery okresy życia ludzkiego. Znajdujemy tu niejako teoretyczne zaokrąglenie pedagogiki Poety. Charakteryzuje ją „plutonizm" w odróżnieniu od tych, którzy liczne zmiany przypisują wpływom „neptunicznym". Według Mickiewicza nowe okresy w życiu ludzkim są pochodzenia wulkanicznego, wyłaniają się po trzęsieniu ziemi. Stała równowaga ducha zatraca się a powstaje nowa.

Tezę powyższą ilustruje Posadzy skrzętnie zebranymi dowodami z istniejących i opracowanych już materiałów jak i ze wszystkich utworów Mickiewicza.

Teorię swych zapatrywań wprowadza Poeta w życie jako wytrawny i głęboko pojmujący swe powołanie nauczyciel w Kownie, czy jako profesor na katedrze uniwersyteckiej w Lozannie, czy wreszcie jako ojciec i wychowawca własnych dzieci. Stosunkowo mało posiadaliśmy dotychczas wiadomości o Mickiewiczu — ojcu, wychowawcy własnych dzieci. Z książki Posadzego uzyskujemy nie tylko wiele cennych i ciekawych pod tym względem szczegółów, ale po prostu rewelacyjne wiadomości owiane atmosferą serdeczności i sentymentu.

Książka Posadzego jest bezspornie oryginalnym i cennym przyczynkiem do badań nad Mickiewiczem. Mimo wyraźnych tendencyj Autora liczącego przede wszystkim na wartości pedagogiczne systemu Mickiewiczowskiego, uważam, że znaczenie tego dzieła tkwi zgoła w czym innym. Bo pierwszy i zasadniczy zarzut, jaki by można zrobić Posadzemu, jest ten, iż o „systemie" pedagogiki Poety trudno w sensie ścisłym mówić.

System taki wypadł w książce Posadzego jako całość dość dobrze i konsekwentnie powiązana, ale w rzeczywistości bez wyraźnego naciągania tematu utrzymać go nie podobna. Wiarę Autora w „system" Mickiewicza podyktowało uwielbienie, kult Poety. W łańcuchu jednak konsekwentnych sprawdzianów są luki. Czy argumenty czerpane drogą intuicji z poetyckich utworów, interpretowanych zresztą tak rozmaicie przez różnych komentatorów, mogą stanowić siłę przekonywującą? Rekonstruowanie fragmentarycznych wypowiedzi Mickiewicza pojęciami Autora daje w rezultacie „system". Ale komu należy go przypisać, Mickiewiczowi czy Posadzemu? O systemie pedagogicznym M. można by dopiero wtenczas mówić z całą ścisłością, gdyby istniał jakiś wyraźny pod tym względem głos samego Poety, przeprowadzającego systematycznie ów problem.

Wydaje mi się zatem, że „pedagogiczne" znaczenie książki Posadzego jest względne. Dużo luźnych zapatrywań Mickiewicza, wspaniały przykład jego samego jako wychowawcy i nauczyciela, mają niewątpliwie olbrzymią wartość i wymowę nawet w dzisiejszych czasach. Ale to jeszcze nie system!

Istotne więc znaczenie monografii Posadzego polega na tym, że stanowi ona świetny komentarz do genetyczno-historycznych rozważań nad Mickiewiczem. Nie tyle pedagog dzisiejszy będzie miał z niej pociechę, ile historyk literatury i w ogóle literat.

Z tego punktu widzenia książka Posadzego jest dorobkiem nieprzeciętnym. Dotychczasowe rozważania Autora oczekują na dalsze zaokrąglenie i na szersze opracowanie narzucającego się wprost tematu o religijności Mickiewicza. Nie wiem na ile słuszne jest przypisywanie Poecie walorów mistycznych — to wszakże pewne, że religijność opromieniająca dogłębnie jego życie i twórczość zasługuje na uwagę i na osobne studium. W pracy swej okazał się Posadzy syntetykiem, bo pozbieranie materiału rozproszonego, urywkowego, niezschematyzowanego i ułożenie go w pewne ściśle określone zagadnienia — świadczy o dużej wnikliwości Autora i zdolnościach do udatnego rekonstruowania.

Powyższy fakt, zarówno jak i wzgląd na rodzaj samego tematu usprawiedliwi publicystyczne momenty w książce, które osłabiają nieco naukowy jej ton. Styl Posadzego jest gładki i oryginalny. Liczne archaizmy i na ogół trafne nowotwory nadają jego językowi zabarwienie poetyckie. Całość barwna i żywa. Mimo pewnych braków metodycznych i może zbyt silnych tu i ówdzie akcentów subiektywnych — dzieło to zasługuje na gorące uznanie. Szeroki snop światła, rzuconego na nietknięty prawie dotychczas temat, pobudzi niejednego badacza do dalszych studiów nad Mickiewiczem.

Wacław Malewski.

Wacław Filochowski: Cierpkie pobratymstwo. Książka o Czechosłowacji. Warszawa 1938. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska". Str. 303.

Paweł Hulka-Laskowski: Śląsk za Olzą. Z 274 ilustracjami i 2 mapami. Katowice 1938. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Z serii „Pamiętnik Instytutu Śląskiego" t. VI. Str. 494.

Adam Bar: Karol Miarka. Studium z dziejów Górnego Śląska. Z 17 ilustracjami. Katowice 1938. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Z serii „Pamiętnik Instytutu Śląskiego" t. VII. Str. 257.

Franciszek Szymiczek: Walka o Śląsk Cieszyński w latach 1914 — 1920. Z 3 mapami. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Z serii „Pamiętnik Instytutu Śląskiego" t. IX. Str. 212.

Bywają okresy o tak zawrotnym tempie wypadków, że reportaże — nawet najaktualniejsze — w przeciągu kilku miesięcy przechodzą do literatury jako dokumenty historyczne. Klasycznym tego przykładem są ostatnie wydarzenia polityczne w Czechosłowacji oraz publikacje, które ją bezpośrednio poprzedziły.

Zapewne nie spodziewał się autor *Cierpkiego pobratymstwa,* kiedy na podstawie osobistych spostrzeżeń oraz skrzętnie gromadzonych źródeł snuł swoje interesujące uwagi na temat Cieszyńskiego Śląska, Słowacji, Sudetów i Rusi Podkarpackiej, że zanim jego książka zejdzie z łamów recenzyjnych, stosunki w republice czesko-słowackiej ulegną tak gruntownej zmianie. To jednak nie przeszkadza nam czytać książkę wytrawnego publicysty i teraz z niesłabnącym zainteresowaniem. Na przyszłość zaś pozostanie ona jako dokument scementowanego już prawie ostatecznie stanowiska polskich ugrupowań politycznych wobec zagadnienia czesko-słowackiego.

Innym dokumentem, szczególnie gdy chodzi o stosunki na Śląsku Cieszyńskim pozostającym pod zaborem czeskim, jest dzieło P. Hulki-Laskowskiego. Znając doskonale język i literaturę czeską, dał nam autor świetny przekrój sporu czesko-polskiego z niesłychanie wnikliwą i pierwszorzędnie udokumentowaną krytyką stanowiska czeskiego. Czytając tę książkę, nie podobna oprzeć się wrażeniu, że zanim jeszcze padła groźba użycia siły zbrojnej, sprawa zwycięstwa strony polskiej już była przesądzona dzięki postawie ludu śląskiego. Piękne te karty, odbite nadzwyczaj starannie i przyozdobione bogato ilustracjami w cieszyńskiej Drukarni Dziedzictwa św. Jana Sarkandra czyta się z pełnym napięcia zaciekawieniem i wysokim zadowoleniem estetycznym.

O sprawę Śląska Cieszyńskiego mimochodem tylko potrąca monografia p. Adama Bara o zasłużonej w dziejach walki o polskość ludu śląskiego postaci współpracownika *Gwiazdki Cieszyńskiej* oraz redaktora *Katolika* i autora szeregu popularno-patriotycznych powieści historycznych Karola Miarki. Imponująco rysuje się w niej sylwetka tego wiejskiego nauczyciela i organisty, który w swojej młodości — odcięty od źródeł polskiej kultury — już począł się był uważać za Niemca, ale pod wpływem bez-

pośredniego swego przełożonego, radcy szkolnego w rejencji opolskiej, ks. Bernarda Bogedaina, Niemca, lecz gorliwego o dobro polskiego ludu śląskiego kapłana, poczuł się znowu Polakiem i całe swe życie poświęcił utwierdzaniu polskości ginącej pod pruskim obuchem. Pomimo nieprzychylnego stanowiska wrocławskiego Archiwum Państwowego, które wyjątkowo w tym wypadku odmówiło polskiemu uczonemu wypożyczenia potrzebnych rękopisów, autorowi udało się zgromadzić cały szereg nie wyzyskanych jeszcze dokumentów, które rzuciły snop światła na postać wielkiego patrioty.

Walka o Śląsk Cieszyński w latach 1914 — 1920 przedstawia wreszcie tragiczne zadzierzgnięcie konfliktu polsko-czeskiego o ziemie śląskie. Z iście seminaryjną starannością — książka była pierwotnie pomyślana jako praca seminaryjna — zebrał autor z drukowanych dotychczas przeważnie źródeł fakty, które się złożyły na przebieg historycznych wydarzeń. Zastanawiając się nad tymi wydarzeniami w świetle ostatnich wypadków, trudno jest nie dostrzec ich wewnętrznej logiki oraz najściślejszego związku.

Ks. Wacław Zajączkowski T. J.

St. Rescius: S t a n i s l a i H o s i i V i t a, Pelplini, 1938 (Wydawnictwa Teologiczne Diecezji Chełmińskiej 2). Str. IX + 224.
Ks. J. Smoczyński: B i b l i o g r a p h i a H o s i a n a, Pelplini, 1937. Str. 12.

Do najwybitniejszych i najpopularniejszych postaci polskich w XVI w. należy bez wątpienia St. Hozjusz, który wywarł decydujący wpływ na ówczesne stosunki religijne i oświatowe. Urodzony w Krakowie 5 maja 1504 r. już od wczesnej młodości odznaczał się niepospolitymi przymiotami umysłu i serca. Po ukończeniu gruntownych studiów w Krakowie, Padwie i Bolonii od roku 1533 pracował w kancelarii królewskiej pod kierunkiem biskupów: Tomickiego, Chojeńskiego i Maciejowskiego, gdzie wydoskonalił swe zdolności i zapoznał się z arkanami polityki, w której później zasłynął i rozsławił imię Polski daleko poza jej granicami. Mianowany w r. 1549 bp. chełmińskim przeniósł się w dwa lata później na stolicę warmińską, na której swym szerokim wykształceniem, wzorowym życiem i gorliwością zyskał sobie sławę w całej Polsce jako niestrudzony obrońca wiary i reformator Kościoła. Papież Paweł IV powołał go w r. 1558 do Rzymu, gdzie w r. 1561 został kardynałem, a później legatem papieskim na soborze trydenckim. Po jego ukończeniu wrócił do Warmii, aby pracować nad wprowadzeniem w życie uchwał soborowych i przeciwstawić się wzmożonemu ruchowi różnowierców, którzy zyskiwali sobie coraz większe rzesze zwolenników, a skłóceni z sobą i rozpadający się na coraz liczniejsze sekty wprowadzali rozprzężenie w życiu religijnym i społecznym. Swą

radą i zachętą wpływał na króla, magnatów i biskupów, z których wielu za sprawą Hozjusza otrzymało mitrę i gorliwie służyło sprawie bożej, inni pod jego wpływem porzucili sprawy świeckie, aby pracować nad odrodzeniem religijnym swoich owieczek. Za swoimi pasterzami szli kapłani, dla których wzorem pracy stali się jezuici osadzeni przez Hozjusza w r. 1564 w Brunsberdze, skąd szybko rozszerzyli się po całej Polsce zakładając szkoły, urządzając misje i ścierając się z różnowiercami słowem i piórem. Przykładem dla wszystkich był kardynał i książę warmiński, St. Hozjusz, śpieszący chętnie ze wskazówkami udzielanymi bądź ustnie, bądź w listach, których około dziesięć tysięcy dochowało się do naszych czasów, w znacznej części czekających jeszcze na wydanie. Papieże chcąc go mieć bliżej siebie i korzystać z jego wszechstronnej działalności powołali go w r. 1569 na stałe do Rzymu, gdzie też życie zakończył w r. 1579.

Mimo to Polakiem nigdy być nie przestał. W Rzymie dom jego zawsze stał otworem dla rodaków przybywających z Polski. U niego szukali pociechy i wsparcia Polacy zapędzeni na obczyźnie w głód, nędzę i opuszczenie i nigdy nie odchodzili bez wsparcia i pociechy. A kiedy często zgromadzeni u stołu kardynała śpiewali prastarą pieśń „Bogu rodzica", o łzy go przyprawiali. Był to bowiem mąż wielce pokorny i unikał wszelkich zaszczytów i godności, a gdy go nimi obdarzano, ulegał jedynie namowom innych albo konieczności posłuszeństwa wobec Stolicy Apostolskiej. W życiu odznaczał się wielką czystością i niewinnością. Kiedy między innymi Grzegorz XIII przekazywał mu najwyższy w Kościele po papieżu urząd wielkiego penitencjarza, rzekł, że chce dać najwyższą władzę sądzenia grzechów innych temu, który najmniej miał grzechów własnych. Łaskę tę zawdzięczał Hozjusz gorącemu nabożeństwu do Najśw. Maryi Panny. Z modlitwą też na ustach ku Jej czci zasnął 5 sierpnia, w święto M. B. Śnieżnej i w Kościele pod wezwaniem Maryi na Zatybrzu chciał być pochowany. A w testamencie swoim wyraził niezłomną nadzieję, że za przyczyną M. Boskiej dostąpi szczęśliwości wiecznej. Hozjusz posiadał silny charakter i wielkiego ducha, choć słabe ciało. Wykształcenie jego wybitne z jednej strony, a pobożność szczera z drugiej strony, złączone z wielką pracowitością wprawiały w podziw już współczesnych, którzy widzieli w nim męża świętego. Dwaj jego wychowankowie, współpracownicy i przyjaciele, ks. ks. Reszka i Treter przekazali nam cenne wiadomości o życiu i cnotach tego wielkiego Polaka. *Vita Hosii* pióra Reszki, napisana w roku 1587 z myślą wyniesienia kardynała na ołtarz, i dzisiaj jeszcze nie straciła swej wartości. Życiorys ten wydano u nas w r. 1590 w Oliwie w klasztorze cystersów, w r. 1598 w Gdańsku i w r. 1879 w Krakowie *(w Stan. Hosii Epistolae,* t. I, *Acta hist. res gestas Pol. illustrantia,* t. IV). W bieżącym roku Najdostojniejszy Pasterz diecezji chełmińskiej

wydał go ponownie biorąc na siebie, w myśl uchwały biskupów polskich z r. 1925, troskę o beatyfikację swego świętego poprzednika. Wydanie pelplińskie jest tylko przedrukiem wydania z r. 1879 opartego na wydaniu z r. 1587. Ujemną jego stroną jest brak analizy tekstu i potrzebnych not uzupełniających, wyjaśniających i prostujących niektóre przedstawienia faktów lepiej nam dzisiaj znanych, a z powodu braku wielu źródeł niedostępnych autorowi przed trzystu pięćdziesięciu laty. Mimo to wydanie *Vita Hosii* w znacznej mierze zastąpi, zwłaszcza wśród obcych, brak odpowiedniego życiorysu, nad którym pracują uczeni polscy.

Do poznania zaś Hozjusza w Polsce i rozbudzenia jego kultu w dużej mierze może się przyczynić również *Bibliographia Hosiana,* opracowana przez ks. Smoczyńskiego, choć jest dość niedokładna. Poza brakiem bowiem źródeł hozjańskich, które autor celowo opuszcza, pominięte są również niektóre prace rosyjskie: Żukowicz P.: *Christijanskoje ispowiedanije wiery, izdannoje ot imieni pietrokowskawo sinoda 1551 r. — Christijanskoje Czfenije 1885,* Nr 5 — 10; W. Płotnikow: *Andrej Fricz Modrzewskij i Stanisław Gozij (Oczerk iz istorii polskoj reformacii XVI w.), Żurnał Ministerstwa Narodnawo Proswieszczenija.* 1918. V, p. 71 — 117. Zakradły się również pewne błędy jak np. na str. 6 mylnie podana recenzja ks. Stepy w *Collect. Theol.* Mimo tych usterek, *Bibliogr. Hosiana* ułatwi bardzo wyszukanie materiałów do referatów na akademie i uroczystości ku czci Hozjusza.

Ks. K. Drzymała T. J.

A. Zischka: Nauka łamie monopole. Książnica — Atlas, Lwów — Warszawa. Str. 328.

Kto ma wstręt do skomplikowanych wzorów chemicznych i do długich kolumn cyfr w czasopismach gospodarczych, a równocześnie chciałby wiedzieć, dlaczego każda nowa fabryka buny w Niemczech niepokoi plantatorów hewei na Sumatrze, Jawie i Cejlonie i dlaczego taką wagę przykłada się do zajęcia przez jakieś państwo skrawka ziem podbiegunowych, ten niech przeczyta tę książkę. Jest to historia walk z monopolami, a zarazem skrót dziejów chemii współczesnej, bo ona tylko może być bronią skuteczną tam, gdzie prawo a nawet przemoc fizyczna jest zupełnie bezradna. Czytelnik więc widzi, jak walka o podział bogactw naturalnych przenosi się w coraz wyższe sfery. Nie znaczy to jednak, a prawdopodobnie tego zdania jest autor, by probówka wyrugowała armaty i żeby wojnę prowadziły i wygrywały formułki chemiczne w gabinetach dyrektorów koncernów. Może się zdarzyć, że o wzór chemiczny, którego zastosowanie w przemyśle i technice sprowadziłoby upragnioną równowagę ekonomiczną na całym świecie, będą się toczyć krwawe wojny. Dlatego też czy-

telnik przy jasnych i przystępnych opisach procesów powstawania produktów zastępczych będzie stawiał pytanie, jak ludzkość wyzyska nową zdobycz wiedzy. Niech się tylko zastanowi nad możliwościami wykorzystania celulozy. Dojdzie do wniosku, że człowiek z dniem każdym bardziej uczony nie jest człowiekiem coraz bardziej mądrym, a tym mniej szczęśliwszym, i że nauka łamiąc monopole często też będzie łamała człowieka.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Silvia von Bornstedt: Ein Kind erlebt den Weltkrieg. Herder, Freiburg im Breisgau 1937. Str. 250.

Rok 1916 — mała Illa zaczyna pisać swój pamiętnik. Pamiętnik dziecka, które już na progu świadomego życia musiało zetknąć się z wielką zagadką masowej nienawiści i zbiorowego cierpienia. W dziecięcych zdumionych oczach świat starszych nagle oszalał i dlatego dzieci nie dostają drugiego śniadania, dlatego znikają bułki a czarny chleb pojawia się tylko przy obiedzie. Trzeba pożegnać na przepełnionym dworcu kolejowym ojca, braci a później wrócić z zapłakaną matką do opustoszałego domu i w długie, zimne wieczory jesienne wyczekiwać na listy z frontu. To słowo front, wypiera z wyobraźni dziecka kraj baśni — staje się czymś tajemniczym i złym. Dzięki niemu coraz głośniej wykrzykują na ulicach nazwy nieznanych miast i krajów; dzięki niemu coraz więcej kobiet w żałobie i coraz więcej kalek w parkach miejskich. Pewnego dnia Illa dowiaduje się, że na froncie ludzie mordują się bezkarnie. Od tej chwili nie dziwi się niczemu — ani swym wędrówkom po całych Niemczech, ani podróży do dalekiej Kurlandii, ani szarym i beznadziejnie smutnym dniom w obcym kraju, w okupowanej Belgii. Dziecko przyzwyczaiło się patrzeć na wojnę tak, jak patrzą na nią starsi, starający się wielkimi i patetycznymi hasłami pokryć lęk i pragnienie, by wreszcie kiedyś na świecie mniej było bohaterstwa a więcej miłości. Pamiętnik kończy się słowami: *Ich mag jetzt nicht mehr schreiben. Besseres zu tun, ich will mal einfach leben und sehen, wie Frieden ist.*

Autorka wybrała bardzo trudny temat. Pisać wspomnienia dziecka z czasów wojny, chociażby się miało obfity materiał autobiograficzny jest rzeczą podwójnie niebezpieczną. Można bowiem wtedy stworzyć coś bardzo naiwnego i nie zajmującego, albo można uderzyć w fałszywy ton, przenosząc idee i frazesy świata działającego — świata starszych w świat, który tylko patrzy i usiłuje zrozumieć, w świat dziecka. Pod tym względem nic nie można Autorce zarzucić — jej Illa jest naturalnym i prawdziwym typem tego pokolenia, które zaczęło poznawać ludzkość od najmniej chwalebnej strony.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Leon Crozet: Praktyczny podręcznik bibliotekarza. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa. 1938, str. 335. Przełożył Antoni Dobrowolski. Wykazy bibliograficzne uzupełnił Ksawery Świerkowski.

Zadanie *Podręcznika* jest podwójne: w pierwszym rzędzie praktyczne — ma pouczyć bibliotekarza jak kupować, katalogować, oprawiać, udzielać informacyj, wypożyczać, — oraz zadanie ideowo - wychowawcze. *Podręcznik* wyrósł na glebie francuskiego ideowego bibliotekarstwa, które może już poszczycić się nie jednym pięknym dorobkiem. Jego autor Leon Crozet odegrał na tym polu czynną rolę, ożywiając jedną z największych francuskich bibliotek miejskich. To też podręcznik ma wszelkie dane, by spełnić to swoje wychowawcze posłannictwo, mianowicie, by wyszkolić obok bibliotekarzy-techników bibliotekarzy-wychowawców i przewodników w takim wdzięcznym terenie, jakim jest książka.

Tłumacz, zdaniem naszym, obrał szczęśliwą drogę. Starał sią zachować narodowy charakter *Podręcznika,* a przy tym uwzględnić potrzeby polskiego bibliotekarza bez naruszenia tego charakteru. Najmniej wskazana byłaby przeróbka. Wymagałaby bowiem wiele pracy, tak czy owak nie byłaby oryginalnym podręcznikiem polskim, a przy tym odbierałaby pierwotną wartość *Podręcznika* jako informatora o stanie bibliotekarstwa francuskiego. Nawet więc po ukazaniu się samodzielnego i oryginalnego podręcznika polskiego — co uważamy za rzecz honoru bibliotekarstwa polskiego — niniejszy *Podręcznik* zachowa wartość. Na koniec słowo *pro domo sua.* Z przykrością stwierdziliśmy, że *Przegląd Powszechny* pozostał w *Podręczniku* jeszcze w Krakowie w cenie 13 zł półrocznie. Tymczasem *Przegląd Powszechny* już trzeci rok wychodzi w Warszawie i kosztuje półrocznie 10 zł. Niemiły to zgrzyt w tej zresztą pożytecznej publikacji.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Instytutu Nacz. Akcji Katolickiej, Poznań, 1938:

Kardynał Adolf Bertram: W służbie ideałów Akcji Katolickiej. Poznań, 1938. Str. 585.

Ks. Karol Pękala: Akcja Katolicka wobec komunizmu. Poznań, 1938. Str. 246.

Daniel H. Rops: Nędza i my. Poznań, 1938. Str. 86.

Uchwały I Polskiego Synodu Plenarnego oraz Orędzie Episkopatu polskiego w sprawie uchwał Synodu. Poznań, 1938. Str. 64.

Maria Winowska: Misja katolików we współczesnym świecie. Poznań, 1938. Str. 55.

Jenerałowa Jadwiga Zamoyska: O pracy. Poznań, 1938. Str. 165.

Ewa Szebburg Zarembina: Legendy Warszawy. Warszawa, 1938. Str. 75.

Z serii „Biblioteczka Akcji Katolickiej":

Prof. dr Stefan Glaser: Znaczenie i moc obowiązująca Uchwał I Polskiego Synodu Plenarnego, str. 16.
Ks. dr Tadeusz Glemma: Synody prowincjonalne w Polsce Przedrozbiorowej. Ich wpływ na życie katolickie w kraju, str. 16.
Ks. dr Emil Szramek: Diecezja i Parafia w Prawie Kanonicznym i w Uchwałach I Polskiego Synodu Plenarnego, str. 20.
Ks. prof. dr Wład. Wicher: Powołanie i zadanie kapłana, str. 12.
Ks. prof. dr Julian Piskorz: Aktualne zadania duszpasterstwa i jego metod współczesnych, str. 20.
Dr Stefan Świeżawski: Pełnia katolicyzmu w życiu osobistym i zbiorowym, str. 20.
Ks. dr Alojzy Poszwa: Małżeństwo i rodzina w uchwałach Synodu Plenarnego, str. 32.
Ks. dr Władysław Padacz: Prawno-organizacyjne zagadnienia Akcji Katolickiej w świetle uchwał Synodu, str. 24.
Mgr Tadeusz Romer: Prawne stanowisko i zadania katolików świeckich w Kościele, str. 20.
Ks. Biskup dr Józef Gawlina: Kościół wewnętrzny i zewnętrzny, str. 16.
Zofia Kossak: Chrześcijańskie posłannictwo Polski w przeszłości i dziś, str. 12.
Ks. dr Antoni Szymański: Katolicka Myśl Społeczna w Uchwałach Synodu, str. 12.
Ks. J. Rostworowski T. J.: Hierarchia, jej źródło i znaczenie w życiu Kościoła, str. 24.

Nakładem „Wydawnictwa Polskiego" (R. Wegnera):

Knut Hamsun: Głód. Powieść. Wydanie III-cie. Poznań, 1938. Str. 247.
Selma Lagerlöf: Tętniące serce. Powieść. Wydanie III-cie. Poznań, 1938. Str. 254.
Tadeusz Łopalewski: Między Niemnem a Dźwiną. Ziemia wileńska i nowogródzka. Poznań, 1938. Str. 234. Przedmowę napisał A. Prystor, marsz. Sejmu.
Wł. St. Reymont: Pęknięty dzwon. Wydanie IV-te. Poznań, 1938. Str. 256.

Nakładem Archidiecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej, Warszawa, 1938:

Karol Górski: Państwo chrześcijańskie średniowiecza, str. 30.
Tenże: Społeczny ustrój średniowiecza, str. 74.
Dr Henryk Dembiński: Machiavelli a czasy dzisiejsze, str. 47.
Ks. Jan Stepa: U źródeł niemieckiego totalizmu, str. 40.
Ks. Józef Umiński: Polityczna rola Stanisława Hozjusza, str. 29.
Andrzej Tretiak: Mąż stanu — kanclerz Tomasz Morus i jego „Utopia", str. 47.
Leon Halban: Wczesne chrześcijaństwo w stosunku do państwa, str. 32.
Ks. Kazimierz Kowalski: Kwestia żydowska w średniowieczu według św. Tomasza z Akwinu, str. 35.
Jego Świątobliwości Papieża Piusa XI Encyklika „Studiorum Duce", wydana z okazji sześćsetlecia kanonizacji św. Tomasza z Akwinu, str. 37.

I. M. Bocheński: Główne zadanie inteligencji w świetle uchwał Synodu Plenarnego, str. 31.

Ks. Zygmunt Pilch: Postać duszpasterza. Według wskazań Stolicy Apostolskiej na tle współczesnych potrzeb chwili bieżącej, str. 29.

Nakładem różnych:

O. Bernard od Matki Bożej, karm. bosy: Nasz Boski Król. Poznanie — miłość — fakty — impresje. Nakładem „Głosu Karmelu" i drukarni „Powściągliwość i Praca". Kraków, 1938. Str. 202.

Jan Stanisław Bystroń: Literaci i grafomani z czasów Królestwa Kongresowego. 1815 — 1831. Nakładem Książnicy Atlas, Lwów — Warszawa. Str. 272.

Stefan Czarnowski: Kultura. Nakładem Biblioteki „Wiedza i Życie". Warszawa, 1938. Str. 302.

M. Ficińska: 20 lat w Paranie. Nakładem „Biblioteki Polskiej", Warszawa, 1938. Str. 119.

Zygmunt Glinka: Wieczysta przemiana. Nakładem (Skład gł. „Biblioteka Polska"). Warszawa, 1938. Str. 210.

Prof. dr Oskar Halecki: Małżeństwo królowej Jadwigi w świetle historii. Nakładem Postulacji kanonizacji królowej Jadwigi. Toruń, 1938. Str. 21.

Ks. Arcb. Romuald Jałbrzykowski: U źródeł sakramentalnych łaski i miłości Bożej. Wilno, 1938. Str. 516.

Kapłan wśród ludzi. Praca zbiorowa ku uczczeniu księdza Władysława Korniłowicza w 25-lecie jego pracy kapłańskiej. Nakładem Komit. organiz. obch. jubil. Warszawa, 1938. Str. 215.

Mgr Valérien Meysztowicz: La religion dans les constitutions des états modernes. Apud Custodiam Librariam Pontificii Instituti Utriusque Iuris. Roma, 1938. Str. 485.

Kaz. Marian Morawski i Włodzimierz Moszczyński: Co to jest masoneria? Warszawa, 1938. Str. 103.

Antoni Straża-Opęchowski: Polskie zainteresowania czechosłowackimi sprawami agrarnymi. Warszawa, 1938. Str. 22.

Eliza Orzeszkowa: Listy. T. II. Do literatów i ludzi nauki. Cz. II. Nakładem Tow. Im. E. Orzeszkowej, Warszawa — Grodno, 1938. Str. 428.

Andrzej Pleśniewicz: Karol Hubert Rostworowski. Szkic literacki. Warszawa, 1938. Str. 22.

Krzysztof Poraj: Koszary i koszmary. Nakładem Księgarni Polskiej, Bernard Połoniecki, Lwów — Warszawa, 1938. Str. 223.

Eugeniusz Romer: Rady i przestrogi. (1918 — 1938). Nakładem Zarzewia Lwowskiego. Lwów, 1938. Str. 269.

Generał Jan Romer: Pamiętniki. Nakładem rodziny autora: Lwów, 1938. Str. 366.

Wojciech J. Rzutkowski: Kultura duszy duszą kultury. Nakładem wydawnictwa „Salwator", Mikołów Śl., 1938. Str. 208.

Ks. Marian Stefanowski: Bohaterowie wiary. Obrazek sceniczny w 4 aktach z prologiem i epilogiem. Nakładem Seminarium Zagran. Potulice, 1939. Str. 90.

Kardynał Verdier: Mały podręcznik zagadnień współczesnych. Zagadnienie rodziny. Zag. społeczne. Zag. polityczne. Nakładem Księgarni i Druk. Katolickiej S. A. w Katowicach. 1938. Str. 72. Tłumaczył z francuskiego ks. Bolesław Kominek.

Ks. dr Stefan Leon Skibniewski: Naukowe zasady duszoznawstwa, czyli psychognozji. Lwów, 1938.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicy wobec zagadnienia radiofonii w Polsce.

W atmosferze ostrej agitacji wyborczej, przesyconej partyjnymi starciami, konfiskatami cenzury, hasłami, obietnicami lub pogróżkami czołowych osobistości, — w powodzi alarmów mniej lub więcej sensacyjnych, którymi karmi swych czytelników codzienna prasa — uderzyła mnie drobna na pozór wiadomość, że w pierwszej połowie listopada (12.XI) ma się odbyć w stolicy konferencja programowa Związku Katolickich Radiosłuchaczy.

Wiadomość ta zaskoczy niewątpliwie niejednego z Czytelników, bo ogół katolickiego społeczeństwa dotychczas, zdaje mi się, nie wie, że tego rodzaju Związek istnieje i zaczyna działać.

Wprawdzie komunikaty prasowe przynoszą różne, urywkowe informacje o postępach radiofonii katolickiej za granicą, np. w Belgii, w Holandii, czy w Stanach, ale o analogicznym ruchu w katolickiej Polsce nie wiele się słyszy. Tu i ówdzie na zebraniach powtarza się twierdzenie, że katolicy polscy mogliby dużo zrobić dla katolicyzmu przez użycie tak potężnego instrumentu jakim jest radio, poruszono nawet przed paru laty sprawę budowy osobnej stacji nadawczej, zaczęto dyskutować, zwłaszcza w Krakowie, na temat stworzenia organizacji katolickich radiosłuchaczy, następnie organizację taką zawiązano i ujęto jej zadania w specjalny statut, także Naczelny Instytut Akcji Katolickiej zajął się bliżej tym doniosłym zagadnieniem [1]) — ale mimo wszystko odnosi się wrażenie, że cała ta sprawa nie wyzwoliła się jeszcze ze

[1]) Jest do nabycia w Nacz. Instytucie A. K. w Poznaniu, Aleja Marcinkowskiego 22, doskonała broszura pióra Adama Gocławskiego: Katolicy i Radio. Cena 50 groszy. — Korzystamy z fachowych wywodów Autora.

stadium powijaków. Co gorsza nie brak dość licznych sceptyków, którzy w ogóle nie rozumieją, co może mieć wspólnego katolicyzm z radiem? Po cóż fale radiowe obciążać służbą dla takich czy innych poglądów, które wśród części słuchaczy muszą wzbudzić niesmak, może nawet oburzenie? Chyba powinno wystarczyć, że dzienniki, tygodniki, kongresy, partie... pracują nad dzieleniem ludzi na wrogie obozy. Wszak muzyka jest bezpartyjna, nie ma katolickich walców, czy masońskich fokstrotów, a wszystkim jest obojętne jaką religię wyznają członkowie chóru rewelersów, czy jazbandowego zespołu. Radio i muzyka powinny łączyć, a nie agitować!

Tymczasem, jak to już wymownie podkreślił Maurycy Hankard, generalny sekretarz *Radio Catholique Belge,* życie staje w poprzek tym rozsądnym, zdawałoby się, rozumowaniom i zamienia ten genialny wynalazek na instrument służący coraz wyraźniej pewnym ideologiom. Wszak Rosja sowiecka, nie od dzisiaj, używa swych potężnych rozgłośni do propagowania w całym świecie idei przewrotu, komuny i bezbożnictwa. Radiofonia włoska każdego dnia rozbrzmiewa chwałą Italii faszystowskiej. Rozgłośnie niemieckie oddane są totalnej służbie idei narodowo-socjalistycznej. Nie ma dziś na świecie ani jednego państwa, którego rząd nie zdawałby sobie sprawy ze znaczenia radia, jako znakomitego narzędzia wpływu, formowania poglądów, przeprowadzania pewnych zbiorowych wystąpień i akcyj. Na wypadek zaś wojny znaczenie radiofonii wzrośnie niepomiernie, stanie się ona bowiem środkiem równie potężnym jak armaty, czy trujące gazy; wszak doświadczenia wojny hiszpańskiej i na tym odcinku mają swoistą wymowę. Sztaby wojenne użyją radia dla propagandy i celów ściśle wojennych; równocześnie zaś to samo radio będzie prawie jedynym środkiem do skomunikowania się sumień narodów poprzez linie Maginotów, poprzez serpentyny zalanych krwią okopów. Zrozumiała to doskonale Trzecia Rzesza i dlatego już dziś przygotowała potężne stacje krótkofalowe, obecnie wprawdzie nieczynne, ale czekające cierpliwie na moment, kiedy im przyjdzie kierować armią agentów wywiadu, narzucać światu opinię Niemiec, której nie potrafią zagłuszyć grzmoty armat.

Ale pierwszy przed wszystkimi ocenił niezmierzone możliwości radiofonii Ojciec św. Pius XI i dlatego właśnie kazał założyć słynną już dzisiaj stację nadawczą w Watykanie, aby mieć możność osobiście i bezpośrednio przemawiać poprzez wszelkie granice do wszystkich ludzi dobrej woli, wzywając ich do zgody, miłości i bojaźni Bożej.

Tak więc jest niewątpliwym i nie podlegającym żadnej dyskusji faktem, że radio przestało być tylko zabawką,

a stało się potężnym instrumentem propagandy zła lub dobra, narzędziem panowania nad narodami, agentem rozstroju lub krzewicielem kultury ducha. Krótkie fale radiowe obejmują dziś władztwo nad światem. Warto więc przypomnieć słowa O. Soccorsi T. J., dyrektora watykańskiej rozgłośni:

Nie wolno nam patrzeć na radio, jako na rzecz godną jedynie podziwu, trzeba na nie spojrzeć od strony praktycznej, życiowej. Nie wystarczą zachwyty i entuzjastyczne okrzyki, trzeba przeprowadzić rachunek sumienia!

Ten rachunek sumienia musi przede wszystkim dotyczyć uświadomienia katolików i wyrobienia w nich poczucia odpowiedzialności za misję duchową i kulturalną radiofonii współczesnej. Zasięg tej misji jest olbrzymi, wystarczy wspomnieć, iż *Union Internationale de la Radiodiffusion* obejmowała w 1936 roku 466 rozgłośni, mających razem ponad 200 milionów słuchaczy. Pokaźna zatem część i to najinteligentniejsza ludzkości znajduje się już pod wpływem radia, a wpływ ten wymaga tym większej czujności, gdyż działa on subtelnie na słuchaczy w przerwie między porywającym marszem, wzruszającą arią, a sentymentalną melodią tanga. Jest bowiem faktem, iż ponad 60% programów zajmuje w dalszym ciągu muzyka i to przeważnie lekka, rozrywkowa. Ale w pozostałej części audycyj radio jest skutecznym narzędziem szerzenia kultury, nauczania, formowania poglądów w funkcji tej lub innej ideologii. O jakąż tu chodzi ideologię?

Otóż trudno zaprzeczyć, iż w wielu krajach radiofonię opanował laicyzm, inspirowany zdecydowanie przez masonerię i międzynarodowe żydostwo. Laicyzm ten maskuje się jednak umiejętnie hasłem ideowej neutralności. Radio obsługuje wszystkich, twierdzą szermierze laicyzmu, nie może zatem służyć jednemu wyraźnie określonemu światopoglądowi, musi być ściśle neutralne. W imię zatem tej rzekomej neutralności nie dopuszcza się katolików do mikrofonu, a równocześnie zmusza się miliony katolików, płacących abonament radiowy do słuchania programów opracowanych, bez ich udziału, przepojonych zbyt często propagandą laicyzmu, sprzecznych z zasadami katolickiej wiary i etyki. Laicyzm w swym zacietrzewieniu sekciarskim zapomina o istotnym postulacie radiofonii, iż powinna ona być odbiciem życia w jego najważniejszych, najbardziej charakterystycznych przejawach, nie może więc pomijać tak doniosłego faktu, jakim jest katolicyzm, którym przecież żyją miliony. Na podstawie zatem obowiązującej we wszystkich radiofoniach zasady, katolicy mogą i powinni domagać się odpowiedniego miejsca w programach radiowych.

W innych znowu krajach radiofonia stała się monopolem państwa, a konsekwentnie narzędziem propagandy etatystycznej, która wpływa przemożnie na poglądy i przekonania obywateli. Totalizmy wprzęgają radiowe rozgłośnie w służbę swej ideologii.

Otóż nie ulega żadnej wątpliwości, że obydwa te kierunki ideowe: laicystyczny i monopartyjny, „państwowy", zabarwiają wcale wyraźnie i polską radiofonię. I u nas nie brak z jednej strony zawziętych zwolenników laicystycznej „neutralności", równocześnie zaś coraz silniej zaznacza się określony kierunek politycznej propagandy.

Od czasu do czasu przejawiają się jaskrawo wpływy neutralnością zamaskowanego laicyzmu w polskiej radiofonii, zdradzając pewne wysoce charakterystyczne choć starannie ukrywane tendencje. Wystarczy przypomnieć sprawę kazań Ks. Arcybiskupa Teodorowicza, czy historię odczytu o W. O. Rafale Kalinowskim. Do tej samej kategorii wpływów zaliczamy skrzętne unikanie tematów religijnych, w szkolnych programach radiowych, choć przecież religia jest w szkole jednym z obowiązkowych przedmiotów; dalej forytowanie pewnych prelegentów, których antykatolickie przekonania są publiczną tajemnicą; łączenie audycyj religijnych z jednej rozgłośni z wesołymi i frywolnymi nadawanymi z drugiej; przemycanie tez filozofii materialistycznej i amoralnych tematów, niekiedy nawet w programach dla dzieci; dopuszczanie zbyt wielkiej liczby „neutralnych" talentów, ukrywających się skrzętnie pod sarmackimi kryptonimami itp. Tym wszystkim tendencjom czy wybrykom tych lub innych urzędników, artystów lub prelegentów Polskiego Radia można i trzeba przeciwstawić fakt, iż 70% ludności Polski to katolicy, że zatem przygniatający procent abonentów radia stanowią radiosłuchacze katolicy. Ten sam niewątpliwy fakt, musi być również uwzględniony przy rozciąganiu państwowego wpływu na polską radiofonię. Wiemy, iż i w tym kierunku etatyzm wyciąga swe dłonie i dlatego z największym naciskiem trzeba podkreślać szkodliwość zbytniego wpływu aparatu urzędniczego na radio, które służy celom rozrywkowym oraz kulturalnym. Ujęcie twórczej inicjatywy duchowej, literackiej, muzycznej i artystycznej w urzędnicze formy rządzenia, w jakąś dyktaturę „decydujących" jednostek nie jest na dłuższą metę korzystne ani dla tej twórczości ani dla państwa a już najmniej dla radiofonii. Uznajemy w całej pełni konieczność pewnego wpływu państwa na radio, ale równocześnie jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami monopolu w dziedzinie programów.

Jakież więc postulaty może słusznie wysunąć ogół katolickich radiosłuchaczy wobec radiofonii w Polsce?

Mogą i muszą na pierwszym miejscu domagać się i to bezwzględnie, by w transmisjach radiowych nie obrażano nigdy i w niczym uczuć i przekonań katolickich ani w dziedzinie wiary ani w zakresie etyki. Wszelkie zapędy a nawet pozory propagandy laicystycznej, sekciarskiej czy amoralnej nie mogą mieć miejsca w Polskim Radio, którego słuchacze i abonenci w przygniatającym procencie są katolikami. Na tego rodzaju wystąpienia można i trzeba reagować zbiorowo i organizacyjnie właśnie w ramach Związku Katolickich Radiosłuchaczy.

Ale to dopiero negatywna strona zagadnienia. Takim postawieniem sprawy nie może się zadowolić polski katolicyzm. Żadną miarą nie wystarczy negatywna krytyka, wykazywanie błędów, chronienie praw katolików. Katolicy bowiem w Polsce, zwłaszcza w młodym pokoleniu, świadomi twórczych wartości swojej religii, chcą być aktywnymi współpracownikami Radia, chcą dać radiofonii nowe twórcze wartości.

A nie mamy tu bynajmniej na myśli jedynie transmisyj ściśle religijnych. Transmisje te mają oczywiście swe głębokie uzasadnienie. Przyznać też trzeba, że Polskie Radio wykazało dużo dobrej woli w dziedzinie transmisyj nabożeństw, kazań i katolickich uroczystości. Bez żadnej przesady możemy powiedzieć, iż w bieżącym zwłaszcza roku mieliśmy cały szereg pierwszorzędnych transmisyj, dokonanych z dużym wkładem pracy, a w paru wypadkach także ze znacznym nakładem środków finansowych.

Nie jest to zresztą jakaś niczym przez nas nie zasłużona łaska, mamy bowiem jako radioabonenci ścisłe prawo żądać, by w tej dziedzinie nie tylko utrzymano dotychczasową linię rozwoju ale by nadto wprowadzono dalsze ulepszenia, zwłaszcza w zakresie radio-reportaży liturgicznych.

Spełnienie tego żądania nie wyczerpuje jednak bynajmniej naszych katolickich postulatów, program bowiem radiowy nie ogranicza się do samych transmisyj gotowych, bo z życia wziętych zdarzeń, koncertów czy przemówień. Radiofonia posiada jeszcze inne i to rozmaite sposoby wypowiadania się i oddziaływania na swych słuchaczy.

Nadto transmisje nabożeństw i kazań oraz nadzwyczajnych uroczystości nie stanowią jeszcze bynajmniej o czynnym udziale katolików w radiofonii. Są one zresztą przeznaczone dla nielicznych słuchaczy, głównie chorych, którzy niemogą wziąć udziału w nabożeństwach kościelnych. Wszak wiadomo, iż przez wysłuchanie transmisji radiowej nie możemy normalnie uczynić zadość przykazaniu o niedzielnej czy świątecznej mszy św. Przy tym transmisje nabożeństw i kazań przypadają zazwyczaj na godziny, na których kierownikom

i w tej dziedzinie Związek Katolickich Radiosłuchaczy będzie miał nieco do powiedzenia i zrobienia.

Już nieraz podnoszono w narodowej prasie fakt, że większość wśród urzędników i współpracowników niektórych zwłaszcza rozgłośni, stanowią niekatolicy lub katolicy jedynie z metryki. Zagadnienie to musi być wyświetlone wszechstronnie. Tak jak byłoby obelgą dla katolickiego społeczeństwa w Polsce, gdyby ministrem wyznań był akatolik lub człowiek sabotujący katolicyzm swym życiem lub swymi przekonaniami, tak również honor katolicyzmu wymaga, by katolicy mieli proporcjonalne wpływy w instytucji tak doniosłej i wpływowej jaką jest Polskie Radio.

Nie ulega zaś żadnej wątpliwości, iż współpraca katolicyzmu nie tylko lojalna ale i twórcza z Polskim Radiem dać może i dać musi bardzo dodatnie wyniki.

Widzimy to już na odcinku transmisyj ściśle religijnych, na którym współpraca Komisji Audycyj Religijnych, wyznaczonej przez Episkopat, oraz Dyrekcji Polskiego Radia dała doskonałe rezultaty. Jeszcze donioślejszym, w pewnym przynajmniej znaczeniu, są radiowe audycje dla chorych i związana z nimi radiofonizacja szpitali. Otóż chodzi o dalsze rozpowszechnienie radia we wszystkich świetlicach katolickich organizacyj zwłaszcza młodzieżowych, we wszystkich parafiach Rzeczypospolitej, we wszystkich nawet wiejskich chatach. Łączy się to z zagadnieniem godziwej rozrywki a równocześnie wysuwa na czoło postulat znacznego obniżenia cen radiowego sprzętu odbiorczego. Jest tajemnicą poliszynela, iż w Polsce sprzęt ten jest bezwzględnie za drogi. Otóż i w tej dziedzinie zorganizowany wysiłek katolickich radiosłuchaczy musi dać pozytywne wyniki. Że takie postawienie zagadnienia idzie również po linii interesów radiofonii polskiej, tego udowadniać nie potrzeba.

Oto w szkicowym skrócie szereg problemów i postulatów, nad których rozwiązaniem i zrealizowaniem pracuje Zarząd Związku i które bez wątpienia staną się również przedmiotem rozważań i narad zapowiedzianej w stolicy konferencji.

Jest rzeczą niesłychanie ważną, by całe społeczeństwo katolickie zainteresowało się tym zagadnieniem, gdyż wysiłek katolicki w dziedzinie radiofonii musi być z o r g a n i z o w a n y. Wszyscy katoliccy radioabonenci powinni być zatem członkami Związku, [1]) gdyż wysiłki twórczych jedno-

[1]) Zapisy przyjmuje biuro Związku: Kraków, Kanonicza 14; lub Warszawa, Miodowa 20 m. 8; telef. 2-15-33. Wystarczy podać telefonicznie swój adres, imię i nazwisko a uprawniony delegat zgłosi się z deklaracją i dokona wszelkich formalności zapisu.

stek katolickich muszą być oparte o zorganizowany w sprawach radiofonii i solidarny front katolicki.

A celem radiofonicznej akcji katolickiej nie jest bynajmniej burzenie czy choćby krytyka, ale czynna postawa, rzetelna współpraca, oparta na doskonałej fachowości, na twórczych programach, na możliwie dobrym wykonaniu. Organizacja katolickich radiosłuchaczy staje zatem na gruncie afirmacji radia i jego pozytywnych a bardzo doniosłych wartości. Takie stanowisko zajął wobec zagadnień radiowych Ojciec św. Pius XI, na tym samym stanowisku stanął również Episkopat polski.

Wreszcie nasuwa się ostatnie pytanie: Czy katolicy w Polsce nie powinni stworzyć własnej stacji nadawczej, by uniezależnić się programowo od zmiennej polityki Polskiego Radia? Jakiekolwiek byłyby w tej dziedzinie poglądy tych czy innych sfer katolickich, projekt ten uważamy za wręcz szkodliwy. Polska jest krajem katolickim, katolicyzm więc nie powinien dążyć do stwarzania zamkniętych w sobie rezerwatów, nie powinien decydować się na jakieś wyznaniowe ghetto, ale obowiązkiem jego jest przepajać swą ideologią całe życie narodowe i państwowe. Tak jak naród polski musi być w polskim państwie nie jednym z partnerów ale gospodarzem, tak i katolicyzm jako religia olbrzymiej większości narodu musi być religią panującą jeśli nie na mocy litery prawa i konstytucji to w każdym razie na mocy życiowego faktu. Otóż zakrawałoby na zdradę stanu, gdyby Polskie Radio chciało pomijać lub łaskawie tylko tolerować sprawy narodu polskiego dlatego, że w naszym państwie żyją obywatele Żydzi, Ukraińcy czy Niemcy; takim samym absurdem i narodową zdradą byłoby upośledzenie katolicyzmu, który swą treścią, tradycją i misją łączy się najściślej z dziejami narodu polskiego. Podkreślić przy tym należy fakt, że katolicyzm jest również religią znacznego procentu Ukraińców i Niemców, tak iż właściwie tylko Żydzi lub elementy do Żydów ideologicznie czy politycznie zbliżone mogą się sprzeciwiać decydującym wpływom katolicyzmu w działalności Polskiego Radia! Otóż przed tego rodzaju presją naród polski bez hańby ustąpić nie może i dlatego nie o własną stację katolicką powinno nam katolikom chodzić ale o decydujący a ze wszech miar słuszny i uzasadniony wpływ na działalność Polskiego Radia. Wiemy zresztą, iż najwyższe czynniki w naszym państwie pragną, by działalność Polskiego Radia była narodową i katolicką! Nie chcemy więc być w Polskim Radiu na komornem, musimy tam zostać gospodarzami, dla dobra narodu i państwa, dla dobra polskiej radiofonii.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Pokój i podstęp monachijski. — Pokojowy rozbiór Czechosłowacji. — Saarbruecken. — Blok polsko - niemiecko - węgierski.

Pokój został ocalony. Druga wojna powszechna z powodu Czechosłowacji nie wybuchła. Porównanie września 1938 r., z sierpniem 1914, od którego rozpocząłem poprzedni referat miesięczny nie zostało więc na pozór potwierdzone przez rzeczywisty rozwój wypadków.

Nie wynika stąd jednak ażeby to porównanie miało być nieścisłe. Przeciwnie, analogia tych dwu dat historycznych jest istotna. W sierpniu 1914, przestała już wystarczać dla zapewnienia pokoju równowaga trójprzymierza z trójporozumieniem, której jedną z podstaw stanowiła niepodległość Serbii. Pod węgieł ten Niemcy podłożyły minę wybuchową. Gdyby trójporozumienie w ogóle, a Rosja w szczególności uznały za możliwe oddać Serbię na łup Austro - Niemiec, to i wtedy, w r. 1914, nie wybuchłaby wielka wojna, pokój zostałby ocalony. Tylko system równowagi, na którym się on opierał, uległby rozbiciu. Przeobraziłby się w przewagę Austro - Niemiec nad całym Bliskim Wschodem, z rozległymi następstwami w uzależnieniu Italii, zagrożeniu brytyjskiego Egiptu oraz rosyjskiego Kaukazu i Ukrainy.

Poprzednia wielka wojna zajęła swoje potężne miejsce na kartach historii tylko dlatego, iż ówczesna Europa okazała się duchowo i materialnie zdolną do walki zbrojnej przeciwko przewadze Niemiec. Pojęcie *casus belli* związano wtedy nie tylko formalnie ale i realnie z nietykalnością pewnych „punktów newralgicznych" Europy, jak Serbia dla Rosji, a Belgia dla Anglii. Ogniową próbę wytrzymało również przymierze francusko-rosyjskie.

W roku zaś 1938 położenie międzynarodowe ukształtowało się najzupełniej analogicznie z rokiem 1914, lecz postawa strony przeciwniemieckiej nie wytrzymała próby. W roku 1938 nastąpił zamach Niemiec na nowy wersalski system równowagi, podobnie jak w roku 1914 na system równowagi przedwojennej. Wtedy jego podstawą była Serbia, więc o nią rozgorzała wojna. W roku 1938 podstawą Wersalu była niepodległość Austrii i Czechosłowacji, lecz... w ich obronie wojna nie została podjęta. Musiał więc runąć Wersal. Austria została wcielona do Niemiec, rozbiór Czechosłowacji znajduje się w pełnym biegu. Za taką cenę pokój został ocalony. Podobieństwo sytuacyj między sierpniem 1914 a wrześniem 1938 jest doskonałe, natomiast zachowanie przeciwniemieckich czynników równowagi — wręcz odwrotne. Dlatego mógł wrzesień 1938 przynieść pokój, gdy sierpień 1914 przyniósł wojnę.

W konsekwencji rozwiązania kryzysu w sposób tak pacyfistyczny, że aż niszczący owoce wielkiej wojny, wynurzyło się

w bardzo dramatycznej postaci zagadnienie nowej, powersalskiej równowagi, jako podstawy nowego, powersalskiego pokoju. Czy ta równowaga nieuchronnie musi być równoznaczna z przewagą Niemiec, pokój zaś z — *pax germanica?* O to się toczy, w chwili gdy piszę, zacięta walka wprawdzie już tylko dyplomatyczna, lecz jeszcze bliska możliwości zbrojnych zatargów lokalnych.

Zanim stwierdzimy w jakiej mierze wypadki rozwijają się na korzyść dalszego niemieckiego natarcia, lub też skutecznego przeciw niemu odporu należy, jak zwykle zrekapitulować dzieje tego burzliwego miesiąca, który ocalił pokój przez pokojowy rozbiór jednego z głównych tworów wersalskich. Ten „pokój monachijski", który teraz w Europie obejmuje dziedzictwo pokoju wersalskiego wyłonił się bezpośrednio ze „zjazdu czterech mocarzy" w pięknym grodzie nad Izerą. Zjazd doszedł do skutku w dramatycznych dniach przed terminem 1 października, jaki Hitler postawił Pradze dla przyjęcia swego „memorandum". Zawarte w nim warunki uznał Chamberlain na drugiej swej konferencji z Hitlerem w Godesberg za niemożliwe do zalecenia Czechom przez mocarstwa zachodnie. Rząd gen. Syrovego warunki te odrzucił, jako o wiele przekraczające miarę ustępstw terytorialnych na które Czesi się decydowali.

W tych dniach oczekiwanego już bezpośrednio starcia wojsk niemieckich z armią czeskosłowacką, „powrócił do Europy" Roosevelt, zaalarmowany następstwami swej poprzedniej „pacyfistycznej" deklaracji, o której była mowa w zeszycie październikowym. Prezydent amerykański zgłosił swój apel pokojowy dwukrotnie do Hitlera, proponując konferencję międzynarodową, po raz trzeci zaś zwrócił się do Mussoliniego. Zmiana frontu ze strony Ameryki dodała odwagi mocarstwom zachodnim. Anglia ogłosiła mobilizację floty i lotnictwa, Francja pięciu roczników lądowych, Włochy również częściowo mobilizowały. Odpowiedź Hitlera dla Roosevelta była wymijająca, Mussolini zaś odpowiedział czynem. Jednak zamiast szerokiej konferencji międzynarodowej, zaproponował swemu berlińskiemu „przyjacielowi" zjazd czterech mocarzy w Monachium.

Ten zjazd dwóch dyktatorów i dwóch premierów zmobilizowanych potęg militarnych Europy miał ocalić pokój skłaniając Niemcy do ustępstw o tyle, o ile to było koniecznym, ażeby mocarstwa zachodnie mogły Pradze zalecić, Praga zaś przyjąć warunki niemieckie. Osiągnięto ten cel odwracając propozycję, którą niemieckie memorandum wprowadzało między obszarami, mającymi ulec natychmiastowemu zajęciu, a terenami plebiscytowymi. Hitler chciał okupować od razu mniej więcej $^3/_4$ sudeckiego podgórza, na plebiscyt zaś przeznaczył pozostałą $^1/_4$. W Monachium zgodził się opóźnić termin zajęcia do 10 października, przy czym do 7-go miał zagarnąć $^1/_4$ Sudetów. Określenie obszaru do zajęcia między 7 — 10 października zostało odroczone i prze-

kazane komisji ambasadorów w Berlinie. Pozostałe terytorium sporne miało być przegłosowane plebiscytowo.

Praga warunki te przyjęła. Przyjęła również wysuniętą przez Hitlera, za wpływem Mussoliniego w Godesberg, zasadę równoległych ustępstw terytorialnych na rzecz Polski i Węgier. Interpretacja monachijska tej zasady ustanawiała dla zatargu Czech z Polską i Węgrami termin 3-miesięczny ugodowego załatwienia, poczem ewentualnie spór miałby się stać przedmiotem nowego zjazdu czterech mocarzy.

Na takich warunkach Czechosłowacja skapitulowała przed Niemcami. Ustało niebezpieczeństwo wojny czesko-niemieckiej, które mogli Czesi przeciągnąć dłużej niż się spodziewano i sprowokować wojnę powszechną. Wszak do obrad w Monachium przystąpiły mocarstwa zmobilizowane i to przy ponownym poparciu strony przeciwniemieckiej przez Amerykę. Najmniejsza nieostrożność lub przeciągnięcie struny przez któregoś z uczestników mogło spowodować katastrofę.

Ażeby jej uniknąć i jak najprędzej osiągnąć odprężenie nie upierano się w Monachium przy układzie precyzyjnym, docierającym do najdrażliwszego jądra sporu, do ostatecznego ustalenia jak wielki obszar ma przypaść Niemcom bezplebiscytowo. Pozostawiono otworem lukę, wąską w czasie, bo zaledwie trzydniową, ale rozległą w konsekwencjach. Luką tą było postanowienie, iż zasięg terytorialny „piątej strefy", jaką wojska niemieckie mają obsadzić między 7 a 10 października zostanie określony uchwałą specjalnej komisji, złożonej z berlińskich ambasadorów, Anglii, Francji i Włoch, przedstawiciela niemieckiego M. S. Z., oraz posła Czechosłowacji.

Ta właśnie luka naprzód doraźnie, potem ostatecznie uratowała pokój, a zgubiła Czechy. Tą luką wcisnęła się w ich losy klęska pokojowa, ale tak druzgocąca, że ją porównać można tylko z następstwami bitwy pod Białą Górą w r. 1620. Lukę tę wprowadziły do układu monachijskiego mocarstwa zachodnie w zaufaniu do niemieckiej pokojowej dobrej woli. Wszak Hitler i Goering ciągle ją mieli na ustach. Niemcy zaś rzeczywiście jak najszczerzej pragnęli uniknąć wojny, jednak pod warunkiem, że im to nie przeszkodzi w zupełnym opanowaniu Czech.

Luka wspomniana wytworzyła po temu idealną sposobność. Wszystko więc poszło gładko i świetnie — ze stanowiska niemieckiego. Do 7 października wojska niemieckie obsadziły wyznaczone w Monachium cztery pierwsze strefy Sudetów, obszarem stosunkowo skromne, lecz obejmujące najważniejsze fortyfikacje pograniczne czeskie, rozstrzygające o zdolności Czech do militarnego oporu wobec Niemiec. Wydając Niemcom te ufortyfikowane obszary Czechy faktycznie się rozbroiły, zamknęły przed sobą drogę heroicznego oporu.

Wypadki rozwijały się odtąd z nieubłaganą konsekwencją w myśl niemieckiego planu. Po zajęciu czterech pierwszych stref Sudetów, przed 7 października specjalna komisja berlińska przystąpiła do obrad nad zasięgiem strefy piątej. Wówczas Niemcy zażądali ażeby ten zasięg objął cały ich przez Pragę odmowny program z Godesberg, a nawet więcej, gdyż postanowili zająć natychmiast również co lepsze kęski obszaru plebiscytowego, a plebiscytów w ogóle uniknąć. W tym duchu postawione zostało na specjalnej komisji niemieckie ultimatum, grożące zerwaniem układu monachijskiego. W takiej sytuacji nikt już nic nie miał z Niemcami do gadania, bo Czechosłowacja, jako przeciwniemiecki czynnik militarny przestała istnieć. Po krótkotrwałym wybuchu oburzenia śpiesznie więc podporządkowano się woli Niemiec.

Ze strony Hitlera i Goeringa było to posunięcie formalnie lojalne, bowiem nie naruszało litery układu monachijskiego. Ale rzeczowo był to fortel makiawelistycznie genialny. W ten sposób uratowany został pokój w tym najdrażliwszym, najtrudniejszym do opanowania punkcie zatargu, gdzie decyzja mniej zależała od mocarstw zachodnich, niż od czeskiego heroizmu. Niepodległość Czech ocalić mogła tylko nowa wojna powszechna, ich racja stanu nakazywała im wywołać ją za wszelką cenę. Otworem przed nimi stała jedynie ta droga tragiczna, na którą wkroczyła Serbia w 1914 roku ze skutkiem na razie dla siebie katastrofalnym, ale w końcu świetnym. Zaufanie do miłujących nade wszystko pokój sprzymierzeńców zachodnich przybiło wieko trumny nad Czechosłowacją. Odtąd Czechosłowacja może od swych sprzymierzeńców oczekiwać już tylko pomnika w Wogezach, który jej na serio proponuje prasa francuska.

Reperkusje czesko-słowackiego pokojowego pogromu były na Zachodzie wielostronne: nastrojowe, krytyczne i międzynarodowe. Bezpośrednio po owej konferencji czterech zmobilizowanych mocarstw, która skasowała pokój wersalski, by zawrzeć nowy, monachijski zapanowało w Londynie i w Paryżu uczucie ulgi oraz pewnego rodzaju nieśmiałej radości. Towarzyszyło jej jednak przekonanie, że choć „pokój został uratowany", to jednak nadal nie należy ustawać w zbrojeniach.

Wkrótce jednak skromne to upojenie monachijskim tryumfem pacyfizmu przeszło w gorzko-krytyczny *Katzenjammer*. Dała mu początek dymisja pierwszego lorda admiralicji, czyli ministra marynarki brytyjskiej, motywowana tym, iż rozkazy mobilizacyjne zostały wydane zbyt późno, ażeby się mogły okazać skutecznym środkiem nacisku. W dyskusji parlamentarnej z argumentem premiera Chamberlaina, iż naród angielski nie miał poczucia by celowym było przelewać krew za Sudety, skutecznie się starł kontrargument Duff Coopera, że i w 1914 roku Anglia chwyciła za broń nie w obronie Serbii czy nawet Belgii,

kazane komisji ambasadorów w Berlinie. Pozostałe terytorium sporne miało być przegłosowane plebiscytowo.

Praga warunki te przyjęła. Przyjęła również wysuniętą przez Hitlera, za wpływem Mussoliniego w Godesberg, zasadę równoległych ustępstw terytorialnych na rzecz Polski i Węgier. Interpretacja monachijska tej zasady ustanawiała dla zatargu Czech z Polską i Węgrami termin 3-miesięczny ugodowego załatwienia, poczem ewentualnie spór miałby się stać przedmiotem nowego zjazdu czterech mocarzy.

Na takich warunkach Czechosłowacja skapitulowała przed Niemcami. Ustało niebezpieczeństwo wojny czesko-niemieckiej, które mogli Czesi przeciągnąć dłużej niż się spodziewano i sprowokować wojnę powszechną. Wszak do obrad w Monachium przystąpiły mocarstwa zmobilizowane i to przy ponownym poparciu strony przeciwniemieckiej przez Amerykę. Najmniejsza nieostrożność lub przeciągnięcie struny przez któregoś z uczestników mogło spowodować katastrofę.

Ażeby jej uniknąć i jak najprędzej osiągnąć odprężenie nie upierano się w Monachium przy układzie precyzyjnym, docierającym do najdrażliwszego jądra sporu, do ostatecznego ustalenia jak wielki obszar ma przypaść Niemcom bezplebiscytowo. Pozostawiono otworem lukę, wąską w czasie, bo zaledwie trzydniową, ale rozległą w konsekwencjach. Luką tą było postanowienie, iż zasięg terytorialny „piątej strefy", jaką wojska niemieckie mają obsadzić między 7 a 10 października zostanie określony uchwałą specjalnej komisji, złożonej z berlińskich ambasadorów, Anglii, Francji i Włoch, przedstawiciela niemieckiego M. S. Z., oraz posła Czechosłowacji.

Ta właśnie luka naprzód doraźnie, potem ostatecznie uratowała pokój, a zgubiła Czechy. Tą luką wcisnęła się w ich losy klęska pokojowa, ale tak druzgocąca, że ją porównać można tylko z następstwami bitwy pod Białą Górą w r. 1620. Lukę tę wprowadziły do układu monachijskiego mocarstwa zachodnie w zaufaniu do niemieckiej pokojowej dobrej woli. Wszak Hitler i Goering ciągle ją mieli na ustach. Niemcy zaś rzeczywiście jak najszczerzej pragnęli uniknąć wojny, jednak pod warunkiem, że im to nie przeszkodzi w zupełnym opanowaniu Czech.

Luka wspomniana wytworzyła po temu idealną sposobność. Wszystko więc poszło gładko i świetnie — ze stanowiska niemieckiego. Do 7 października wojska niemieckie obsadziły wyznaczone w Monachium cztery pierwsze strefy Sudetów, obszarem stosunkowo skromne, lecz obejmujące najważniejsze fortyfikacje pograniczne czeskie, rozstrzygające o zdolności Czech do militarnego oporu wobec Niemiec. Wydając Niemcom te ufortyfikowane obszary Czechy faktycznie się rozbroiły, zamknęły przed sobą drogę heroicznego oporu.

Wypadki rozwijały się odtąd z nieubłaganą konsekwencją w myśl niemieckiego planu. Po zajęciu czterech pierwszych stref Sudetów, przed 7 października specjalna komisja berlińska przystąpiła do obrad nad zasięgiem strefy piątej. Wówczas Niemcy zażądali ażeby ten zasięg objął cały ich przez Pragę odmowny program z Godesberg, a nawet więcej, gdyż postanowili zająć natychmiast również co lepsze kęski obszaru plebiscytowego, a plebiscytów w ogóle uniknąć. W tym duchu postawione zostało na specjalnej komisji niemieckie ultimatum, grożące zerwaniem układu monachijskiego. W takiej sytuacji nikt już nic nie miał z Niemcami do gadania, bo Czechosłowacja, jako przeciwniemiecki czynnik militarny przestała istnieć. Po krótkotrwałym wybuchu oburzenia śpiesznie więc podporządkowano się woli Niemiec.

Ze strony Hitlera i Goeringa było to posunięcie formalnie lojalne, bowiem nie naruszało litery układu monachijskiego. Ale rzeczowo był to fortel makiawelistycznie genialny. W ten sposób uratowany został pokój w tym najdrażliwszym, najtrudniejszym do opanowania punkcie zatargu, gdzie decyzja mniej zależała od mocarstw zachodnich, niż od czeskiego heroizmu. Niepodległość Czech ocalić mogła tylko nowa wojna powszechna, ich racja stanu nakazywała im wywołać ją za wszelką cenę. Otworem przed nimi stała jedynie ta droga tragiczna, na którą wkroczyła Serbia w 1914 roku ze skutkiem na razie dla siebie katastrofalnym, ale w końcu świetnym. Zaufanie do miłujących nade wszystko pokój sprzymierzeńców zachodnich przybiło wieko trumny nad Czechosłowacją. Odtąd Czechosłowacja może od swych sprzymierzeńców oczekiwać już tylko pomnika w Wogezach, który jej na serio proponuje prasa francuska.

Reperkusje czesko-słowackiego pokojowego pogromu były na Zachodzie wielostronne: nastrojowe, krytyczne i międzynarodowe. Bezpośrednio po owej konferencji czterech zmobilizowanych mocarstw, która skasowała pokój wersalski, by zawrzeć nowy, monachijski zapanowało w Londynie i w Paryżu uczucie ulgi oraz pewnego rodzaju nieśmiałej radości. Towarzyszyło jej jednak przekonanie, że choć „pokój został uratowany", to jednak nadal nie należy ustawać w zbrojeniach.

Wkrótce jednak skromne to upojenie monachijskim tryumfem pacyfizmu przeszło w gorzko-krytyczny *Katzenjammer*. Dała mu początek dymisja pierwszego lorda admiralicji, czyli ministra marynarki brytyjskiej, motywowana tym, iż rozkazy mobilizacyjne zostały wydane zbyt późno, ażeby się mogły okazać skutecznym środkiem nacisku. W dyskusji parlamentarnej z argumentem premiera Chamberlaina, iż naród angielski nie miał poczucia by celowym było przelewać krew za Sudety, skutecznie się starł kontrargument Duff Coopera, że i w 1914 roku Anglia chwyciła za broń nie w obronie Serbii czy nawet Belgii,

lecz by nie dopuścić do złamania europejskiej równowagi przez niemiecką przewagę.

Winston Churchill sprecyzował ten argument liczbowo i wojskowo stwierdzając, iż przez wyłączenie Czechosłowacji z rachunku równowagi, trzeba się liczyć z siłą niemieckiego uderzenia na linię Renu pomnożoną o 25 dywizyj, czyli około pół miliona bagnetów, których już nie zwiąże przy swoich fortyfikacjach armia czesko-słowacka. Ocena to raczej skromna dlatego, że nie uwzględnia wagi sił zbrojnych czeskich, jako zwasalizowanej armii posiłkowej Niemiec, i nie uwzględnia też zdolności rekrutacyjnej Austrii. Ogółem przyrost potęgi militarnej Niemiec na skutek zmian terytorialnych roku 1938 szacować by należało na milion do półtora miliona strzelców. Taki katastrofalny wyłom na korzyść Niemiec w wersalskim układzie sił dałby się przywrócić do proporcyj z roku 1937 jedynie przez bardzo stanowcze wycofanie Italii z osi rzymsko-berlińskiej do frontu Stresy, oraz równoczesny montaż zwartego bloku polsko-rumuńsko-węgierskiego za pomocą pełnowartościowej, włączającej całą Słowaczyznę, granicy polsko-węgierskiej. Wynika stąd, że sformułowane przez premiera Chamberlaina w izbie gmin „poczucie narodu angielskiego", iż o Sudety krwi przelewać nie warto, było niemniej kompromitujące dla „instynktu politycznego mas" i niemniej katastrofalne dla Wielkiej Brytanii, jak owo „święte" oburzenie, które nie dopuściło do podziału Abisynii za Hoare-Lavala, by ją potem wydać w całości Mussoliniemu.

Co się znów tyczy zarzutu Duff Coopera o spóźnionej mobilizacji, to jest on o tyle nieścisły, że się na nią odważono dopiero po „powrocie do Europy" Roosevelta. Prezydent zaś amerykański, który swoją poprzednią lekceważącą Sudety deklaracją nawarzył tak niebywałego piwa, zgłosił się do jego wypicia za późno. Po Berchtesgaden i Godesberg samą tylko mobilizacją jako środkiem presji można było w Monachium już tylko przekształcić procedurę rozbioru Czechosłowacji, ale zapobiec mu można było tylko wojną. Przed nią się cofnięto, choć może nie bez naiwności ze strony anglo-francuskiej, makiawelizmu zaś ze strony Niemiec.

Parlament angielski nie miał wobec tego nic więcej do zrobienia, jak tylko zatwierdzić fakt dokonany przez votum zaufania dla gabinetu. Toż samo uczynił parlament francuski, ale z ważkim efektem ubocznym rozbicia frontu ludowego przez odosobnienie komunistów. Sami jedni pozostali oni w opozycji wobec Monachium, ponieważ zdawało się zagrażać antysowieckim paktem czterech. Przemawiały za tym monachijskie zapowiedzi konferencji hiszpańskiej i kolonialnej, przede wszystkim zaś deklaracja Mussoliniego, iż teraz już na serio wycofa włoskich „ochotników" z armii gen. Franco.

Moskwa odpowiedziała na pokój monachijski energicznym protestem Litwinowa w Paryżu, prawie równoznacznym z wypowiedzeniem paktu francusko-sowieckiego. Poparła zaś ten projekt posunięciem realniejszym, choć z jej stanowiska rozpaczliwym — zapowiedzią cofnięcia pomocy sowieckiej dla czerwonej Hiszpanii. Jako pretekst wysunięty został trockizm. Miała Moskwa nadzieję, że w ten sposób, ułatwiając zwycięstwo hiszpańskich frankistów, utrzyma przy nich Mussoliniego, zapobiegnie ugodzie włosko-angielskiej i paktowi czterech; a podrażniwszy lewicę francuską, przeszkodzi zbliżeniu francusko-włoskiemu, frontowi Stresy i znów paktowi czterech, ewentualnie blokowi antysowieckiemu.

Posunięcia Moskwy chybiły jednak celu, ściślej — okazały się zbędne. Wyręczył je Hitler. Zaniepokoiły go ponownie pomonachijskie forsowne flirty anglo-włoskie, oraz doczepiające się do nich francuskie umizgi do Italii. Nie uśmiechała się Hitlerowi perspektywa Stresy, jako *antidotum* na jego austro-czeskie sukcesy. Podjął więc kontrofensywę mową w Saarbruecken, w pobliżu granicy lotaryńskiej z Francją, w zagłębiu przed paru laty odzyskanym przez plebiscyt. Ostro zaatakował Anglię i Francję za zbrojenia, oraz gorzkie żale z powodu Monachium. Dał Anglii do zrozumienia, że go interesuje Palestyna i że tam może Anglię dosięgnąć. Jakoż istotnie dosięgnął, bo choć Arabowie utracili po Monachium plecy włoskie, ze względu na hiszpańską skłonność, wzajemną Włoch i Anglii, ale za to pozyskali plecy niemieckie za pośrednictwem Turcji. Niemiecki minister gospodarki Funk zawarł z nią „czysto gospodarczy" układ o dostawę uzbrojenia i maszyn na kredyt 150 milionów marek. Była to skuteczna konkurencja dla poprzedniej pożyczki zbrojeniowej turecko-angielskiej. Francja wkrótce po mowie w Saarbruecken usłyszała od swoich alzatczyków, że pragną oni autonomii, choć na razie skromniejszej niźli karlsbadzkie punkta Henleina. Italii podano w Saarbruecken słodki cukierek jako „jedynemu prawdziwemu przyjacielowi Niemiec", ale równocześnie pokazano kij w Bułgarii. Jej carową jest królewna włoska, Bułgaria zaś gwarantuje Włochom lojalność Jugosławii, poprzez bezpieczeństwo lub zagrożenie Macedonii serbskiej. Dziwnym trafem, podczas podróży min. Funka na Bliski Wschód irredentyści macedońscy zamordowali szefa sztabu armii bułgarskiej, prawą rękę cara Borysa w jego polityce filo-włoskiej. Równocześnie wypuszczono prasowy balon próbny w postaci pogłoski, iż Jugosławia protestuje przeciwko wspólnej granicy polsko-węgierskiej, którą popiera Mussolini.

Wszystko to, łącznie ze skutecznymi zabiegami min. Funka o rozwój obrotów handlowych Niemiec ze Wschodem oraz projektami budowy kanału Ren—Men—Dunaj i autostradą Londyn—Wiedeń—Konstantynopol, świadczyło o poważnym natarciu niemieckiej ekspansji gospodarczej i politycznej, z nowych pozycyj

austro-czeskich, w dolinę Dunaju i na Bałkan. Wszystko to — łącznie z zapowiedzią dalszej budowy fortyfikacyj nad Renem — musiało się mocno nie podobać już to Francji i Anglii, już Italii i Anglii. Od czasu bowiem zaboru Austrii i rzymskiej wiosennej [1]) wizyty Hitlera Włochy zastrzegły sobie cały Bałkan z Węgrami jako *condominium* wpływów włosko-angielskich. Hitler to podówczas akceptował, lecz teraz po Sudetach, zaczął łamać, kontratakując grożące mu trójporozumienie włosko-angielsko-francuskie — nowego frontu Stresy.

Francja odpowiedziała na Saarbruecken ujawniając zamiar podwojenia linii Maginota, Anglia — przygotowaniem do ratyfikacji ugody z Italią, Mussolini zaś — wycofaniem 10 tysięcy włoskich kombatantów z armii Franco, oraz makiawelistycznie wyrafinowaną postawą wobec Francji, jako bazą jeszcze bardziej wyrafinowanej postawy wobec Niemiec. Urzędowa włoska *Informatione Diplomatica* poczęła ogłaszać komunikaty z zachwytem podnoszące wyrażoną w Saarbruecken solidarność obu faszyzmów aż do wojny przeciwko Francji włącznie, ale równocześnie podkreślała też solidarność w odniesieniu do granicy polsko-węgierskiej. To ostatnie przeczyło najzupełniej prawdzie, lecz ponieważ Mussolini zdaje sobie sprawę, że Hitler boi się odosobnienia wobec ewentualnej Stresy i pragnąłby rzymskiego przyjaciela ponownie wciągnąć na szlak przeciwangielski na Bliskim Wschodzie, przeto jako warunek stawia — granicę polsko-węgierską.

Hitler się przed tym doniosłym ustępstwem wzdragał, lecz gdy granica polsko-węgierska znalazła energiczne poparcie także że strony czynników najbliżej zainteresowanych, Polski i Rumunii — zrejterował na razie. Na widowni lokalnej sprawa ta miała przebieg następujący.

Opanowanie nie tylko właściwych Czech, lecz za ich pośrednictwem również Słowaczyzny i Rusi Podkarpackiej jest pierwszorzędnym postulatem niemieckiej racji stanu. Dostarczyłoby jej ono geopolitycznej podstawy zarówno do dalszego nacisku na Węgry i Bałkan, jak i przeciwko Polsce. Dążność w tym kierunku zbiega się zatem najdokładniej z racją stanu czeską. Stąd od chwili pełnego uzależnienia Czech od Niemiec, Czesi w swoim odporze wobec Węgier szukali i znaleźli oparcie w Berlinie. Co więcej, w ślad za nimi poszła również Słowaczyzna, uchwalając w Żilinie unię z Czechami, ażeby u nich i Niemców znaleźć osłonę przeciwko roszczeniom węgierskim, które jej bezpośrednio zagrażały.

Roszczenia te były znacznie rozleglejsze niźli polskie do Zaolzia, dotyczyły bowiem szerokiego pasa terytorium, biegnącego wzdłuż granicy a zamieszkałego przez milion ludności madziarskiej. Groziły też odcięciem Czech i Słowaczyzny od Dunaju,

---

[1]) Patrz *Sprawy Państwa* w zeszycie czerwcowym br.

obejmowały kilka większych miast i wreszcie całą Ruś Podkarpacką. Tę ostatnią cenili jednak więcej Czesi, jako gniazdo ukraińskiej irredenty przeciwpolskiej, oraz pomost przejściowy do Sowietów, gdy Słowakom Ruś była raczej obojętną.

Wymiar tych aspiracyj węgierskich zaalarmował rząd i opinię czeską na tyle, że dla koncentracji obrony łatwo ustąpili nam Zaolzie, a dla ułatwienia sobie poparcia z Berlina usunęli prezydenta Benesza, którego ostro atakował Hitler w norymberskich mowach. Co uczyniwszy, rząd praski mianował głównym delegatem do układu z Węgrami nowego, autonomicznego premiera Słowaczyzny, księdza Tiso i układy z inicjatywy Węgrów — zostały podjęte w Komarnie nad Dunajem. Nie trwały jednak długo i uległy rozbiciu, gdyż delegacja Budapesztu, występująca pod przewodnictwem min. spr. zagr. Kanyi domagała się około 13 tysięcy klm. kw. obszaru z przeszło milionem ludności, delegacja zaś czesko-słowacka ofiarowywała niespełna 2 tysiące klm. kw. obszaru z ludnością 105 tysięcy głów. Wymiar więc czechosłowackiej skłonności do ustępstw był proporcjonalny do Zaolzia oraz Sudetów, a znacznie niższy od przeprowadzonej przez Niemców pomonachijskim postępem proporcji z Godesberg.

Węgrzy więc zerwali układy w Komarnie i zmobilizowali pięc roczników. Czesi ze swej strony skoncentrowali na spornym terytorium znaczne siły swej jeszcze tylko częściowo zdemobilizowanej armii. Idąc za przykładem Sudetów i Zaolzia Węgrzy zorganizowali zbrojne powstanie na spornym terytorium. Szczególnie silnie rozgorzała ruchawka na Rusi Podkarpackiej, która stworzyła sobie rząd autonomiczny i ujawniła wyraźnie większą skłonność w kierunku Węgier niźli Czech. Z naszej, polskiej strony równolegle do węgierskich dążeń zaczęto poruszać kwestię Spisza i Orawy.

Położenie naprężyło się mocno i zdawało się zagrażać wojną czesko-węgierską. Ażeby jej uniknąć zarówno Praga jak Budapeszt rozesłały „gońców" ministerialnych do ościennych stolic zabiegając o poparcie. W Berlinie od pewnego czasu nieomal stale przebywało kilku ministrów i bankierów czeskich, ażeby pertraktować o warunki niemiecko-czeskiego współżycia gospodarczego i politycznego. Po Komarnie zjawili się tam również ministrowie słowaccy. Do Berchtesgaden, do samego Hitlera, udał się nowy czeski min. spr. zagr. Chvalkovsky, b. ambasador w Berlinie i Rzymie, ale wcześniej odeń stawił się przed wodzem Niemiec węgierski premier Imredy. Do Rzymu wyruszył węgierski min. spr. zagr. Kanya, do Warszawy zaś jego podwładny hr. Csaky.

Hitler skrępowany przez Mussoliniego dał Węgrom i Czechom odpowiedź wymijającą, zalecając rozwiązanie pokojowe. W tymże duchu wynurzył się balon próbny o rozstrzygnięciu sporu czesko-węgierskiego przez ponowny, tym razem w Wenecji,

zjazd czterech mocarzy, przewidziany zresztą w Monachium, tylko że w odleglejszym terminie. Nie mogła się ta perspektywa zbytnio uśmiechać Węgrom, ani życzliwej im Polsce, gdyż zarówno doświadczenie Sudetów jak Zaolzia wskazywało, że najwięcej można osiągnąć jedynie za pomocą dyplomatycznej lub wojskowej „akcji bezpośredniej".

W tym więc momencie na widownię wystąpiła czynnie dyplomacja polska. Jej szefowi trudno odmówić wysokiej doskonaści w technice przeprowadzania spraw zawiłych i drażliwych. Utrzymując właściwą proporcję pomiędzy wymiarem dążeń, natężeniem nacisku, układem okoliczności przyjaznych i wrogich, oraz trafnie dobierając środki, p. min. Beck pięknie przeprowadził swoją operację litewską w marcu, a jeszcze piękniej i na większą skalę październikową operację zaolzańską. W tej ostatniej na szczególne podniesienie zasługuje moment niezawisłości poczynań polskich od krępujących uchwał konferencji w Monachium. Niezawisłość ta głównie się przyczyniła do pomyślnego wyniku.

Przyjmując jako *vis maior Anschluss* Austrii i wasalizację Czech przez Niemcy, p. min. Beck, w zgodzie z Mussolinim, ruchliwie, energicznie i celowo poprowadził odwrót na „zawczasu przygotowane pozycje" o których tu nieraz była mowa: w kierunku granicy polsko-węgierskiej i bloku polsko-węgiersko-rumuńskiego. Blok taki jako ośrodek przeciwniemieckiego odporu może nie bez powodzenia zastąpić zwasalizowaną Czechosłowację, bo na jej miejsce przeprowadza Węgry z pozycji biernej w czynną i wytwarza geopolitycznie bardziej zwarty, front obronny. Gdy przeto w krytycznej chwili, po zerwaniu rokowań w Komarnie, zarysowało się podwójne dla przyszłej polsko-węgierskiej granicy niebezpieczeństwo: już to ryzykownej wojny czesko-węgierskiej, już też niemniej ryzykownej konferencji czterech mocarstw, wówczas świeży triumfator Zaolzia szybko powziął swoje decyzje. Do Budapesztu wysłał hr. Łubieńskiego dla porozumienia z rządem węgierskim i doręczenia istrukcji polskiemu posłowi w Białogrodzie. Poseł Dębicki natychmiast po powrocie z Budy konferował z premierem Stojadinowiczem. Nasz ambasador rzymski otrzymał również instrukcję natychmiastowej wymiany zdań z hr. Ciano. Sam zaś p. min. Beck w szturmowym tempie wyruszył do Galaczu na spotkanie z czynnikiem rozstrzygającym, królem Karolem II. Pobyt naszego ministra nie trwał tam dłużej niż 12 godzin, z których przeszło trzy upłynęło na samotnej, w cztery oczy, dyskusji z zaprzyjaźnionym monarchą. Spotkanie to wzbudziło wielką sensację w całej Europie, wynik zaś przyniosło jeszcze nie ostateczny, lecz taktycznie przechyliło szalę na korzyść Węgier i naszą. Związano z nim bardzo prawdopodobną pogłoskę, że Polska doradza Węgrom, by nieco opuściły ze swych roszczeń w południowej, naddunajskiej Słowaczyźnie, tym bezwzględniej

za to obstawały przy Rusi Podkarpackiej oraz ażeby się gotowały zrzec wszelkiej rewizji granic z Rumunią i Jugosławią wzamian za poparcie z ich strony granicy polsko-węgierskiej. Równocześnie Rumunia miała otrzymać propozycję zajęcia wysuniętego na wschód, kresowego zakątka Rusi, który by rozszerzył granicę polsko-rumuńską i zapewnił jej drugie połączenie kolejowe.

Król Karol przyjąć miał tę propozycję przychylnie z tym tylko zastrzeżeniem, że ponieważ może ona być nieprzyjemna dla Niemiec, przeto i taktycznie i zasadniczo należałoby zastąpić gospodarczą i polityczną z nimi współpracę przez kredyty angielskie. Odpowiadałoby to również bałkańskiej polityce Włoch gotujących się do paktu z Anglią, a wzmocniłoby równoległy do politycznego odpór gospodarczy przeciwko dążeniom Niemiec, świeżo zarysowanym w podróży min. Funka. Dlatego więc zapewne ogłoszono, wkrótce po rozmowie króla z polskim ministrem, że Karol II przyśpiesza swój wyjazd do Londynu. I dlatego zapewne również prasa niemiecka przybrała nagle ton przyjaźniejszy dla karpato-ruskiej granicy Węgier z Polską. Chodziło jej o zatrzymanie Rumunii w orbicie wpływu Niemiec.

Na postawę Niemiec wpłynęło prawdopodobnie także inne jeszcze wydarzenie. W czasie pobytu min. Becka w Rumunii przybył do Warszawy słowacki przywódca Sidor. W uważnym i ciekawym wywiadzie oświadczył, że Słowaczyzna nie sprzeciwia się przyłączeniu Rusi Podkarpackiej do Węgier, oraz że skłania się do niepodległości, opartej o Polskę. Był to akt przystosowania, oraz nadziei, że w zamian za to złagodnieją żądania węgierskie nad Dunajem, a może i polskie co do Spisza i Orawy. Zanosiłoby się w takim razie nie tylko na polsko-węgierską granicę częściową na Rusi, lecz na wyłączenie z unii z Czechami i Niemcami całej Słowaczyzny, włączenie jej w system bloku polsko-rumuńsko-węgierskiego, może nawet w „federację naddunajską" obejmującą także Jugosławię.

W ten sposób w zmienionym układzie sił mógłby zostać zrealizowany przez Polskę niedoszły „plan Hodży" sprzed *Anschluss'u* Austrii. Tylko dla Czech nie byłoby już w nim miejsca. W ostatecznym wyniku rozbioru wersalskiej Czechosłowacji oczekiwałby je tylko los autonomicznej prowincji Trzeciej Rzeszy. Już się przecież nawet pojawił prasowy balon próbny o unii celnej.

Całokształt tych posunięć znacznie poprawił widoki granicy polsko-węgierskiej dotąd skutecznie sabotowanej przez Niemcy za pomocą Czech. Berlin dyskretnie zatrąbił na odwrót, lecz jeszcze stara się odegrać. W tym celu wymierzony został bardzo złośliwy i dla nas bardzo niebezpieczny cios w Litwę. Rozruchy w Kłajpedzie i groźba jej utraty mają być środkiem nacisku na rząd kowieński, by przyjął nieoficjalną propozycję Niemiec, która by w szybkim tempie zgotowała Litwie tę samą pozycję jaka

szykuje się dla Czech. Litwa według tej propozycji mogłaby zatrzymać Kłajpedę, na mocy piętnastoletniego z Niemcami paktu nieagresji, ale pod warunkiem, że cały swój eksport skieruje do Niemiec (wycofując go z Anglii), cały zaś import również pokryje z Niemiec. Stąd krok już tylko do unii celnej i unii politycznej. Przeciwdziałanie temu groźnemu projektowi, który mógłby ujemnie zrównoważyć ewentualny sukces południowy, jest dla Polski bardzo trudne. Może jednak wyręczą nas Sowiety.

Horoskop nowej równowagi z punktem wyjścia w „pokoju monachijskim" pozostaje dotąd niewyjaśniony. Waha się między Wersalem a *pax germanica*, zapowiedzianą przez Hitlera już na Boże Narodzenie. Dotąd bronimy się energicznie i skutecznie.

Andrzej Prawdzic.

Warszawa 28. X.

Ze świata filmu.

Październik na ekranach. — *Królewna Śnieżka,* wielki film Disneya. — Wyprawa Marca Polo do Chin. — *Złotowłosa.* — Francuska kompromitacja. — Kolekcja polskich tematów. — Próżnująca cenzura. — *Profesor Wilczur.* — Jeszcze o *Biennale.* — Międzynarodowy zjazd prasy filmowej w Warszawie. — Działalność polskiego Związku Dzienn. i Publ. Filmowych.

Październik, czy raczej ściślej: czas od 20 września do 20 października — bo tak, wobec konieczności technicznych, związanych z ukazywaniem się *Przeglądu Powszechnego* na pierwszego każdego miesiąca, przedstawia się u nas okres sprawozdawczy — ma w doborze repertuaru dwie charakterystyczne cechy:

Pierwsza — to zbliżające się już przejście w filmy seryjnej produkcji komediowej, czy dramatycznej, po szumnych premierach wrześniowej inauguracji sezonu. W listopadzie i na początku grudnia nastąpi już okres pewnej ciszy repertuarowej, by znów tuż przed Bożym Narodzeniem przebojami przygotowanymi na święta przyciągać publiczność do kin. Drugą cechą repertuaru październikowego jest wejście na ekrany stołeczne większej ilości polskich filmów. Mniej więcej między datami 15 a 20 października, kina stołeczne wyświetlały równocześnie aż pięć filmów produkcji krajowej, na którą to piątkę składały się tzw. „dramaty": *Druga młodość, Prawo do szczęścia, Gehenna, Profesor Wilczur,* oraz komedia *Paweł i Gaweł.*

Najważniejszym wydarzeniem artystycznym (a niewątpliwie i handlowym) minionego miesiąca jest premiera *Królowej Śnieżki,* filmu rysunkowego Walta Disneya w warszawskim kinoteatrze

Palladium. Reklama przedstawiła *Śnieżkę* jako rewolucję w królestwie X muzy, równą przewrotowi, dokonanemu przez wprowadzenie dźwiękowca. W rzeczywistości — *Śnieżka,* pierwsza kreskówka długometrażowa jest tylko komercjalnym usankcjonowaniem nowego kroku w rozwoju filmu, jakim były kolorowe filmy rysunkowe Disneya, podnoszące kreskówkę do rangi artystycznie komponowanej wizji. Nie znaczy to, aby owa sankcja handlowa nie była doniosła; jak dotąd kreskówka odgrywała po trosze rolę kopciuszka, małego dziecka w towarzystwie starszych, dodatku do właściwego filmu, nadprogramu. Z chwilą wyprodukowania kreskówki długometrażowej, stanowiącej pełnoprogramowy obraz, i — co praktycznie donioślejsze — z chwilą niebywałego sukcesu kasowego *Śnieżki,* film rysunkowy dostąpił równouprawnienia, wszedł na rynek jako równorzędny konkurent filmów fotograficznych. I ten właśnie fakt, zapowiadający, że w przyszłości będziemy oglądać na ekranie obydwa typy filmów, wywołuje refleksję: co jest bliższe istocie filmu — film fotografowany czy rysowany, i co zwycięży — film fantazji, czy film realistyczny, wykonywany przez aktorów? Sprawie tej, związanej z najbardziej zasadniczymi zagadnieniami estetyki filmowej, należałoby poświęcić osobne obszerne rozważania, na które nie pozwala na razie brak miejsca. Zanotujmy więc tylko interesujące dane handlowe bodajże już przesądzające sprawę przez stwierdzenie: po pierwsze — wielkich zysków, ale też i — po drugie: kosztowności produkcji, dostępnej tylko dla wielkiego kapitału. Koszt bowiem *Królowej Śnieżki* wyniósł 1.670.000 dolarów, obrót zaś kasowy przewidywany jest w tej chwili na 4 miliony dolarów w St. Zjednoczonych i 2 miliony na innych kontynentach. W sumie zatem 6 milionów dolarów, — byłaby to najwyższa suma, uzyskana kiedykolwiek przez film. Drugie miejsce w tej hierarchii zysków przypadłoby — co znamienne — również filmowi nowatorskiemu: pierwszemu dźwiękowcowi z Al Jolsonem, który osiągnął 5 i pół miliona dolarów wpływu.

Na tle wieloletniego jeszcze procesu kształtowania się barwnego i plastycznego filmu przyszłości, obecna kreskówka Disneya jest skromnym etapem, warto jednak zdawać sobie sprawę do jakich perspektyw wiedzie droga, na którą wprowadziła film figlarna myszka Mickey. Jak już wspomniałem, premiera *Królowej Śnieżki* nie jest sama przez się rewolucją filmową, jest to raczej uznanie, stabilizacja, fakt po-rewolucyjny, ale dlatego też i donioślejszy, że utrwalający rewolucyjną zdobycz kreskówki. Istotnie świeża jest w *Śnieżce* tylko jedna próba: usiłowanie wprowadzenia aktora rysowanego dla odegrania roli ludzkiej, a więc roli równoważnej kreacji żywego artysty w normalnym filmie fotograficznym. Pozornie wydaje się, że już popularny Kubuś-marynarz, czy groźni piraci, bandyci, olbrzymi, w dotyczasowych kreskówkach, mają przywilej pierwszeństwa ta-

kiej próby. Różnica jednak polega na tym, że postacie z filmów o Kubusiu-marynarzu i innych, były zawsze groteską, *Śnieżka* zaś ma kochać, tęsknić, cierpieć, ma wzruszać.

Naturalnie sporo niedociągnięć (sztywność mimiki, nienaturalne kolory twarzy, lalkowatość wyrazu) trzeba kłaść na karb technicznej nowości, wydaje się jednak, że wkraczanie filmu fantastycznego w dziedzinę filmo-teatru spotkało się z niepowodzeniem. Charakterystyczne jest, że gdy razi i nudzi mdła cukierkowatość królewny i zakochanego księcia, postać złej królowej-macochy, czarownicy, postać baśniowa, a więc fantastyczna, wypadła dobrze. Zestawienie tych dwóch ról, udanej i nieudanej, dość wyraźnie rozgranicza, przynajmniej na razie, dziedzinę filmu fotograficznego i filmu swobodnie komponowanego przez rysownika i malarza.

Jako widowisko i rozrywka *Królowa Śnieżka* jest miłą bajką dla dzieci, które klaszczą z radości na widok ożywionych obrazków z ulubionej bajki. Film, gdziekolwiek dotrze, ma zapewnione powodzenie, zwłaszcza, że dla małych widzów ułatwiło go zastąpienie zwykłych w angielskim obrazie napisów przez polski dialog. *Śnieżka* została — jak się to nazywa w języku filmowców — zdubbingowana. Dialogi polskiej wersji przetłumaczył Marian Hemar. Zapewne temu należy zawdzięczać taką swoistą perełkę humoru: Śnieżka mówi do karzełka Gburka: — „Dobry wieczór". Na to Gburek: — „A jak nie dobry, to co?"

Spróbuj, czytelniku, powtórzyć odpowiedź Gburka północnowarszawskim akcentem. Efekt niezawodny...

Pojawienie się *Śnieżki* na horyzoncie filmowym przesłoniło inne filmy zagraniczne, wśród których nie brak obrazów, zrealizowanych z dużym rozmachem. Pierwsze miejsce zajmuje *Marco Polo,* film historyczny wytwórni „United Artists" z Gary Cooperem w tytułowej roli. Marco Polo, wenecjanin, w r. 1268, wraz ze swym ojcem i stryjem, kupcami weneckimi, wyruszył w podróż handlową do Chin — będących w oczach ludzi Wenecji „rajem jedwabiu". Morska i konna wyprawa przez M. Śródziemne, państwo arabskie, Persję, Tybet, aż do kraju Cathay, tj. dzisiejszych Chin północnych, była i pozostała jednym z największych przedsięwzięć podróżniczych. W Chinach przybysze z dalekiej Wenecji zostali przyjęci gościnnie przez chana Chubilaja, wnuka wielkiego Dżengis-Chana, twórcy największego w dziejach świata imperium. Marco Polo spędził w Chinach około 20 lat, do Wenecji powrócił w r. 1295, zyskawszy okazję powrotu przez misję odprowadzenia do Persji przyrzeczonej królowi perskiemu na małżonkę córki Chubilaja. Do końca życia uchodził Marco Polo w Wenecji za największego blagiera chrześcijaństwa — nikt nie chciał wierzyć w opowiadania o olbrzymich przestrzeniach Chin, o skarbach Chana chanów, o palącym się kamieniu (węglu) itp. Jedno wenecjanie chętnie tylko przyjęli — przywiezioną przez

Marco Polo nową potrawę: *spaget* — popularne dziś makaronowe *spagetti,* o których niewiele pamięta, że są chińskim wynalazkiem.

Podczas pobytu Marca Polo w Chinach zdarzył się fakt, stwierdzony historycznie, morskiej wyprawy na Japonię, próby podboju wysp przez Mongołów, zakończony klęską floty, zniszczonej burzą, czy raczej podwodnym trzęsieniem ziemi. Nieudaną wyprawę Chubilaja scenariusz filmu wykorzystał dla stworzenia intrygi zwróconej przeciw Chanowi. Oczywiście Marco Polo jest szlachetnym rycerzem, który demaskuje zdrajców, przywraca Chubilajowi tron, w zamian zaś otrzymuje rękę księżniczki i wielkorządztwo. Film historyczny zamienił się w Hollywood w efektowną dekoracyjnie bajkę, niewiele jednak ma wspólnego z ewokacją obrazu tajemniczej, średniowiecznej Azji Mongołów. Tło przypomina raczej utopijny *Zaginiony horyzont,* niż Chiny, a Gary Cooper jest wenecjaninem mocno zamerykanizowanym. Kilka tradycyjnych komicznych gag'ów, tradycyjna postać farsowa, umiejętne operowanie tłumem statystów — oto film, który mógłby być pasjonującą wizją historyczną, jest zaś opowieścią z tysiąca i jednej nocy, ujętą w ramy hollywoodzkiego szablonu: on, ona, czarny charakter i ojciec szlachetny lecz oszukany. *Happy end:* ujawnienie intrygi, walka dwóch przeciwników, łotr pokonany, pocałunek z ukochaną, przypatrującą się zmaganiom walczących mężczyzn.

Partnerką Gary Coopera jest szeroko lansowana gwiazda, Sigrid Gurie. Ponieważ grała ucharakteryzowana, a rola wymagała raczej bierności i powściągliwości, trudno na razie wyrobić sobie zdanie o nowej rodaczce Grety Garbo, sprowadzonej do Hollywood.

Jednym z największych tegorocznych filmów śpiewaczych jest *Złotowłosa* (Metro-Goldwyn, premiera warszawska w kinie „Roma", 14 X.), obraz produkcji Roberta Z. Leonarda, z udziałem Jeanette Mac Donald, bezsprzecznie najwdzięczniejszej i najlepszej śpiewaczki ekranu, oraz z Nelsonem Eddy, śpiewakiem obdarzonym głosem o dźwięcznym spiżowym brzmieniu. Występ w jednym filmie tej pary, pierwszy raz złączonej na ekranie jest głównym atutem *Złotowłosej,* filmu bogato wystawionego, granego w dobrym tempie, nie uwolnionego jednak od szablonu wszystkich operetek i tzw. komedii muzycznych. Pojawienie się czołowego obrazu amerykańskiej firmy M. G. M. w katolickim kinie rzuca pełne światło na kulisy naszych stosunków filmowych, świadcząc że „Roma" przełamała trudności czynione jej ze strony biur wynajmu i zdobyła repertuar równy najlepszym zeroekranom, pozostającym w rękach żydowskich. Charakterystyczne jednak, że z powodzi amerykańskich filmów „Roma" potrafiła wybrać obraz mający i zalety czysto filmowe i będący przyjemną rozrywką i łączący z zabawą szlachetną tendencję etyczną.

W filmie występuje piękna postać zakonnika, jakby wzorowanego na szekspirowskim zakonniku z *Romea i Julii* i jak tamten, łączącego na koniec węzłem ślubnym ulubionego wychowańca i ulubioną wychowankę. Jeśli dodać, że ślub poprzedziło nawrócenie mężczyzny, da to pojęcie o sympatii, jaką tego rodzaju scena musi wzbudzać. Okazuje się, że „dla chcącego nie ma nic trudnego". Można połączyć z katolicką tendencją wartościowy repertuar, zdobyć sukces i artystyczny i kasowy.

Pozostałe amerykańskie filmy października — to zwykły towar Hollywoodu. Jest więc dość miły obraz z Shirley Temple pt. *Słowiczek* (prod. Fox), jest bajeczka o dziewczynie z norweskiej wsi, która na łyżwach zdobywa szczęście i sławę, pt. *Biały motyl* (prod. Fox) łatwo się domyśleć, że bohaterką filmu będzie laureatka olimpijska — Sonia Henie, nie brak też historii sentymentalnej: *Porzucona* (Fox) z Herbertem Marshallem i Barbarą Stanvyck, gdzie bieg akcji zrozumiały jest tylko na tle zanarchizowania sprawy małżeństwa w St. Zjednoczonych. Obrazem najprzyjemniejszym, choć wcale nie najlepszym, będzie w rezultacie wśród tych filmów drugiej klasy, film Simone Simon *Josette*. Simon i za oceanem pozostała delikatna i urocza, debiut jednak francuskiej artystki w Hollywood nie wypadł szczęśliwie — wróciła do Paryża jeszcze prędzej jak wyjechała. Tym lepiej — kinematografia francuska przewyższa dziś amerykańską, a europejskie filmy Simon mają niebanalne scenariusze i wdzięk poezji.

Komplementy pod adresem filmu francuskiego są jednak w tym miesiącu wyjątkowo niezasłużone. *Krzyk ulicy* (La maison du Maltais) jaki zobaczyliśmy w „Bałtyku", trudno określić inaczej, jak połączenie najtrywialniejszej banalności z żerowaniem na brudnej sensacji. Film rzekomo występujący przeciw prostytucji kobiet jest w rzeczywistości mętną brednią w stylu naszych analogicznych *Szlaków hańby, Upadłych kobiet* itp. Cenzura filmowa powinna nie tylko kontrolować polityczną stronę filmu i zadowalać się jakimś minimum obyczajowości obrazu filmowego, ale również przeciwdziałać importowi kiczów i bezsensownych i zarazem szkodliwych. Ogarnia oburzenie na myśl, ile zmarnowano polskich pieniędzy, pod wpływem nieuczciwej reklamy, na podobne paskudztwa.

Do zadań cenzury, a właściwie nawet szerzej — do zadań wydziału widowiskowego Min. Spr. Wewn. i wydziału kultury i sztuki Min. W. R. i O. P., wypadnie niestety odwołać się także i przy omawianiu polskich premier nowego sezonu.

Trzy z nich narzucają wniosek o konieczność jakiejś kontroli nad realizowanymi scenariuszami. *Druga młodość, Prawo do szczęścia* i *Gehenna* — stanowią niezwykłą w swoim rodzaju kolekcję. Oto krótki indeks motywów tych polskich obrazów: romans dojrzałej kobiety z kolegą syna, matka zwierzająca się synowi ze zdrady małżeńskiej, znów zdrada małżeńska, dalej —

zwyrodniały sadysta, stryj gwałcący siostrzenicę, plus morderstwo. Na takiej to kanwie utkano trzy wyżej wymienione filmy.

Najgorsza nota musi dostać się *Gehennie*. Banał bulwarowej powieści, zeszłowieczne efekty i bohaterowie jak stworzeni do wzruszania analfabetów: romantyczny książę, sadystyczny opiekun i jasnowłose niewiniątko - cielątko, które bez stryja nie śmie ani pisnąć. Na boczku jest też i romansik z lotnikiem „spadłym z nieba", w czym wyraża się unowocześnienie sławetnej powieści Mniszkówny. W filmie są sceny wręcz ohydne, jak pastwienie się dziedzica nad półobłąkanym nędzarzem, całość zaś, łącznie z groteskowym efektem wejścia policji w chwili gdy rozbestwiony stryjaszek (wyobrażacie sobie, co w tej roli urządza Samborski) dybie na cnotę siostrzenicy, budzi mocny niesmak swą bzdurnością, łzawością i niemoralnością.

Obok *Gehenny*, produkcji pana Grinsztajna i reżyserii Waszyńskiego-Waksberga, o pierwszeństwo w napiętnowaniu ubiega się *Druga młodość* (produkcja *Feniks*, scenariusz — Stern, reżyseria — Misza Waksberg, muzyka — Wars). Chybiony ten film trafia szczęśliwie na zdrową reakcję publiczności, której sympatię dla bohaterki na próżno chce pozyskać scenarzysta i reżyser. Kiedy podstarzała kochanka naiwnego chłopca powraca do domu zniszczona niefortunną miłością, cierpieniami i wiekiem, nikt się nie wzrusza i nie współczuje zawiedzionej. Widzowie zdają się sobie mówić: dobrze starej babie, której się chciało latać za młodymi. Wolała smarkacza niż męża i dzieci — ma za swoje!

W tego typu dramacie, co *Druga młodość* nie może obejść się bez sceny na moście Kierbedzia, patrzenia w ponurą toń wody, bez omdleń z głodu, niepoznawania przez dzieci itp. tradycyjnych na wszystkich kiczach upokorzeń tzw. kobiety upadłej. Reżyser Waszyński zgromadził je starannie.

Stosunkowo najlepiej z przykrej trójki przedstawia się *Prawo do szczęścia* (ta sama spółka autorska co w *Drugiej młodości*). Powieść Mostowicza nieco podciągnęła poziom filmu, finał ma przynajmniej morał pozytywny, kilka ról zagranych jest z sensem (L. Wysocka), choć i tu akcja porwana, niepowiązana, rozbija napięcie dramatyczne, a treść nie może się obejść bez komicznie namiętnych objęć kochanków i samobójstwa w falach morza, zupełnie w stylu patetyczno płaczliwych zakończeń *Wrzosu* i *Gehenny*.

Skupienie wad, skupienie przykrych motywów w omawianych trzech filmach nie jest przypadkowe. Wszędzie jako scenarzysta figuruje Stern, jako reżyser Waksberg-Waszyński. Wszędzie też ludzie, należący do pewnej elity towarzyskiej (wielcy przemysłowcy, ziemianie, naukowiec) żyją jakby w jakimś innym, nieprawdopodobnym świecie i zachowują się według dziwacznego kodeksu towarzyskiego.

Obyczaj towarzyski polskich filmów od dawna budził zaniepokojenie. Starano się go tłumaczyć, jako „scenę komiczną". Tymczasem wystarczyły trzy filmy Waszyńskiego, aby zobaczyć jasno, gdzie leży instancja decydująca o *savoir vivre* polskiego *high-life'u*. To po prostu pan Stern i pan Waksberg, to po prostu wspomniana już rozmówka z *Królowej Śnieżki*: „A jak niedobry, to co?"

Pod jej znakiem odbywa się konwersacja salonowa w *Drugiej młodości* i w *Prawie do szczęścia*. Mężczyźni zachowują się jak tani donżuani i impertynenci, wśród kobiet *genre* kokoty przeprzeplata się z *genre'm* straganiarki w klejnotach. Bohater *Prawa do szczęścia* podczas przyjęcia używa w rozmowie z dopiero co poznanym człowiekiem określeń „idiota" i „żarcie", w *Drugiej młodości* matka narzeczonej obgaduje podczas uroczystości zaręczynowej matkę narzeczonego — i odwrotnie, a goście otaczający plotkarki biją ciche brawo i śmieją się z entuzjazmem. Mąż urządza przy synach scenę małżeńską żonie, która to znów żona zwierza się szybko synkowi z pozamałżeńskiego stosunku. Czy są to sytuacje do pomyślenia w polskim domu! Czy to jest n a s z obyczaj towarzyski, n a s z e zasady szacunku i grzeczności?

Jaśniejszym nieco punktem jest komedia *Paweł i Gaweł*, wyświetlana bez przerwy od 15 w r z e ś n i a w kinie „Victoria". Historyjka dość błazeńska, ale grana w dobrym tempie, chwilami dość zabawna i mająca sympatyczny walor w osobie Grossówny. Do filmów zaś przeciętnych, lecz w ramach swej przeciętności, udanych, trzeba zaliczyć *Profesora Wilczura*. Prawdopodobnie, sądząc po dochodzących wieściach o sukcesach prowincjonalnych, będzie to najbardziej kasowy krajowy film bieżącego sezonu. Nie będzie to rezultat najgorszy, ponieważ *Profesor Wilczur* ma wyraźnie postawioną zasadę obowiązku, wierności ideałom zawodu lekarza, poświęcenia dla bliźnich. Zagrano zaś *Wilczura* niemal zupełnie poprawnie: na czoło wysuwa się kreacja Junoszy-Stępowskiego w roli tytułowej i Woszczerowicza w roli Jemioła. Jest kilka banałów, całość jednak zmontowano sprawnie i tym razem spółce Waszyński-Stern (o p a r c i e o M o s t o w i c z a!) udało się zrealizować film dobrze spełniający zadanie popularnej rozrywki.

Podobnie jak w poprzednim numerze *Przeglądu* omówienie repertuaru zakończymy krótkim poradnikiem. A zatem — t r z e b a zobaczyć: *Królewna Śnieżka*, w a r t o — *Marco Polo, Złotowłosa*, m o ż n a — *Profesor Wilczur, Słowiczek, Biały Motyl, Porzucona, Josette, Paweł i Gaweł*, n i e w a r t o i n i e n a l e ż y — *Krzyk ulicy, Druga młodość, Prawo do szczęścia, Gehenna*.

Raz jeszcze wypada powrócić do sprawy *Biennale*, omawianej w poprzednim numerze *Przeglądu*, a rozwiniętej w czasie, gdy delegat Polski na konkurs wenecki, R. Ordyński, przebywał w Paryżu, gdzie stale mieszka. Przybywszy do Warszawy z okazji zjazdu *Fipresci* p. Ordyński zaznacza, że nie występował przeciw nagrodzie dla niemieckiego filmu o Olimpiadzie i dla filmu wło-

skiego — *Luziano Serra,* a jedynie proponował, by filmy te, jako mające specjalny charakter i powstałe w specjalnych warunkach (reportaż dokumentarny z Olimpiady i film oparty na dokumentarnych zdjęciach z wojny włosko-abisyńskiej) wyróżnić największymi odznaczeniami poza konkursem. Wobec tego, jego polityki na *Biennale* nie można uważać za mogącą odbić się na szansach polskiego filmu *Geniusz sceny.* Zdaniem R. Ordyńskiego, wśród mocnej konkurencji sytuacja naszego filmu mogła być trudna i wobec tego najlepsze wyjście widział w sugerowaniu nagrodzenia bezsprzecznego waloru *Geniusza sceny,* jakim jest gra znakomitego Ludwika Solskiego. Taką nagrodę film polski otrzymał, co p. Ordyński uważa za najlepszy rezultat, który dało się w tych warunkach uzyskać.

Wśród tych pokonkursowych wyjaśnień znalazło się słowo *Fipresci,* nieznane szerszemu ogółowi. Jest to popularny skrót czterech wyrazów *Fédération Internationale de la Presse Cinématographique,* będących nazwą międzynarodowej organizacji, skupiającej ludzi pióra, piszących o filmie. Na terenie Polski, w szczególności Warszawy, działa, jako członek *Fipresci,* Związek Dziennikarzy i Publicystów Filmowych. W określonych odstępach czasu odbywają się Kongresy *Fipresci,* dostępne dla wszystkich jej indywidualnych członków, między zaś kongresami obradują sesje Komitetu Wykonawczego Federacji, na które wysyłają swych delegatów poszczególne związki zrzeszone w F. I. P. C.

Taki właśnie zjazd Komitetu Wykonawczego gościł w Warszawie w dn. 17—19 października br. polski związek. Delegaci związków zagranicznych z najliczniej obsadzonymi delegacjami: francuską, niemiecką i włoską na czele, przybyli do Warszawy przeważnie już w niedzielę, 16 paźdz. przy czym ci, którzy przyjechali rano, byli podejmowani śniadaniem przez delegata polskiego A. Ruszkowskiego. Nazajutrz, tj. w poniedziałek, rozpoczął się program oficjalny, na który złożyło się śniadanie, wydane przez prez. m. Warszawy, p. Starzyńskiego, w pałacu Blanka, zwiedzanie miasta, oraz obrady popołudniowe, zakończone obiadem w salonach Hotelu Europejskiego, wydanym przez Radę Naczelną Przemysłu Filmowego w Polsce. O godz. 23 odbył się w „Palladium" specjalny retrospektywny pokaz filmu polskiego i pokaz zdjęć aktualności, nadesłanych przez członków *Fipresci.* Po pokazie goście zagraniczni uczestniczyli w zabawie tanecznej, jaka odbyła się z udziałem polskich gwiazd filmowych.

Następnego dnia, 18 paźdz., ranek i popołudnie wypełniły obrady, o godz. 13 goście byli podejmowani śniadaniem przez PAT'a, wieczorem zaś obiadem przez polski Zw. Dzien. i Publ. Filmowych. Po obiedzie, w laboratorium „Falanga" pokazano uczestnikom zjazdu kilka polskich filmów, po czym o północy odszedł pociąg, wiozący gości do Krakowa w celu złożenia hołdu

u trumny marszałka Piłsudskiego i zwiedzenia stolicy królów polskich.

Treścią obrad była głównie niezależność publicystyczna prasy filmowej — w jej obronie zaproponowano szereg rygorów organizacyjnych. Kongres *Fipresci,* po rezygnacji delegacji niemieckiej z przypadającego jej w r. 1939 prawa pierwszeństwa, postanowiono odbyć w lecie w Rzymie.

Organizacją Zjazdu Komitetu Wykonawczego F. I. P. C. Związek Dzien. i Publ. Film. położył niewątpliwie zasługę dla polskiego filmu, dobrze spełniając zadanie propagandowe.

Zdzisław Broncel.

Interesująca ankieta o kongresach naukowych.

Kongresy naukowe są względnie jeszcze świeżej daty, za najstarszy bowiem kongres naukowy uważany jest zjazd, zwołany przez wybitnego chemika H. A. Gosse w Szwajcarii w r. 1815. Dawniejsze wieki znały tylko zjazdy i kongresy polityczne i religijne. Współpraca uczonych odbywała się najpierw na uniwersytetach, które przez długie wieki zachowały charakter mniej lub więcej międzynarodowy i dopuszczały, zarówno na katedry jak do ław, uczonych i młodzież innych narodów. Za zawiązek dzisiejszych kongresów naukowych można by uważać przygodne, czy nawet periodyczne zjazdy członków przeróżnych akademij i towarzystw naukowych lub literackich, jakie powstały w XVIII w. Akademie te miały w swoim gronie zarówno członków krajowych jak i zagranicznych, którzy od czasu do czasu zjeżdżali do siedziby akademii, by wziąć udział w jej zebraniach. W pierwszej połowie XIX w. kongresy naukowe są jeszcze bardzo rzadkie; w niektórych krajach, jak np. w Italii, oprócz celu naukowego miały także charakter demonstracji polityczno - narodowej.

Bardzo ważnym czynnikiem w rozwoju współpracy naukowej stały się wszystkie ułatwienia komunikacyjne, zbliżające kraje i kontynenty do siebie. Na ostatnie lata w. XIX i pierwsze XX przypada okres licznych kongresów naukowych ze wszystkich dziedzin wiedzy; wtedy powstają również pierwsze związki, względnie stałe komitety krajowe i międzynarodowe, powołane dla podtrzymywania i organizowania współpracy naukowej.

Wojna światowa przerwała na lat kilka wszelką współpracę naukową. Po jej ukończeniu za to, jakby dla wyrównania strat kulturalnych, poniesionych przez wojnę i przez zerwanie stosunków wzajemnych, nasilenie odbywania wszelakich kongresów i zjazdów wzrosło niepomiernie. Skracano okresy czasu, dzielące poszczególne kongresy, rozbijano poszczególne dziedziny wiedzy na grupy specjalne, dla których zwoływano osobne zjazdy, wzra-

stała liczba uczestników i wygłaszanych referatów, rozbudowano wreszcie do nieznanych przedtem rozmiarów stronę towarzyską, turystyczną i propagandową kongresów.

Wnet jednak przyszło przesycenie i reakcja, niejednokrotnie u poszczególnych uczonych przerzucająca się w drugą ostateczność. Redakcja pisma międzynarodowego *Organon,* wydawanego przez Instytut Kasy Mianowskiego w Polsce, pod redakcją Stanisława Michalskiego, a poświęconego sprawom organizacji nauki i zagadnieniom epistemologicznym, rozpisała w kwietniu 1937 r. wśród uczonych polskich i zagranicznych ankietę na temat kongresów naukowych. Pytania były następujące:

1) czy kongresy naukowe są pożyteczne dla nauki, czy przyczyniają się do jej postępu i czy te korzyści są proporcjonalne do wyłożonych dla ich organizacji wysiłków i kosztów;

2) w razie pozytywnej odpowiedzi, czy należy uznać za pożyteczniejsze kongresy o charakterze ogólnym, na które dopuszcza się bez żadnego ograniczenia referaty z całego zakresu danej wiedzy, czy też kongresy o charakterze specjalnym, nieliczne, ograniczone do specjalnych tylko zagadnień;

3) czy pożyteczniejsze są kongresy, na których dopuszcza się tylko tematy uprzednio ustalone przez komitet i do ich opracowania zaprasza się referentów, czy też przyjmuje się wszystkie referaty zgłoszone, z tym jednym zastrzeżeniem, że stoją na odpowiednim poziomie naukowym;

4) czy należy drukować i rozsyłać referaty przed kongresem jego przyszłym uczestnikom, by w ten sposób przygotować dyskusję;

5) jaką należy obrać formę organizacyjną kongresów, by ograniczyć do minimum czynniki poza naukowe; jakimi zasadami kierować się przy rozdzielaniu referatów pomiędzy różne centra naukowe, oraz w rozdzielaniu referatów na posiedzenia plenarne i sekcyjne, w wyborze prezydium itd.;

6) jakie starania poruczyć stałym komitetom czy organizacjom, mającym przygotowywać kongresy;

7) który z kongresów uważa Pan za najlepiej zorganizowany i dlaczego?

Odpowiedzi nadesłało 64 uczonych, przedstawicieli wszystkich dziedzin wiedzy, a w tym Polaków 39, cudzoziemców 25, przyrodników, matematyków i lekarzy 27, przedstawicieli nauk humanistycznych 37.

Wszystkie odpowiedzi dadzą się podzielić na trzy grupy: a) zdecydowanych przeciwników kongresów, b) entuzjastów, i c) umiarkowanych, uznających zasadniczo wartość naukowych zjazdów, wysuwających jednak postulaty wprowadzenia zmian w system ich organizowania.

Pierwsza i druga grupa jest bardzo nieliczna, trzecia natomiast obejmuje większość głosów.

1. Grupa zajmujących stanowisko negatywne uznaje kongresy za niepożyteczne, nie przynoszące żadnej korzyści naukowej, lub tak małą, że osiągnięte wyniki nie stoją w żadnej proporcji do włożonych kosztów i trudów. J. Lhermitte (Paryż, medycyna) utrzymuje, że dla podtrzymania i rozwoju współpracy międzynarodowej uczonych należy wymyśleć inne sposoby, niż kongresy. Za jedyną korzyść zjazdu uważa bezpośrednie zetknięcie się i zapoznanie wzajemne uczonych, oraz wymianę poglądów, która bywa interesująca. Ponieważ jednak przewiduje, że kongresy będą w przyszłości dalej zwoływane, przeto radby widzieć dla ratowania ich celowości znaczne ograniczenie poruszanych tematów do tematów specjalnych; o referaty należy z góry prosić, uprzednio je drukować i rozsyłać przed kongresem, celem przygotowania dyskusji. K. Orzechowski (Warszawa, medycyna) uważa kongresy naukowe jako absolutnie niepożyteczne dla postępu nauki, w przeciwieństwie do kongresów krajowych, które mogą przynosić rzetelne korzyści, zwłaszcza jeśli gromadzą tylko nieliczne grona specjalistów, lub poruszają w szerszym gronie zagadnienia ważne i interesujące adeptów dziedzin wiedzy zbliżonych do siebie. Najbardziej skrajne stanowisko zajmuje J. Kochanowski (Warszawa, historia). Nauka jest wolna, nie może podlegać żadnej organizacji z góry narzuconej, kongresy są zupełnie bezwartościowe, winny być zastąpione przez urządzanie ankiet naukowych i przez ułatwienie wyjazdów, oraz studiów zagranicznych. Jako pewne *malum necessarium* skłonny byłby przyznać rację bytu kongresom specjalistów, o nielicznych uczestnikach; zagadnienia, które mają być poruszane, należy na kilka lat wcześniej ustalać, a dopiero po ich przygotowaniu i dojrzeniu zwoływać kongres; drukować należy uprzednio tylko tezy do dyskusji, a nie całe referaty. Podobnie skrajne stanowisko zajmuje St. Stasiak (Lwów, filologia indyjska); jedyną — według niego — korzyścią kongresu jest propaganda kraju, w którym kongres obraduje, propaganda, stojąca często w sprzeczności z korzyściami naukowymi. Jeśli zaś mają istnieć, to tylko kongresy wolne, przyjmujące wszystkich uczonych i wszystkie przez nich zgłoszone referaty, których nie powinno się drukować, ponieważ uczeni aż do momentu wygłoszenia pracują myślowo i twórczo nad obranym tematem.

2. Grupę entuzjastów stanowią przeważnie przyrodnicy, Kongresy naukowe, narodowe i międzynarodowe, uważają za jeden z najważniejszych środków współpracy i postępu nauki, nie widzą żadnych niedomagań i braków w systemie zwoływania i obradowania kongresów. P. Sergescu (Cluj, Rumunia, geometria analit.) uważa, że charakterystyczną cechą współczesnej pracy naukowej jest jej zbiorowość (kolektywność) i dlatego kongresy muszą odgrywać tak ważną rolę w organizowaniu pracy zbiorowej. Inni znowu przyrodnicy podnoszą nieocenioną wprost war-

tość, jaką mają urządzane w ramach kongresu doświadczenia, pokazy, wystawy, zwiedzanie instytutów badawczych, fabryk, szpitali itd.; uczeni naocznie zaznajamiają się z nowymi metodami badania, z nowymi przyrządami i wynalazkami.

Najbardziej wyczerpujący opis w czasopiśmie naukowym nigdy nie zastąpi autopsji i bezpośredniego uczestnictwa w doświadczeniu. Jeżeli z bezpośrednim uczestniczeniem w doświadczeniach i zwiedzaniu instytucyj itd. złączy się dyskusja, otrzymuje się w ostatecznym wyniku środek postępu naukowego o kapitalnej wprost i niezastąpionej wartości. H. von Eggeling (Wrocław, anatomia) uważa kongresy za konieczne, ponieważ nie ma innej lepszej formy współpracy między uczonymi. Wszystkie włożone koszta i trudy będą zawsze nieproporcjonalnie niskie wobec uzyskanych korzyści.

3. Trzecią, najliczniejszą grupę, stanowią zwolennicy kongresów, ale umiarkowani, krytyczni, dostrzegający wielkie nawet wartości zjazdów przy różnych brakach; domagają się przeto reformy.

Kilku uczestników ankiety stwierdza, że nie posiadamy obiektywnego kryterium do rozsądzenia, czy kongresy naukowe przynoszą rzeczywiste korzyści dla postępu nauki, że raczej trzeba mówić o korzyściach subiektywnych uczestników kongresu. Korzyści tych nie da się oczywiście nigdy zmierzyć, ustalić statystycznie. Że one jednak są, nie ulega żadnej wątpliwości, i choćby nawet korzyści tych nie było, względnie choćby się nie dało ustalić, czy one są proporcjonalne do włożonych trudów i kosztów, to jednak wszelkie korzyści tak bezpośrednio i pośrednio naukowe, jak uboczne są tak wielkie, że kongresy należy urządzać. Wszyscy stwierdzają mniej lub więcej wyraźnie, że nie istnieje żaden inny, równie skuteczny środek współpracy międzynarodowej. Ani książki, ani czasopisma nie zastąpią bezpośredniego zetknięcia się specjalistów, wzajemnej wymiany myśli, poglądów, pomysłów, tej rewii osiągniętych wyników, zdobyczy i wynalazków. Chociaż na zjazdach naukowych nie bada się, nie tworzy, to jednak przyczyniają się one do postępu nauki (mniejsza o to, czy bezpośrednio czy pośrednio; o wyrażenie nie ma się co sprzeczać). Korzyści, płynące z kongresów, dałyby się na podstawie wypowiedzeń ująć w następujące grupy: 1) bezpośrednie zetknięcie się uczonych, zapoznanie wzajemne, wymiana poglądów, pomysłów, dyskusja ważnych zagadnień; 2) zapoznanie się ze stanem badań, z wynalazkami i z potrzebami danej dziedziny wiedzy, z metodami pracy itd.; 3) organizacja współpracy uczonych, tak narodowa, jak i międzynarodowa, inicjatywa i przygotowanie przeróżnych dzieł, często na wielką zakrojonych miarę, które nigdy nie mogłyby być wykonane ani siłami poszczególnych uczonych, ani siłami uczonych jednego narodu. Niektórzy

uczeni, zwłaszcza przyrodnicy, przytaczają przykłady dzieł, które zostały dokonane dzięki inicjatywie kongresów.

Jeśli idzie o braki i niedomagania obecnego systemu obradowania, to opinie i zdania są dosyć podzielone, a częściowo i sprzeczne. Wszyscy zgodnie przyznają, że dobrze i właściwie przygotowany i zorganizowany kongres zawsze będzie pożyteczny, różnią się atoli w określaniu warunków dobrej organizacji. Istnieje jednak jedna, najliczniejsza grupa (ponad 25% głosów), która za główne niedomaganie uważa zbyt wielką liczbę referatów, zgłaszanych swobodnie i bez ograniczenia przez uczestników, a po wtóre zbytnią już nie tylko liczebność, ale wprost masowość wielkich kongresów. Przeładowanie i tłum, oto dwie najważniejsze bolączki kongresów. Międzynarodowe kongresy nauk historycznych są tego najlepszym dowodem. Kilkanaście sekcyj, obradujących równocześnie, setki referatów o wszystkich możliwych zagadnieniach, krótki czas przeznaczony na dyskusję — wszystko to razem zamienia kongres na młyn czy młockarnię, z której uczestnicy wychodzą na pół żywi, o ile oczywiście biorą swoje uczestnictwo na serio.

Jako środki zaradcze proponuje najliczniejsza grupa uczonych zniesienie swobodnego nadsyłania referatów przez uczestników. Komitet organizacyjny kongresu winien zawczasu obmyśleć zasadnicze zagadnienia, które miałyby być poruszane na najbliższym zjeździe, rozłożyć je na poszczególne tematy i zaprosić wybranych referentów do ich opracowania, względnie rozłożyć między koła narodowe i regionalne, by one same postarały się o opracowanie przyjętych tematów.

Kilkunastu uczonych domaga się również ograniczenia w ogóle liczby uczestników, druga zaś grupa, licząca także około 12 odpowiedzi, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że ograniczenie liczby uczestników, jako *odiosum*, jest niełatwe, oświadcza się za zjazdami wyłącznie tylko specjalistów jednego drobnego odcinka wiedzy, a przeciw kongresom ogólnym, obejmującym wielką dziedzinę wiedzy. W gronie nielicznym pracuje się łatwiej i z większą korzyścią, a jedna wspólna wszystkim uczestnikom specjalność ułatwia rzecz najważniejszą na kongresach: dyskusję.

Pięć głosów oświadczyło się jednak raczej za kongresami ogólnymi, o szerokim zakresie tematów. St. Gąsiorowski (Kraków, archeologia) nie bez racji motywuje to stanowisko tym, że zamknięcie się w swej specjalności nie jest korzystne, nauki pokrewne są ze sobą związane, wzajemnie się warunkują i uzupełniają.

Warto dla uzupełnienia zanotować głosy odrębne, mające nielicznych już tylko zwolenników. Za zupełną swobodą tematów, referentów i uczestników oświadczyło się 6 głosów. M. Lheritier (Paryż, historia), generalny sekretarz Międzynarodowego komitetu nauk historycznych, nie boi się licznych referatów, mnogość re-

feratów świadczy o żywotności nauki i kongresu. *Nous sommes,* stwierdza z całą otwartością, *pour le loi de l'offre, autrement dit, pour le maximum de liberté* (str. 194). Nawiasem dodajemy, że echa tego skrajnego poglądu widzimy w organizacji ostatnich dwu kongresów międzynarodowych nauk historycznych, a zwłaszcza ostatniego zuryskiego. — Jeden głos zaleca zapraszać uczonych do wygłoszenia referatu, zostawiając im wybór tematu, inny znowu odwrotnie radzi tematy z góry precyzować, opracowanie zaś oddawać zgłaszającym się na ochotnika.

Trzy głosy oświadczyły się za specjalizacją kongresów międzynarodowych, a w ogólnym charakterze narodowych. Na kongresach narodowych praca i dyskusja jest wskazana w liczniejszym gronie przedstawicieli pokrewnych nauk, na międzynarodowych zaś korzystniej pracuje się w zamkniętych kółkach specjalistów, bez dodatkowego ceremoniału, bez uroczystości, przyjęć, hałasu i gwaru. Siedem głosów oświadczyło się wreszcie za rozwiązaniem pośrednim, tj. za dopuszczeniem pewnej liczby referatów zgłoszonych swobodnie przez uczestników, przy równoczesnym postaraniu się o referaty na tematy o doniosłym znaczeniu, z góry ustalone przez komitet organizacyjny i opracowane przez zaproszonych referentów.

Znaczna większość głosów, bo ponad 50%, jako lekarstwo na niedomagania współczesnych zjazdów naukowych, zaleca oprócz ograniczenia wolności nadsyłanych referatów na dowolne tematy, przygotowanie dyskusji. Najskuteczniej przyczyni się do tego drukowanie wcześniejsze referatów, lub przynajmniej ich skrótów; pozwoli to uczestnikom zorientować się w materiale naukowym, mającym być przedstawionym kongresowi, oraz przygotować się do ewentualnej dyskusji. Wcześniejsze drukowanie referatów *in extenso* upraszcza same obrady, ponieważ czyni zbytecznym odczytywanie referatów; prelegenci podają w kilku- czy najwyżej kilkunasto-minutowym komunikacie treść swego referatu, jako podstawę do mającej się rozwinąć dyskusji.

Dziesięć głosów, a między nimi i piszący te słowa, domaga się formalnego przygotowania dyskusji, przez organizowanie specjalnych posiedzeń, nad z góry przewidzianymi, a ważnymi zagadnieniami; dla tych posiedzeń nie tylko z góry ustala się tematy i referentów, lecz także koreferentów, a nawet mających zabierać głos w dyskusji. Takie posiedzenia mają wielką, niezastąpioną wartość; 3 lub 4 takie posiedzenia dyskusyjne opłacają wszelkie koszta i wysiłki, włożone w organizację kongresu i przynoszą bezpośredni pożytek dla rozwoju danej dziedziny wiedzy. Jasną jest rzeczą, że przygotowanie takich posiedzeń nie jest łatwe, jak nie łatwe, a przynajmniej mało wdzięczne jest ograniczanie liczby uczestników, proszenie o referaty, niedopuszczanie nadsyłanych referatów, skuteczna obrona przed grafomanami lub pedantami, którzy są istną klęską wszystkich kongresów. Te

wszystkie trudności warto jednak pokonać dla dobra ogólnego.

Pytania, dotyczące roli komitetów urządzających zjazdy, zasad rozdzielania referatów, oraz sprawa ograniczenia czynników poza naukowych — w odpowiedziach zostały albo zupełnie pominięte milczeniem, albo potraktowane bardzo ogólnikowo. Podobnie pominięto w ogromnej większości pytanie 7-me. Tak to, jak i poprzednie dwa, uznano za delikatne, drażliwe, nie nadające się do publicznego traktowania. Często spotykamy wyrażenia: *je m'abstiens de répondre à cette question,* — ad 5), 6), 7) *il m'est impossible, actuellement, de donner une réponse décisive, — je préfère ne pas donner de réponse catégorique à cette question, — il ne me semble pas que l'on puisse trouver une solution idéale à la question.., ce choix dépend uniquement du tact et de la justesse de décision des organisateurs, d'ou je me permets de conclure que le comité d'organisation devrait être choisi avec soin,* etc.

Mniej liczne wypowiedzenia w sprawie trzech ostatnich pytań naprawdę nie wnoszą poza ogólnikami nic nowego i bardziej interesującego, czym warto by zajmować czytelnika i co by mogło służyć organizatorom przyszłych zjazdów jako wskazówki.

Reasumując wyniki ankiety, dochodzimy do następujących wniosków:

1) znaczna większość głosów, przyznając w zasadzie, że kongresy są pożyteczne dla rozwoju nauki i że korzyści, jakie przynoszą, nie dadzą się zastąpić innymi formami współpracy, domaga się odpowiedniej ich organizacji, odpowiedniego przygotowania i reform.

2) Jako najważniejsze niedomagania wymienia się zbytnią liczbę sekcyj i referatów, wygłaszanych na posiedzeniach ogólnych i sekcyjnych, dalej wielką dowolność i przypadkowość tematów, wreszcie zbytnią mnogość uczestników. Niedomagań tych nie doznają kongresy nauk specjalnych, liczących w ogóle niewielu adeptów, a tym samym nie potrzebujących się uskarżać na nadmiar referatów zgłaszanych i nadmiar uczestników.

3) Jako konieczny postulat wysuwa znaczna większość, jeśli nie zupełne zniesienie, to przynajmniej znaczne ograniczenie swobody nadsyłania referatów i pewne ograniczenie liczby uczestników. Komitety, urządzające zjazdy naukowe, winny zawczasu obmyślać tematy i zagadnienia, jakie mają być omówione na najbliższym zjeździe; opracowanie tych tematów poruczane będzie wybranym referentom. Tematy wolne nie będą albo w ogóle przyjmowane, albo w bardzo ograniczonym stopniu. Te same komitety winny przygotowywać przyszłą dyskusję, zarówno przez wcześniejsze drukowanie referatów, względnie ich streszczeń, jak i przez przygotowanie bardzo dokładne i troskliwe kilku przynajmniej specjalnych posiedzeń dyskusyjnych.

4) Co do większej czy mniejszej pożyteczności kongresów międzynarodowych i narodowych, oraz ogólnych czy specjalnych, zdania są tak podzielone i tak rozbite, że wyciąganie jakichkolwiek wniosków praktycznych jest niemożliwe. To samo powiedzieć trzeba o odpowiedziach na trzy ostatnie pytania.

Czy ta interesująca ankieta będzie miała jakiś praktyczny wpływ na organizacje przyszłych kongresów, trudno przewidzieć. Oczywiście należy sobie gorąco życzyć, by rzeczywiście nie była daremna. Można ufać, że gdyby jej wyniki były znane nieco wcześniej, to organizacja ostatniego Kongresu Nauk Historycznych w Zurychu byłaby może przybrała nieco inne formy. Nie mamy tutaj na myśli organizacji zewnętrznej, porządkowo-turystycznej, ale organizację wewnętrzną, czyli dobór zagadnień i tematów. Ostatni ten kongres należy uznać za cofnięcie się wstecz, a nie za postęp w porównaniu z Kongresem warszawskim. Zasada dowolności i przypadkowości święciła triumfy. Część referatów ogniskowała się około dziejów Szwajcarii i jej stosunków z innymi narodami, chociaż i tutaj było dużo przypadkowości, większość zaś tematów nosiła cechy zupełnej dowolności. Komitet nie dołożył trudu zorganizowania choćby kilku posiedzeń na tematy ważne, podstawowe, czy z zakresu metody historycznej, czy z zakresu specjalnych zagadnień, obchodzących żywo historyków, a oni sami również posyłali raczej to, co w danej chwili mieli pod ręką, a nie to co należało specjalnie dla kongresu przygotować. Dzieje Szwajcarii, w której kongres obradował, są tak interesujące, że jako owoc powinna była nauka historyczna otrzymać kilka cennych monografij, dotyczących Szwajcarii i jej stosunków z innymi narodami [1]). Wystarczy zwrócić uwagę, że Szwajcaria to kraj, w którym trzy narodowości nawet w wieku skrajnych nacjonalizmów żyją w zgodzie, to kraj doskonałej demokracji w okresie totalizmów, to ojczyzna kalwinizmu, który we wszystkich narodach Europy zdobył sobie licznych zwolenników, to ojczyzna wybitnych pedagogów i reformatorów wychowania. Ileż tu możliwości do zorganizowania pożytecznych i wartościowych obrad. Niestety, możliwości te zostały tylko w bardzo skromnej mierze zrealizowane. Wolno nam ufać, że zarówno wyniki omówionej ankiety, jak głosy krytyki, które się podnoszą, wpłyną na metody organizowania przyszłych kongresów.

---

[1]) Księga, wydana przez historyków polskich, stanowi chlubny wyjątek.

Ks. Stanisław Bednarski T. J.

Pierwszy Ogólnopolski Kongres Dziecka.

W historycznym, radosnym dla Polski dniu rozpoczął swe obrady „Pierwszy Ogólnopolski Kongres Dziecka". Kiedy nadchodziła godzina 14, w niedzielę 2 października, i inauguracyjne posiedzenie zamykało swe obrady, mógł przewodniczący, wśród niemilknących oklasków sali, zawołać: W tej chwili wojska nasze wkraczają na Ziemię Cieszyńską! Witając to pamiętne zdarzenie, powitał Kongres osobnym telegramem także nowy zastęp dzieci, synów i córek zahartowanych w boju o polskość mieszkańców Śląska zaolzańskiego; zastęp, który miał zasilić potężną już armię dzieci (do lat 14-u), stanowiącą trzecią część ludności Polski: okrągło 12 milionów na ogólną liczbę 34·5 miliona mieszkańców.

Nie wszyscy u nas doceniają znaczenie tej młodej armii. Niektórzy woleliby ją widzieć mniejszą; jedni twierdzą, że wtedy łatwiej byłoby znaleźć miejsce w szkołach, inni, że mniej byłoby nędzy, że podniósłby się ogólny dobrobyt, że nie byłoby bezrobocia itd. Z poglądami takimi spotykamy się nie tylko wśród sfer robotniczych, bałamuconych przez agitatorów, kierujących się różnymi pobudkami i celami; podzielają je również niektórzy ludzie wykształceni, lecz nie umiejący wyjść poza ciasny krąg swego resortu, grzeszący nieznajomością praw demograficznych, niezdolni do patrzenia w przyszłość i wyciągania wniosków z cudzych doświadczeń.

Stwierdzając pomyślny stan liczbowy naszego młodego pokolenia, nie możemy jednak zamykać oczu na inną prawdę, że wielu z tych dzieci nie dzieje się dobrze. Nie wszystkie są mile widziane, nie wszystkie otrzymują należytą opiekę i wychowanie. Sporo ich żyje w zaniedbaniu i nędzy, nie mają możności kształcenia się, a jeśli skończą studia, nie znajdują posad. Wiele z nich jest chorych i marnuje się, bo nie ma możności leczenia. Część tych braków, wywołana trudnościami gospodarczymi, nie da się zaraz usunąć. Pozostałe mogą jednak zniknąć lub przynajmniej ulec znacznemu złagodzeniu, byle zajęły się nimi szczerze zarówno władze, jak całe społeczeństwo. To też w 20-lecie niepodległości kraju, po uporaniu się z innymi palącymi zagadnieniami, uznano, że nadszedł czas bliższego zajęcia się tą sprawą i zwołano na dzień 2 — 4 października b. r. pierwszy ogólnokrajowy Kongres Dziecka w Warszawie.

Inicjatywa ta wyszła od Stowarzyszenia Uczestników Walki o Szkołę Polską i spotkała się z poparciem zarówno władz państwowych, jak samorządów i różnych organizacyj społecznych, których ponad sto złączyło się z Komitetem zjazdu. Protektorat nad nim objął p. Prezydent Rzeczypospolitej, prof. I. Mościcki, a prezesem Komitetu Wykonawczego został gen. dr S. Hubicki, b. minister Opieki Społecznej. Jako przedstawiciel Rządu wziął udział obecny minister Op. Społ., M. Zyndram-Kościałkowski.

Organizatorzy Kongresu zdawali sobie sprawę z doniosłości sprawy, a z drugiej strony mogli się słusznie obawiać, by zjazd nie stał się wielką manifestacją, po której zostałby tylko potężny stos uchwał, podczas gdy dola dziecka toczyłaby się nadal starym torem. Z góry zakreślili mu dlatego ścisłe ramy, przekazując dalszy ciąg pracy i wykonanie uchwał osobnej instytucji. Kongres miał stanowić tylko punkt wypadowy; zadaniem jego było poruszyć opinię publiczną, zainteresować szerokie warstwy sprawą dziecka i uświadomić o obowiązku współdziałania. Pomimo udziału ludzi nauki nie był to więc kongres ściśle naukowy, lecz miał charakter praktyczny, życiowy. Nie był również przeznaczony do zajęcia się tylko dzieckiem biednym, opuszczonym, chorym, lecz dzieckiem w ogóle, od pierwszych chwil życia do lat 14-tu.

Program zakreślono więc szeroki. Kongres miał dać obraz obecnego stanu dziecka, pod względem fizycznym i duchowym, i to obraz wierny. Należało spojrzeć śmiało w oczy rzeczywistości, by poznać dolę i niedolę dziecka polskiego i zdecydować, co trzeba postanowić na przyszłość, zwłaszcza najbliższą. W związku z tym wyłoniły się dwie zasadnicze grupy zagadnień: 1) społeczeństwo starsze powinno zająć należyte stanowisko względem dziecka, w domu, w życiu publicznym i w ustawodawstwie; 2) dziecko ma prawo, by dbano o jego zdrowie, wykształcenie i wczasy. Rozbiorowi tych tematów poświęcono blisko 40 referatów, wygłoszonych częścią na zebraniach plenarnych, częścią w specjalnych komisjach. Komisyj tych było 6: dziecko i człowiek dorosły, dziecko w rodzinie, prawo dziecka do szkoły, jego zdrowie, prawo dziecka do zabawy i wczasy dziecięce, dziecko w polskim prawie rodzinnym; nadto odbyła się osobna konferencja w sprawie dziecka polskiego za granicą. Nowością, godną naśladowania, było umieszczenie w programie zebrań plenarnych po jednym referacie, dotyczącym przedmiotu poszczególnych komisyj.

Niepodobieństwem jest oczywiście dokładniejsze streszczenie na tym miejscu poruszonych na zjeździe zagadnień i przedłożonych faktów. Czytelników, interesujących się nimi, odsyłamy do obszerniejszego sprawozdania z kongresu, które ma się ukazać w niedługim czasie, a na razie ograniczymy się do zanotowania więcej uderzających szczegółów.

Zagadnienie s t o s u n k u c z ł o w i e k a d o r o s ł e g o d o d z i e c k a nie jest ani proste, ani łatwe do rozwiązania — mówił w swym interesującym referacie p. St. Dobrowolski. Mimo, że związek ich z natury jest silny, są to jednak dwa odmienne światy, między którymi odbywa się walka i raz zwycięża jedna, raz druga strona; w zależności zaś od tego bądź potrzeby dziecka biorą górę nad interesami dorosłych, bądź dzieje się odwrotnie. Na pytanie: jak przedstawia się ta sprawa w Polsce, trudno odpowiedzieć ogólnie, gdyż kontrasty są liczne i silne. Jesteśmy

szczęśliwym krajem, który ma bogaty i podatny materiał dziecięcy, ale warunki dzisiejsze są tego rodzaju, że żadna rodzina nie potrafi sama zabezpieczyć dziecka przed ujemnymi wpływami otoczenia; stąd konieczna jest współpraca wszystkich, tak jednostek jak organizacyj. Nikt nie powinien się od niej usuwać, lub ograniczać tylko do troski o własne dziecko, bo „wszystkie dzieci są nasze!"

Z dużym zainteresowaniem spotkała się na kongresie s p r a w a s z k o l n a, omawiana na osobnej komisji, na zebraniu zaś plenarnym przez p. H. Radlińską. „Dziecko ma prawo nie tylko do szkoły narodowej, ale i do szkoły dobrej". Dostęp zaś do niej powinno otrzymać każde, bo „mając prawo do szkoły, ma również prawo do wypełnienia obowiązku szkolnego, jako jedynego obowiązku w swoim wieku". Tymczasem możność ta nie jest dana ogromnej liczbie dzieci. Ciągle jeszcze ponad $^1/_2$ miliona jest pozbawione nauki; jednym przeszkadza brak szkół, drugim brak ubrania, pożywienia lub praca w domu. Temu stanowi rzeczy trzeba koniecznie zaradzić, zwłaszcza, że krzywda dziecka jest w tym wypadku także krzywdą narodu!

Zagadnieniem stosunkowo mniejszej wagi, ale w ostatnich latach coraz częściej wysuwanym, jest racjonalne wykorzystanie w c z a s ó w d z i e c k a, tj. jego chwil wolnych, poświęconych wypoczynkowi i rozrywce. Temat ten, interesujący zwłaszcza wychowawców i pedagogów, był przedmiotem specjalnej komisji, a w streszczeniu został podany na zebraniu ogólnym przez p. A. Walicką-Chmielewską. Nie jest bynajmniej obojętne, jak dziecko używa czasu wolnego, jakim podlega wtedy wpływom, czy odpoczywa rzeczywiście i czy ma warunki odpowiednie, tak w domu jak poza nim. Stąd potrzeba mu wtedy zarówno umiejętnej opieki i kierownictwa, jak i stosownego materiału i terenu do zabaw, o czym powinno się dziś pamiętać przy budowie domów i planach miast.

Licznie reprezentowany świat lekarski pozwolił poruszyć najważniejsze potrzeby, dotyczące z d r o w i a d z i e c k a. Referat ogólny wygłosił w tej materii prof. E. Godlewski, który przewodniczył następnie na obu posiedzeniach specjalnej komisji. To, co usłyszeliśmy, pokazuje, że braki na tym polu są olbrzymie i wszystko, co robi się obecnie, jest stanowczo niewystarczające. Mamy w kraju przypuszczalnie ponad 200 tys. dzieci chorych na gruźlicę; pomoc poradni jest tu niedostateczna, izolatoriów brak w ogóle, a o leczeniu tej masy trudno mówić, skoro ogólna liczba łóżek szpitalnych dla dzieci (na wszystkie choroby) nie dochodzi u nas do 5 tys.! Polska posiada obecnie zaledwie 14 szpitali i 5 klinik dziecięcych; w 7 województwach nie ma żadnego szpitala dla dzieci, a w 5 ani jednego łóżka, przeznaczonego specjalnie dla dzieci. Stąd mnóstwo ich nie leczy się z braku miejsca, kiedy indziej zaś miejsce jest, ale stoi puste, bo chory

nie ma czym zapłacić. Należy więc energicznie dążyć do poprawy tego stanu rzeczy i żądać większej pomocy państwa. Trzeba również odbiurokratyzować nasze „Ubezpieczenia": naprzód chory, a potem papiery, nie zaś odwrotnie! Sprawa jest nagląca, bo jeśli zdrowia nie będzie, to nie będzie szczęśliwe ani dziecko, ani rodzina, nie będzie „mocnej Polski"!

Tematem, który skupił na sobie uwagę wszystkich, było zagadnienie rodziny. Oprócz komisji poświęcono jej 2 referaty na zebraniu plenarnym, które wygłosili p. W. Szumanówna i p. J. Cz. Babicki. Myśli, poruszone przez tych ostatnich, są tego rodzaju, że nie możemy się powstrzymać od dokładniejszego ich przytoczenia. Referenci stali twardo w obronie rodziny, równocześnie jednak nie wahali się przedstawić z całym realizmem, jak konkretnie przedstawia się ta rzecz u nas w Polsce.

Twierdzi się zwykle, mówił p. Babicki, że dziecko wychowuje się dobrze w rodzinie, a źle poza nią. Jest to zasadniczo słuszne. Ci jednak, którzy pracują społecznie, wiedzą, że bywa także inaczej, że „żadna instytucja nie demoralizuje tak dziecka, jak może do tego doprowadzić jego własna rodzina". Są rodzice, którzy obchodzą się nieludzko z dziećmi, namawiają je do kradzieży, alkoholizmu, prostytucji, robią z nich przestępców i burzycieli porządku społecznego. Nie można więc bez poprawki przyjąć tezy, że rodzina jest najlepszą komórką wychowawczą, lecz, uwzględniając niezaprzeczoną siłę jej wpływu, który może się nawet oprzeć działaniu otoczenia, trzeba powiedzieć: „rodzina daje dziecku mocne i trwałe podstawy postępowania; żadna instytucja nie da dziecku lepszej opieki i lepiej nie wychowa, jak dobra rodzina".

Żeby rodzina w dzisiejszych stosunkach mogła być dobra, trzeba jej jednak dopomóc, stworzyć pomyślne dla niej warunki materialne (praca, płace odpowiednie, mieszkanie, opieka zdrowotna) i duchowe; trzeba popierać wszelkie moralne prądy w społeczeństwie, zwalczać nałogowy alkoholizm. Należy podnieść poziom opieki i wychowania dziecka w rodzinie, przez uświadomienie głębsze nie tylko matek, ale i ojców, „bo o tych ciągle zapominamy". Rodziny zaś niepoprawne, które zabijają dziecko moralnie, należy uznać za czynnik zła społecznego i pozbawić praw rodzicielskich. Z tymi zastrzeżeniami, kończył p. Babicki, możemy więc ustalić hasło: chrońmy dobrą rodzinę, jako najlepszą komórkę wychowawczą i stąd pierwszorzędny czynnik siły narodu i państwa!

Przemówieniem, które dało obraz przemian, jakim na szerszym terenie uległo zagadnienie dziecka w ciągu ostatnich dziesiątków lat, był końcowy referat p. W. Woytowicz-Grabińskiej. Dawniej interesowała się dzieckiem tylko rodzina, w obecnych warunkach nie jest ona jednak w stanie zaradzić wszystkim potrzebom i dlatego opieka nad dzieckiem przybiera coraz bardziej

charakter publiczny. Część obowiązków przejmuje państwo, część samorządy, szkoła i różne organizacje, nawet międzynarodowe; znalazło to swój wyraz w opiece społecznej i w ustawodawstwie. Stąd przedszkola, kolonie i półkolonie, dożywianie dzieci, opieka nad sierotami, nad dziećmi opuszczonymi i anormalnymi, walka z przestępczością nieletnich i sprawa dziecka nieślubnego. W ten sposób „wiek dziecka" stawia nas wobec głębokich zmian w ustosunkowaniu się społeczeństwa do dziecka i nakłada równocześnie na wszystkich poważny obowiązek interesowania się jego sprawą.

Odczytaniem wniosków, uchwalonych w komisjach, zakończono obrady Kongresu. Nie podajemy ich tu; są zbyt liczne i w chwili zamknięcia zjazdu nie były jeszcze zredagowane w swej ostatecznej formie. Można je zresztą łatwo odgadnąć, idą bowiem po myśli poruszonych wyżej zagadnień. Parę jednak spośród nich podajemy poniżej ze względu na szczegóły, które mogą interesować Czytelników i rzucają światło na charakter Kongresu.

Podkreślono więc bardzo silnie znaczenie poziomu moralnego rodziny i całego społeczeństwa, jako nieodzownego warunku należytego wychowania dziecka. Wychowanie to polecono oprzeć możliwie na środkach pozytywnych i prowadzić je w myśl zasad Chrystusa. Z osobnym apelem zwrócono się do prasy polskiej, by zredukowała jak najbardziej opisy zbrodni i nie zamieszczała powieści pornograficznych. Szczególniejszą opieką należy otoczyć liczne rodziny i zapewnić im w kraju stanowisko uprzywilejowane. Wykonywanie opieki społecznej nad dzieckiem powinno być takie, by nie osłabiało więzów rodzinnych. Odpowiednią opiekę, czynną i prawną, trzeba zapewnić dziecku pozbawionemu rodziny lub mającemu złych rodziców, opuszczonemu i nieślubnemu (sprawa tego ostatniego była przedmiotem osobnych narad, z okazji przygotowywania projektu prawa rodzinnego). Opieka lekarska nad dzieckiem, od poczęcia do 15-go roku życia, powinna być unormowana ustawowo, a w szkole powszechnej objąć wszystkie dzieci; w tej sprawie jak i w kwestii szkoły podkreślono konieczność większego niż dotąd zajęcia się dzieckiem wiejskim. Nie wolno też zapominać o polskim dziecku za granicą; należy dbać o polską szkołę dla niego, a ponieważ czynnik religijny odgrywa bardzo ważną rolę na emigracji, trzeba zapewnić jej dobrych księży Polaków.

Pierwszy Ogólnopolski Kongres Dziecka zakończył swe obrady, a uczestnicy rozjechali się na wszystkie krańce Rzeczypospolitej, by prowadzić dalej jego dzieło. Pozostała jeszcze, na przeciąg miesiąca, złączona z nim wystawa „Dziecko w Polsce" (ul. Nowogrodzka 74), urządzona przez osobny Zarząd, z dr M. Kacprzakiem na czele. Przeznaczona dla szerszych warstw, ilustruje za pomocą przedmiotów i obrazów, zaopatrzonych w krótkie hasła i zestawienia, całe życie dziecka i warunki jego

rozwoju, od poczęcia do lat 14. Nadto Ministerstwo Op. Społ., oraz szereg samorządów i organizacyj społecznych dały tu obraz swej działalności na polu troski o dziecko. Uderza tylko, że na wystawie nie widzieliśmy stoiska, które by zobrazowało tak bogatą przecież działalność Kościoła katolickiego i jego organizacyj, podczas gdy pomysłowo urządziły to żydowskie stowarzyszenie TOZ i Centos, a socjalistyczne Robotnicze T-stwo Przyjaciół Dzieci wystąpiło aż w dwóch miejscach. Nie wchodzimy w przyczyny tego faktu, ale sądzimy, że nie stało się dobrze, zwłaszcza, że ze strony przewodniczącego wystawy na pewno nie było żadnych trudności.

Czego możemy się spodziewać po Kongresie?

Zdołał on zebrać znaczne grono ludzi, znanych w kraju, a poza tym wielką liczbę osób spośród działaczów społecznych, nauczycielstwa i wychowawców, duchowieństwa i żeńskich zgromadzeń zakonnych, publicystów i przedstawicieli organizacyj społecznych. Olbrzymia sala Domu Katolickiego (ul. Nowogrodzka 49) była prawie pełna. Poziom obrad był różny, czemu nie można się dziwić. Nie wszyscy są obeznani z techniką kongresów; tym się tłumaczy nie mniej nie więcej tylko paręset wniosków, które wpłynęły do komisji wnioskodawczej, z postulatami o kilometrowych niekiedy rozmiarach. Ale zainteresowanie i zapał były naprawdę wielkie, o czym świadczył niesłabnący udział w obradach, mimo, że program był bardzo obfity.

Kongres nie był oczywiście żadnym ciałem ustawodawczym i nie ma egzekutywy. Ale moralne jego znaczenie jest duże. Po raz pierwszy w odrodzonej Polsce zebrali się przedstawiciele wszelkich stanów i klas społecznych, przekonań i wyznań, żeby zgodnie, łącznie z przedstawicielami władz, radzić nad dobrem dziecka. Ludzie ci będą zapewne prowadzili dalej rozpoczęte dzieło i szerzyli jego ideę wśród innych. W pracy tej znajdą zaś oparcie. Obecny Kongres był bowiem z góry obmyślany w ten sposób, że da początek instytucji stałej, która czuwać będzie nad sprawą dziecka w Polsce. Na razie takim organem stałym będzie Komitet organizacyjny ostatniego Kongresu, który będzie czynny aż do następnego zjazdu, jaki odbędzie się za dwa lata (biuro Komitetu: Warszawa, Koszykowa 19, m. 12 a). Spodziewać się więc należy, że kontakt z nim nawiążą wszystkie katolickie organizacje, zajmujące się w jakiejkolwiek formie dzieckiem. Obecny Kongres, choć udział brali w nim wszyscy, od lewicy do prawicy społecznej, wykazał w swym przebiegu i uchwałach zwycięstwo kierunku dobrego. Utrzymanie tego ducha i praca w tym kierunku wymagają więc, by katolicy wzięli czynny udział w dalszych pracach Komitetu.

Praca to zresztą piękna, tak ludzka i chrześcijańska, a przy tym konieczna ze względu na ogromne braki w tej dziedzinie, oraz znaczenie jej dla społeczeństwa i przyszłości kraju. Słusznie

powiedziano na Kongresie, że praca ta jest „zbiorową służbą Rzeczypospolitej przez troskę o dziecko, bo nie sposób nie dojrzeć w obliczu dzisiejszego dziecka — oblicza Polski jutra". W służbie tej nie powinno więc zabraknąć nikogo z tych, którzy mogą oddać jakąkolwiek usługę, a przede wszystkim katolików!

Organizatorzy Kongresu postawili sprawę trzeźwo. Nie chodziło im tylko o manifestację i nie sądzili, że zamykając zjazd, który cieszył się takim powodzeniem, dokonali wszystkiego. „Zaczynamy dopiero!" — wołał w końcowym przemówieniu gen. Hubicki. Kongres miał za zadanie tylko „zwrócić uwagę" społeczeństwa na zagadnienie dziecka w Polsce i powziąć odpowiednie uchwały. Obecnie przychodzi kolej na wykonanie ich. Nowopowstały centralny organ rozpocznie swą działalność i czeka na współpracę tych wszystkich, którym dobro dziecka i Ojczyzny leży na sercu.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 3 listopada 1938 r.

Po dwudziestu latach odrodzonej Polski.

Wawel i Jasna Góra były w wielu okresach przedrozbiorowej Polski tymi duchowymi szczytami, na których rzeźbiła się złotymi zgłoskami historia i dusza narodu. To stanowisko odzyskały w początkach 20-lecia odrodzonej Polski.

Jak w ogóle, przed wielkimi zdarzeniami powstają tajemnicze przeczucia i znaki, tak działo się i u stóp Wawelu na kilkanaście lat przed zmartwychwstaniem Polski. Mimo takiej beznadziejności położenia politycznego, iż w poufnych rozmowach tej sprawy już nie dotykano, mimo płynącej stąd obojętności, przez wszystkie te ciemne pokłady, przedarł się gorący zew Wyspiańskiego, który budził narodowy zapał i narodowe nadzieje. Choć więc zdawało się, że wszystkie struny natchnionej patriotycznej twórczości już zerwane, została jeszcze ta jedna. W smutku dni ówczesnych miała czasu dużo, by bólem ich nabrzmieć i tyle nabrać siły, że choć opiewa utratę złotego rogu, sama w sobie dźwięk tego rogu niesie.

Oto jeden z ustępów, które w lot przeleciały Polskę całą, przemowa gospodarza z Bronowic pod Krakowem:

Słuchajcie kochane dzieci,
ażeby to była prawda,
że Wernyhora tam leci
z Aniołem Archaniołem na czele;
że tej nocy, gdy my przy muzyce,
przy weselu, gdy my w tańcowaniu,
tam kędyś, stało się tak wiele,
że Kraków ogniami płonie,
a Matka Boża w koronie
na Wawelskim zamkowym tronie

siedząca, manifest pisze:
skrypt, co przez cały kraj poleci
i tysiące obudzi i wznieci —
słuchajcie, serce mi dysze.

Tak pisał Wyspiański w „Weselu". W „Wyzwoleniu" przedstawił tragiczne losy tego, którego imię 44 i który ma prowadzić Polskę ku wolności. W „Akropolis" zmartwychwstający Chrystus wskrzesza Polskę.

Z początku traktowano te trzy utwory jako literaturę. Później pokazało się, że Wyspiański znał dobrze Piłsudskiego z opowiadań Żeromskiego. W końcu stało się jawnym, że Piłsudski formuje u stóp Wawelu oddziały strzelców. 6 sierpnia 1914 roku, z wybuchem wojny światowej, oddziały te pod nazwą legionów polskich przekroczyły pod jego dowództwem rogatkę rosyjską w Michałowicach i rozpoczęły partyzantkę.

Zadaniem naszym jest tylko rzut oka na 20-lecie odrodzonej Polski. Wystarczy zatem stwierdzić, że legiony były zawiązkiem polskiej armii. Do tego pierwszego nurtu dołączały się strumienie, idące z Rosji, zwłaszcza błękitny strumień z Francji i Ameryki, dalej powstania we Lwowie, w Wielkopolsce i na Śląsku, w końcu coroczny pobór. Wszystkie te oddziały, wytrawione ogniem tysiącznych trudów wojennych, wspaniałe entuzjazmem bezgranicznie ofiarnego patriotyzmu, jedne po drugich oddawały się pod rozkazy nowo powstającego państwa polskiego. Poza setkami zwycięskich potyczek i bitew, zwycięską była wielka bitwa pod Warszawą w roku 1920, którą lord d'Abernon nazwał „osiemnastą bitwą światową"; zwycięstwem były pokojowe wyprawy na granicę litewską i Śląsk zaolzański w roku bieżącym.

Armia to najsilniejszy moment w odbudowie państwa polskiego. Nie tylko liczny i wyrobiony żołnierz wchodzi w grę, ale i techniczne wyposażenie armii, własny przemysł wojenny. Własnymi siłami tworzy się też lotnictwo. Na morzu zaczyna powstawać własna flota, handlowa i wojenna. A najważniejsze to, że rozszerzył się w tym kierunku widnokrąg narodu. Morze, które było obce naszym praojcom, dziś

jest żywiołem, porywającym w swe objęcia wszystkie serca polskie.

Poza siłą oręża trzeba było szukać pomocy dyplomatycznej poza granicami Polski. Doniosłą była interwencja Stolicy Apostolskiej, zwłaszcza gdy Benedykt XV nakazał modły za Polskę w całym świecie. Skuteczną była rola Paderewskiego i emigracji polskiej w Ameryce, których wpływy, obok innych czynników, spowodowały powstanie 13 punktów Wilsona. W Paryżu odegrali: Paderewski i Dmowski wielką rolę na Kongresie wersalskim, gdzie pozyskawszy sympatię ludzi decydujących, przekonali ich o słuszności naszej sprawy i wywalczyli uznanie naszych praw.

W ten sposób doszliśmy do pierwszego wytknięcia granic państwa polskiego. Ale tu dopiero rozpoczęła się gehenna odbudowy wewnętrznej. Ile czasu i wysiłków potrzeba było, by usunąć uprzedzenia dzielnicowe, ile próżnych było i jest po dziś dzień wysiłków, by złagodzić dysonanse partyjne. A odbudowa materialna kraju, przez który kilkakrotnie przetoczył się z hukiem niszczący orkan wojny! Wsie i miasta leżały w gruzach, kościoły, szkoły, dworce kolejowe, fabryki zniszczone. Trzeba było wszystko prawie od fundamentu budować. W kilku latach budowa nowego państwa była już daleko posunięta. Wrogowie zewnętrzni odepchnięci, granice rozległego państwa ustalone, konstytucja uchwalona, wszystkie posterunki życia publicznego obsadzone. Miasta i wsie doszły do normalnego wyglądu, przybyły tysiące nowych kilometrów dróg. Przybył dziw taki, jak Gdynia, która z jednego tysiąca mieszkańców wzrosła dziś do cyfry 117,000 obywateli. Port gdyński zajmuje drugie miejsce nad morzem Bałtyckim pod względem ruchu statków. Rozpoczyna się obecnie praca nad stworzeniem nowego okręgu przemysłowego (C. O. P.). Powstają dzieła takie jak tamy wodne w Rożnowie i w Porąbce, zakłady chemiczne w Chorzowie i Mościcach.

Najbardziej wpada w oczy wzrost szkolnictwa. Po przerażającym stanie powojennym, w którym nie było ani budynków szkolnych, ani sił nauczycielskich, przychodzimy do wystarczającej chwilowo równowagi. Otwarto nowe uniwersytety, wśród nich katolicki w Lublinie, akademie

i szkoły zawodowe, liczne szkoły średnie i tysiące nowych szkół powszechnych.

Poza ogromem szczegółów ze wszystkich zakresów pracy, które obszerniejsze dzieło kiedyś obejmie, wznosi się na widnokręgu Europy szczyt nowego, dobrze urządzonego państwa, które nakazuje i swoim i obcym szacunek. Okres lat dwudziestu był wypełniony usilną, twórczą pracą i pomyślnymi wynikami tej pracy. Pozostające braki będą niewątpliwie wypełnione przez idące pokolenie.

Przyszła wreszcie chwila, w której dokonał żywota ten, który dał początek dziełu zmartwychwstania Polski i dzieło to pomimo pewnych nawet i bolesnych zgrzytów, silną ręką do końca życia podtrzymywał. Tam, gdzie dzieło to zaczęło powstawać przewieziono jego zwłoki — na Wawel. Rozpostarty na kolisku wzgórza, wiekami poczerniały, olbrzymi kolos budynków, wież, bastionów, dzierżący w sobie majestat narodu, otworzył gościnne swe bramy. Trumna weszła w samo sanktuarium Wawelu, w las ołtarzy, pomników, tablic, sarkofagów, a potem w miejsce, którego każda piędź znaczy się wielkimi śladami, w sąsiedztwo grobów królewskich, pod wieżę srebrnych dzwonów. W oddali rozsiadł się wielki kopiec, wciąż czuwający stróż tej trumny, polski Sfinks.

Wejdźmy na drugie wzgórze, na Jasną Górę.

Piłsudski pisał do papieża Benedykta XV następujące słowa: „Wbrew zamiarom naszych wrogów ojczyzna zmartwychwstała, co według rachub ludzkich zdawało się prawie niemożliwym. Przypisujemy to dokonanie się aktu sprawiedliwości dziejowej możnemu wstawiennictwu naszych świętych Patronów".

Usuwają się w tej chwili z pamięci szańce i mury Częstochowy. Jasna Góra to przede wszystkim ta mistyczna kaplica, na pół widna, na poły przysłonięta, w której poprzez glorie i refleksy świateł, pereł i złota ciemnieje twarz Opiekunki narodu i Boskiego jej Syna. Tu cudowna Pani i jej Boski Syn chcieli mieć tron, tu Bogarodzica wzięła koronę Polski na swe skronie, stąd na dalekie ziemie, płynęły łaski i cudowne znaki. Tu odbywa się wewnętrzna prze-

miana dusz i tu rozgrywają się wewnętrzne dzieje Polski w swoim najistotniejszym momencie.

Wawel i Jasna Góra dopełniają się wzajemnie. Gdy na wawelskim wzgórzu rozgrywała się polityczna historia, gdy stamtąd szły na kraj orędzia królewskie, rozkazy administracyjne i cywilizacyjne plany — Jasna Góra zwróciła się ku duszom i Bogu, ku religii i moralności. Wawel to myśl i świadomość narodowa, to czyn społeczny i polityczny, Jasna Góra to chrześcijańskie serce i wiara nadprzyrodzona, to wewnętrzna sprężyna i dusza tego społecznego czynu.

Zmartwychwstanie Polski, wedle słów Piłsudskiego, wydawało się prawie niemożliwym. Stwierdzili to wielokrotnie i Polacy i obcy, wierzący i dalecy od wiary. Generał Foch i kardynał Mercier, dwaj przyjaciele Polski, stwierdzają z całą siłą przekonania cud tak widoczny w powstaniu Polski, że trudno zaprzeczyć wdaniu się Opatrzności Bożej w tę sprawę. Prawie to samo powtórzyło się w dwa lata później, przy zwycięstwie pod Warszawą, przy tak zwanym Cudzie nad Wisłą. Z Jasnej Góry też wystosowany był list Episkopatu polskiego do Papieża z prośbą o kanonizację Andrzeja Boboli, którego Opatrzność równo sto lat przed powstaniem Polski wysłała jako zwiastuna zmartwychwstania. Spomiędzy licznych zjazdów Episkopatu w Częstochowie, najdonioślejszy był pierwszy polski Synod plenarny, odbyty w r. 1936 a poprzedzony ośmioletnim przygotowaniem. W dekrecie promulgacyjnym Synodu czytamy: „Arcypasterze w kilku sekcjach badali starannie kryzys moralny, obejmujący całokształt życia, ustalając i kodyfikując te zasady, które w odrodzonej Rzeczypospolitej mają gruntować wiarę i utwierdzać obyczaje katolickie".

Jasna Góra w tym dwudziestoleciu była przede wszystkim forum publicznym, na którym przejawiał się i rósł katolicyzm polskiej inteligencji. Zaczęło się od zjazdu tysięcy akademików i od ślubowań jasnogórskich. Za przykładem akademików poszedł zjazd tysięcy ziemian, potem zjazd tysięcy nauczycieli i profesorów wszystkich szkół, także i szkół wyższych, zjazd pań, wszystkich ważniejszych związków i zawodów. Ostatnia pielgrzymka młodzieży liczyła

przeszło 100 tysięcy uczestników. Świadczy to o odradzaniu się życia religijnego w Polsce. I dlatego symbolem religijności tego okresu jest Jasna Góra.

Polska w pierwszej swej konstytucji i w następnych, oparła swój stosunek do katolicyzmu na liberalizmie. Katolicyzm w stosunku do innych wyznań jest *primus inter pares*. Trzeba będzie pracy dużo, aby ten błąd odrobić.

Może do tego odrobienia dopomóc Akcja Katolicka. W obecnym stadium napotyka ona na liczne przeszkody, zwłaszcza na brak katolickiej inteligencji. Ale świeżo powstające instytuty wyższej wiedzy religijnej, dobrze kierowane, mogłyby przynieść obfity plon. Także wprowadzenie zawodowych kół w Akcję pomogłoby dużo.

Najważniejszym jednak i Akcji Katolickiej najbardziej właściwym zadaniem jest praca nad urabianiem poczucia obowiązku wśród ludzi wchodzących w życie i wyższej nad względy ludzkie moralności w życiu publicznym.

Doniosły wzór dawała w tym 20-leciu praca i troska Episkopatu. W jednej archidiecezji warszawskiej powstało w tym czasie 276 nowych i odbudowanych po wojnie kościołów i kaplic. Ileż w tym okresie zbudowano w kraju domów katolickich, ile szpitali, przytułków katolickich, zakładów rzemieślniczych!

Jak doniosłe są listy Episkopatu, związane z dolą ojczyzny i z każdą sprawą, która zjawiała się na powierzchni życia. Ilu sprawom patronował dzisiejszy papież a pierwszy nuncjusz w Polsce. Ileż trudów poniósł, by poznać dokładnie kraj cały i jego stosunki religijne. O wielkoduszności jego świadczy fakt, że gdy w r. 1920 wszystkie poselstwa opuściły Warszawę, on sam jeden pozostał i wyruszył na przedpole bitwy, gdzie błogosławił żołnierzom i zapalał do męstwa. Podobnych dowodów miłości i w Warszawie i później w Rzymie złożył wiele. Jednym z nich był międzynarodowy kongres Chrystusa-Króla w Poznaniu, na jego polecenie zwołany w tym mieście. Ostatnio, w bieżącym roku, wszelkich dołożył starań, by kanonizacja św. Andrzeja Boboli doszła do skutku a relikwie Świętego przesłał z Rzymu do Warszawy, pod opieką delegacji, wysłanej w swoim imieniu.

Triumfalny powrót Męczennika-proroka do ojczyzny był ostatnim aktem pierwocin odrodzonej Polski.

Do wzrostu religijności w Polsce dopomógł niewątpliwie fakt, że w całym świecie przejawia się odrodzenie religijne. Krwawe hekatomby wojny światowej, idące w jej orszaku nędza i głód, pędzą ludzi z urojonego raju laicyzmu. Zwłaszcza w ostatnich latach przyszły podziemne wstrząsy gospodarczego kryzysu i to tak nagle i w jednej chwili na całym globie ziemskim, jak gdyby pod całą ziemią zerwał się szalejący wulkan. W ogóle cała budowa społeczna ludzkości zaczyna rozsypywać się w ruinę. Całe piętra, całe skrzydła padają co moment w gruzy. Pius XI powiedział, że od dni potopu nie było równej katastrofy.

Równocześnie z tym oddalaniem się od bożyszcz egoizmu rozpoczął się powrót do Boga. Jest on wszędzie widoczny z wyjątkiem komunistycznej Rosji i hitlerowskich Niemiec.

Dziś ku katolicyzmowi zwracają się oczy całego świata.

Przez kilkadziesiąt lat życia czuliśmy się ciągle w katakumbach, dopiero od lat paru uświadamiamy sobie, że wyszliśmy na światło dzienne. Dzisiaj setkom tysięcy jest jasne, że katolicyzm jest słońcem i siłą. Czy będzie to wkrótce jasne milionom?

Liczyć się trzeba z wszystkimi możliwościami. Zwłaszcza liczyć z tym musi się Polska, w której konstytucyjne podwaliny katolicyzmu są kruche — w której brak należytego uświadomienia religijnego zwłaszcza wśród inteligencji — w której nie ma ustalonej równowagi w stosunkach do mniejszości narodowych. Liczyć także trzeba się z faktem, że jesteśmy w środku między totalizmem bolszewickim a totalizmem hitlerowskim.

Trzeba dziękować Opatrzności za pierwsze pomyślne 20-lecie, a z rozwagą i nowym wysiłkiem zaczynać następne. Trzeba mieć przed oczyma testament Skargi:

> Na katolickiej wierze Polska jest zbudowana... Ten stary dąb tak wzrósł a żaden wiatr go nie obalił, bo korzeń jego jest Chrystus. Ruszcież jedno tych fundamentów religii starej, a ujrzycie wielkie zarysowanie murów Królestwa i ojczyzny waszej. Zatem i upadek, obroń Boże, nastąpi...

Najgłębszą troskę odrodzonej Ojczyzny, na progu nowego okresu, stanowi niewątpliwie zjednoczenie całego narodu w zgodnej, twórczej pracy. To zjednoczenie jest podstawą tak gospodarczego rozkwitu jak obronności kraju i mocarstwowego stanowiska państwa. Oby ci wszyscy, którzy nad tym zjednoczeniem w tej lub innej formie, ale szczerze i lojalnie pracują, zechcieli zrozumieć, że tylko katolicyzm pełny, bezkompromisowy, dynamiczny może stać się prawdziwą podstawą wewnętrznego odrodzenia, a zatem i zjednoczenia całego polskiego narodu.

Ks. Jan Pawelski T. J.

Wrońskizm a katolicyzm.

Wyznawcy i wielbiciele najnowsi filozofii Hoene-Wrońskiego w Polsce, z p. Paulinem Chomiczem na czele, wyrażali nieraz słowem i pismem żal, że duchowieństwo katolickie nie popiera ich usiłowań, owszem nawet je zwalcza. A przecież — zdaniem ich — filozofia absolutna Wrońskiego, to filozofia jedyna, która wywieść może świat z obecnego zamętu. Nie zdołał tego dokonać Kościół katolicki własnymi siłami, dokona tego dopiero przy pomocy filozofii Wrońskiego. A filozofia ta jest całkowicie zgodna z nauką Kościoła katolickiego. Jeśli są tacy wśród duchowieństwa, którzy tego nie widzą, to powodem tego stanu rzeczy jest tylko nieznajomość filozofii Wrońskiego, owszem samego katolicyzmu.

Na temat zgodności, względnie niezgodności, wrońskizmu z katolicyzmem wywiązała się na łamach czasopisma *Zet,* pozostającego pod redakcją zdolnego pisarza Jerzego Brauna, od maja 1935 do kwietnia 1938 r. ożywiona dyskusja. Wywołał ją swoim listem niejaki W. K. ze Śląska. Zabierali w niej głos: Jerzy Braun, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski (wrońskista), Jarosław Jaropełk-Stępniewski (również wrońskista), p. W. K. ze Śląska, inżynier Gustaw Hensel (neokantysta).

Ze strony katolickiej odezwał się ks. dr Jan Ciemniewski, zarzucając systemowi Wrońskiego pelagianizm oraz usuwanie religii objawionej na rzecz rozumu. Wmieszało się do dyskusji i czasopismo młodych katolików *Pro Christo,* zwracając uwagę na zależność Wrońskiego od żydowskiej

Kabały, a co za tym idzie filo- czy pro-semityzm myślowy, dochodząc do wniosku, że już to samo „dyskwalifikuje całkowicie tego myśliciela w zdrowej opinii katolickiej i narodowej". [1])

Najważniejszy z głosów dyskusyjnych zawarty jest w artykułach Jerzego Brauna. Pod wpływem natarć ks. Ciemniewskiego zaczął się on już cofać w kierunku nauki katolickiej, tymczasem redakcja *Zetu* zamykając dyskusję, ogłosiła niespodziewanie zwycięstwo p. Brauna i wrońskistów opierając się na słowach P. Jezusa skierowanych do Nikodema: *Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, iż co wiemy, mówimy, a co widzimy, świadczymy, lecz świadectwa naszego nie przyjmujecie.* (Jan 3, 11). [2])

Nie wdaję się w tym artykule w sprawę zależności systemu Wrońskiego od Kabały, nie roztrząsam zarzutu pelagianizmu. Z punktu widzenia filozoficznego zajmuje mię przede wszystkim zagadnienie poznania Boga przez człowieka w systemie Wrońskiego, a raczej polskich wrońskistów, a może jeszcze ściślej w poglądach p. Jerzego Brauna.

1. Postawienie zagadnienia.

Religia katolicka głosi prawdy bezwzględne, absolutne. Takież prawdy głosi filozofia absolutna Wrońskiego. Jedna i druga przeciwstawia się mocno dzisiejszym prądom relatywistycznym. Wrońskizm i katolicyzm nie różnią się zatem rzeczowo, treściowo; różnią się tylko w ujęciu prawdy. Katolicyzm ma ją z objawienia bożego, wrońskizm z rozumu. Zaznaczmy zaraz, że nie z rozumu „stworzonego", indywidualnego, nie z Kantowskiego „rozsądku", tylko z rozumu „stwórczego", transcendentnego, „samego w sobie", „nieuwarunkowanego", „współistotnego" z naturą bożą. Dzięki temu rozumowi nasze religijne *Credo* zamieni się w religijne *Cognosco*, filozofia absolutna Wrońskiego zamieni religię katolicką w religię absolutną, w której człowiek pozna „wszelką" prawdę.

Ten rozum „stwórczy" jest „esencjalnie (choć nie substancjalnie) tożsamy z naturą stwórczą Boga". Toteż pomię-

[1]) *Pro Christo*, kwiecień 1937, str. 47.

[2]) *Zet*, kwiecień 1938, str. 18—21.

dzy tym rozumem a wiarą, sprzeczności być nie może, gdyż wiara to nic innego jak „samospostrzeganie się rozumu stwórczego w postaci problematu odrodzenia swej własnej samorzutności, którą utracił on na skutek grzechu pierworodnego". Nasz rozum stwórczy to po prostu podmiot transcendentny (pierwotna jednia osobowości: dusza), zdążający ku własnej rdzennej przedmiotowości metafizycznej, której jest obecnie na skutek skrępowania przez warunki bytu doczesnego pozbawiony.

Podmiot ten przebywa w nas niedostrzeżony, dopóki nie nauczymy się — dzięki uprawie filozoficznej — ujmować go w akcie apercepcji transcendentalnej. Przesłania go bowiem zwykła podmiotowość empiryczna, zamknięta nieodwołalnie w kręgu immanentnym rzeczy stworzonych.

Otóż wiara jest to pierwsze przebudzenie się podmiotu transcendentnego w nas, postrzegającego jeszcze nie bezpośrednio, od wewnątrz, lecz pośrednio, od zewnątrz, mianowicie poprzez nakaz odrodzenia duchowego, objawiony nam przez Jezusa Chrystusa. Wierzący nie mówi: „Wiem, z własnego, samorzutnego przeświadczenia, że mam duszę nieśmiertelną", lecz: „Wierzę — choć nie wiem — że mam duszę nieśmiertelną, bo mi to objawił Bóg, który nie może kłamać".

Nie jest więc wiara jakąś władzą duszy (rozumu samego w sobie), lecz stanem duszy, nastrojem na akord zgodny z wolą i wiedzą bożą jest, jak ją definiuje trafnie doktryna katolicka: cnotą teologiczną. Nie jest też wiara celem samym w sobie, lecz środkiem do celu, którym może tedy być jedynie pewność absolutna, tożsamość rozumu stwórczego z samym sobą, przez ostrzeganie siebie wprost, a nie przez podporę heteronomiczną łaski bożej.

Jak oglądanie Boga twarzą w twarz, przyobiecane przez Pismo św., jest doskonalsze niż oglądanie przez obrazy, lub poznanie Jego istnienia z dzieł stworzonych, tak pewność absolutna (*Cognosco* religijne) doskonalsza być musi, niż wierzenie (*Credo* religijne). Zamiana wierzenia w bezpośrednią pewność absolutną jest postulatem oczywistym samej wiary. Więcej jeszcze: Pewność ta jest przedmiotem wiary, bo pewność absolutna Boga i duszy nieśmiertelnej, to nie

co innego jak posiadanie bezpośrednie: Boga, dzięki duszy nieśmiertelnej i nieśmiertelności duszy, dzięki oglądaniu twarzą w twarz Boga, co równa się zbawieniu. Kto by więc przeczył możliwości i nieodzowności tej zamiany, ten zniszczyłby samą wiarę, czyniąc ją bezsensowną i bezcelową, pozbawioną wszelkiego nieuwarunkowanego ugruntowania.

Wrońskizm zatem, ofiarując Kościołowi swe usługi, pragnie dopełnić wiarę przez rozum. Dzięki wrońskizmowi Kościół katolicki stanie się „chrystianizmem spełnionym", doskonałym, a zamiana wiary religijnej (*Credo* religijnego) w poznanie religijne (*Cognosco* religijne) nada jego dogmatom apodyktyczną wartość absolutną, a przez to: 1) uniemożliwi odtąd wszelkie wątpienie, 2) zniesie herezje i różność kościołów, 3) usunie gorszącą antynomię wiary i wiedzy, 4) stanie się w rękach Kościoła potężnym narzędziem realizacji katolicyzmu dosłownego czyli sprowadzenia do wspólnego mianownika wszystkich religij pozytywnych, wskutek czego powstanie „jedna owczarnia i jeden Pasterz". Obietnice to o dalekich horyzontach![1])

2. Próba rozwiązania zagadnienia.

Aby katolicyzm stał się z religii „potencjalnej" religią „absolutną", musi być dowiedziony przez filozofię mesjaniczną. Końcowe utożsamienie filozofii z religią ustanowi religię absolutną przez zamianę prawdy wierzonej w prawdę dowiedzioną.

Jakżeż się to dokona? — Przez akt „samostworzenia", którego ideę podał Chrystus w rozmowie z Nikodemem: „musicie się drugi raz odrodzić", a którego właściwe znaczenie podał światu Wroński. Człowiek mianowicie posiada w sobie „mocowładność" samostworzenia tj. nadawania sobie przedmiotowości absolutnej (tj. własnego zbawienia czyli nieśmiertelności osobowej). Mocowładność tę ma od Boga, ale użycie jej czyli „akt" samostworzenia musi pochodzić tylko od niego samego. To zbawienie musi być dokonane przez niego samego bez pomocy heteronomicznej i nadprzyrodzonej. Inaczej nie on stworzyłby sobie ów byt nieuwarunkowany,

[1]) *Zet* z 1 października 1935.

lecz Bóg by mu go nadał, co znowu jest niemożliwe, bo byt sam przez się (czyli nieuwarunkowany) nie może powstać przez kogoś innego tylko przez się.

Warunkiem osiągnięcia przez podmiot transcendentny (duszę w sobie) przedmiotowości absolutnej (nieśmiertelności osobowej) jest nie co innego, jak ogląd bezpośredni Boga czyli poznanie istoty wewnętrznej Niewysłownego-Arcyabsolutu, co się dokonywa w duszy dopiero po śmierci, jak twierdzi Wroński w swej *Apodictique.*[1])

Bóg jest nie tylko bytem powszechnym, ale i posiadającą ten byt „Wiedzą samą w sobie" — osobą. Podobnie i nasz podmiot wsobny, przeznaczony do nadania sobie przedmiotowości nieśmiertelnej, jest równie Wiedzą. Sposobem uprawy i aktualizacji naszej wiedzy powszechnej czyli podmiotowości transcendentnej jest filozofia. Ona jest wiedzą o wiedzy samej. Religia zaś jest wiedzą o bycie najwyższym, przeznaczonym naszemu podmiotowi transcendentnemu oraz metodą uzyskiwania tego bytu.

Łaską bożą jest to wszystko, co dopomaga człowiekowi w odzyskaniu tego bytu bezwzględnego, utraconego przez grzech pierworodny (objawienie możliwości nadania sobie tego bytu, pomoce nadprzyrodzone, jak modlitwa i sakramenty).

Zasługa ludzka, to w pierwszym rzędzie własny wysiłek duchowy (myślowy) człowieka w tworzeniu wiedzy, a wiedza sama się stwarza, nie jest gotowa.

Zatem religia katolicka poucza o możliwości samostworzenia przez wiedzę, filozofia Wrońskiego poucza, jak osiągnąć to samostworzenie przez wiedzę i daje środki po temu. Religia katolicka może mieć tajemnice, może nie odpowiadać na pytanie Nikodema: *Quomodo hoc fieri potest?* — Jako się dokona nasze odrodzenie? — filozofia natomiast Wrońskiego musi na nie odpowiedzieć i to z pewnością absolutną.[2])

Jakżeż zdolna jest filozofia Wrońskiego do tej odpowiedzi? Twierdząc, przynajmniej przez usta p. Brauna, powołującego się na wyrwane z kontekstu zdanie O. Lacor-

[1]) *Zet* z 1 paźdz. i z 15 grudnia 1935, ustęp: „Jakoż to może być?" oraz z 15 kwietnia 1937, ustęp: „Credo a Cognosco".

[2]) *Zet* z 15 listopada 1935.

daire'a, że „Rozum w Bogu i w człowieku na dnie swej istoty jest ten sam". Wniosek stąd: że i rozum ludzki zgłębi wszelką tajemnicę. Teraz przeszkadza mu ciało. Ale potem? — po śmierci? Orzeczenie Soboru Watykańskiego o niezgłębionych tajemnicach wiary dotyczyło rozsądku, czyli rozumu uwarunkowanego człowieka, nie rozumu nieuwarunkowanego, czyli samostwórczego Logosu, o którym mówi Wroński, a który podług Lacordaire'a jest ten sam w człowieku i w Bogu.

Zresztą tajemnice wiary zgłębią do gruntu tylko umysły wyjątkowe, wyrobione na filozofii Wrońskiego. Rzesze wiernych pozostaną jeszcze „przez długie tysiąclecia" na stanowisku wiary. A wiara ich będzie tym silniejsza, że nawrócona przez filozofię absolutną elita umysłowa przestanie szerzyć niewiarę. [1])

W dalszych wywodach twierdzi p. Braun, że tym rozumem stwórczym w człowieku jest sam Duch Św., że on właśnie sprawuje w człowieku tę filozofię absolutną, której wynikiem jest wyjaśnienie bez reszty wszystkich tajemnic i dogmatów wiary, dotyczących wewnętrznej istoty Absolutu — Boga, to znaczy jego świętego stworzenia się własnego. Stąd nazwa Prakletyzmu dla tej końcowej łączności rozumu i wiary, a raczej dla zastąpienia *Credo* religijnego przez religijne *Cognosco.* [2])

Wywody swe ujmuje p. Braun w następujące tezy:

1) Istnieje w nas dusza niezniszczalna, przeznaczona do nieśmiertelności osobowej, którą uzyskać może tylko przez odrodzenie duchowe *(ex aqua)* i przez stworzenie się własne *(ex Spiritu Sancto).*

2) Ta dusza niezniszczalna — to rozum stwórczy (Logos, Słowo), ostający się ponad przeciwieństwem względnym świata immanencji i świata transcendencji, doświadczenia i objawienia, nauki i teologii, poznania i uczucia. Rozum ten stwórczy jest jednak „zagrzebany w naturze ziemskiej", sparaliżowany przez warunki fizyczne, skażone przez grzech pierworodny.

[1]) *Zet* z 1 grudnia 1935 r.

[2]) *Zet* z 15 grudnia 1935 r., z 15 stycznia i z 1 czerwca 1936, z 1 czerwca 1937 r. i z 1 stycznia 1938 r.

3) Dusza sama w sobie — to autogenia, czyli rzeczywistość samowytwarzająca się, której istotą jest rozum absolutny, zaś dusza „uwięziona" w ciele fizycznym — to rzeczywistość stworzona, doświadczająca się tylko przez samoujmowanie: autotezja, której istotą jest rozum względny, będący niejako formą ustosunkowania się duszy rozumnej i ciała organicznego. Dodaje tu p. Braun bardzo ważną uwagę: „Widzimy więc, że autotezja, rozum względny, to ten sam rozum stwórczy, lecz sparaliżowany przez warunki ziemskie symbiozy fatalnej z ciałem organicznym, dostępny więc samemu sobie jedynie od zewnątrz, przez samoujmowanie, przy równoczesnym zapoznaniu jego cechy stwórczej, autogenicznej.

4) Odkrycie w nas, wyzwolenie z warunków ziemskich i zaktualizowanie owego rozumu stwórczego, to wielki problemat historii, który może być rozwiązany tylko poprzez stopniowe dźwiganie się świadomości ludzkiej na coraz wyższy stopień autotezji, rozumu stworzonego, w jego rozszczepieniu na dwie władze heterogeniczne: rozum spekulatywny (albo po prostu rozum teologii) i rozum praktyczny (lub po prostu „wolna wola" teologii).

5) Żmudny ten pochód świadomości ludzkiej w historii jest tedy procesem coraz to głębszego samoujmowania naszego podmiotu transcendentnego w jego przedmiotowym istnieniu (aż do stanu granicznego podmiotowości absolutnej, istnienia *per se,* wyobrażonego w ideale nieśmiertelności osobowej) i jest koniecznie uwarunkowany przez przeciwstawność immanencji („ziemia", sfera działania rozumu względnego) i transcendencji („niebo", sfera istnienia rozumu absolutnego, stwórczego).

6) Żywot doczesny, względny do świata i przebiegu historii, jest tedy metodą autotezji postępowej, odbudowywania utraconej przez grzech pierworodny indywidualności absolutnej...

7) Przeznaczeniem końcowym człowieka (i ludzkości), a zarazem momentem granicznym i kulminacyjnym jego żywota doczesnego jest więc zamiana naszej rzeczywistości względnej, stworzonej przez Boga, na rzeczywistość absolutną, nadaną sobie samemu w c h w i l i ś m i e r c i przez

akt samostworzenia. Środki do tego celu wzniosłego posiada człowiek w postaci nadanej mu przez Boga mocowładności stwórczej...

Religia przynosi nam środki do rozwinięcia w nas tej mocowładności, byśmy w momencie decydującym mogli jej użyć do aktu samostwórczego, czyli do nadania sobie rzeczywistości absolutnej. [1])

3. Uwagi krytyczne o wrońskizmie.

Umyślnie starałem się przedstawić zapatrywania polskich wrońskistów prawie ich własnymi słowami. Łatwo tu bowiem o nieporozumienie. Język wrońskistów nie jest łatwy. Lubują się w wyrażeniach greckich i we frazesach idealistów niemieckich, którzy — jak wiadomo — siebie samych nie bardzo rozumieli. Już z powodu tej sprzecznej z naszym duchem narodowym mętności pojęć wrońskizm nie bardzo nadaje się na polską filozofię.

P. Brauna zachwyca np. filozofia Kanta: „Zasługą nieśmiertelną Kanta — pisze — jest odróżnienie dwu elementów rzeczywistości: bytu i wiedzy oraz stwierdzenie, że absolut, ideał filozofii, mieści się gdzieś w powiązaniu nadrzędnym tych dwu składników". [2])

Kto zna historię filozofii, a tym bardziej teodyceę, nie będzie przypisywał Kantowi tej „nieśmiertelnej" zasługi.

Zagadnienie stosunku filozofii do teologii, rozumu do wiary, nie jest obce filozofii i teologii chrześcijańskiej. Przedstawił je i rozwiązał po mistrzowsku św. Tomasz z Akwinu, zwłaszcza w początkowych rozdziałach pierwszej księgi swej Summy przeciw poganom. A gdy to zagadnienie odżyło w XIX wieku na tle usiłowań pogodzenia idealizmu niemieckiego z wiarą chrześcijańską, zajęła się nim na nowo filozofia i teologia katolicka, a potem i sam Sobór Watykański. Pokantowska teologia protestancka pragnęła zracjonalizować całkowicie wiarę, wywieść nawet tajemnice z idei Absolutu bez bożego objawienia. Semiracjonalistyczny kieru-

---

[1]) *Zet* z 15 grudnia 1935 r.
[2]) *Zet* z 15 grudnia 1935 r.

nek Baadera i Günthera przyjmował objawienie, ale obiecywał, przy pomocy niemieckiego idealizmu, wyjaśnić bez reszty objawione tajemnice. U Baadera np. wszelka wiedza stworzona jest uczestnictwem w prawiedzy bożej. Wszelka zaś treść wiary nie jest nam „dana", tylko „zadana" do zgłębienia. Günther w swym zgłębianiu tej treści wiary dochodzi aż do utożsamienia filozofii z teologią.

Ale też papież Pius IX w r. 1857 pisze do arcybiskupa kolońskiego:

A także i to godne jest największej nagany i potępienia, że w książkach Günthera rozumowi ludzkiemu i filozofii, które w rzeczach wiary powinny nie panować lecz bezwzględnie służyć, nadaje się niebacznie prawo nauczycielskie, a wskutek tego wprowadza się zamieszanie we wszystko, co powinno pozostać niezachwianym, jak: różnica między nauką a wiarą, wieczysta niezmienność wiary, która ma pozostać zawsze jedną i tą samą, podczas gdy filozofia i inne nauki ludzkie ciągle się zmieniają i nie są wolne od rozmaitych błędów. [1])

A Sobór Watykański poucza:

Rozum, oświecony wiarą, o ile pilnie, pobożnie i trzeźwo szuka, osiąga przy bożej pomocy niejakie *(aliqualem)* i bardzo pożyteczne poznanie tajemnic tak z analogii tego, co przyrodzoną swą siłą poznaje, jak i ze związku, zachodzącego pomiędzy tajemnicami, a także z celem ostatecznym człowieka. Nigdy jednak nie staje się on zdolnym do p r z e j r z e n i a i c h na kształt prawd, które stanowią właściwy przedmiot jego poznania. Albowiem tajemnice boże ze swej natury tak przewyższają rozum stworzony, że nawet po udzielonym objawieniu i po przyjęciu wiary pozostają zakryte zasłoną samej wiary i otoczone jakby jakąś ciemnością, jak długo w tym życiu śmiertelnym „podróżujemy z dala od Pana. Przez wiarę bowiem chodzimy, a nie przez widzenie" (II. Kor. 5, 6). [2])

Twierdzi p. Braun, że stanowisko Soboru Watykańskiego nie dotyczy systemu Wrońskiego. Odpowiadam: Słownie — nie, rzeczowo — tak! Jakiż dowód na to? Czytamy w aktach Soboru, że w naradach przygotowawczych nad rozdziałem o stosunku rozumu do wiary jeden z konsultorów zaznaczył:

---

[1]) Denzinger - Bannwart - Umberg: *Enchiridion symbolorum et definitionum,* Friburgi Brisgoviae, Herder, n. 1656.

[2]) Denzinger, n. 1796. Por. Mansi: *Concilia,* t. 49, kol. 724.

Są inni, którzy wprawdzie przyjmują tajemnice, ale niewłaściwe, tj. stosownie do pewnych okoliczności i pewnego okresu rozwoju wiary. Ci przyjmują pewne fałszywe doskonalenie się wiary w tym znaczeniu, że wiara przechodzi w wiedzę.[1])

Do nich odnosi się kanon 3 rozdziału 4:

Kto by rzekł, iż może dojść do tego, że dogmatom, głoszonym przez Kościół, w miarę postępu wiedzy nadane zostanie kiedyś inne znaczenie od tego, jak je rozumiał i rozumie Kościół, niech będzie wyklęty.[2])

Kanon ten jest uzupełnieniem wyłożonej przez Sobór tezy:

Nauka wiary, którą Bóg objawił, nie jest przedłożona ludzkim umysłom do badania jakby jakiś pomysł filozoficzny, lecz jako boski depozyt, złożony Oblubienicy Chrystusowej do wiernego strzeżenia oraz nieomylnego wyjaśniania.[3])

Skąd się wzięło to zagadnienie stosunku wiary do rozumu na forum Soboru? Do 34 najwybitniejszych biskupów wysłano zapytania, co — zdaniem ich — ma być przedmiotem narad Soboru. Otóż wielu poddało właśnie ten temat. Między innymi i biskup Regensburga, Ignacy de Senestréy. Oto jego wywody:

Drugi temat, którym powinien się zająć Sobór, to porządek nadprzyrodzony i jego stosunki do przyrodzonego... stosunek rozumu do wiary, nauki do powagi, filozofii i nauk przyrodniczych do teologii i prawd objawionych... Z tym wiąże się prawdziwe pojęcie i wyjaśnienie chrześcijańskiej i katolickiej nauki, czyli gnozy. Wielu bowiem łudzi się fałszywym pozorem gnozy, gdy oddawszy się zanadto badaniom, jak mówią spekulatywnym, tracą powoli pod nogami fundament wiary, a nie rozumiejąc tradycji Ojców i Szkoły, lub mając je w pogardzie, dają się porwać nowym lub przewrotnym pomysłom, unoszeni wszelakim wiatrem nauki. Stąd niejedni przyznają się do racjonalizmu, do Kantowskiego lub Hegeliańskiego chrystianizmu, do panteizmu, do triteizmu.[4])

---

[1]) Mansi: *Concilia,* 49, kol. 690.

[2]) Denzinger, n. 1818.

[3]) Denzinger, n. 1800.

[4]) Mansi: *Concilia,* tom 49, kol. 140, 214, 642 (Günther), 645 (tradycjonalizm), 648 i 689 (tajemnice).

Dlatego to pierwotny tytuł tego rozdziału brzmiał: „Dekret przeciw rozlicznym błędom, wypływającym z racjonalizmu. [1])

Hoene-Wroński aż nadto przejął się tym „Kantowskim i Hegeliańskim chrystianizmem", zaczerpniętym z rozprawy Kanta: „Religia w granicach czystego rozumu", oraz całej pohegeliańskiej teologii protestanckiej. Zresztą Soborom nie chodzi o te, czy inne wyrażenia filozoficzne, tylko o rzecz samą. I w naszym wypadku nie chodzi o rozum „stwórczy" czy „niestwórczy" w człowieku, tylko o ten rozum konkretny, który człowiek posiada. O tym właśnie rozumie mówi Sobór, że dla niego istnieją i istnieć będą prawdziwe „tajemnice". [2]) Filozofia i teologia chrześcijańska podaje zgodnie prosty tego powód: Rozum ludzki, nawet wzmocniony, tu światłem wiary, a w życiu przyszłym światłem chwały, pozostanie władzą skończoną bytu skończonego, zatem niewspółmiernym do wyczerpującego zgłębienia, do całkowitego przejrzenia Boga nieskończonego.

Jeśli powiemy, że dokona tego całkowitego przejrzenia nie nasz rozum „stworzony", lecz „stwórczy" i dodamy, że ten rozum „stwórczy" to rozum identyczny z bożym, to Logos, to sam Duch Św. w nas, to czym różnimy się od panteizmu? Jak ten Logos-Absolut pozwolił się „uwięzić" w ciele? Jak się to godzi z pełnią bożej aktualności? Konsekwentnie, dlaczego nie znamy zaraz wszystkiej prawdy, lecz dopiero w godzinę śmierci? Dlaczego nie wszyscy? A jeśli *Credo* religijne zamienimy w *Cognosco* dopiero w godzinę śmierci, to filozofia absolutna będzie naszym udziałem dopiero w przyszłym życiu. Jakżeż więc przy jej pomocy odrodzimy ten świat, którego Kościół katolicki odrodzić nie może? Jeśli powiemy, że dokona tego elita wrońskistów, którzy już tu zamienią swe *Credo* w *Cognosco,* to znowu wpadniemy w sprzeczność z twierdzeniem Wrońskiego, że „zbawienie" dokona się dopiero w momencie śmierci.

---

[1]) Mansi, tamże, kol. 719 i 739.

[2]) Denzinger, nn. 1796 i 1816.

Prawie każde twierdzenie wrońskistów trzeba wziąć pod rozwagę, poddać gruntownej analizie i sprostować, — tyle w nich niejasności i nieścisłości. Zasadniczego pogłębienia domagają się tak często używane przez nich terminy: „Absolut" — „filozofia absolutna" — rozum „niestworzony", a jednak „stwarzający się" — „nieśmiertelność" (fizyczna czy moralna) — „tajemnica" — porządek „przyrodzony i nadprzyrodzony" — „zasługa" — „łaska". Znaczenie tych wyrazów u wrońskistów nie bardzo pokrywa się z ich znaczeniem w filozofii i teologii katolickiej. Stąd źródła nieporozumień.

Pisze np. p. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, że „prawdę", a zatem i Boga albo się poznaje, albo się nie poznaje. Zatem nie ma tajemnic. Jakby nie istniało c z ą s t k o w e poznanie prawdy. A jakiż brak pogłębienia istoty bożej zdradza drugie jego, a tak zasadnicze twierdzenie, że „rozum człowieka może się różnić od bożego tylko stopniem, nie naturą". Trzeba by tu rozprowadzić cały traktat analogii bytu. Trzeba by przypomnieć to wszystko, co filozofia wieczysta wykłada o poznaniu przez umysł ludzki powszechników (uniwersaliów) i possibiliów oraz o tzw. „absolutnej" prawdzie i pewności.

P. Braun powtarza za Wrońskim, że w Bogu odbywa się ustawiczne „samostwarzanie się", że człowiek uwarunkowany „samostwarza się", czyli nadaje sobie byt absolutny, istniejący przez się. Dla nas są to oczywiste sprzeczności filozoficzne. Nikt siebie samego „stwarzać" nie może, chyba, że ten wyraz chcemy brać bardzo przenośnie.[1]) Nasi wrońskiści żonglują po prostu takimi wyrażeniami jak: „stworzenie" — „absolutny" — „rozum" — „nieśmiertelność". Trzeba żądać od nich stanowczo jasnego określania terminów!

Choćby zatem nawet nie istniały dekrety Soboru Watykańskiego o stosunku rozumu do wiary, duchowieństwo katolickie musiałoby zwalczać wrońskizm jako obłędne odgrzewanie przebrzmiałych prądów skrajno-idealistycznych. Do tych bowiem nieudałych prób „ochrzczenia" Fichtego, Schellinga, czy Hegla należy także system Wrońskiego. Można uznawać Wrońskiego za wybitnego filozofa, nawet

[1]) Por. ks. dr Fr. Gabryl: *Polska filozofia religijna w XIX wieku.* Warszawa 1913, t. I., str. 94.

za równego trójcy niemieckich idealistów, albo i wyższego od niej, ale należy kwestionować prawdziwość jego systemu. Nie przystało też w filozofii powoływać się ciągle na Pismo św., jak to czyni p. Braun za Wrońskim, gdyż w tej dziedzinie chyba więcej mają do powiedzenia fachowi bibliści, a w niefachowych interpretacjach łatwo można wpaść nawet w herezję, jak tego dowodem historia.

Już Wroński odzywał się z goryczą do duchowieństwa katolickiego:

Wy powinniście znać Prawdę Absolutną... przyznajcie, że jej nie znacie i przestańcie się przeciwstawiać z gorszącą bezbożnością świętym postępom ludzkości, przez które Bóg zlecił człowiekowi, w jego charakterze istoty rozumnej zdobyć żywot wieczny.

P. Braun dodaje do tego następującą uwagę:

Gorzkie to słowa, lecz dyktowane słusznym oburzeniem człowieka, który wzniósł się ku poznaniu bezpośredniemu prawd nadprzyrodzonych i z tej wyżyny dostrzega ze zgrozą straszne następstwa opieszałości tych, którym dano te prawdy w depozyt i z których winy — wskutek opóźnienia w rozwiązaniu tych zbawczych problemów — szerzy się coraz powszechniej upadek moralny i bezbożnictwo, a ludzkość pchana jest coraz gwałtowniej na ślepy tor katastrofy. [1])

Piękne to frazesy; ale gdzie dowody na to, że Wroński wzniósł się na wyżyny bezpośredniego poznania prawd nadprzyrodzonych i to przed swą śmiercią, wbrew swemu systemowi? My widzimy jasno, że choć Wroński nie odrzucał rzeczy nadprzyrodzonych, to jednak wypaczył samo pojęcie „przyrodzoności" i „nadprzyrodzoności". My nie wypędzamy „diabła Belzebubem", tj. fałszu fałszem, tylko fałsz prawdą. Tradycjonaliści wychwalali bardzo wartość objawienia i Kościoła. Ponieważ jednak czynili to na niekorzyść słusznych praw rozumu, podziękował im Kościół za taką przysługę. Dziękuje za nią i wrońskistom, ofiarującym mu usługi nieistniejącego w nas rozumu „stwórczego". Kościół nie uczy, że posiada prawdę „absolutną" w znaczeniu „wszystką"

[1]) *Zet*, styczeń 1938, str. 9.

prawdę, tylko uczy, że mamy pewność „absolutną", co do niektórych prawd rozumowych i objawionych. A to zupełnie co innego!

P. W. K. ze Śląska pisze:

To, co było dobre przed 4-ma czy 10-ma wiekami, nie może być dobre dziś... To samo tyczy średniowiecznej myśli tomistycznej... Nie można przeżywać renesansu dawnych ideałów i dawnej myśli... z prześlepianiem prawdziwych postępów wiedzy i rozwoju rozumu. [1])

A jeśli wrońskizmowi postawią ten sam zarzut za parę wieków? A może już dziś wrońskizm jest takim przeżytkiem?

P. Stępniewski radzi nam:

Katolicyzm winien nasamprzód przyjąć oddziałanie doktryny transcendentnej Fichtego... Judejsko-helleńska autotetyczna doktryna tomizmu, ujmująca jedynie w aspekcie chrematycznym absolutu chrystianizm... zachowana niezmiennie w swej neotomistycznej wariacji, jest najstraszniejszym z dopustów bożych naszych wieków. Przykuty do rozkładającego się trupa tej doktryny Kościół, sam gotów rozkładać się w zasadach swych inteligibilnych. Błagamy Opatrzność, aby dozwoliła nam rozkuć te więzy. [2])

I to się pisze w katolickim piśmie, z katolickiej rzekomo strony — po encyklikach papieskich o tomiźmie? Oto zgodność wrońskizmu z katolicyzmem!

P. Braun pisze:

Trudno doprawdy pojąć, dlaczego kler wzbrania się przyjąć z rąk filozofii absolutnej dowód prawdziwości apodyktycznej objawienia w świetle rozumu. Dlaczego się tak obawia owego zastąpienia *Credo* przez *Cognosco* religijne, jakby nie wiedział, jakiby to triumf zgotowało Kościołowi katolickiemu? Czy grają tu rolę jakie względy kastowe?

Czy duchowieństwo lęka się podświadomie, że wytłumaczenie filozoficzne dogmatów i tajemnic uczyniłoby zbędnym ich pośrednictwo między niebem a trzodą wiernych? Byłaby to słabostka arcyludzka, ale moglibyśmy uspokoić te obawy prostym stwierdzeniem, że — bez względu na ów dowód transcendentny, podany przez filozofię, a dostępny jedynie dla umysłów wysoko wykształconych w filozofii i teologii, — milionowe masy ludzkości potrzebować będą jeszcze przez tysiące lat tych samych co dziś pasterzy duchownych.

---

[1]) *Zet* z 1 maja 1936 r.

[2]) *Zet* z 1 marca 1936 r.

Raczej więc w lenistwie i w schlebianiu wygodnictwu ludzkiemu trzeba szukać źródeł owej niechęci... w unikaniu wysiłku myśli w zgłębianiu absolutu i prawa stworzenia.[1])

Innymi pobudkami kieruje się duchowieństwo polskie w zwalczaniu wrońskizmu, mianowicie błędnością jego poglądów. Obowiązkiem duchowieństwa jest przestrzegać przed błędami, choćby one były głoszone pod płaszczykiem filozofii „narodowej". Błędy te zasadnicze napiętnował dobrze już ks. Gabryl, choć wrońskiści oburzają się na sąd jego nad Wrońskim. Analiza kolejna każdego z twierdzeń wrońskistów wykazuje, że nie znają oni dostatecznie zasad filozofii i teologii katolickiej, zwłaszcza w zakresie nauki o Bogu i człowieku, o poznaniu Boga i tajemnic wiary. A trzeba je znać głęboko, skoro się porusza tak delikatne zagadnienia, jakie właśnie poruszają wrońskiści.

Szkoda doprawdy, że ci ludzie zawikłali się we wrońskizm, gdyż talenty ich mogłyby oddać Polsce i Kościołowi wielkie usługi.

---

[1]) *Zet*, styczeń 1938, str. 9.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Tezy antropologiczne rasizmu.

W dniu 13 kwietnia 1938 r., sekretarz Św. Kongregacji Seminariów i Uniwersytetów w Rzymie, wystosował do J. E. Kardynała Baudrillart pismo, w którym zostało sformułowane stanowisko nauki katolickiej w stosunku do rasizmu. W piśmie tym znajdujemy również wezwanie skierowane do Uniwersytetów i Wydziałów katolickich, by w zakresie swych dyscyplin naukowych szukały argumentów dla odparcia błędnych twierdzeń zwolenników ideologii rasistowskiej.

Treść pisma Św. Kongregacji obudziła żywe zainteresowanie w kołach zajmujących się badaniem naturalnej i moralnej historii rodzaju ludzkiego. Przyczyną zainteresowania nie była oczywiście nowość wyrażonych w tym piśmie poglądów, ponieważ negatywne stanowisko Kościoła w odniesieniu do haseł rasistowskich było już i przedtem ogólnie znane.

Największe wrażenie wywołał jasny i lapidarny sposób ujęcia tych punktów, w których rasizm przeciwstawia się zasadom katolicyzmu. Od razu stało się widoczne, że w tych właśnie punktach poglądy rasistów są również sprzeczne z wynikami obiektywnych badań naukowych. Słuszną więc wydaje się rzeczą, by do odparcia rasistowskich błędów przyczynili się i ci badacze, którzy pracują poza obrębem uniwersytetów i wydziałów katolickich. Najbardziej zaś powołani są do tego ci, którzy pracują w dziedzinie nauk antropologicznych. Na nich spoczywa bowiem obowiązek kontroli i prostowania wniosków, które rasizm wysnuwa z materiałów i wyników antropologii, oraz

nauk z nią stowarzyszonych. W ramach tego artykułu nie możemy oczywiście przeprowadzić szczegółowej dyskusji naukowej nad wszystkimi punktami pisma Św. Kongregacji. Ograniczymy się tu tylko do ogólnego rozpatrzenia tez rasistowskich ze stanowiska nauk antropologicznych.

Przegląd ten wypada poprzedzić krótkim przedstawieniem głównych pojęć i terminów, które w tej dyskusji są używane. Jest to tym bardziej wskazane, że jak się przekonamy, wiele błędów rasizmu wynika z pomieszania pojęć i z niedopuszczalnej nieścisłości w określaniu ich przedmiotu. [1])

Główne zagadnienia i pojęcia nauk antropologicznych.

Jako nauki antropologiczne ujmujemy trzy dyscypliny związane wspólnotą ostatecznego celu swych badań. Należy tu antropologia w ścisłym tego słowa znaczeniu, etnologia i prehistoria. Przedmiotem badań antropologii jest człowiek jako jednostka biologiczna. Wedle klasycznej definicji P. Broca bada ta nauka człowieka, jako pewną całość naturalną, z uwzględnieniem jej części, oraz stosunku do pozostałej przyrody. Znamienne uzupełnienie tej definicji dał J. Czekanowski: „Antropologia jest nauką badającą człowieka jako biologiczne podłoże zjawisk społecznych". Przy takim ujęciu zadań antropologii staje się już widoczny związek między tą nauką biologiczną, a naukami typu socjologicznego: etnologią i prehistorią. Antropologia zajmuje się badaniem właści-

[1]) Wyliczenie najważniejszych nawet dzieł, traktujących o zagadnieniach, związanych z rasizmem, zajęłoby tu za dużo miejsca. Dlatego ograniczymy się tylko do wskazania kilku źródeł, w których znaleźć można odpowiednie wskazówki bibliograficzne. Wyniki nowoczesnej antropologii ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień systematycznych, ujmuje J. Czekanowski: *Człowiek, jego rasy i życie.* II Wyd. 1937. Trzaska, Evert i Michalski, Warszawa. — Najkompletniejszym źródłem do dziejów rasizmu jest trzytomowe dzieło L. Schemann'a: *Die Rasse in den Geisteswissenschaften.* 1928 — 1931. J. F. Lehmann, München. — Również wymienić należy H. F. K. Günthera: *Rassenkunde d. deutschen Volkes.* 1934. J. F. Lehmann, München. Syntezę wyników współczesnej etnologii w zakresie badań nad kulturą duchową podaje pomnikowe dzieło P. W. Schmidt'a: *Der Ursprung der Gottesidee.* 1912 — 1935. Münster i. W.

wości, które człowiek odziedziczył po swych przodkach, lub też nabył pod wpływem czynników środowiska przyrodniczego. Świadoma działalność człowieka nie odgrywa więc decydującej roli w kształtowaniu się tych właściwości; czynniki kształtujące uchylają się tu bowiem od bezpośredniej kontroli ludzkiej. Natomiast etnologia i prehistoria badają wytwory działalności ludzkiej, a więc te elementy kultury materialnej, społecznej i duchowej, których forma zależy od świadomej woli człowieka. Wspólnym zadaniem nauk antropologicznych jest zaś rozwiązanie zagadnienia w jakiej mierze ów podświadomy czynnik biologiczny wpływa na kształtowanie się świadomie wytwarzanych elementów kultury. Ten problem musi być oczywiście traktowany w perspektywie historycznej i dlatego współpraca wszystkich trzech nauk antropologicznych rozwija się najżywiej w dziedzinie odtworzenia dziejów naturalnych i kulturalnych człowieka.

Z powyższych rozważań wynika, że mimo ostatecznej wspólnoty celu swoich badań nauki antropologiczne muszą operować różnymi pojęciami. W antropologii, która jest nauką biologiczną są te pojęcia kategoriami przyrodniczymi, natomiast w etnologii i w prehistorii są to kategorie humanistyczne.

Antropologia odgranicza więc pojęcie rodzaju ludzkiego *(genus Homo)* od pojęć innych rodzajów biologicznych. Stwierdza ona, że rodzaj ludzki jest dzisiaj reprezentowany przez jeden tylko gatunek *(species Homo sapiens)* i że w obrębie tego gatunku wyodrębniają się trzy odmiany *(varietates)*: biała, żółta i czarna. W każdej z tych wielkich odmian jest jeszcze rozmaitość cech tak znaczna, iż możemy w ich obrębie wyróżnić podrzędniejsze jednostki systematyczne, a mianowicie rasy. Rasa jest więc pojęciem z zakresu systematyki biologicznej; odpowiada ona takiemu zespołowi cech wewnętrzno-gatunkowych, który jest przekazywany z pokolenia na pokolenie wedle praw dziedziczności. Są to nie tylko cechy morfologiczne, lecz również właściwości fizjologiczne i psychiczne. Nie może więc dzisiaj ulegać wątpliwości, że zróżnicowanie rasowe gatunku ludzkiego jest faktem uchwytnym przy użyciu obiektywnych metod analitycznych.

Poprzednio w okresie triumfu idei darwinistycznych nie doceniano tych zjawisk. Wyobrażano sobie wówczas, że wskutek krzyżowania się ludzi różnego pochodzenia i wskutek działania tzw. doboru naturalnego wytwarza się mieszanina wyrównana, w której rozpływają się pierwotne składniki rasowe. Dzisiaj wiemy, że taki pogląd nie odpowiada rzeczywistości, ponieważ zespół cech rasowych utrzymuje się nawet w najbardziej złożonych mieszaninach, wyłaniając się z nich w następnych pokoleniach w swej pierwotnej postaci. Procesy krzyżowania się składników, czyli elementów rasowych odbywają się między ludźmi współżyjącymi w jednej grupie. Taką grupę złożoną z przedstawicieli obu płci w której przejawiają się procesy krzyżowania nazywamy w antropologii p o p u l a c j ą.

Populacja jest więc grupą społeczną, a wskutek tego badając ją musimy uwzględnić jej charakter etniczny, kulturalny i historyczny. Tu właśnie, w badaniach nad populacjami otwiera się pole jak najściślejszej współpracy nauk antropologicznych. Obie dyscypliny socjologiczne przystępują oczywiście do tych badań z własnymi pojęciami, których przedmiot nie leży już w zakresie biologii, lecz w dziedzinie zjawisk społecznych i duchowych. Grupa ludzka, którą antropolog określa jako populację może przedstawiać dla etnologa cały szereg typów współżycia społecznego. Może to być jakaś grupa terytorialna (gmina, parafia), plemię, grupa wyznaniowa, klasa społeczna, a nawet, przy szerokim uogólnieniu terminu populacja, naród lub państwo. Dla prehistoryka, który wyprowadza swe wnioski z wytworów kulturowych pozostawionych przez wymarłe już grupy społeczne, odpowiednikiem populacji jest pewien zlokalizowany typ kultury przedhistorycznej.

W tej chwili możemy już sformułować dwa główne wyniki badań prowadzonych przez nauki antropologiczne nad grupami ludzkimi:

1) Każda, nawet najmniej liczna i najprostsza grupa społeczna posiada złożoną strukturę rasową; w skład jej wchodzą różne elementy rasowe; nie ma więc na świecie grup społecznych w których byłaby reprezentowana tylko jedna rasa.

2) Więzią utrzymującą zwartość grupy społecznej nie są czynniki biologiczne, lecz czynniki kulturowe. Zmiana składu rasowego nie pociąga za sobą żadnych zmian w etnicznym i kulturowym charakterze grupy, o ile temu biologicznemu procesowi nie towarzyszy równocześnie infiltracja nowych elementów językowych i kulturowych.

Staraliśmy się przedstawić zwięźle najważniejsze pojęcia i wyniki nauk antropologicznych w zakresie badań nad populacją. Teraz wypada w ich świetle rozpatrzyć terminologię używaną przez zwolenników rasizmu. Nie od rzeczy będzie, gdy zwrócimy przedtem uwagę na samo pochodzenie i historię terminu „rasa". Najprawdopodobniej ma to słowo rodowód semicki i wywodzi się od arabskiego *ras* (głowa, początek, pierwiastek). Stamtąd przeszło do języków romańskich (hiszp. *raza;* włosk. *razza;* franc. *race),* a dopiero w XVIII w. zyskało prawo obywatelstwa w terminologii naukowej (G. Buffon). Już wówczas był ten termin używany w dwojakim znaczeniu. W nauce oznaczano nim biologiczną jednostkę systematyczną, a w mowie potocznej, w literaturze politycznej i w beletrystyce stosowano go do określania zbiorowości wyróżniających się jakąś swoistą cechą. Mówiono więc o „rasowych arystokratach", „rasowych kobietach", „rasowych artystach" itd. Bardziej określone znaczenie nadali terminowi r a s a wielcy historycy francuscy XIX wieku. Pisząc o „rasie francuskiej", mieli oni na myśli zespół właściwości kulturowych charakterystycznych dla Francuzów. W tym znaczeniu termin „rasa" odpowiada najściślej polskiemu terminowi „naród". Zastosowanie terminu „rasa" przez Francuzów w tym właśnie znaczeniu, posiada bardzo poważne uzasadnienie. Słowa *nation* i *nationalité* odpowiadają w języku francuskim pojęciu przynależności państwowej, która nie musi iść w parze z przynależnością kulturową do narodu francuskiego, w naszym tego słowa znaczeniu. Emigrant z Syrii, lub ze wschodniej Europy, który uzyskał *nationalité française* nie należy jeszcze do zbiorowości oznaczanej nazwą *la race française,* tak jak u nas posiadanie obywatelstwa polskiego, nie jest równoznaczne z przynależnością do narodu polskiego. W tym samym znaczeniu jest słowo *race,* używane

również w języku angielskim. W literaturze europejskiej spotykamy więc już od połowy XIX w. termin „rasa" w dwóch zupełnie różnych znaczeniach:

1) Rasa — biologiczna jednostka systematyczna podrzędna w stosunku do gatunku *(species)* i odmiany *(varietas)*.

2) Rasa — naród, czyli zbiorowość etniczna, związana wspólną kulturą i wspólną historią.

Rozpatrzmy teraz, którą z tych dwóch definicyj uznał rasizm za podstawę swej ideologii. Ta sprawa posiada swą bardzo wymowną historię.

Metamorfozy rasizmu.

Elementy rasistowskiego poglądu na świat zostały sformułowane przez Francuza hr. A. Gobineau w jego znanym dziele *Essai sur l'inégalité des races humaines* (1853, 1885). Ten historyk kultury posiadał wprawdzie ogromną intuicję i zmysł syntetyczny, brak mu było jednak odpowiedniego fundamentu przyrodniczego. Zresztą ówczesna antropologia nie rozporządzała jeszcze tym zapasem materiałów i tymi wynikami co dzisiaj. Pojęcie rasy nie jest więc u Gobineau sformułowane w sposób ścisły. Identyfikuje on białą odmianę człowieka z „rasą aryjską", którą uznaje za twórcę i piastuna wszystkich istotnych wartości kulturalnych. Zaznacza się tu przekonanie właściwe starej, antropologicznej szkole francuskiej, o pierwotnej jednolitości rasowej grup etnicznych. Najaktywniejszych zwolenników i kontynuatorów znalazł Gobineau w Niemczech wśród historyków kultury. — H. St. Chamberlain (1899) i L. Woltmann (1905) usiłowali sprecyzować poglądy Gobineau w ten sposób, że za ten najbardziej wartościowy pod względem kulturalnym element uznali oni „rasę germańską", względnie „teutońską". W tych poglądach odzwierciedlił się również ówczesny stan antropologii, która stwierdziła już wówczas niejednolitość rasową w obrębie białej odmiany człowieka. Chamberlain i Woltmann operowali pojęciem „rasa" rozumiejąc przez nie pewien zespół cech psychofizycznych. Ich definicja rasy odpowiada więc z grubsza obecnemu terminowi używanemu w antropologii

systematycznej. Ci wcześni teoretycy rasizmu nie zdawali sobie jednak dokładnie sprawy z różnorodnego pod względem rasowym składu populacji. Ich „rasa germańska", która w naszej dzisiejszej terminologii odpowiada rasie nordycznej, miała być głównym jeśli nie jedynym składnikiem ludów germańskich. Wskutek takiego postawienia sprawy nastąpiło tu znowu pomieszanie pojęcia biologicznego z kategorią etniczną względnie kulturową.

Niesłychany zamęt spowodowany w antropologii przez te historiozoficzne syntezy został usunięty dopiero przez J. Czekanowskiego, który wprowadził metody określania przynależności rasowej i ilościowego ujmowania składu populacji. Wystarczy tu podać wyniki określenia składu rasowego kilku starogermańskich seryj, aby się przekonać, że utożsamianie rasy nordycznej z Germanami okresu wczesnohistorycznego nie posiada żadnego uzasadnienia.

Składniki rasowe:

	nordyczny	śródziemnomorski	armenoidalny	laponoidalny
Szwedzi epoki żelaza	46.6	39.3	2.2	11.8
Wikingowie (Jomsborg)	50.0	35.4	2.7	12.5
Goci z Nikołajewki (Ukraina)	48.0	25.3	14.3	12.3
Anglosasi	24.5	38.7	14.3	22.5
Mogiły rzędowe (Gisieng)	23.9	37.8	15.7	22.8

Jak widzimy, skład rasowy tych seryj germańskich jest bardzo złożony, a poszczególne grupy wykazują między sobą wcale poważne różnice. Wspólną ich cechą jest to, że największą ilościowo rolę odgrywają tu dwa składniki: nordyczny i śródziemnomorski, przy czym u Germanów wschodnich osiąga przewagę element nordyczny, a u zachodnich śródziemnomorski.

Teza o nordycznej jedności rasowej Germanów nie wytrzymuje więc żadną miarą obiektywnej krytyki naukowej. Wysunięcie tej zupełnie błędnej koncepcji było możliwe tylko dla-

tego, że w okresie jej popularności nie rozporządzano, ani odpowiednimi metodami badania składu populacji, ani też dostatecznym materiałem. Trzeba tu bowiem podnieść, że np. Niemcy są jeszcze dzisiaj jednym z najmniej zbadanych pod względem antropologicznym krajów Europy. Sądy o nordyzmie niemieckim były w znacznym stopniu „robione na kredyt" i rozwiały się z chwilą, gdy uzyskano poważniejsze materiały. Okazało się wówczas, że struktura rasowa dzisiejszych ludów germańskich jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż w okresie wczesnohistorycznym i że granice antropologiczne w Europie nie pozostają w żadnym stosunku do obecnych granic językowych i narodowych. Niemcy północni są pod względem swego składu rasowego znacznie bliżsi północnym Polakom i Rosjanom, niż Niemcom południowym, którzy znowuż posiadają tę samą strukturę rasową co Czesi, lub środkowi Francuzi. Nowoczesny naród jest nie tylko czymś zupełnie różnym od hipotetycznej „czystej grupy rasowej", która zresztą nigdy nie istniała, lecz nie może nawet być ujmowany, jako jednostajny pod względem swego składu rasowego typ populacji. Więź narodowa nie posiada żadnego uzasadnienia biologicznego, lecz jest wyłącznie rezultatem historycznego współżycia w tych samych warunkach kulturowych. Ta więź narodowa była u Niemców bardzo osłabiona wskutek wielowiekowego rozbicia politycznego i tragicznej różnicy religijnej między katolickim Południem a protestancką Północą. Tym właśnie tłumaczyć należy oddźwięk, który w kołach bojowników o jedność niemiecką znalazły mity o pragermańskiej jedności i doskonałości rasowej. Miały one wzmocnić niemiecką wspólnotę narodową, oraz uzasadnić prawo ekspansji niemieckiej na obszary rasowo niższych sąsiadów. Na nieszczęście dla swych wyznawców mit okazał się mitem i nie znalazł oparcia w rzeczywistości. [1])

[1]) Te same tendencje zaznaczyły się ostatnio i we Włoszech, gdzie pewna grupa profesorów i docentów uchwaliła tezy włoskiej doktryny rasowej. Jest przy tym godne uwagi, że wśród tych którzy podpisali ten manifest, brak nazwisk najpoważniejszych antropologów włoskich. Jedna z tez tego manifestu głosi, że istnieje „czysta rasa włoska".

W okresie kształtowania się ruchu narodowo-socjalistycznego w Niemczech w latach powojennych zdawano sobie już sprawę z tego, że naród niemiecki, jak każdy inny naród w Europie, posiada złożoną strukturę rasową. Uświadomienie sobie tego faktu musiało oczywiście pociągnąć za sobą poważne przeobrażenie pierwotnej doktryny rasistowskiej. Te przeobrażenia możemy śledzić bardzo wyraźnie w dziełach H. F. K. Günthera, który jeszcze przed objęciem władzy przez partię narodowo-socjalistyczną był wyrazicielem jej ideologii na terenie antropologicznym. W pierwszych wydaniach jego tak popularnych książek, znajdujemy jeszcze poglądy identyczne ze starymi ujęciami Chamberlain'a i Woltmann'a: nordyzm Germanów i prymat rasy nordycznej wśród innych ras ludzkich. Później jednak pojawiają się tam zupełnie poprawne sądy o składzie rasowym ludności niemieckiej i pozytywne oceny walorów innych składników rasowych. Musimy przyznać Güntherowi wielką intuicję w ocenie antropologicznej rzeczywistości niemieckiej i konsekwencję w wysuwaniu wniosków natury społecznej ze swych poglądów antropologicznych. Społeczne postulaty zreformowanego rasizmu ujął on jako konieczność takiej organizacji państwa i społeczeństwa, w której bardziej wartościowe składniki ludności posiadałyby przywileje gwarantujące utrzymanie ich biologicznej i duchownej dynamiki. Oczywiście musiałoby się to odbyć kosztem elementów uznanych za mniej wartościowe.

Jak ta „włoska rasa" wygląda w rzeczywistości, o tym poucza nas zestawienie dwóch następujących składów:

Składniki rasowe:

	nordyczny	śródziemnomorski	armenoidalny	laponoidalny
Włosi centr.	22.1	34.3	20.6	23.1
Sycylianie	18.8	55.2	8.7	17.5

Dla orientacji można tu zauważyć, że pod względem składu rasowego Włosi centralni są znacznie podobniejsi do jugosłowiańskich Dalmatyńców, niż do swych kompatriotów z Sycylii, a ci zbliżają się najbardziej do ludności wysp greckich. Ogłoszenie włoskiej doktryny rasowej można tłumaczyć tylko tym, że mimo wszelkich wysiłków faszyzmu, odczuwa się jeszcze ciągle we Włoszech potrzebę wzmacniania jedności narodowej, która, aż do ostatnich czasów, była tam istotnie bardzo luźna.

Tak wyglądał program rasistowski w chwili, gdy partia narodowo-socjalistyczna obejmowała władzę w Niemczech. Rząd Trzeciej Rzeszy miał teraz możność wprowadzenia w życie rasistowskich postulatów selekcjonowania społeczeństwa wedle hipotez antropologicznych. Na dobro tego rządu należy zapisać, że nie próbował on nawet urzeczywistnić tego programu. Forytowanie elementu nordycznego ograniczyło się do rozpisywania konkursów na „rasowych nordyków", których fotogeniczne podobizny publikowały prywatne firmy wydawnicze. Nawet powierzchownie obeznany z typologią antropologiczną obserwator może stwierdzić z łatwością na podstawie rycin w tygodnikach ilustrowanych, że w doborze swych paladynów *Führer* nie kieruje się bynajmniej diagnozą rasistowskiej antropologii. Jest przecież zrozumiałe, że nawet gdyby doktryna hierarchii ras posiadała rzeczywiście poważne podstawy naukowe, to i wówczas wprowadzenie jej w życie pociągnęłoby za sobą nie tylko rewolucję społeczną, lecz również osłabiłoby żywotność narodu. Tam zaś, gdzie przyrost naturalny jest mały, a szanse polityki opierają się głównie na sile zbrojnej, wszelkie najefektowniejsze nawet programy muszą ustąpić w cień przed rzeczywistą rzeczywistością, która domaga się jak największej ilości materiału ludzkiego.

Bezlitosna ironia historii pozbawiła ideologię rasistowską treści materialnej w tym właśnie momencie, gdy zaistniały polityczne warunki jej zrealizowania. Biologiczna rasa, która w teorii miała być najistotniejszym motorem nowego ładu, została już w pierwszym etapie jego budowy zupełnie spostponowana. Z tą chwilą nastąpić musiała również nowa metamorfoza rasizmu niemieckiego.

W swej nowej postaci, która znalazła najdobitniejszy wyraz w pismach Rosenberga — trwa on do dnia dzisiejszego. Jest to postać zdematerializowana. Słyszymy wprawdzie jeszcze ciągle o „rasie", ale ta „rasa" nie ma już nic wspólnego z zespołem cech fizycznych, który podlega prawom biologicznym; słyszymy również o „krwi niemieckiej", ale ta krew nie ma nic wspólnego z serologią. Rasizm niemiecki rozszedł się z biologią i zaczął formułować swe pojęcia w kategoriach metafi-

zycznych. Jego pojęcie „rasy" zbliża się coraz bardziej do tego znaczenia, które Francuzi nadają swemu słowu *race*, a Polacy słowu naród. Dlatego też w dyskusji nad poszczególnymi punktami listu św. Kongregacji będziemy brali pod uwagę te dwa możliwe znaczenia terminu „rasa" — biologiczne i socjologiczne.

Błędy rasizmu.

Spośród ośmiu punktów doktryny rasistowskiej, wyliczonych w piśmie św. Kongregacji, rozpatrzymy tu tylko sześć pierwszych. Treść ich wchodzi bowiem w zakres badań nauk antropologicznych.

1) Rasy ludzkie, dzięki swoim cechom naturalnym i niezmiennym, są tak między sobą różne, że najniższa spośród nich jest dalszą od najwyższej, niż od najwyższego gatunku zwierzęcego.

W tej tezie mamy do czynienia z dwoma twierdzeniami:

1) są rasy niższe i rasy wyższe;

2) stopień różnicy między rasą niższą, a najwyższym gatunkiem zwierzęcym jest mniejszy od stopnia różnicy między rasą niższą, a rasą wyższą.

Rozprawimy się tu najprzód z tym drugim twierdzeniem, ponieważ dotyczy ono zasadniczego problemu różnicy między światem zwierzęcym a człowiekiem.

Poglądy o bliskim pokrewieństwie pewnych ras ludzkich ze zwierzętami, a mianowicie z gatunkami małp człekokształtnych były wysuwane już dawno przez poligenistów, którzy sądzili, że człowiek nie reprezentuje jednego gatunku, lecz, że jego odmiany wywodzą się od różnych gatunków przedludzkich. Po tym znajdujemy ten sam pogląd u darwinistów. Przypuszczali oni, że rasy ludzkie można uszeregować w łańcuch rozwojowy, w którym rasy pierwotne, czyli niższe wiązałyby się bezpośrednio z pokrewnymi im gatunkami człekokształtnymi.

Tym błędnym poglądom przeciwstawia dzisiaj nauka bezspornie udowodnioną tezę biologicznej jedności rodzaju ludzkiego. Wszystkie odmiany i wszystkie rasy ludzkie są częściami jednego i tego samego gatunku. Roz-

strzygającym dowodem jest tu stwierdzenie faktu, że przy krzyżowaniu się przedstawicieli najbardziej odmiennych nawet ras otrzymujemy potomstwo zdolne do dalszego rozmnażania się. Natomiast wiadomo, że mieszańcy, pochodzący od rodziców, należących do dwóch różnych gatunków zwierzęcych, są bezpłodni. Jedność rodzaju ludzkiego stwierdzamy również rozpatrując właściwości morfologiczne człowieka i porównując je z cechami najwyżej rozwiniętych ssaków. Wystarczy tu wymienić pionową postawę ciała i związane z tym różnice w budowie szkieletu, oraz potężny rozwój mózgu, który doprowadził do tego, że pojemność mózgoczaszki jest u człowieka znacznie większa od pojemności twarzoczaszki. Wszystkie rasy ludzkie posiadają te cechy i każda z nich jest pod względem antropologicznym znacznie bliższa innym rasom swego gatunku, niż najwyższym nawet rodzajom małp człekokształtnych.

Różnice między człowiekiem, a światem zwierzęcym zaznaczają się jeszcze jaskrawiej w dziedzinie funkcyj psychicznych. Najważniejszą z nich jest mowa artykułowana, którą posiadają wszystkie rasy ludzkie, a której brak zwierzętom. Specyficzną właściwością człowieka jest zdolność do tworzenia wartości kulturalnych, oraz pomnażania ich nowymi nabytkami, czego zwierzęta nie posiadają. Takim wspólnym dla całej ludzkości elementem kultury jest np. znajomość użycia ognia, którego zwierzęta nie znają.

Różnice rasowe w obrębie naszego gatunku są wyraźne i trwałe, lecz dotyczą one tylko cech drugorzędnych i nie są w stanie zaćmić faktu jedności gatunkowej wszystkich ras ludzkich, oraz zasadniczego przedziału, jaki istnieje między człowiekiem, a zwierzęciem.

Teraz zaś rozpatrzmy, czy i o ile słuszne jest twierdzenie, że istnieją rasy „niższe" i rasy „wyższe"? Mogą być oczywiście bardzo różne kryteria „niższości" rasowej. Znamion tej „niższości" można się dopatrywać w zakresie cech morfologicznych, fizjologicznych i psychicznych. Studiując morfologię ras ludzkich, można z łatwością stwierdzić, że poszczególne części szkieletu i ciała przedstawiają bardzo szeroką skalę wahań w obrębie gatunku ludzkiego i że w tej skali znajdują się formy zbliżone do analogicznych cech u małp

antropomorficznych. Formy zbliżone do zwierzęcych określa się zwykle, jako retrogresywne, czyli wsteczne, a formy bardziej wyspecjalizowane, jako progresywne, czyli postępowe. Trzeba jednak stwierdzić równocześnie, że stopień różnicy między najbardziej oddalonymi właściwościami różnych ras ludzkich — jest zawsze mniejszy, niż stopień różnicy między najbardziej retrogresywną cechą ludzką, a najbardziej progresywną zwierzęcą. Najważniejszą jednak zdobyczą nowoczesnej antropologii jest to, że bada ona człowieka, jako naturalny zespół cech, od którego nie można oddzielać sztucznie poszczególnych właściwości dla abstrakcyjnego ich rozpatrywania. Z tego, jedynie słusznego, stanowiska należy stwierdzić, że żadna z odmian i ras ludzkich nie może być uznana za niższą lub wyższą od pozostałych. W zespole swych cech morfologicznych, kojarzą one bowiem właściwości uznane za retrogresywne z właściwościami progresywnymi. Co do fizjologii ras ludzkich, to trzeba przede wszystkim zauważyć, że jest to jedna z najmniej zbadanych dziedzin dzisiejszej antropologii. Wyniki, którymi w tej dziedzinie rozporządzamy, nie upoważniają do ustalania żadnej hierarchii ras.

Bez względu jednak na to, jakich wyników dostarczą dalsze badania morfologiczne i fizjologiczne, musimy uznać, że psychologia ras jest tym działem antropologii, który posiada rozstrzygające słowo w dyskusji nad nierównością ras ludzkich. Oczywiście wchodzą tu w rachubę tylko wyniki, posiadające poważne uzasadnienie naukowe; wszystkie zaś efektowne, ale nie oparte na niczym syntezy muszą być traktowane z jak największym sceptycyzmem. Do tej właśnie wątpliwej kategorii musimy zaliczyć psychiczne charakterystyki ras, którymi operują rasiści. Antropologia rozporządza jednak pewną ilością rezultatów, które pozwalają na ujęcie różnic psychicznych między rasami. Badano takie zjawiska, jak czas reakcji na rozmaite bodźce, intensywność reakcji na współzawodnictwo i typy uzdolnień. Wyniki tych badań można ująć ogólnie w stwierdzeniu istnienia poważnych różnic psychicznych między rasami. Nie upoważnia to jednak w najmniejszym nawet stopniu do rozróżniania między rasami „wyższymi" a „niższymi", ponieważ badania wykazują

niedwuznacznie, że każda rasa posiada właściwe sobie zalety i niedostatki psychiczne. Np. ludzie rasy nordycznej reagują bardzo szybko i dokładnie na podniety wzrokowe, a za to są opieszali w reagowaniu na bodźce akustyczne. Natomiast ludzie rasy armenoidalnej reagują szybko na bodźce słuchowe, a gorzej na wzrokowe i motoryczne. Typy uzdolnień badane na materiale szkolnym wykluczają się nawzajem. Zdolni mechanicy rasy nordycznej są kiepskimi humanistami, podczas gdy przedstawiciele rasy laponoidalnej zachowują się wręcz odwrotnie. Nie ma natomiast żadnej rasy, którą można by uznać za wcielenie doskonałości, jak też nie ma rasy wszechstronnie upośledzonej. Rasy są różne, lecz nie są różnowartościowe.

Teza druga: Wszystkimi sposobami należy zachowywać i pielęgnować dynamikę rasy i czystość krwi. Wszystko, co prowadzi do tego rezultatu jest przez sam ten fakt szlachetne i dozwolone.

Ta teza musi być rozpatrzona przy użyciu obu możliwych znaczeń terminu rasa.

Traktując rasę, jako jednostkę biologiczną, musimy stwierdzić, że zachowanie jej dynamiki tj. rozrodczości i zdolności do maksymalnych świadczeń fizycznych i umysłowych, zależy w najznaczniejszym stopniu od warunków środowiska, które tylko częściowo mogą być regulowane przez człowieka. Dotychczasowe doświadczenia pouczają nas, że pewne rasy wykazują osłabienie swej dynamiki w obcych sobie środowiskach geograficznych. Zdaje się np., że rasa nordyczna, której obszar znajduje się w strefie umiarkowanej, nie posiada dostatecznej odporności w krajach strefy tropikalnej. Ostatnie badania wskazują na możliwość selekcyj patologicznych, którym podlegają przedstawiciele ras obcych pewnym środowiskom antropogeograficznym. Niekorzystnych wpływów środowiska geograficznego nie jesteśmy w stanie usunąć, a wskutek tego postulat „zachowania dynamiki rasowej" może być w tym zakresie urzeczywistniony tylko przez rozsądne stosowanie się do warunków przyrodniczych.

Co do postulatu „zachowania czystości krwi", to należy tu podkreślić jego zupełną nierealność. Powta-

rzamy, iż nie ma na świecie populacji złożonej z osobników, należących do jednej tylko rasy! Gdybyśmy więc chcieli w obecnych warunkach wyhodować taką „czystą linię rasową", to musielibyśmy wybierać w każdej populacji osobniki reprezentujące pewną rasę i izolować je w obozach koncentracyjnych, aby uniknąć możliwości krzyżowania się ich z przedstawicielami ras odmiennych. Takie eksperymenty można robić z powodzeniem na koniach, myszach i owadach, ale stosowanie ich do ludzi jest niewykonalne, nawet w ustrojach totalistycznych. Zresztą prawa dziedziczności strzegą lepiej od wszelkich reglamentacyj trwałości składników rasowych. Mimo mieszania się najrozmaitszych ras, stwierdzamy istnienie tych samych elementów ludności europejskiej od młodszego paleolitu, aż do dnia dzisiejszego.

Mieszanina rasowa, którą jest każda grupa społeczna, posiada naturalne i historyczne podstawy, których rozbicie doprowadziłoby do ruiny społeczeństwa. Zresztą wiele przemawia za tym, że właśnie te społeczeństwa, których skład rasowy jest najbardziej urozmaicony, wykazują najżywszą aktywność kulturalną. Można tu zwrócić uwagę na fakt, że najważniejsze ośrodki kultury europejskiej znajdują się w tej strefie antropologicznej naszej części świata, w której cztery główne składniki ludności europejskiej reprezentowane są w równych mniej więcej liczebnościach. Tę większą aktywność kulturalną grup o bardziej urozmaiconej strukturze rasowej tłumaczyć można tym, że sumują się w nich i uzupełniają właściwości psychiczne różnych ras, co jest korzystne dla wszechstronnego rozwoju kultury.

Rozpatrzmy teraz rasistowski postulat „zachowania dynamiki i czystości krwi" ze stanowiska drugiej definicji terminu „rasa". Ujmując rasę, jako naród, czyli zbiorowość kulturową musimy przyjąć, że utrzymanie i rozwój jej dynamiki są równoznaczne z utrzymaniem i rozwojem poziomu kulturalnego narodu. Otóż wyniki badań etnologicznych i historycznych stwierdzają dziś bezspornie, że kultura narodowa nie jest bynajmniej monolitem, reprezentującym tylko elementy oryginalnej twórczości narodowej. Kultura każdego narodu składa się z wielu warstw, których pochodzenie jest

bardzo rozmaite. Wśród tych warstw kulturowych znajduje się oczywiście również zespół elementów, stanowiących dorobek twórczości oryginalnej. Te właśnie elementy odróżniają kultury poszczególnych narodów. Nie należy jednak zapominać, że nawet u najaktywniejszych kulturalnie narodów stanowią te elementy oryginalne tylko część ich ogólnej kultury. Inne warstwy są pochodzenia obcego, ich elementy zostały przez naród zasymilowane, a nie oryginalnie wytworzone.

Wpływ kultury obcej musi być uznany za najważniejszy czynnik rozwoju kulturalnego, tym bardziej, że nie sprowadza się on tylko do naśladowania obcych wzorów, lecz stanowi z reguły podnietę do rozwinięcia własnej twórczości. Nie można więc uzgodnić dbałości o zachowanie dynamiki kultury narodowej z odcinaniem się od wpływów kultur obcych. Doktryna „czystości", pojmowanej jako autarkizm kulturalny, prowadzi do zubożenia kultury i zupełnego jej zastoju. Nie brak w historii przykładów, świadczących o zgubnych skutkach otaczania kultury chińskimi murami.

Stwierdzenie nierzeczywistości postulatów rasizmu, w odniesieniu do biologicznych i kulturowych podstaw życia społecznego, zwalnia nas od obowiązku oceny etycznej wartości środków, które chce on stosować do ich realizacji. Niewątpliwie zostaną one odpowiednio oszacowane przez tych, którzy zajmują się nauką o moralności.

Teza trzecia: Wszystkie przymioty umysłowe i moralne człowieka pochodzą z krwi, która jest głównym źródłem cech rasowych.

Teza czwarta: Istotnym celem wychowania jest rozwijanie cech rasy i rozpalanie umysłów gorącą miłością własnej rasy, jako najwyższego dobra.

Teza piąta: Religia podlega prawu rasy i winna być do niej dostosowana.

Teza szósta: Pierwszym źródłem i najwyższą zasadą wszelkiego porządku prawnego jest instynkt rasowy.

Te cztery tezy rasizmu wypada rozpatrzyć łącznie, ponieważ posiadają one wspólny motyw w twierdzeniu, że

źródłem moralnych, religijnych i legalnych urządzeń społecznych jest „rasa".

Już powyżej zwróciliśmy uwagę na fakt, że różnice psychiczne stwierdzone między rasami, dotyczą zawsze stopnia rozwoju pewnej dyspozycji, a nigdy jej zupełnego braku. — Istotnie, podstawowe funkcje psychiczne, odróżniające człowieka od zwierzęcia są wspólne wszystkim rasom. Te funkcje wystarczają najzupełniej do osiągnięcia najwyższych poziomów w nauce i w sztuce, a rola, którą przy tym odgrywa czynnik rasowy, może się co najwyżej ograniczać do subtelnych zabarwień stylu danego utworu, nie wpływa natomiast zupełnie na istotę dzieła. Uwzględniając, że tak podstawowe czynności psychiczne, jak zdolność do refleksji, do prawidłowego myślenia i do operowania pojęciami abstrakcyjnymi jest wspólna wszystkim rasom ludzkim, — możemy tutaj tezie rasistowskiej przeciwstawić stwierdzenie jedności intelektualnej rodzaju ludzkiego.

Rasizm doszukuje się jednak w „krwi" nie tylko intelektualnych, lecz i moralnych źródeł kultury. Wyznawcy jego głoszą, że rasy ludzkie posiadają swoiste i odrębne poczucie moralności. Takie twierdzenie jest zupełnie nieuzasadnione, a nawet sprzeczne z wynikami badań naukowych. W ciągu ostatnich lat trzydziestu etnologia wzbogaciła ogromnie swą podstawę materiałową i wyniki, dzięki zbadaniu społecznej i duchowej kultury ludów pierwotnych. Jako ludy pierwotne ujmujemy te drobne grupy etniczne, które w zakresie swej technologii odpowiadają poziomowi kultur europejskiego paleolitu. Przedstawicielami tej klasy kultur są afrykańscy i azjatyccy Pigmeje, Buszmeni, południowi Australczycy, Indianie kalifornijscy i mieszkańcy Ziemi Ognistej. Dawniej sądzono, że prymitywizmowi materialnej kultury tych ludów odpowiada również zacofanie w dziedzinie życia duchowego. Dopiero gruntowne badania, prowadzone przez O. W. Schmidta i jego uczniów wykazały, że w urządzeniach społecznych i wyobrażeniach religijnych ludów pierwotnych znajdują się te same główne elementy, które tworzą podstawę wielkich religij, wyznawanych przez narody cywilizowane. U tych ludów, które pod względem antropologicznym reprezentują zupełnie różne formacje rasowe i za-

ludniają najbardziej niedostępne rubieże ziemi, stwierdzono identyczne pojęcia moralne i bardzo podobne wyobrażenia religijne. Ten zaś, tak dziwny pozornie, stan rzeczy dowodzi niezbicie jedności moralnej i religijnej rodzaju ludzkiego. Niewątpliwie, u wielu ludów spotykamy praktyki i obyczaje, które są sprzeczne z naszymi pojęciami moralnymi; niewątpliwie i nasze pojęcia ulegały w ciągu wieków poważnym modyfikacjom. Te różnice nie występują jednak nigdy w zakresie podstawowych idei etycznych i nigdzie nie są one wynikiem odrębności rasowych, lecz funkcją przeobrażeń kulturalnych. Ani religii, ani ustroju prawnego nie można więc uznać za wytwór psychiki rasowej. Podstawowe elementy określające stosunek człowieka do Boga, do świata i do bliźnich, tkwią znacznie głębiej niż właściwości rasowe. Te elementy są najistotniejszą cechą naszego człowieczeństwa i one właśnie przedstawiają tę najwyższą wartość, której poznanie winno stanowić główny cel pracy wychowawczej, fundament religii i wszelkiego porządku prawnego.

Dr Stanisław Klimek
Docent Uniw. J. K.

Na drogach do konsolidacji rejonu Bałkanów i Dunaju.

I.

Rozpadanie się międzynarodowego układu, ustanowionego traktatami pokoju na przedmieściach Paryża nigdzie nie wywołało takiego przewrotu, jak właśnie w basenie Dunaju i na Bałkanach. Sierpniowe akty pojednania Bułgarii i Węgier z ich najbliższymi sąsiadami, a „dziedzicznymi wrogami", dały świadectwo nurtujących środkową Europę nastrojów, spowodowanych *Anschluss*'em i wyraźnymi tendencjami wielkich mocarstw do grupowania się w dwa wrogie sobie bloki. Przemiany w stosunku mocarstwowych sił i stanu posiadania, spowodowane rozbiorem Czechosłowacji są niemniej znaczące.[1]) Można więc przypuszczać, że przemiany te wpłyną decydująco na politykę krajów rejonu bałkańskiego i zmuszą je do obronnego zespalania swych państwowych wysiłków. Jeżeli bowiem wobec zaostrzającej się rywalizacji wielkich mocarstw dalsze rozproszkowanie indywidualnych poczynań państw Bałkanów i Dunaju może się okazać groźne dla ich interesów, niebezpieczeństwo to staje się tym aktualniejsze wobec coraz wyraźniej zarysowującej się środkowo-europej-

[1]) Podkreśla to *Frankfurter Zeitung* (6 X. 38), twierdząc, iż rozbiór Czechosłowacji... „kann für die zukünftige politische und wirtschaftliche Entwicklung des Donauraumes und des gesamten Südostens kaum überschätzt werden. Die Umwälzung ist mindestens so folgenreich, wenn nicht noch bedeutsamer, als der Anschluss Oesterreichs".

skiej przewagi jednego tylko z tych mocarstw, mianowicie Niemiec.

Opinia publiczna Europy, zaabsorbowana groźbą czesko-słowackich wypadków, szybko przeszła do porządku dziennego nad tymi objawami konsolidacyjnych wysiłków na Bałkanach i nad Dunajem. Niemałą również w tym rolę grały przedawnione już poglądy o „kotle" bałkańskim, uważające ten rejon za naturalne ognisko najrozmaitszych zatargów i lokalnych nieporozumień. Tymczasem jednak sytuacja ta znacznym uległa już zmianom. Dążność do łagodzenia istniejących regionalnych antagonizmów, wobec dojrzewania groźniejszych wspólnych niebezpieczeństw, nie jest dziś koniunkturalnym tylko zjawiskiem, lecz powszechnym nastawieniem mniejszych i średnich państw Europy. Świadczą o tym również analogiczne zabiegi w rejonie Bałtyku.

Ścisła dunajowo-bałkańska grupa państw, obejmująca Węgry, Rumunię, Jugosławię i Bułgarię, związana jest naturalnymi węzłami geografii i wspólnotą gospodarczych zainteresowań oraz politycznych niebezpieczeństw. Również jednak cały szereg innych państw jest w wysokim stopniu zainteresowany stanem spraw w tym rejonie. Polska, tworząc trzon grupy bałtyckiej, Czechosłowacja, gospodarczo i politycznie przynależna raczej do kompleksu zachodniego, a Grecja i Turcja, wchodzące w skład zespołu śródziemnomorskiego, — w tej lub innej formie związane są również z tą ścisłą dunajowo-bałkańską grupą i dlatego też zawsze mogą być powołane do czynnego z nią współdziałania.

Sposób kształtowania się narodowości bałkańskich w walce z najeźdźcą muzułmańskim, oraz naturalne warunki kraju, utrudniały wyraźne wytyczenie granic zasięgu poszczególnych narodów, oraz powstałych na tym fundamencie państw. Nie krępująca się w środkach, bałkańska rywalizacja wielkich mocarstw Wschodu i Zachodu, zaogniła jeszcze bardziej wzajemne wrogie nastawienie państw półwyspu, walczących o zdobycie dla siebie maksymalnej ilości obywateli. Zatargi o Macedonię, obejmujące ogół tych państw, były niejako symbolem bałkańskiego współżycia. Wspólna wojna z Turcją, zaokrągliła wprawdzie ich stan posiadania, nie złagodziła jednak tych antagonizmów, owszem raczej je

jeszcze zaostrzyła. Wreszcie wojna światowa pogłębiła te wszystkie spory i nieporozumienia, oraz rozszerzyła ogromnie ich geograficzny zasięg.

Pokojowe traktaty paryskie, mające stanowić na długie lata konstytucyjną kartę Europy, tworzyły w rejonie Dunaju i Bałkanów granice polityczne, raczej w myśl interesów Zachodu niż narodowych potrzeb państw tego rejonu. W myśl założeń realizowanych w Paryżu, polityczne ukształtowanie tej połaci Europy stało się niejako funkcją przyszłej europejskiej roli Niemiec. Sprzeciwiając się kategorycznie zjednoczeniu Austrii z Rzeszą, państwa Ententy rozwiązywały również inne sprawy pod kątem widzenia antyniemieckiej polityki, dążyły zatem konsekwentnie do osłabienia niemieckich sojuszników z okresu wojny. Prócz tych wspólnych dla ogółu zwycięzców intencyj, każdy z nich zmierzał ponadto do realizacji swych własnych zamierzeń na tym południowo-wschodnim odcinku Europy. Kiedy więc Francja pragnęła utworzyć na nim federację swych przyszłych przeciwko Niemcom, a ewentualnie i Włochom, sojuszników, to równocześnie Lloyd George wysilał swą pomysłowość, by Francję pozbawić takich właśnie możliwości. Bezpośredni natomiast włoski sąsiad, nie zaniedbując zabiegów o większe terytorialne zdobycze, przygotowywał teren dla przyszłych swych przeciwfrancuskich poczynań.

Nic więc dziwnego, że wysiłki takim ożywione duchem, nie wydały pokojowych rezultatów, nie przyczyniły się do zniwelowania, nurtujących na Bałkanach i w basenie Dunaju wrogich nastrojów. Przez długie też powojenne lata, Węgry nad Dunajem, a Bułgaria w samym sercu Bałkanów stają się zarzewiem niepokojów i główną przeszkodą do politycznej konsolidacji tego rejonu. Tracąc bowiem trzy prawie miliony, zwarcie osiadłych Węgrów, korona św. Stefana nie łatwo mogła pogodzić się z tym tak bolesnym faktem. Wstrzemięźliwość zaś Bułgarii w ponawianych od czasu do czasu próbach konsolidacji, znajdowała swe uzasadnienie w rozgoryczeniu spowodowanym przez pozostawienie poza obrębem jej granic licznych macedońskich rodaków, oraz odcięcie od jej naturalnego wylotu na morzu Egejskim w Dodeagaczu.

Psychiczne nastawienia, kształtujące się od wieku w świadomości bałkańskich narodów, łącznie z nowymi zadrażnieniami, spowodowanymi wojną i traktatami pokoju, ogromnie utrudniały międzynarodowe współżycie na Bałkanach i nad Dunajem. O te również przeszkody rozbijały się wszelkie wysiłki, zmierzające do politycznego i organizacyjnego zcementowania geograficznej i naturalnej jedności tego rejonu. Te również przyczyny tworzyły główne podstawy dotychczas istniejących w tym rejonie ugrupowań. Wszak Małą Ententę zrodziły właśnie obawy przed węgierskim odwetem; istnienie zaś Ententy Bałkańskiej zawdzięcza się rewanżowym nastrojom Bułgarii. Oba te ugrupowania, stawiające sobie teoretycznie także znacznie szersze zadania, wiązały swych kontrahentów wyłącznie tylko w wypadkach koniecznej obrony, spowodowanej atakiem, pochodzącym z ich własnego tylko rejonu. We wszystkich natomiast innych zagrożeniach wolność postępowania każdego z partnerów nie była niczym związana.

Zbliżenie pomiędzy tak skłóconymi państwami, wywołać mógł tylko wstrząs, któremu obecnie uległa Europa. Waśnie bowiem i rywalizacje, o lokalnym i ograniczonym bądź co bądź zasięgu, zamilknąć muszą, wobec coraz wyraźniejszego wspólnego niebezpieczeństwa, mogącego wyłonić się tak z indywidualnych apetytów wielkich mocarstw, jak również z ich możliwych prób porozumienia się kosztem słabszych. W momencie, gdy runęła austriacka kluczowa pozycja, a czechosłowacka została poważnie nadwyrężona, wyłoniła się nieunikniona potrzeba ściślejszego zcementowania politycznej mozaiki krajów, chronionych dotychczas przez tę, jak się okazało zbyt słabą, przeciwniemiecką zaporę.

II.

Z okazji podpisania paktu jugosłowiańsko-bułgarskiego zbliżeniа w styczniu 1937 roku, białogrodzkie *Vreme* pisało, iż „do niedawna kraje bałkańskie stanowiły rodzaj pola manewrów dla wielkich mocarstw, tutaj bowiem próbowały one swych sił, a na nasze głowy spadały pierwsze ciosy". Nie na inny ton nastawione były głosy i pozostałej jugosłowiań-

skiej prasy. Dzieje bałkańskiego półwyspu i powojenne wypadki w całym basenie Dunaju najdowodniej potwierdzają prawdziwość tych słów.

Nie jest rzeczą przypadku, że powojenny okres bałkański otworzono włosko-greckim zbrojnym prawie zatargiem. Bałkańska bowiem i dunajowa polityka Italii przez długi czas inspirowała się założeniami londyńskiego traktatu, poprzedzającego wejście Italii w szranki bojowe i przyrzekającego jej solidną odskocznię dla jej bałkańskich zamierzeń, w postaci Dalmacji i Albanii. Żywotne zresztą potrzeby, zamkniętego w Śródziemnomorzu i kompletnie pozbawionego wszelkich bogactw naturalnych, półwyspu Apenińskiego, najbardziej imperatywnie zmuszały do poszukiwania własnej sfery wpływów, komunikacyjnie możliwie najdogodniejszej.

Włoskie memorandum z r. 1933 proponujące organizację basenu Dunaju i protokóły rzymskie z r. 1934, w jednakowej mierze dążą do ukształtowania podporządkowanej Rzymowi grupy państw. Wbijając klin w popieraną przez Francję Małą Ententę, Italia zwalczała w ten sposób francuskie wpływy i unikała okrążenia przez francuskie sojusze. To wyraźne antyjugosłowiańskie nastawienie polityki włoskiej znajdowało swój odpowiednik i na południowym również krańcu bałkańskiego półwyspu, gdzie, jak się wyraża pewien włoski polityk — „polityka ta znalazła swe zastosowanie w dokonywanym, pod auspicjami Italii, zbliżeniu Turcji i Grecji, łączących się dla tym pewniejszego przeciwstawienia się ewentualnemu południowemu posuwaniu się Słowian".

Zbrojna wyprawa do Abisynii oraz towarzyszące jej kłopoty sankcyjne, odwróciły uwagę Italii w inną zupełnie stronę i dowodnie ją przekonały, że dotychczasowe bałkańskie jej praktyki wydały, niestety, ujemne rezultaty. Konieczność ściślejszego związania się z Niemcami, kosztem wielkich ustępstw w rejonie Dunaju, wpłynęły niemniej decydująco na radykalną zmianę dotychczasowej polityki. Włosko-jugosłowiański pakt przyjaźni z marca 1937 roku, otwiera nowy okres bałkańskiej i dunajowej polityki Italii. Wobec coraz bardziej imperatywnej potrzeby przeciwstawienia huraganowemu marszowi Niemiec ku Adriatykowi

i Bałkanom zwartej i silnej organizacji zgrupowanych na tej drodze państw, polityka italska ulega dalszej jeszcze ewolucji. Jak bowiem donosi *Times* (26 VIII. 38 r.), Italia właśnie jak najbardziej czynnie współdziałała — „w doprowadzeniu do zbliżenia pomiędzy Węgrami a Małą Ententą". Stanowisko zajęte przez Italię w rozstrzyganiu spraw Czechosłowacji, a szczególnie w kwestii projektowanej polsko-węgierskiej granicy, jest tego nowym i dowodnym świadectwem.

Mała Ententa, będąca niejednokrotnie instrumentem francuskiej polityki w basenie Dunaju i na Bałkanach, nie zawsze była jednakowo oceniana przez Francję. Istniał nawet okres, że noszono się z poważnym zamiarem przywrócenia Węgrom części ich utraconych ziem i zawiązania jakiegoś szerszego bloku państw naddunajskich. W potęgującej się jednak rywalizacji z Italią i w chęci przeciwstawienia się niemieckim, choćby tylko gospodarczym zakusom, Francja stawiała zdecydowanie na Małą Ententę, by kraje te utrzymać w wierności dla siebie. Nie szczędziła więc hojnych zasiłków w formie rozmaitych pożyczek, a równocześnie zabezpieczała się intensywną polityką wykupywania w tych krajach źródeł naturalnych bogactw. Dopiero rosnący kryzys gospodarczy oraz coraz ściślejsze zamykanie się Francji w gospodarczych granicach swego imperium osuszyły strumień tych kredytów, tym samym ogromnie zmniejszyły jej udział w międzynarodowych obrotach tych krajów, a równocześnie wybitnie zredukowały francuskie wpływy w tych rejonach.

Chociaż wśród państw Małej Ententy, Czechosłowacja była, jakby się zdawało, najbardziej powolnym narzędziem Francji, to jednak mimo te pozory polityka czechosłowacka w basenie Dunaju i na Bałkanach zmierzała do własnych, a bardzo konkretnych celów. Prócz politycznego bowiem w stosunku do Węgier zabezpieczenia, ściślejsze gospodarcze związanie się Czechosłowacji z rolniczymi państwami tego bloku, mogłoby szerzej otworzyć ich rynki dla jej rozwiniętego przemysłu. Dlatego też czeskie plany organizacji dunajowego basenu nie pomijały przygotowania tych możliwości, a polityczna i gospodarcza reorganizacja Małej Ententy z 1933 r. wydała dziś poważne w tej dziedzinie rezultaty. Porównując udział Włoch, Francji i Czechosłowacji

w zagranicznym handlu czterech państw bałkańsko-dunajowego rejonu: Węgier, Rumunii, Jugosławii i Bułgarii — z lat 1931/35 zobaczymy, że na Włochy przypadło mniej więcej 10% ich zbiorowych obrotów, na Czechosłowację około 8%, na Francję natomiast nieco ponad 5%. Chociaż odcięcie Sudetów i Śląska zmniejszyło Czechosłowację o jej najbogatsze przemysłowe okręgi, to jednak pomimo to pozostałe terytoria będą mogły dostarczać duże eksportowe kwoty, w szczególności w dziedzinie przemysłu żelaznego i zbrojeniowego.

Nieograniczone zaufanie W. Brytanii w odczuwany przez wszystkie narody respekt przed brytyjską *fleet in being,* uśpiły aktywność jej polityki również na Bałkanach i w basenie Dunaju. Dowodów dostarczają chociażby cyfry zagranicznego obrotu z wymienionymi państwami, stwierdzające, że dała się ona wyprzedzić nie tylko przez Niemcy oraz Italię, lecz także i Czechosłowację. Obroty te obejmują bowiem tylko 7,2% wymiany tych państw. Dopiero silny wstrząs dumy narodowej W. Brytanii w czasie zatargu z Włochami, wzmógł brytyjskie zainteresowania i tym także rejonem, a szczególnie pobrzeżnymi morskimi jego krajami. Kredyty zbrojeniowe i przemysłowe dla Turcji, surowcowe posunięcia w Jugosławii, oraz propozycje wspólnej turecko-grecko-brytyjskiej obrony cieśnin są wymownym wyrazem uaktywniania się brytyjskiej polityki na Bałkanach.

Podczas gdy państwa Zachodu usiłują umacniać swe wpływy w basenie Dunaju i na Bałkanach bądź kredytami, bądź politycznym naciskiem, nadrabiając w ten sposób niedogodności swego geograficznego oddalenia, to właśnie najbliższe sąsiedztwo Rzeszy, czyni z Niemiec prawdziwych potentatów w całym tym dunajowo-bałkańskim rejonie. Zajęcie Austrii nie tylko wprowadziło niemiecki klin w sam środek Bałkanu, lecz nadto przez opanowanie środkowego biegu Dunaju otworzyło przed ekspansją Rzeszy najbardziej odległe jego krańce.

Tym geograficznym przywilejom Niemiec na południowowschodnich obszarach Europy wiernie sekundują gospodarcze warunki tych krajów. Tak bowiem, jak komunikacyjne linie Europy środkowej ułatwiają niemieckie przenikanie

w głąb dunajowego basenu i na Bałkany, tak samo prawie wyłącznie rolniczy charakter tych krajów, uzupełnia w sposób najbardziej naturalny przemysłową gospodarkę Rzeszy. Jeżeli więc dla zaspokajania swych potrzeb, państwa Zachodu zmuszone są bądź do nabywania produktów swych dominiów i kolonij, bądź do zaopatrywania się w nie w bliżej leżących i komunikacyjnie dogodniej sytuowanych krajach Europy, to pozbawione kolonij Niemcy tutaj właśnie najłatwiej mogą nabywać potrzebne im surowce i żywność, sprzedając równocześnie swe przemysłowe wyroby. W tych warunkach nie są nieuzasadnione słowa ministra gospodarki Rzeszy, podkreślającego, że zachodnie kredyty dla tych państw nie wiele im pomogą, skoro tenże sam Zachód wzbrania się przed zakupywaniem wyprodukowanych dzięki tym kredytom surowców i żywności.

Tę ścisłą zależność rolniczych krajów południowowschodniej Europy od przemysłowego Zachodu względnie od Niemiec ilustrują cyfry ich eksportu. Jak stwierdza bowiem prof. Truchy, w latach bezpośrednio poprzedzających kryzys od 80% do 85% wywozu Bułgarii i Jugosławii składało się z produktów rolniczych, w Rumunii natomiast i na Węgrzech stosunek ten wynosił od 60% do 65%. Już w znacznie późniejszych latach sam tylko tytoń stanowił około 40% wywozu Bułgarii, a tytoń łącznie z winogronami zajmował prawie 80% greckiego eksportu. Niemniej wymowne pod tym względem są cyfry, stwierdzające sposób zarobkowania ludności. Mówią one bowiem, że z rolnictwa żyje ponad 55% ludności Węgier, 75% w Jugosławii, a jeszcze znaczniejszy odsetek w Rumunii i Bułgarii.

Nic więc dziwnego, że powierzchowna nawet analiza tych geo-politycznych i gospodarczych warunków w krajach południowo-wschodniej Europy, pozwala J. Bardoux (*Temps* 25 VIII. 38 r.) na stwierdzenie, że

> ...ta austro-niemiecka przewaga jest faktem ekonomicznych rzeczywistości, którymi są korzyści, płynące ze wspólnoty politycznych granic, dalej solidarność, stworzona uzupełniającym charakterem produkcji narodowej, wreszcie przywileje zagwarantowane naturalnymi w takich warunkach dążnościami do wymiany.

Dla całkowitego przekonania się o słuszności tych twierdzeń, nigdy nie zawadzi zajrzeć do statystycznych wydawnictw bodaj Ligi Narodów, a uzbroiwszy się w cierpliwość i ołówek przeliczyć zbiorowy stan międzynarodowych obrotów interesujących nas krajów, oraz udział w nich poszczególnych państw Europy. Prace te wykażą nam dowodnie, że w przeciętnych obrotach Węgier, Rumunii, Jugosławii i Bułgarii, wynoszących w latach 1931/35 średnio około 5 miliardów złotych rocznie, połączony udział Niemiec i Austrii obejmował ponad 29% ich całości. W dwu następnych latach złączony niemiecki ten udział wzrósł o przeszło 13%, wówczas gdy brytyjski powiększył się o niecałe 2%, włoski natomiast zmalał do 6,5%, a francuski nawet do 4%.

Złączony niemiecko-austriacki udział, wyrażony w powyższych cyfrach, nie będzie oczywiście dokładnie odpowiadał przyszłym w tej dziedzinie osiągnięciom ostatecznie zjednoczonej Rzeszy. Tak samo również znaczna część czechosłowackiego handlu, pochodząca z odstąpionych Rzeszy Sudetów, nie koniecznie w tymże samym stopniu powiększy zagraniczne obroty Niemiec. Jeżeli jednak część towarów wywożonych lub surowców sprowadzanych zostanie zużyta, względnie wydobyta w nowych granicach Rzeszy, to jednak, mimo wszystko, wzmożony dzięki aneksji Austrii i Sudetów surowcowy i przemysłowy potencjał, tym imperatywniej będzie się domagał szerszych rynków zbytu. Potrzeby międzynarodowej wymiany będą dla Rzeszy tym większe, że nowe terytorialne te zdobycze bynajmniej nie powiększyły jej żywnościowej samowystarczalności. Do wzmożenia tej wymiany nawoływać będą ponadto konieczności użytkowania wspaniałego szlaku, prowadzącego od morza Północnego ku morzu Czarnemu, którego rzeczne połączenia w sieci Renu, Dunaju, Menu i Łaby, zainicjonowano lub których wykonanie przyśpieszono natychmiast po *Anschluss*'ie.

Wzmożone tempo niemieckiego marszu ku krainom południowego-wschodu Europy niejednokrotnie zwracało już uwagę najpoważniejszych pism Zachodu. Pobyt regenta Węgier w Niemczech, oraz triumfalne jego przyjęcie, wywołało z natury rzeczy sporo artykułów, omawiających węgier-

sko-niemieckie stosunki. Pisząc o jednym z takich artykułów zamieszczonym w *Deutsche Allgemeine Zeitung,* berliński korespondent *Times'*ów (28 VIII. 38 r.) zaopatruje go ogromnie charakterystyczną uwagą. Podkreślając bowiem fakt, że według opinii wymienionego artykułu, Węgry są pierwszym partnerem, z którym Niemcy rozpoczynają swą nową politykę handlową, opartą na zasadach ścisłości wzajemnej wymiany, korespondent zaznacza, iż artykuł ten z niezwykłą szczerością mówi o tej współpracy jako o kamieniu węgielnym nowej gospodarczej zony Niemiec w Środkowej Europie.

Październikowa podróż ministra gospodarki Rzeszy na południowy-wschód Europy przyniosła Turcji 150 milionów marek towarowych kredytów, Bułgarii propozycję zakupu całości jej surowcowego oraz żywnościowego eksportu na 12 lat naprzód, a Jugosławii rozległe projekty eksploatacyjnej rozbudowy jej surowcowych zasobów oraz potrzebnych do tego komunikacyj właśnie za pośrednictwem niemieckich dostaw towarowych. Nic dziwnego, że w świetle tych zabiegów, wstępny artykuł *Times'*ów (20 X. 38 r.) mówi, że „dr Funk zasługuje na gratulacje z powodu osiągniętych wyników". Również *Temps* (13 X. 38 r.) alarmuje opinię publiczną, wskazując na rezultaty niemieckich starań na Bałkanach. Podkreśla on bowiem, że o ile inwestycje Niemiec w Jugosławii jeszcze w styczniu br. wynosiły około 54 milionów dynarów, to już we wrześniu osiągnęły one 700 milionów i zbliżyły się do kwot inwestowanych przez W. Brytanię (873 miliony), oraz Francję (1056 milionów). Równolegle do tych polityczno-finansowych zabiegów w państwach Dunaju i Bałkanów, przygotowuje Rzesza techniczne środki swego na ich terytoria przenikania. Jak słusznie bowiem sądzi *Times* (1 XI. 38 r.), do spełnienia tych zadań wysoce przyczyni się rozbudowywany obecnie system rzecznych kanałów Rzeszy, łączący Łabę z Renem, a Ren z Dunajem. Z tą siecią wiążą się plany utworzenia w Wiedniu olbrzymiego rozdzielczego ośrodka dla importu z krajów Dunaju i Bałkanów. W tym to ośrodku, według planów niemieckich, będzie się dzieliło import z krajów Dunaju i Bałkanów pomiędzy Rzeszę, państwa Północy i Polskę, oraz mocarstwa zamorskie, mające

dostarczyć Niemcom środków wymiany. W tym ostatnim wypadku Hamburg stałby się ogniskiem tych uzupełniających przetargów.

Wobec tych całkiem niedwuznacznych niemieckich zamierzeń, nie mógł pozostawać bezczynnym również i Zachód, zainteresowany w tej połaci Europy gospodarczo, a przede wszystkim politycznie. Podane wyżej cyfry, odnoszące się do okresu, gdy Rzesza nie nabrała jeszcze całego swego rozmachu, musiały tym bardziej przyśpieszyć zachodnio-europejską kontrakcję. Dlatego też już w czasie wiosennej wizyty ministrów francuskich w Londynie, zastanawiano się poważnie nad właściwym rozwiązaniem tego południowo-wschodniego problematu Europy. Umowy z Turcją z maja i udzielone jej kredyty, wzmożona gospodarcza akcja w Jugosławii, podobne projekty odnośnie do innych krajów tego rejonu, są wstępną brytyjską odpowiedzią na podjętą przez Niemcy ofensywę. Analogiczne poczynania Francji np. w Rumunii, zaliczyć należy do takich również zabiegów. Właśnie z okazji wyjazdu gospodarczej misji francuskiej do Rumunii, mieliśmy możność czytać w *Times*'ach (19 VIII. 38 r.) iż:

> ...są poważne powody do przypuszczeń, że dokonało się pewnego postępu w dziedzinie rozszerzenia rynkowych możliwości dla produktów państw środkowej i południowej Europy, w celu zmniejszenia ich ekonomicznej, a w ostatecznych wynikach i politycznej także zależności od jednego wyłącznie tylko kraju.

Ilustracją wielkiego natężenia rozpoczętej walki o południowy-wschód Europy, mogą być słowa min. Funk'a, wypowiedziane przez niego przy okazji otwarcia Targów Wschodnich w Królewcu, a przestrzegające Zachód przed udzielaniem politycznych kredytów tym krajom.

Dla zainicjowania skutecznego gospodarczego przeciwnatarcia, środki którymi dysponuje Zachód w tej połaci Europy, są niestety zbyt ograniczone. Świadomość tego wywołuje też melancholijną uwagę J. Bardoux (*Temps* 1 IX. 38 r.), że przeszkody na które napotyka Zachód w swej gospodarczej działalności w Europie środkowej nie dadzą się usunąć przed przywróceniem Francji promieniowania jej gospodarczej żywotności. Dlatego też „im bardziej jest wątpliwą gos-

podarcza przeciwwaga na Bliskim Wschodzie, tym więcej winien ciążyć czynnik polityczny, żeby swym działaniem przede wszystkim, unieruchomić a potem i utrwalić wskazówkę równowagi".

Te konieczności przeciwstawienia politycznych zabiegów Zachodu rozmaitym osiągnięciom Niemiec, wywołały wzmożony wysiłek Zachodu w dziedzinie zcementowania jedności tych południowo-wschodnich krajów oraz szereg posunięć, mających zdobyć przychylność tych ostatnich dla jego polityki. Zrzekając się nabytych ogromnym kosztem uprawnień w Komisji Dunaju, czy w kontroli cieśnin czarnomorskich, państwa Zachodu stawiały sobię wyraźne cele skonsolidowania państwowej spoistości tych krajów i wzmożenia ich odporności na grożący im atak niemieckiej ekspansji.

Przychylniejsze nastawienie Zachodu dla konsolidacyjnych wysiłków południowo-wschodnich państw Europy, oraz wzmożenie jego starań w dziedzinie skoordynowania ściślejszej ich współpracy, wypływają oczywiście nie z samego tylko zachodnio-europejskiego zamiłowania do sprawiedliwości i ładu. Bardzo już długie doświadczenie w praktykach polityki równowagi, nauczyło Zachód rozumienia, że zachłanne dążności Niemiec na południowym-wschodzie Europy są tylko wstępem do spotęgowania ich ekspansji w naturalnych kierunkach ich rozwoju. Wzrost tej ekspansji zagrozić może zachodniemu stanowi posiadania nie tylko na Bałkanach, ale i w koloniach najbardziej odległych egzotycznych krajów, a być może nawet i we własnych tego Zachodu ojcowiznach. Uświadomienie niebezpieczeństw płynących z niemieckiego parcia na wschód, nasuwa publicyście J. Bardoux wysoce charakterystyczne pytanie: jakimi sposobami będzie mógł Zachód, jeśli nie zamknąć to przynajmniej ograniczyć ten niemiecki zalew, który dla zachodnich mocarstw niesie z sobą śmiertelne ryzyko?

Jeżeli środkowo-wschodnie państwa Europy, pragnące zachować swój stan posiadania, nawet politykując z Niemcami, dość nieufnie patrzyły na ich poczynania, to *Anschluss* i metody zastraszania, masowo stosowane przez Rzeszę, zrodziły obawy nawet u naturalnych, jakby się zdawało, niemieckich sojuszników, dążących bowiem tak samo jak oni

do zmiany powojennego *status quo*. Ostatnie wypadki potwierdzają pogląd *Temps'*a (24 VIII. 38 r.), że na Węgrzech

...istnieją nastroje, mówiące o tym, że węgierski rewizjonizm dużo bardzo stracił ze swej pierwotnej ostrości i że kampania za rewizją terytorialnych klauzul traktatu w Trianon zeszła z pierwszego planu węgierskich zainteresowań.

Nie są również bynajmniej nieuzasadnione poglądy A. Mousset'a piszącego w *Journal des Debats* (25 VIII. 38 r.) z powodu węgierskiej wizyty w Niemczech,

...że Węgry oficjalnie poszukują w Berlinie gwarancji przeciw samym raczej Niemcom, niż przeciwko swym sąsiadom z Małej Ententy.

Praktycznym wyrazem tych nowych dążności na Bałkanach i nad Dunajem były akty jugosłowiańsko-bułgarskiego i jugosłowiańsko-włoskiego pojednania. Wytężona praca, prowadzona od tego czasu, tak na odcinku bałkańskim, jak i dunajowym, wydała równoczesne prawie rezultaty w postaci lipcowych i sierpniowych protokółów, rejestrujących zbliżenie Bułgarii do jej sąsiadów z porozumienia Bałkańskiego, a Węgier do państw Małej Ententy. Wytworzona w ten sposób, a dawno w tych rejonach niewidziana, atmosfera wzajemnego zrozumienia, pozwoliła na przystąpienie do rozwiązywania najbardziej tu drażliwych kwestyj mniejszościowych, które, jak to stwierdza niedawny wywiad z min. Kanya, znalazły zadowalniające rozstrzygnięcie w stosunkach Węgier z Jugosławią i Rumunią, i prawie całkowite, jak o tym świadczą ostatnie wypadki, w ich stosunkach z Czechosłowacją.

Że państwa Zachodu popierają dziś te konsolidacyjne wysiłki jest rzeczą zupełnie zrozumiałą. Nie dysponując bowiem dostateczną w tych rejonach siłą, wolą żeby imperialistyczna ekspansja Niemiec napotkała na mur zwartego i zharmonizowanego przeciwdziałania pogodzonych i wzajemnie związanych państw tej połaci Europy. Nie inne intencje żywić może również Italia, od czasu gdy wraz z *Anschluss'*em ustąpić musiała pierwsze skrzypce Rzeszy i zrezygnować bodaj w części z własnych w tych krajach planów. Konsolidacyjne te postępy, dokonywane w cieniu zachod-

nio-europejskiego patronatu, zwiększą bowiem niewątpliwie sojusznicze walory Italii w oczach Niemiec.

Teoretyczne rozważania, pozwalają na przypuszczenie, że polityczna konsolidacja tej połaci Europy leży w interesie także i Rosji. Pomijając bowiem fakt, że krzewieniu bolszewickiej doktryny najbardziej sprzyjają wciąż podsycane niepokoje, z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że sprawy Bałkanów i Dunaju są zbyt bliską i domową niemal kwestią, w której lepiej nie ryzykować możliwości ujrzenia hitlerowskich oddziałów na pobrzeżach Czarnego morza i u jego Cieśnin. Chociaż więc kłopoty Sowietów na wszystkich prawie odcinkach ich zewnętrznych i wewnętrznych stosunków nie pozwalają na zbytnią aktywność w zagadnieniach Bałkanów i Dunaju, żywotne rosyjskie interesy domagają się energicznego przeciwdziałania monopolistycznym zamierzeniom Rzeszy.

Międzynarodowe warunki dnia dzisiejszego, przeciwstawiające wrogie sobie bloki wielkich mocarstw, nasuwają pozostałym państwom obawy znalezienia się w samym ośrodku rozgorzałych między nimi walk, lub co gorsza, stania się ofiarami ich pojednania. Oczywiście sprzyja to zacieraniu dawnych antagonizmów oraz zadzierzganiu nowych węzłów współpracy. Równoważące się mniej więcej siły rywalizujących mocarstw, oraz niepewność każdego z nich, co do rezultatów jego zabiegów w uzyskaniu wpływów wśród mniejszych państw, zmniejsza ich opór wobec konsolidacyjnych zamierzeń tych ostatnich, szczególnie o ile zapowiadają one pomniejszenie wpływu ich rywali. Jak więc na podstawie wszechstronnej analizy można sądzić, panujące w Europie stosunki, wytwarzają wyjątkową atmosferę, niewątpliwie bardziej niż kiedykolwiek dotychczas sprzyjającą organizacyjnemu zgrupowaniu całego zespołu państw, leżących na szlakach pomiędzy Bałtykiem a pobrzeżami mórz: Czarnego, Egejskiego i Adriatyku.

III.

Stan międzynarodowych spraw Europy, oraz płynące stąd groźby dla państw mniejszych, zmuszają je do łączenia swych sił w celu tym pewniejszego przeciwstawienia się rozma-

itym niebezpieczeństwom. Zgrupowanie większości tych państw w środkowej Europie i geograficzna ciągłość ich terytoriów tworzą ogromnie ważki element przyszłego, a zupełnie możliwego ich zjednoczenia. Geograficzne i polityczne te warunki sprzyjają jednak z jednej strony odrodzeniu niemieckich planów *Mittel-Europy,* z drugiej zaś nawet, mimo ostatnich niepowodzeń, zachodnio-europejskich także zamierzeń, stworzenia środkowo-europejskiego bloku państw, który mógłby się stać taranem, uderzającym w plecy atakujących Zachód Niemiec. Jeżeli więc w bogatym tym wyborze celów zjednoczenia, decyzje dbających o swą niepodległość państw środkowej Europy nie będą oczywiście trudne, to ich praktyczna realizacja napotka niewątpliwie mnóstwo najbardziej rozmaitych przeszkód.

Nie należy bowiem zapominać, że jeżeli polityczne wypadki międzynarodowe w iście nowoczesnym tempie wytwarzają położenie, przychylne konsolidacji państw Europy środkowej, to psychiczne i gospodarcze warunki, oraz zakorzenione przesądy, tak nieodłącznie związane z wszechstronnym zacofaniem tej połaci Europy, w równej prawie mierze hamują to zjednoczenie. Dlatego też realne osiągnięcia konsolidacji wymagają długotrwałych przygotowań, które by złamały uprzedzenia żywione od lat nie tylko przez szerokie masy, lecz niestety także i przez sfery intelektualne i kierownicze. Ściślejsze polityczne zespolenie tych krajów nie jest ponadto i przede wszystkim do pomyślenia bez gruntownej rozbudowy ich gospodarczych i komunikacyjnych więzów.

Duża geograficzna rozpiętość środkowo-europejskiego rejonu i płynące stąd różnice w zainteresowaniach poszczególnych jego państw, mimo ogólnego podobieństwa ich politycznej i gospodarczej sytuacji, działać muszą w kierunku zgrupowania ich w poszczególne zespoły o wyraźnie zakreślonych lokalnych interesach.

Położenie Polski w obszarach węzłowych między północną grupą państw bałtyckich a południową dunajowo-bałkańskich, wiąże jej interesy i z jednym i z drugim zespołem tych państw, oraz od jej postawy uzależnia koordynację ich wspólnych poczynań. Pisząc o konsolidacyjnych usiłowaniach nad Bałtykiem, przytaczaliśmy poglądy Zachodu na rolę Polski

w tym rejonie. W ocenie analogicznych wysiłków, rozwijanych nad Dunajem i na Bałkanach, nie można było oczywiście pominąć zadań Polski na tym również obszarze.

Wspominany już J. Bardoux, rozważając w cyklu artykułów sprawy środkowej Europy, pisze ostatnio w *Temps*'ie (1 IX. 38 r.), że „stawiana pangermańskiej ofensywie dyplomatyczna zapora suponuje odwrócenie aliansów", w czym „porozumienie czesko-polskie jest zasadniczą jej podstawą". W opinii tego bowiem autora porozumienie to zamknie północny łuk tej zapory, naszkicowanej polsko-rumuńskim przymierzem, wprowadzającym Polskę w sprawy Dunaju i Bałkanów, oraz zespalającym ją z całym kompleksem tych południowo-wschodnich zagadnień Europy. Zniwelowanie przeszkód, utrudniających to porozumienie, pozwoli na uzupełnienie podobnej, a projektowanej dalej na południe konstrukcji, której pierwsze zarysy uwidoczniło pojednanie Bułgarii z sąsiednimi państwami Bałkanów.

Jeżeli wysuwając podobne projekty i na ogół doceniając potencjonalną rolę Polski, publicystyka Zachodu pragnie im nadać niekiedy wyraźne przeciwniemieckie tendencje, tłumaczy się to własnymi raczej kłopotami tegoż Zachodu niż chęcią skłócenia państw środkowej Europy z ich potężnym niemieckim sąsiadem. Należy również stwierdzić, że równolegle do szerzącego się zrozumienia dla geopolitycznej roli Polski w dzisiejszych międzynarodowych stosunkach Europy, pogłębia się równocześnie świadomość, że powodzenie konsolidacyjnych wysiłków w środkowej Europie zależne jest prawie wyłącznie od pokojowych i obronnych nastawień zawiązujących się w tym rejonie państwowych ugrupowań.

Obronny charakter, będący rękojmią powodzenia porozumień państwowych, mogących kształtować się w środkowej Europie, nie jest jednak równoznaczny z całkowitym przez nie zaniedbaniem spraw wojny i koniecznych dla jej prowadzenia przygotowań. W dzisiejszych bowiem warunkach świata, gwarancją zwartości najmniejszego nawet ugrupowania państw jest jego równoczesna odporność tak na próby zbrojnego na niego ataku, jak i na pokojowe zamierzenia gospodarczego unicestwienia. Stąd też wojenna wy-

trzymałość tych ewentualnych porozumień, zakłada należyte gospodarcze przygotowanie każdego z jego członków oraz możliwie rozległą, a uzupełniającą braki jednych zasobami drugich, wspólną eksploatycyjną współpracę.

Najliczniejsza w grupie tych państw ludność Polski, jej również największe prawie zagęszczenie, obszar państwa, jego względnie bogate zasoby, oraz dogodne naturalne warunki komunikacyjne, wszystko to składa się na zwiększenie potencjalnych walorów Rzeczypospolitej w każdym zagadnieniu jej międzynarodowych stosunków. Potencjalne walory nie będą jednak mieć wielkiego użytkowego znaczenia, jeżeli ludzie, w których mocy one się znajdują, nie potrafią należycie skoordynować działania. A w tej właśnie gospodarczej, w danym wypadku najbardziej decydującej dziedzinie, nasza rola w ewentualnych porozumieniach środkowoeuropejskich państw jest jeszcze niestety nieproporcjonalnie znikoma. Porównując np. obroty Polski i Czechosłowacji z czterema państwami Dunaju i Bałkanów (Węgrami, Rumunią, Jugosławią i Bułgarią), zobaczymy, że gdy czeski w nich udział wynosił około 8%, na polski nie przypadało nawet 2%.

Stan spraw międzynarodowych Europy, oraz ewolucja którą one przeszły w naszych już oczach, powinny nas nauczyć, że w dzisiejszych stosunkach między narodami gospodarcza podbudowa państwa decyduje i o potencjale wojennym i o możliwościach pokojowej realizacji najbardziej nawet śmiałych planów. Zainicjowana od niedawna planowość w rozwoju naszego gospodarstwa narodowego zapowiada określone możliwości wyjścia Polski z jej dotychczasowego prymitywizmu. Przeobrażenie to przyśpieszy niewątpliwie ewolucja, zamieniająca naszą bujną pomysłowość w stawianiu rozmaitych pomników w szerszą na każdym polu gospodarczą inicjatywę, i wtedy tylko, gdy istotnie i skutecznie wykonywane w tych dziedzinach prace, nie będą już wymagały sztucznej reklamy, wtedy dopiero znikną różnice pomiędzy potencjalnymi walorami Polski, a możliwościami urzeczywistnienia ich w międzynarodowej skali.

Roman Piotrowicz.

zwraca uwagi na samą osobę królowej, toteż praca jej — zdaniem Heleny Quillus — wypadła raczej jak monografia polityczna, niż jak biografia Jadwigi.

Helena Quillus, mimo że pracę swą uważa jedynie za przyczynki, stara się również ująć całokształt życia i działalności królowej. Całe jej jednak znaczenie dla kultury i oświaty wewnątrz kraju oraz stosunek do Kościoła i instytucyj duchownych podaje tylko w skrócie, powołując się na obszerne opracowanie Maciejewskiej. Nadto prawie zupełnie pomija charakterystykę otoczenia królowej na dworze krakowskim. Szkoda także, że choćby dla uwypuklenia postaci, którą się zajmuje, nie wspomina o życiu i stanowisku kobiet współczesnych, oraz nie zwraca uwagi na tło — że tak powiem malarskie — Krakowa z okolicami i Wawelskiego zamku, gdzie zamknęło się życie królowej. Braki te wytknęła już p. dr Charewiczowa dwom poprzednim biografkom. [1])

Za to ze specjalną dokładnością maluje p. Quillus psychologiczny obraz Jadwigi, jej stosunek do Wilhelma i Jagiełły, podając charakterystykę obu książąt. Zatrzymuje się też dłużej nad rolą panów małopolskich w ówczesnym rządzie.

Obraz dziecięctwa i wychowania Jadwigi na dworze węgierskim przedstawia Autorka dosyć pobieżnie, na tle bardzo szczegółowo opracowanej polityki dynastycznej Ludwika W., dodaje przy tym w paru słowach charakterystykę obojga królestwa, oraz przytacza całe dowodzenie prof. Dąbrowskiego, przesuwające datę urodzenia Jadwigi z r. 1371 na styczeń 1374. Odmalowuje również dokładnie tło stosunków politycznych w Polsce przed przyjazdem królewny.

Specjalny rozdział poświęca Autorka omówieniu stosunku Jadwigi do Wilhelma, przy czym zajmuje stanowisko dość odmienne od dotychczasowych poglądów na tę sprawę.

Znaczenie tzw. ślubów heimburskich — zgodnie z poprzednimi biografkami, ogranicza jedynie do uroczystych

[1]) Recenzja dr Charewiczowej w *Przeglądzie Współczesnym*. 1935.

zaręczyn. Miały one na celu głębokie utrwalenie w pamięci tak świadków, jak i dzieci owej chwili, mającej w przyszłości ułatwić związek, na którym tak bardzo zależało obu ojcom. Jako argumenty przytacza: fakt, że ówczesne prawo kanoniczne dozwalało zawieranie małżeństwa dopiero między 12 letnią dziewczynką, a 14 letnim chłopcem. Jadwiga zaś miała wówczas dopiero 4 lata a uroczystość była obchodzona oficjalnie pod patronatem Kościoła. Użyte wówczas słowa, jak: *matrimonium, uxor* itp., tłumaczy się faktem, że prawo kościelne średniowieczne znało tylko jedno wyrażenie *desponsatio* na określenie tak zaślubin jak i zaręczyn. Dopiero od czasów Aleksandra III zaczyna się rozróżniać i zaręczyny, ale nadal często przy obu ceremoniach używa się jednakich określeń. Jako dowód drugi cytuje Autorka zdanie z odnowionego kontraktu zaręczynowego z r. 1385 r. *Wir aber versichern das wir nichts erstreben ...und beabsichtigen werden wodurch die besagte Ehe verhindert oder der Vollzug der Ehe durch irgendeinen... Betrug gestört werden könne.*[1]) Nie można zaś przeszkodzić faktowi, który już został dokonany.

Mimo to zaręczyny dwojga dzieci były w zasadzie nierozerwalne, gdyż umacniała je uroczysta przysięga. Do zerwania więc konieczną była ważna przyczyna. Zaręczyny Jadwigi z Wilhelmem zostały zawarte ze względów politycznych Austrii i Węgier, ze względów zaś politycznych Polski zostały zerwane. Panowie polscy nie podpisywali, ani nie zatwierdzili kontraktu z Wilhelmem; a za to zastrzegli sobie w pertraktacjach z dworem węgierskim, że jedynie taki mąż Jadwigi może w grę wchodzić, jakiego oni dla niej wybiorą.

18 II. wysyła Jagiełło swaty z prośbą o rękę Jadwigi pod znanymi warunkami. Tu zwraca uwagę Autorka na dwulicową politykę Elżbiety matki, która kierując losami najmłodszej córki, z jednej strony zagrożona przez Zygmunta zawiera układ z Leopoldem, obiecując mu przysłać Jadwigę najpóźniej do 15 VIII — a prawie równocześnie, bo w wilię oznaczonego terminu, śle posłów do Jagiełły, którzy podpisują pierwszy polsko-litewski układ i uznają związek Jadwigi z Wilhelmem za nieważny.

---

[1]) Cod. Dipl. Hung. X. tom I nr 75, str. 141—2.

Pobytowi narzeczonego Jadwigi w Krakowie poświęca H. Quillus dużo uwagi.

Jaki był cel słynnych schadzek w klasztorze franciszkanów „przy tańcu i muzyce", jak podkreśla Długosz? Według niej, nie było to jedynie, jak pisze p. Maciejewska: „rozbudzanie w dziecinnej, lecz żywej duszy Jadwigi uczucia uśpionego dotąd przeciwną koleją wydarzeń" lecz prócz tego prawdopodobnie wszechstronna kampania ze strony Wilhelma i jego towarzyszy w kierunku ugruntowania w Jadwidze przekonania o ważności zawartego ślubu, wzbudzenia w niej strachu przed karami kościelnymi w razie wiarołomstwa, wreszcie chęć zohydzenia Jagiełły. Tak, że o ile początkowo Jadwiga nie była przychylna swatom litewskim, to po owych zabiegach Wilhelma małżeństwo z Jagiełłą wydaje się jej w ogóle niemożliwe. Partia austriacka doprowadza 23 IX nawet do opanowania zamku.

Mimo, że p. Maciejewska w swojej pracy uznaje za zupełnie rozwiązaną kwestię, że nie doszło w tym czasie do małżeństwa, Helena Quillus przeprowadza raz jeszcze szczegółową krytykę źródeł. Przeciw kronikom pruskim i austriackim wysuwa takie argumenty jak: przede wszystkim wiek Jadwigi, która wedle ostatnio ustalonej daty jej urodzenia miała wówczas 11 lat. Dalej — krótkość czasu: zamek był opanowany jedynie przez parę godzin. Podkreśla też Autorka liczne niedokładności zachodzące w tychże kronikach; ich stronniczość — bo przecież czerpały wiadomości głównie z wiedeńskiego dworu. Wreszcie przysięgę Jadwigi złożoną przed sądem w czasie procesu przeciw Gniewoszowi z Dalewic o oszczerstwo.

Kiedy się omawia stosunek Jadwigi do Wilhelma pozostaje jeszcze kwestia uczucia, owej sławnej miłości Jadwigi. W literaturze mówią o niej wszyscy bez wyjątku, jako o rzeczy zrozumiałej samej przez się. Tymczasem p. Quillus p i e r w s z a zwraca uwagę na to, że nigdzie w źródłach nie ma potwierdzenia na jej istnienie. Podanie o niej przechowało się jedynie w ustnej tradycji, która przejawia się w kronikach XVI w. Długosz, który zazwyczaj o uczuciach mówi dużo i chętnie, o miłości Jadwigi do Wilhelma nie wspomina w żadnym wypadku. Na to że: „pociągnięta

cnotliwymi obyczajami młodzieńca — wolała wyjść za Wilhelma“ [1]) mogło się złożyć wiele innych przyczyn poza miłością; wystarczały uroczyste zaręczyny, wspólne wychowanie, życzenie ojca, prośby Wilhelma, przekonanie o niemożności nowego małżeństwa, w końcu strach przed rzekomym barbarzyńcą Jagiełłą.

Scenę ze strażnikiem u furtki Wawelu — można wytłumaczyć chwilowym rozdrażnieniem, gniewem dziecinnym czy bezradnością. Powodowana miłością wybrałaby Jadwiga niewątpliwie jakiś chytrzejszy sposób, by dostać się do ukochanego, niż rozbijanie drzwi toporem.

Znany jest ze źródeł strach Jadwigi przed Jagiełłą, ale nigdzie nie mówi Długosz, jakoby strach ten płynął z miłości do Wilhelma. Trudno by również pogodzić z istnieniem takiego uczucia fakt, że Jadwiga po przyjeździe Jagiełły posyła zaufanego dworzanina z naiwną prośbą, by jej powiedział jak wygląda Jagiełło — a przy jego opisie „twarz jej się rozpromieniała“.

Tradycja przejawiająca się w kronikach XVI w. powstała może, jak wszystkie romantyczne historie średniowieczne w których się lubowano, albo też pod wpływem propagandy dworów niemieckich; wszak wiadomo, że Wilhelm i Krzyżacy zbierali młodzież rycerską dla uwolnienia pięknej księżniczki, zamkniętej w zamku przez barbarzyńskiego Litwina.

Jednym jeszcze argumentem, który podaje w wątpliwość istnienie u Jadwigi silniejszego uczucia — to sam przedmiot tej miłości Wilhelm, który — wedle charakterystyki podanej przez p. Quillus — dalekim był od owego ideału pięknego i szlachetnego rycerza, jakim go maluje legenda. Za główną jego zaletę uchodziła rycerskość; tymczasem we wszystkich ważniejszych chwilach swego życia zadaje kłam tej zalecie, więżąc posła Jagiełły, który mu wiózł 200,000 fl. za zerwanie zaręczyn — i oczerniając w straszny sposób swą byłą narzeczoną wobec wszystkich dworów chrześcijańskich.

---

1) Dług. III str. 456.

Zdaniem Heleny Quillus, uwzględniając jedynie osobiste szczęście Jadwigi, trudno orzec, co byłoby dla niej mniejszym złem: małżeństwo ze starszym czy młodszym barbarzyńcą.

Ofiara jej więc polegała — pisze autorka — nie na poświęceniu wielkiej miłości, ale na zrezygnowaniu z wolności wyboru, na wyrzeczeniu się towarzystwa i przyjaźni z dawnym serdecznym przyjacielem, na postanowieniu wreszcie wzięcia na siebie krzyża bezradosnego, nienaturalnego, przykrego tzw. małżeństwa z rozsądku.

Jaką była rola Jadwigi w zewnętrznej polityce Polski? Według Heleny Quillus, jedynym zupełnie pewnym wyrażeniem jej woli w tej dziedzinie to stanowisko jakie zajęła w 1385 r. W czasie gdy obu głównym czynnikom Unii tj. Jagielle i Panom Małopolskim Unia dawała ogromne korzyści: moc, sławę i bogactwo — to jedynie jej, Jadwidze nie dawała nic. Nic więc dziwnego, że królowa jest z początku przeciwna Jagielle i dopiero po pewnym czasie dała się przekonać moralnym, prawniczym i religijnym argumentom — i wtedy już dobrowolnie śle posłów do Jagiełły, przyjmuje swaty, przyjmuje podarunki, odwołuje dawne zaręczyny, staje wreszcie do ślubu.

Przez to Jadwiga tworzy Unię. Bo choćby może i Panowie Małopolscy zrezygnowali raczej z Jadwigi niż z Jagiełły, jej jednak upór, czy ucieczka, byłaby bardzo na rękę Krzyżakom i opozycji, Austrii i Zygmuntowi, a gdyby doszło do wojny — to wspierałyby ją także Węgry.

Helena Quillus podkreśla tu dobrowolność postępku Jadwigi. W przeciwieństwie do p. Strzeleckiej, która uważa ją za zupełnie bierną, średniowieczną narzeczoną, z której zdaniem się nie liczono, oddając temu czy innemu za żonę. Było to, zdaniem tej autorki, rzeczą zupełnie naturalną. Tak samo jak bez jej woli zaręczono ją z Wilhelmem — tak samo bez jej woli poślubiono ją Jagielle. „Rola Jadwigi w małżeństwie była żadna", mówi Anna Strzelecka.

Zaraz po koronacji, korzystając z ciężkiego położenia Węgier, wyrusza Jadwiga na Ruś dla przyłączenia tej dzielnicy do kraju. P. Quillus określa tu rolę królowej zgodnie

z całą literaturą, a mianowicie nie uważa Jadwigi za żadne cudowne dziecko w dziedzinie polityki, ale jedynie za symbol, tj. dziedziczkę Korony polskiej wobec Rusi, a dziedziczkę Ludwika wobec urzędników węgierskich.

Podobnie nie przypisuje jej żadnej innej roli w dalszych wydarzeniach politycznych na wschodnich granicach Polski, w których brała osobisty udział. (Zjazd w Sączu w sprawie Podola, przyjęcie tytułu królowej węgierskiej, hołdy państw naddunajskich).

W stosunku do Litwy osobiste wystąpienia Jadwigi znane są w trzech wypadkach. Więc przede wszystkim zjazd we Lwowie 3 X. 1393 r., urządzony przez oboje królestwo, celem pogodzenia Skirgiełły z Witoldem. I tu jednak nie przecenia Autorka osobistego wpływu królowej, przeciwnie niż Maciejewska, która jej przypisuje „głębokie zrozumienie sprawy", „łagodny wpływ" i „dobroczynny spokój", dzięki którym doprowadza do zgody — albo Strzelecka, która na podstawie kolejności aktów, stara się nawet o zadokumentowanie tego jej osobistego i czynnego udziału w tej sprawie. Helena Quillus uważa w tej chwili królowę znowu jedynie za symbol: osoby neutralnej i pani połączonych ziem.

Następne wystąpienie królowej złączone jest z zaborczą polityką Witolda i dwulicowym stanowiskiem Jagiełły w stosunkach z Litwą. Witold bowiem swoimi zamiarami wobec Podola i Wołynia staje znowu w konflikcie z polską racją stanu. I tu przeciwstawiają mu się po raz pierwszy — nie król i królowa — ale królowa i jej panowie, wspierając przeciw niemu litewskich książąt dzielnicowych na Wołyniu. Maciejewska twierdzi, że już w tym czasie Jagiełło stoi tajemnie po stronie Witolda.

Wreszcie wobec coraz szerszych zamierzeń księcia, który w związku z Tochtamyszem przeciwko Tymurowi, coraz dalej na wschód rozszerza swoje państwo i marzy o podbiciu całej Rusi — by przypomnieć mu jego zależne stanowisko i przekonać się zarazem, jak daleko zdąża — wysyła Jadwiga za wolą rady koronnej ów sławny list, w którym domaga się zapłaty czynszu rocznego z Litwy i Rusi. Domysł p. Strzeleckiej, jakoby Jadwiga pisała do Witolda prywatnie, poszukując jedynie funduszów na zamierzone odno-

wienie Akademii został już dostatecznie skrytykowany przez Maciejewską. Helena Quillus, łącznie z całą literaturą, przyjmuje powód polityczny. Jeśli jednak taki powód istniał, to jaki właściwie efekt chciano wywołać tą drażniącą propozycją? Maciejewska uważa, że chodziło jedynie o wyjaśnienie sytuacji. I do wyjaśnienia rzeczywiście doszło. Odpowiedzią Witolda jest jego ogłoszenie się królem Litewskim i Ruskim (w pracy niemieckiej: „Polskim" — zapewne pomyłka druku), oraz odstąpienie zakonowi Żmudzi w zamian za pokój.

W tym wypadku już i p. Quillus przyjmuje współdziałanie Jagiełły po stronie Witolda. Przemawiają za tym następujące dane:

W 1398 r. czyni król starania u Papieża o zrobienie Litwy królestwem. W tymże samym czasie kroniki krzyżackie wspominają o rozerwaniu politycznym między królem i królową. Pokój z Krzyżakami zawiera Witold w obecności paru Polaków. Jaka była ich rola w czasie tego aktu?

Stanowisko Jagiełły tłumaczy Helena Quillus tym, że nie będąc sam dziedzicznym królem polskim, i nie mogąc marzyć, wobec bezdzietności, o ustaleniu litewskiej dynastii w Polsce, nie chce na wszelki wypadek tracić związku z Litwą. To też dopiero nadzieja dziedzica ratuje Unię z ciężkiego kryzysu.

Ostatnim wystąpieniem Jadwigi na terenie polityki zewnętrznej jest stanowisko jej wobec zamierzonej na 1399 rok tatarskiej wyprawy Witolda. Królowa konsekwentnie przeciwstawia się zbytniemu wzrostowi litewsko-ruskiej potęgi, która mogłaby się stać niebezpieczną dla Unii. Uzyskuje jednak tylko to, że część polskiego rycerstwa cofa się od udziału w wyprawie.

Szkoda, że mówiąc o tym fakcie nie uwzględnia Autorka jeszcze jednego momentu, na który zwróciła uwagę p. Maciejewska, a który mógł wpłynąć na takie właśnie stanowisko Jadwigi; chodzi mianowicie o projektowany przez królową plan przystąpienia Polski do ligi antytureckiej, w której Tamerlan, przeciwnik Witolda, był uważany za najlepszego sojusznika przeciw Bajazetowi.

Helena Quillus sprowadza działalność Jadwigi w polityce zewnętrznej do czujnej, nieustannej straży, wspólnie

z Radą Panów i z królem, lub mimo króla, nad dokonanym przez swoją ofiarę dziełem Unii. Poza tym znaczenie jej leży przede wszystkim w jej wysokich tytułach, będących zarazem prawną podstawą jej stanowiska: Jako księżniczki piastowskiej, dziedziczki Ludwika, koronowanej na króla władczyni.

Jagiełło jako mężczyzna, a przy tym wybitny polityk, jest władcą daleko silniejszym. Osobista jego wola jest często, w przeciwieństwie do Jadwigi, wyraźnie widoczna, czasem nawet sprzeczna z interesami państwa. W jego imieniu czynione są wszystkie większe przedsięwzięcia, a od roku 1386 królewską kancelarią jest nie kancelaria królowej, ale króla.

Właściwego jednak podziału władzy nie ma. Oboje królestwo występują najczęściej razem; o ile zaś występują oddzielnie — to dzieje się to bez jakiegoś specjalnego stałego planu, raczej wedle tego jak w danej chwili jest korzystniej. Jadwiga często potwierdza dokumenty Jagiełły, i na odwrót. Można powiedzieć — mówi Autorka — że rzeczywista władza Jagiełły jest większa niż Jadwigi, lecz prawne stanowisko Jadwigi silniejsze niż króla. P. Maciejewska jest zdania, że współrządy nie były całkiem równorzędne, skoro zawieranie traktatów zagranicznych należało wyłącznie do króla. Przyznaje jednak, że stanowisko Jadwigi było zupełnie inne niż zwykłych małżonek królewskich.

Właściwie rządzącym czynnikiem — według p. Quillus — jest w tym czasie możnowładztwo, głównie małopolskie, wyszkolone jeszcze za Kazimierza i Ludwika. (Nie: „przy boku Jadwigi", jak pisze p. Maciejewska). Mądra polityka panów kieruje Polską w czasie bezkrólewia, a nie ustaje rządzić nawet po koronacji Jagiełły. Król wykonuje przecież jedynie zamierzone przez nich plany.

Jako głowa narodowej partii możnowładczej i jako symbol polskiej racji stanu występuje Jadwiga. Razem pracują nad nawróceniem Litwy, rozszerzeniem południowo-wschodnich granic Polski, razem protestują przeciw pomocy, jakiej król udziela Witoldowi, pertraktują z Zakonem itd. Przy nazwisku królowej występują panowie jako jedna grupa *barones reginae*. Natomiast nie zdarza się nigdy żeby Jadwiga i Jagiełło przedsiębrali coś wspólnie przeciw owej grupie.

Poza tą działalnością Jadwigi wspólną z Panami, nie można — zdaniem Autorki — mówić o jakimś planie Jadwigi, choćby planie celowej powściągliwości w ujawnianiu własnego zdania. Nie stoi ona również „ponad partiami", bo poczynania jej idą wyraźnie po linii polityki szlachty. Nawet o osobistym silnym wpływie Jadwigi w polityce zewnętrznej trudno właściwie mówić. Zwraca uwagę fakt, że Witold, który wobec niej godzi się ze Skirgiełłą, na list jej serdeczny z upomnieniem o czynsze odpowiada zerwaniem Unii, a potem w ogóle jej nie słucha. Również Zakon absolutnie nic sobie z jej listów nie robi.

Choć więc Jadwiga nie była mężem stanu czy wodzem w stylu Joanny d'Arc — miłość Polaków do niej jest, zdaniem p. Quillus, najzupełniej słuszna. Czas bowiem jej panowania jest dla Polski wyjątkowo szczęśliwy. O tyle zaś można to nazwać jej zasługą, że w szczególnym stopniu posiada ona pewne przymioty dobrego władcy. Więc choćby to, że nie wykorzystuje swojego wysokiego stanowiska dla własnej sławy, czy zadowolenia, lecz ściśle postępuje drogą obowiązku. Nawet po koronacji Jagiełły nie wycofuje się do zajęć domowych, dewocyjnych, czy rozrywek, co byłoby rzeczą zupełnie naturalną, ale do końca życia, ponieważ jest królem, wypełnia wiernie królewskie swe obowiązki.

Osobno trzeba omówić rolę Jadwigi w stosunku do Zakonu. Chodzi mianowicie o jej interwencję w sprawie niesłusznego zastawu Ziemi Dobrzyńskiej.

W pertraktacjach z Zakonem Jadwiga występuje znowu jako dziedziczna królowa polska, jedyna dziedziczka Ludwika po śmierci Marii, władczyni nie obciążona wrogą dla Zakonu przeszłością. Już w 1390 r. na zastaw Złotorii reaguje wysyłając do Opolczyka posłów, oraz nosząc się z myślą stworzenia związku książąt śląskich przeciwko niemu. Gdy to nie pomaga, osobiście jedzie na Węgry. Po zastawie Dobrzynia, co powoduje zbrojną rozprawę z Opolczykiem, gdy mimo niej sprawa zabranych ziem nic na tym nie zyskuje, królowa zwraca się do Zakonu. Zawiązuje się więc długa korespondencja między Jadwigą a Wielkim Mistrzem

i dochodzi nawet do dwóch zjazdów, na które osobiście przybywa królowa.

W rezultacie Jadwiga nie odzyskała Dobrzynia. Niezaprzeczenie jednak jest jej zasługą, że Polska nieprzygotowana wówczas do wojny zdołała utrzymać pokój z Zakonem mimo tylu tarć i punktów zapalnych. Nawet w chwili największego zawodu i gniewu, gdy W. Mistrz nie stawił się osobiście na drugi zjazd, nie odstępuje Jadwiga od zdecydowanego pokojowego stanowiska: „Jak długo ona żyje, będzie wstrzymywać straszną wojnę".

Nie ona sama jednak stoi na tym stanowisku, i nie powstrzymuje czarem swojej osoby, jak pisze Caro: *den Kriegseifer und die Kampfeswut der feurigen Magnaten.* Raczej dzieli tu, jak i w innych wypadkach stanowisko polskich panów, którzy wprawdzie tajemnie wspierają Jagiełłę na Litwie, oficjalnie jednak zawsze oświadczają się za pokojem.

Jej osobistą zasługą jest również prawdopodobnie powstrzymanie najazdu na Zakon zaraz po zajęciu Złotorii, kiedy wojsko polskie było już w drodze, oraz od szkodzenia Krzyżakom w czasie wojny z Opolczykiem.

Stanowiskiem swoim przysłużyła się więc Jadwiga i Zakonowi, który również nie był przygotowany do wojny. Gdyby był jej szukał, znalazłby do niej dosyć powodów. Tymczasem Zakon wyraźnie unika poważniejszych zaczepek (nie chce np. kupić Dobrzynia), do królowej odnosi się z czcią, dziękuje za starania, chwali, modli się za nią po jej śmierci. Przesadą jest jednak, co piszą krzyżackie kroniki, że Jadwiga lubiła Zakon i że starała się o jego dobro.

O ile o działalności Jadwigi w polityce zewnętrznej pisze p. Quillus bardzo obszernie, zwłaszcza, że dość szczegółowo przedstawia całe tło polityczne, o tyle nieproporcjonalnie mało mówi o jej działalności wewnątrz państwa.

Wspomina tylko o tym, że wraz z panami królowa pracuje nad ustaleniem poprawnych stosunków z dzielnicami, oraz, że dochowały się pewne jej rozporządzenia dotyczące królewskich dóbr i dochodów.

Mówiąc o stosunkach z papiestwem za Urbana VI, zaznacza, że Rada Koronna za pośrednictwem królowej zajęła

się uporządkowaniem stosunków z Kurią. Zupełnie natomiast nie wspomina o roli jaką jej w tej sprawie przypisuje p. Maciejewska. Według niej, „królowa (wówczas 12-letnia) szybko wytknęła wspólnie ze swym otoczeniem program nawiązania stosunków z Kurią". [1]) Następnie przedstawia p. Maciejewska szczegółowo cały ciekawy rozwój tych stosunków, podkreślając w nich inspirującą lub kierowniczą rolę królowej.

P. Quillus natomiast wspomina tylko krótko o korespondencji Jadwigi z Papieżem Bonifacym, obfitującej w tak liczne i obiektywne prośby, że Ojciec św. musiał ją prosić o zaznaczenie specjalne tych, na których jej osobiście zależało.

Znany i rozmaicie komentowany fakt przeprowadzenia kandydatury Wysza na biskupstwo krakowskie wbrew wyborowi kapituły, tłumaczy p. Quillus nie jak p. Strzelecka za Długoszem, obrażoną dumą królowej wobec kontrkandydata, który nie przygotował jej kiedyś postoju w swoim majątku, ale po prostu konsekwencją w popieraniu takiego człowieka jakim był Piotr Wysz, na którym się dobrze poznała.

Wspomina dalej p. Quillus o współpracy Jadwigi z biskupem, o fundacji psałterzystów, o licznych darach na rzecz kościołów krakowskich, oraz opiece nad klasztorami.

Szkoda, że nie rozszerza bardziej tego ostatniego punktu, który opracowała obszerniej p. Strzelecka. Stosunek Jadwigi do poszczególnych klasztorów mógłby być ciekawym przyczynkiem do charakterystyki królowej. Specjalna jej życzliwość dla dominikanów, stosunki z franciszkanami datujące się jeszcze może aż z czasów pobytu Wilhelma w Krakowie, z klaryskami mieszkającymi tuż pod zamkiem, z cystersami, kartuzami itd. Dalej specjalny sposób opiekowania się szpitalami — o czym p. Quillus w ogóle nie wspomina.

Podkreśla jedynie współdziałanie Jadwigi w nawracaniu Litwy. Do tego celu miało służyć planowane przez nią już w 1390 r. odnowienie Akademii, przeznaczonej dla kształcenia misjonarzy; dalej sprowadzenie benedyktynów słowiań-

---

[1]) Ten punkt widzenia skrytykowała już p. Pieradzka w *Kwartalniku Hist.*

skich, wreszcie fundacja Bursy dla polskich studentów teologii w Pradze.

Szkoda, że nie wspomina tu p. Quillus o ciekawej wzmiance prof. Haleckiego, na którą zwróciła uwagę p. dr Charewiczowa — a mianowicie, że pierwszy w Polsce projekt Unii kościelnej z Rusią powstał najprawdopodobniej pod wpływem Jadwigi.

Mało również mówi Autorka o znaczeniu królowej w dziedzinie kultury umysłowej. Wspomina o tym, że była znana z przyjaźni dla uczonych, miała przy sobie lektora i pisarza, oraz posiadała własną bibliotekę, której skład wymienia dokładnie, podkreślając znaczenie wielu tłumaczeń na język polski, podjętych za namową królowej.

Przechodząc do charakterystyki królowej — przede wszystkim zadaje sobie p. Quillus pytanie: jak wyglądała Jadwiga?

Wszystkie źródła zgodnie świadczą o tym, że była piękna. Niektóre mówią nawet o jej niezwykłej piękności. Co by się mogło temu sprzeciwiać?

Po pierwsze średniowieczni historycy, zwykli dobrym władcom zawsze przypisywać idealną urodę, zwłaszcza zaś przymiotniki: „młoda i piękna" są nieodłączne od każdej prawie postaci królowej czy cesarzowej. Jadwiga w chwili gdy ukazała się na arenie politycznej świata, miała zaledwie 11 lat, a więc niezawodnie była ładna, jak każde dziecko. Poza tym świetna kariera księżniczki węgierskiej, która staje się potężną królową polską — musiała również podnosić jej wdzięki w oczach kronikarzy.

Niezależnie jednak od tych względów, za wiele źródeł i to w sposób zbyt wyraźny, mówi o jej piękności, by świadectwa te można było zlekceważyć. Wszak czytamy, iż mnóstwo gości przyjeżdża na dwór krakowski, by zobaczyć słynną z urody królowę; że Jagiełło zachwycił się jej pięknością, słuchając sprawozdania posłów.

Była więc Jagwiga piękną, nawet niewątpliwie bardzo piękną. Ale jaki był rodzaj jej urody?

Z dwu dochowanych współczesnych wizerunków (relikwiarz z Dalmacji i pieczęć majestatyczna) trudno sądzić

o czymkolwiek; nie dochował się również w źródłach żaden szczegółowy opis, a w podaniach późniejszych natrafia się na zdania całkowicie sprzeczne.

Z odkrytych i zbadanych w 1887 r. szczątków królowej można wywnioskować jedynie, że była osobą więcej jak średniego wzrostu i silnie zbudowaną. Zrobiony według tych zabytków portret Matejki, przedstawia ją jednak, zdaniem p. Quillus, zanadto męską i potężną jak na najpiękniejszą kobietę ówczesnych czasów.

Mam wrażenie, że trudno wyrażać tu swoje zdanie, skoro wiemy, że pogląd na piękność kobiecą ulegał zawsze zmianie, zależnie od stopnia kultury narodu i epoki.

A jakim był charakter Jadwigi?

Cytując wiele odnośnych ustępów z różnorodnych źródeł, gdzie prócz takich określeń, jak: „dusza bez fałszu i skazy", „miłosierna", „szlachetna" itp., występują jeszcze silniejsze, jak: „święta", „nie żyła dla świata lecz dla Boga", „ziemia nie była godna jej nosić" — dochodzi p. Quillus do wniosku, że już dla współczesnych jest Jadwiga czymś niezwykłym. Widzą w niej oni coś więcej jak codzienną dobroć i pobożność, widzą w niej ideał ówczesnego chrześcijańskiego poglądu na świat: Świętą. Nawet Długosz, znany ze swojej szorstkości i cierpkości w opisywaniu panujących, który o wszystkich żonach Jagiełły wyraża się obojętnie, albo raczej sarkastycznie, Jadwigę nie tylko wychwala z całego serca, ale przy każdej wzmiance nie omieszka nigdy dodać przymiotnika takiego jak: *devota, religiosa, benedicta, illustrissima.*

P. Strzelecka twierdzi, że Długosz ma wrodzoną niechęć do Jagiełły i dla kontrastu z nim stawia Jadwigę na koturnach. Dlaczego jednak nie zrobił tego z innymi żonami Jagiełły?

Ten charakter Jadwigi potwierdza też ogólna miłość ludu; niepokój w całym kraju na wiadomość o jej chorobie; pielgrzymki, wota — modlitwy; wreszcie ogólna żałoba po jej śmierci.

Dokoła jej grobu tworzy się kult; lud znosi chorych, opętanych; dzieją się nawet cuda; wreszcie duchowieństwo

wszczyna starania o proces kanonizacyjny. Choć sprawa ta nie posunęła się dalej, z powodu braku funduszów i wojny z Zakonem, sam fakt, że doświadczeni duchowni przeważnie z jej otoczenia, a więc znający ją dobrze — uznali ją za świętą — świadczy już o wysokości moralnej jej charakteru.

Opisując krótko najbliższe otoczenie Jadwigi pomija niestety Autorka zupełnie grupę urzędników dworskich królowej, składającą się przeważnie z Małopolskich Panów.

Krótko i prawie bez komentarzy odtwarza p. Quillus życie wawelskiego dworu oraz pary królewskiej. Życie, które prócz spraw państwowych wypełniały z jednej strony praktyki religijne, z drugiej wystawne przyjęcia i zabawy, przedstawia się jako umiarkowane i wolne od przesady.

Wreszcie zastanawia się Autorka nad pytaniem, jakim był wzajemny stosunek obojga królestwa?

Źródła tu są sprzeczne. Długosz raz notuje, że Jagiełło żadnej z żon nie kochał; gdzie indziej znów, że tak był przejęty śmiercią Jadwigi, że musiano go przestrzegać przed zbytnim smutkiem; jedyną córkę z trzech późniejszych małżeństw nazwał Jadwigą, a obrączkę pierwszej żony nosił do śmierci, jako najdroższą rzecz na ziemi.

Ze strony Jadwigi nic nie świadczy o specjalnym przywiązaniu do Jagiełły, a kroniki krzyżackie mówią nawet o jej długiej niechęci do króla, wspominają nawet o próbach jej ucieczki. Jednak z powodu znanej stronniczości kronikarzy Zakonu, wiadomości te są więcej niż wątpliwe. Fakt, że Jadwiga w adwencie i poście chodziła z zasłoniętą twarzą, albo, że niekiedy jadała sama w pokoju, siedząc na ziemi przed kamienną płytą — co często jest uważane za rodzaj manifestacji wobec Jagiełły — tłumaczy p. Quillus znanym zwyczajem średniowiecznym zachowywania żałoby po bliskich, a wiemy, że Jadwidze w krótkich odstępach czasu umiera ojciec, matka i siostra, nic więc dziwnego, że długi czas żałobę tę zachowywała.

Skąd także zaczerpnął kronikarz wiadomość, że w czasie spowiedzi była Jadwiga napominana do przychylności dla męża? — zapytuje słusznie Autorka, skoro księdza obowiązuje tajemnica spowiedzi.

Patrząc na współdziałanie Jadwigi i Jagiełły odnosi się wrażenie zupełnie zgodnego współżycia. W czasie 13 lat raz tylko słychać o osobistej kłótni z powodu podejrzeń — i trzy razy z powodu różnicy zdań politycznych. Za to razem przyłączają Ruś, razem nawracają i cywilizują Litwę, budują klasztory, razem wypełniają codzienne swe obowiązki, bawią się i ucztują. Długosz pisze, że od czasu pogodzenia się po procesie „żyli w niezmąconej zgodzie i słodkiej miłości".

Przyczyną, która by była mogła powodować niezgodne pożycie, byłaby albo wielka miłość do Wilhelma, albo przykre usposobienie i odrażający wygląd Jagiełły. O stosunku do Wilhelma była już mowa. Co dotyczy króla — to postać jego, według opisu Długosza, uchodziła u współczesnych raczej za piękną. Co dotyczy jednak charakteru króla to, zanalizowawszy dokładnie wszystkie źródła, dochodzi Autorka do wniosku, że trzeba było głębokiego wyrzeczenia się świata i świętej cierpliwości Jadwigi do zniesienia pożycia małżeńskiego z królem. Mimo to jest ona podobnego zdania co p. Maciejewska, mówiąc, że stosunek obojga królestwa do siebie, mimo wielkiej różnicy charakterów, nie był tak zły, jak twierdzi kronika Wielkiego Mistrza. Złożyły się na to z jednej strony: Wielkie przywiązanie Jagiełły do żony, z drugiej wielkie zaparcie się siebie i konsekwencja Jadwigi w raz poniesionej ofierze.

Z poprzednich prac charakterystykę Jadwigi podała jedynie p. Strzelecka, bo p. Maciejewska ograniczyła się tylko do cytatów ze źródeł, prawie, że bez komentarzy.

U Strzeleckiej Jadwiga jest osobą przede wszystkim o żywym impulsywnym usposobieniu, odziedziczonym po rodzicach, o rycerskiej dumie, wybitnym rozumie i sercu, które umie pokochać swój cel. Jako dowody tego temperamentu przytacza Autorka: Wielką ruchliwość dworu; epizody z prywatnego życia Jadwigi, zanotowane w źródłach; charaktery dziadów i rodziców; wreszcie jej kulturalno-duchową spuściznę, wynik jej żywego umysłu i usposobienia, które znalazło ujście we wszelkich dziedzinach działalności. Poza tym podkreśla p. Strzelecka specjalny charakter pobożności Jadwigi. Z jednej strony głęboki i przemyślany,

czego dowodem fakt, że klejnoty zapisuje nie na cele dewocyjne, ale na Akademię — a z drugiej żywy i gorący, bo przenikający całą jej działalność i każdy szczegół codziennego życia.

Jako ciekawy przyczynek do charakterystyki królowej zwraca uwagę p. Strzelecka na książkę dedykowaną jej przez uczonego praskiego Henryka z Bitterfeldu, prawdopodobnie znajomego Jadwigi. Tak tytuł tej książki, jak i dedykacja wskazują na to jaką drogą szło życie wewnętrzne królowej, życie składające się z „kontemplacji i życia czynnego". Jadwiga starała się łączyć te dwie rzeczy i jak pisze p. Strzelecka: „Ofiarowywała siłę moralną zdobytą w przemyśleniu, skupieniu umysłu i we wzlotach serca — na użytek życia aktywnego".

Otóż p. Quillus dochodzi do odmiennego ujęcia usposobienia i charakteru Jadwigi. Główną i najwybitniejszą cechą królowej — twierdzi — była jej „szlachetna i święta czystość". Dalej, opierając się na źródłach, które zgodnie świadczą, że prócz pobożności i łagodności, tak była pokorna, skromna, zrównoważona, dobrotliwa i cierpliwa, że nie wiedziała nawet czym jest duma, uraza i gniew — dochodzi Helena Quillus do przekonania, że Jadwiga była z natury usposobienia łagodnego.

Ruchliwość zewnętrzna i gorączka czynu, o których pisze p. Strzelecka, nie musiały, zdaniem Autorki płynąć z temperamentu królowej, ale raczej z zewnętrznych okoliczności.

Epizodów takich, jak ten z toporem nie można uogólniać. Po pierwsze jest to jedyny fakt w okresie 25 lat jej życia, poza tym trzeba pamiętać, że Jadwiga była wówczas małym dziewczęciem.

Co do samego charakteru królowej, to wiadomo za Długoszem, że jako jedenasto, dwunastoletnia dziewczynka, bywała raz wesoła, raz smutna, raz uparta, raz bojaźliwa. O dorosłej kobiecie — mówi już historyk jako o zrównoważonej, poważnej, skłonnej do ascezy.

Jaką drogą do tego doszło? pyta się Autorka.

Czy sprawiła to bezwładność wobec sił przeważających, rozrywających ją z Wilhelmem i oddających Jagielle?

Czy ból z powodu straty bliskich? Czy smutek z powodu braku potomka?

Czy przejęcie się myślą o obowiązku wobec oddanego jej ludu?

Czy obcowanie ze świętymi, których czytywała żywoty? Niewiadomo.

Długosz pisze o jej bezgranicznej miłości Bożej. Lecz zdaniem p. Quillus dowody przemawiają jedynie za wysoką wprawdzie lecz zwykłą pobożnością i miłosierdziem. Nawet w legendach o niej rzeczą nadzwyczajną jest nie sama działalność królowej, ale występujący element nie-ziemski. W porównaniu z innymi świętymi mało znajduje w Jadwidze rysów silnej, mistycznej miłości Bożej. Nie słychać o ekstazach, zachwyceniach, surowości w umartwianiu czy heroizmie miłości bliźniego.

Z tego można wnioskować — kończy p. Quillus — „że główną siłą wewnętrznej istoty Jadwigi była nie święta, ogromna, przenikająca wszystko miłość — ale chłodna sprawiedliwość, która starała się nikogo nie opuścić, ale dobrze i wiernie wypełniać wszystkie prośby i ustawy.

Chciałabym na zakończenie ująć raz jeszcze syntetycznie stosunek Autorki, do kwestii, którą się zajmuje.

P. Quillus czerpie ze źródeł tak polskich jak i obcych, głównie niemieckich, ustosunkowując się do nich krytycznie. Przy tym ciekawe, że jako Niemka, w wielu wypadkach dane źródeł niemieckich odrzuca jako stronnicze, najwięcej ceniąc Długosza.

Literaturze polskiej o Jadwidze zarzuca zanadto sztywne przywiązanie do tradycji i świadomą czy też nieświadomą niechęć do wprowadzenia do niej jakichkolwiek zmian. Tradycją tą jest mit o Jadwidze, jako bohaterce, świętej i męczennicy dla dobra swego ludu. Tym trzem jej tytułom przeciwstawia się p. Quillus w swojej pracy.

Równie krytycznie odnosi się do literatury niemieckiej, zarzucając jej trzymanie się nadal błędnego poglądu w kwestiach z punktu widzenia historii zasadniczo już rozwiązanych, jakimi są: stosunek Jadwigi do Wilhelma, oraz prawne stanowisko Jagiełły, jako równorzędnego Jadwidze króla.

Dlatego też dwa wspomniane punkty omawia obszerniej w swojej pracy.

Do samej kwestii, którą się zajmuje, stara się Helena Quillus ustosunkować obiektywnie. Zakon, Witolda, Opolczyka, Jagiełłę — traktuje zupełnie bezstronnie, z wielką przychylnością odnosi się do narodu polskiego, zwłaszcza mówiąc o jego kulcie dla ukochanej królowej, za to wyraźnie niechętna jest Wilhelmowi.

Do Jadwigi odnosi się z pełną czcią i uznaniem jej zasług i charakteru, odmawia jej jednak, w przeciwstawieniu do obu biografek Polek, tytułu świętej, motywując to jak wyżej wspomniałam.

Dlatego pozwolę sobie tu przypomnieć, że Kościół zna rozmaite typy świętych. Obok św. Elżbiety Turyńskiej, św. Franciszka, św. Jadwigi Śląskiej, których cytuje Autorka występują też święci innego typu. Taka święta Monika, św. Jan Berchmans, św. Magdalena Barat, św. Teresa od Dzieciątka Jezus nie mieli ani ekstaz, ani nie spełniali „przesadnych uczynków miłości bliźniego" (całowanie ran itp.) a jednak wielką wiernością łasce i wielką miłością w najdrobniejszych nawet obowiązkach doprowadzili życie do doskonałości. Życie ich nacechowane było heroizmem cnoty i Kościół zaliczył ich w poczet świętych.

Czemużby i Jadwiga, królowa Polski, nie miała do nich należeć? Na tak postawione zagadnienie nie znajdziemy żadnej przekonywującej racji w książce p. H. Quillus.

Anna Szepłycka.

Ludwik XIV
w perspektywie trzechsetnej rocznicy.

Francuski pisarz, Joseph Delteil, którego cechuje niemały stopień oryginalności twórczej, w przedziwnym swym utworze, zatytułowanym *Jeanne d'Arc,* wypowiada zdanie, że każda epoka stwarza pewien odrębny, a sobie tylko właściwy obraz wielkich postaci dziejowych. Osoba Ludwika XIV dostarcza nam przekonywującego dowodu na poparcie powyższego twierdzenia. Ówczesna Francja uwielbiała swego władcę bez miary, ubóstwiała go po prostu. *Dii estis* — „bogami jesteście!" — okrzyk ten wyrwał się z ust pobożnego biskupa z Meaux, zwrócony nie tyle do panujących w ogóle, ile w odniesieniu do ówczesnego króla Francji. Następne pokolenia spoglądały na Ludwika tylko z chłodnym szacunkiem i podziwem. O takim właśnie nastroju świadczy wyraźnie wolterowy *siècle de Louis XIV.* Rewolucja znienawidziła ten, jak go nazwano „pierwowzór" tyrana. „Dziewiętnastowieczni" mężowie, synowie stulecia określanego mianem *stupide XIX siècle* napiętnowali Ludwika XIV jako bezdusznego przedstawiciela zwyciężonego już w ich czasach absolutyzmu. Obecnie zaś Król-Słońce uchodzi ponownie za jedno z najchwalebniejszych wcieleń odwiecznych pierwiastków francuszczyzny.

W tym odrodzeniu dawno zagasłej sławy miały udział zarówno powołane głosy, wyszłe z cechu zawodowych historyków, jako też i polityczne pisma *Action Française,* aczkolwiek w wydawnictwach tych polemiczna treść nie zawsze szła społem z istotną znajomością rzeczy. Taki Charles

Maurras, taki Leon Daudet uczynili Ludwika XIV symbolicznym wcieleniem jedynego zbawiennego sposobu ukształtowania się państwowości, to znaczy symbolem monarchii. Królewski pomazaniec staje przed nimi jak gdyby ucieleśniona *idée-force,* ich zaś logika dowodowa oznacza się tą prostotą, która zawsze i wszędzie użycza politycznym ideom przekonywującej siły. Za Ludwika XIV Francja stanęła u szczytu potęgi politycznej, gospodarczego rozkwitu, duchowych wzlotów, światowego znaczenia, uciech towarzyskich. A zatem — tak każą nam wierzyć — był to najpotężniejszy z władców rodu, Burbon z domu Kapetyngów. A więc — perswadują nam w dalszym ciągu — monarchia jest najistotniejszą dla Francji formą państwowości.

Krytyka mogłaby tu w niejednym punkcie wyrazić słuszny sprzeciw. Mogłaby stwierdzić mianowicie, że do panowania tegoż Ludwika XIV należy odnieść zaczątki wszystkich błędów, które w następstwie przywiodły kraj nie tylko do upadku, lecz niemal do zguby; że datujące się z tej epoki twórcze wyniki, osiągnięte na polach poezji, sztuki oraz nauki leżały poza zasięgiem wpływów i działalności monarchy, zdolnego najwyżej do popierania istniejących już wśród jego otoczenia talentów; że jeżeli skarbowość państwa oraz dobrobyt jego mieszkańców doznały w tym czasie obok silnych, ożywiających je podniet także i rozumnej opieki ze strony króla, to równocześnie ustawiczne wojny przygotowywały zawczasu późniejszy upadek publicznego budżetu; że wreszcie na tenże sam okres *Grand-Siècle*'u czyli Złotego Wieku przypada fakt ujawnienia się najpierwszych zarodków owego społecznego przewrotu, który za Ludwika XVI miał dojrzeć do tak potwornego i przerażającego żniwa.

W bieżącym roku Francja obchodzi trzechsetną rocznicę urodzin tego niepospolitego swego władcy. Nawet w obliczu powyżej uczynionych zastrzeżeń, pozostają jeszcze w mocy dostateczne uzasadnienia, aby zapewnić Ludwikowi wdzięczną pamięć własnego narodu i powszechny podziw potomności. Dwaj fachowi krytycy, z obozu *Action Française,* żyjący Ludwik Bertrand oraz zmarły Jacques Bainville, zebrali starannie wszelkie dowody, mogące przemawiać przeciwko tezom umniejszycieli Ludwikowej chwały. Zamiast

dawniejszych poglądów przyjaznych, bądź też nienawistnych, otrzymujemy dzisiaj wizerunek świetnego bóstwa ziemskiego o rysach przypominających raczej pruskiego Wilhelma I albo austriackiego Franciszka Józefa I, inaczej mówiąc: genialnych nadludzi na monarszych tronach. Wielkość Ludwika XIV wypłynęła stąd, że używał swoich praw i obowiązki swoje wypełniał z wielkim umiarem i nieomylnym taktem; że nie wtrącał się do spraw, na których się nie rozumiał, okazując natomiast wierną stałość w stosunku do ludzi, którym powierzył właściwe kierownictwo nawą państwową; że na koniec nie pozwalał sobie na nic takiego, co mogłoby uchybić jego królewskiej godności, aczkolwiek często hołdował ludzkim, aż nazbyt ludzkim namiętnościom, co ściągało na niego wówczas i dzisiaj jeszcze ściąga na jego imię huczące gromy surowych sędziów moralności. Niepoślednie znaczenie ma tu wreszcie okoliczność, że ten Burbon, w którego żyłach płynęło więcej krwi niemieckiej i hiszpańskiej, aniżeli francuskiej, był jak najlepszym stróżem powierzonych jego pieczy narodowych interesów Francji.

Jeszcze i to zaznaczyć należy, że słabości i słabostki monarchy i mężczyzny pochodziły w znacznej mierze u Ludwika z przyczyny nieszczęśliwie odziedziczonych skłonności, podczas gdy zalety były dziełem jego osobistego rozumu, rozsądku oraz woli. Fatalne dziedzictwo przodków ciężko obarczyło młodocianego księcia, którego ojciec, Ludwik XIII miał słabowite zdrowie i umarł młodo. Tak po mieczu zaś jak i po kądzieli rodził się Król-Słońce z onej prababki, smutnej i mrocznej pamięci, Joanny Szalonej, która pozostawiła klątwę choroby umysłowej niezliczonemu potomstwu. Oprócz faktów wymienionych możemy odczytać na rodowym drzewie Ludwika XIV inne jeszcze źródła anormalnych cech usposobienia. Poszlaki te wskazują na południowozachodnio-francuskie rody Albretów i Foix'ów, na królewski dom kastylijski, wreszcie na brytyjskich Lancastrów. Z drugiej strony wszakże nie brak tam również jednostek zdrowych na ciele i umyśle, wybitnych znaczeniem; przekazały one swojemu następcy cenną i wartościową spuściznę fizyczną oraz duchową. Henryk IV, ów monarcha *vert galant,* (któremu w samej rzeczy należy przypisać skłonną

do miłostek naturę Ludwika XIV); Maksymilian, „ostatni z rycerzy" (i zarazem jeden z zaciężnych uczestników triumfalnego pochodu bogini Wenus), długi szereg książąt burgundzkich aż do Karola Śmiałego, polsko-litewscy Jagiellonowie, Izabela Katolicka, opiekunka Kolumba, cesarz Zygmunt oraz Luksemburczycy — oto tylko niektóre ze znakomitych osobistości, tworzących krąg najbliższych przodków Ludwika XIV.

Twórca Wersalu wszakże zdaje się mieć najwięcej do zawdzięczenia swojej matce, pięknej i mądrej Annie austriackiej z linii hiszpańskiej. Dopiero niedawno pewien wnikliwy historyk wywołał na nowo z zapomnienia jej cień pełen uroku, przywracając mu równocześnie pełną wagę dziejowego znaczenia. Kobieta ta była ofiarą państwowej racji stanu, równocześnie zaś mistrzynią w kierowaniu nawą państwową. Królewski syn duszą i ciałem jak najdokładniej przypominał matkę. Anna, królowa-regentka, kardynał Mazarin, jej doradca i przyjaciel (może nawet morganatyczny małżonek: pierwszy minister Francji, nigdy nie przyjął święceń kapłańskich i zgodnie z wynikami najnowszych badań, miał rzeczywiście wstąpić z Anną w potajemny związek małżeński), wreszcie owi dwaj wysoko uzdolnieni cudzoziemcy, którzy przez blisko dwa dziesiątki lat doskonale sterowali losami Francji — każda z wyżej wymienionych osób ze swej strony udzieliła Ludwikowi tych podstawowych wskaźników wytycznych, które stały się następnie naczelnymi zasadami jego rządów: strzec jedności państwa, bronić obsolutnej władzy królewskiej, zetrzeć oporne resztki feudalizmu, przyciągnąć mieszczaństwo na najwyższe stanowiska administracyjne, wreszcie wykreślić krajowi jego „przyrodzone" granice: Pireneje, Ren, Alpy i morze. Od kardynała zaś Richelieu, który w swoim czasie był mistrzem Mazarina, przejął król tradycję związaną z popieraniem sztuki oraz wszelkich innych gałęzi kulturnej twórczości.

Zanim wcześnie dojrzały młodzieniec zdołał przynieść zaszczyt szkole, która go wykształciła, dał się poznać w dziedzinie ściśle osobistej, jako wierny naśladowca swojej matki. Gorąca młodzieńcza miłość była prawdopodobnie w dziejach jego serca jedynym prawdziwym przeżyciem, wolnym

od rozstrzygającego udziału zmysłów. Ale właśnie to uczucie dało mu odczuć ciężar jego królewskiej godności oraz pęta, jakimi go skrępowała. Zapragnął bowiem pojąć sobię za małżonkę czarującą Olimpię Mancini, siostrzenicę kardynała Mazarina. Minister wszakże sprzeciwił się tym zamiarom, w imię państwowego dobra, a król musiał poddać się jego wyrokowi. Od tej pory Ludwik starannie oddzielał miłosne przeżycia od politycznych zagadnień, przy czym do ostatniej ze wspomnianych dziedzin zaliczał także i małżeństwo. Toteż, gdy pojął za żonę kuzynkę swą, infantkę hiszpańską, nie łączył ich ze sobą żaden wspólny węzeł poza przymusem jednoczesnego promieniowania majestatem podczas uroczystych ceremonij dworskich oraz poza obowiązkiem zrodzenia potomstwa, które by przedłużyło trwanie królewskiego rodu. Namiętny niepokój nigdy nie sytych zmysłów, szukał ukojenia u kochanek, metres, których długi szereg oplata całe panowanie Ludwika XIV. Z nich wszystkich najlepiej są nam znane: de Montespan i La Vallière. Dopiero po śmierci pobożnej i dobrej, ale nie kochanej małżonki, potrafił król połączyć w jedno politykę, skłonność serca oraz sakrament. Namiętności oczywiście miały niewiele wspólnego z powtórnym legalnym związkiem małżeńskim francuskiego monarchy. W chwili gdy podawał królewską dłoń owdowiałej po Scarronie pani de Maintenon, popioły przyprószyły już żar, którym płonął niegdyś ognisty wielbiciel Olimpii i sułtan niezliczonych faworyt.

Najtrwalsze wszakże dzieła Ludwika wiążą się z okresem „wielkich grzechów" jego życia, a nie z czasem pokuty u schyłku dni starzejącego się władcy. Przez okres 23 lat tj. od chwili objęcia samodzielnych rządów aż do pamiętnej wyrocznej daty 1683, stał król u szczytu życiowego rozkwitu i rozwoju. Przez ten czas zdołał uzyskać dla Francji istotne zdobycze terytorialne, zapewnione mocą pokoju pirenejskiego oraz układów z dworem wiedeńskim. Wtedy to na dziejowym widnokręgu Francji ukazali się wielcy mężowie, dzięki którym najświetniej zajaśniała jej gwiazda, tak w dziedzinie polityki, jak i czynów wojennych: Colbert, Turenne, Vauban, Louvois. Wtenczas również nastąpiło podniesienie

się kraju pod względem gospodarczym i jednocześnie ujrzały świat najznakomitsze dzieła poetyckie, najwspanialsze pomniki architektury. W owych dniach Ludwik XIV dawał jeszcze posłuch dobrym doradcom i starał się wyłącznie o to, aby w granicach możliwości prowadzić politykę na wskróś francuską.

Niebawem jednak ta wytyczna uległa zmianie. Wyszły na jaw długo hodowane w skrytości plany zawładnięcia światem. W Burbonie obudził się dziedzic ale także i zazdrosny współzawodnik cesarstwa. Pamiętniki Ludwika XIV odsłaniają przed naszym wzrokiem otchłań, z której wytrysnęła ta chybiona polityka drugiej połowy jego panowania. Chciał on zdobyć dla siebie berło Karola Wielkiego lub raczej — wedle tego, co sobie sam wyobrażał — chciał je dla siebie odzyskać. Czyliż Kapetyngowie nie są prawymi spadkobiercami Karolingów? Wszak Habsburgowie nie mają żadnego prawa do pierwszej korony w chrześcijaństwie! Silnie rozwinięty i rozbudowany aparat dyplomatyczny miał zdobyć dla powyższej teorii praktyczne uznanie i znaczenie. Król podburzył Osmanów i wpędził ich na kark domowi austriackiemu oraz rzymskiemu imperium narodu niemieckiego. Ośmielał absolutystyczne dążenia wrogich Habsburgom książąt niemieckich i popierał powstające przeciwko austriackiej dynastii buntownicze czynniki węgierskie. W Polsce oraz w Szwecji udzielał poparcia stronnictwom antycesarskim, na koniec zaś w ostry i gwałtowny sposób przeciwstawił się Stolicy Apostolskiej, która w postawie szermierza przeświadczonego o słuszności swej idei, zawsze z nadejściem rozstrzygającego momentu wysuwała hasło solidarności europejskiej w obliczu tureckiego niebezpieczeństwa. Z chwilą przeniknięcia niewiernej hordy do samego serca Niemiec zamierzał Ludwik wystąpić z całą potęgą swego kraju w obronie własnego państwa i całego chrześcijaństwa. Zgodnie z jego przewidywaniami Habsburgowie mieli wykazać zupełną nieudolność do zasłonięcia Zachodu przed nadciągającą nawałnicą; tym samym więc mieli utracić cesarską swą godność; korona ich przeszłaby wtenczas jako dziedzictwo w ręce Burbonów.

Subtelne te wyrachowania przemieniły się u bram Wiednia w sromotną porażkę. Można tedy łatwo zrozumieć nienawiść, jaką zapałał na całe swe życie Król-Słońce w stosunku do osób Leopolda I oraz Sobieskiego, zbawcy niewdzięcznej Austrii. Bitwa pod Kahlenbergiem zbiegła się co do czasu z faktami śmierci królowej francuskiej oraz wewnętrznej przemiany Ludwika. Od czasu tych wydarzeń gwiazda wielkiego władcy poczęła blednąć. Odnosi on jeszcze wprawdzie niejedno zwycięstwo, ale za to nie zdołał nigdy osiągnąć żadnego ze swoich wysoko zamierzonych celów, wybiegających poza rubieże burbonowego mocarstwa. Holandia potrafiła obronić się przed łakomstwem sąsiada; w Anglii niewolniczo zaprzedany Burbonom dom Stuartów musiał ustąpić z tronu; walka zaś o dziedzictwo hiszpańskie przynosi wprawdzie w ostatecznym wyniku osadzenie na tronie Izabeli Katolickiej, jednej z bocznej gałęzi dynastii burbońskiej, zarazem jednak sprowadza na Francję niezmierzony ogrom nieszczęść, owoc Wojny Czternastoletniej, która wyczerpawszy i obezwładniwszy kraj do szczętu, spycha go ostatecznie z przodującego stanowiska na trzecie miejsce w szeregu potęg europejskich. Anglia pod berłem mało utalentowanych Gwelfów oraz Austria pod władzą niezbyt wybitnych ostatnich przedstawicieli rodu Habsburgów osiągają pierwszeństwo tylko dzięki temu, że taki ks. Eugeniusz i taki Malborough dążyli do celów związanych jak najściślej z rzeczywistością.

Smutne te następstwa polityki zagranicznej nie zdołały oczywiście umniejszyć znaczenia ani powagi francuskich wpływów w zakresie intelektualnym i duchowym. Za życia Ludwika XIV Francja była wzorem obyczajów (i zarazem nieobyczajności), mód i sztuki; była również ojczyzną nauk oraz literatury. Przynajmniej w odniesieniu do niektórych z wymienionych dziedzin należy przypisać królowi wyłączną zasługę tego przodownictwa. Jak niegdyś Włochy dały światu doskonałego *Corteggiano* — Dworzanina, tak teraz osoba Ludwika przedstawiała ideał monarchy, w każdym calu hojnie uposażonego od Boga, a nigdy nie zapominającego o swej godności. Należałoby przerzucić karty diariusza, pisane ręką nadwornego kronikarza Wersalu, aby przeko-

nać się, jak jeden jedyny człowiek zdołał promieniować dookoła siebie niby jakąś hypnotyczną siłą, działającą nie tylko na najbliższe bezpośrednie otoczenie królewskie, książąt, pochlebców, metres, ministrów i lokajów, ale i na najznamienitszych ludzi w kraju i dalej jeszcze, poza tego kraju granicami. Dla polskiego króla Wersal przedstawiał zaczarowany pałac: *le palais enchanté;* dla niemieckich książątek — wyrocznię smaku oraz towarzyskiego obycia. Poufne listy wielkiego elektora do wielokrotnie zdradzanego sojusznika, wykazują niemniej głęboki szacunek jak postawa władców szwedzkiego albo włoskiego. Jedynie w Wiedniu Leopold I żywił dla swego „niedobrego" kuzyna uczucia mniej więcej podobne do tych, z jakimi później nieco Maria Teresa odnosiła się do „złego mężczyzny", Fryderyka II. Tak samo i dwór papieski wolny był od urzekającego kultu francuskiego monarchy.

Co się tyczy niesłychanego przepychu, który za czasów Ludwika roztaczano w budownictwie, a także i na dworze z powodu różnorodnych a niezliczonych uroczystości, również i pod tym względem wydamy o słonecznym królu sąd dodatni, odmienny od purytańskich a złośliwych krytyków XIX stulecia. Miliony i miliardy, określające wysokość owych okolicznościowych wydatków, ożywiały gospodarcze życie kraju i w ogólnym jego budżecie bynajmniej nie odegrały tak fatalnej roli jak to dotychczas mniemano albo usiłowano dowieść. Pozostałości owego świetnego blasku trwają do dziś dnia w szeregu najdumniejszych świadków Ludwikowej przeszłości, jego wielkich rządów oraz inicjatywy, której urzeczywistnianiu się nic nie stawało na przeszkodzie i która dlatego mogła dokonać dzieł naprawdę niezrównanych. Wersal, zaczątek współczesnego Paryża, dzisiejszej światowej metropolii, obok niego zaś tradycyjna spuścizna wyrafinowanej towarzyskiej kultury, winny są Ludwikowi rzetelną wdzięczność.

Postać Ludwika jako mecenasa i opiekuna nauk, piśmiennictwa oraz sztuki, budzi natomiast pewne zastrzeżenia. Historyczne anegdoty przedstawiają go nam w roli obrońcy genialnego Molièra przed zawiścią dworaków. Mnóstwo dykteryjek, utrzymanych w tonie i na poziomie

szkolnego elementarza, wynosi pod niebiosa zalety słonecznego monarchy. Wszystko to wszakże nie zdoła zachwiać naszego przekonania, że Ludwik XIV, podobnie jak wyżej wspomniany Franciszek Józef I albo Wilhelm I był w gruncie rzeczy człowiekiem trzeźwym, niedostępnym dla zainteresowań poezji i sztuki (same bowiem zamysły i zamierzenia budownicze nie mają jeszcze ze sztuką nic wspólnego). Jeżeli piśmiennictwo i malarstwo są mu w jakikolwiek sposób obowiązane, to tylko o tyle, że wytworzył dookoła siebie atmosferę, sprzyjającą tak samej twórczości jak i jej twórcom, poza tym zaś jeszcze i dlatego, że, idąc za głosem dobrych doradców, okazał się opiekunem geniuszów, chociaż sam nic a nic ich nie rozumiał. Dla scharakteryzowania osobliwego sposobu bycia Ludwika mogą posłużyć dwie — w równej mierze wyjątkowo jak niezaprzeczenie — prawdziwe historyjki, które kładą kres wszelkim dziejopisarskim kłamstwom. „Precz z tymi bohomazami" miał zawołać oburzony władca, gdy mu przedstawiono kilka arcydzieł, istnych pereł rodzajowego malarstwa holenderskiego. (Rozumiał się bowiem jedynie na świetnej blaskami, okazałej przepychem tematu i barw palecie swego nadwornego artysty Mignarda, który w epoce francuskiego Złotego Wieku, odgrywał podobną rolę jak później von Werner na dworze cesarsko-niemieckim, przy czym o tyle przewyższał swego pruskiego następcę, o ile Ludwik XIV przerastał pruskiego Wilhelma I. Kiedy indziej znów monarcha — *jeune et vaillant héros* — nie tylko bohater przejścia przez Ren, ale także pan szczodry i wielce podziwiany w licznych panegirykach, przesłał mistrzowi poetyckiej sztuki, Boileau, własne rymy do oceny: „Wasza Królewska Mość potrafi wszystko uczynić doskonale. Skoro więc zapragnął ułożyć marne wiersze to i to Waszej Królewskiej Mości udało się jak najlepiej".

A przecież od pamięci Ludwika XIV nie podobna oddzielić imion tych poetów i tych myślicieli, którzy pod jego egidą stworzyli nieśmiertelne dzieła jak Kartezjusz i Pascal, Malebranche i wielki Arnauld, Corneille, Racine, Molière, La Fontaine, La Rochefoucauld, La Bruyère, panie de Sévigné oraz La Fayette, kardynał Retz, filozof St. Simon, Bossuet, Fénelon. Gdzie i kiedy, w jakim kraju i epoce,

można było podziwiać podobne bogactwo i różnolitość literackiej twórczości? Prawidła, którymi posługiwali się ci sztukmistrze słowa przy wyrażaniu piękna i mądrości, żartu i prawdy, stały się w tej dziedzinie dla całego świata powszechnym prawem. Ale te normy nie skądinąd czerpały natchnienie i brały kierunek, jak z postępowania Ludwika jako panującego i jako człowieka. On zaś powodował się przede wszystkim zasadą harmonii jednogłośnego brzmienia rozsądku oraz uczucia, objętych wspólnym jasnym nakazem woli. Były to odwieczne normy francuskiego ducha. Ludwik był im posłuszny w ciągu najważniejszych lat swego panowania, a do ostatnich dni swoich okazywał w tym kierunku dobrą wolę. Dlatego to należy mu się zaszczytne wspomnienie u potomnych, a należy mu się ono również i z tego tytułu, że będąc na francuskim tronie absolutnym i ślepo uwielbianym panem swych podwładnych, był jednocześnie i pomimo tego najwierniejszym sługą spraw państwowych. Chociaż nie był „bóstwem", był wszakże — powiedzmy słowami Unamuno — „nie czymś mniejszym jak całym człowiekiem"; chociaż obarczyło go brzemię licznych słabości, ubogaciły go równocześnie wspaniałe królewskie dary. Nie był geniuszem, jednakże właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, dostojnym i pełnym godności uosobieniem instytucji, którą można potępiać albo sławić, zawsze wszakże przykładając do niej osobną, właściwą jej miarę.

Współczesność nasza, będąca epoką rozkładu i rozpadu, stworzyła sobie wielce bolesne doświadczenia w zakresie absolutyzmu, który nakazy swe opiera wyłącznie na woli z pominięciem dezyderatów rozsądku. Dlatego też z większym zrozumieniem aniżeli ubiegłe stulecie spogląda ona w przeszłość, na owych domniemanych tyranów, usiłujących jednakże uzgodnić królewską swą wolę z rozsądkiem oraz z rozumem. Tak zatem czasy teraźniejsze stworzyły sobie swój własny, odrębny wizerunek Ludwika XIV. Jesteśmy zdania, że odzwierciedla on niesfałszowaną prawdę historyczną i stanowi zarazem ostateczne orzeczenie powszechnych dziejów w obliczu trybunału świata.

Dr Otto Forst Battaglia.

Przegląd piśmiennictwa.

Elżbieta Szemplińska-Sobolewska: Potrójny ślad (wyd. Rój). — S. Margert: Savonarola (wyd. ks. św. Wojciecha). — Tadeusz Dołęga-Mostowicz: Trzy serca (wyd. Rój). — Czesław Jacek Centkiewicz: Biała foka (wyd. Rój). — Tarlton Rayment: Dolina Nieba, tłum. Józef Birkenmajer (wyd. Książnica — Atlas). — Reginald Campbell: W dolinie tygrysa, tłum. J. B. Rychliński (wyd. Wł. Michalak i S-ka).

Istnieje w literaturze pewna specjalna kategoria książek, będących jakby monografiami jednego tylko uczucia ludzkiego, jednej namiętności. Nie ukazują nam one całego człowieka, ani tym bardziej człowieka jako cząstki wielkiego mechanizmu społeczeństwa, dają za to drobiazgową i wszechstronną, często bardzo wnikliwą analizę jednego z wielu fibrów skomplikowanej duszy ludzkiej. Książek tego typu nie można porównać z rzeźbą, czy nawet płaskorzeźbą, ani z barwnym malowidłem, — są one raczej podobne do płaskiej i jednobarwnej fotografii, która daje nam obraz w pewnym sensie zniekształcony, spreparowany tylko pod kątem widzenia światłocieniu, a eliminujący barwę, a więc nie wszechstronny, niemniej jednak prawdziwy i w tej swojej jednotonowości nieraz bardzo subtelnie wycieniowany. Tego rodzaju książką były np. głośne w swoim czasie *Klimaty* Maurois, monografia uczuć pewnego mężczyzny i dwóch kolejno przez niego kochanych kobiet. Do tej kategorii należy też nowa powieść Elżbiety Szemplińskiej-Sobolewskiej *Potrójny ślad*. Zanik tła obyczajowego, zwężenie problematyki do jednego tylko motywu, cały w ogóle kameralny charakter takiej twórczości stawia przed autorem trudne zadanie uniknięcia monotonii, narzuconej przez te ograniczenia. Środkiem ratunku mogą tu być — i bywają zazwyczaj — najrozmaitsze chwyty kompozycyjne, komplikujące zbyt prostą jednotorowość opowiadania. Szemplińska posługuje się tym środkiem w sposób aż nazbyt wyrafinowany. W książce jej ta czysto formalna, kompozycyjna strona opowiadania wysuwa się na plan pierwszy i narzuca świadomości czytelnika z największą siłą. Życie uczuciowe Darii, a właściwie naj-

ważniejszy dla powieści jego epizod: romans z doktorem Urbanem, nie tylko został nam ukazany drogą pośrednią, przez pryzmat myśli, wspomnień, snów ludzi z Darią związanych, ale jeszcze te myśli i rozmowy zostały tak posiekane i przemieszane, że rekonstrukcja sylwetek psychicznych i kolei losu bohaterów napotyka — z początku zwłaszcza — na ogromne przeszkody. W miarę czytania powieści dorzucane kolejno szczegóły rozjaśniają pomału początkowe ciemności i zaczynają układać się w całość, ale właściwie dopiero ostatnie kartki, zawierające pamiętnik Darii, rzucają dostatecznie silne światło na początek, do którego teraz dopiero wrócić można bez irytującego poczucia, że nie wiadomo o co właściwie chodzi. Wymyślna, skomplikowana kompozycja *Potrójnego śladu,* zmuszająca czytelnika do przedzierania się z wysiłkiem przez jej zawikłane gąszcze, odsłania, czy może raczej osłania żałośnie banalną historię erotyczną. Na próżno Autorka sugeruje nam jakieś niesamowite moce, rządzące życiem Darii, na próżno usiłuje doczepić do jej postaci problem społeczny, który odczuwamy jako niepotrzebny, organicznie z powieścią niezwiązany wtręt. Z poza tych usiłowań wynurza się uparcie pospolita postać istoty rządzonej przez instynkty, nastroje i kaprysy, żyjącej wyłącznie przygodami miłosnymi i obracającej się w ich ciasnym kręgu — pomiędzy tapczanem a telefonem od kochanka. Mimo woli przychodzi na myśl książka Boguszewskiej *Całe życie Sabiny,* w której również pomysłowa i na szczęście bardziej przejrzysta kompozycja okrywała nieciekawe, tuzinkowe przeżycia bohaterki. Szemplińska umie patrzeć i analizować uczucia, są w jej książce momenty i szczegóły bardzo trafnie podchwycone i doskonale oddane. Na całości książki zaciążyło jednak niekorzystnie zbyt jednostronne podejście do centralnego problemu uczuć od strony alkowy. Przykro razi ekshibicjonizm paru zupełnie zbędnych, brutalnych szczegółów.

Pamiętam *Potrójny ślad* jako słuchowisko i przyznam się, że wolałam go w tamtej postaci. Większą siłę miała ta historia skrócona, skondensowana na przestrzeni trzydziestu minut, rozłamana na głosy, podmalowana muzyką. Plastyczniej występowało w niej wtedy to potrójne spojrzenie w przeszłość, od którego wzięła tytuł. I z niejaką obawą czytam zapowiedź dalszych książek z tego samego cyklu. Ten typ powieści nie nadaje się do modnego ciągnięcia w nieskończoność. Czy nie lepiej byłoby pozostawić Darię w jej tajemniczym oddaleniu, w Afryce, zamiast atomizować i przyprawiać trickami kompozycyjnymi jej poprzednie, czy następne romanse? Zdaje mi się, że to może tylko osłabić wrażenie tej pierwszej książki cyklu.

Powieść S. Margert (siostry Marii Gertrudy ze Zgromadzenia Niepokalanego Poczęcia N. M. P.) *Savonarola* ukazała się tego roku w trzecim już wydaniu. Świadczy to o poczytności,

jaką cieszy się książka, o zainteresowaniu, jakie stale wzbudza postać wielkiego kaznodziei i reformatora florenckiego. Powieść obejmująca długi szereg lat, — od małżeństwa rodziców Savonaroli aż do jego śmierci, — z dziecinnych i młodzieńczych lat zakonnika daje tylko parę fragmentów, szerzej natomiast przedstawia okres jego publicznej działalności. Ogrom materiału historycznego, mnogość wydarzeń politycznych, społecznych, artystycznych, charakteryzujących koniec XV-go wieku, narzuca konieczność bardzo planowego i celowego wyboru szczegółów każdemu, kto kusi się o odmalowanie plastycznego obrazu tych niespokojnych a ciekawych czasów. W *Savonaroli* S. Margert widoczna jest chęć objęcia, czy choćby tylko zaznaczenia wszystkich niemal ważniejszych zagadnień, poruszających umysły ówczesne, jednak dzięki ich mnogości i stosunkowo szczupłym ramom powieści, odnosimy wrażenie dość powierzchownego ich traktowania. Bardziej przekonywująca jest postać samego Savonaroli, a jasno ukazany przebieg jego zatargu z Rzymem, wyraźnie podkreślone polityczne oblicze sankcyj kościelnych, jakim uległ, wreszcie wyraźne rozgraniczenie między błędem w jego postępowaniu, a zawsze najzupełniej czystymi intencjami, przyczynić się tylko mogą do rozjaśnienia tej sprawy, która dla wielu ludzi dziś jeszcze przedstawia się zagadkowo i podejrzanie. Te uwagi na marginesie nowego wydania *Savonaroli* nie pretendują oczywiście do miana normalnej recenzji, która wobec trzeciego wydania byłaby trudem spóźnionym i niepotrzebnym, a mają tylko na celu przypomnienie czytelnikowi tej popularnej powieści o jednym z wielkich ludzi średniowiecza.

Tadeusz Dołęga-Mostowicz należy dziś niewątpliwie do bardzo poczytnych autorów, pracuje też w tempie prawdziwie amerykańskim. Jeszcze nie doczekała się swojej kolei na łamach recenzyjnych *Przeglądu* jego powieść *Trzy serca,* a już w witrynach księgarskich pojawił się *Profesor Wilczur,* zdołano go już nawet sfilmować, a za parę miesięcy literatura polska zapewne znowu zostanie obdarowana nową powieścią tego niezwykle płodnego pisarza. Ten pośpiech jednak w pracy odbija się siłą rzeczy na jakości wyprodukowanego towaru literackiego. Trudno mówić o obniżaniu się poziomu w powieściach Dołęgi-Mostowicza, ponieważ poziom ten nigdy nie był zbyt wysoki. Trzeba jednak stwierdzić z przykrością, że Mostowicz nie idzie w swojej twórczości naprzód, nie oczyszcza jej z elementów artystycznie słabszych, a przeciwnie od czasu swego debiutu *Karierą Nikodema Dyzmy* rozwija właśnie raczej te elementy o mniejszej wartości i nabiera coraz więcej szkodliwych nawyków pisarskich. Doskonałą ilustracją tego wstecznego rozwoju są *Trzy serca.* Ich sensacyjna fabuła roi się od nieprawdopodobieństw, którymi Mostowicz tak lubi operować, od jaskrawych i naciąganych sytu-

acyj, od prymitywizmów psychologicznych. Gadatliwość autora, posiadającego na swoje nieszczęście tzw. „łatwość słowa", święci największe tryumfy przy odmalowywaniu środowiska literacko-artystycznego Warszawy. Nierzadko Mostowicz ułatwia sobie i skraca zadanie pisząc po prostu: „rozpaliła się ciekawa i ożywiona dyskusja"; tam jednak gdzie nam te dyskusje podaje *in extenso* nie umie ograniczyć ich do rzeczy, naprawdę ciekawych i wartościowych. Tyrady Seweryna Tukałły, postaci najwyraźniej wzorowanej na znanym filozofie kawiarnianym, nieżyjącym już dziś Franciszku Fiszerze, zyskałyby ogromnie na umiejętnych skrótach, pozostawiających z nich to tylko, co było istotnie oryginalne i zabawne. Ale Mostowicz nie umie, czy nie chce, dokonywać wyboru, nie selekcjonuje nasuwających mu się pomysłów, przekonany widocznie, że wszystko jest ważne i potrzebne. Ufny w gładko płynące mu spod pióra słowa, pisze i pisze... Ten człowiek obdarzony łatwością słowa, niemałą pomysłowością w stwarzaniu sensacyjnej fabuły i żyłką satyryczną jest jakby predestynowany na autora lekkich powieści rozrywkowych o odpowiednim dla tego gatunku literackiego, a zadawalającym poziomie. To też po przeczytaniu tej powieści trudno się oprzeć przykremu wrażeniu, że Autor uwiedziony powodzeniem, czy porwany tempem swej twórczości, schodzi poniżej niewygórowanych wymagań, jakie krytyka stawia tego rodzaju literaturze. Mimochodem podkreślmy, iż udział proboszcza, spowiednika Michaliny w odkryciu makabrycznej tajemnicy nie da się pogodzić w rozumieniu katolickim z nakazami sekretu spowiedzi. Podobnie sukces „zabiegliwych prawników" w unieważnieniu małżeństwa pani Kate, to chyba tylko woda na młyn „Dziewic konsystorskich" Boya-Żeleńskiego.

Nowe opowiadanie Czesława Jacka Centkiewicza *Biała foka*, ma za temat jeszcze jedną jego wyprawę na daleką Północ. Tym razem autor *Wyspy Mgieł i Wichrów* zwiedził Morze Białe i Morze Barentsa na norweskim statku myśliwskim „Isfjell" — co znaczy „góra lodowa", — gdzie jako członek załogi brał udział w polowaniach na foki, morsy i wieloryby, i wraz z towarzyszami przeżywał pełne grozy chwile, gdy statkowi groziło zgniecenie wśród lodów. Książka Centkiewicza nie ma poetyckiego polotu reportaży podróżniczych Fiedlera, czemu zresztą trudno się dziwić, zważywszy, że same przygody i przeżycia na dalekiej Północy stanowią z natury swojej temat znacznie węższy i uboższy, niż wyprawy w barwne dorzecze Amazonki, lub w szumiące puszcze Kanady. Ale miła prostota i naturalność narracji harmonizuje dobrze z prostym, twardym życiem tych żeglarzy-myśliwych, z którymi spędził Autor kilka miesięcy z dala od cywilizowanego świata. Niewątpliwie wielki urok posiada to życie niby spokojne, a przecież urozmaicone, przynoszące wciąż nowe

przeszkody do pokonania, wymagające hartu, odwagi, szybkości myślenia, wytwarzające prawdziwe, serdeczne koleżeństwo, wśród związanych nim towarzyszy. Nie dziwimy się Autorowi, że tyle razy już wracał na Północ, że go pociąga to życie i tacy ludzie, jakich tam spotyka. I wszyscy amatorzy literatury podróżniczej na pewno z przyjemnością czytać będą jego *Białą łokę*.

Dolina Nieba Tarltona Raymenta jest powieścią osnutą na tle autentycznych zdarzeń z okresu wdzierania się białego człowieka po raz pierwszy w głąb lądu Australii. Wypełniają ją dzieje szlachetnego pioniera szkockiego, który wraz z rodziną osiadł wśród tubylców, współżyjąc z nimi w zgodzie i przyjaźni, aż dopóki gromadne najście białych, ich chciwość, podłości i zdrady nie rozbiły harmonii osiedla. Na próżno starał się Szkot osłaniać swoich przyjaciół, bezbronnych wobec podstępnych przybyszów z krain cywilizowanych. Plemię dzikich zostało zdziesiątkowane, a niedobitki wywędrowały wraz ze swoim jedynym białym obrońcą i przyjacielem, któremu współrodacy również uniemożliwili życie w jego posiadłości, do pięknej a niedostępnej Doliny Nieba w Alpach australskich. Książka Raymenta przynosi wiele szczegółów australskiego folkloru, zapewne wiernych i mających wartość dokumentarną. Uzyskanie przez nią nagrody Dominiów Angielskich na Międzynarodowym Konkursie Literackim w Londynie w 1936 r. świadczy o tym, że do jej kolorytu lokalnego można odnosić się z pełnym zaufaniem. Opowiadanie jednak potraktowane jest raczej powierzchownie, bez głębszego wnikania w istotę przemian spowodowanych zetknięciem pierwotnych ludzi z cywilizacją białej rasy. Jak zaś na literaturę wyłącznie rozrywkową jest ta książka za długa i zbyt monotonna, nie posiada dostatecznie szybkiego tempa i koniecznej barwności zdarzeń. Przez ludność angielską w Australii *Dolina Nieba* może być uważana za powieść historyczną o wartości dokumentu, dla europejskiego czytelnika jednak sprawy, które ona opisuje, są tak odległe w czasie i przestrzeni, tak obce, że tylko wyjątkowe walory literackie mogłyby tę książkę uczynić interesującą. Tych zaś powieść nie posiada.

W literaturze tak samo jak w życiu nie da się stale przebywać na wyżynach. Umysł zmęczony lub zaprzątnięty przykrymi myślami potrzebuje czasem wytchnienia i rozrywki, których dostarcza mu tzw. „literatura wagonowa", czy też „książka do poduszki". Tę literaturę bez problematyki, bez finezyj psychologicznych, o tle najczęściej egzotycznym, a fabule sensacyjnej oceniać trzeba oczywiście przy pomocy innych kryteriów niż te, którymi operujemy przy dziełach należących do literatury *tout court*, bez przymiotnika. Niemniej jednak, jak to już niejednokrotnie stwierdzano, jest to swoisty gatunek czy też podgatunek literacki, rzą-

dzony własnymi prawami i wykazujący zróżnicowanie artystyczne, które nie pozwala stawiać tych książek *en bloc* na równi z sennikiem egipskim i umożliwia pewne krytyczne podejście do nich. *W dolinie tygrysa* Reginalda Campbella należy do lepszych okazów tego rodzaju literatury. Łowy na przebiegłą, ludożerczą tygrysicę, rywalizacja dwóch angielskich pionierów z puszczy sjamskiej w walce z bestią i w zdobywaniu serca pięknej dziewczyny, wreszcie nieodzowny w tego rodzaju opowiadaniach *happy end,* wymierzający wszystkim uczestnikom sprawiedliwe nagrody i kary, dają całkowitą satysfakcję czytelnikowi, pragnącemu przy pomocy takiej właśnie lekkiej lektury oderwać się na godzinkę od własnych, mniej frapujących lecz bardziej dokuczliwych, przeżyć.

Mgr Hanna Wierzbicka.

Jan Stanisław Bystroń: Socjologia literatury. Publiczność literacka. Lwów-Warszawa 1938. 8⁰, str. 411.

Wszechstronnie zainteresowany, zdumiewająco płodny i pomysłowy Autor, zajął się z kolei socjologią literatury, tematem nie przepracowanym u nas dotychczas. Z zamierzonych kilku tomów z tej dziedziny ogłosił na razie pierwszy, zatytułowany „Publiczność literacka". Nazwa ta obejmuje nie tylko czytelników, jak można by sądzić — ale w ogóle ludzi, związanych z literaturą w jakikolwiek sposób, a więc: słuchaczy, czytelników, autorów czy recytatorów. „Przeciwstawienie publiczności i autorów, pisze prof. Bystroń, traci tu sens, gdyż również i tych ostatnich włączamy do zakresu pojęcia publiczności; możemy więc mówić tylko o stosunku autorów do czytelników, słuchaczy, czy widzów. Odstępujemy tutaj od utartego zwyczaju słownego ze względu na niemożność przeprowadzenia ścisłego ograniczenia, autor jest również słuchaczem, czy też czytelnikiem, słuchanie czy czytanie może być w niejednym wypadku uważane za częściowo twórcze, a w wielu wypadkach, zwłaszcza w bardziej prymitywnych stosunkach, wyróżnienie autorstwa w tzw. twórczości zbiorowej jest bardzo problematyczne. Ostatecznie więc wbrew zwyczajowi słownemu nazwą publiczności literackiej obejmujemy zespoły osób, biorących udział w życiu literackim i to udział zarówno czynny jak i bierny" (str. 25). Również szeroko pojmuje autor termin „literatura", rozumiejąc pod nim wszelką twórczość ujętą w słowach, a nie mającą wyłącznie utylitarnego celu. Wbrew naszym formalistom, zalicza więc do literatury i poezję dydaktyczną „skoro prócz celu dydaktycznego ma także i estetyczne cele przez ujęcie w formę wierszowaną, konstrukcję, żywość przedstawienia itd.". Zalicza do literatury i mowę polityczną, o ile „prócz argumentów, mających zaważyć na rozumowaniu słuchacza, przemawia także do jego wyobraźni" (str. 24).

Jak słusznie podnosi autor, poza ogólnym stwierdzeniem, że literatura jest zjawiskiem społecznym, bardzo mało zrobiono dla systematycznego zbadania tego zjawiska, poprzestając raczej na głoszeniu postulatów, jakim celom ma służyć literatura. Bystroń abstrahuje od tego wszystkiego, jak również od wszystkiego, co dotyczy zagadnień estetycznych. Bada nie literaturę, ale życie literackie. Literatura posługuje się fikcją, ale życie literackie jest czymś rzeczywistym. Faktem rzeczywistym jest, że autor pisze dzieło, nakładca je wydaje, czytelnik książkę pożycza, czyta, ona mu się podoba lub nie itp. Badanie faktów literackich w ramach chronologicznych, z uwzględnieniem ich związków genetycznych, należy do historii literatury. Analiza wewnętrznych procesów twórcy, czy odtwórcy należy do psychologii twórczości literackiej. Jeśli zaś rozpatrujemy je w związku z działalnością grupy społecznej, do której należą dane osoby: twórcy, czy konsumenci literatury, jesteśmy na terenie socjologii. Zdaniem Bystronia socjologia literatury, a właściwie życia literackiego należy do zakresu socjologii w ogóle i może posługiwać się stosowanym w niej schematem badań. Program ich, zakreślony w omawianej książce, obejmuje zespoły ludnościowe, tworzące się w związku z aktywnością literacką, sposób ich powstawania, warunki i granice ich istnienia, związek z podłożem społeczno-gospodarczym, badanie zmian sytuacji społecznej osób, biorących udział w życiu literackim, zagadnienia biologiczne. Drugim ośrodkiem badań będą migracje: dyslokacja autorów i czytelników, tworzenie się centrów literackich, drogi dzieł, tematów i motywów oraz zależność tych dróg od dróg religijnych, handlowych, czy militarnych. Dalszy dział to badania nad ideologią grupy literackiej, a więc nad zespołami wartości literackich i ich stosunkiem do systemów teoretycznych, czy praktycznych. Powstawanie odrębnych typów społeczno-psychicznych i ich oddziaływanie w obrębie grupy, wreszcie zagadnienia organizacyjne — to dalsze dwie dziedziny badań.

Omawiany tom, poświęcony jest pierwszej z wymienionych dziedzin, tj. badaniu zespołów ludnościowych. W przyszłości zamierza Autor wydać tom drugi poświęcony ideom i tematom literackim. Oczekujemy go niecierpliwie. Pozwoli zapewne dotrzeć nam w głąb życia literackiego. Na razie stykamy się raczej z jego powierzchnią.

Dzieło o publiczności literackiej, ułożone według nakreślonego wyżej schematu, jest przede wszystkim bardzo obszernym i bogatym zbiorem faktów kulturalno-historycznych, czerpanych z ogromnego obszaru terytorialnego i czasowego. Bogactwo materiału jest uderzające, gdy porówna się je np. z tym, co przytacza Charles Lalo w znanej książce: *L'art et la vie sociale*. Bogactwo to trochę oszałamia, tym bardziej, że istotnie — jak Autor sam podkreśla — przerzucamy się ciągle w coraz to inne

i coraz odmienne „zespoły kulturowe". *A la longue* staje się to trochę nużące, tym bardziej, że niejednokrotnie te same fakty przytaczane są dla oświetlenia coraz to innych zagadnień, a nadużywanie czasu teraźniejszego zaciera perspektywę chronologiczną.

Poszczególne zespoły ludnościowe nie są traktowane równomiernie. Wyraźnie zaznaczają się osobiste zainteresowania Autora, wskutek czego niektóre epoki i niektóre terytoria występują na światło, a inne pozostają w cieniu. Stąd powstaje niekiedy pewna jednostronność stwierdzeń. Autor zajmuje się z zamiłowaniem epoką nowszą, zwłaszcza wiekiem XIX, obserwuje z zajęciem to, co się dzieje w Ameryce, czy Australii, a jego naukowa przeszłość etnologa pociąga go widocznie silnie w kierunku badań nad twórczością ludową i nad kulturami pierwotnymi. Słabiej uwzględniona została kultura klasyczna i kultura średniowiecznej Europy. Niedostateczne liczenie się ze średniowieczem każe autorowi np. widzieć wpływ kultu kobiet na rozwój tematów literackich dopiero od czasów renesansu, z pominięciem zjawisk dawniejszych, jak poezja prowansalska, minnesängerzy itp. Rola Kościoła katolickiego, tak naprawdę olbrzymia w rozwoju literatury, nie znalazła należytego oświetlenia, a dla przedstawienia niektórych faktów z życia Kościoła, Autor poprzestał na jednostronnych źródłach protestanckich! Celowo zapewne ograniczone zostało przedstawienie zespołu odtwórców literatury, przede wszystkim aktorów; jak wdzięczny to materiał dla badań socjologicznych dowiódł Juliusz Bab swą ciekawą książką: *Das Theater im Lichte der Soziologie.* W tym zakresie prof. Bystroń, również woli przedstawiać raczej zjawiska pierwotne, mniej skomplikowane, albo amatorskie. Nie wiem, czy w tej dziedzinie badanie zjawisk prostych, niezłożonych stanowi istotnie pierwszy stopień do interpretacji zjawisk, znajdujących się na wyższym stopniu rozwoju. W ogóle za dużo może miejsca przypadło temu, co można by nazwać namiastką literatury, lub projektem na literaturę niż literaturą we właściwym słowa znaczeniu. I jeszcze jedna uwaga. Autor zaznacza kilkakrotnie możliwość sublimującego działania literatury amoralnej, lub wręcz niemoralnej. Wyrokowanie w tym zakresie musi być niezmiernie ostrożne. A już trudno uważać literaturę i teatr tego typu za społeczną klapę bezpieczeństwa, jak to czyni cytowany w książce Schöne, bez liczenia się ze szkodą duszy jednostek, popełniających to, co nauka wiary nazywa „grzechem myślnym". Nie można zgodzić się z Autorem, że przeżywanie np. przez „cnotliwe panie" zdrady małżeńskiej w wyobraźni „pozwala im następnie tym mocniej trwać przy obowiązujących przepisach moralnych". Wyrażenie ostatnie jest bardzo charakterystyczne. Dla socjologa w ujęciu prof. Bystronia, podobnie jak dla pewnego typu prawników, nie istnieje etyka, jako taka. Istnieją tylko „obowiązujące przepisy moralne" w sen-

sie społecznym. Przyznajmy jednak lojalnie, że kiedy indziej Autor ujmuje literaturę niemoralną słusznie, jako szkołę zbrodni (w sensie jednak tylko społecznym, nie indywidualnym).

Przytoczone uwagi nie mają na celu obniżenia wartości dzieła. Mocne, zdecydowane definicje, jasny układ, wszechstronność oświetleń, bogactwo zebranego materiału, stanowią jego atuty. Jak tyle innych prac prof. Bystronia, także praca obecna jest torowaniem drogi w terenie u nas niemal dziewiczym.

Wykaz literatury zawiera pozycje bardzo interesujące. Odczuwam w nim brak polskich prac z zakresu badań nad czytelnictwem: Radlińskiej i jej uczniów, Ziomka, Rybickiego *(Socjologia czytelnictwa)* i innych. Zapewne autor, całą tę dziedzinę studiów rezerwuje sobie dla dalszych tomów.

Dr Z. K. Ciechanowska.

Ks. Aleksy Klawek: Psałterz. Nowy przekład tekstu Wulgaty. Nakł. Tow. „Biblioteka Religijna". Lwów, 1938, 24⁰ str. 319.

Nie ma prawie uczucia religijnego w duszy ludzkiej, którego by natchniony Psalmista nie wyśpiewał w swych pieśniach. To też psalmy były przez wieki źródłem najgorętszych tęsknot, najczystszych porywów i najwyższych wzlotów, tak dla dusz pobożnych w Izraelu jak i w chrześcijaństwie. Bo jakkolwiek w Kościele zajaśniały nowe poglądy na życie i wieczność, chociaż pogłębiły się religijne uczucia, psalmy i tu nie straciły nic ze swej wziętości i znaczenia. Księga psalmów była od początku i jest po dziś dzień najznamienitszym modlitewnikiem Kościoła. Przepisywano je ustawicznie, na najrozmaitsze tłumaczono języki, drukowano.

Psałterz polski, który mam przed sobą, jest ostatnim z kilku mniej lub więcej udanych przekładów, jakie się w niedawnym czasie u nas pojawiły. Książeczka wymiaru kieszonkowego, na cienkim papierze, ładnie wydana, już zewnętrznym wyglądem do siebie pociąga. Tekst psalmów ujęty w wiersze nie rymowane, lecz ułożone rytmicznie i w strofy. Poprzedza go kilkanaście stron uwag. Jest to całkiem nowy, samodzielny przekład łacińskiej Wulgaty. Dokonał go profesor Pisma św. Starego Testamentu na Uniw. J. K., Ksiądz Prałat Klawek.

Nas tu zajmują przede wszystkim zasady, na których Tłumacz oparł swą pracę. A naprzód dlaczego za podstawę przekładu obrał Wulgatę, gdy nowsi tłumacze zwracają się przeważnie do tekstu oryginalnego, hebrajskiego? Uczynił to z dwóch powodów: dla pewnego pietyzmu względem Wulgaty i dla względów praktycznych. Wszak jeśli nie sama Wulgata to jej wzór grecki był od zarania w użyciu Kościoła; na nim Kościół wychowywał swych wiernych, uczył ich modlić się. Dlatego to już

Wuyek nazwał przekład łaciński Apostolskim, „iż się z greckim LXX przetłumaczeniem zgadza, którego sam Pan Chrystus i Apostołowie i Ewangelistowie radniey a niśli Żydowskiego używali i Grekom go ku używaniu i śpiewaniu podali" (Przedmowa do Psałterza 1594, str. 2). Następnie za tekstem łacińskim przemawiały względy praktyczne. Tłumacz chciał dać wierny obraz i uprzystępnić zrozumienie tekstu Wulgaty tym wszystkim, którzy z obowiązku nim się posługują, jak: księża, zakonnicy i zakonnice. Z tego powodu nie wprowadził ks. Klawek do tekstu Wulgaty żadnych zmian, nawet skądinąd naukowo uzasadnionych. Pozostał więc w Ps. 28, 1 wiersz o ofiarowaniu Panu młodych baranków, jakkolwiek zwrot ten, powstały przez mylne czytanie wiersza poprzedniego w tekście hebrajskim, nie jest autentyczny. Podobnie w Ps. 87, 11 czytamy o lekarzach, gdy w tekście oryginalnym jest mowa o cieniach umarłych. W Ps. 138, 17 pozostały słowa o przyjaciołach Bożych i własnej ich mocy, choć na ich miejscu w tekście hebrajskim zdumiewa się Psalmista nad niepojętymi myślami Bożymi i przepotężną ich liczbą.

Co nader mile uderza w tłumaczeniu ks. prof. Klawka, to dziwna jasność i zrozumiałość tekstu nawet tam, gdzie znaczenia Wulgaty w żaden sposób uchwycić nie można. Jak dotarł Autor do tej jasności? Przez umiejętne stosowanie pewnych zasad, przyjętych dziś niemal we wszystkich tłumaczeniach Pisma św. Pierwsza zasada przypomina, że głównym zadaniem tłumacza nie jest materialne, niewolnicze oddanie słów autora, lecz najwierniejsze i najdokładniejsze, ile być może, odtworzenie myśli. Tak przecież postępujemy w życiu codziennym. Anglik, który mówi po swojemu: *I don't see the sun,* jeśli zna naszą mowę, nie powie dosłownie: „Ja robię nie widzieć słońca". lecz po prostu: „Nie widzę słońca". Znał tę zasadę i stosował, choć w małym zakresie, nieśmiertelny nasz Wuyek. Jego ideałem, za przykładem św. Hieronima, było połączyć dosłowność przekładu z jasnością myśli. Starał się tłumaczyć „co nawierniey y nawłaśniey y naiaśniey, a ile być mogło słowo od słowa z łacińskiego na polski". Ale „gdzie słowo od słowa przełożywszy nie masz jasnego sensu, tam się z potrzeby nieco od własności słów odstąpić musi, folgując sensowi. I przetoż nie wszędy słowo łacińskie słowem polskim iest wyrażone, a czasem słowo iaśnieysze miasto trudnieyszego z oryginalnych języków greckiego abo żydowskiego iest położone" (Przedm. do Psałt. 1594, str. 12).

Druga zasada wymaga od katolickiego tłumacza Pisma św., żeby opierając swój przekład (przynajmniej w rzeczach istotnych) na Wulgacie, starał się ile możności wiernie i dokładnie odtworzyć myśl tekstu oryginalnego. W szczególności gdy chodzi o psalmy, przekład ich łaciński został dokonany nie z oryginału hebrajskiego, lecz z tłumaczenia greckiego. Otóż ani tłumacz grecki, ani tym mniej łaciński nie zwracali należytej uwagi na

odmienne właściwości języka hebrajskiego, zwłaszcza w dziedzinie czasowników, spójników i określeń przymiotnikowych. Kładziono czas przeszły tam, gdzie osnowa wymaga czasu teraźniejszego lub przyszłego i na odwrót; nie dość uwzględniano różne znaczenia hebrajskiego *waw;* wyrażenia i zwroty właściwe jednemu językowi przenoszono żywcem do drugiego. Tak powstały w Wulgacie liczne hebraizmy i grecyzmy. Otóż wszystkie te braki i niedociągnięcia gramatyczne Wulgaty musi tłumacz ustawicznie mieć na oku i posługiwać się tekstem greckim i hebrajskim, by móc wyłowić pełną myśl autorów natchnionych, a następnie wyrazić ją poprawnie w języku polskim. Tak też w stosunku do psalmów postępował ks. prof. Klawek. W uwagach o przekładzie wymienia cały szereg zmian gramatycznych, które musiał wprowadzić do tekstu łacińskiego. Nie są to właściwie zmiany w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, lecz zastosowanie do języka Wulgaty prawideł gramatycznych, uwzględniających jego osobliwości.

Nie były i te rzeczy obce ks. Wuykowi. Posiadając znajomość języka hebrajskiego, wiedział on, „że Żydowie nie maiąc *verba temporis praesentis,* miasto nich czasem *praeterita* czasem *futura* używaią". Zmieniał więc niekiedy czasy i tryby Wulgaty, dobierał różnych spójników na oddanie hebrajskiego *waw* lub greckiego *kai;* odstępował od składni Wulgaty, gdy piękno języka polskiego albo jasność tłumaczenia wymagała innego porządku (Por. Przedm. do Psałt. 1594, str. 12 — 13). Niestety wydawcy przekładu Wuykowego mieli inne pod tym względem zapatrywania. Łacińską Wulgatę uważali za wyłączną miarę tłumaczenia. To też z tekstu Wuykowego starali się usunąć wszystkie owe „zmiany" i tak nie bardzo liczne, „aby się jako nawłaśniey z Łacińską Vulgatą zgadzał". Oddając poprawiony tak przez siebie tekst Wuyka do druku, mogli byli pisać do czytelnika: „masz tu text łaciński iako sam w sobie iest" (Przedm. do Pisma św. 1599).

Wielka zasługa ks. prof. Klawka polega na tym, że zasady tłumaczenia Pisma św., znane ongiś i uznane przez ks. Wuyka, a przyjęte dziś za granicą, zastosował w całej rozciągłości do swego przekładu. Prawda, zniknęło przez to z jego psalmów mnóstwo hebraizmów, grecyzmów, latynizmów, za to psalmy stały się nam jakoś dziwnie bliskie, zrozumiałe i — piękne.

Krytyka, rozbierając szczegółowo nowy ten przekład, znajdzie w nim zapewne niejedną usterkę i niejedno niedociągnięcie. Niektóre wyrażenia może lepiej oddał Arcbp Symon, np. siłę ramienia (Ps. 88, 11; Symon: mocnym ramieniem); po wszystkie dni (Ps. 114, 2; Symon: póki życia); mowy dwulicowe (Ps. 11, 3; Symon: serce dwoiste), zamiast „prawo sprawiedliwe" (Ps. 96, 2), lepiej było zostawić „prawo i sprawiedliwość". W tymże psalmie należało zostawić „ziemia" zam. „świat". W ps. 95, brak wiersza 9b: „niechaj drży przed nim wszystka ziemia". Nie trzeba jednak zapominać, że ks. Klawek w doborze wyrazów zależny

był także od rytmiki, którą starał się nadać swemu przekładowi, a co mu pracę znacznie utrudniało.

Można tylko życzyć najserdeczniej Czcig. Tłumaczowi, żeby jego psalmy stały się nieodstępnym towarzyszem: księży, zakonników i zakonnic, odmawiających brewiarz, a także ulubionym modlitewnikiem ogółu wiernych na wzór tego, jak było w pierwotnym Kościele.

Ks. Walenty Prokulski T. J.

Kazimierz Hartleb: Kultura Polski od zarania dziejów po dni ostatnie. Wypisy źródłowe opatrzone rycinami. Wyd. nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych we Lwowie. 1938. Str. 349.

Nowe wydanie wyboru wyjątków z piśmiennictwa historycznego, pamiętników, opisów i opracowań, które w tytule ogólnie „źródłami" nazwano — czyni zadość nie tylko potrzebie dobrej lektury dla szkoły średniej, ale i tych wszystkich chętnych czytelników, którym nie są obojętne sprawy kultury narodowej. Już sama szata zewnętrzna książki, jej doskonałe wyposażenie w starannie dobrane ilustracje, wyborny papier i estetyczny druk — nasuwają myśl, że piękna i mądra książka jest jednym z najpewniejszych argumentów przeciwko obskurantyzmowi i obojętności naszych czasów dla rzeczy nauki i sztuki. Te walory zewnętrzne podnosi jeszcze treść książki, treść bardzo obfita i różnorodna, ale obracająca się dokoła rozwoju kultury duchowej i materialnej oraz obyczaju polskiego w przekroju stuleci. Autor zbudował obraz tej Polski dawnej i nowszej na wyimkach z piśmiennictwa czasów odległych i współczesnych; znajdujemy zatem na kartach tej publikacji wzory historiografii i memorialistyki od średniowiecznego Galla po Józefa Piłsudskiego. Książka więc spełnia podwójną rolę: informuje o zjawiskach historycznych i demonstruje metodę różnych ujęć dziejopisarstwa. Wśród tych ostatnich przewagę mają pisarze XVI i XVII w.; z historyków XIX stul. uwzględniono bardzo niewielu, niewątpliwie świadomie, by opisywanym czasom dać świadectwo możliwie najbardziej współczesne.

Opracowanie książki jest niezwykle sumienne. Szczególną uwagę zwracają wiadomości, dotyczące autorów, cytowanych w wypisach, a zebrane w odrębnej części („Źródła A") tudzież odnoszące się do szaty graficznej, a więc podające dane biograf. o artystach w książce reprodukowanych bądź też o niektórych zabytkach jak np. pontyfikale Ciołka, czy kodeksie Behema („Źródła B"). Do indeksu osobowego dołączono indeks rzeczowy, zaopatrzony w objaśnienia nieznanych już dziś na ogół terminów, jak np. adziamski = perski, architrikliny = pokoje, kramzaus = gzyms, nadziak = rodzaj obucha itp.

Książka wydana jest z rzadko dziś spotykaną dbałością o szatę zewnętrzną, skoro się zważy, że stanowić ma ona przede wszystkim pomoc szkolną i dla osób studiujących.

Dr M. Tyrowicz.

Notatki bibliograficzne.

Thomas Treterus: Theatrum virtutum D. Stanislai Hosii. Pelplini 1938. Wydawnictwa Teologiczne Diecezji Chełmińskiej. 3.

Zapowiedziany jedynie jako uzupełnienie życiorysu kardynała Hozjusza zbiór sztychów i łacińskich wierszy Tomasza Tretera wyrasta w obecnej edycji, na pomnikowy tom o nieprzeciętnej wartości bibliograficznej. W takiej postaci dzieło to pojawia się po raz pierwszy. Dopiero bowiem obecne wydanie łączy wiersze i sztychy w jeden tom, biorąc za podstawę pierwsze ich wydania. Obok dużej wartości propagandowej na rzecz świętości wielkiego syna Kościoła i Polski, wydawnictwo to może służyć za przykład pietyzmu dla cennych zabytków i dużej kultury wydawniczej.

Michał Walicki: Malarstwo polskie XV wieku. Warszawa, 1938. str. 228. Biblioteka Zakładu Architektury Polskiej i Historii Sztuki Politechniki Warszawskiej.

Książka ta jest wynikiem kilkuletniej pracy — jak mówi w przedmowie Autor — oraz znacznie od niej dłuższego okresu uporczywej myśli o rozmaitych zagadnieniach gotyckiego malarstwa w Polsce. Kierowało przy tym Autorem przeświadczenie o konieczności wyjścia poza granicę systematyki i przyczynków analitycznych, świadomość odczuwanej powszechnie potrzeby odpowiedzi na pytanie, jakimi to prawami rządziła się owa gałąź sztuki gotyckiej w Polsce, jakim podlegała przemianom, w czym upatrywać możemy istotę rodzimych jej rysów. W rezultacie Autor stworzył bardzo ciekawy i chlubny przyczynek do dziejów sztuki w Polsce.

Ewa Szelburg Zarembina: Legendy Warszawy. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1938, str. 75.

Anegdota pozwala uzupełnić charakterystykę badanej postaci nieraz skuteczniej niż mozolne i drobiazgowe studia. Taką wartość mają *Legendy Warszawy*. Poprzez ich bajkową przędzę dostrzegamy tę Warszawę, którą nie wszyscy znamy: Warszawę poważną i dostojną, wbrew utartej opinii, upatrującej w niej jedynie płochy, syreni gród.

Prof. dr Oskar Halecki: Małżeństwo Królowej Jadwigi. Nakładem Postulacji kanonizacji królowej Jadwigi. Toruń. 1938, str. 21.

Do wyników najnowszych badań naukowych, które znakomicie przygotowały grunt do procesu kanonizacyjnego, dołącza

się teraz jeszcze i to niewątpliwe stwierdzenie naukowe, że tylko potwarze i plotki, tendencyjnie szerzone, zwłaszcza w znacznie późniejszych czasach, rzucały cień na pożycie małżeńskie Królowej z Jagiełłą. „Aczkolwiek niewątpliwie mało jej dawało szczęścia osobistego — pisze prof. Halecki — było ono pod każdym względem wzorowe". Wnioski te oparte na rzetelnych i niezależnych badaniach historycznych powinny jak najrychlej stać się własnością i przekonaniem całego narodu polskiego, do czego wydatnie może się przysłużyć niniejsza rozprawka znanego historyka.

Kolonie i półkolonie dla dzieci i młodzieży. Stołeczny Komitet Pomocy Dzieciom i Młodzieży. Warszawa, 1938, str. 225.

Książka odbiega w swym układzie i założeniach od podobnych, zresztą nielicznych i przeważnie związanych z działalnością poszczególnych instytucyj, wydawnictw; nie ma bowiem charakteru sprawozdawczego czy instrukcyjno-regulaminowego, lecz zagadnieniowy, dążący do ujęcia problemu wypoczynku dziecka i jego wychowania na koloniach i półkoloniach. Nie pomija jednak celów ściśle praktycznych. Może więc również spełniać rolę *vade mecum* w rękach powołanych pracowników.

Stefan Kaczorowski: Przeobrażenie ustroju gospodarczo-społecznego. Diecezjalny Instytut Akcji Katolickiej. Płock, 1938, str. 43.

W sposób prosty i popularny omawia autor szereg ważnych zagadnień społeczno-gospodarczych, jak np. kapitalizm a ustrój średniowieczny, wpływ katolicyzmu na stosunki gospodarcze w średniowieczu, współczesny kapitalizm, liberalizm i socjalizm, doktryna chrześcijańsko-społeczna, rola żydów, zasady społecznej reformy.

Maria Winowska: Misja katolików we współczesnym świecie. Str. 55, cena 1.00 zł. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. (W serii „Biblioteka Kultury"). Poznań 1938.

Na tle współczesnych prądów i wypadków dziejowych, na tle dokonującej się społecznej i ekonomicznej przebudowy świata rozważa Autorka zadanie i wielką misję katolików, analizując ich postawę duchową na różnych odcinkach życia kulturalnego, politycznego i społecznego.

Ks. dr. Bolesław Kominek: Eucharystia w życiu jednostki i rodziny. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. (W serii „Biblioteczka Akcji Katolickiej"). Poznań 1938, str. 16, cena 50 gr.

Referat pod tym tytułem został wygłoszony na sekcji polskiej podczas Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w Budapeszcie. Nawołuje w nim Autor do przebóstwionego Eucharystią życia tak jednostki jak i całych rodzin i zaleca je

jako ratunek i oparcie dla chylących się ku upadkowi moralnemu — społeczeństw.

Generałowa Jadwiga Zamoyska: O p r a c y. — Wyd. II. Poznań 1938, str. 165, cena 2.50 zł. Nakł. Instytutu Akcji Katolickiej. (W serii „Ideały i życie").

Jest to rozprawa, której lektura przyniesie duże korzyści praktyczne w codziennym życiu, daje bowiem szereg rozumnych rad i wskazówek na temat ustosunkowania się do pracy, systemu w pracy, uporządkowania i kolejności zajęć itd.

Ks. Ignacy Walczewski: T r e ś ć i z n a c z e n i e u c h w a ł I S y n o d u P l e n a r n e g o. (W serii „Biblioteczka Akcji Katolickiej"). Str. 24, cena 60 gr.

Popularny wykład na temat uchwał Synodu, aktualny zwłaszcza wobec nowego hasła Akcji Katolickiej, wzywającego do poznania i wykonania tych uchwał.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem „Książnicy Atlas", Lwów — Warszawa, 1938:

E. Schopen: M o r z e Ś r ó d z i e m n e, str. 119.
Stanisław Wojciechowski: M o j e w s p o m n i e n i a. T. I, str. 367.

Nakładem księgarni św. Wojciecha, Poznań, 1938:

Maria Glinczanka: O k o w o k o z e ś m i e r c i ą. Wspomnienia ś. p. Marii z Glinków Rose z kaźni bolszewickiej, str. 99.
Dr prof. W. Rubczyński: P r o b l e m k s z t a ł t o w a n i a c h a r a k t e r u, str. 128.
Dr Kazimierz Weydlich: T ę c z o w y s z t a n d a r s p ó ł d z i e l c z y. Podręcznik z 30 tematami do przepracowania przez członków spółdzielni, działaczy społecznych i młodzież, str. 180.

Nakładem księgarni A. Krawczyński, Lwów, 1939:

Amelia Łączyńska: Ż y c i e n i e u s t a j e. Powieść, str. 304.
Józef Bieniasz: L e ś n e w y g i. Powieść, str. 270.
Jan Rogowski: W o b r o n i e L w o w a, str. 144.

Nakładem Seminarium Zagranicznego, Potulice, 1939:

Dr Bolesław Kaprocki: N a t l e l e g e n d h u c u l s k i c h, str. 76.
Ks. Biskup Teodor Kubina: W ś r ó d p o l s k i e g o w y c h o d ź t w a w A m e r y c e P o ł u d n i o w e j, str. 357.
S. Maria - Alicja, Niepokalanka: A u d y c j e l i t u r g i c z n e. Urywki z korespondencji młodego maturzysty, str. 48.

Nakładem Tow. „Biblioteka Religijna" im. ks. arcb. Bilczewskiego, Lwów, 1938:

Teresa Bętkowska: F r a n e k P r z y b ł ę d a. Powieść, str. 163.
Ks. dr Ildefons Bobicz: J e z u s C h r y s t u s S y n B o ż y. Wykład Ewangelii św. Marka w 65 homiliach, str. 312.

Henryka Brey: O wiecznej miłości. Myśli eucharystyczne. Tłumaczyła M. Buzalska, str. 130.

Ks. Aleksy Klawek: Psałterz. Nowy przekład tekstu Wulgaty, str. 319.

S. M. K.: Dzieci u żłóbka. Jasełkowe obrazki sceniczne dla dzieci, str. 46.

Nakładem różnych:

Adam Asnyk: Pisma. T. I. Nakładem „Naszej Księgarni" S. A. Z. N. P. Warszawa, Lublin, Wilno, 1938, str. 339.

I. M. Bocheński, O. P.: Z historii logiki zdań modalnych. Wydawn. OO. Dominikanów, Lwów, 1938, str. 147.

Branko Klarić: Missa poetica. Nakładem „Hrvatska Knijžara", Split, 1936, str. 86.

M. J. O. S. U.: Wielka Urszulanka M. Cecylia Łubieńska. Nakładem Wydawn. „Głosu Karmelu", Kraków, 1938, str. 23.

Ks. dr Antoni Pawłowski i dr K. M. Morawski: Konferencje misyjne. Nakładem Rady Krajowaj Pap. Dz. Rozkrzew. Wiary, Poznań, 1938, str. 61.

Relacje arcybiskupów lwowskich. Wydał ks. Teofil Długosz. Nakładem Kurii Metrop. o. łać. we Lwowie, Lwów, 1937, str. 208.

Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny. Poświęcony nauce i życiu prawnemu i gospodarczemu Rzeczypospolitej Polskiej. Kwartał IV. 1938. Poznań.

Polycarpus Sawicki O. S. P. I. Er.: De Missa conventuali in capitulis et apud religiosos. Historice, canonice, liturgice. Nakładem Pontificia Universitas Gregoriana, Cracoviae, 1938, str. 161.

Dr Stephan Schiwietz (Siwiec): Das morgenländische Mönchtum. Dritter Band: Das Mönchtum in Syrien und Mesopotamien und das Aszetentum in Persien. Nakładem Missionsdruckerei St. Gabriel, Mödling bei Wien, 1938, str. 440.

Tadeusz Sławiński: Zagadnienia gospodarcze Polski współczesnej. Nakładem „Biblioteki Polskiej", Warszawa, 1938, str. 173.

Słownik kościelny łacińsko-polski. Spolszczył, ułożył i uzupełnił ks. dr A. Jougan, Lwów, 1938, str. 576.

Stefan Starzyński: Rozwój stolicy. Nakładem Stołecznego Okręgu Zw. Rezerw. Warszawa, 1938, str. 98.

Śląska Biblioteka Publiczna im. J. Piłsudskiego w Katowicach. Przewodnik wraz z regulaminem dla publiczności. Nakładem Śląsk. Bibl. Publ., Katowice, 1938, str. 58.

Zbiory Biblioteki Rapperswilskiej. Rękopisy Nr 1315 — 2299. Nakładem (Bibl. Narodowa), Warszawa, 1938. T. II. Cz. I, str. 559. T. II. Cz. II, str. 348.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Przemiany ustrojowe. — Fala dekretów. — Prawosławie polskie.

Przed paru laty modną było rzeczą mówić w Polsce o rządach autorytatywnych; obecnie z pewnym odcieniem melancholii w pewnych sferach, a z nietajonym entuzjazmem w innych, zapowiada się swoisty, polski totalizm. Polski, bo nie oparty na hegemonii proletariatu, nie apelujący do mitu rasy i krwi, nie mający za sobą partii tożsamej z narodem, porwanym wizją wielkiego imperium. A jednak mimo wszystko totalizm, czy jeśli ktoś woli dyktatura, nie jednostki oczywiście, ale grupy, „elity", partii czy zjednoczenia pewnych elementów politycznych i społecznych. Być może zresztą, że to tylko sezonowe plotki, w których zamyka się lęk lub marzenie; wszak przed paru tygodniami mąż stanu tej miary, co vice-premier Kwiatkowski dwukrotnie i z całym naciskiem zapewniał, iż panujący w Polsce reżim opowiada się w sposób zdecydowany, przy d e m o k r a c j i. Ale trudno znowu zaprzeczyć, że chodzi o demokrację swoistą, nie tę „zgniłą", zachodnią, tak namiętnie piętnowaną przez totalnego *Führer*'a, ale nową, kierowaną i o g r a n i c z a n ą w odpowiednim stopniu.

O demokracji francuskiej, której dyktatura ludowego frontu zadała cios bardzo głęboki, nikt u nas, poza skrajną lewicą, nie myśli. Sejmokracja z sezonowymi gabinetami należy u nas do przeszłości. Całe społeczeństwo uznało konieczność silnej władzy wykonawczej i sprężyście pracujących izb ustawodawczych. Ale równocześnie olbrzymia większość społeczeństwa nie wzdycha bynajmniej do dyktatury tej czy innej partii, nie uśmiecha się jej żadną miarą tak sprzeczny z polską naturą totalizm.

Z drugiej jednak strony nie podobna zaprzeczyć, że mimo wszystko, nastroje i prądy totalne mają u i nas wyjątkowo dobrą koniunkturę. Przykład państw o ustroju totalnym, coraz to świetniejsze sukcesy gospodarcze i polityczne tak faszyzmu, jak przede wszystkim hitleryzmu wywierać muszą dodatnie wrażenie, zwłaszcza na tle słabnących wpływów wielkich demokracyj Zachodu. Niedawno wybitny publicysta Stronnictwa Narodowego, p. Kozicki dał wyraz swoim zachwytom po powrocie z podróży po Włoszech i Niemczech; nie wzruszył go nawet los katolików w państwie Trzeciej Rzeszy wobec triumfów zorganizowanego nacjonalizmu. To jeden głos pośród wielu. Ale i wewnętrzna atmosfera naszego kraju sprzyjać może totalistycznym nastrojom. Wszak trudno nie uznać faktu, iż tak międzynarodowe położenie Polski, jak i wewnętrzny gospodarczy rozwój wymagają bezwzględnie zjednoczenia narodu, rozbitego od lat na zwalczające się polityczne partie i bezsilnego w tym rozbiciu wobec tragicznego dla nas problemu narodowych mniejszości, zwłaszcza Żydów. Otóż zjednoczenie to, którego bezwzględną konieczność uznają bez wyjątku wszyscy, może się dokonać albo na platformie międzypartyjnego szczerego porozumienia wszystkich pozytywnych grup i odłamów, albo też pod wpływem nacisku, by już nie mówić o mniej lub więcej maskowanym gwałcie.

Jak dotychczas, wszelkie próby porozumienia zawiodły; ostatnie wybory są ostatnim w tej właśnie dziedzinie dowodem. Nie chcemy analizować powodów, stwierdzamy oczywisty fakt. Wyciągnięcie prawicy do zgodnej współpracy pozostaje, jeśli chodzi o partyjne sztaby, symbolem bez treści, wekslem, któremu odmówiono żyra. Równocześnie polityczna partia, związana z reżimem nie zamierza, bynajmniej skapitulować, czy też wstąpić na drogę przetargów oraz kompromisów. Owszem, przeciwnie, korzystając z niewątpliwej przewagi, jaką jej właśnie zabezpiecza reżim, gotuje się na sforsowanie zjednoczenia innymi drastyczniejszymi posunięciami. I wszelkie uspokajanie ideologią śp. Marszałka Piłsudskiego, który przecież przeciwnym był dyktaturze, jest dzisiaj jedynie pewnego rodzaju dymną chmurą, która ma przysłonić ewolucję polityczną ostatnich kilkunastu lat. Tak, niewątpliwie, śp. Marszałek mógł narzucić dyktaturę, a uczynić tego nie chciał; ale równocześnie należy podkreślić drugi oczywisty fakt, że wielki i wyjątkowy autorytet osobisty Piłsudskiego był tym elementem, który pozwalał na wstrzymanie normalnego rozwoju reżimu, stworzonego faktycznie przez przewrót majowy. Niemniej przeto pozostanie historycznym pewnikiem, iż przewrót ten stał się początkiem ewolucji, która siłą swych założeń zdąża,

może podświadomie, ale konsekwentnie, prawie mechanicznie do dyktatury partii. Ten logiczny i stały rozwój wypadków w tym właśnie kierunku, był zresztą widoczny już za życia Marszałka Piłsudskiego na takich etapach jak konstytucja kwietniowa, czy ordynacja wyborcza. Z chwilą zaś gdy śmierć twórcy reżimu usunęła siłę indywidualnego autorytetu, sam reżim musiał się albo załamać, albo też wkroczyć na normalną i jedynie logiczną linię rozwoju, na której miejsce autorytetu jednostki zajmuje siła i przymus partii. Istotnie takim załamaniem chwilowym było rozwiązanie BBWR i ustąpienie reżimowego szefa sztabu, pułk. Sławka. Ale niebawem koncepcja pierwotna odżyła i po próbnych łamańcach organizacyjnych, wsparta autorytetem Naczelnego Wodza oraz siłą Rządu, wraca w łożysko pierwotne i z łożyska tego łatwo zepchnąć się już nie pozwoli. Ostatnie wybory były w pewnym sensie przeglądem sił nie tyle prorządowej partii ile przede wszystkim reżimu i opozycji. A wyniki tego nierównego starcia są wprost oczywiste; symbolem ich jest przygniatająca większość reżimowa tak w Sejmie jak i w Senacie. To znowu fakt, którego nie usunie nawet najwnikliwsza analiza nierównych warunków, w jakich rozegrała się potyczka. Można, jak to uczyniono, wysuwać zastrzeżenia, iż w wyborach zwyciężyła bynajmniej nie sympatia do partii OZoNu, ale sympatia do armii i Naczelnego Wodza, niemniej przeto trzeba mieć odwagę stwierdzić, iż jeśli nie zwyciężyła partia, to na pewno odniósł sukces panujący reżim, a reżim ten sięga i szerzej i głębiej niż partia.

Że tak a nie inaczej przedstawia się rzeczywistość mamy dowód w ostatniej fali doniosłych dekretów, które sięgnąć mogą głęboko w wewnętrzną strukturę współczesnych stosunków. Wyrażano zdziwienie, iż dekrety te pojawiły się prawie w przededniu sesji izb ustawodawczych, na których poparcie Rząd może przecież całkowicie liczyć. Otóż zdziwienia tego bynajmniej nie podzielamy; posunięcia dekretowe są dla nas logicznym krokiem naprzód w wewnętrznej ewolucji naszego ustroju. I znowu nie pomoże żadne apelowanie do ideologii śp. Marszałka, jak to niedawno uczynił naczelny publicysta *Czasu,* snując marzenia na temat rozdziału i hierarchii władz prawodawczych oraz wykonawczych. Jest to nawyk myślenia kategoriami demokratycznymi; tymczasem demokracja ulega u nas ewolucji i to właśnie po linii ideologii śp. Marszałka, tylko że bez hamulców tego czynnika, któryśmy nazwali jego osobistym a nie łatwym do zastąpienia autorytetem.

Reżim dąży niewątpliwie do szerokiej konsolidacji wewnętrznej, do stępienia a nawet do usunięcia partyjnego

rozbicia. Metoda pertraktacyj, jak wspomnieliśmy wyżej, zawiodła, pozostaje metoda nacisku.

Sam jednak nacisk nie wystarczy, i o tym wiedzą doskonale szefowie reżimu. By więc zjednoczenie, do którego dążą, mogło dojść do skutku nie wystarczy nawet przymusowe rozwiązanie wszystkich opozycyjnych partyj, trzeba uprzednio wybrać z ich ideologij to wszystko, co jest istotną racją ich istnienia, trzeba ten ideowy aliaż odpowiednio obrobiony wcielić w ideologię reżimu. I znowu trudno zaprzeczyć, iż ewolucja ta dokonuje się powoli lecz stale.

Nie ulega wątpliwości, iż olbrzymia większość społeczeństwa jest przywiązana do katolicyzmu, jeśli nie zawsze przekonaniem i życiem, to w każdym razie sentymentem oraz tradycją. Niemniej pewnym jest fakt, że nacjonalizm, który święci triumfy w ustrojach totalnych, jest u nas silnym, choć może nie zawsze świadomym elementem psychiki całego narodu. Bankructwo wysiłków sprzed paru lat, które usiłowały narodowość rugować państwowością, jest tego najlepszym dowodem. Teoria głosząca, iż Polska jest państwem nie narodowym ale narodowościowym staje się coraz więcej życiowym anachronizmem. Fala antysemityzmu wzbiera a problem staje się wprost piekący. Coraz też wyraźniej rysuje się w świadomości ogółu zagadnienie wsi, jej przeludnienia, biedy i słusznych politycznych żądań. — W tych paru zdaniach streściliśmy szkicowo istotne punkty ideologij najpoważniejszych grup opozycyjnych. A teraz podkreślmy niewątpliwy fakt, iż panujący reżim coraz pełniej i coraz odważniej wchłania pozytywne elementy tych właśnie ideologij, by je realizować na swój sposób w ramach swojego może niezupełnie zharmonizowanego programu, podrywając tym samym, przynajmniej w pewnym stopniu, rację bytu stronnictw opozycyjnych i usiłując zredukować je do partyjnych sztabów bez armii.

Stąd coraz silniejsze akcentowanie haseł narodowych; stąd postępujący antysemityzm, kulminujący w pogróżce, która na łamach *Gazety Polskiej* stanowi sensację, iż bierność państw Zachodu wobec problemu emigracji Żydów z Polski, musiałaby „umocnić stanowisko zwolenników poglądu, że jedynym skutecznym sposobem umożliwiającym rozwiązanie kwestii żydowskiej są metody zastosowane przez Trzecią Rzeszę". Stąd dalej coraz większa poprawność w stosunkach z Kościołem; organizowanie wsi, próba podniesienia jej finansowego poziomu z jednej strony przez parcelację, z drugiej zaś przez uprzemysłowienie kraju (COP). Oczywiście praca ta wymaga dłuższego okresu, napotyka na wiele trudności i nieprędko je zwycięży. Na buńczuczną

przechwałkę zakrawa jeszcze dziś okrzyk *Gazety Polskiej,* skierowany pod adresem opozycji:

...Wodzowie tych (opozycyjnych) ugrupowań muszą rzucić krytycznym okiem na człapiące za nimi zastępy, gdyż — być może — nie jest to imponująca wstęga groźnych regimentów, lecz tylko zbieranina pospolitaków, luzaków i banderii parafialnych...

Przesada dziennikarsko-partyjna zostanie przesadą; niemniej przeto faktem jest, iż przejmowanie i realizowanie zasadniczych punktów ideologij opozycyjnych w ramach ideologii reżimu postępuje oraz wydaje pewne owoce, spychając opozycję coraz silniej w zaułki zabójczej dla życia bierności. Tu tkwi również geneza rosnącego nacisku reżimu. I celem, według naszego zdania, paru ostatnich dekretów jest właśnie usunięcie szeregu trudności przez wzmożenie reżimowego nacisku, by ideologia zjednoczenia mogła się tym łatwiej iścić. Nie znaczy to bynajmniej, iż reżimowy Rząd nie liczy na współpracę izb ustawodawczych, owszem przeciwnie izbom tym powierzył opracowanie tak ważnej sprawy jak nowa ordynacja wyborcza, równocześnie zaś przez zmianę regulaminu oraz wybór władz obezwładniono w wysokim stopniu i tak już znikomą grupę niezależnych posłów oraz senatorów, — ale dekrety działają i szybciej i sprawniej, nie dają pola do dyskusji, sprzeciwów oraz poprawek, zdążają prosto do zamierzonego celu i dlatego nie będziemy żadną miarą zaskoczeni, jeśli po normalnych ustawach przegłosowanych w sejmie i senacie pojawią się nowe i donioślejsze od ustaw dekrety. To tylko logika rozwoju nowego ustroju, do którego konsekwentnie zdąża reżim. Ograniczając demokrację, dozując ostrożnie nacisk i przymus przeprowadza swoje ustrojowe zamierzenia bez większych wstrząsów wewnętrznych, prawie bez sprzeciwu. I to jest zjawisko wysoce znamienne, które naszym zdaniem świadczy najdowodniej, iż równocześnie z pewnym naciskiem zewnętrznym idzie przejmowanie pozytywnych punktów ideologij opozycyjnych i realizowanie ich w ramach reżimu. Tylko tym można wytłumaczyć coraz to większe oswajanie się ogółu z ewolucją naszego ustroju, bierne czy zastraszone godzenie się z losem nawet w szeregach opozycji, nie sztabów wprawdzie, ale ich armij.

Wszak trudno zaprzeczyć, iż sprawa tak doniosłych dekretów jak prasowy i dotyczący ochrony niektórych interesów Państwa, przeszła dla reżimu pomyślnie i stanowi jego nowy, wielki sukces. Prawo prasowe niewątpliwie twarde, ograniczające w wysokim stopniu, by nie powiedzieć usuwające wolność prasy, wywołało wprawdzie

pesymizm i krytykę we wszystkich opozycyjnych a nawet neutralnych pismach, spowodowało interwencję Związku Dziennikarzy oraz Związku Wydawców, ale ostatecznie skończyło się na krytyce oraz postulatach. Tymczasem prawo już obowiązuje i w każdej chwili może się stać potężnym i skutecznym atutem reżimu w walce z wszelką opozycją. Czego dokonał dekret prasowy w dziedzinie słowa pisanego, tego dokonuje w znacznej mierze dekret o ochronie niektórych interesów Państwa w dziedzinie słowa żywego. Zasięg tego dekretu jest nadzwyczaj elastyczny, jego interpretacja otwiera znaczne możliwości, horyzonty likwidowania opozycji rozszerzyły się ogromnie, a równocześnie reakcja społeczeństwa, tak rzekomo opozycyjnego, prawie minimalna. Skończyło się znowu na melancholijnych utarczkach prasowych... i spokój.

Trafnie więc sens i tendencje wspomnianych dekretów ujął p. Regnis w tych słowach:

...Wchodzimy w nowy okres rządzenia. — W nowej strażnicy, umieszczonej na fundamencie konstytucyjnym, obwieszczono w formie dekretów, że okres półdemokratyczny, średniego działania ma się ku końcowi, że autorytatywizm w formie bardzo wzmocnionej zyskuje prawo obywatelstwa...

Jeśli chodzi o ocenę dokonywujących się ustrojowych zmian z punktu widzenia katolicyzmu, to przed oczyma musimy mieć naczelną zasadę, iż Kościół katolicki nie wiązał i nie wiąże swego istnienia i swej działalności z żadną formą rządów. Cele jego są nadprzyrodzone i dążąc do ich osiągnięcia jest tym samym najlepszym wychowawcą narodu a rzecznikiem siły i rozwoju państwa. W każdym legalnie zaprowadzonym ustroju, który uznaje prawo natury oraz pozywne prawo Boże, Kościół może spełniać swe zadania i realizować swą nadprzyrodzoną misję. I dlatego właśnie nie powinien i nie może wiązać swego istnienia z tą lub inną polityczną partią, nie powinien i nie może brać udziału w rozgrywkach czysto politycznych. Oczywiście byłoby okaleczeniem misji Kościoła żądanie, by w dziedzinie polityki międzynarodowej czy państwowej nie zabierał głosu, bo obowiązkiem jego suwerennym jest przenikać wszystko co ludzkie Chrystusowym duchem, ale też w ocenie czy krytyce ludzkich posunięć musi się kierować normami najwyższej etyki a nie przemijającym i zmiennym interesem tej lub innej partii, tego czy innego państwa. Wszelkie zboczenie z tej jedynej, przykładem Chrystusowym wytyczonej drogi, mściło się w dziejach Kościoła, jak o tym świadczy dowodnie historia.

W chwili współczesnej doniosłym zagadnieniem dla katolicyzmu jest jego stosunek do ustrojów totalnych. Otóż stwierdzić trzeba z naciskiem niewątpliwy fakt, iż jak Kościół nie związał swego istnienia z monarchią czy demokracją, tak nie potępił dyktatury, czy totalizmu, o ile ustrój ten nie narusza podstawowych praw Boga oraz człowieka. Opierając się na tych przesłankach papież Pius XI potępił wprawdzie uroczyście komunizm, zdemaskował bezbożnicze zapędy i gwałty zadawane sumieniom w totalnym ustroju Trzeciej Rzeszy, ale równocześnie współpracuje z totalnym imperium Italii, a współpracować gotów z hitleryzmem, o ile porzuci on niezgodne z prawem Bożym teorie i praktyki. Niewątpliwie ustrój totalny kryje w sobie rozliczne i groźne niebezpieczeństwa, otwiera bowiem drogę do licznych nadużyć, sięga zbyt łatwo po władztwo nad sumieniami, ogranicza, a nawet depce godność i niezależność ludzkiej indywidualności... ale szkopuły te ominąć może i dlatego w swej istocie nie jest zjawiskiem sprzecznym z etyką oraz dogmatem katolicyzmu. Totalizmu można nadużyć do walki z religią, ale historia nowoczesnej Francji pokazuje, iż można było nadużyć i demokracji do walki z Kościołem, jak w dawniejszych wiekach do tej samej walki stawały te lub inne monarchie i królestwa.

Zwężając horyzont refleksyj, można więc i trzeba powiedzieć, iż katolicyzm w Polsce nie jest związany z istnieniem lub zwycięstwem tej lub innej partii, z tą lub inną formą ustroju; związany jest tylko z polskim narodem i jego dziejami, jako wielowiekowy wychowawca, sprzymierzeniec i opiekun. Można się zaś spodziewać, iż naród polski w każdym ustroju, który stworzy naprawdę wolą swej większości, opierać się będzie w swym państwowym i społecznym życiu na zasadach katolickiej etyki i współpracować będzie z katolicyzmem dla dobra społeczeństwa i potęgi polskiego Państwa. Dlatego też Kościół w Polsce musi popierać wszystkie uczciwe i rzetelne wysiłki zdążające do zjednoczenia narodu w wspólnej, twórczej, duchem katolicyzmu zdynamizowanej pracy.

Podkreślaliśmy już nieraz na łamach naszego pisma najgłębsze nasze przekonanie, że zjednoczenie polskiego narodu może się dokonać i szybko i gruntownie jedynie na podstawie szczerze katolickiego i narodowego programu. I trzeba przyznać, iż przekonanie to toruje sobie zwycięsko choć stopniowo drogę w najszerszych warstwach społeczeństwa; liczy się z nim coraz wyraźniej również panujący reżim. Niewątpliwie w niektórych sferach rządzących brak jeszcze pełnego zrozumienia dla tej właśnie koncepcji. Mści się tu wychowanie w zasadach pozytywizmu

i socjalizmu, którym nasiąkło wielu naszych niepodległościowych działaczy; innych skłóciły z Kościołem wymagania na których katolicyzm nieustraszenie i bezwzględnie opiera życie rodzinne.

Tym się też w wysokim stopniu tłumaczą reżimowe zygzaki w kościelnej polityce. Tu trzeba szukać źródła wielu błędnych posunięć, braku pełnej szczerości w odniesieniu do najsłuszniejszych postulatów katolicyzmu. Po prostu panujący w Polsce reżim nie jest jeszcze dogłębnie przekonany, że siła i rozwój katolicyzmu to siła, rozwój i spełnienie misji polskiego Narodu i Państwa. Na te niedomagania zwracamy nie od dzisiaj uwagę czynników decydujących, a czynimy to wyłącznie z głębokiego poczucia obywatelskiej odpowiedzialności, bez jakichkolwiek wpływów tych czy innych partyjnych uprzedzeń. Dlatego też równie szczerze możemy powiedzieć, iż mimo niewątpliwych trudności, które boleśnie ciążą na pewnych odcinkach publicznego życia w Polsce, stosunek panującego reżimu do katolicyzmu ulega raczej pomyślnej ewolucji, a miejmy nadzieję, iż nie z czysto koniunkturalnych powodów. Dopływ młodych sił wywrze, jak można przypuszczać, skutek dodatni, wszak w szeregach armii ewolucja ta jest już dziś wysoce pocieszającym pewnikiem. W tej atmosferze dekret p. Prezydenta o rozwiązaniu masonerii ma swą na wskróś pozytywną wymowę. Warto jednak zauważyć z wybitnym publicystą *Głosu Narodu,* że:

Wykonanie tego dekretu nie będzie łatwe. Dekret zwraca się nie tylko przeciw samej masonerii, ale i przeciw „zrzeszeniom zależnym od wolnomularstwa". Z tego wynika, że rząd wie, iż takie zrzeszenia istnieją i zna je z imienia. Jeśli tak, to powinien je z miejsca zamknąć. Każdy dzień zwłoki utrudni mu działanie, a tym organizacjom umożliwi zacieranie śladów prowadzących do masonerii. Nie będzie żadną denuncjacją gdy powiemy, że od dość dawna palcem wskazywano na te stowarzyszenia. Ale trzeba działać szybko. Bez zwłoki. Inaczej dekret nie osiągnie swego celu.

Trudno tu nie podkreślić inicjatywy J. E. Ks. Prymasa Hlonda w okresie ostatnich wyborów. Ma ona doniosłe znaczenie, gdyż musiała być niewątpliwie dobrze przemyślanym posunięciem, opartym na rzeczywistych przesłankach. Ta tak wysoka i pełna autorytetu gwarancja pozwala nam bowiem przypuszczać, iż ostatnie dekrety nie odbiją się ujemnie na swobodzie i wolności katolickiego życia w Polsce tak w dziedzinie prasowej jak i w zakresie wolnego słowa. Dekrety te mogą być źródłem fatalnych nadużyć, mogą pogłębić zakłamanie i deprawację charakterów, zniszczyć wszelką rozumną, zdrową, konieczną krytykę, zepchnąć prasę

w podziemia, a organizacje rzucić w odmęty konspiracji, ale też przeciwnie mogą i powinny być jedynie wydatną pomocą w tępieniu tego wszystkiego, co deprawuje, rozsadza, obniża i tym samym pozostaje w sprzeczności z zasadami katolickiej etyki.

Odnosi się to w pierwszym rzędzie do dekretu o ochronie Państwa. To też prasa katolicka oceniła jego zasadnicze zamierzenia pozytywnie. I tak naczelny publicysta *Małego Dziennika* pisał:

...Państwo musi bronić się na wszystkich polach i we wszystkich dziedzinach przed wrogimi czynnikami, które zagrażają jego sile wewnętrznej. Wydany poprzednio dekret prasowy, który bardzo skrępuje prasę polską, też niewątpliwie służy słusznej sprawie...

Nie inna jest opinia i *Głosu Narodu*:

...Uznajemy generalną linię postanowień dekretu, ale domagamy się wyjaśnień w sprawach, które dekret bądź sumarycznie, bądź w sposób mglisty załatwia. Wyjaśnienie leży w interesie Państwa, którego dekret broni...

Tego właśnie wyjaśnienia, sprecyzowania i ograniczenia treści wspomnianych dekretów spodziewa się ogół polskiej pozaozonowej prasy od naszego parlamentu. Nadzieja ta jednak najprawdopodobniej zawiedzie, a treść i zakres dekretów oszlifuje może dopiero życie.

O ile dekrety: prasowy, dotyczący ochrony niektórych interesów Państwa i antymasoński wywołały obszerne komentarze oraz polemiki w prasie codziennej i periodycznej, to dekrety o zagranicznych majątkach obywateli polskich a zwłaszcza o stosunku Państwa do polskiego autokefalicznego kościoła prawosławnego nie wzbudziły szerszego zainteresowania. Poddanie pod daleko idącą kontrolę Państwa prywatnego majątku zagranicznego, dotyczy faktycznie nieznacznej tylko liczby obywateli polskich, zwłaszcza Żydów i jakkolwiek stanowi symptomatyczną nowość w prawnej dziedzinie pojęcia prawa własności, posiada bezsporne uzasadnienie w finansowej sytuacji Państwa polskiego i w konieczności skuteczniejszej walki z występnym przemytem dewiz.

Jeżeli chodzi o obszerny, bo 85 artykułów obejmujący dekret w sprawie kościoła prawosławnego, to na ogół sankcjonuje on prawnie faktycznie już istniejące stosunki. Wychodząc z założeń naszej liberalnej pod względem religijnym Konstytucji, dekret zapewnia kościołowi prawosławnemu

w Polsce całkowitą wolność w granicach prawodawstwa krajowego, zabezpieczając równocześnie całkowitą niezależność od jakiejkolwiek pozakrajowej władzy duchownej lub świeckiej. Autokefaliczna Cerkiew prawosławna posiada więc w swym życiu wewnętrznym pełną swobodę, zupełnie na równi z Kościołem katolickim, korzysta w tej samej mierze z egzekutywy władz państwowych, z wpływu w zakresie szkolnictwa (nauczanie religii), z wolności organizacji duszpasterskiej na wszystkich szczeblach, z duszpasterstwem wojskowym włącznie, korzysta wreszcie z prawa posiadania majątków, z uposażeń państwowych i całego szeregu przywilejów duchowieństwa tak w dziedzinie prawnej jak fiskalnej. Wobec tych faktów trudno zaprzeczyć, że większej swobody i samodzielności nie posiadała Cerkiew prawosławna nawet w carskiej Rosji, gdzie przecież była wyznaniem „panującym" w państwie. Na tle liberalizmu polskiego jakże przykro wygląda tolerancja religijna w tych krajach, gdzie prawosławie jest w większości. W Jugosławii wskutek oporu Cerkwi prawosławnej rząd i katolicy stanowiący 40 procent ogółu ludności nie mogli dotychczas przeprowadzić ratyfikacji konkordatu. W prawosławnej Grecji stosuje się wobec katolików prawa wyjątkowe! W Rumunii obrządek greko-katolicki narażony jest na stałe przykrości czy zakusy, ze strony Cerkwi prawosławnej.

Dekret o Cerkwi prawosławnej w Polsce jest wzorowany w wielu miejscach na konkordacie ze Stolicą Apostolską zwłaszcza w tych artykułach, w których mówi się o uprawnieniach prawosławia i duchownych tego wyznania. Uprawnienia te w niektórych punktach są nawet szersze aniżeli prawa duchowieństwa katolickiego. Tak np. pomieszczenia zajmowane przez wszystkich duchownych prawosławnych traktowane są przez Skarb Państwa na równi z pomieszczeniami urzędowymi (art. 6 p. 2), tymczasem art. XV konkordatu głosi, że tylko pomieszczenie biskupów i duchowieństwa parafialnego oraz ich lokale urzędowe traktowane są przez Skarb na równi z pomieszczeniami urzędowymi funkcjonariuszów. Na mocy konkordatu organiści przy kościołach katolickich, podobnie i diakowie unijni, nie pobierają żadnego wynagrodzenia, tymczasem dla psalmistów przy cerkwiach prawosławnych przewidziane jest uposażenie (art. 64 dekretu); wynagrodzenie miesięczne kanclerza Kurii metropolitalnej warszawskiej, a właściwie 10 etatów, które zostały uznane, chociaż pracuje w niej znacznie więcej osób, wynosi na mocy konkordatu 946 zł, uposażenie zaś dyrektora kancelarii prawosławnej wynosi na podstawie dekretu miesięcznie 500 zł, a członków konsystorza po 250 zł dla każdego.

Cerkiew prawosławna w Polsce otrzymuje wreszcie poważny przywilej: oto mieć będzie własnego wojskowego biskupa prawosławnego, który wejdzie w skład synodu (art. 65 dekretu). Jeżeli się zważy, iż greko-katolicy w Polsce niewiele mniej liczni niźli prawosławni (10,4% gr.-kat. i 11,8% prawosławni. Spis 1931) nie mają własnego biskupa polowego — to uprzywilejowanie prawosławnych nie ulega żadnej wątpliwości. W Jugosławii 40% ludności katolickiej — warto to podkreślić — nie ma wojskowego biskupa katolickiego, a jednocześnie prasa tamtejsza lubi narzekać na rzekome upośledzenie prawosławia w Polsce, tymczasem mamy tu do czynienia nie z upośledzeniem ale z formalnym uprzywilejowaniem, przynajmniej w niektórych punktach. Katolicy polscy odczuli boleśnie to uprzywilejowanie, zwłaszcza na terenie naszej narodowej chluby, jaką jest armia. Doprawdy pełna poświęcenia praca polowej Kurii i duszpasterskiego zespołu, złączona z tradycjami rycerstwa polskiego, zasługiwała na inne rozwiązanie tego zagadnienia. Jeśli idąc za przykładem prawosławia, analogiczne żądania sformułują protestanci oraz Żydzi, to sytuacja Ks. Biskupa polowego na wszystkich uroczystościach wojskowych będzie niewymownie przykra.

Z tych kilku uwag widzimy, że dekret normujący stosunek Państwa polskiego do Cerkwi prawosławnej owiany jest duchem szerokiego liberalizmu, tak dalece, iż może nasuwać pytanie, na czym obecnie właściwie polega przodujące stanowisko Kościoła katolickiego w Rzeczypospolitej, jako wyznania przeważającej większości obywateli? Chyba tylko na tym, że zależność Cerkwi prawosławnej od Rządu i administracji jest niewątpliwie większa, zwłaszcza w zakresie obsady kościelnych stanowisk. Jest to jednak zjawisko zupełnie normalne, bo analogiczne stosunki panują w krajach, w których prawosławie jest religią nawet panującą.

Ale pomijając nawet te wszystkie artykuły dekretu, które trudno pogodzić z prestiżem Kościoła katolickiego, jako religii olbrzymiej większości rdzennie polskiego narodu, nie wolno katolikom przejść do porządku dziennego nad art. 3 wspomnianego dekretu. Oto jego dosłowne brzmienie:

Włączenie do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego innej organizacji kościelnej lub religijnej o własnym ustroju wewnętrznym, zawarcie ustrojowego związku z taką organizacją oraz utworzenie nowego obrządku w Polskim Autokefalicznym Kościele Prawosławnym — dokonywa się w trybie, ustalonym przez Statut Wewnętrzny, za zgodą Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

W artykule powyższym chodzi więc nie tylko o prawo kooptowania przez Cerkiew, a tym samym uprawnienia, różnych sekt jak np. Mariawitów itp., ale nawet o możność utworzenia nowego obrządku w polskim prawosławiu. Doskonale wiemy o jaki tu chodzi obrządek! Wszak już powstało parę kościołów prawosławnych, w których liturgię łacińską odprawia się w języku polskim. I tu zdaniem naszym ukrywa się największe niebezpieczeństwo. Otwierają się bowiem możliwości stworzenia schizmatyckiego kościoła narodowego, wyposażonego we wszystkie prawa oraz przywileje. Czy takie postawienie zagadnienia da się pogodzić z duchem konkordatu, czy idzie po linii interesu Państwa i tradycji polskiego narodu? Stajemy wobec bardzo doniosłego pytania. Sygnalizujemy więc opinii katolickiej to nowe a realne niebezpieczeństwo i wyrażamy nadzieję, iż posłowie katolicy nie zaniedbają ciążącego na nich obowiązku.

W każdym razie powyższy artykuł dekretu jak i niektóre inne jego punkty mogą stworzyć realną podstawę do pewnych tarć i zadrażnień w stosunku reżimu do katolickiego Kościoła. A byłby to wielki błąd i niebezpieczny zygzak na drodze do prawdziwego zjednoczenia polskiego narodu. Entuzjazm z jakim powitała dekret o prawosławiu ozonowa i z OZoNem sprzymierzona prasa, dochodząc do absurdalnych wniosków, iż dekret ten jest podjęciem wielkiej polityki Jagiellonów przekreślonej rzekomo przez Unię Brzeską, jest wysoce znamienny!

Stajemy dziś niewątpliwie na nowym etapie ewolucji naszego ustroju. Stanowisko reżimu, a zwłaszcza reżimowej partii, nabiera akcentów niewątpliwego nacisku. Całość wydanych dekretów stanowi w tej atmosferze otwarcie nowej drogi. Oby mimo wszelkich zapędów czy tendencyj monopartyjnych i totalistycznych droga ta doprowadziła do szerokich mas narodu, w przeciwnym razie zamieni się na niebezpieczne dla Narodu i Państwa bezdroże.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Płonąca granica w Karpatach. — Alarm kolonialny. — Układ anglo-włoski i pakt francusko-niemiecki. — Niemcy i Żydzi. — Próba sił we Francji. — Polska, Litwa i Rosja.

Miesiąc był stosunkowo spokojny, przynajmniej w Europie. Gęsty bigos obfitych faktów bulgotał w kotle dyplomatycznym, raz wraz wypryskując, raz wraz przelewając się w stronę takiej,

to znów owakiej koncepcji układu sił. Jednakże do chwili w której piszę nic przełomowego nie zaszło. Raczej tylko zmętniała i jeszcze bardziej nieprzeniknioną stała się przyszłość. Europa posuwa się naprzód po omacku, orientując się od wypadku do wypadku, na dystans własnego nosa poszczególnych państw.

Zacznijmy listopadową kronikę od punktu na którym przerwaliśmy październikową, a więc na lokalnym teatrze środkowego wschodu. Stąd bowiem, z gruntu poruszonego czeską tragedią, biło głównie źródło przemian, które rozwijając się odśrodkowo i koncentrycznie obejmowały coraz dalsze i najdalsze widnokręgi polityki światowej.

Podróż p. min. Becka do Galaczu i wyczerpująca konferencja z Karolem II obok równoległych kroków w Budapeszcie, Białogrodzie i Rzymie, stanowiły *maximum* tego co z polskiego stanowiska przedsięwziąć było można dla poparcia doniosłej sprawy granicy polsko-węgierskiej. Okazało się jednak, jak było do przewidzenia, że rozstrzygnięcia tej sprawy nie da się przeprowadzić środkami miejscowymi, w odłączeniu od układu sił wielkomocarstwowych. Rumunia zajęła wobec polskich propozycyj stanowisko w zasadzie przychylne, ale ostateczny kierunek postępowania uzależniła od tego czy w Niemczech, lub też na zachodzie znajdzie partnerów skłonnych wzmocnić jej potencjał gospodarczy i militarny. Decyzja więc z tej strony została odroczona do czasu podróży Karola II do Londynu.

Co więcej, gdyby nawet Węgry mogły liczyć na przychylność Rumunii i Jugosławii, to i tak jeszcze nie mogłyby się porwać na *coup de force* wobec Rusi Zakarpackiej, nie mając bezwzględnego zabezpieczenia przeciwko Niemcom — ze strony Włoch. Tak więc pomiędzy Rzymem a Berlinem zawisło ostatnie słowo w sprawie granicy polsko-węgierskiej. Nie dziw wobec tego, że spełzła na niczym także powtórna próba bezpośrednich układów czesko-słowacko-węgierskich. Węgrzy nie chcieli i nie mogli redukować swych żądań w południowej Słowaczyźnie na poczet objęcia w całości Rusi Zakarpackiej, jak to sugerował w Warszawie poseł Sidor, ponieważ ze strony czeskiej zaakcentowano zamiar zachowania północnego, ruskiego podgórza w unii z Czechosłowacją. Praga obaliła węgrofilski rząd Brodija w Użhorodzie i zastąpiła go rządem ukrainofilskim Wołoszyna. Z tej manifestacji wynikało jasno, że Praga opiera się o Berlin, że więc nie ustąpi.

Obie tedy strony, węgierska i czesko-słowacka zgodnie uznały moc rozstrzygającą Berlina i Rzymu, powierzając im arbitraż w sprawie nowych granic. Rzym i Berlin rozważnie przygotowały się do tej misji uzgodniwszy uprzednio swe stanowiska w specjalnej naradzie, na którą przyjechał do Wiecznego Miasta niemiecki min. spr. zagr. v. Ribbentrop. Jej zadaniem było rozwiązać spór o Ruś między Czechosłowacją a Węgrami, który

w szerszym rozwinięciu stał się sporem między Niemcami popierającymi Czechosłowację, a Italią popierającą Węgry. Ten spór wewnętrzny między mocarstwami osi rzymsko-berlińskiej można było rozwiązać tylko na tle całokształtu ich stosunku wzajemnego, oraz stosunku do mocarstw trzecich, zwłaszcza zachodnich.

Dlatego to konferencja Ribbentropa w Rzymie wzbudziła żywą emocję w Paryżu i Londynie. Stolice te umyły ręce w sprawie Rusi, ustępując Berlinowi i Rzymowi swoją część kompetencji monachijskiego zjazdu czterech. Mimo to miały rzetelną podstawę do obaw, że Ribbentrop wobec Mussoliniego podejmie ponowny wysiłek, by go pozyskać dla wiosennej poanszlusowej koncepcji niemieckiego *Drang nach Bagdad.* Ów projekt suponował formalne *condominium* niemiecko-włoskie, faktyczną zaś przewagę Niemiec nad Dunajem i na Bałkanie, ale równocześnie pozwoliłby osi rzymsko-berlińskiej, *viribus unitis,* za pośrednictwem Turcji i Arabów wyrzucić po prostu Francję z Syrii, Anglię zaś z Iraku, Palestyny, Egiptu i opanować Kanał Suezki. Otwierałoby to dalsze widoki dla Niemiec na protektorat nad Lewantem, dla Włoch zaś na Egipt i Sudan angielski, co byłoby równoznaczne z rozkładem brytyjskiego imperium. Można by taką perspektywę albo zrealizować, albo zawiesić nad mocarstwami zachodnimi, jak miecz Damoklesa, a wtedy podyktować im ustępstwa w Europie, czy w koloniach, jakieby tylko osi rzymsko-berlińskiej przypadały do gustu.

Toteż w okresie pobytu v. Ribbentropa w Rzymie wybuchnęła nagle i na pozór bez powodu w stolicach zachodnich istna panika kolonialna. Londyn i Paryż poczęły sobie nawzajem podrzucać kukułcze jaja kolonialnych ustępstw dla Niemiec. Zwłaszcza Anglicy wykazali dużą gorliwość w rozpamiętywaniu jakby można zaspokoić kolonialne aspiracje niemieckie kosztem posiadłości francuskich. Na wypadek gdyby to Francji nie dogadzało poruszono w Londynie możliwości portugalskie w Angoli, oraz belgijskie w Kongo.

Tutaj zabrali głos bezpośrednio Niemcy. Z całą premedytacją urzędowa publikacja niemiecka oświadczyła, że Niemcy gotowi by oszczędzić Anglii zwrotu innych swych dawnych kolonij, jeżeliby Francja ustąpiła im Kamerun oraz swoje Kongo. Taką interwencją Berlin dolewał oliwy do ognia zarysowującej się rozterki kolonialnej anglo-francuskiej, bo oszczędzając interesy Anglii oddziaływał w kierunku odosobnienia Francji. Taktyka ta pozostawała w zgodzie z równoczesnym staraniem o utrzymanie solidarności z Italią, bowiem Włochy również bardziej są skłonne do ugody z Anglią niż z Francją.

Misja v. Ribbentropa w Rzymie, podobnie jak w maju Hitlera, nie osiągnęła aprobaty Mussoliniego w tym heroicznym zasięgu, który poprzednio miał przeprowadzić v. Papen, jako ambasador w Angorze, obecnie zaś wdrożył min. Funk, podczas

swej podróży wschodniej. Zbyt ryzykowną wydała się Włochom ta perspektywa ze stanowiska ich niepodległości wobec Niemiec. Stanęło na kompromisie, który miał kontynuować politykę przyciągania Anglii do osi rzymsko-berlińskiej drogą na Rzym, odosobnić Francję i zmusić ją do poważnych ustępstw kolonialnych, a zarazem ułatwić również Włochom pewien nacisk na Londyn podczas ratyfikacji ugody włosko-angielskiej. Chodziło o to, ażeby w zamian za wycofanie z Hiszpanii włoskich wojsk posiłkowych, mocarstwa zachodnie zechciały przyznać generałowi Franco prawa strony wojującej, wśród których najważniejszym jest jawny zakup i dostawa materiału wojennego. Chodziło też o zniżkę opłat za przejazd przez Kanał Suezki do Abisynii, względnie nawet umiędzynarodowienie ekonomiczne i polityczne tegoż Kanału.

Wszystko to jednak miało być zdobywane na mocarstwach zachodnich przez oś rzymsko-berlińską przy równoczesnej równowadze wpływu Niemiec i Włoch w basenie Dunaju. Dlatego Mussolini nie zrzekł się swej opieki nad Węgrami na rzecz bloku niemiecko-węgiersko-czeskosłowackiego; chociaż wtedy by Węgry mogły otrzymać łatwo Ruś Zakarpacką a nawet Słowaczyznę i nawet coś z Siedmiogrodu; o ile by się zechciały zhitleryzować i służyć Niemcom za pomost dla dalszego przenikania do Rumunii i Bułgarii. Odnośny balon próbny pojawił się w prasie obok zgodnej z jego tendencją wieści, iż Bułgaria wystąpiła z pretensją do rumuńskiej Dobrudży. Oczywiście wieść ta oddziałała tym samym hamująco na Rumunię, która miała otrzymać skrawek Rusi Zakarpackiej w zamian za granicę polsko-węgierską.

Rzeczą zresztą najważniejszą i rozstrzygającą było, iż w Rzymie nie zgodzono się ograniczyć wpływ Italii na Bałkanie do samej tylko Jugosławii i Albanii. W konsekwencji spór o nową granicę węgiersko-słowacką został rozstrzygnięty według linii kompromisu między racją stanu Węgier, od Niemiec niezawisłych, a ciążących ku blokowi z Polską, Rumunią, Jugosławią i Włochami, z drugiej zaś strony racją stanu Niemiec, reprezentowaną przez nową Czechosłowację. Ta linia kompromisu wypadła więc inaczej niż sobie życzył ktokolwiek z zainteresowanych oprócz Berlina i Pragi; inaczej również niźli to proponował w Warszawie poseł Sidor z ramienia Słowaczyzny, pragnący odłączyć się od Czech i oprzeć o Polskę. Arbitraż wiedeński przyznał Węgrom prawie wszystko czego żądali tj. szeroki pas ziemi, z milionem ludności wzdłuż całej granicy północnej, z kilku dużymi miastami, ale z wyłączeniem północnego, karpackiego podgórza Rusi.

Stało się tak specjalnie w tym celu, ażeby Węgier nie dopuścić do granicy z Polską. Przy Czechosłowacji przemocą zatrzymano skrawek terytorium, wbrew wszelkiej logice geopolitycznej i komunikacyjnej, oraz wbrew interesom i woli jego ludności. Natychmiast też przeszła ona do uporczywego zbrojnego powstania przeciwko czeskiej okupacji. Ponieważ zaś takie roz-

strzygnięcie było jaskrawą ilustracją przemożnego wpływu Niemiec na los narodów byłej Czechosłowacji, przeto również i w swoim stosunku wzajemnym, oraz ustroju wewnętrznym poczęły się one przystosowywać do nowej sytuacji. Zarówno ze strony Czechów jak Słowaków ujawniła się dążność do pozyskania względów i protekcji niemieckiej. Wszak Czesi zawdzięczali jej ów nieszczęny skrawek Rusi, a poza tym wszelkie gospodarcze i polityczne możliwości dalszej ich egzystencji zawisły od posłuszeństwa i posługiwania Niemcom. W tym przeto celu dokonali Czesi wyraźnego zwrotu w swej polityce wewnętrznej, rozwiązując partię komunistyczną, wdrażając kurs antysemicki, oraz ewoluując ustrojowo od wielo partyjnej parlamentarnej demokracji do dwupartyjnego systemu pół autorytatywnego. Wobec własnej bezpośredniej przeszłości opinia czeska ustosunkowała się aż tak wrogo, że obalono i zniszczono w uniwersytecie posąg uwielbianego za życia prezydenta Masaryka.

Słowacy posunęli się jeszcze dalej, bo w oparciu o Niemcy mieli więcej do zyskania. Przede wszystkim zakres autonomii wobec Pragi, który też zdołali jej narzucić bardzo szeroki. Premier ks. Tiso wygłosił impertynencki pod adresem Czechów wywiad uzasadniając zgodę słowacką na unię z Czechami, wyłącznie tylko tym, że pod zaborem Węgier Słowacy musieliby się zadowolić autonomią znacznie węższą. Istotnie też Słowaczyzna zastrzegła sobie i otrzymała możność przyjęcia dla siebie ustroju wewnętrznego faszystowskiego monopartyjnego, poza tym fasadowo-korporacyjnego i katolickiego. Równocześnie narodowo-socjalistyczny *gauleiter* Niemców na Słowaczyźnie stał się dla rządu ks. Tiso rodzajem Stackelberga przy Stanisławie Auguście. Jego wpływ okazał się wkrótce tak wielki, że doprowadził do próby zamachu słowackiego przeciwko przyznanym już i właśnie wypełnianym ustępstwom dla Polski na Spiszu i Orawie.

Pozostałe strony zainteresowane, a więc w pierwszym rzędzie Węgry, w drugim Polska, Rumunia, Jugosławia, Włochy akceptowały wiedeńskie rozstrzygnięcie na Rusi jedynie jako prowizoryczne. Węgry podtrzymywały powstanie ruskie, wszyscy zaś oczekiwali na dalszą ewolucję układu sił wielkomocarstwowych, w szczególności na wzmocnienie pozycji Włoch przez układ z Anglią. Jakoż istotnie po wycofaniu 10 tysięcy wojsk włoskich z Hiszpanii układ ten został ratyfikowany, przeto formalnie wszedł w życie. Zarówno w Rzymie, jak w Rumunii i Jugosławii liczono, że zgodnie z polityczną tendencją tego układu, Anglia zechce teraz zaangażować się śmielej we współpracę gospodarczo-polityczną z Bukaresztem i Białogrodem. Tym samym skrzyżowałaby uprzednią w tym kierunku inicjatywę niemiecką ministra Funka i dopomogłaby przy montażu nowego antyniemieckiego bloku dunajsko-bałkańskiego. Z tą perspektywą wiązały się zamiary odwiedzin w Londynie ze strony króla Karola II

oraz regenta ks. Pawła. Doszły one istotnie do skutku, wszakże w warunkach innych niż przewidywano, ponownie pogorszonych przez nowe a nieprzewidziane komplikacje.

Wynurzyły się one częściowo ze strony Niemiec, które nie dopuściwszy do granicy polsko-węgierskiej starały się kuć żelazo póki gorące i podjęły nacisk przeciwko Rumunii. Politycznie, jak już wspominaliśmy, wychodził on z Sofii i kierował się przede wszystkim przeciwko rumuńskiej Dobrudży, drugorzędnie zaś także przeciwko serbskiej Macedonii, oraz greckiemu pobrzeżu Morza Egejskiego. Ekonomicznie przybrał ów nacisk niemiecki na Rumunię postać dość zuchwałych i wygórowanych propozycyj przedstawionych w Bukareszcie przez niemiecką delegację do układów handlowych. Onieśmielało to Rumunię i tym bardziej skłaniało do śpiesznego poszukiwania przeciwwagi od strony układu anglo-włoskiego.

Układ ten natrafił z kolei na pewne komplikacje, pomimo iż był w danych okolicznościach pożądany zarówno dla Włoch jak dla Anglii. Dla Włoch w celu wzmocnienia oporu przeciwko niemieckiej ekspansji na Bałtyku, dla Anglii w celu wzmocnienia jej pozycji wobec kolonialnych aspiracyj Niemiec, względnie odwrócenia ich na koszt Francji. Ponadto dla obu mocarstw zachodnich, Anglii i Francji, układ anglo-włoski stawał się naglącym także ze względu na Daleki Wschód.

W okresie podróży Ribbentroppa do Rzymu, alarm kolonialny na zachodzie miał swą przyczynę nie tylko w groźnych dlań niemieckich dążeniach na Wschodzie Bliskim, lecz także z powodu krytycznej sytuacji nad Pacyfikiem. Ośmieleni długotrwałym, wciąż beznadziejnym związaniem Anglii i Francji w Europie, Japończycy odważyli się uderzyć na Kanton. Zdobyli go nadspodziewanie łatwo, zamknęli dostawę amunicji do Hankou i wkrótce potem, również bez większego wysiłku zdobyli także tę ostatnią twierdzę i stolicę Chin. Usadowienie się Japończyków w Kantonie oznaczało trwałe zamknięcie całego handlu angielskiego z Chinami przez Hongkong, oraz niemniej trwałe zagrożenie sąsiedniego francuskiego Tonkinu. Mocarstwa zachodnie nie dały wprawdzie za wygraną i energicznie poczęły organizować kontrofensywę. Jednak jej skuteczność zawisła w wielkiej mierze od tego czy nareszcie floty brytyjska i francuska będą mogły wyruszyć na Daleki Wschód. To znów z kolei zawisło od układu anglo-włoskiego.

Opłaciłby się on Anglii nawet pomimo dodatkowych koncesyj, jakich domagały się Włochy, w uznaniu Franca za stronę wojującą, oraz zniżce opłat na Kanale Suezkim. Wiązała się z tym układem, ze strony Włoch, jedna jeszcze perspektywa, wyjątkowo drażliwa. Oto Włochy zmierzały do przeciwstawienia się przy pomocy Anglii niemieckiemu naporowi na Bałkan, do poparcia zatem bloku przeciwniemieckiego Jugosławii, Rumunii

oraz Węgier, które by wtedy mogły zrealizować swoją granicę z Polską. Ale równocześnie Włochy zamierzały utrzymać swoją „oś" z Berlinem, udzielając mu satysfakcji kolonialnej na koszt Francji.

Rachuba taka mogła odpowiadać Italii a nawet W. Brytanii, natomiast Niemcom groziła barykadą nad Dunajem, Francji zaś utratą Kamerunu i Konga. Stąd wyłoniła się dość nieoczekiwana skłonność do wzajemnej asekuracji francusko-niemieckiej, która przybrała wkrótce postać odpowiedniej deklaracji pacyfistycznej, czy paktu nieagresji. Inicjatywa w tym kierunku była pierwotnie francuska i wiązała się z Monachium, ale pakt został sfinalizowany z przewagą inicjatywy niemieckiej. Stało się tak na skutek coraz większego pogmatwania sytuacji przez inne jeszcze czynniki.

Pakt anglo-włoski jako fakt dokonany, pakt zaś francusko-niemiecki, jako fakt zamierzony, przeciwstawiały się nawzajem i równoważyły, sprowadzając układ sił do martwego punktu. W tym momencie na widownię wystąpił czynnik nieobliczalny. Młody żyd zastrzelił w Paryżu młodego niemieckiego dyplomatę. Trzecia Rzesza zareagowała gwałtownym paroksyzmem antysemickim. Sprowokowała nim potężne wpływy żydowskie i uczucia filosemickie w Stanach Zjednoczonych. Prezydent Roosevelt zagrożony i skrępowany prokapitalistyczną i pacyfistyczną reakcją republikańską (która odniosła sukces przy wyborach do kongresu), już od dość dawna starał się umocnić swoją pozycję pozyskując sobie Żydów. Opinia amerykańska bardzo żywo się poruszyła w obronie Żydów po nowej przeciwko nim ofensywie niemieckiej, tak iż Roosevelt mógł tej opinii dogodzić odwołując ambasadora w Berlinie.

Nastrój ten został skwapliwie podchwycony w Anglii, mógł on okazać się doniosłym i użytecznym, szczególnie w skojarzeniu z krytyczną także dla Ameryki sytuacją nad Pacyfikiem, ściślej w Kantonie. Gdyby Ameryka dała się pozyskać dla poparcia Anglii, Francji i Włoch przeciwko Niemcom, to można by je odosobnić i unieszkodliwić zarówno w Europie, jak na gruncie kolonialnym. Równocześnie z mocy układu anglo-włoskiego floty brytyjska i francuska mogłyby wyruszyć na Daleki Wschód, ażeby tam wespół z flotą amerykańską oswobodzić Kanton, a może w ogóle Chiny z pod przewagi japońskiej. Horoskop ten wydawał się tym realniejszy, że bardzo odpowiadał amerykańskiej racji stanu na Dalekim Wschodzie.

Został jednak zmącony naprzód przez samą naturę rzeczy. Odsiecz dla Żydów niemieckich wymagała oddania im jakichś obszarów kolonialnych oraz wielkiego nakładu finansowego. Jednemu i drugiemu przeciwstawiła się stanowczo patriotyczna opinia wszystkich trzech wielkich demokracyj, wywołując odpowiednie deklaracje rządów. Tym samym sprawa żydowska utknęła

na martwym punkcie, anglosaski zaś do niej entuzjazm osłabł. Republikanie w Ameryce znów poczęli odzyskiwać szanse przeciwstawienia się dalekosiężnym porywom prezydenta nie tylko w materii społeczno-ustrojowej, lecz i międzynarodowej.

Równocześnie wyłoniła się jedna jeszcze i może najważniejsza komplikacja — wewnętrznej polityki francuskiej. Po Monachium polityka ta weszła w okres coraz ostrzejszego przesilenia. Rozwinęło się ono z jednej strony na tle klęski i zagrożenia międzynarodowego, z drugiej zaś na tle gospodarczych konsekwencyj tejże klęski oraz poprzedniej, niefortunnej polityki społeczno-gospodarczej „frontu ludowego". Zły stan ekonomiczny spowodowany połowicznością i demagogią jej poczynań, skrzyżował się w ciągu lata z nowymi potężnymi obciążeniami, jakich dostarczyły koszta mobilizacji wojsk w okresie monachijskim, oraz konieczność nowych zbrojeń, ujawniona w samym fakcie klęski monachijskiej. Podołać tym zadaniom w tych warunkach nie można było żadną metodą kompromisową lawirującą pomiędzy kapitalizmem, a poczynaniami odmiennego typu, zmieniającymi ustrój. Ponieważ na takiej właśnie linii utrzymywała się stale polityka społeczno-gospodarcza rządu frontu ludowego, przeto należało ją porzucić i przejść albo na prawo, albo na lewo, albo do kapitalizmu, albo do gospodarki, kierowanej w stylu totalnym. Droga bowiem integralnego korporacjonizmu chrześcijańskiego dotąd nie jest na Zachodzie znana.

Postawiony w takiej sytuacji premier Daladier zdecydował się na zwrot w kierunku prawicowym, prokapitalistycznym. W konsekwencji musiał zerwać front ludowy, czyli wyłączyć zeń komunistów. Dążył ku temu już dawno, krok zaś decydujący wykonał na kongresie radykałów w Marsylii. Motyw był zaczerpnięty raczej z polityki zagranicznej: że mianowicie komuniści są ekspozyturą Moskwy, że głosowali w parlamencie sami jedni przeciwko układowi w Monachium i że nadal sabotują zbliżenie francusko-niemieckie, które by rząd pragnął z monachijskiego punktu rozwinąć, przy równoczesnej rewizji całego systemu swych europejskich zobowiązań.

Komuniści odpowiedzieli na to bardzo rewolucyjnie: pożarem szeregu wielkich gmachów w Marsylii, w sąsiedztwie miejsca kongresu radykałów. Zginęło przy tym pareset Bogu ducha winnych osób ze „świata pracy", ale efekt terrorystyczny tego „posunięcia" nie pozostał bez wrażenia na determinacje stronnictwa radykalnego. Sam premier sterroryzować się nie dał. Zmienił nawet ministra finansów, ponieważ dotychczasowy (Marchandeau) zamierzał radykalizować politykę gospodarczą raczej w duchu totalnie lewicowym. Jego następca, Reynaud przyjął prawicowy program premiera i ogłosił 35 dekretów, które wdrożyły 3-letni plan sanacji gospodarczej oraz dozbrojenia Francji. Obok redukcji budżetu, nowych ciężarów podatkowych, zwyżki cen monopolo-

wych, punktem ciężkości tego planu stało się zawieszenie zdobyczy socjalnych frontu ludowego, w szczególności powrót do dłuższego czasu pracy w fabrykach.

„Trzylatka" Daladier — Reynaud nikomu się nie podobała, bo szafowała ostrzeżeniami na prawo i na lewo. Jednak na prawicy przyjęto ją o tyle sympatycznie, o ile miała ostrze zwrócone głównie przeciwko komunie. Poczęto nawet sugerować rządowi rozwiązanie kompartii. Lewica natomiast przyjęła wyzwanie. Na kongresie w Nantes, związek związków zawodowych *(Confédération Générale du Travail)* uchwalił walkę, ofensywę strajkową. Przyjął to wyzwanie z kolei rząd, który tym razem postanowił zwalczyć terror strajkowy militaryzacją przedsiębiorstw, oraz policyjnym usuwaniem robotników okupujących fabryki. W chwili gdy piszę zwycięża rząd i będzie mógł zaryzykować rozwiązanie partii komunistycznej, wzmacniając tym samym autorytet władzy w ustroju państwa. Jednakże w tym celu musiałby przetrwać ze stoicyzmem rozłam w łonie własnego radykalnego stronnictwa, którego połowa psychicznie nie wytrzymuje kursu silnej ręki, chwieje się i gotowa uciekać z pod znaku Daladiera.

Wracając do polityki międzynarodowej stwierdzić należy, że mocną stroną pozycji lewicowej jest opozycja przeciwko Monachium, oraz kursowi zbliżenia do Niemiec. Nastrój ten wzmocnił się i skojarzył z podobnymi odruchami w Anglii na skutek niemieckiej hecy przeciwżydowskiej. Przy tej okazji splątał się z niechęcią do ustępstw kolonialnych, czy to na rzecz Niemców, czy Żydów. Ponieważ zaś oba mocarstwa centralne mniej lub więcej przyczyniły się do aktualizacji sprawy kolonialnej, więc prąd opinii lewicowej, zawsze wrogi obu totalizmom prawicowym, tym łatwiej się zwraca przeciwko nim także w chwili obecnej.

Rządy mocarstw zachodnich „znalazły się w kropce" i po prostu nie wiedzą co dalej począć. Zapowiedziano przyjazd Chamberlaina i Halifaxa do Paryża na wielką konferencję, po części dla omówienia sprawy najmniej spornej planu technicznego wspólnych zbrojeń, przede wszystkim jednak spraw jak najbardziej spornych: przyszłego ustosunkowania się e n t e n t y anglo-francuskiej do mocarstw osi rzymsko-berlińskiej. Odnośne pytania obejmują prawie wszystko i mogłyby brzmieć: kto, z kim, przeciw komu? Albo może wszyscy razem, czyli pakt czterech?

Ministrowie angielscy przybyli do Paryża w gorącym okresie zaburzeń strajkowych przeciwko dekretom Daladiera, a na krótko przed zapowiedzianą wizytą v. Ribbentropa w trakcie podpisania niemiecko-francuskiej deklaracji pokojowej. Deklaracja ta stała się szczególnie prowokującą dla lewicy zarówno francuskiej jak angielskiej, po niemieckiej awanturze z Żydami, oraz rozszerzeniu kwestii kolonialnej, oprócz na rzecz Niemiec, także

i dla Żydów. Niemcy z tą deklaracją pośpieszyli dlatego w tym właśnie momencie, ażeby taktycznie rozbić niebezpieczeństwo oparcia ententy o Amerykę, a nawet Stresy, co zdawało się zagrażać na tle filosemickiego poruszenia międzynarodowego. Wizyta angielska zapowiedziana przed pogromem niemiecko-żydowskim, a zrealizowana po nim, miała przed sobą teren dla decyzyj szczególnie zagmatwany. To też wynik wizyty okazał się wybitnie negatywny. Oba rządy ponowiły zapewnienia, że kolonij nikomu nie dadzą, stwierdziły, że z Niemcami teraz porozumiewać się gruntowniej trudno, a na dobitkę jeszcze Francja sprzeciwiała się przyznaniu praw strony wojującej gen. Franco, czym zakwestionowała układ anglo-włoski. Daladier uczynił to ze względu na nałóg czerwonej sympatii u swoich radykałów, nie chcąc ułatwiać lewicy oskarżeń o „reakcję". Lewica angielska również oponuje przeciwko układowi anglo-włoskiemu, oraz ustępstwom dla faszyzmu. Rzym jest oczywiście wściekły, zwłaszcza z powodu Hiszpanii. Z odmętu zachodniej anarchiii myśli i uczuć, ponad którą dominuje wyraźnie tylko egoizm kolonialny, wynurzają się więc znów „formacje ideologiczne": demokratycznej ententy przeciwko totalistycznej osi rzymsko-berlińskiej.

Logiczną konsekwencją do której taka postawa prowadzi musiałaby się stać powszechna wojna lewicy z prawicą, liberalizmów i marksizmów z faszyzmami. Innymi słowy walka wszystkich przeciwko wszystkim, gigantyczna, chaotyczna i beznadziejna rzeź w stylu hiszpańskim, a skali światowej. Wynik socjologiczny wyraziłby się w wymordowaniu połowy mieszkańców przeludnionej Europy, oraz usunięciu w ten sposób palącej konieczności ekspansji, z której się rodzą rewizje granic i kwestia kolonialna. Kosztowałoby to jednak nie tylko wiele milionów żywotów ludzkich, lecz spowodowałoby również uwstecznienie cywilizacyjne na poziom moskiewskiej dyktatury proletariatu albo jeszcze niżej. Niestety, jedynym rozwiązaniem bardziej pozytywnym mogłaby się stać tylko odbudowa Stresy, czyli rozbicie osi rzymsko-berlińskiej i odosobnienie Niemiec przez przyjęcie Włoch do nowego podziału Afryki wspólnym kosztem Anglii i Francji. To wszakże rozwiązanie przewyższa bezwarunkowo poziom mentalności, moralności oraz instynktu politycznego mas demokratycznych na Zachodzie.

Trudno się zresztą dziwić masom skoro nawet czołowa publicystyka francuska umie brać za dobrą monetę każdy demagogiczny frazes Hitlera lub Mussoliniego i święcie wierzy, że obaj ci mężowie działają w idylicznej zgodzie, przejęci płomiennym ideowym zapałem szerzenia narodowo-totalistycznej międzynarodówki na całym globie. Anarchii i bezwładowi politycznemu Zachodu, który tak dobitny wyraz znalazł w Monachium, towa-

rzyszą zastraszające objawy zaćmienia umysłowego na tle rozbestwionych przez liberalizm „idei" społecznych.

Jeszcze przed paryską wizytą Chamberlaina i Halifaxa bawił w Londynie Karol II, a zaraz potem Paweł jugosłowiański. Spodziewanej protekcji król Rumunów nie mógł w tych okolicznościach osiągnąć. Odpowiedź otrzymał nijaką, ponieważ sam Londyn wie obecnie tylko tyle, że nie chce dać kolonij, a poza tym nie wie do czego dążyć i wszystkiego się boi. Bawił także król Karol w Paryżu, ale i tam wynik osiągnął na tyle niewyraźny, że postanowił odwiedzić Hitlera, by spróbować z nim targu. Najrozsądniej brzmi wiadomość o zamierzonym zjeździe królów bałkańskich, która zapewne pochodzi z inicjatywy miejscowej, a zmierzałaby do dobrowolnych ustępstw wszystkich trzech sąsiadów na rzecz Bułgarii. Gdyby to zrealizowano to nareszcie Bałkan mógłby przestać być „zbałkanizowanym" i uzyskać samoistną powagę polityczną.

System *fara da se* w nieco inny sposób uprawia również Polska. Jej stosunek do Niemiec w ub. miesiącu stopniowo wychodził z powijaków poprzedniej fałszywie przyjacielskiej idylli i ewoluował opozycyjnie. Pojawiły się poważne punkty sporu: granica polsko-węgierska oraz kwestia Litwy. Wywiad p. min. Becka zaprzeczył balonowi próbnemu o możliwości takich układów kompensacyjnie podziałowych dotyczących Gdańska, Kłajpedy i Litwy. Ze strony Litwy nastąpił wyraźny krok pojednawczy w rozwiązaniu związku wyzwolenia Wilna.

Potem w Warszawie ogłoszono komunikat o manifestacji polsko-moskiewskiej w postaci urzędowego potwierdzenia obowiązującego paktu nieagresji. Oznacza to w danych okolicznościach co najmniej wolną rękę dla Polski na Litwie. Zwrot ten może za sobą pociągnąć rozległe następstwa także na szerokiej widowni międzynarodowej.

Andrzej Pawdzic.

Errata. W zeszycie listopadowym, w tytule **Sprawy Państwa** błędnie wydrukowano „blok polsko-niemiecko-węgierski". Powinno być: blok polsko-rumuńsko-węgierski.

Ze świata filmu.

Towarzystwo Rozwoju Filmu Polskiego. — „Odprawa" dla producentów u nacz. Relidzyńskiego. — Trzy nowe filmy polskie. — Przegląd repertuaru. — Największe sukcesy. — Film rysunkowy i film fotograficzny.

Wydarzeniem najważniejszym minionego miesiąca jest powstanie Towarzystwa Rozwoju Filmu Polskiego. Przez jego założenie po raz pierwszy w życiu polskiej kinematografii zjawia się czynnik, który na plan pierwszy wysuwa nie cele doraźnych zysków, ale rzetelną, systematyczną pracę nad unarodowieniem filmu i podniesieniem poziomu artystycznego polskiej produkcji.

Utworzenie zrzeszenia ludzi, mających ambicje zreformowania obecnego stanu rzeczy było jak najpilniejszą koniecznością. Ciesząc się z powstania Tow. Rozw. Filmu Pol., należy się raczej dziwić, że powstaje ono dopiero teraz, że tak późno uświadomiono sobie, jak doniosły wpływ ma film na społeczeństwo i jaką lekkomyślnością jest pozostawienie tego wpływu w rękach ludzi obcych nam wyznaniowo, narodowo i kulturalnie. Kontrola cenzury nigdy nie wyczerpuje sprawy, ponieważ cenzura działa mechanicznie, obcina to, co przekracza prawnie dozwoloną granicę, nie może jednak ani zmienić ducha filmu, ani też spolszczyć producenta, lub skłonić do produkowania filmów wartościowych artystycznie i reprezentujących pozytywne wartości społeczne. To też u progu pracy Towarzystwa trzeba zdać sobie zprawę z ogromu zaniedbań, z zaległości powstałych przez 20 lat istnienia filmu w niepodległej Polsce i tym energiczniej zabrać się do pracy.

Zebranie organizacyjne T. R. F. P. odbyło się w dniu 14 listopada br. w lokalu Kasyna Garnizonowego w Al. Ujazdowskich w Warszawie. Pierwsze plenarne posiedzenie poświęcono całkowicie przyjęciu statutu i ukonstytuowaniu się Towarzystwa. Cele T. R. F. P. określa statut jako „pogłębienie znajomości spraw filmowych w Polsce: rozwój kinematografii polskiej, w szczególności zaś stworzenie dla polskiej produkcji filmowej warunków pracy, umożliwiających jej spełnienie zadań artystycznych, kulturalnych, wychowawczych, narodowych i państwowych, ciążących na współczesnej kinematografii, tudzież czuwanie nad wychowawczo-narodową wartością wyświetlanych w Polsce filmów". Podane w statucie cele Towarzystwo będzie realizować przez a) badanie istniejącego stanu rzeczy na terenie przemysłu

i sztuki filmowej w Polsce, b) opracowywanie wniosków, projektów i środków zaradczych i porozumiewanie się z właściwymi urzędami i instytucjami, c) inicjowanie i opiniowanie projektów ustawodawczych, dotyczących spraw filmowych w Polsce, d) organizowanie i popieranie odpowiednich instytucyj i przedsiębiorstw z różnych dziedzin kinematografii, e) tworzenie i rozwijanie szkolnictwa filmowego, wydawanie dzieł i czasopism z dziedziny kinematografii, f) organizowanie fachowych sekcyj Tow. i zakładanie oddziałów Tow. w ośrodkach prowincjonalnych, zwoływanie zjazdów, poświęconych sprawom filmowym, popularyzowanie swej pracy, nawiązywanie i utrzymywanie stosunków z pokrewnymi towarzystwami i instytucjami zagranicznymi.

Charakterystyczne jest sformułowanie 7 paragrafu statutu, mówiącego, iż „członkiem zwyczajnym Towarzystwa może być Polak, obywatel polski, którego dotychczasowa działalność odpowiada zadaniom Towarzystwa". Ten warunek wraz z zastrzeżeniem, że członkiem można zostać tylko przez zaproszenie kandydata przez Zarząd Główny, zapewnia właściwy dobór ludzi.

Wybory do władz Towarzystwa, przeprowadzone na zebraniu organizacyjnym dały następujące wyniki: na prezesa zaproszono jednomyślnie p. J. Dębskiego, na członków zaś wybrano — również przez aklamację — T. Katelbacha, St. Kauzika, J. Pohoskiego, A. Grzymałę-Siedleckiego, T. Żenczykowskiego, A. Ruszkowskiego, J. Rembielińskiego, St. Dękierowskiego, Wł. Zawistowskiego, J. Rakowskiego. W skład Rady Programowej weszli: A. Cwojdziński, dyr. Chamiec, Hejnosz, R. Gantkowski, ks. E. Kosibowicz, K. Koźmiński, J. Marszałek, St. Miłaszewski, ks. Mościcki, min. Pieracki, płk Ryziński, dyr J. Stemler, Al. Wdziękoński, M. Wierusz-Kowalski.

Dla usprawnienia prac Towarzystwa powołano sześć sekcyj: programową — z dyr. T. Katelbachem na czele; gospodarczą — z dyr. K. Czernym, jako kierownikiem, artystyczną — pod przewodnictwem T. Dołęgi-Mostowicza, techniczną z przew.: dyr. St. Dękierowskim, prasową — przew.: mjr Lepecki, kinofikacyjną — przew.: dyr W. Adamiecki.

Z powstaniem Tow. Rozw. Filmu Pol. zbiegł się drugi fakt, który wywołał duże wrażenie w sferach filmowych. Mianowicie surowa ocena ze strony krytyki niezależnej kilku ostatnich filmów polskich (o których pisał już *Przegląd Powszechny* w poprzednim numerze), podkreślenie ich niskiego poziomu etycznego, ponurości nastrojów, rozkładowego działania amoralnej treści — co doprowadziło do interwencji Min. Spraw Wewn. Nacz. Relidzyński, stojący na czele cenzury filmowej, zaprosił producentów krajowych na konferencję, na której zażądał zmiany tematyki, troski o pozytywne oddziaływanie filmu i przestrzeganie właściwej postawy etycznej w treści realizowanych obrazów, zapowiadając zarazem, iż nie cofnie się przed niedopuszczeniem

do wyświetlania filmów, nie spełniających w należyty sposób tych wymagań.

Obydwa wydarzenia są zapowiedzią zmian w naszej kinematografii. O ile T. R. F. P. prowadzić ma pracę od podstaw, o tyle właściwie pojmowana cenzura filmowa może do czasu uzdrowienia stosunków likwidować zło doraźnie i usuwać znaczną część jego skutków.

Charakterystyczną ilustracją stanu rzeczy w polskim filmie są trzy nowe obrazy krajowej produkcji, jakie ukazały się ostatnio na warszawskich zeroekranach: *Florian* (wedł. Rodziewiczówny), *Granica* i *Strachy*. Tu od razu na wstępie należy stwierdzić poprawę ilościową. W chwili druku poprzedniego numeru *Przeglądu* na ekranach w Warszawie znajdowało się pięć filmów krajowych, dziś również mamy pięć, (*Florian, Granica, Strachy, Profesor Wilczur, Gehenna*) a właściwie sześć, bo lada dzień odbędzie się premiera komedii *Zapomniana melodia* w kinie „Pan". Jeżeli dodać, że filmy krajowe cieszą się u nas zdecydowanym powodzeniem, tak, iż nawet biura amerykańskie zaczynają się wyraźnie uskarżać na zmniejszenie obrotu, nie będziemy się dziwić, czemu chętnie zwraca się ku produkcji filmowej kapitał żydowski, a dziwić się będziemy tym bardziej, czemu od niej stroni kapitał polski, nawet i wyrobiony narodowo, silny gospodarczo, kapitał przemysłu i rolnictwa poznańskiego? Zdaje się, że przyczyna leży tu przede wszystkim w braku uświadomienia, w pewnej sekretności branży filmowej, w obawie przed ryzykiem na nieznanym terenie. Sądzę jednak, iż w razie znalezienia się zasługujących na zaufanie fachowców-Polaków można by zdobyć środki na prawdziwie polską produkcję. Przed T. R. F. P. otwiera się wdzięczne zadanie stworzenia nie jednego, ale kilku takich zespołów filmowych.

Sprawozdanie z trzech ostatnich, wspomnianych już wyżej, premier polskich, jest zadaniem o wiele przyjemniejszym, niż to samo zadanie przed miesiącem. Aczkolwiek każdemu z tych obrazów da się sporo zarzucić, w każdym jednak znajdzie się i co pochwalić: w *Florianie* — sympatyczny temat, w *Strachach* — artystyczną fotografię i ambicję oryginalności formy, w *Granicy* — wysoki poziom reżyserii i techniki.

Florian... Historia walki o kościelny dzwon, tym własnie ochrzczony imieniem, zdejmowany nocą przez wiejskich chłopców dla ocalenia go przed rekwizycją rosyjską, a później i niemiecką. Dziecinne zabawy w Indian, nieoczekiwanie przemienione w prawdziwą wojnę, bohaterstwo udane przeradzające się w prawdziwą ofiarę, jednym krokiem przebyta odległość między drewnianą szablą a żołnierskim karabinem... Trzy wymowne etapy: chłopięca psota i chłopięcy animusz, rzekomi Indianie, obrona dzwonu, legiony... Niewątpliwie *Florian* mógł stać się w filmie tym, czym stała się w teatrze *Gałązka rozmarynu* Zygmunta Nowakowskiego —

popularną, a jednak artystyczną, bezpretensjonalną, prostą, a wzruszającą opowieścią o tych wszystkich na wpół jeszcze dzieciakach, z których w zaraniu niepodległości powstały legiony, bajończycy, murmańczycy, i na koniec pierwsza kadra polskiej armii. Nieudała reżyseria, tania ckliwość, liczne gaffy, zniszczyły tę piękną szansę, powstała jednak wymowa samego tematu. Film, który tak łatwo mógł być filmem dobrym, bal porywającym, jest kiczem nudnym i płaskim. Chaotyczny scenariusz, słaba gra, groteskowa chwilami inscenizacja (scena gdy chłopcy deklamują, iż są młodą Polską wypada wręcz przykro przez nienaturalny patos, ośmieszający całe ówczesne pokolenie, które jak gdyby nie potrafiło nikogo wydać ku obronie ojczyzny, poza tą garstką wiejskich wisusów) dowodzą mocnego antytalentu, który nawet z dramatycznej chwili zdejmowania dzwonu nic nie potrafił wydobyć. Mimo jednak wszystkich tych braków można polecić film dla szkół, dla popularnych przedstawień, jako zawierający pierwiastek patriotyczny, morał krzepiący, przykład bohaterski. I — co też nie do pogardzenia — wolny od różnych pseudonamiętności i pseudo-„drugichmłodości", jakie plączą się w tematyce krajowego filmu.

Odwrotna sytuacja, gdy mowa o *Strachach*: interesująca forma, budząca zastrzeżenia — treść. *Strachy* są pierwszym filmem długometrażowym, a więc mogącym wypełnić normalny program kinowy, zrealizowanym nie przez branżowych speców od kasowych obrazów, ale przez ludzi wychodzących ze środowiska artystycznego, ściślej mówiąc — ze Spółdzielni Autorów Filmowych. Spółdzielnia grupuje tzw. awangardowców, skupiając młode talenty reżyserskie, muzyczne i fotograficzne. Znajdujemy wśród jej członków nazwiska: znanego krótkometrażowca — Eug. Cękalskiego, dalej — K. Szołowskiego, operatora Wohla (żyd), Themersonów (swoiste sympatie skrajnie lewicowe), oraz trzech obiecujących muzyków najmłodszego pokolenia: S. Kisielewskiego, W. Lutosławskiego, A. Panufnika. Ten ostatni właśnie napisał muzykę do *Strachów*, reżyserowanych przez Cękalskiego i Szołowskiego, a fotografowanych przez Wohla.

Strachy wyraźnie odbiegają od szablonu przeciętnego filmu narratorskiego, starającego się o melodramatyczne sytuacje i tradycyjną w przebiegu akcję erotyczną. Już sama powieść Ukniewskiej, z której powstał film, jest pewnym skrótem, usiłowaniem syntezy życia kulis rewiowego teatrzyku. Film, który w tej skrótowości musiał iść jeszcze dalej, stał się filmem impresjonistycznym, gdzie nie tyle idzie o drobiazgowe oddanie przebiegu wydarzeń, jak o uchwycenie nastroju, stworzenie charakterystycznych epizodów, słowem — o wyrażenie atmosfery, w jakiej bytują z dnia na dzień rewiowe *girls*. Udało się to tylko częściowo: Teresę, bohaterkę *Strachów* widzimy w powieści kolejno na tle trzech teatrzyków — rzecz nie do powtórzenia

w filmie, a jednak powtórzona: stąd rozbicie ciągłości akcji, jednolitości nastroju, a zarazem szczupłości partii filmu, jaką można poświęcić każdemu z tych trzech epizodów życia Teresy. W rezultacie albo powstaje skrót zbyt intensywny, albo też realizatorzy nie mogą widowni narzucić odpowiedniego nastroju. Wiele połączeń i przejść jest niezrozumiałych dla widza, nieznającego książki. Podobnie jak w powieści — najlepiej wypadła jak gdyby osobna nowela — historia tancerza Dubenki i jego opętania przez małomiasteczkowego czarnoksiężnika, choć taniec „diabła" zawiódł oczekiwanie. Dyskretnie również została potraktowana smutna historia Linki, niepotrzebnie zresztą zmieniona w porównaniu z powieścią. Wizja Linki, nawiedzająca majaczącą Teresę, jest sfilmowana subtelnie — scena z gołębiami wypadła pięknie i wzruszająco, natomiast stanowczo przeciągnięta została scena samobójstwa.

Cękalski i Szołowski starali się potraktować dźwięk jako samoistny walor filmu. Słuszny ten stosunek pozwala nieraz usunąć balast zdjęć o treści wyłącznie objaśniającej, zastępując je słowami (np. głośno czytany list), pozwala też wzbogacić skojarzenia widza i ekspresję dramatyczną (scena w samochodzie na tle podkładu ostrzegawczych słów), zasadniczym jednak warunkiem takiej inowacji, zaskakującej widza przeciętnego, jest nienaganne bez zarzutu i idealna doskonałość aparatury, której właśnie brakło przy filmowaniu *Strachów*.

Obsada aktorska na ogół staranna. Dobry jest Węgrzyn (Dubenko), Woszczerowicz, nieoczekiwanie sympatyczny — Bodo, natomiast słabo wypadła odtwórczyni roli tytułowej, H. Karwowska, częściowo z winy reżysera, który nie potrafił poradzić sobie z surowym aktorsko materiałem.

Przy interesującej, choć nie zawsze udanej formie, treść musi jednak budzić mocne zastrzeżenie. Już z góry nasuwa się pytanie — czy było wskazane i pożyteczne przenosić na ekran powieść, mającą charakter nie tyle samoistnego dzieła sztuki, ile raczej będącą dokumentem obyczajowym, spisanym wprawdzie z autorską pasją, żywo i z dużą trafnością obserwacji, ale dokumentem dość jednostronnym, przykrym i smutnym w swym bilansie moralnym życia girlsy. Jeżeli zaś już zdecydowano przeróbkę filmową — czy należało ją pozostawić tak bez jakiegokolwiek własnego ujęcia, tylko w postaci czystej impresji? *Strachy* Ukniewskiej mają swoje sprawy etyczne, mają zagadnienie obyczajowe losu dziewcząt przenoszonych ze środowiska proletariatu w złudny świat luksusu sceny, a po kilku latach wyrzucanych bądź na bruk, bądź w ramiona leciwego, zamożnego kochanka, co tylko opóźni kolej losu, ale go nie odwróci. W *Strachach* jest dramat bezsensownego zawodu, obciążającego swoim trwaniem sumienie społeczne. Jest też w książce i odzywający się czasem głos sumienia, jest i naturalna tęsknota owych teatrzykowych dziewcząt za własnym do-

mem i własną rodziną, co pozwala czytelnikowi ocenić powierzchowność i błędność egzystencji, opisywanej w sugestywnym reportażu Ukniewskiej. W filmie przysłonięto wprawdzie woalem dyskrecji i niedomówienia wiele scen drastycznych, zagubiono natomiast ukryty, mimo wszystko, w powieści, pewien jej sens moralno-społeczny. Film ograniczył się do impresyjnego faktomontażu, a rezygnując — z konieczności — z soczystych epizodów powieści, z jej drastycznego języka, z jej swoistego klimatu, oddał życie kulis o wiele słabiej, niż książka. Nie osiągnięto więc ani jednego, ani drugiego.

Przy tym nie wolno zapominać, że inaczej działa książka — inaczej film i teatr, dający treści książki żywy kształt. O ile książka jest — obrazem, film jest już — przykładem, dzięki zaś swej masowości nakłada na autorów większą odpowiedzialność społeczną. Z tego punktu widzenia *Strachy* są filmem niepożądanym i należy żałować, że pionierska praca Cękalskiego i Szołowskiego złączyła się z tematem pospolitym, nieprzyjemnym a nawet szkodliwym. Temat też pchnął realizatorów, zapewne mimo ich woli, do kilku zbędnych przejaskrawień (częste sceny rozbierania, trywialność scen miłosnych), bez których film mógł się całkowicie obejść.

Na marginesie *Strachów* trzeba zanotować jedną wręcz skandaliczną sprawę. Oto w powieści występuje postać aferzysty teatralnego, Fensterglassa. Antypatyczny ten żyd stał się przyczyną nieszczęścia Linki: swym szantażem erotycznym, doprowadził ją do samobójstwa. W wersji filmowej Fensterglass został zamieniony na Dwierycza, a że gra go J. Kreczmar, artysta Teatru Polskiego w Warszawie, o wyraźnie aryjskim typie, publiczność sądzi, iż Dwierycz jest Polakiem. W ten sposób — metodą świadomego fałszu — wybiela się żyda, obciąża się Polaka. Ta sprawa stoi już poza granicami antysemityzmu — jest skandalem, na który winno zareagować i społeczeństwo polskie i którego nie powinna była przepuścić cenzura. Przekonujemy się, że Żydzi stosują następującą zasadę: Żyd nie może być pokazany w ujemnym świetle — bo to jest antysemityzm. Polak może być w filmie gwałcicielem, wyzyskiwaczem, szantażystą, złodziejem — wtedy wszystko jest w porządku. Tego rodzaju historia zdarza się nie po raz pierwszy — pamiętamy, jak w filmie „Kobiety na sprzedaż" handlarzy żywym towarem uczyniono aryjczykami, czyli — skoro rzecz dzieje się w Polsce — Polakami, ofiarą zaś ich machinacji — dziewczynę żydowską. Jest metoda w tej bezczelności: metoda szkalowania Polaka i polskości.

Nie posądzam panów: Cękalskiego i Szołowskiego o wprowadzenie tej zmiany z inicjatywy własnej, domyślam się kulisów sprawy. Wyglądają one z pewnością tak: *Strachy* były realizowane częściowo za kapitał żydowski, otóż najprawdopodobniej Żyd

finansujący film, postawił kategoryczny warunek: albo spolszczycie łotra Fensterglassa, albo nie dam pieniędzy. Nie obeszło się też chyba i bez podstaw do przypuszczeń, że film ośmielający się pokazywać ujemną postać żyda, będzie zbojkotowany przez żydowskie kina... Morał z tej oburzającej, potwornej historii, krótki: w przemyśle filmowym prawa dyktuje kapitał żydowski. Dopóki filmu nie przejmie kapitał polski, będziemy bezsilni. Szczególnie, jeśli cenzura będzie pozwalać na stosowanie żydowskiej gry... Urząd cenzury filmów może tłumaczyć się przypadkiem, niedopatrzeniem, nieznajomością powieści. Dziś skandal jest ujawniony i mamy prawo powiedzieć: czekamy! Mamy prawo spodziewać się, iż zohydzanie polskości nie ujdzie płazem.

O wiele wyżej od *Strachów* stoi *Granica,* sfilmowana według powieści Nałkowskiej przez najzdolniejszego z pracujących w Polsce reżyserów — Lejtesa. Brak miejsca nie pozwala na razie omówić obszerniej tego interesującego filmu. Uczynimy to w następnym zeszycie *Przeglądu,* poświęcając mu osobne rozważanie wobec rozwiązania konfiktu etycznego w finale „Granicy", rozwiązania, które charakteryzuje postawę niechrześcijańską dzisiejszej sztuki filmowej. Na razie zaznaczmy tylko wysoki poziom techniczny, dobrą reżyserię, poprawną grę i dynamikę akcji, opartej na zagadnieniu etyczno-filozoficznym, a nie uganiającej się za płaską sensacją. Na całości formy, robiącej tak dodatnie wrażenie jest jedna skaza: niesmaczna scena kąpieli wiejskiej dziewczyny w kuchennej kadzi, czemu przygląda się z upodobaniem pan dziedzic. Reżyser, który potrafił stonować inne drastyczne momenty, mógł z powodzeniem i ten poświęcić.

Repertuar zagraniczny nie przyniósł filmów wyróżniających się świeżością formy, czy też oryginalnością treści, wystarczy więc ująć go w krótkie formuły oceny. Zatem — nie mamy w tym miesiącu filmu zagranicznego, który by nadawał się do rubryki „należy zobaczyć", natomiast będzie ich sporo w rubryce: warto: *Cztery siostry* (film rodzinny wytwórni Warnr Bros, według powieści znanej autorki amerykańskiej — Fannie Hurst), *Więzienie bez krat* (film francuski z uroczą, młodą artystką, Corinne Luchaire. Tendencja humanitarna), *Kobieta, którą kocham* (amerykańska wersja „Załogi" — filmu francuskiego z Annabellą, której rolę gra obecnie Miriam Hopkins. Drugą rolę główną gra głośny aktor żydowski — Paweł Muni, Scenariusz według powieści J. Kessel'a: „L'Equipage"), *Hotel w Tyrolu* (doskonała, sympatyczna, lekka komedia — film rozrywkowy), można zobaczyć: *Podlotek* (nowy film Diany Durbin — słabszy od *Ich stu i ona jedna* i *Pensjonarki*), *Gdy gwiazdy zapłoną* (film rewiowy niemiecki, nakręcony za kulisami Neubabelsbergu, miasta filmowego Ufy), *Szalony chłopak* (opowieść filmowa o powstaniu słynnego jazzu amerykańskiego), *Córka znachora* (niemiecki film z problemem etycz-

nym). Nie warto oglądać: *Tyran, Ultimatum, Wesoły ordynans* (trzy filmy francuskie, z tych ostatni ośmieszający armię, pod względem moralnym — na granicy bezwstydu).

Ciekawe będzie zanotowanie ostatnich największych sukcesów filmowych w Warszawie. Pocieszające jest, że zdobyły je filmy naprawdę interesujące. A więc: *Przygody Robin Hooda, Przygody Tomka Sawyera, Olimpiada, Marco Polo, Profesor Wilczur* — do listy tej przybywa z ostatniego miesiąca: *Królewna Śnieżka* i *Złotowłosa* (wyświetlana 41 dni — przyjemnie tu stwierdzić sukces katolickiego kina Roma).

Śnieżka, której wróżono niebywałe powodzenie, potroszę zawiodła oczekiwania; utrzymała się na ekranie 47 dni, a więc niewiele więcej od *Złotowłosej.* Zasługuje jednak ten obraz, ze względu na swój specjalny charakter, na szczegółowe rozważania, jako rodzaj filmu zupełnie odrębny od normalnego filmu fotograficznego.

Sformułowane w ten sposób rozgraniczenie, choć istotne, nie jest jednak zupełnie ścisłe, bo oczywiście i film rysunkowy również powstaje przy pomocy fotografii, a różnica między nim i kreskówką polega na tym, że w jednym wypadku fotografowane są rysunki, w drugim zaś ludzie (tj. aktorzy) i przedmioty (dekoracje, albo przyroda, czyli tzw. *plener*). Przy zwróceniu uwagi na sposób powstawania każdego z tych dwóch rodzajów filmu widać jasno, że film rysunkowy należy do tej dziedziny kinematografii, której najczystszym wyrazem musi być abstrakcyjna symfonia barw i kształtów, film zaś fotograficzny (zostańmy na razie przy tym wygodnym określeniu) metodą produkcji bliski jest właściwie teatru. Często przecież w krytyce filmowej spotyka się zarzut: oto sfotografowana teatralna scena, a nie film prawdziwy, genezą zaś tego oskarżenia są pewne teoretyczne wymagania, jakie recenzent stawia filmowi i wiara w teorię, upatrującą istotę różnicy między filmem a teatrem w czynniku ruchu i w obfitości *pleneru.*

To zagadnienie wymaga dokładnego rozważenia; tu tkwi punkt wyjścia dla oceny pojawienia się długometrażowej kreskówki, dla sklasyfikowania filmu niemego, dźwiękowca i filmu malarsko-muzycznego. Przede wszystkim więc — kiedy pojawił się pogląd wyznaczający ruchowi zasadniczą rolę w filmie, i jak wówczas ten ruch rozumiano?

Naturalnie, były to jeszcze czasy, kiedy po ekranie snuły się nieme cienie, gwałtownie gestykulujące i szarżujące aktorską mimiką. Aktor, pozbawiony tekstu, z jednej strony musiał wykonywać szereg gestów, informujących widza o spełnianej przez niego czynności, a z drugiej — mógł wyrażać tylko stany emocjonalne. Wskutek tych ograniczeń technicznych, gra aktorów została przeładowana nadmiarem gestykulacji i przesadną zmiennością maski twarzy. Jak wiele tkwiło w tym komicznej prze-

sady, przekonano się, oglądając w programach kin londyńskich wskrzeszone słynne filmy z Rudolfem Valentino, lub choćby na niedawnym pokazie filmu polskiego z r. 1915, z Polą Negri i Węgrzynem w głównych rolach, zorganizowanym z okazji zjazdu *Fipresci* w Warszawie.

Nic dziwnego, że w owym okresie narodziły się i największe powodzenie miały filmy oparte na prostym komizmie sytuacyjnym i na komizmie gestu, jak wyświetlane dziś w archiwach, z łezką sentymentu dla przeszłości, obrazy z Maxem Linderem, pierwsze obrazy z Chaplinem, czy tak niegdyś głośne filmy Harold Lloyda i Buster Keatona. Ponieważ punkt ciężkości przesuwał się w filmie komicznym z gry aktora na sytuację, odpadała wywołana niemotą filmu sztuczność, a sam obraz, widziany na ekranie, dostatecznie wszystko tłumaczył. Wystarczyło, by Chaplin chwiejnymi dłońmi podnosił stos talerzy i by ta piramida chwiała się niebezpiecznie, a już widownia szalała z uciechy. Albo też — by Max Linder w cylindrze, z kwiatkiem w butonierce i laseczką w ręku, zjeżdżał siedzeniem po schodach. We wszystkich tych wypadkach działał stary mechanizm komizmu: widza poruszał śmiech z czyjejś słabości, z czyjegoś poniżenia, na tyle jednak nieszkodliwego, by nie budziło tamującego komizm współczucia.

Z komizmu walącej się wieży porcelany i z komizmu twarzy poczęstowanej pociskiem z hiszpańskiego tortu rozwinęły się sytuacje bardziej wymyślne, złożone już z kilku elementów. Wprawdzie efekt z talerzami pozostał nieśmiertelny i do dziś dnia, jak poczciwy, lubiany wujcio - staruszek, powraca w filmach, ale pamiętne sukcesy zapewniło Harold Lloydowi właśnie pojawienie się g a g ó w. Ponieważ prawdopodobnie nie wszyscy czytelnicy *Przeglądu Powszechnego* znają ten termin, pozwolę sobie objaśnić go przykładem. Oto Harold Lloyd, w jednym ze swych filmów znalazł się w takiej sytuacji: po wielu trudnościach udało mu się namówić na spotkanie wybraną swego serca. Para siedzi na przydrożnej ławce, ustawionej koło jakiejś łączki. Z tyłu pasie się krowa. Harold Lloyd jest wyraźnie onieśmielony pierwszą swą randką. I on i ona siedzą sztywno, sznurując usta. W końcu Harold podnosi z ziemi kamyk i odruchowo zaczyna się nim bawić. Udaje, że na sąsiadkę nie zwraca uwagi. Ale gdy milczenie przedłuża się, zniecierpliwiony kawaler ciska kamyk za siebie i nagle — o cudzie! wybrana rzuca mu się w ramiona. Wszystkiemu winna krowa. Trafiona kamykiem, ryknęła boleśnie i przestraszyła nieśmiałą panienkę. Odruch strachu i szukania opieki mimo woli zbliżył ją do Harolda Lloyda. Szybko jednak odzyskuje równowagę i wraca do poprzedniego, sztywnego zachowania. W tym momencie następuje g a g: Harold, zorientowawszy się w przyczynie przestrachu, nawiązuje rozmowę, pochyla się ku towarzyszce, a jednocześnie, nieznacznie szuka ręką nowego kamyka (poruszenie wśród widzów, uśmiechy). Znalazł, rzuca go

w tył. Krowa ryczy, partnerka znów tuli się do Harolda (uciecha na widowni). — I — *da capo*...

Jakże charakterystyczna jest — na tle wynalazku gagów i niemoty filmu — drewniana maska twarzy Buster Keatona! Komizm sytuacji, komizm gagu uwalniał aktora od przesadnej gry mimicznej, tak, jak równocześnie stała szarża aktora filmowego doprowadzała do równie charakterystycznej pajacowatej, marionetkowej postaci stworzonej przez Chaplina. Charlie Chaplin wyzyskał komizm ówczesnej niedoskonałości gry filmowej i to, co w filmie tego okresu było rzeczą poważną, przeobrażał w groteskę gestu, której pozostał wierny do dziś dnia.

Film komicznych gagów był jedną formą ucieczki od nieszczęsnych serwitutów aktorskich filmu niemego. Drugą formą — była już zupełnie dosłowna u c i e c z k a w p l e n e r. Na tle przyrody aktor ginął, na pierwszy plan wysuwały się efektowne zdjęcia skał, jezior, morskiej burzy, podzwrotnikowego lasu, gdzie wystarczało, aby człowiek tylko zaznaczył swoją obecność. Sytuacja dramatyczna, motyw walki, nie znoszącej wygrywania scen, wymagającej szybkości, usuwał aktorski koszmar.

Teraz zrozumiałe już jest, że brak słowa, nieporadność aktorska, pchnęły film do czysto mechanicznego wykorzystywania tzw. sytuacyj, do gestu szerokiego, jaskrawego, rubasznego oraz do formy, jeszcze prostszej, niż najbardziej syntetyczny gest — do zasadniczych gatunków ludzkiego ruchu: chodu, biegu, skoku, padania na ziemię i powstawania. Teoria dostosowała się do rzeczywistości i obdarzyła nas r u c h o w y m kanonem w odniesieniu do filmu. (Dodajmy w nawiasie, że ruch w obrazie filmowym można jeszcze ujmować, jako ciągłą zmienność obrazu i częstą zmianę scenerii, ale to czysto optyczne, wizualne zagadnienie, należy do zupełnie innej dziedziny — jest to r u c h l i w o ś ć obrazu filmowego, dla której osiągnięcia wystarczy zmiana kąta fotografowania).

Następuje okres konfliktu filmu niemego z filmem dźwiękowym i gwałtownego sporu teoretyków kinematografii. Wyznawcy „zasady ruchu" bronią filmu niemego, ponieważ, ich zdaniem, film dźwiękowy zamienia kinetykę filmu w statykę, nie mówiąc już o przykrej nienaturalności dźwięków płyty czy głośnika. Ten drugi zarzut ustępuje w miarę technicznego udoskonalenia wynalazku *talkies'*ów, zarzut zaś pierwszy wypływa w znacznej mierze stąd, że film dźwiękowy w pierwszym etapie swego rozwoju był — filmem m ó w i o n y m. Zachowywaliśmy się jak dziecko, które dostanie do rąk nową zabawkę — bawi się nią łapczywie, bezustannie i bezsensownie. Fakt, iż cienie ekranu przemówiły, wydawał się tak cudowny, że korzystano z tego z mocną przesadą. W filmach roiło się od gadaniny, śpiewu i nienajlepszej muzyki. Wszystko to jednak ustępuje w miarę dorastania dźwiękowca. Młodość się wyszumiała i dźwiękowiec ustatkowany, nie

nuży już nadmiarem dialogu (czasem i dziś trafiają się rozgadane, krzykliwe filmy amerykańskie) nie zamyka się w czterech ścianach wnętrz, wyrusza w *plener,* realizuje nawet *Robin Hooda* równie dobrze jak film niemy, w ogóle podejmując w wersji dźwiękowej szereg takich tematów filmu niemego, które do niedawna uchodziły za jego monopol, za klasyczne przykłady filmu z ruchem.

Pozostał jeszcze trzeci zarzut, wytaczany przeciw dźwiękowcowi. Oto film dźwiękowy stracił doniosły przywilej filmu niemego: uniwersalność. W teorii — częściowo prawda. Ale jakże łatwo bronić się przed tym zarzutem w praktyce: przecież, po pierwsze, filmy zagraniczne wszystkie kraje nadal importują; po drugie — dźwiękowiec osłabieniem uniwersalności filmu przyczynił się do rozwoju kinematografii narodowych, z czego chyba nie można ukuwać oskarżenia; po trzecie — zjawił się *dubbing,* z powodzeniem stosowany na Zachodzie, mało zaś znany w Polsce jedynie ze względu na szczupłą pojemność naszego rynku krajowego i na ograniczony zasięg polskiego języka.

Ostatecznie zatem i w praktyce i w teorii, dźwiękowiec odnosi zwycięstwo. Gra aktorska, połączona już ze słowem, odzyskuje naturalność, rozwija się film psychologiczny, przybywa dowcip dialogu, odpada to, co było w filmie musem fotograficznej informacji.

Wiele rzeczy, które dziś mogą być powiedziane, w filmie niemym musiało być sfotografowane. Mamy więc oczyszczenie filmu z balastu, zyskanie na zwartości, co zawsze sprzyja sile wrażenia estetycznego. Nietrudno o przykład: w filmie francuskim *Prokurator Andrejew* (wedł. powieści Lwa Tołstoja: *Żywy trup*) bohater tytułowy dostrzega miłość żony i swego przyjaciela pod wpływem skojarzeń z sądzonego tegoż dnia procesu o zabicie przez męża kochanka żony. Akcja obrazowa toczy się niezależnie od pokazanych nam inną drogą przeżyć prokuratora — cała trójka jedzie karetą wśród przykrej zimowej pogody, ale pod rytm turkotu pojazdu podłożono przyciszone zdania, jakimi skazany opowiadał prokuratorowi o chwili, w której dostrzegł miłość, łączącą jego żonę z innym mężczyzną.

Wyobraźmy sobie to samo w filmie niemym: zdjęcia z jazdy musiałyby się przeplatać z zamglonymi zdjęciami z procesu: z rozmowy prokuratora z oskarżonym, wmontowanymi teraz w taśmę po raz drugi. Tradycyjna mgiełka oznaczałaby, że prokurator „widzi to w myśli". Dźwiękowiec usunął tę nieudolność techniczną, podobnie jak uwolnił film od manii gonienia się po wertepach i stepach. Przyznajmy, że przecież nonsensowne było rozgraniczanie teatru i filmu, oparte na tym, że teatr chował się w pokojach z wyjętą czwartą ścianą, a film hasał po preriach Dzikiego Zachodu.

Danie głosu aktorowi filmowemu pogłębiło sztukę filmową. Osławione nieme filmy „z ruchem" wydają mi się dziś, jak

obrazki z dziecinnej książki z malowankami wobec czytanej w dorosłych latach poważnej powieści. Filmy komiczne z początków Chaplina, czy nawet farsy Maxa Lindera są jak sztuki z epoki *comedia dell'arte* i teatr *buffo* wobec współczesnego dramatu.

Znamienne jest bowiem, że w filmie dźwiękowym zanikła dawna farsa (Fatty-grubasek, Pat i Patachon) i filmy gagów (Harold Lloyd, Buster Keaton), a próby powrotu do tego rodzaju albo szybko ustały (farsy Fleja i Acpa), albo skończyły się niepowodzeniem (film gagów — Eddie Cantor i jeden obraz H. Lloyda). Dźwiękowiec rozwinął za to komedię, gdzie źródłem humoru jest nie poszczególny epizod, ale cała skomplikowana akcja, niewielka do przedstawienia dzięki żywemu dialogowi.

Lecz jakaż w takim razie jest r ó ż n i c a m i ę d z y t e a t r e m, a f i l m e m, jeśli dźwiękowiec przekreślił tak wygodną dla ustalania teatralno-filmowej granicy teorię ruchu, jako czynnika istotnego w filmie? I zarazem, gdy odpadła tak wyraźna różnica zewnętrzna, jak brak słowa w filmie...

By znaleźć odpowiedź, trzeba sobie zdać sprawę, jak dalece pozorną różnicą była c i s z a obrazu filmowego. Zapełniano ją akompaniamentem muzycznym, brak zaś słowa nadrabiano sążnistymi napisami. Dźwiękowiec po prostu zlikwidował niedomagania techniczne, poprawił grę artystów, jak zaś dziś już widzimy bynajmniej nie ograniczył tematów filmowych do sztuk kameralnych.

Pozostaje więc chwycić się drugiej, zachowanej dotąd, powierzchownej różnicy: plastyczności teatru i dwuwymiarowości filmu. Sądzę jednak i że na tej wadzie filmu (wadzie z pewnością przelotnej) nie warto budować teorii estetycznej. Film trójwymiarowy jest już właściwie wynaleziony, czekamy jedynie na zrealizowanie i upraktycznienie możliwości, których istnienie już stwierdzono.

Jakże zatem szukać granicy? Jak wyodrębnić istotę filmu? Zdawałoby się, że najprostsza klasyfikacja wyniknie z faktu, że teatr oglądamy bezpośrednio, film zaś powstaje przy pomocy fotografii i — tu chwytamy się na gorącym uczynku: o mało co nie powiedzieliśmy, że „film jest teatrem oglądanym pośrednio — przez fotografię". Wtedy by dopiero zjawił się kłopot: co jest teatrem, a co filmem? Jeden więcej dowód, że nie można w poszukiwaniu istoty filmu i w wykreślaniu jego przypuszczalnych dróg rozwoju, spodziewać się wiele po cechach czysto technicznych.

Wystarczy r o z p o w s z e c h n i e n i e t e l e w i z j i, aby taką metodą ustalone pojęcia od razu runęły. Na zainstalowanym bądź to w prywatnym mieszkaniu, czy w sali publicznej, ekranie telewizyjnym, i teatr i film zobaczymy w tej samej postaci, przy czym — trzeba to stwierdzić — telewizyjny film będzie lepszym teatrem od telewizyjnego teatru. Film bowiem, z chwilą gdy

uzyska trójwymiarowość i barwność, będzie teatrem, o jakim nigdy się nikomu nie śniło, teatrem o wspaniałych możliwościach dekoracyjnych, reżyserskich, o świeżej, pełnej syntetycznych skrótów i zarazem niespotykanego dotąd realizmu — technice dramatycznej. Scena jest w tej chwili dla teatru i dla autora dramatycznego ciasną klatką, przymusowym więzieniem. W porównaniu z filmem, jesteśmy w teatrze jeszcze bardzo bliscy szekspirowskich ogłoszeń na desce oznajmiających teren akcji. Scena obrotowa czy szufladkowa są, ukrywanymi pod pozorem teatru, namiastkami filmu, próbą zerwania więzów, narzuconych przez teatralne mury. Zresztą wystarczy prosty i bliski przykład: w Hamburgu inscenizując *Das Opfer,* której akcja (wyprawa podbiegunowa Scotta) rozgrywa się wśród nocy polarnej na lodach Grenlandii, użyto filmu jako dekoracji. Dzięki filmowi przezwyciężono statyczność sceny — osiągnięto wreszcie, że wyprawa Scotta istotnie wędruje przez pola lodowe.

Zdaje się, że dowód z inscenizacji hamburskiej przechyla szalę i skłania do ostatecznego wniosku. Oto, skoro teatr szuka swobody scenicznej i dekoracyjnej, skoro ubiega się z jednej strony o maksymalny realizm inscenizacyjny, z drugiej — o feerie fantastyki (*Sen nocy letniej*) i skoro teatrowi może to dać tylko film, nieuniknione jest zespolenie teatru z filmem. Tezę taką należy jednak opatrzeć zastrzeżeniem, że odnosi się ona do teatru, jako widowiska, i do filmów tego typu, jaki dziś przeważa na ekranach.

Film już oddziałał na teatr, a teatr oddziałał na film (widowiska teatralne Reinhardta i steatralizowany film) i niewątpliwie w jakimś filmoteatrze w przyszłości będą się łączyć, mieszać cechy współczesnego teatru i filmu. Teatralny poeta słowa zrośnie się z poszukującym ciekawej intrygi scenarzystą filmu: przyszłość da nam sztuki absolutnie nieskrępowane czasem i miejscem akcji, stojące ponad trudnościami realizmu i trudnościami baśni. Telewizja zaś, zastępując dzisiejsze kino, zatrze granicę między dawnym filmem i dawnym teatrem. Będzie nam doprawdy wszystko jedno, czy zobaczymy widowisko transmitowane z naszego studia radiowego, czy z filmu nagranego w filmoteatrowym studio amerykańskim i przesłanego do Warszawy. A zresztą to przestarzały przykład! Przecież film będzie można transmitować bezpośrednio z Ameryki!

Ta — bardzo prawdopodobna hipoteza przyszłości, pozostawia otwarte dwie sprawy: jakby wyglądał w filmoteatrze teatr i film współczesny, oraz czy obok filmoteatru odrodzi się wolna od efektu widowiskowego, czysta forma teatru, a obok niej — czy rozwinie się, wolna od pierwiastku aktorskiego, lub może nawet od słowa, czysta forma filmu.

Gdy idzie o film współczesny przewidywanie nie jest trudne, ponieważ w swej kompozycji stał się on w znacznej mierze

zrostem teatru i filmu, a niedostaje mu tylko właściwości zewnętrznych, będących już kwestią techniki. Teatr? — teatr Szekspira oglądaliśmy na filmie: zrealizowano *Romea i Julię* i *Sen nocy letniej*; obydwie próby są bardzo interesujące z punktu widzenia filmu i teatru przyszłości.

Zarówno tragedia jak i komedia szekspirowska straciły na filmie większość tekstu. Dlaczego? Ponieważ liczono się z eksportem filmu zagranego w języku angielskim. Jest to wzgląd handlowy — odrzućmy go, jako nieistotny. Poza tym zaś — obawiano się, że na filmie dosłowny Szekspir wyda się nudny. Z kolei — czemu tak przypuszczano? I nowe „ponieważ" — ponieważ film wymaga akcji. A także — ponieważ wymaga ruchu, ale ruchu inaczej pojętego, niż dawny, tradycyjny „ruch" filmowy. Nie idzie tu o poruszanie się przedmiotów i ludzi, lecz o zmienność obrazów na ekranie. Film, jako sztuka odbierana wzrokiem, musi swą f o r m ą interesować zmysł wzroku, musi go zajmować, bawić. Dlatego też nie wolno zbyt długo wytrzymywać na ekranie jednego ujęcia fotograficznego, równocześnie jednak trudno sobie wyobrazić, by płynny tok szekspirowskiego wiersza szarpały ciągłe skoki fotograficznego obrazu.

Te przyczyny decydowały dziś. Jutro jednak film trójwymiarowy będzie tak bliski dzisiejszego teatru, wzbogacając go inscenizacyjnie, że nie widzę powodów, dla których bym nie miał spędzić kilku godzin w kinie przyszłości, nie tylko słuchając wiersza szekspirowskiego, ale także i widząc, czego nie widziałem dawniej w teatrze: Romea cwałującego na koniu.

Tu jest teraz sposobność do obrony tradycyjnej formy teatru. Ów cwałujący Romeo ma być słabą stroną inscenizacji teatrofilmowej na tej zasadzie, że nadmiar szczegółów, nadmiar realistycznych epizodów rozprasza uwagę i szkodzi czystemu pięknu słowa. Słusznie — lecz jeżeli idzie o wyodrębnienie: usamoistnienie słowa, już dziś służy temu nowa forma teatru: radiowy teatr wyobraźni. Wierzę, że mimo telewizji, pozwalającej przez radio i słuchać i oglądać aktorów, obok filmoteatru, znajdzie się miejsce i dla słuchowiska podającego samo słowo. Obok zaś i słuchowisk i filmowych widowisk pozostanie może stary teatr, rozporządzający walorem tak ważnym, a tak wymykającym się analizie, jak fluid bezpośredniego kontaktu widowni z aktorem. Tego pytania nie sposób dziś przesądzać — nie wiemy ile odczucia realistycznego da widzowi trójwymiarowość filmu i czy film plastyczny, barwny, dźwiękowy pozwoli przenieść nieuchwytną emanację aktora. Są to sprawy niezbadane i niepodległe dzisiejszym środkom poznania. Doświadczenie na ogół stwierdza, że muzyka mechaniczna nie posiada tego fluidu, co muzyka odbierana wprost od wykonawcy. Ostatnia jednak np. transmisja radiowa koncertu Paderewskiego była wprost pełną fluidu mu-

zyką a znany jest również fakt, że głos Jaracza w słuchowiskach zachowuje całą bliskość sceniczną.

Istotą najczystszego teatru jest słowo i aktor. Jeżeli aktor trójwymiarowej fotografii okaże się równy aktorowi rzeczywistemu, teatr obecny będzie zanikać. Jeżeli nie -- obok filmo-teatru po zostanie teatr żywy, lecz chyba nie współzawodniczący inscenizacją z filmo-teatrem i ograniczony do gry aktorskiej i słowa.

Jak analiza *Romea i Julii* umieszczonych w filmotearze przyszłości określa sytuację na teatralnym skrzydle sprawy widowiskowej za parę dziesiątków lat, tak próba ze *Snem nocy letniej* pozwala snuć wnioski o drogach rozwoju czystego filmu. *Sen nocy letniej* — taki, jakim widzieliśmy go na filmie, zresztą — częściowo tylko udanym, byłby niemożliwy do zrealizowania w teatrze. Nie pomogłyby najnowsze środki techniki inscenizacyjnej, nic bowiem nie zdołałoby zastąpić czynnika w i z j i, czynnika odrealniającego, naprawdę zmieniającego bohaterów „Snu" w zjawy marzenia. Arcydzieło szekspirowskiej fantazji transponował na obrazy filmowe — Reinhardt, mam wrażenie, że oddanie pracy w ręce człowieka teatru, zwęziło jej filmowe możliwości. Oberon, Titania i Puk zostali potraktowani dość teatralnie w grze, choć właśnie należało zatrzeć udział aktora. I właśnie tu, dochodząc do tej obserwacji, odczuwamy chęć przywołania na pomoc innych środków wyrazu filmowego — szukamy formy najswobodniej oddającej fantastyczność i płynność marzenia, odchodzimy od ludzkiego aktora.

Tą formą jest dziś niewątpliwie film rysunkowy. Słyszałem kiedyś zdanie kinowego widza, iż kreskówka może być dowodem, że ludzie posiadają wyobraźnię. Trafna uwaga jest istotnie t r a f i e n i e m w sedno rzeczy: forma filmowa — to sztuka wyobraźni plastycznej, a ponieważ wyobraźnia poetycka jest nowym widzeniem rzeczywistości, nowym komponowaniem elementów danych przez rzeczywistość, film najlepiej potrafi służyć baśni.

Między zwykłym filmem fotograficznym z udziałem teatralizującego aktora, a filmem fantazji, leży bogata skala form przejściowych. Już zdjęcia drapacza chmur, fotografowanego z dołu, w pionowym skrócie, są świeżym, dotąd n i e d o z n a n y m widzeniem z n a n e j rzeczywistości. Do tej samej kategorii należą zdjęcia *au ralenti* (w tempie zwolnionym) i — odwrotnie — przyśpieszone zdjęcia tele — (astronomiczne) i mikro-skopowe. Już samym montażem zwykłej fotografii udaje się osiągnąć niezwykłe wrażenia, a cóż dopiero rysunkiem, malarstwem, swobodnym zakomponowaniem przestrzeni filmowej klatki. (Klatka — prostokąt jednego zdjęcia na filmie).

Ta droga rozwoju czystej formy filmowej — podobnie jak słuchowisko radiowe, zrodzone z teatru, dotyka muzyki — prowadzi w stronę malarstwa. Ale jest to malarstwo naprawdę niezwykłe. Malarstwo zrywające ze statyką obrazu i rzucające się

w zawrotną kinetykę filmowego aparatu. Malarstwo podobne muzyce i kto wie, czy nie zasługujące na nazwę muzyki barw i kształtów, równoległej do muzyki tonów. Może i to śmiałe określenie jest jeszcze za wąskie: przecież byliśmy już świadkami filmów malarskich, a przyszłość gotowa przynieść, wraz z trójwymiarowością obrazu filmowego, film rzeźbiarski, muzykę brył, feeryczny taniec, w którym tancerze będą zmieniać kształt i barwę.

Finał zatem obecnego teoretycznego i praktycznego konfliktu teatru i filmu zapowiada się jako przejście we współpracę, w powstanie różnorodnych odmian filmo-teatru, w którym jedna forma widowiska wzbogaca drugą, na krańcach zaś tych możliwości zapewne rozrośnie się słowo zespolone z muzyką (słuchowisko odmienne od dzisiejszego teatru wyobraźni, imitującego teatr normalny) i muzyka plastyczna nowego filmu.

Zdzisław Broncel.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 5 grudnia 1938 r.

Spis rzeczy tomu 220.

Artykuły:

Str

R. F. Walczyński: Apoteoza rasy kosztem historii 3
St. Szczutowski: Syntetyczna myśl ustrojowa 15
H. J. Korybut-Woroniecki: Ku dalszym rozwiązaniom w Sowietach 32
J. Skaliński: Reorganizacja partii komunistycznej w Polsce 47
Ks. St. Podoleński T. J.: Więcej powietrza i słońca . . 64
M. Waśkowska-Kreinerowa: Czy Stanisław Wyspiański cierpiał biedę w Paryżu? 78
Dr Andrzej Niesiołowski: Katolicyzm integralny a religijność indukcyjna 145
Ks. St. J. Góra T. J.: Społeczne cechy katolickiego dogmatu 164
F. Walczyński: Zasięg mitu XX wieku 147
Prof. Leopold Caro: Rasa i narodowość 182
Ks. J. Kruszyński: W sprawie żydowskiej 200
Dr Otto Forst Battaglia: Wielka Brytania, kraj ładu swobody 214
Ks. J. Pawelski T. J.: Po dwudziestu latach odrodzonej Polski 289
Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.: Wrońskizm a katolicyzm . . 297
Dr Stan. Klimek: Tezy antropologiczne rasizmu 312
Roman Piotrowicz: Na drogach do konsolidacji rejonu Bałkanów i Dunaju 330
Anna Szeptycka: Najnowsza praca niemiecka o królowej Jadwidze 347
Dr Otto Forst Battaglia: Ludwik XIV w perspektywie trzechsetnej rocznicy 366

Przegląd piśmiennictwa.

Orzeszkowa Eliza: Listy (Dr Zofia K. Ciechanowska) 91
Juliusz Znaniecki: Ziarno z głębiny (Ks. J. Nowak T. J.) 94
Ks. dr Fr. de Hovre i ks. dr P. Tochowicz: Podstawy współczesnej pedagogiki (Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.) 95

Str.

Bogusław Miedziński: Wczoraj — dziś — jutro (H. J. Korybut-Woroniecki) 96

Konstanty Symonolewicz: Moi Chińczycy (Ks. J. Piwiński T. J.) 97

Grzegorz Turowski: Warunki i drogi rozwoju gospodarczego wsi polskiej (H. J. Korybut-Woroniecki) 98

Sergiusz S. Masłow: Kolektywy rolne w Sowietach (H. J. Korybut-Woroniecki) 99

Tadeusz Lechnicki: O jasny program i zwarte działanie (Ks. J. Mokrzycki T. J.) 101

Ks. dr Antoni Korcik: Teoria konwersji zadań asertorycznych u Arystotelesa w świetle teorii dedukcji (Ks. A. Kisiel T. J.) . . 102

Hans Mortensen und Gertruda Mortensen: Die Besiedlnug des nordöstlichen Ostpreussen bis zum Beginn des 17 Jahrhunderts (H. J. Korybut-Woroniecki) 102

Juliusz Znaniecki: Michał. — Zofia Bohdanowiczowa: Droga do Daugiel. — Jan Waśniewski: Po dniówce. — M. Rodziewiczówna: Róże panny Róży. — Sigurd Elkjaer: Między morzem a fiordem. — Knut Hamsun: A życie toczy się dalej. — Joseph Conrad: Opowieści zasłyszane. — Tenże: Sześć opowieści (Mgr Hanna Wierzbicka) 225

Jan Dobraczyński: Bernanos powieściopisarz (Ks. Bron. Wójcik T. J.) 232

Janusz Bednarski: Wiersze i proza (Ks. Br. Wójcik T. J.) 235

Dr Ludwik Posadzy: Poglądy pedagogiczne Adama Mickiewicza (Wacław Malewski) 236

Wacław Filochowski: Cierpkie pobratymstwo. — P. Hulka-Laskowski: Śląsk za Olzą. — Adam Bar: Karol Miarka. — Franciszek Szymiczek: Walka o Śląsk Cieszyński (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 239

St. Recius: Stanislai Hosii Vita. — Ks. J. Smoczyński: Bibliographia Hosiana (Ks. Drzymała T. J.) 240

A. Zischka: Nauka łamie monopole (Ks. Br. Wójcik T. J.) 242

Silvia von Bornstedt: Ein Kind erlebt den Weltkrieg (Ks. Br. Wójcik T. J.) 243

Leon Crozet: Praktyczny podręcznik bibliotekarza (Ks. A. Kisiel T. J.) 244

Elżbieta Szemplińska-Sobolewska: Potrójny ślad. — S. Margert: Savonarola. — Tadeusz Dołęga-Mostowicz: Trzy serca. — Czesław Jacek Centkiewicz: Biała foka. — Tarlton Rayment: Dolina Nieba. — Reginald Campbell: W dolinie tygrysa (Mgr Hanna Wierzbicka) 376

Jan Stanisław Bystroń: Socjologia literatury. (Dr Z. K. Ciechanowska) 381

Ks. Aleksy Klawek: Psałterz. Nowy przekład tekstu Wulgaty. (Ks. Walenty Prokulski T. J.) 384

Str.

Kazimierz Hartleb: Kultura Polski od zarania dziejów po dni ostatnie (Dr M. Tyrowicz) 387
Notatki bibliograficzne 388

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Październik: Uroczystości kieleckie. — Dwa jubileusze. — Dokoła uchwał Plenarnego Synodu. — Przed wyborami (Ks. Edward Kosibowicz T. J.) 107
Listopad: Katolicy wobec zagadnienia radiofonii w Polsce (Ks. Edward Kosibowicz T. J.) 247
Grudzień: Przemiany ustrojowe. — Fala dekretów. — Prawosławie polskie (Ks. Edward Kosibowicz T. J.) 392

Sprawy Państwa:

Październik: Sierpień 1914 i wrzesień 1938. — Rozwój czeskiego zatargu. — Paraliż Wielkiej Ententy. — Ruina Wersalu. — Cieszyn. Słowaczyzna i manewry wołyńskie (Andrzej Prawdzic) 116
Listopad: Pokój i podstęp Monachijski. — Pokojowy rozbiór Czechosłowacji. — Saarbruecken. — Blok polsko-rumuńsko-węgierski (Andrzej Prawdzic) 256
Grudzień: Płonąca granica w Karpatach. — Alarm kolonialny. — Układ anglo-włoski i pakt francusko-niemiecki. — Niemcy i Żydzi. — Próba sił we Francji. — Polska, Litwa i Rosja (Andrzej Prawdzic) 403
Ze świata filmu (Zdzisław Broncel) 127, 266, 414
IV Studium Katolickie w Katowicach (Ks. A. Kisiel T. J.) 133
Interesująca ankieta o kongresach naukowych (Ks. Stanisław Bednarski T. J.) 274
Pierwszy Ogólnopolski Kongres Dziecka (Ks. St. Podoleński T. J.) 282